



OGNISTY TRON



RICK RIORDAN

Rick Riordan

Ognisty tron

Tom II

Przełożyła
Agnieszka Fulińska

Tytuł oryginału
THE KANE CHRONICLES. BOOK TWO
THE THRONE OF FIRE

Text copyright © 2011 by Rick Riordan. All rights reserved.

Zezwolenie na niniejsze wydanie zostało uzyskane za pośrednictwem agencji Nancy Gallt Literary Agency.

Permission for this edition was arranged through the Nancy Gallt Literary Agency.

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Fulińska, 2011

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Galeria Książki, 2011

Cover art © John Rocco

Rysunki hieroglifów
Michelle Gengaro-Kokmen

Konsultacja egiptologiczna
dr Andrzej Ćwiek

Opracowanie redakcyjne i DTP
Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.com.pl)

Redakcja
Ewa Wiąckowska

Korekta
Barbara Turnau, Katarzyna Kolowca-Chmura

Opracowanie graficzne okładki, typografia i DTP
Stefan Łaskawiec

Wydanie I

ISBN: 978-83-62170-90-6

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

*Dla Connera i Maggie,
wspaniałego rodzeństwa z rodziny Riordanów*

Ostrzeżenie

Niniejsza książka jest zapisem nagrania dźwiękowego. Carter i Sadie Kane'owie po raz pierwszy dali się poznać dzięki nagraniu, które otrzymałem w zeszłym roku, a zapisałem w książce *Czerwona piramida*. To drugie nagranie pojawiło się w moim domu wkrótce po wydaniu poprzedniej książki, zakładam więc, że rodzeństwo Kane'ów ufa mi w kwestii przekazywania ich opowieści. Jeśli to nagranie jest wiarygodną relacją, to obrót wypadków można określić jedynie mianem wysoce niepokojącego. Ze względu na rodzinę Kane'ów, a także losy świata mam nadzieję, że to, co będziecie czytać, jest fikcją. W przeciwnym razie wszyscy mamy poważne kłopoty.

1. Zabawa z samozapłonem

Tu Carter.

Słuchajcie, nie mamy czasu na długie wstępy. Muszę opowiedzieć to szybko, inaczej wszyscy zginiemy.

Jeśli nie wysłuchaliście pierwszej części nagrania, to... miło mi was poznać: egipcyscy bogowie szaleją po naszym świecie, grupka magów, czyli Dom Życia, usiłuje ich powstrzymać, wszyscy nienawidzą Sadie i mnie, a ogromny wąż zamierza połknąć słońce i zniszczyć cały świat.

[Au! Za co?]

Sadie właśnie dała mi kuksańca. Mówi, że za bardzo was wystraszę. Powiniennem usiąść, uspokoić się i zacząć od początku.

Jasne. Ale prawdę mówiąc, uważam, że *powinniście* się bać.

Nagranie jest po to, żebyście się dowiedzieli, co naprawdę się dzieje i co poszło nie tak. Spotkacie wielu ludzi, którzy będą wam wmawiać bzdury na nasz temat, ale nie jesteśmy winni niczyjej śmierci. A jeśli chodzi o węża, to też nie nasza wina. W każdym razie... niezupełnie. Wszyscy magowie świata muszą działać razem. To nasza jedyna szansa.

Przed wami opowieść. Sami zdecydуйте, co o tym myśleć. Zaczęło się od pożaru w Brooklynie.

Zadanie pozornie było proste: dostać się do Muzeum Brooklyńskiego, pożyczyć pewien egipski zabytek i wymknąć się, nie dając się złapać.

Nie, to nie była kradzież. Zamierzaliśmy potem oddać ten posąg. Obawiam się jednak, że wyglądaliśmy podejrzanie: czwórka dzieciaków w czarnych kombinezonach ninja na dachu muzeum. A do tego pawian, również ubrany jak ninja. Zdecydowanie podejrzane.

Najpierw wysłaliśmy naszych uczniów, Jaz i Walta, żeby otwarli okno, podczas gdy Chufu, Sadie i ja oglądaliśmy wielką szklaną kopułę na środku dachu – miała to być nasza droga ewakuacyjna.

Ewakuacja nie zapowiadała się dobrze.

Było już dawno po zmroku, więc muzeum powinno być zamknięte. Tymczasem szklana kopuła jaśniała światłem. A w środku, dziesięć metrów pod

nami, setki ludzi w smokingach i sukniach wieczorowych tańczyły i przechadzały się po sali balowej wielkości hangaru. Grała orkiestra, ale wycie wiatru i szczekanie własnych zębów zagłuszały mi muzykę. Zamarzałem w lniałej piżamie.

Magowie powinni nosić len, ponieważ nie zakłóca on magii, co zapewne sprawdza się świetnie na egipskiej pustyni, gdzie raczej nigdy nie jest zimno i nie pada. W Brooklynie w marcu – niekoniecznie.

Zimno najwyraźniej nie przeszkadzało mojej siostrze, Sadie. Po kolei otwierała zamki, podśpiewując pod nosem coś, czego słuchała na iPodzie. Ej no, poważnie – kto zabiera własną mużę na włamanie do muzeum?

Sadie była ubrana podobnie jak ja, ale na nogach miała martensy. W jasnych włosach połyskiwały czerwone kosmyki – tym razem bardzo delikatne, ponieważ to była tajna misja. Ze swoimi niebieskimi oczami i jasną cerą zupełnie nie jest do mnie podobna, ale oboje uważamy, że to fajne. Przynajmniej czasem mogę udawać, że ta postrzelona dziewczyna nie jest moją siostrą.

– Powiedziałaś, że w muzeum nikogo nie będzie – jęknąłem.

Sadie nie usłyszała, dopóki nie wyciągnąłem jej słuchawek z uszu i nie powtórzyłem.

– No bo miało nikogo nie być. – Sadie będzie zaprzeczać, ale po trzech miesiącach spędzonych w Stanach zaczynała tracić brytyjski akcent. – W internecie napisali, że zamykają o piątej. Skąd miałam wiedzieć, że będzie tu wesele?

Wesele? Zerknąłem w dół i przekonałem się, że miała rację. Niektóre z kobiet były ubrane w brzoskwińowe sukienki druhen. Na jednym ze stołów dostrzegłem ogromny wielopiętrowy biały tort. Goście, podzieleni na dwie grupy, unieśli pannę młodą i pana młodego na krzesłach i biegali z nimi po sali, podczas gdy ich przyjaciele tańczyli i klaskali dookoła. Miałem wrażenie, że wszystko to zmierza do wielkiego meblowego karambolu.

Chufu postukał w szkło. Nawet w czarnych szatach niespecjalnie wtapiał się w cienie z powodu swojego złotego futra, nie mówiąc o kolorowym nosie i tyłku.

– *Agh!* – warknął.

Ponieważ jest pawianem, ten dźwięk może oznaczać cokolwiek od „Ej, patrzcie, tam jest żarcie” przez „To szkło jest brudne” po „Rany, ale ci ludzie się wygłupiają z tymi krzesłami”.

– Chufu ma rację, trudno nam będzie się zakraść na to przyjęcie –

przetłumaczyła Sadie. – Może udawajmy pracowników technicznych...

– Jasne – odparłem. – „Przepraszamy państwa. Jesteśmy tylko czwórka dzieciaków. Taszczymy trzytonowy posąg i chcemy wynieść go przez sufit. Proszę się nami nie przejmować”.

Sadie przewróciła oczami. Wyciągnęła różdżkę – zakrzywiony kawałek kości słoniowej z wyrytymi wizerunkami potworów – i wskazała na podstawę kopuły. Rozbłysł tam złoty hieroglif i ostatni rygiel się poddał.

– Skoro nie zamierzamy tędy wychodzić – powiedziała – to po co ja to otwieram? Nie możemy po prostu wyjść tą samą drogą, którą wejdziemy? Przez boczne okno?

– Mówiłem ci. Posąg jest ogromny. Nie zmieści się w oknie. Poza tym zabezpieczenia...

– Może w takim razie spróbujemy jutro? – zapytała.

Pokręciłem głową.

– Jutro rzeźba zostanie zapakowana, bo wyjeżdża.

Uniosła brwi w ten swój irytujący sposób.

– Może gdyby ktoś nam wcześniej powiedział, że musimy ją ukraść...

– Daj spokój. – Wiedziałem, do czego prowadzi ta rozmowa, a całonocna kłótnia z Sadie na dachu nic by nie pomogła. Oczywiście, ona miała rację. Nie poinformowałem jej dostatecznie. Ale też... moje źródło nie było bardzo rzetelne. Po kilku tygodniach dopraszania się o pomoc wreszcie wyciągnąłem wskazówkę od mojego kumpla, sokolego boga wojny, Horusa, który przemówił do mnie we śnie: *Aha, ten artefakt, którego potrzebujecie? Który może być kluczem do ocalenia świata? On od jakichś trzydziestu lat jest tuż koło was, w Muzeum Brooklyńskim – ale jutro zawożą go do Europy, więc może się pospieszcie! Macie pięć dni na wymyślenie, jak się nim posłużyć, inaczej już po nas. Powodzenia!*

Mogłem na niego nakrzyczeć, że nie powiedział mi wcześniej, ale nic by to nie pomogło. Bogowie przemawiają tylko wtedy, kiedy są gotowi, no i nie mają wycucia ziemskiego czasu. Wiedziałem to, ponieważ kilka miesięcy temu Horus siedział w mojej głowie. Pozostało mi po nim trochę społecznych nawyków – na przykład nagła potrzeba zapolowania na małe puchate gryzonie albo wyzywania ludzi na śmiertelne pojedynki.

– Trzymajmy się planu – powiedziała Sadie. – Wchodzimy przez okno, znajdujemy posąg, wynosimy go przez salę balową. O gościach weselnych pomyślimy, kiedy już dojdziemy do tego etapu. Może uda nam się odwrócić ich

uwagę.

Zmarszczyłem brwi.

– Odwrócić uwagę?

– Za bardzo się przejmujesz, Carter – oznajmiła. – Będzie super. Chyba że masz inny pomysł?

I tu był problem – nie miałem.

Może się wam wydaje, że magia pomaga. Prawda jest taka, że zazwyczaj raczej komplikuje sprawy. Zawsze znajdzie się milion powodów, dla których dane zaklęcie nie zadziała w konkretnej sytuacji. Albo jakaś inna magia będzie przeszkadzać – na przykład zaklęcia zabezpieczające nałożone na to muzeum.

Nie byliśmy pewni, kto je nałożył. Może ktoś z pracowników w rzeczywistości był magiem, co nie byłoby takie dziwne. Nasz tato wykorzystywał swój doktorat z egiptologii jako przepustkę do zabytków. A poza tym Muzeum Brooklyńskie posiada największą na świecie kolekcję magicznych zwojów egipskich. Właśnie dlatego nasz stryj Amos zbudował w okolicy swoją siedzibę. Wielu magów mogło mieć powody, żeby strzec muzealnych skarbów i nakładać na nie pułapki.

W każdym razie drzwi i okna były zaopatrzone w całkiem paskudne zaklęcia. Nie mogliśmy otworzyć magicznego portalu koło zabytku ani też posłużyć się uszebti – magicznymi glinianymi posążkami, które usługiwały w naszej bibliotece – żeby przyniosły nam potrzebny przedmiot.

Musieliśmy dostać się do środka i najzwyczajniej wynieść posąg, a jeden błąd mógł uruchomić zaklęcie – trudno powiedzieć jakie: potwornych strażników, zarazę, ogień, wybuchające osły (proszę się nie śmiać, to poważna sprawa)...

Jedynym wyjściem pozbawionym zabezpieczeń była kopuła nad salą balową. Najwyraźniej muzealni strażnicy nie obawiali się złodziei posługujących się lewitacją, żeby wynieść zabytki przez dziurę znajdującą się dziesięć metrów nad ziemią. A może kopuła jednak była zabezpieczona, tylko pułapka pozostawała dla nas niewidoczna.

Tak czy siak, musieliśmy spróbować. Mieliśmy jedną noc na kradzież – przepraszam: wypożyczenie – zabytku. A następnie pięć dni na to, by odkryć, jak się nim posłużyć. Kocham napięte terminy.

– To jak, wchodzimy i improwizujemy? – zapytała Sadie.

Spojrzałem na wesele w nadziei, że nie popsujemy państwu młodym najważniejszych chwil w ich życiu.

– Chyba tak.

– Wspaniale – powiedziała moja siostra. – Chufu, zostań tu i pilnuj. Otwórz kopułę, kiedy nas zobaczysz, okej?

– *Agh!* – odparł pawian.

Czułem łaskotanie na karku. Miałem przecucie, że ta akcja wcale nie będzie wspaniała.

– Chodź – zwróciłem się do Sadie. – Zobaczymy, jak sobie radzą Jaz i Walt.

Zeskoczyliśmy na gzyms biegnący wokół drugiego piętra, na którym znajdowała się kolekcja egipska.

Jaz i Walt wykonali robotę perfekcyjnie. Do krawędzi okna przykleili taśmą cztery posążki synów Horusa i namalowali na szybie hieroglify mające przeciwdziałać zaklęciom oraz zabezpieczeniom śmiertelników.

Kiedy wraz z Sadie wylądowaliśmy obok nich, byli pogrążeni w poważnej rozmowie. Jaz trzymała Walta za rękę. To mnie zaskoczyło, ale Sadie była jeszcze bardziej zdumiona. Pisnęła jak mysz, której ktoś właśnie nadepnął na ogon.

[O tak, właśnie tak było. Słyszałem].

O co tej Sadie chodziło? No dobra, tuż po Nowym Roku, kiedy wysłaliśmy nasz sygnał z amuletu *dzed*, żeby przyciągnąć do naszej siedziby dzieci z magicznymi zdolnościami, Jaz i Walt pojawili się jako pierwsi. Przez siedem tygodni trenowali pod naszym okiem, dłużej niż pozostali rekruci, toteż poznaliśmy ich całkiem nieźle.

Jaz była cheerleaderką z Nashville. Jej imię to zdrobnienie od Jasmine, ale nie należy jej o tym przypominać, jeśli nie chce się zostać zamienionym w krzak. Ma taką blondynkowo-cheerleaderkową urodę (nie mój typ), ale nie da się jej nie lubić, ponieważ jest dla wszystkich miła i zawsze chętna do pomocy. Ma też talent do magii uzdrawiającej, więc dobrze jest ją z sobą zabierać, na wypadek gdyby coś poszło nie tak, czyli w zasadzie zawsze.

Dziś miała włosy zakryte czarną bandaną. Na plecy zarzuciła magiczną torbę ozdobioną symbolem bogini lwicy Sachmet.

Mówiła właśnie do Walta: „Coś wymyślimy”, kiedy Sadie i ja zjawiliśmy się obok.

Walt miał zawstydzoną minę.

On jest... No, jak by tu opisać Walta?

[Nie, Sadie, dziękuję. Nie zamierzam opisywać go jako ciacha. Możesz to zrobić, jak przyjdzie twoja kolej].

Walt ma czternaście lat, tyle samo co ja, ale jest na tyle wysoki, żeby dostać się do szkolnej drużyny koszykówki. Jest też odpowiednio do tego zbudowany:

szczupły i muskularny, no i ma ogromne stopy. Skórę ma w kolorze kawy, nieco ciemniejszą od mojej, a włosy ścięte tak krótko, że wyglądają jak cień na czaszce. Pomimo zimna miał na sobie tylko czarny podkoszulek bez rękawów i sportowe szorty – nie jest to standard, jeśli chodzi o magiczne ubrania, ale z Waltem lepiej się nie kłócić. To on był naszym pierwszym rekrutem – przybył aż z Seattle – no i jest urodzonym *sau*, twórcą zaklęć. Nosi mnóstwo złotych łańcuchów z magicznymi amuletami, które sam wytwarza.

Byłem absolutnie przekonany, że Sadie jest zazdrosna o Jaz i podkochuje się w Walcie, choć nigdy się do tego nie przyzna, ponieważ przez ostatnie kilka miesięcy wzdychała do innego faceta (a właściwie boga), w którym się zadurzyła.

[Dobra, Sadie. Już daję spokój. Ale zauważyłem, że nie zaprzeczyłaś].

Kiedy przerwaliśmy im rozmowę, Walt puścił ręce Jaz naprawdę szybko i odskoczył. Sadie patrzyła to na jedno, to na drugie, usiłując się domyślić, o co tu chodzi.

Walt odchrząknął.

– Okno gotowe.

– Doskonale. – Sadie spojrzała na Jaz. – „Coś wymyślimy”?

Jaz poruszyła ustami jak ryba usiłująca chwycić powietrze.

Walt wyręczył ją: – Przecież wiesz. Księga Ra. Jakoś to rozgryziemy.

– Tak! – potwierdziła Jaz. – Księga Ra.

Byłem pewny, że kłamali, ale uznałem, że to nie moja sprawa, jeśli się w sobie zakochali. Nie mamy czasu na robienie z tego dramatów.

– Okej – powiedziałem, zanim Sadie zdążyła zażądać lepszych wyjaśnień. – Zaczynamy zabawę.

Okno otwarło się bez problemu. Żadnych magicznych eksplozji. Żadnych alarmów. Odetchnąłem z ulgą i wszedłem do skrzydła egipskiego, myśląc sobie, że może jednak się nam poszczęści.

Widok egipskich zabytków uruchomił lawinę wspomnień. Do zeszłego roku przez większość czasu podróżowałem po świecie z tatą, który włóczył się od muzeum do muzeum, wygłaszając wykłady o starożytnym Egipcie. To było, zanim dowiedziałem się, że jest magiem – to znaczy zanim uwolnił całą gromadę bogów, a nasze życie się skomplikowało.

Teraz, patrząc na sztukę egipską, za każdym razem czuję jakąś osobistą więź. Wzdrygnąłem się, mijając posąg Horusa – boga o sokolej głowie, który zamieszkał w moim ciele w ostatnie święta. Przeszliśmy obok sarkofagu

i przypomniałem sobie, jak zły bóg Set uwięził naszego ojca w złotej trumnie w Muzeum Brytyjskim. Wszędzie widziałem wizerunki Ozyrysa, błękitnoskórego boga umarłych, i myślałem o tym, że tato poświęcił samego siebie, żeby dać nowe ciało Ozyrysowi. Teraz, gdzieś w magicznej krainie Duat, nasz tato jest królem zaświatów. Nie jestem w stanie opisać, jak dziwnie jest oglądać liczące sobie pięć tysięcy lat malunki przedstawiające niebieskiego egipskiego boga i myśleć: „No, a to jest mój tato”.

Wszystkie zabytki wydawały mi się rodzinnymi pamiątkami: różdżka taka sama, jaką ma Sadie; rysunek serpopardów, które nas kiedyś zaatakowały; stronica z *Księgi Umarłych* ukazująca demony, które widzieliśmy na własne oczy. No i uszebti, magiczne figurki, ożywające na wezwanie. Kilka miesięcy temu zadurzyłem się w dziewczynie, Ziyi Rashid, która okazała się uszebti.

Pierwsze zakochanie w życiu to i tak dość wrażeń. Ale kiedy okazuje się, że dziewczyna, która ci się podoba, jest z gliny i rozpada się w proch na twoich oczach – cóż, powiedzenie „mieć złamane serce” nabiera nowego znaczenia.

Przeszliśmy przez pierwszą salę, na której suficie widniało malowidło w egipskim stylu, przedstawiające zodiak. Słyszałem odgłosy wesela odbywającego się w wielkiej sali balowej, czyli na końcu korytarza po naszej prawej. Echo muzyki i śmiechu niosło się po całym budynku.

W drugiej sali egipskiej zatrzymaliśmy się przed kamiennym fryzem wielkości wjazdu do garażu. W kamieniu wyryta była podobizna potwora deptającego grupkę ludzi.

– Czy to gryf? – zapytała Jaz.

Potaknałem.

– W wersji egipskiej.

Zwierzę miało tułów lwa i głowę sokoła, ale jego skrzydła nie były takie jak u gryfów znanych z większości rysunków. Zamiast ptasich skrzydeł miał skrzydła biegnące w poprzek grzbietu: długie, poziome i szczeciniaste niczym para odwróconych metalowych szczotek. Uznałem, że jeśli ten stwór w ogóle dzięki temu czemuś lata, to pewnie te skrzydła poruszają się jak u motyla. Fryz był kiedyś malowany. Widziałem resztki czerwieni i złota na skórze zwierzęcia, ale nawet pozbawiony kolorów gryf wyglądał niesamowicie realistycznie. Miałem wrażenie, że wodzi za mną paciorkowatymi oczami.

– Gryfy były strażnikami – powiedziałem, przypominając sobie coś, co opowiadał mi kiedyś tato. – Pilnowały skarbów i takich tam.

– Super – odparła Sadie. – To znaczy, że atakowały... no, na przykład

złodziei, którzy włamują się do muzeów i kradną zabytki?

– To tylko płaskorzeźba – zapewniłem ją. Ale chyba nikomu nie poprawiło to nastroju. Egipska magia zwykle polega na zmienianiu słów i obrazów w rzeczywistość.

– To tam. – Walt pokazał na drugą stronę sali. – To jest to, prawda?

Okrążyliśmy gryfa szerokim łukiem i podeszliśmy do posągu stojącego na samym środku.

Bóg miał jakieś trzy metry wysokości. Został wyrzeźbiony z czarnego kamienia i miał na sobie typowe egipskie wdzianko: goła klata, spódniczka i sandały. Zamiast twarzy miał barani pysk i rogi, które nieco się rozkruszyły przez stulecia. Na głowie nosił koronę w kształcie frisbee – słoneczny dysk otoczony przez węże. Przed nim stała znacznie mniejsza ludzka postać. Bóg trzymał ręce wyciągnięte nad głową człowieka, jakby go błogosławił.

Sadie przyjrzała się bliżej hieroglificznej inskrypcji. Odkąd moja siostra udzieliła gościny duchowi Izydy, bogini magii, zyskała niesamowitą zdolność odczytywania hieroglifów.

– KNM – powiedziała. – To może być Chnum, jak sądzę. Rymuje się z bum?

– Ano – przytaknałem. – To jest ten posąg, którego potrzebujemy. Horus powiedział mi, że on zawiera sekret odnalezienia Księgi Ra.

Niestety Horus nie wyjawiał mi więcej szczegółów. Teraz, kiedy już znaleźliśmy posąg, nie miałem bladego pojęcia, jak miałyby nam pomóc. Przyjrzałem się hieroglifom, szukając jakiejś wskazówki.

– Kim jest ten mały z przodu? – zapytał Walt. – Dzieckiem?

Jaz pstryknęła palcami.

– Nie, pamiętam! Chnum wykonał ludzi na kole garncarskim. I to właśnie pewnie tu robi... tworzy człowieka z gliny.

Zerknęła na mnie, oczekując potwierdzenia. Prawda była jednak taka, że ja sam zapomniałem o tej opowieści. Sadie i ja teoretycznie byliśmy nauczycielami, ale Jaz często zapamiętywała więcej szczegółów niż ja.

– Aha, świetnie – powiedziałem. – Człowiek z gliny. Zgadza się.

Sadie zmarszczyła brwi, patrząc na baranią głowę Chnuma.

– Wygląda trochę jak z tej starej kreskówki... Łoś Superktoś czy jakoś tak? Mógłby być bogiem łośi.

– On nie jest bogiem łośi – zaprotestowałem.

– Ale skoro potrzebujemy Księgi Ra – oznajmiła – a Ra jest bogiem słońca,

to czemu szukamy jakiegoś losia?

Sadie bywa irytująca, wspomniałem już o tym?

– Chnum jest jednym z aspektów słonecznego boga – powiedziałem. – Ra miał trzy różne osobowości. Rano był Cheprim, skarabeuszem, w ciągu dnia samym Ra, a o zachodzie słońca, kiedy udawał się do podziemia, stawał się Chnumem, bogiem o baraniej głowie.

– Strasznie to skomplikowane – skomentowała Jaz.

– Wcale nie – odparowała Sadie. – Carter też ma różne osobowości. Rano jest zombie, po południu ślimakiem, a...

– Sadie – przerwałem jej – zamknij się.

Walt podrapał się po podbródku.

– Sadie ma chyba rację. To jest łoś.

– Dziękuję – odpowiedziała Sadie.

Walt posłał jej posepny uśmiech, ale wciąż był zamyślony, jakby coś go niepokoiło. Zauważyłem, że Jaz przygląda mu się z troską, i zastanawiałem się, o czym oni wcześniej rozmawiali.

– Wystarczy o tym losiu – oznajmiłem. – Musimy przetransportować ten posąg do Domu. On zawiera jakąś wskazówkę...

– A jak ją znajdziemy? – zapytał Walt. – Poza tym wciąż nie powiedziałeś nam, dlaczego tak bardzo potrzebujemy tej Księgi Ra?

Zawahałem się. Wielu rzeczy nie powiedziałem naszym rekrutom, nawet Waltowi i Jaz... na przykład, że za pięć dni może być koniec świata. Taka wiedza może zniechęcić do nauki.

– Wyjaśnię to, kiedy wrócimy – obiecałem. – Na razie wymyślmy, jak przenieść ten posąg.

Jaz ściągnęła brwi.

– Chyba nie zmieści się w mojej torebce.

– Ja nie widzę problemu – stwierdziła Sadie. – Po prostu rzucimy zaklęcie lewitacyjne na posąg, zrobimy coś, co odwróci uwagę ludzi i wyciągnie ich z sali balowej...

– Zaczekaj. – Walt nachylił się i przyjrzał małej ludzkiej figurce. Człowieczek uśmiechał się, jakby bycie stworzonym z gliny było super zabawne. – On ma amulet. Skarabeusza.

– To często spotykany symbol – odparłem.

– No... – Walt zaczął przeszukiwać własną kolekcję amuletów. – Ale skarabeusz to symbol odrodzenia Ra, zgadza się? A ten posąg przedstawia

Chnuma stwarzającego nowe życie. Może nie potrzebujemy całego posagu? Może tą wskazówką jest...

– Ach! – Sadie wyciągnęła różdżkę. – Znakomicie.

Miałem powiedzieć: „Sadie, nie!”, ale nic by to nie dało. Sadie nigdy mnie nie słucha.

Dotknęła różdżką amuletu człowieczka. Dłonie Chnuma rozbłysły. Głowa mniejszej figurki rozsunęła się, dzieląc się na cztery części jak pokrywa silosu raketowego – i teraz z szyi posążku wystawał pożółkły zwój papirusu.

– *Voilà* – powiedziała z dumą Sadie.

Wsunęła różdżkę z powrotem do torby i chwyciła zwój w chwili, kiedy krzyknąłem: – Może być zaklęty!

Jak już mówiłem, ona nigdy nie słucha.

Kiedy tylko wyciągnęła zwój z posążku, cała sala zatrzęsa się w posadach. W szybach gablot pojawiły się pęknięcia.

Sadie krzyknęła, kiedy trzymany przez nią w ręce zwój wybuchnął płomieniem. Ogień najwyraźniej nie spalił papirusu ani też nie poparzył Sadie, ale kiedy usiłowała go ugasić, białe widmowe płomyki przeskoczyły na najbliższą gablotę i popędziły po sali, jakby ktoś rozlał tam benzynę. Ogień dotknął okien i na szkle zapłonęły białe hieroglify, uruchamiając zapewne milion zabezpieczeń i zaklęć. Następnie upiorny ogień zafalował wokół wielkiego fryzu przy wejściu do sali. Kamienna płyta zadrżała. Nie widziałem płaskorzeźb znajdujących się po drugiej stronie, ale usłyszałem chrapliwy krzyk – jakby wydała go wielka, bardzo rozzłoszczona papuga.

Walt zdjął laskę z pleców. Sadie wymachiwała płonącym zwojem, jakby przyrósł jej do ręki.

– Zdejmijcie to ze mnie! To nie moja wina!

– Eee... – Jaz wyciągnęła różdżkę. – Co to za dźwięk?

Serce zamarło mi w piersi.

– Obawiam się – odparłem – że Sadie właśnie wyprodukowała coś, co odwróci uwagę.

2. Jak oswoić gigantycznego kolibra

Kilka miesięcy temu wszystko wyglądałoby inaczej. Sadie wypowiedziałaby jedno słowo, powodując eksplozję na miarę wielkiej bomby. Ja zamknąłbym się w magicznym awatarze bitewnym i prawie nic nie byłoby w stanie mnie pokonać.

Ale wtedy byliśmy w pełni zjednoczeni z bogami – ja z Horusem, Sadie z Izydą. Zrezygnowaliśmy z tej mocy po prostu dlatego, że okazała się zbyt niebezpieczna. Dopóki nie zdołamy lepiej opanować naszych własnych zdolności, dzielenie się ludzką postacią z egipskimi bogami mogło nas doprowadzić do szaleństwa albo dosłownie spalić.

Teraz dysponowaliśmy tylko naszą ograniczoną magią. Przez to było nam trudniej robić rzeczy naprawdę ważne – na przykład przetrwać, kiedy jakiś potwór ożywał i postanawiał nas zabić.

Gryf pojawił się przed nami. Był dwa razy większy od zwykłego lwa, a jego czerwonozłote futro pokrywał wapienny pył. Ogon miał nabijany ostrymi piórami, przypominającymi ostre sztylety z twardej stali. Jednym machnięciem łapą rozkruszył na pył kamienny blok, z którego się wydostał. Jego szczeciniaste skrzydła sterczały teraz pionowo nad grzbietem. Kiedy gryf się poruszył, zatrzepotał nimi tak szybko, że rozmazały się w powietrzu i zafurkotały niczym skrzydła największego i najbardziej niebezpiecznego kolibra na świecie.

Gryf utkwiał wygłodniały wzrok w Sadie. Jej dłoń i trzymany w niej zwój otaczały wciąż białe płomienie, ale potwór najwidoczniej postanowił przyjąć wyzwanie. Słyszałem wielokrotnie krzyki sokołów – no, bywało się sokołem raz czy dwa – ale kiedy to coś rozwarło dziób, wydobyło z siebie skrzek, który wstrząsnął oknami i przyprowadził mnie o gęsią skórkę na całym ciele.

– Sadie – powiedziałem – puszczaj zwój.

– A niby jak? Przyrósł mi do ręki! – zaprotestowała. – Poza tym płonę! Nie zauważyłeś?

Teraz widmowym ogniem płonęły okna i zabytki. Zwój jakby uruchomił wszystkie zasoby egipskiej magii w tej sali, a ja byłem pewny, że to niedobrze. Walt i Jaz stali jak zamurovani. Nie mogłem mieć do nich pretensji. To był pierwszy prawdziwy potwór, jakiego widzieli na oczy.

Gryf zrobił krok w kierunku mojej siostry.

Stałem ramię w ramię z Sadie, wykonałem więc jedyną magiczną sztuczkę, jaka mi jeszcze pozostała. Sięgnąłem w głąb Duat i wyciągnąłem stamtąd – niczym z powietrza – mój miecz, egipski *chepesz* o bardzo ostrej, zakrzywionej klindze.

Sadie wyglądała nieco głupkowato, machając płonącym zwojem – jak rozentuzjzmowana Statua Wolności – ale wolną ręką zdołała przywołać swoją główną broń – dwumetrową laskę rzeźbioną w hieroglify.

– Jakies rady przed walką z gryfami? – zapytała.

– Uważaj na ostre pazury? – zaproponowałem.

– Brawo. Dzięki.

– Walt – zawołałem. – Sprawdź okna. Zobacz, czy dasz radę je otworzyć.

– A-ale one są zakłete.

– Są – przyznałem. – Za to jeśli spróbujemy wydostać się przez salę balową, gryf nas pożre, zanim się tam dostaniemy.

– Sprawdź okna.

– Jaz – powiedziałem – pomóż Waltowi.

– Te znaki na szkle – wymamrotała Jaz. – Ja... ja je już gdzieś widziałam...

– Rusz się! – rozkazałem.

Gryf zaatakował, a jego skrzydła zgrzytały niczym piła łańcuchowa. Rzucona przez Sadie laska w locie zmieniła się w tygrysa, który skoczył na gryfa z wysuniętymi pazurami.

Nie zrobiło to specjalnego wrażenia na potworze. Odrzucił tygrysa na bok, po czym dopadł go z nienaturalną prędkością, otwierając dziób niemożliwie szeroko. CHAP. Gryf przełknął, beknął i było po tygrysie.

– To była moja ulubiona laska! – krzyknęła Sadie.

Gryf zwrócił wzrok na mnie.

Trzymałem miecz mocno. Ostrze zaczęło połyskiwać. Żałowałem, że w moich myślach nie odezwie się Horus, zachęcając do ataku. Noszenie w głowie osobistego boga wojny ułatwia głupią brawurę.

– Walt! – zawołałem. – Jak ci idzie z tym oknem?

– Staram się – odparł.

– Za-zaczekaj – powiedziała nerwowo Jaz. – To są znaki Sachmet. Walt, nie!

W tej samej chwili wydarzyło się kilka rzeczy. Walt otworzył okno i uderzyła w niego rycząca fala białego ognia, przewracając go na podłogę.

Jaz podbiegła do Walta. Gryf natychmiast przestał się mną interesować. Jak

każdy drapieżnik skupił się na ruchomym celu – Jaz – i rzucił się na nią.

Skoczyłem za nim. Ale on, zamiast rozerwać na strzępy naszych kumpli, wyskoczył ponad nimi i uderzył w okno. Jaz odciągnęła Walta z drogi, a gryf tymczasem szalał, uderzając i dziobiąc białe płomienie.

Usiłował *atakować* ogień. Kłapał paszczą w powietrzu, obrócił się, przewracając gablotę z uszebti, rozbił ogonem na kawałki cały sarkofag.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale wrzasnąłem: – Przestań!

Gryf zamarł. Obrócił się ku mnie, kracząc z poirytowaniem. Zaslona białego ognia umknęła i skupiła się w kącie, jakby robiąc przegrupowanie. Nagle zauważyłem kolejne zbierające się płomienie, tworzące ogniste kształty nieco przypominające ludzi. Jeden z nich spojrzał prosto na mnie, a ja wyczułem niewątpliwie złowrogą aurę.

– Odwróć jego uwagę, Carter. – Sadie najwyraźniej nie zauważyła ognistych kształtów. Ze wzrokiem wciąż utkwionym w gryfie zaczęła wyciągać z kieszeni magiczny sznurek. – Jeśli uda mi się podejść dostatecznie blisko...

– Sadie, zaczekaj. – Usiłowałem objąć umysłem, co się działo. Walt leżał na plecach, wstrząsany drgawkami. Oczy płonęły mu biało, jakby ogień dostał się do jego wnętrza. Jaz klęczała nad nim, mamrocząc zaklęcie lecznicze.

– *KRAAAA!* – Gryf zakrakał żałośnie, jakby prosił o pozwolenie... jakby mimo wszystko podporządkowywał się mojemu rozkazowi, który wcale mu się nie podobał.

Ogniste kształty stawały się coraz jaśniejsze i bardziej konkretne. Naliczyłem siedem lśniących postaci, którym powoli kształtowały się ręce i nogi.

Siedem postaci... Jaz mówiła coś o symbolach Sachmet. Poczułem ogarniające mnie przerażenie, kiedy uświadomiłem sobie, czym było zaklęcie strzegące muzeum. Uwolnienie gryfa było przypadkiem. To nie on stanowił prawdziwy problem.

Sadie rzuciła sznurkiem.

– Czeka! – wrzasnąłem, ale za późno. Magiczny sznurek przeciął powietrze, rozciągając się i pędząc w kierunku gryfa.

Stwór pisnął mało elegancko i rzucił się za ognistymi postaciami. Płomieniste potwory rozpierzchły się i rozpoczęła się gra w totalne unicestwienie.

Gryf szalał po sali z szumem skrzydeł. Gabloty roztrzaskiwały się, alarmy śmiertelników wyły, ja darłem się na gryfa, żeby przestał, ale tym razem nic to nie dało.

Kątem oka zobaczyłem, że Jaz omdlewa, być może z wysiłku

spowodowanego leczeniem.

– Sadie! – krzyknąłem. – Pomóż jej!

Sadie podbiegła do Jaz, ja gonilem gryfa. Musiałem wyglądać idiotycznie w czarnej pizamie i z błyszczącym mieczem w ręku, potykając się o porozbijane zabytki i wywrzaskując rozkazy w kierunku ogromnego kolibra skrzyżowanego z kotem.

Kiedy uznałem, że gorzej już być nie może, w drzwiach pojawiło się z pół tuzina weselnych gości, chcących sprawdzić, co to za hałasy. Wszystkim opadły szczęki. Kobieta w brzoskwiniowej sukni zaczęła wrzeszczeć.

Siedem potworów z białego ognia rzuciło się w kierunku nowo przybyłych, którzy natychmiast zemdleli. Ogniki nie zatrzymały się, ale przemknęły przez drzwi w kierunku sali balowej. Gryf poleciał za nimi.

Zerknąłem na Sadie, która klęczała nad Jaz i Waltem.

– Co z nimi?

– Walt dochodzi do siebie – powiedziała – ale Jaz jest nieprzytomna.

– Chodź za mną, jeśli dasz radę. Myślę, że wiem, jak powstrzymać gryfa.

– Zwariowałeś, Carter? Nasi przyjaciele są ranni, a ja mam płonący zwój przyczepiony do ręki. Okno jest otwarte. Pomóż mi wydostać stąd Jaz i Walta!

Miała rację. To mogła być jedyna szansa, żeby wydostać naszych kumpli żywych. Wiedziałem już jednak, czym są te białe płomienie, i wiedziałem, że jeśli za nimi nie pobiegnę, mnóstwu niewinnych ludzi może stać się krzywda.

Rzuciłem egipskie przekleństwo – to znaczy stek obelg, a nie klątwę – i pognałem w kierunku przyjęcia weselnego.

W sali balowej panował chaos. Goście rozpiierzchli się na wszystkie strony, wrzeszcząc i przewracając stoły. Facet w smokingu upadł na tort i pełzał teraz po podłodze z plastikową parą młodą przyczepioną do spodni. Jeden z muzyków usiłował uciec ze stopą zablokowaną w bębnie.

Białe płomienie były teraz na tyle cielesne, że widać było ich kształt: coś pomiędzy psem a człowiekiem, z wydłużonymi rękami i krzywymi nogami. Pędzące przez salę i okrążające kolumny wokół parkietu potwory świeciły niczym przegrzany gaz. Jeden przemknął przez druhnę. Oczy kobiety stały się mlecznobiałe, a ona sama upadła na podłogę, trzęsąc się i kaszląc.

Też miałem ochotę zwinąć się w kłębek. Nie znałem żadnych zaklęć przeciw tym istotom, gdyby któraś z nich mnie dotknęła...

Nagle gryf zanurkował nie wiadomo skąd, a za nim ciągnął się magiczny sznurek Sadie, wciąż usiłując go spętać. Gryf kłapnął dziobem na jedno

z ogniowych stworzeń i poleciał dalej. Z jego nozdrzy wydobyły się kłęby dymu, ale poza tym spożycie białego ognia najwyraźniej mu nie zaszkodziło.

– Hej! – wrzasnąłem.

Za późno zdałem sobie sprawę, że to był błąd.

Gryf odwrócił się do mnie, co spowolniło go na tyle, żeby sznur Sadie owinał się wokół jego tylnych łap.

– *WIIIIUUUU!* – Gryf runął na stół z przekąskami. Sznur wydłużył się, owijając się wokół ciała potwora, podczas gdy jego wysokoobrotowe skrzydła szatkowały stół, podłogę i tace z kanapkami niczym piła tarczowa, która wymknęła się spod kontroli.

Goście weselni uciekali z sali balowej. Większość biegła w kierunku wind, ale dziesiątki leżały nieprzytomne, wstrząsane drgawkami, z błyszczącymi białymi oczami. Innych przysypały sterty gruzu. Alarmy wyły, a białe płomienie – teraz w liczbie sześciu – wciąż były nie do opanowania.

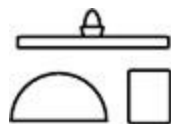
Podbiegłem do gryfa, który tarzał się po ziemi, nadaremno usiłując przegryźć sznur.

– Uspokój się! – krzyknąłem. – Daj mi pomoc, głupku!

– *ŚWIIIIIR!* – Gryf wywinął ogonem nad moją głowę, a ja cudem uniknąłem dekapitacji.

Wzięłem głęboki wdech. Jestem przede wszystkim magiem bitewnym. Nigdy nie radziłem sobie dobrze z zaklęciami hieroglificznymi, ale wycelowałem miecz w potwora i powiedziałem: – *Hetep*.

Zielony hieroglif – oznaczający „bądź w pokój” – zapłonął w powietrzu, tuż przed czubkiem głowni:



Gryf przestał się rzucać. Szum jego skrzydeł zwolnił. Chaos i krzyki wciąż wypełniały salę, ale ja starałem się zachować jak największy spokój, kiedy zbliżałem się do stworzenia.

– Poznajesz mnie, prawda? – Wyciągnąłem rękę i kolejny symbol rozbłysł nad moją dłońią – ten, który zawsze potrafię przywołać, Oko Horusa:



– Jesteś świętym zwierzęciem Horusa, prawda? Dlatego mnie słuchasz.

Gryf zamrugał oczami na widok znaku boga wojny. Potargał sobie pióra na karku i pisnął żałośnie, wykręcając ciało pod sznurem, który powoli zaciskał się wokół niego.

– Tak, wiem – powiedziałem. – Moja siostra to łajza. Zaczekaj. Rozwiążę cię. Gdzieś za mną rozległ się krzyk Sadie: – Carter!

Odwróciłem się i zobaczyłem, że zmierzają ku mnie wraz z Waltem, niosąc między sobą Jaz. Sadie wciąż przypominała Statuę Wolności, unosząc w ręce płonący zwój. Walt pewnie stał na nogach, a jego oczy już nie błyszczały, ale ciało Jaz było bezwładne, jakby wszystkie jej kości zamieniły się w galarete.

Uchylili się przed zderzeniem z ognistym duchem i paroma oszalałymi gośćmi weselnymi i jakoś przepchali się na drugi koniec sali balowej.

Walt wpatrywał się w gryfa.

– Jak zdołałeś go uspokoić?

– Gryfy są sługami Horusa – wyjaśniłem. – Ciągnęły jego rydwan do bitwy. Myślę, że rozpoznał mój związek z Horusem.

Gryf krzyknął niecierpliwie i poruszył ogonem, przewracając kamienną kolumnę.

– Niespecjalnie go uspokoiłeś – zauważyła Sadie. Zerknęła w górę na szklaną kopułę znajdującą się dziesięć metrów nad nami, gdzie maleńka postać Chufu machała do nas rozpaczliwie. – Musimy natychmiast zabrać stąd Jaz – oznajmiła.

– Nic mi nie jest – wymamrotała Jaz.

– Owszem, jest – odparł Walt. – Carter, ona przejęła tego ducha ode mnie, ale to ją prawie zabiło. To jakieś demony choroby...

– *Bau* – powiedziałem. – Złe duchy. Te siedem to...

– Strzały Sachmet – dokończyła Jaz, potwierdzając moje obawy. – Duchy zarazy, narodzone z bogini. Muszę je powstrzymać.

– Musisz odpocząć – odparła Sadie.

– Dobra – oznajmiłem. – Sadie, zdejmij z gryfa więzy i...

– Nie mamy czasu – zauważyła Jaz. *Bau* stawały się coraz większe i jaśniejsze. Kolejni weselnicy przewracali się, podczas gdy duchy szalały po sali bez przeszkód.

– Oni poumierają, jeśli nie powstrzymam *bau* – ciągnęła Jaz. – Potrafię skoncentrować moc Sachmet i zmusić je do powrotu do Duat. Tego się przecież uczyłam.

Zawahałam się. Jaz nigdy nie próbowała rzucić tak potężnego zaklęcia. Była już osłabiona po leczeniu Walta. Ale rzeczywiście, uczyła się właśnie tego. Może się wydawać dziwne, że lekarze uczą się ścieżki Sachmet, ale ponieważ Sachmet jest boginią zniszczenia, zarazy i głodu, dobrze, żeby uzdrowiciele potrafili kontrolować jej moc – włącznie z *bau*.

A poza tym gdybym nawet zdołał oswobodzić gryfa, nie miałem pewności, czy potrafię go kontrolować. Istniało pewne ryzyko, że w podekscytowaniu postanowi schrupać nas zamiast duchów.

Na zewnątrz słychać było zbliżające się syreny policyjne. Mieliśmy mało czasu.

– Nie mamy wyboru – upierała się Jaz.

Wyciągnęła różdżkę i nagle – ku absolutnemu zdumieniu mojej siostry – pocałowała Walta w policzek.

– Wszystko będzie dobrze, Walt. Nie poddawaj się.

Jaz wyciągnęła coś jeszcze ze swojej magicznej torby – woskową figurkę – i wcisnęła ją w wolną dłoń mojej siostry.

– Wkrótce ci się to przyda, Sadie. Przykro mi, że nie jestem w stanie więcej wam pomóc. Kiedy nadejdzie czas, będziesz wiedziała, co zrobić.

Chyba nigdy nie widziałem, żeby Sadie do tego stopnia zamurowało.

Jaz pobiegła na środek sali i dotknęła różdżką podłogi, rysując wokół swoich stóp ochronny krąg. Z torby wyciągnęła małą statuetkę Sachmet, swojej bogini patronki, i uniosła ją w górę.

Zaczęła śpiewać. Wokół niej rozblęskło czerwone światło. Z magicznego kręgu wyrosły wici energii, wypełniając salę niczym gałęzie drzewa. Następnie zaczęły wirować, najpierw powoli, a potem przyspieszając, aż magiczny strumień pochwycił *bau*, zmuszając je, żeby popłynęły w tym samym kierunku, ciągnąc je na środek pomieszczenia. Duchy wyły, usiłując walczyć z zaklęciem. Jaz zachwiała się, ale nie przerywała śpiewu. Na jej twarzy pojawiły się kropelki potu.

– Możemy jej pomóc? – zapytał Walt.

– *KRAAAAA!* – krzyknął gryf, co chyba miało oznaczać: „Hej, ciągle tu jestem!”.

Wycie syren brzmiało tak, jakby policja była już przed budynkiem.

W korytarzu, w pobliżu wind, ktoś krzyczał przez megafon, ponaglając ostatnich gości do wyjścia z budynku – jakby potrzebowali jeszcze zachęty. Policja przyjechała, a gdybyśmy zostali aresztowani, ciężko byłoby nam się wytłumaczyć.

– Sadie – powiedziałem – przygotuj się do zdjęcia więzów z gryfa. Walt, nadal masz swój amulet łodzi?

– Mój...? Tak. Ale tu nie ma wody.

– Wezwij łódź! – Pogrzebałem w kieszeniach i znalazłem mój magiczny sznurek. Wypowiedziałem zaklęcie i nagle trzymałem w ręce linę długości około sześciu metrów. Zawiązałem na jej środku luźną pętlę, coś w rodzaju ogromnego krawata, i ostrożnie podszedłem do gryfa.

– Tylko założę ci to na szyję – powiedziałem. – Nie bój się.

– ŚWIIIIIR! – odparł gryf.

Podszedłem bliżej, świadomy tego, jak bardzo szybko ten dziób mógłby mnie rozplatać, gdyby zechciał, ale udało mi się założyć uzdę na szyję gryfa.

W tej samej chwili stało się coś niedobrego. Czas spowolnił. Czerwone, wirujące wici zaklęcia Jaz poruszały się jak w mazi, jakby całe powietrze zmieniło się w syrop. Krzyki i wycie syren dobiegały teraz jakby z oddali.

– *Nie uda wam się* – syknął jakiś głos.

Obróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z *bau*.

Unosiło się w powietrzu kilkanaście centymetrów ode mnie, a jego ognisty biały kształt był niemalże wyraźny. Miałem wrażenie, że duch się uśmiecha, i mógłbym przysiąc, że widziałem już kiedyś jego twarz.

– *Chaos jest zbyt potężny, chłopcze* – odezwał się. – *Świat obraca się poza twoją kontrolą. Porzućcie swoją misję!*

– *Zamknij się* – mruknąłem, ale serce waliło mi jak młotem.

– *Nigdy jej nie odnajdziesz* – powiedział szyderczo duch. – *Śpi w Miejscu Czerwonych Piasków, ale umrze, jeśli nie porzucisz swojego bezsensownego zadania.*

Czułem się tak, jakby po moich plecach pełzała tarantula. Ten duch mówił o Ziyi Rashid – prawdziwej Ziyi, której szukałem od świąt.

– *Nie* – odparłem. – *Jesteś demonem, kłamcą.*

– *Dobrze wiesz, kim jestem, chłopcze. Spotkaliśmy się już.*

– *Zamknij się!* – Duch zasyczał, kiedy wezwałem Oko Horusa. Czas przyspieszył. Czerwone wici zaklęcia Jaz owinęły się wokół wrzeszczącego *bau* i wciągnęły je w wir.

Nikt najwyraźniej nie zauważył tego, co się stało.

Sadie broniła się, uderzając w *bau* płonącym zwojem, ilekroć się przybliżyły. Walt położył na podłodze swój amulet łodzi i wypowiedział rozkaz. W ciągu kilku sekund amulet rozrósł się – jak te zabawki z gąbki zwiększającej objętość w wodzie – w pełnowymiarową egipską trzcinową łódź, leżącą wśród pozostałości stołu z przekąskami.

Drżącymi dłońmi ująłem dwa końce nowego krawata gryfa i przywiązałem jeden z nich do dziobu, a drugi do rufy łodzi.

– Carter, uważaj! – krzyknęła Sadie.

Obróciłem się na czas, żeby ujrzeć rozbłysk oślepiającego czerwonego światła. Cały wir zapadł się, zasysając wszystkie sześć *bau* do kręgu utworzonego przez Jaz. Światła zgasły. Jaz zemdląła, a różdżka i posążek Sachmet rozpadły się w pył w jej rękach.

Podbiegliśmy do niej. Jej ubranie parowało. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy oddycha.

– Połóżcie ją w łodzi – powiedziałem. – Musimy się stąd wydostać.

Usłyszałem ciche powarkiwanie wysoko nad nami. Chufu otworzył kopułę. Wymachiwał gwałtownie rękami, a nad nim reflektory omiatały niebo. Muzeum było już pewnie otoczone przez wszystkie możliwe służby ratunkowe.

W sali balowej dotknięci klątwą goście zaczynali odzyskiwać przytomność. Jaz ich uratowała, ale za jaką cenę? Zanieśliśmy ją do łodzi i wsiedliśmy na pokład.

– Trzymajcie się mocno – ostrzegłem. – To się chwieje. Jeśli się przechyli...

– Hej! – odezwał się głęboki męski głos za nami. – Co wy... Hej! Stać!

– Sadie, sznur, już! – zawołałem.

Pstryknęła palcami i sznur pętający gryfa rozpląnął się.

– LEĆ! – krzyknąłem. – W GÓRĘ!

– ŚWIIIIIR! – Gryf rozłożył skrzydła. Skoczyliśmy w powietrze; łódź kołysała się wściekle, ale poleciała prosto w otwartą kopułę. Gryf ledwie zauważył dodatkowy ciężar. Leciał tak szybko, że Chufu musiał się postarać, żeby wskoczyć na pokład. Wciągnąłem go i wszyscy trzymaliśmy się rozpaczliwie burt, usiłując nie wypaść.

– *Agh!* – poskarżył się Chufu.

– Aha – potaknąłem. – I tyle, jeśli chodzi o łatwe zadania.

Ale przecież jesteśmy rodziną Kane'ów. To był najłatwiejszy dzień z tych, które nas czekały w najbliższym czasie.

Nasz gryf jakoś wiedział, dokąd lecieć. Krzyknął tryumfalnie i wzbił się w zimne i wilgotne nocne powietrze. Kiedy zbliżaliśmy się do domu, zwój w ręce Sadie zapłonął jaśniej. Spojrzałem w dół i dostrzegłem widmowe białe ogniki jaśniejące nad wszystkimi dachami na Brooklynie.

Zaczynałem się zastanawiać, co dokładnie ukradliśmy – czy to w ogóle był właściwy przedmiot, czy też tylko dołożyliśmy sobie kłopotów. Tak czy siak, miałem wrażenie, że w końcu udało nam się skusić los.

3. Lodziarz knuje naszą zgubę

Zabawne, jak szybko da się zapomnieć o płonącej ręce. Och, przepraszam, mówi Sadie. Nie sądziliście chyba, że pozwolę bratu gadać w nieskończoność, prawda? Proszę, na takie przekleństwo nikt nie zasłużył.

Wróciliśmy do Domu Brooklyńskiego i wszyscy zgromadzili się wokół mnie, ponieważ moja dłoń była przyrośnięta do płonącego zwoju.

– Nic mi nie jest! – powtarzałam. – Zajmijcie się Jaz!

Co prawda nie mam nic przeciwko odrobinie uwagi od czasu do czasu, ale tym razem to nie ze mną działy się najciekawsze rzeczy. Wylądowaliśmy na dachu rezydencji, która sama w sobie jest dziwaczną atrakcją – pięciopiętrowy sześcian z wapienia i stali, niczym pomieszczenie egipskiej świątyni z galerią sztuki, usadowione na szczycie opuszczonego magazynu na brooklyńskim nabrzeżu. Nie mówiąc już o tym, że budynek emanuje magią i jest niewidoczny dla zwykłych śmiertelników.

Pod nami cały Brooklyn płonął. Mój irytujący magiczny zwój wymalował pas widmowych płomyków nad całą dzielnicą, kiedy lecieliśmy z muzeum. Nic tak naprawdę się nie paliło, a ogień nie był gorący, ale mimo to spowodowaliśmy niezłą panikę. Syreny wyły. Ludzie tłoczyli się na ulicach, gapiąc się na płonące dachy. Helikoptery rzucały na wszystko snopy światła.

Jakby tego było mało, mój brat walczył z gryfem, usiłując odzepić od jego szyi łódź rybacką i powstrzymać bestię od pożarcia naszych uczniów.

Do tego wszystkiego jeszcze Jaz, prawdziwe źródło naszego zmartwienia. Przekonaliśmy się, że oddycha, ale najwyraźniej była w jakiejś śpiączce. Kiedy otwarliśmy jej oczy, błyszczały na białą – zdecydowanie zły znak.

Podczas podróży łodzią Chufu wypróbował na niej swoje słynne pawianie sztuczki magiczne: gładził ją po czole, wydawał nieuprzejme odgłosy i usiłował napchać jej żelek do ust. Z pewnością był przekonany, że pomaga, ale w żaden sposób nie poprawiało to jej stanu.

Potem zajął się nią Walt. Podniósł ją delikatnie i położył na noszach, przykrywając kocami i gładząc ją po włosach, podczas gdy pozostali uczniowie zgromadzili się wokół nas. I to było w porządku. Absolutnie w porządku.

Wcale nie obchodziło mnie, jak bardzo przystojnie wyglądał w świetle księżycy, jak wspaniale rysowały się jego mięśnie w tym podkoszulku bez rękawów, ani też to, że trzymał Jaz za rękę, ani...

Przepraszam. Co ja to mówiłam?

Usiadłam w kącie dachu, czując się kompletnie wyczerpana. Prawa ręka swędziała od długiego trzymania papierusa. Magiczne płomyki łaskotały mnie w palce. Pomacałam lewą ręką w kieszeni i wyciągnęłam małą woskową figurkę, którą dostałam od Jaz. Była to jedna z jej leczniczych figurek, używanych do wyganiania chorób i klątw. Zazwyczaj woskowe figurki nie są do nikogo bardzo podobne, ale tym razem Jaz się postarała. Ta laleczka miała za zadanie wyleczyć konkretnego człowieka, co oznaczało, że pewnie zawierała więcej mocy i była chowana na wypadek decydujący o życiu lub śmierci. Patrzyłam na kręcone włosy, rysy twarzy, na miecz trzymany w ręce. Jaz nawet wypisała na piersi figurki hieroglifami imię CARTER.

„Wkrótce ci się to przyda”, powiedziała mi.

O ile wiedziałam, Jaz nie była wróżbitką. Nie potrafiła przepowiadać przyszłości. Co zatem miała na myśli? Skąd miałam wiedzieć, kiedy użyć tej figurki? Wpatrując się w miniaturowego Cartera, miałam straszliwe wrażenie, że życie mojego brata dosłownie jest w moich rękach.

– Dobrze się czujesz? – odezwał się kobiecy głos.

Szybko schowałam figurkę.

Koło mnie stała moja przyjaciółka Bastet. Jej półuśmiech i błysk w złotych oczach mogły oznaczać równie dobrze niepokój jak rozbawienie. Trudno powiedzieć w przypadku bogini kotki. Czarne włosy miała związane w koński ogon. Ubrana była w swoje ulubione trykoty w lamparcie cętki, jakby właśnie miała wykonać salto. Nie zdziwiłabym się, gdyby to zrobiła. Jak już mówiłam, z kotami nigdy nic nie wiadomo.

– Wszystko okej – skłamałam. – Ja tylko... – Machnęłam bezradnie płonąca ręką.

– Hmm. – Bastet sprawiała wrażenie zaniepokojonej obecnością zwoju. – Zobaczmy, co da się z tym zrobić.

Przyklękła obok mnie i zaczęła śpiewać zaklęcie.

Rozmyślałam o tym, jakie to zabawne, że dawne domowe zwierzątko rzuca czary. Bastet przez kilka lat udawała moją kotkę, Muffinkę. Nie miałam pojęcia, że na mojej poduszce sypia bogini. A kiedy nasz tato uwolnił całą grupę bogów w Muzeum Brytyjskim, Bastet się ujawniła.

Opowiedziała, że pilnowała mnie przez sześć lat, od kiedy nasi rodzice uwolnili ją z więzienia w Duat, dokąd została zesłana, żeby przez wieczność walczyć z wężem chaosu, Apopisem.

To długa opowieść – dość, że moja mama przewidziała ucieczkę Apopisa z więzienia, co zasadniczo oznaczało Sądną Dzień. Gdyby Bastet miała z nim dalej walczyć samotnie, zostałaby unicestwiona. Uwolniona miała, zdaniem mojej mamy, odegrać ważną rolę w nadchodzącej bitwie z chaosem. Dlatego moi rodzice uwolnili ją, zanim Apopis zdołał ją pokonać. Mama umarła przy otwieraniu, a następnie natychmiastowym zamykaniu więzienia Apopisa, no więc Bastet poczuła się dłużna wobec naszych rodziców. I została moją strażniczką.

Teraz była naszą opiekunką, towarzyszką podróży, a czasem również osobistą kucharką (dobra rada: jeśli zaproponuje coś, co się nazywa Przymak Dnia, odmówcie).

Ja jednak wciąż tęsknię za Muffinką. Czasami z trudem powstrzymuję chęć podrapania Bastet za uchem i karmienia jej chrupkami, ale cieszę się, że nie usiłuje już spać na mojej poduszce. To byłoby dość dziwne.

Bogini zakończyła śpiew i zwój zgasł. Moje palce się rozluźniły. Papirus spadł mi na kolana.

– Boże, dzięki – westchnęłam.

– Bogini – poprawiła mnie Bastet. – Do usług. Nie możemy pozwolić, żeby moc Ra oświetlała miasto, prawda?

Spojrzałam na domy dzielnicy. Ogniki zgasły. Brooklyn wrócił do nocnej normy, jeśli nie liczyć świateł służb ratunkowych i tłumu krzyczących śmiertelników na ulicach. Jak o tym myślę, wydaje mi się, że było to całkiem normalne.

– Moc Ra? – zapytałam. – Myślałam, że ten zwój to tylko wskazówka. To jest naprawdę Księga Ra?

Koński ogon Bastet najeżył się, jak zawsze, kiedy jest zdenerwowana. Uświadomiłam sobie, że nosi upięte włosy, żeby uniknąć tego, że cała jej głowa zmienia się w ukwiał, kiedy tylko coś ją zaskoczy.

– Ten zwój to... część księgi – odparła. – Poza tym ostrzegałam was. Mocy Ra praktycznie nie da się kontrolować. Jeśli upieracie się przy tym, żeby go przebudzić, następne ognie, które rozpalicie, mogą nie być tak nieszkodliwe.

– A czy on nie jest waszym faraonem? – zapytałam. – Nie chcecie go obudzić?

Spuściła wzrok. Uzmysłowiłam sobie, jak głupie było to pytanie. Ra był

panem i władcą Bastet. Tysiące lat temu wybrał ją na swojego wojownika. Ale to również on zesłał ją do więzienia, żeby przez wieczność zajmowała jego arcywroga Apopisa – po to, by Ra mógł zachować czyste sumienie. Gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, powiedziałabym, że to dość samolubne.

Dzięki moim rodzicom Bastet uciekła z więzienia, ale to oznaczało również, że opuściła posterunek walki z Apopisem. Nic dziwnego, że miała mieszane uczucia, jeśli chodzi o spotkanie z dawnym szefem.

– Lepiej porozmawiajmy rano – powiedziała. – Musicie odpocząć, a ten zwój należy otwierać wyłącznie za dnia, kiedy łatwiej jest kontrolować moc Ra.

Spojrzałam na moje kolana. Papirus nadal parował.

– Łatwiej kontrolować... To znaczy, że tym razem nie stanę w płomieniach?

– Można go teraz bezpiecznie dotykać – zapewniła mnie Bastet. – Po tysiącletnich ukrycia w ciemności był po prostu bardzo czuły – zareagowałby na każdą energię: magiczną, elektryczną, emocjonalną. A ja, no, zmniejszyłam tę czułość, żeby nie wybuchnął znów płomieniem.

Wzięłam zwój do ręki. Na szczęście Bastet miała rację. Nie przykleił się do mnie ani nie spowodował pożaru miasta.

Bastet pomogła mi wstać.

– Wyśpij się. Powiem Carterowi, że u ciebie wszystko w porządku. Poza tym... – Wysiliła się na uśmiech. – Jutro twój wielki dzień.

Prawda – pomyślałam żałośnie. – *Jedna osoba pamięta i jest to mój kot.*

Zerknęłam w stronę mojego brata, który wciąż usiłował okiełznać gryfa. Stwór trzymał w dziobie sznurówki Cartera i najwyraźniej nie zamierzał ich puszczać.

Większość z dwudziestki naszych uczniów otaczała Jaz, usiłując ją obudzić. Walt nie odstępował jej ani na krok. Zerknął na mnie szybko, niepewnie, po czym z powrotem zajął się Jaz.

– Może miałaś rację – mruknęłam do Bastet. – Nikt mnie tu nie potrzebuje.

Mój pokój doskonale nadawał się na czas złych humorów. Przez ostatnie sześć lat mieszkałam na piętorku domu dziadków w Londynie i chociaż tęskniłam za dawnym życiem, za koleżankami Liz i Emmą i wszystkim, co brytyjskie, nie mogłabym zaprzeczyć, że pokój na Brooklynie był znacznie elegantszy.

Balkon wychodził na East River. W pokoju było ogromne, wygodne łóżko, własna łazienka i garderoba z nieskończoną liczbą ubrań, które magicznie pojawiały się i czyściły wedle potrzeb. W komodzie mieściła się lodówka

z moimi ulubionymi napojami sprowadzanymi z Anglii oraz miętówkami w czekoladzie (coś się dziewczynie należy). Do tego sprzęt muzyczny najnowszej generacji i ściany do tego stopnia dźwiękoszczelne, że mogłam puszczać muzykę na pełny regulator, nie przejmując się moim bratem sztywniakiem za ścianą. Na komodzie stała jedyna rzecz, którą przywiozłam z londyńskiego pokoju: stary magnetofon, który dostałam lata temu od dziadków. Żałośnie staroświecki, to prawda, ale zatrzymałam go z powodów sentymentalnych. To na nim nagraliśmy z Carterem nasze przygody z czerwoną piramidą.

Podłączyłam iPoda do głośników i przebiegłam przez playlisty. Wybrałam starą składankę, którą nazwałam DOŁUJĄCE, ponieważ właśnie tak się czułam.

Usłyszałam początek 19 Adele. Rany, nie słyszałam tej płyty od...

Nagle się rozkleiłam. Słuchałam tej składanki w tę Wigilię, kiedy tato i Carter zabrali mnie na wycieczkę do Muzeum Brytyjskiego – tego wieczora, kiedy nasze życie zmieniło się na zawsze.

Adele śpiewała, jakby ktoś wyrywał jej serce z piersi. O chłopaku, w którym się zakochała, zastanawiając się, co zrobić, żeby on też jej zapragnął. Czułam się totalnie bratnią duszą. Ale w ostatnie święta ta piosenka sprawiła, że myślałam też o mojej rodzinie: mamie, która umarła, kiedy byłam jeszcze całkiem mała, o ojcu i Carterze, którzy podróżowali razem po świecie i zostawili mnie w Londynie z dziadkami, jakby kompletnie nie potrzebowali mnie w swoim życiu.

Oczywiście wiedziałam, że to bardziej skomplikowane. Odbyła się paskudna sprawa sądowa z prawnikami i bitwą z użyciem chochelki, a tato chciał nas rozdzielić z Carterem, żebyśmy nie wzbudzali swojej magii, zanim nie nauczymy się kontrolować mocy. Oczywiście, od tego czasu staliśmy się wszyscy sobie bliżsi. Tato pojawił się znów w moim życiu na trochę, choć teraz jest bogiem podziemia. Co do mamy... cóż, spotkałam jej ducha. To chyba się liczy.

Mimo to muzyka przywodziła wspomnienia bólu i złości, które czułam w święta. Obawiam się, że nie pozbyłam się tych uczuć tak całkowicie, jak mi się wydawało.

Zawiesiłam palec nad ikonką przewijania do przodu, ale postanowiłam dać się tej piosence skończyć. Rzuciłam moje rzeczy na komodę: zwój papirusu, małego Cartera z wosku, magiczną torbę, różdżkę. Sięgnęłam po laskę, po czym przypomniałam sobie, że już jej nie mam. Zjadł ją gryf.

– Beznadziejny ptasi mózdzek – mruknęłam.

Zaczęłam się przebierać w piżamę. Wewnętrzną stronę drzwi garderoby miałam oklejona zdjęciami, głównie koleżanek i własnymi z ostatniego roku

szkolnego. Na jednym z nich Liz, Emma i ja robiłyśmy głupie miny w budce fotograficznej na Piccadilly. Wyglądałyśmy tak smarkato i śmiesznie.

Nie wierzyłam, że jutro mogę zobaczyć się z nimi po raz pierwszy od kilku miesięcy. Dziadkowie zaprosili mnie z wizytą, a ja zamierzałam pójść do miasta z kumpelami – w każdym razie taki był plan, zanim Carter wyjechał ze swoimi „pięcioma dniami na ocalenie świata”. Teraz nikt nie wiedział, co się wydarzy jutro.

Na drzwiach znajdowały się tylko dwa zdjęcia bez Liz i Emmy. Na jednym byliśmy my z wujkiem Amosem w tym dniu, kiedy on wyjechał do Egiptu na swoje... hm, jak nazwać wyjazd po to, żeby uleczyć się po nawiedzeniu przez złego boga? Chyba nie miał to być urlop.

Ostatnim obrazkiem był malunek przedstawiający Anubisa. Pewnie go widzieliście: facet z głową szakala, bóg pogrzebów, śmierci i tak dalej. Jest go pełno w sztuce egipskiej – prowadzi dusze zmarłych do Sali Sądu, klęczy przy kosmicznej wadze, waży serca przeciwko pióru prawdy. Dlaczego przyczepiłam tu ten obrazek?

[Dobra, Carter. Przyznam się do tego, jeśli dzięki temu się zamkniesz].

Zakochałam się przez chwilę w Anubisie. Wiem, że to brzmi śmiesznie: nowoczesna dziewczyna zadurzona w liczącym sobie pięć tysięcy lat chłopaku z psią głową, ale ja widziałam co innego, patrząc na ten obrazek. Pamiętałam Anubisa takiego, jakiego spotkałam w Nowym Orleanie – chłopaka w wieku mniej więcej szesnastu lat w czarnych dżinsach i czarnej skórzanej kurtce, z potarganymi czarnymi włosami i bosko smutnymi oczami w kolorze ciemnej czekolady. Nic z psiogłowca.

To nadal komiczne, wiem. On jest bogiem. Nie mamy z sobą nic wspólnego. Nie miałam od niego wieści od czasu przygód z czerwoną piramidą, ale nie powinno mnie to dziwić. Mimo że wydawało się, że on się mną interesuje, a może nawet zrobił kilka aluzji... Nie, z pewnością tylko to sobie wyobrażałam.

Przez ostatnie siedem tygodni, odkąd Walt Stone pojawił się w Domu Brooklyńskim, myślałam, że może uda mi się zapomnieć o Anubisie. Oczywiście, Walt był moim uczniem, więc nie powinnam myśleć o nim jako o potencjalnym chłopaku, ale byłam absolutnie przekonana, że coś między nami zaiskrzyło przy pierwszym spotkaniu. A teraz Walt jakby się wycofał. Zachowywał się tak tajemniczo, zawsze miał wyraz poczucia winy w oczach i gadał z Jaz.

Moje życie jest do bani.

Wyciągnęłam pizzę, a Adele śpiewała dalej. Czy wszystkie jej piosenki są o byciu niezauważaną przez chłopaków? Nagle uznałam, że to irytujące.

Wyłączyłam muzykę i opadłam na łóżko.

Niestety, kiedy tylko zasnęłam, noc przybrała jeszcze gorszy obrót.

W Domu Brooklyńskim sypia się z wszelkimi możliwymi zaklęciami magicznymi chroniącymi przed złymi snami, atakiem duchów i zachciankami duszy, żeby sobie gdzieś powędrować. Mam nawet magiczną poduszkę, która sprawia, że moja dusza – czyli ba, jeśli chcecie wiedzieć, jak to jest po egipsku – nie odrywa się od ciała.

Oczywiście system nie jest doskonały. Dość często czuję jakąś zewnętrzną siłę ciągnącą mnie za myśli, usiłującą zwrócić na siebie moją uwagę. Czasem też dusza daje mi do zrozumienia, że musi się gdzieś wybrać albo pokazać mi coś ważnego.

Coś takiego przydarzyło mi się, jak tylko zasnęłam. Można to porównać do dzwoniącego telefonu, kiedy to mózg daje mi wybór: odebrać albo odrzucić. Zazwyczaj lepiej jest odrzucać, zwłaszcza kiedy mózg zaznacza, że numer jest zastrzeżony.

Ale czasami te telefony są ważne. A moje urodziny wypadły następnego dnia. Może tato i mama usiłowali połączyć się ze mną z zaświatów. Wyobrażałam ich sobie w Sali Sądu: ojca siedzącego na tronie jako boga Ozyrysa o błękitnej skórze, mamę w widmowych białych szatach. Mogliby mieć na głowach bibułkowe czapeczki i śpiewać *Sto lat*, podczas gdy Ammit Pożeraczka, ich maleńkie zwierzątko domowe, podskakiwałaby, czekając.

A może to dzwonił Anubis. „Hej, yyy, pomyślałem sobie, że może wpadłabyś na pogrzeb albo co?”

Cóż... nie było to niemożliwe.

W związku z czym przyjąłem połączenie. Pozwoliłam duchowi powędrować tam, dokąd chciał mnie zabrać, i moje ba poszybowało nad ciałem.

Jeśli nigdy nie odbywaliście podróży jako ba, to nie polecam – chyba że rajcuje was myśl o przemianie w widmowego kurczaka i niekontrolowanym snuciu się wśród prądów Duat.

Ba pozostaje zazwyczaj niewidzialne, co jest dobre, ponieważ ma kształt olbrzymiego ptaka z przyczepioną ludzką głową. Kiedyś udało mi się zmusić ba do przyjęcia kształtu czegoś mniej obciachowego, ale odkąd Izyda opuściła moją głowę, nie mam już takiej możliwości. Teraz, kiedy unoszę się w powietrze,

jestem skazana na tryb drobiowy.

Drzwi balkonu otwały się. Magiczna bryza porwała mnie w noc. Światła Nowego Jorku rozmazały się i zgasły, a ja znalazłam się w dobrze znanej podziemnej komnacie: Sali Wieków w głównej kwaterze Domu Życia pod Kairem.

Sala była długa – mógłby się tu odbywać bieg maratoński. Na środku znajdował się niebieski dywan połyskujący jak rzeka. Między kolumnami po obu stronach jaśniały gobeliny utkane ze światła – holograficzne obrazy z długiej historii Egiptu. Światło zmieniało kolor w poszczególnych epokach: od białej poświaty Ery Bogów po karmazynowe światło nowoczesności.

Dach był wyżej niż w sali balowej Muzeum Brooklyńskiego: ogromna przestrzeń oświetlona jasnymi kulami energii i unoszącymi się w powietrzu znakami hieroglificznymi. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozsypał w nieważkości kilka kilogramów kolorowych płatków do mleka i teraz te słodkości unosiły się i zderzały z sobą w zwolnionym tempie.

Podfrunęłam do końca sali, nad podest, na którym stał tron faraona. Było to honorowe miejsce, puste od upadku Egiptu, ale na jednym ze stopni siedział najwyższy lektor, władca pierwszego nomu, przywódca Domu Życia i najbardziej nielubiany przeze mnie mag: Michel Desjardins.

Nie widziałam Monsieur Déjà-vu od naszego ataku na czerwoną piramidę, toteż zdumiało mnie, jak bardzo się postarzał. Został najwyższym lektorem raptem kilka miesięcy temu, ale w jego gładkich czarnych włosach i rozdwojonej bródce było widać siwe pasma. Opierał się z wysiłkiem na swojej lasce, jakby lamparci płaszcz najwyższego lektora przewieszony przez jego ramię był zrobiony z ołowiu.

Nie powiem, żeby było mi go szczególnie żal. Nie rozstaliśmy się w przyjaźni. Połączyliśmy siły (mniej więcej), żeby pokonać boga Seta, ale on dalej uważał nas za niebezpiecznych dzikich magów. Ostrzegł nas, że jeśli będziemy nadal studiować ścieżkę bogów (co robiliśmy), zniszczy nas przy następnym spotkaniu. Nie zachęcało nas to do zapraszania go na herbatkę.

Twarz miał wymizerowaną, ale jego oczy wciąż błyskały złowrogo. Wpatrywał się w krwistoczerwone obrazy na gobelinach światła, jakby na coś czekał.

– *Est-il allé?* – zapytał, a moja wiedza na temat francuskiego wyniesiona z podstawówki podpowiadała mi, że mogło to znaczyć albo „Czy on już sobie poszedł?”, albo „Naprawiłeś wyspę?”.

No dobra... raczej to pierwsze.

Przez chwilę przestraszyłam się, że mówił do mnie. Nagle zza tronu rozległ się chrapliwy głos: – Tak, panie.

Z cienia wyłonił się mężczyzna. Był ubrany na biało: garnitur, szalik, nawet białe lustrzane okulary przeciwsłoneczne. W pierwszej chwili pomyślałam: *O rany, to jest zły lodziarz*. Mężczyzna miał miły uśmiech i pucułowatą twarz okoloną kręconymi szpakowatymi włosami. Mogłabym go wziąć za nieszkodliwego, a może nawet przyjaźnie usposobionego – dopóki nie zdjął tych okularów.

Jego oczy to była masakra.

Przyznaję – oczy przyprawiają mnie o dreszcze. Dokument o operacji siatkówki? Wybiegam z pokoju. Nawet na myśl o szklach kontaktowych robi mi się słabo.

Ten mężczyzna w bieli wyglądał tak, jakby ktoś potraktował jego oczy kwasem, a następnie dobrały się do nich kocie pazury. Powieki były niekształtną poblźnioną masą i nie domykały się. Brwi były spalone i głęboko pobrużdżone. Skóra nad policzkami wyglądała jak maska złożona z czerwonych szram, a same oczy tworzyły tak potworną mieszankę krwistej czerwieni i mleczej bieli, że trudno było wyobrazić sobie, żeby ten człowiek w ogóle coś widział.

Wziął oddech tak chrapliwie, że poczułam ból w piersi. Na jego koszuli połyskiwała srebrna zawieszka z amuletem w kształcie węża.

– Użył portalu kilka chwil temu, panie – wycharczał mężczyzna. – Wreszcie sobie poszedł.

Głos miał równie upiorny jak oczy. Jeśli ten człowiek został oblany kwasem, coś musiało się dostać do jego płuc. A mimo to uśmiechał się, spokojny i zadowolony w swoim nieskazitelnie białym garniturze, jakby nie mógł się doczekać, kiedy zacznie sprzedawać lody grzecznym dzieciaczkom.

Podszedł do Desjardinsa, który wciąż wpatrywał się w gobeliny światła. Lodziarz podążył za jego wzrokiem. Zrobiłam to samo i uświadomiłam sobie, czemu przyglądał się najwyższy lektor. Na ostatnim filarze, tuż koło tronu, światło się zmieniało. Czerwonawa barwa współczesności przechodziła w głęboki fiolet, jak paskudny siniak. Podczas pierwszej wizyty w Sali Wieków dowiedziałam się, że to pomieszczenie rozrasta się wraz z mijającymi latami, a teraz widziałam, jak to się dzieje. Podłoga i ściany falowały niczym fatamorgana, rozrastając się bardzo powoli, a pasemko fioletowego światła poszerzało się.

– Ach – odezwał się lodziarz. – Teraz to jest znacznie wyraźniejsze.

– Nowa epoka – wymamrotał Desjardins. – Ciemniejsza. Kolor tego światła nie zmienił się od tysiąca lat, Władimirze.

Straszliwy lodziarz o imieniu Władimir? Niech będzie.

– To przez tych Kane’ów, oczywiście – odparł Władimir. – Powinieneś był zabić starszego, kiedy był w naszych rękach.

Pióra mojego ba stanęły na sztorc. Domyśliłam się, że rozmawiają o stryju Amosie.

– Nie – odrzekł Desjardins. – Był pod naszą opieką. Wszyscy, którzy przybywają na leczenie, muszą otrzymać prawo azylu... nawet Kane.

Władimir wziął głęboki oddech, który zabrzmiał jak odgłos zatkanego odkurzacza.

– Ale z pewnością teraz, kiedy odszedł, musimy działać. Słyszałeś wieści z Brooklynu, panie. Dzieciaki znalazły pierwszy zwój. Jeśli znajdą dwa pozostałe...

– Wiem, Władimirze.

– Oni upokorzyli Dom Życia w Arizonie. Dogadali się z Setem, zamiast go zniszczyć. A teraz szukają Księgi Ra. Jeśli pozwolisz mi zająć się nimi...

Czubek laski Desjardinsa eksplodował fioletowym ogniem.

– Kto jest najwyższym lektorem? – zapytał władczy tonem.

Z twarzy Władimira znikł wyraz zadowolenia.

– Ty, panie.

– I to ja zajmę się Kane’ami w odpowiednim czasie, ale teraz największe zagrożenie stanowi Apopis. Musimy skierować całą moc na powstrzymanie Węża. Jeśli Kane’owie są w stanie pomóc nam przywrócić porządek...

– Ale, najwyższy lektorze – wtrącił się Władimir tonem, w którym pobrzmiwała nowa siła, niemal magiczna moc. – Kane’owie stanowią część problemu. To oni zakłócili równowagę Maat, budząc bogów. Uczą zakazanej magii. A teraz chcą przywrócić Ra, który nie panował od początków Egiptu! Sprowadzą zamieszanie na świat. To tylko pomoże chaosowi.

Desjardins niepewnie zamrugał powiekami.

– Może masz rację. Muszę... muszę to przemyśleć.

Władimir skłonił się.

– Jak sobie życzysz, panie. Zbiorę nasze siły i będę oczekiwał rozkazu zniszczenia Domu Brooklyńskiego.

– Zniszczenia... – Desjardins zmarszczył brwi. – Tak, będziesz czekał na moje

rozkazy. To ja wybiorę moment ataku, Władimirze.

– Doskonale, panie. A jeśli dzieci Kane’ów znajdą pozostałe dwa zwoje, żeby obudzić Ra? Jeden znajduje się oczywiście poza ich zasięgiem, ale drugi...

– Pozostawiam to tobie. Strzeż go najlepiej, jak umiesz.

Oczy Władimira zrobiły się jeszcze okropniejsze z podekscytowania: śliskie i lśniąca za tymi pobliznionymi powiekami. Przypomniało mi się ulubione śniadanie dziadka: jajka na miękko z sosem tabasco.

[Wybacz, że to obrzydliwe, Carter. Zresztą nie musisz jeść, kiedy ja mówię!]

– Mój pan jest mądry – odpowiedział Władimir. – Dzieci będą szukać zwojów, panie. Nie mają wyboru. Jeśli opuszczą swoją twierdzę i dostaną się na mój teren...

– Czy nie mówiłem właśnie, że się ich pozbędziemy? – powiedział beznamiętnie Desjardins. – A teraz zostaw mnie. Muszę pomyśleć.

Władimir wycofał się w cień. Jak na kogoś ubranego na biało, udało mu się bardzo skutecznie zniknąć.

Desjardins powrócił do przyglądania się migotliwemu gobelinowi utkanemu ze światła.

– Nowa epoka... – powiedział w zamyśleniu. – Epoka ciemności...

Moje ba pofrunęło między prądy Duat, pędząc z powrotem do śpiącego ciała.

– Sadie? – rozległ się jakiś głos.

Usiadłam z bijącym mocno sercem. Szare światło poranka wypełniało okna. W nogach mojego łóżka siedział...

– Wujek Amos? – wyjąkałam.

Uśmiechnął się.

– Wszystkiego dobrego, kochana. Przepraszam, że cię wystraszyłem. Nie odpowiadałaś na pukanie. Zaniepokoiłem się.

Wyglądał bardzo zdrowo i był ubrany równie modnie jak zwykle. Miał druciane okulary, niewielki kapelusz i włoski garnitur z czarnej wełny, w którym wyglądał na nieco niższego i bardziej krępego. Długie włosy miał zaplecione w warkoczyki ozdobione kawałkami lśniącego czarnego kamienia – może obsydianu. Mógłby uchodzić za jazzmana (którym był) lub czarnoskórego Ala Capone (którym nie był).

Miałam na końcu języka pytanie „Jak...?”, po czym nagle zrozumiałam, co znaczyła moja wizja z Sali Wieków.

– Wszystko w porządku – powiedział Amos. – Właśnie wróciłem z Egiptu.

Usiłowałam przełknąć ślinę, a mój oddech był prawie tak wysilony jak tego

upiornego Władimira.

– Ja też, Amosie. I wcale nie jest wszystko w porządku. Oni zamierzają nas unicestwić.

4. Urodzinowe zaproszenie na Armagedon

Gdy już opisałam moją straszliwą wizję, pozostało mi jedno: porządne śniadanie.

Amos wyglądał na wstrząśniętego, ale nalegał, żebyśmy zaczęli z dalszą dyskusją, aż zbierze się cały dwudziesty pierwszy nom (tak nazywa się nasza gałąź Domu Życia). Obiecał, że spotka się ze mną na werandzie za dwadzieścia minut.

Kiedy sobie poszedł, wzięłam prysznic i zastanowiłam się nad ubraniem. Zazwyczaj w poniedziałki uczę magii sympatycznej, co wymaga lnianych ciuchów. Ale w urodziny planowałam dzień wolny.

Zważywszy na okoliczności, wątpiłam, czy Amos, Carter i Bastet pozwolą mi pojechać do Londynu, ale postanowiłam zachować optymizm. Założyłam podarte dzinsy, martensy, podkoszulek bez rękawów i skórzaną kurtkę – fatalne dla magii, ale byłam w buntowniczym nastroju. Wsunęłam różdżkę i miniaturowego Cartera do magicznej torby. Miałam właśnie zarzucić ją na ramię, kiedy pomyślałam: *Nie, nie będę dźwigać tego we własne urodziny.*

Wzięłam głęboki oddech i skupiłam się na otwarciu skrytki w Duat. Ciężko mi to przyznać, ale jestem w tym fatalna. To niesprawiedliwe, że Carter potrafi wyciągać przedmioty z powietrza w każdej chwili, podczas gdy ja potrzebuję pięciu albo dziesięciu minut całkowitej koncentracji, a nawet wtedy robi mi się niedobrze od wysiłku. Zazwyczaj łatwiej jest trzymać torbę na ramieniu. Ale jeśli miałabym wyjść na miasto z kumpelami, nie chciałam mieć przy sobie takiego obciążenia, a nie miałam też ochoty ruszać się bez tego wszystkiego.

W końcu powietrze zamigotało – Duat poddało się mojej woli. Rzuciłam torbę przed siebie i znikła. Doskonale – pod warunkiem, że zdołam wymyślić, jak ją później stamtąd wyciągnąć.

Podniosłam zwój, który ukradliśmy poprzedniego wieczora, i udałam się na dół.

Ponieważ wszyscy zebrali się na śniadaniu, w rezydencji panowała dziwaczna cisza. Pięć pięter galeryjek wychodziło na Wielką Salę, toteż zazwyczaj to miejsce

tętniło życiem, przypomniałam sobie jednak, jak puste się wydawało, kiedy razem z Carterem przyjechaliśmy tu w zeszłe święta.

Wielka Sala wyglądała wciąż podobnie: wielki posąg Thota na środku, kolekcja broni Amosa i jego jazzowe instrumenty na ścianach, dywan ze skóry węża przed kominkiem wielkości garażu. Teraz jednak widać było również, że w domu mieszka dwudziestka młodych magów. Na stoliczku leżały najrozmaitsze piloty, różdżki, iPady, torebki po chipsach i figurki uszebti. Ktoś o wielkich stopach – pewnie Julian – zostawił na schodach zabłocone tenisówki. A jeden z naszych łobuzów – zakładałam, że Felix – magicznie zamienił kominek w arktyczny krajobraz ze śniegiem i żywym pingwinem. Felix uwielbia pingwiny.

Magiczne miotły i szmaty szalały po domu, usiłując posprzątać. Musiałam uchylać się, żeby i mnie nie odkurzyły. Z nieznanym mi powodów domowe odkurzacze uważają moje włosy za wymagające porządkowania.

[Nawet nie próbuj komentować, Carter].

Tak jak się spodziewałam, wszyscy zebrali się na werandzie, gdzie mieściła się nasza jadalnia i rezerwat krokodyli albinosów. Filip Macedoński taplał się radośnie w sadzawce, skacząc po kawałki bekonu, ilekroć któryś z uczniów coś mu rzucił. Poranek był zimny i deszczowy, ale ogień płonący w magicznych koksownikach na tarasie utrzymywał ciepło.

Wzięłam bułkę z czekoladą i filiżankę herbaty ze szwedzkiego stołu i usiadłam. Nagle uświadomiłam sobie, że nikt nie je. Wszyscy wpatrywali się we mnie.

U szczytu stołu Amos i Bastet siedzieli z posępnymi minami. Naprzeciwko mnie Carter nie tknął swoich gofrów, co nie było w jego stylu. Po mojej prawej stało puste krzesło Jaz. (Amos powiedział mi, że była wciąż w sali chorych, bez zmian). Po mojej lewej siedział Walt, przystojny jak zwykle, ale zrobiłam wszystko, żeby go zignorować.

Pozostali uczniowie najwyraźniej byli w różnych stadiach szoku. Stanowili oni mieszaninę z całego świata i w różnym wieku. Niektórzy byli starsi ode mnie i Cartera – nawet w wieku studenckim – co było dobre ze względu na opiekę nad najmłodszymi, ale zawsze wprawiało mnie w zakłopotanie, kiedy miałam ich czegoś uczyć. Pozostali byli w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Felix miał tylko dziewięć. Byli tu Julian z Bostonu, Alyssa z Karoliny Północnej, Sean z Dublina i Cleo z Rio de Janeiro. Łączy nas jedno: krew faraonów. Wszyscy pochodzimy z królewskich rodów Egiptu, co daje nam naturalne zdolności

magiczne i umiejętność udzielania gościny bogom w naszych ciałach.

Jedynym, który najwyraźniej nie poddawał się ponuremu nastrojowi, był Chufu. Z powodów, których nie jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć, nasz pawian jada wyłącznie rzeczy zaczynające się na „F”. Ostatnio odkrył falafle, które uznał za cudowną substancję. Mam wrażenie, że podwójna litera „F” zrobiła swoje. Teraz zjadał prawie wszystko, co można było do nich wgnieść: owoce, orzechy, owady, małe zwierzątka. W tej chwili miał pysk zanurzony w brejowatej stercie śniadania i wydawał niezbyt eleganckie dźwięki.

Wszyscy pozostali wpatrywali się we mnie, jakby czekali na wyjaśnienia.

– Dzień dobry – wymamrotałam. – Mamy piękny dzień. W kominku siedzi pingwin, jeśli kogoś to interesuje.

– Sadie – powiedział łagodnie Amos. – Opowiedz innym to, co mi mówiłaś.

Wypiłam łyk herbaty dla uspokojenia nerwów. Następnie postarałam się nie okazywać przerażenia, które czułam, opisując wizytę w Sali Wieków.

Kiedy skończyłam, jedynymi dźwiękami było trzaskanie ognia w koksownikach i pluskanie się Filipa Macedońskiego w jego sadzawce.

W końcu dziewięcioletni Felix zadał pytanie, które nurtowało wszystkich: – To znaczy, że wszyscy umrzemy, tak?

– Nie. – Amos się wyprostował. – Absolutnie nie. Wiem, dzieci, że dopiero przyjechałem. Nie znam większości z was, ale obiecuję, że zrobimy wszystko, żebyście byli bezpieczni. Ten dom ma wielowarstwowe magiczne zabezpieczenia. Macie po swojej stronie potężną boginię – wskazał na Bastet, która otwierała paznokciami puszkę tuńczyka – oraz rodzinę Kane’ów, która będzie was strzec. Carter i Sadie są potężniejsi, niż może się wam wydawać, a mnie zdarzało się już walczyć z Michele Desjardinem, jeśli do tego dojdzie.

Zważywszy na problemy, jakie mieliśmy w ostatnie święta, przemowa Amosa zabrzmiała nieco hurraoptymistycznie, ale uczniowie wyglądali na pocieszonych.

– Jeśli do tego dojdzie? – zapytała Alyssa. – Jest raczej dość pewne, że nas zaatakują.

Amos zmarszczył brwi.

– Być może, ale niepokoi mnie, że Desjardins godzi się na tak głupi ruch. Prawdziwym wrogiem jest Apopis i najwyższy lektor o tym wie. Powinien zdawać sobie sprawę z tego, że potrzebuje wszelkiej pomocy, jaką może dostać. Chyba że... – Nie dokończył zdania. Cokolwiek myślał, najwyraźniej bardzo go to dręczyło. – W każdym razie, jeśli Desjardins zdecyduje się wystąpić

przeciwko nam, będzie starannie planował atak. Wie, że ta rezydencja nie upadnie łatwo. Nie może sobie pozwolić na kolejne upokorzenie przez Kane'ów. Będzie się zastanawiał, rozważał opcje, zbierał siły. Przygotowania zajmą mu kilka dni – dni, które powinien poświęcić na powstrzymanie Apopisa.

Walt podniósł rękę. Nie wiem, co on takiego w sobie ma, ale posiada pewną siłę przyciągania, która sprawia, że wszyscy słuchają z uwagą, kiedy tylko się odezwie. Nawet Chufu uniósł wzrok znad góry falafli.

– Jeśli Desjardins nas zaatakuje – powiedział Walt – będzie dobrze przygotowany i będzie miał do pomocy magów, którzy są znacznie lepiej wyszkoleni niż my. Uda mu się przedrzeć przez nasze zabezpieczenia?

Amos wpatrywał się w rozsuwane szklane drzwi, być może przypominając sobie, jak ostatnim razem przełamano zabezpieczenia. Efekty nie były dobre.

– Musimy mieć pewność, że do tego nie dojdzie – oznajmił. – Desjardins wie, co zamierzamy i że mamy tylko pięć dni... a właściwie teraz już tylko cztery. Według wizji Sadie Desjardins zna nasze plany i będzie usiłował je pokrzyżować z powodu jakiegoś mylnego przekonania, że działamy na rzecz sił chaosu. Ale jeśli nam się uda, zyskamy kartę przetargową, żeby zmusić Desjardinsa do wycofania się.

Teraz Cleo uniosła rękę.

– Yyy... My nie znamy tego planu. Cztery dni na co?

Amos skinął na Cartera, prosząc go o wyjaśnienia. Nie miałam nic przeciwko. Prawdę mówiąc, uważałam ten plan za lekko szalony.

Mój brat wyprostował się na krześle. Muszę go pochwalić. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zmienił się tak bardzo, że zaczął przypominać zwykłego nastolatka. Po sześciu latach domowej nauki i podróży z tatą był beznadziejnie nie na czasie. Ubierał się jak młody biznesmen, w śnieżnobiałe koszule i sznurowane buty. Teraz przynajmniej nauczył się nosić dżinsy, podkoszulki, a czasem nawet bluzy z kapturem. Zapuścił włosy na tyle, że stanowiły teraz kędzierzawą płataninę – co wygląda znacznie lepiej. Jeśli dalej będzie się starał, ma nawet szanse poderwać kiedyś dziewczynę.

[Co? Nie szturchaj mnie. To był komplement!]

– Zamierzamy obudzić boga Ra – oznajmił Carter takim tonem, jakby to było tak łatwe jak wyjęcie przekąski z lodówki.

Uczniowie spoglądali po sobie. Carter nie był znany z poczucia humoru, ale chyba jednak zastanawiali się, czy nie żartuje.

– Masz na myśli boga słońca? – odezwał się Felix. – Starego króla bogów?

Carter przytaknął.

– Wszyscy znacie tę opowieść. Tysiące lat temu Ra zestarzał się i powrócił do nieba, pozostawiając władzę Ozyrysowi. Następnie Ozyrys został obalony przez Seta. Potem Horus pokonał Seta i został faraonem. A potem...

Chrząknęłam.

– Daj to w skróconej wersji, proszę.

Carter spojrzał na mnie z ukosa.

– Chodzi o to, że Ra był pierwszym i najpotężniejszym królem bogów. A my wierzymy, że on wciąż żyje. Po prostu śpi gdzieś głęboko w Duat. Jeśli zdołamy go obudzić...

– Ale skoro odszedł, bo był za stary – odezwał się Walt – to czy teraz nie będzie już całkiem stetryczały?

Zadałam to samo pytanie, kiedy Carter po raz pierwszy poddał mi ten pomysł. Ostatnią rzeczą, której potrzebowaliśmy, był wszechpotężny bóg, który nie pamięta własnego imienia, załatuje starością i ślini się przez sen. No i jak nieśmiertelny może w ogóle się zestarzeć? Nikt nie udzielił mi zadowalającej odpowiedzi.

Amos i Carter spojrzeli na Bastet, co miało sens, ponieważ była jedynym egipskim bóstwem w towarzystwie.

Zmarszczyła brwi nad niedojedzonym whiskasem.

– Ra jest bogiem słońca. W dawnych czasach starzał się razem z dniem, a następnie co noc żeglował przez Duat na swojej łodzi i rodził się na nowo co rano wraz ze wschodem słońca.

– Ale przecież słońce się nie odradza – wtrąciłam. – To tylko obrót ziemi...

– Sadie – ostrzegła mnie Bastet.

Dobra, dobra. Zarówno mit, jak i nauka są prawdą – to po prostu różne oblicza tej samej rzeczywistości, bla, bla, bla. Słyszałam ten wykład dziesiątki razy i nie miałam ochoty na powtórki.

Bastet wskazała na zwój leżący koło mojej filizanki.

– Kiedy Ra przestał odbywać swoje nocne podróże, cykl został przerwany, a Ra pozostał w nieprzerwanym zmierzchu... w każdym razie tak przypuszczamy. Zamierzał spać wiecznie. Ale jeśli zdołacie odnaleźć go w Duat – a to jest wielkie *jeśli* – to może on zdoła powrócić i odrodzić się dzięki właściwej magii. Księga Ra opisuje, jak to można zrobić. Kapłani Ra stworzyli ją w dawnych czasach i trzymali w sekrecie, dzieląc ją na trzy części. Wolno jej użyć wyłącznie w sytuacji końca świata.

– Sytuacji... końca świata? – zapytała Cleo. – Mówisz, że Apopis naprawdę zamierza... połknąć słońce?

Walt spojrział na mnie.

– Czy to możliwe? W waszej opowieści o czerwonej piramidzie mówiliście, że to Apopis stał za planami Seta, żeby zniszczyć Amerykę Północną. Usiłował wyprodukować tyle chaosu, żeby wydostać się z więzienia.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie zjawy, która pojawiła się na niebie nad Waszyngtonem – ogromny wijący się wąż.

– Apopis stanowi prawdziwy problem – potaknęłam. – Powstrzymaliśmy go raz, ale jego więzienie słabnie. Jeśli zdoła się uwolnić...

– Zdoła – powiedział Carter. – Za cztery dni. Chyba że go powstrzymamy. Jeśli nie – on zniszczy cywilizację, wszystko, co ludzie zbudowali od początków Egiptu.

Wokół stołu powiało chłodem.

Rozmawialiśmy oczywiście wcześniej o tym czterodniowym terminie z Carterem. Horus i Izyda rozmawiali o tym z nami. Ale wtedy wydawało się to raczej okropną możliwością, a nie absolutną pewnością. A teraz Carter mówił z przekonaniem. Przyglądałam się jego twarzy i uświadomiłam sobie, że on też widział coś w nocy – prawdopodobnie wizję jeszcze gorszą od mojej. Jego mina mówiła: „Nie tu. Powiem ci później”.

Bastet wbiła pazury w stół. Czymkolwiek był ten sekret, ona ewidentnie była wtajemniczona.

Po drugiej stronie stołu Felix liczył na palcach.

– Dlaczego akurat cztery dni? Co jest specjalnego w... ee, dwudziestym pierwszym marca?

– Wiosenna równonoc – wyjaśniła Bastet. – Czas bardzo potężnej magii. Godziny dnia i nocy są dokładnie zrównoważone, co oznacza, że siły chaosu i Maat da się łatwo przechylić w jedną stronę. To idealny czas, żeby obudzić Ra. Prawdę mówiąc, jest to nasza jedyna szansa przed równonocą jesienną, czyli za pół roku. Ale nie możemy czekać tak długo.

– Bo niestety – wtrącił się Amos – równonoc to również idealny czas na ucieczkę Apopisa z więzienia i napaść na świat śmiertelników. Możemy mieć pewność, że jego słudzy już nad tym pracują. Wedle naszych źródeł wśród bogów Apopisowi się uda, dlatego musimy wcześniej obudzić Ra.

Słyszałam to już wcześniej, ale publiczna rozmowa przy naszych uczniach, widok ich zrozpaczonych min... Przez to wszystko sprawa stawała się znacznie

bardziej przerażająca i rzeczywista.

Odchrząknęłam.

– A więc... kiedy Apopis się uwolni, będzie usiłował zniszczyć Maat, porządek wszechświata. Połknie słońce, pograży ziemię w wiecznej ciemności, no i ogólnie bardzo zepsuje nam dzień.

– Dlatego właśnie potrzebujemy Ra. – Amos modulował głos tak, żeby działać kojąco na uczniów. Emanował takim spokojem, że nawet ja poczułam się nieco mniej przerażona. Zastanawiałam się, czy to jakaś magia, czy też on po prostu lepiej wyjaśnia Armagedon ode mnie.

– Ra był arcywrogiem Apopisa – ciągnął Amos. – Ra jest Panem Porządku, podczas gdy Apopis – Panem Chaosu. Od początku czasu te dwie siły walczą nieustannie, chcąc się wzajemnie zniszczyć. Jeśli Apopis powróci, musimy zapewnić sobie pomoc Ra, żeby mu się przeciwstawić. Wtedy będziemy mieć jakieś szanse.

– Szanse – powtórzył Walt. – Zakładając, że zdołamy odnaleźć Ra i go przebudzić, a cała reszta Domu Życia nie dopadnie nas wcześniej.

Amos potaknął.

– Ale jeśli zdołamy obudzić Ra, to będzie najtrudniejsze zadanie, jakiego dokonał kiedykolwiek mag. Zmusi to Desjardinsa do zastanowienia. Najwyższy lektor... cóż, wygląda na to, że nie myśli jasno, ale nie jest głupcem. Rozumie, jak niebezpieczne jest powstanie Apopisa. Musimy go przekonać, że stoimy po tej samej stronie, że ścieżka bogów jest jedynym sposobem na pokonanie Apopisa. Wolę go przekonywać, niż walczyć z nim.

Osobiście miałam ochotę dać Desjardinsowi po pysku albo podpalić jego bródkę, ale podejrzewałam, że Amos mógł mieć rację.

Cleo, biedaczka, pozieleniała jak żaba. Przyjechała z Brazylii do Brooklynu, żeby studiować ścieżkę Thota, boga mądrości, a my już widzieliśmy w niej przyszłą bibliotekarkę – ale kiedy problemy stawały się realne, wychodząc poza karty książek... Cóż, Cleo miała bardzo delikatny żołądek. Miałam tylko nadzieję, że w razie czego zdąży dobiec do barierki.

– Ten... ten zwój – wyjąkała. – Mówiliście, że on ma jeszcze dwie części?

Podniosłam zwój. W świetle dnia wyglądał na jeszcze bardziej delikatny: kruchy, poślizki i mogący się w każdej chwili rozsypać. Palce mi drżały. Magia brzęczała w papirusie jak prąd niskonapięciowy. Czułam przemożne pragnienie otwarcia zwoju.

Zaczęłam odkręcać tubę. Carter zamarł.

– Sadie... – powiedział Amos.

Bez wątpienia spodziewali się, że Brooklyn znów stanie w ogniu, ale nic się nie stało. Rozwinęłam zwój i odkryłam, że zawiera jakiś bełkot – żadnych hieroglifów, żadnego języka, który mogłabym rozpoznać. Koniec zwoju był potargany, jakby ktoś go podarł.

– Zakładam, że części składają się z sobą – powiedziałam. – I będzie się to dało odczytać dopiero, jak je połączymy.

Carter był najwyraźniej pod wrażeniem. Ale ja naprawdę wiem niektóre rzeczy. Podczas ostatniej przygody czytałam zwój, żeby wygnać Seta, i było to zupełnie podobne.

Chufu podniósł wzrok znad fałafa.

– *Agh!* – Położył przed sobą trzy pulpeciki.

– Właśnie – potaknęła Bastet. – Jak mówi Chufu, trzy części księgi przedstawiają trzy aspekty Ra: poranek, południe i noc. Ten zwój, który posiadamy, jest zaklęciem Chnuma. Musicie teraz odnaleźć pozostałe dwa.

Nie mam pojęcia, jak Chufu jest w stanie wyrazić to wszystko jednym chrząknięciem, ale nie miałabym nic przeciwko lekcjom wyłącznie z pawianami jako nauczycielami. Skończyłabym gimnazjum i liceum w tydzień.

– A więc te dwa pozostałe pulpeciki – powiedziałam – to znaczy zwoje... według mojej wizji nie będzie łatwo je znaleźć.

Amos przytaknął.

– Pierwsza część zaginęła tysiące lat temu. Środkową przechowuje Dom Życia. Przenoszono ją wielokrotnie i zawsze bardzo pilnie jej strzeżono. Sądząc po twojej wizji, powiedziałbym, że zwój jest obecnie w rękach Władimira Mienszykowa.

– To ten lodziarz – domyśliłam się. – Kim on jest?

Amos rysował coś palcem na stole – pewnie jakieś ochronne hieroglify. – To trzeci z najpotężniejszych magów na świecie. A także jeden z najważniejszych popieczników Desjardinsa. Zawiaduje osiemnastym nomem w Rosji.

Bastet syknęła. Jako kotka jest w tym niezła.

– Wład Parownik. Ma złą reputację.

Przypomniały mi się zniszczone oczy i świszczący głos.

– Co się stało z jego twarzą?

Bastet zamierzała odpowiedzieć, ale Amos jej przerwał.

– Wystarczy wam wiedzieć, że jest niebezpieczny – ostrzegł. – Głównym talentem Włada jest uciszanie zbuntowanych magów.

– To znaczy, że jest zabójcą? – zapytałam. – Wspaniale. A Desjardins właśnie dał mu zgodę na polowanie na Cartera i mnie, jeśli opuścimy Brooklyn.

– Musicie to zrobić – powiedziała Bastet – jeśli chcecie szukać pozostałych fragmentów Księgi Ra. Macie na to tylko cztery dni.

– Aha – mruknęłam – fajnie, że o tym wspomniałaś. Idziesz z nami, prawda? Bastet spuściła wzrok na swój talerz.

– Sadie... – Jej głos brzmiał żałościwie. – Rozmawialiśmy z Carterem i... wiesz, ktoś musi mieć oko na więzienie Apopisa. Musimy wiedzieć, co tam się dzieje, jak blisko jest ucieczki i czy da się coś w tej sprawie zrobić. To wymaga nieustannej obserwacji.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Wracasz tam? Po tym, co moi rodzice zrobili, żeby cię uwolnić?

– Zbliżę się tylko od zewnątrz – obiecała. – Zachowam ostrożność. Jestem dobra w ukrywaniu się. A poza tym tylko ja wiem, jak odnaleźć jego celę, a ta część Duat byłaby zabójcza dla śmiertelników. Ja... ja muszę to zrobić.

Głos jej drżał. Powiedziała mi kiedyś, że koty nie są odważne, ale powrót do jej dawnego więzienia wydawał mi się aktem odwagi.

– Nie pozostawię cię bez obrony – obiecała. – Mam... przyjaciela. Powinien do jutra przybyć z Duat. Prosiłam go, żeby cię znalazł i chronił.

– Przyjaciela? – zapytałam.

Bastet skrzywiła się.

– No... można go tak nazwać.

Nie zabrzmiało to zachęcająco.

Spojrzałam na moje ciuchy. Poczułam kwaśny smak w ustach. Carter i ja mamy do wykonania zadanie, z którego pewnie nie wrócimy żywi. Kolejna odpowiedzialność na moich barkach, kolejne szalone żądanie, żebym poświęciła życie dla ważniejszych spraw. Wszystkiego najlepszego.

Chufu beknął i odsunął od siebie pusty talerz. Obnażył upaprane falaflem kły, jakby mówił: „No, to by było na tyle! Dobre śniadanie!”.

– Pójdę się spakować – powiedział Carter. – Ruszamy za godzinę.

– Nie – odparłam. Nie wiem, które z nas było bardziej zaskoczone: ja czy mój brat.

– Nie? – zapytał Carter.

– Mam urodziny – powiedziałam. Musiało to zabrzmieć, jakbym była siedmioletnim bachorem... ale w tej chwili mało mnie to obchodziło.

Uczniowie byli zdumieni. Niektórzy wymamrotali jakieś najlepsze życzenia.

Chufu podał mi pustą miskę po falafli jako prezent. Felix zaczął bez przekonania śpiewać *Sto lat*, ale nikt do niego nie dołączył, więc chłopak się poddał.

– Bastet powiedziała, że ten jej kumpel przyjedzie jutro – ciągnęłam. – Amos powiedział, że Desjardins potrzebuje czasu, żeby przygotować atak. A poza tym planowałam tę podróż do Londynu od wieków. Myślę, że mam czas na jeden wolny dzień, zanim nastąpi koniec świata.

Pozostali wpatrywali się we mnie. Czy zachowałam się samolubnie? No dobra, tak. Nieodpowiedzialnie? Pewnie też. Dlaczego więc czułam tak mocną potrzebę postawienia na swoim?

Może was to zszokować, ale nie znoszę kontroli. Carter dyktował, co mamy robić, ale jak zwykle nie powiedział mi wszystkiego. Najwyraźniej skonsultował się już z Amosem i Bastet i przygotowali plan. Ich trójka postanowiła, co będzie najlepsze, nie dbając o moje zdanie. Moja jedyna stała towarzyszką, Bastet, zostawiała mnie, żeby udać się na potwornie niebezpieczną misję. A ja miałam wylądować we własne urodziny z bratem, tropiąc kolejny magiczny zwój, który może mnie podpalić albo zrobić coś jeszcze gorszego.

Bardzo przepraszam. Nie, dziękuję. Umieranie może poczekać do jutra rana.

Na twarzy Cartera malowały się po części gniew, a po części niedowierzenie. Zazwyczaj staramy się być dla siebie uprzejmi przy uczniach. Teraz jednak stawiałam go w trudnej sytuacji. Zawsze narzekał na to, że rzucam się w wir spraw bez zastanowienia. Wczoraj wieczorem był na mnie zły, bo chwyciłam ten zwój, więc podejrzewałam, że gdzieś w głębi duszy wini mnie za wszystko, co się stało: za obrażenia odniesione przez Jaz. Niewątpliwie widział w tym kolejny przykład mojej nieodpowiedzialnej natury.

Byłam przygotowana na nokaut, ale wtrącił się Amos.

– Sadie, podróż do Londynu jest niebezpieczna. – Uniósł rękę, zanim zdążyłam zaprotestować. – Ale jeśli musisz... – Wziął głęboki oddech, jakby nie podobało mu się to, co zamierzał powiedzieć. – ...to przynajmniej obiecaj mi, że będziesz ostrożna. Wątpię, żeby Wład Mienszykow był gotowy do natychmiastowego ataku. Powinnaś być bezpieczna, o ile nie użyjesz magii ani też nie zrobisz niczego, co przyciągałoby uwagę.

– Amosie! – zaprotestował Carter.

Amos uciał jego protesty jednym surowym spojrzeniem.

– Sadie wyjedzie, a my zaczniemy planować działania. Jutro rano wasza dwójka rozpocznie misję. Ja przejmę obowiązki nauczycielskie i będę nadzorował obronę Domu Brooklyńskiego.

Widziałam w jego oczach, że nie chciał, żebym wyjeżdżała. Było to głupie, niebezpieczne i pochopne – innymi słowy, typowa ja. Ale wyczuwałam równocześnie, że rozumie moją sytuację. Przypomniało mi się, jak bezbronny się wydawał, po tym jak Set zawładnął jego ciałem w ostatnie święta. Wiem, że kiedy wyjechał do pierwszego nomu na leczenie, miał poczucie winy, zostawiając nas samych. A jednak to była dobra decyzja ze względu na jego zdrowie psychiczne. Amos zatem, jak nikt inny, wiedział, jak to jest potrzebować ucieczki. Jeślibym tu została, jeśli udałabym się natychmiast, bez chwili wytchnienia, na misję, mogłabym wybuchnąć.

A poza tym czułam się lepiej, wiedząc, że Amos zastąpi nas w Domu Brooklyńskim. Czułam ulgę z powodu pozbycia się na jakiś czas obowiązków nauczycielskich. Prawdę mówiąc, jestem beznadziejną nauczycielką. Po prostu nie mam do tego cierpliwości.

[Och, zamknij się, Carter. Tym razem akurat nie musiałeś się ze mną zgadzać].

– Dziękuję, Amosie – wydusiłam z siebie.

Wstał, najwyraźniej dając do zrozumienia, że spotkanie zakończone.

– Myślę, że to wystarczy na jeden poranek – powiedział. – Najważniejsze, żebyście wszyscy kontynuowali naukę i nie poddawali się rozpacz. Musicie być w pełni sił, żeby bronić Domu. Zwycięzimy. Z bogami po naszej stronie Maat pokona chaos, jak zawsze dotychczas.

Uczniowie wciąż mieli niepewne miny, ale wstali i zaczęli sprzątać naczynia. Carter rzucił mi jeszcze jedno gniewne spojrzenie, po czym wściekłym krokiem wszedł do domu.

To jego problem. Postanowiłam, że nie dam się poczuciu winy. Nie chciałam zepsuć sobie urodzin. A jednak kiedy patrzyłam na wystygłą herbatę i niezjedzonego rogalika, miałam straszliwe poczucie, że może już nigdy nie zasiądę przy tym stole.

Godzinę później byłam gotowa do podróży do Londynu.

Wybrałam sobie nową laskę ze zbrojowni i schowałam ją w Duat wraz z resztą magicznych przedmiotów. Zostawiłam magiczny zwój Carterowi, który w ogóle ze mną nie rozmawiał, i odwiedziłam Jaz w izbie chorych. Była wciąż w śpiączce. Zaczarowana chusteczka chłodziła jej czoło. Lecnicze hieroglify unosiły się nad jej łóżkiem, ale nadal wyglądała bardzo słabo. Bez swojego uśmiechu wydawała się innym człowiekiem.

Usiadłam przy niej i ujęłam ją za rękę. Serce ciążyło mi jak kula armatnia. Jaz zaryzykowała życie, żeby nas bronić. Stawiła czoła całej sforcie *bau* po raptem kilku tygodniach nauki. Zaczepnęła mocy swojej boskiej patronki, Sachmet, tak jak ją uczyliśmy, i ten wysiłek omal jej nie zabił.

Co ja sama poświęciłam ostatnio? Dostałam histerii, ponieważ mogłoby mnie ominąć przyjęcie urodzinowe.

– Przepraszam, Jaz. – Wiedziałam, że mnie nie słyszy, ale głos mi drżał. – Ja po prostu... zwariuję, jeśli się na chwilę nie wyrwę. Myśmy już raz ratowali ten cholerny świat i teraz muszę zaczynać od początku...

Wyobraziłam sobie, co Jaz by mi odpowiedziała – niewątpliwie coś pocieszającego: „To nie twoja wina, Sadie. Masz prawo do kilku godzin spokoju”.

Poczułam się tylko przez to gorzej. Nie powinnam pozwolić Jaz się narażać. Sześć lat temu moja mama umarła, ponieważ skupiła w sobie zbyt wiele magii. Spłonęła, zamykając bramę do więzienia Apopisa. Wiedziałam o tym, a mimo to pozwoliłam Jaz, która była znacznie mniej doświadczona, ryzykować życiem dla ocalenia nas. Jak już powiedziałam... jestem beznadziejną nauczycielką.

W końcu nie mogłam już tego wytrzymać. Ścisnęłam rękę Jaz, kazałam jej wydobrzeć szybko i opuściłam izbę chorych. Wspięłam się na dach, gdzie trzymaliśmy artefakt służący do otwierania portali: kamiennego sfinksa pochodzącego z ruin Heliopolis.

Cała się spięłam, kiedy zobaczyłam Cartera stojącego po drugiej stronie tarasu – karmił gryfa pieczonymi indykami. Zdołał od wczoraj zbudować dla niego całkiem ładną stajnię, domyśliłam się więc, że gryf z nami zostanie. Przynajmniej będzie odstraszał gołębie.

Miałam w sumie nadzieję, że Carter mnie zignoruje. Nie byłam w nastroju na kolejne kłótnie. Ale kiedy mnie zobaczył, rzucił mi spojrzenie z ukosa, wytarł tłuszcz z rąk i podszedł do mnie.

Przygotowałam się na aferę.

On jednak wymamrotał: – Bądź ostrożna. Mam dla ciebie prezent urodzinowy, ale zaczekam z nim, aż... wrócisz.

Nie dodał słowa żywa, ale miałam wrażenie, że słyszę je w jego tonie.

– Słuchaj, Carter...

– Idź już – powiedział. – Kłótnia nic nam nie pomoże.

Nie byłam pewna, czy powinnam czuć się winna, czy zła, ale uznałam, że ma rację. Urodziny nie kojarzą nam się najlepiej. Jednym z moich

najwcześniejszych wspomnień jest kłótnia z Carterem w moje szóste urodziny i tort eksplodujący magiczną energią, którą wyprodukowaliśmy. Może zważywszy na to, powinnam całkiem zostawić sprawę. Ale to było ponad moje siły.

– Przepraszam – wypaliłam. – Wiem, że winisz mnie za wzięcie do ręki tego zwoju wczoraj i za to, że Jaz jest ranna, ale czuję się tak, jakbym się całkiem rozsypywała...

– Nie tylko ty – odparł.

Poczułam, że coś ściska mnie za gardło. Do tego stopnia zamartwiałam się tym, że Carter jest na mnie zły, że nie zwróciłam uwagi na ton jego głosu. Był bardzo nieszczęśliwy.

– O co chodzi? – zapytałam. – Co się stało?

Wytarł zatłuszczone ręce w spodnie.

– Wczoraj w tym muzeum... jeden z tych duchów... przemówił do mnie.

Opowiedział mi o dziwacznej rozmowie z płonącym *bau*, o tym, jak czas zwolnił, a *bau* ostrzegło Cartera, że nasza misja nie powiedzie się.

– On powiedział... – Głos Cartera załamał się. – Powiedział, że Ziya śpi w Miejscu Czerwonych Piasków, gdziekolwiek to może być. I że jeśli nie porzucę misji, żeby ją ratować, ona umrze.

– Carter – powiedziałam ostrożnie – czy ten duch wspomniał Ziyę z imienia?

– No, nie...

– Może miał na myśli kogoś innego?

– Nie, jestem pewny. Mówił o Ziyi.

Usiłowałam ugryźć się w język. Naprawdę. Ale temat Ziyi Rashid stał się niezdrową obsesją mojego brata.

– Nie chcę być niemila, Carter – odezwałam się – ale przez ostatnie kilka miesięcy widziałeś informacje o Ziyi wszędzie. Dwa tygodnie temu wydawało ci się, że wysłała ci wołanie o ratunek w tłuczonych ziemniakach.

– To było Z! Wryte w ziemniakach!

Uniosłam ręce.

– Jasne. A co z twoim snem ostatniej nocy?

Spiął się wyraźnie.

– O czym mówisz?

– Och, daj spokój. Przy śniadaniu powiedziałeś, że Apopis wyrwie się z więzienia w równonoc. Mówiłeś to tak, jakbyś miał absolutną pewność, jakbyś widział jakiś dowód. Poza tym zdążyłeś porozmawiać z Bastet i namówić ją,

żeby miała oko na więzienie Apopisa. Cokolwiek widziałeś... to musiało być coś niedobrego.

– No... nie wiem. Nie jestem pewny.

– Rozumiem. – Byłam coraz bardziej zła na niego. A więc Carter nie chce mi tego powiedzieć. Znowu będziemy mieć przed sobą sekrety? Doskonale.

– Porozmawiamy o tym później – powiedziałam. – Do zobaczenia wieczorem.

– Nie wierzysz mi – odparł. – W kwestii Ziyi.

– A ty mi nie ufasz. Jesteśmy kwita.

Wpatrywaliśmy się w siebie wzajemnie ze złością. Następnie Carter odwrócił się i gniewnym krokiem odszedł w kierunku gryfa.

Omiał za nim nie zawołałam. Nie chciałam tak się na niego złościć. Ale z drugiej strony przeprosiny nie są moją mocną stroną, a on zachowywał się niemożliwie.

Odwróciłam się do sfinksa i wezwałam portal. Jestem w tym całkiem dobra, jeśli mogę tak powiedzieć. Natychmiast pojawił się przede mną wirujący lej piasku, a ja wskoczyłam do środka.

Jedno uderzenie serca później wypadłam z Igły Kleopatry na nabrzeżu Tamizy.

Sześć lat temu umarła tu moja matka, więc nie był to mój ulubiony egipski zabytek. Ale Igła była portalem magicznym położonym najbliżej mieszkania dziadków.

Na szczęście pogoda była fatalna, więc nikogo nie było w pobliżu. Otrzępałam piasek z ubrania i ruszyłam w kierunku stacji metra.

Pół godziny później stałam na progu domku dziadków. Dziwnie było znaleźć się... w domu? Nie byłam nawet pewna, czy mogę wciąż tak nazywać to miejsce. Od miesięcy tęskniłam za Londynem – znajomymi ulicami, ulubionymi sklepami, koleżankami, moim pokojem. Tęskniłam nawet za tą okropną pogodą. Ale teraz wszystko wydawało się inne i obce. Zapukałam nerwowo do drzwi.

Zero odpowiedzi. Byłam pewna, że na mnie czekają. Zapukałam jeszcze raz.

Może się chowali, czekając, aż wejde. Wyobraziłam sobie dziadków, Liz i Emmę pochowanych za meblami, czekających tylko, żeby wyskoczyć, krzycząc: „Niespodzianka!”.

Hmm... Babcia i dziadek skuleni za kanapą i skaczący. Mało prawdopodobne.

Znalazłam klucz i otwierałam drzwi.

Salon był ciemny i pusty. Na schodach nie świeciła się lampa, do czego babcia nigdy nie dopuszcza, ponieważ śmiertelnie boi się upadku ze schodów. Telewizor dziadka był wyłączony, co też wydawało się bardzo dziwne. Dziadek zawsze włączał mecz rugby, nawet jeśli go nie oglądał.

Powąchałam powietrze. Szósta po południu czasu londyńskiego, a mimo to z kuchni nie dochodzi zapach przypalanych ciasteczek. Do tej godziny babcia powinna już była spalić co najmniej jedną tackę biszkoptów. Taka była tradycja.

Wyciągnęłam komórkę, żeby zadzwonić do Liz i Emmy, ale telefon zdechł. *A wiedziałam, że ładowałam baterię.*

W moim umyśle właśnie zaczęła formować się myśl – *grozi mi niebezpieczeństwo* – kiedy drzwi wejściowe zatrasnęły się za mną. Obróciłam się szybko, sięgając po różdżkę, której nie miałam przy sobie.

Nade mną, z góry ciemnej klatki schodowej, rozległ się sykliwy głos, który z pewnością nie należał do człowieka.

– Witaj w domu, Sadie Kane.

5. Jak nauczyłem się nienawidzić żuków gnojowych

Dzięki, Sadie.

Zawsze mi przekazujesz mikrofon, kiedy dochodzisz do najlepszego.

No tak, Sadie wyjechała na swoją urodzinową wycieczkę do Londynu. Za cztery dni miał nastąpić koniec świata, mieliśmy zadanie do wykonania, a ona jedzie na imprezę z przyjaciółkami. To się nazywa jasno określone priorytety, co? Nie żebym czuł się rozgoryczony albo co.

Plusem było to, że w Domu Brooklyńskim zrobiło się bardzo spokojnie, kiedy wyjechała, w każdym razie aż do pojawienia się trzygłowego węża. Ale najpierw powinienem wam opowiedzieć o mojej wizji.

Sadie wspominała, że coś przed nią ukrywałem przy śniadaniu, zgadza się? No, coś było na rzeczy. Ale prawdę mówiąc, to, co zobaczyłem poprzedniej nocy, przeraziło mnie tak bardzo, że nie miałem ochoty o tym rozmawiać, zwłaszcza w jej urodziny.

Zdarzały mi się dziwaczne rzeczy, odkąd zacząłem uczyć się magii, ale to zasługiwało na Nagrodę Nobla w dziedzinie niesamowitości.

Po wyprawie do Muzeum Brooklyńskiego miałem kłopoty ze snem. Kiedy w końcu udało mi się zasnąć, obudziłem się w innym ciele.

To nie była wędrówka duszy ani sen. Byłem Horusem Mścicielem. Wcześniej zdarzało mi się dzielić ciało z Horusem. Przebywał w mojej głowie przez prawie tydzień podczas świąt, szepcząc podpowiedzi i zachowując się przy tym irytująco. Podczas walki przy czerwonej piramidzie doświadczyłem idealnego stopienia się jego myśli z moimi. Stałem się tym, co Egipcjanie nazywali „Okiem” boga – miałem na swoje rozkazy całą jego moc, nasze wspomnienia się mieszały, człowiek i bóg działali wspólnie. Ale mimo to miałem własne ciało.

Tym razem było na odwrót. Byłem gościem w ciele Horsa, stałem na dziobie łodzi płynącej po magicznej rzece w Duat. Mój wzrok był ostry jak u sokoła. Przez mgłę widziałem kształty poruszające się w wodzie: łuskowate gadzie grzbiety i potworne płetwy. Widziałem duchy zmarłych snujące się

na drugim brzegu. Daleko w górze sklepienie grotty połyskiwało czerwienią, jakbyśmy płynęli gardłem żywego stworzenia.

Moje ramiona były brązowe i muskularne, otoczone naramiennikami ze złota i lapis-lazuli. Na sobie miałem skórzaną zbroję bitewną, w jednej ręce dzierżyłem oszczep, a w drugiej chepesz. Czułem się silny i potężny jak... no, jak bóg.

– *Cześć, Carterze* – odezwał się Horus, co zabrzmiało, jakbym mówił sam do siebie.

– *Co się dzieje, Horusie?* – Nie powiedziałem mu, że zdenerwował mnie tym wtargnięciem w mój sen. Nie musiałem. Dzieliliśmy myśli.

– *Odpowiedziałem na twoje pytania* – odparł Horus. – *Powiedziałem ci, gdzie znaleźć pierwszy zwój. Teraz ty musisz zrobić coś dla mnie. Chciałbym ci coś pokazać.*

Łódź pomknęła do przodu. Chwyciłem za reling na podeście nawigacyjnym. Spoglądając za siebie, zauważyłem, że znajduję się na barce faraona, mającej około dwudziestu metrów długości i przypominającej nieco ogromne kanu. Na środku potargane zadaszenie osłaniało puste podium, na którym kiedyś zapewne stał tron. Pojedynczy maszt podtrzymywał kwadratowy żagiel, niegdyś ozdobiony malunkiem, ale teraz wyblakły i podarty. Z obu burt zwieszały się bezużyteczne połamane wiosła.

Ta łódź nie była używana chyba od stuleci. Olinowanie pokrywały pajęczyny. Liny wyglądały na przegniłe. Deski poszycia trzeszczały i jęczały, kiedy łódź nabierała prędkości.

– *Jest stara jak Ra* – powiedział Horus. – *Naprawdę chcesz przywrócić życie tej łodzi? Pokażę ci, czemu się przeciwstawiasz.*

Ster skierował nas w prąd. Nagle pędziliśmy w dół rzeki. Zdarzało mi się już wcześniej pływać po Rzece Nocy, ale tym razem najwyraźniej byliśmy znacznie głębiej w Duat. Powietrze było chłodniejsze, nurt szybszy. Przeskoczyliśmy kataraktę i znaleźliśmy się w powietrzu. Kiedy znów wylądowaliśmy na wodzie, potwory zaczęły atakować. Wynurzały się przeraźliwe kształty: morski smok o kocich oczach, krokodyl z igłami jeżozwierza, wąż ze zmumifikowaną ludzką głową. Ilekroć jakiś łeb wychylał się nad wodę, unosiłem miecz i ścinałem go albo też dźgałem włócznią, żeby odepchnąć potwora od łodzi. Ale one tylko przybywały, zmieniając kształty, a ja wiedziałem, że gdybym nie był Horusem Mścicielem – gdybym był tylko Carterem Kane'em usiłującym poradzić sobie z tymi potwornościami – zwariowałbym, umarł albo jedno i drugie.

– *Podróż wyglądała tak co noc* – mówił dalej Horus. – *I to nie Ra walczył*

z potworami chaosu. To my, pozostali bogowie, ubezpieczaliśmy go. Powstrzymywaliśmy Apopisa i jego sługi.

Skoczyliśmy nad kolejnym wodospadem i z całą mocą wpadliśmy w wir. Jakimś cudem udało nam się nie przewrócić. Łódź wyskoczyła z prądu i popłynęła ku brzegowi.

Brzeg rzeki był polem błyszczących kamieni – tak mi się przynajmniej wydawało. Kiedy się przybliżyliśmy, dostrzegłem, że były to pancerze chrząszczy – miliony zasuszonych pancerzyków ciągnących się w mrok po horyzont. Kilka żywych skarabeuszy poruszało się powoli pomiędzy pustymi pancerzykami, wydawało się więc, że wszystko pozostaje w ruchu. Nie zamierzam nawet próbować opisać smrodu kilku milionów martwych żuków gnojowych.

– *Więzienie Węża* – powiedział Horus.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu celi więziennej, łańcuchów, lochu albo czegoś w tym rodzaju. Widziałem jednak wyłącznie ciągnące się w nieskończoność martwe chrząszcze.

– *Gdzie?* – zapytałem.

– *Pokazuję ci to miejsce w taki sposób, żebyś zrozumiał* – odparł Horus. – *Gdybyś tu był osobiście, splonąłbyś na popiół. Gdybyś zobaczył to miejsce takim, jakie jest, twoje ograniczone śmiertelne zmysły stopiłyby się.*

– *Super* – mruknąłem. – *Podoba mi się idea stopionych zmysłów.*

Łódź zazgrzytała o brzeg, płosząc kilka żywych skarabeuszy. Cała plaża jakby drgała i wiła się.

– *Kiedyś wszystkie te skarabeusze były żywe* – powiedział Horus. – *Stanowiły symbol odrodzenia Ra i powstrzymywania nieprzyjaciela. Teraz zostało raptem kilka. Wąż powoli przegryza się ku wyjściu.*

– *Chwila* – wtrąciłem się. – *Myślisz, że...*

Przede mną brzeg uniósł się, jakby coś znajdującego się poniżej wypychało się do góry – jakiś wielki kształt usiłujący wyrwać się na wolność.

Chwyliłem mocniej miecz oraz oszczep i pomimo siły i odwagi Horusa przyłapałem się na drzeniu. Pod pancerzykami skarabeuszy rozjarzyło się czerwone światło. Chityna zatrzęszczała i uniosła się, kiedy to coś pod spodem uniosło się ku powierzchni. Przez coraz cieńszą warstwę martwych chrząszczy spojrzę na mnie trzymetrowe czerwone koło: oko węża, pełne nienawiści i głodu. Nawet w mojej obecnej boskiej postaci czułem potęgę chaosu zalewającą mnie niczym śmiertelne promieniowanie, gotującą mnie od środka, wżerającą się

w moją duszę – i uwierzyłem w słowa Horusa. Gdybym zjawił się tu we własnym ciele, spłonąłbym na popiół.

– *Uwalnia się.* – Panika chwyciła mnie za gardło. – *Horusie, on się wydobywa na powierzchnię...*

– *Owszem* – odparł. – *Wkrótce...*

Horus poprowadził moją rękę. Uniosłem włócznię i cisnąłem ją w oko. Apopis ryknął z wściekłości. Brzeg rzeki zatrzęsł się. Następnie Apopis zanurkował pod pancerzyki martwych skarabeuszy i czerwona poświata zgasła.

– *...Ale nie dziś* – dokończył Horus. – *W równonoc więzy będą na tyle słabe, że Wąż zdoła się wreszcie uwolnić. Zostań znowu moim awatarem, Carterze. Pomóż mi poprowadzić bogów do bitwy. Razem możemy powstrzymać Apopisa. Ale jeśli obudzisz Ra, a on odzyska tron, to czy będzie miał siłę, żeby rządzić? Czy ta łódź ma szansę pożeglować znów przez Duat?*

– *Czemu zatem pomogłeś mi znaleźć zwój?* – zapytałem. – *Skoro nie chcesz, żeby Ra się obudził...*

– *To musi być twoja decyzja* – odparł Horus. – *Wierzę w ciebie, Carterze Kane. Cokolwiek postanowisz, będziesz miał moje wsparcie. Ale wielu z pozostałych bogów nie podziela mojego zdania. Są przekonani, że mamy większe szanse, jeśli to ja będę ich królem i dowódcą i poprowadzę ich do walki z Wężem. Uważają twój plan obudzenia Ra za głupi i niebezpieczny. Tyle mogę zrobić, żeby udaremnić otwarty bunt. Nie wiem, czy uda mi się powstrzymać ich przed atakowaniem ciebie i próbą zniszczenia twoich planów.*

– *Tylko tego nam trzeba* – mruknąłem. – *Kolejnych wrogów.*

– *Nie musi tak być* – odparł Horus. – *Widziałeś wroga. Kto twoim zdaniem ma większe szanse przeciwstawić się Panu Chaosu – Ra czy Horus?*

Łódź oddaliła się od mrocznego brzegu. Horus uwolnił moje ba i moja świadomość popłynęła z powrotem do świata śmiertelników niczym balonik napełniony helem. Przez resztę nocy śniła mi się równina pełna martwych skarabeuszy i czerwone oko połyskujące z głębi słabnącego więzienia.

Teraz wiecie, dlaczego następnego dnia byłem nieco nie w sosie.

Długo zastanawiałem się, czemu Horus pokazał mi tę wizję. Oczywiście odpowiedź: był teraz królem bogów. Nie chciał, żeby Ra wrócił i obalił jego władzę. Bogowie zazwyczaj są samolubni. Nawet kiedy nam pomagają, zwykle mają swoje własne powody. Dlatego nie należy pochopnie obdarzać ich zaufaniem.

Z drugiej strony Horus miał poniekąd rację. Ra był stary już pięć tysięcy lat temu. Nikt nie wie, jak się ma teraz. Nawet jeśli zdołamy go obudzić, nie mamy gwarancji, że nam pomoże. Jeśli jest w równie złej kondycji jak jego barka, nie widzę możliwości, żeby pokonał Apopisa.

Horus zapytał mnie, kto ma większe szanse przeciwko Panu Chaosu. Chcecie poznać straszną prawdę? Kiedy głęboko się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że żadne z nas. Nie bogowie. Nie magowie. Nawet nie my wszyscy razem. Horus chciał być królem i poprowadzić bogów do bitwy, ale ten przeciwnik był potężniejszy niż wszystko, z czym dotąd miał do czynienia. Apopis jest tak stary jak wszechświat i lęka się tylko jednego wroga: Ra.

Wezwanie Ra może nie zadziałać, ale instynkt podpowiadał mi, że to nasza jedyna szansa. I prawdę mówiąc, to, że wszyscy – Bastet, Horus i nawet Sadie – powtarzali mi, że to zły pomysł, tylko utwierdzało mnie w przekonaniu, że należy to zrobić. Jestem pod tym względem dość uparty.

„Dobry wybór rzadko jest łatwym wyborem”, jak mawiał mój tato.

On przeciwstawił się całemu Domowi Życia. Poświęcił własne życie, żeby wyzwolić bogów, ponieważ był przekonany, że tylko tak może ocalić świat. A teraz to ja musiałem podjąć trudną decyzję.

Nie będę powtarzał opowieści o śniadaniu i kłótni z Sadie. Kiedy wskoczyła w portal, zostałem na dachu, w towarzystwie mojego najnowszego przyjaciela, zwariowanego gryfa.

Dał się ŚWIIIIIR tak często, że postanowiłem dać mu na imię Świrus – pasowało to zresztą do jego osobowości. Byłem przekonany, że zniknie przez noc – odleci albo powróci do Duat – ale jemu najwyraźniej spodobało się na nowej grzędzie. Wymościlem ją stertą porannych gazet, w których na pierwszych stronach rozpisywano się o wczorajszym dziwnym wybuchu gazu w całym Brooklynie. Wedle dziennikarzy gaz rozpalił widmowe ogniki w całej dzielnicy, spowodował poważne straty w muzeum i przyprawił sporo ludzi o mdłości, senność, a nawet halucynacje, w których widzieli kolibry wielkości nosorożców. Głupi gaz.

Rzucałem właśnie Świrusowi kolejne pieczone indyki (rany, ale on ma apetyt), kiedy koło mnie pojawiła się Bastet.

– Zazwyczaj lubię ptaki – oznajmiła – ale to coś mnie niepokoi.

– ŚWIIIIIR! – powiedział Świrus. Przyglądali się sobie z Bastet, jakby oboje zastanawiali się, jak to drugie będzie smakować na lunch.

Kocia bogini prychnęła.

– Nie zamierzasz go tu trzymać, prawda?

– Wiesz, nie jest przecież uwiązany – odparłem. – Może odlecieć, jeśli chce. Ale chyba mu się tu spodobało.

– Super – mruknęła. – Kolejne coś, co może cię zabić, kiedy mnie nie będzie.

Osobiście uważałem, że Świrus i ja świetnie się dogadywaliśmy, ale nie przychodziło mi do głowy nic, czym mógłbym uspokoić Bastet.

Była ubrana jak do podróży. Na codzienny kombinezon w lamparcie cętki miała narzucony długi czarny płaszcz haftowany w ochronne hieroglify. Kiedy się poruszała, tkanina migotała, tak że Bastet zniknęła i pojawiała się na przemian.

– Uważaj na siebie – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Jestem kotem, Carterze. Potrafię o siebie zadbać. Bardziej będę się martwić o ciebie i Sadie pod moją nieobecność. Co jeśli twoja wizja była prawdziwa i więzienie Apopisa właśnie się rozpada...? No, wróć, jak tylko będę mogła.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Jeśli moja wizja była prawdziwa, to znaleźliśmy się w niezłych tarapatach.

– Może nie być ze mną kontaktu przez kilka dni – ciągnęła bogini. – Mój przyjaciel powinien się tu zjawić, zanim ty i Sadie wyruszyacie jutro na misję. On zatroszczy się o to, żebyście oboje przeżyli.

– Nie możesz mi powiedzieć, jak on się nazywa?

Bastet spojrzała na mnie rozbawiona albo podenerwowana – a może jedno i drugie.

– Trochę trudno to wyjaśnić. Pozwolę mu przedstawić się osobiście.

Po tych słowach pocałowała mnie w czoło.

– Uważaj na siebie, kociątko.

Byłem zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Widziałem w Bastet opiekunkę Sadie. Siebie jako rodzaj dodatku. Ale w jej głosie było tyle czułości, że chyba się zaczerwieniłem. Podbiegła do krawędzi dachu i skoczyła.

Nie przstraszyło mnie to. Byłem całkowicie pewny, że wylądowała na czterech łapach.

Chciałem, żeby uczniowie czuli się normalnie, więc poprowadziłem poranną lekcję. Nazywała się Rozwiązywanie Problemów za Pomocą Magii – poziom podstawowy. Uczniowie przezwali ją jednak Wszystko, Co Działa.

Zadawałem uczniom zadania, a oni mogli je rozwiązywać w dowolny

wybrany sposób. Gdy tylko im się udało, mogli wyjść z lekcji.

Nie wyglądało to chyba jak prawdziwa szkoła, w której musisz zostać do końca dnia, nawet jeśli nie masz nic do roboty, ale ja przecież nigdy nie chodziłem do prawdziwej szkoły. Przez wszystkie lata nauki domowej z tatą uczyłem się własnym rytmem. Kiedy rozwiązałem jakieś zadania w taki sposób, że satysfakcjonowało to tatę, szkoła się kończyła. Podobał mi się taki system, a moim uczniom najwyraźniej też.

Wydawało mi się, że również Ziyi Rashid by się spodobał. Kiedy po raz pierwszy uczyliśmy się pod jej opieką, powiedziała, że magii nie da się nauczyć na lekcjach i z podręczników. Trzeba się jej uczyć w działaniu. Dlatego na Rozwiązywaniu Problemów za Pomocą Magii po prostu siedzieliśmy w sali treningowej i rozwalaliśmy różne przedmioty.

Dziś miałem czwórkę uczniów. Pozostali zajmowali się badaniem własnych ścieżek magii, ćwiczeniem zaklęć lub też odrabianiem zwykłych zadań szkolnych pod opieką naszych rekrutów w wieku studenckim. Bastet, która była naszą główną dorosłą opiekunką pod nieobecność Amosa, uparła się, żeby wszyscy byli na bieżąco z przedmiotami takimi jak matematyka czy literatura, chociaż sama czasami dodawała własne kursy, takie jak Opieka nad Kotami dla Zaawansowanych albo Sztuka Drzemki. Ten ostatni przedmiot cieszył się wielką popularnością.

Sala treningowa zajmowała większość drugiego piętra. Miała rozmiar mniej więcej boiska do koszykówki, do której zresztą była wykorzystywana wieczorami. Podłoga była tu drewniana, pod ścianami stały posągi bogów, a po sklepieniu przechadzali się starożytni Egipcjanie w charakterystycznym ujęciu z profilu. Na krótszych ścianach prostopadle do podłogi umieściliśmy wysokie na trzy metry statuetki Ra z głową sokoła i wycięliśmy słoneczne dyski na ich głowach, tak żeby posługiwać się nimi jak obręczami do kosza. Pewnie było to świętokradztwo, ale... ojej, jeśli Ra nie ma poczucia humoru, to jego problem.

Walt czekał na mnie z Julianem, Feliksem i Alyssą. Jaz prawie zawsze przychodziła na te treningi, ale oczywiście teraz była w śpiączce... i to był problem, którego nikt z nas nie potrafił rozwiązać.

Usiłowałem przybrać minę pewnego siebie nauczyciela.

– Dobra, ludzie. Dziś będziemy ćwiczyć walkę. Zaczniemy od prostych symulacji.

Wyjąłem z torby cztery figurki uszebti i rozstawiłem je w różnych kątach sali. Przed każdą z nich ustawiłem jednego ucznia. Następnie wymówiłem słowo

rozkazu. Cztery figurki urosły do rozmiarów pełnowymiarowych egipskich wojowników uzbrojonych w miecze i tarcze. Nie wyglądali za bardzo realistycznie. Widać było, że ich skóra jest z polewanej ceramiki, no i poruszali się wolniej od zwykłych ludzi, ale na początek się nadawali.

– Felix? – zawołałem. – Żadnych pingwinów.

– O nie, dlaczego?

Felix uważał, że pingwiny są odpowiedzią na każdy problem, ale to nie było w porządku wobec tych ptaków, a ja miałem już dość teleportowania ich z powrotem do domu. Gdzieś na Antarktydzie całe stada pingwinów Magellana przechodziły teraz psychoterapię.

– Start! – wrzasnąłem i uszebti zaatakowały.

Julian, wysoki siódmoklasista, który już wybrał ścieżkę Horusa, ruszył natychmiast do walki. Nie nauczył się jeszcze dobrze wzywać awatarów bitewnych, ale zamknął swoją dłoń w złotej energii niczym kulę wyburzającą i uderzył w uszebti. Wojownik poleciał na ścianę, rozlatując się na kawałki. Jeden zero.

Alyssa studiowała ścieżkę Geba, boga ziemi. Nikt w Domu Brooklyńskim nie był ekspertem od magii ziemi, ale Alyssa rzadko potrzebowała pomocy. Wychowała się w rodzinie garncarzy z Północnej Karoliny i pracowała z gliną od dzieciństwa.

Uskoczyła przed nieporadnym zamachem mieczem i dotknęła pleców uszebti. Na glinianej zbroi rozbrzysk hieroglif:



Wojownikowi nic się nie stało, ale kiedy się odwrócił, by znów zaatakować, Alyssa nie ruszyła się z miejsca. Miałem już krzyknąć na nią, żeby się chowała, ale uszebti jej nie trafił. Ostrze uderzyło o podłogę, a wojownik się zatoczył. Zaatakował ponownie, wymachując mieczem z tuzin razy, ale głownia ani razu nie zbliżyła się do Alyssy. W końcu odwrócił się skołowany i poczłapał do kąta, gdzie uderzył głową w ścianę i zatrzymał się gwałtownie.

Alyssa uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Seper – wyjaśniła. – Hieroglif oznaczający „nietrafianie”.

– Dobry pomysł – pochwaliłem ją.

Felix tymczasem znalazł niepingwinie rozwiązanie. Nie miałem pojęcia, w jakim typie magii ten chłopak będzie się specjalizował, ale dziś zastosował metodę prostą i siłową. Chwycił leżącą na ławce piłkę do koszykówki, odczekał, aż uszebtli się zbliży, a następnie uderzył piłką w głowę wojownika. Wyczucie czasu miał fenomenalne. Uszebtli stracił równowagę i upadł, gubiąc po drodze jedną rękę. Felix podszedł do niego i skacząc po nim, roztrzaskał go na kawałki.

Następnie spojrzał na mnie z satysfakcją.

– Nie powiedziałaś, że musimy posłużyć się magią.

– W porządku. – Postanowiłem zapamiętać, żeby unikać gry w koszykówkę z Feliksem.

Najciekawszy widok zapewnił nam Walt. Był on sau, twórcą zaklętych amuletów, toteż zazwyczaj walczył za pomocą wszelkich dostępnych magicznych przedmiotów. Nigdy nie wiedziałem, co mu strzeli do głowy.

Jeśli chodzi o ścieżkę, Walt nie zdecydował jeszcze, magię jakiego bóstwa chce zgłębiać. Był świetnym badaczem jak Thot, bóg wiedzy. Potrafił posługiwać się zwojami i wywarami niemal tak dobrze jak Sadie, mógł więc też wybrać ścieżkę Izydy. Mógł także zdecydować się na Ozyrysa, ponieważ miał naturalny talent do ożywiania przedmiotów martwych.

Dziś zwlekał, obracając w palcach amulety i rozważając możliwości. Kiedy wojownik uszebtli się zbliżył, Walt cofnął się. Jeśli ten chłopak miał jakąś słabość, to była nią ostrożność. Lubił długo się namyślać, zanim cokolwiek zrobił. Innymi słowy, był całkowitym przeciwieństwem Sadie.

[Nie bij mnie, siostra. To prawda!]

– Dalej, Walt – zawołał Julian. – Zabij go!

– Masz to jak w banku – powiedziała Alyssa.

Walt wziął do ręki jeden ze swoich pierścieni, po czym cofnął się i wpadł na rozbitego wojownika Feliksa.

– Uważaj! – krzyknąłem.

Ale Walt poślizgnął się i runął na podłogę. Jego uszebtli ruszył do przodu, wymachując mieczem.

Pobiegłem na pomoc, ale byłem za daleko. Ręka Walta unosiła się już instynktownie, żeby zablokować uderzenie. Zaczarowane gliniane ostrze było niemal tak ostre jak z prawdziwego metalu. Powinno porządnie zranić Walta, ale on chwycił je i uszebtli się zatrzymał. Głownia miecza poszarzała pod palcami Walta i pokryła się siatką pęknięć. Cały wojownik poszarzał i uszebtli rozleciał się w pył.

Walt wyglądał na oszołomionego. Otworzył dłoń, która była całkiem zdrowa.

– Ale super! – krzyknął Felix. – Co to był za amulet?

Walt zerknął na mnie nerwowo, a ja znałem odpowiedź. To nie był amulet. Walt nie miał pojęcia, jak to zrobił.

To by już wystarczyło jako przygoda dnia. Naprawdę. Ale dziwaczne zdarzenia dopiero się rozkręcały.

Zanim ktokolwiek z nas zdążył się odezwać, podłoga zatrzęsła się. Pomyślałem, że może to magia Walta rozprzestrzenia się na budynek, co nie byłoby dobre. A może ktoś pod nami znów eksperymentował z zaklęciami wybuchowymi.

– Chłopaki... – jęknęła Alyssa.

Wskazała na posąg Ra wystający ze ściany trzy metry nad nami. Nasza boska obręcz do koszykówki się rozpadała.

Z początku nie byłem pewny, co widzę. Rzeźba nie rozpadała się w pył jak uszebtu, ale pękała na kawałki, które spadały na ziemię. Nagle poczułem ucisk w żołądku. Te kawałki nie były kamieniem. Posąg zmieniał się w pancerzyki skarabeuszy.

Rzeźba rozpadła się całkowicie i sterta martwych żuków gnojowych zaczęła się ruszać. Wychyliły się z niej trzy węzowe głowy.

Nie będę ukrywał: wpadłem w panikę. Myślałem, że moja wizja Apopisa staje się prawdą tu i teraz. Cofnąłem się tak szybko, że wpadłem na Alyssę. Nie wybiegłem natychmiast z pokoju wyłącznie dlatego, że uczniowie wpatrywali się we mnie, czekając na jakieś kojące słowa.

To nie może być Apopis – powtarzałem sobie.

Węże wysunęły się spomiędzy chrząszczy i dostrzegłem, że to nie są trzy różne zwierzęta. Była to jedna wielka kobra o trzech głowach. Żeby było jeszcze dziwniej, kobra wysunęła parę sokolich skrzydeł. Jej tułów był gruby jak moja noga. I tak wysoki jak ja, ale nie dość wysoki, jak na Apopisa. No i oczy tego węża nie płonęły czerwienią. Były to zwyczajne, choć dość niesamowite zielone węzowe oczy.

A jednak... kiedy wszystkie trzy głowy wlepiły wzrok prosto we mnie, nie powiem, żebym czuł się pewnie.

– Carter? – zapytał Felix z niepokojem. – Czy to dalszy ciąg lekcji?

Waż syknął harmonijnie trzema głosami. Miałem wrażenie, że jego głos odezwał się w mojej głowie – i brzmiał zupełnie jak *bau* w Muzeum Brooklyńskim.

– *Ostatnie ostrzeżenie, Carterze Kane* – powiedział głos. – *Oddaj mi zwój.*

Serce we mnie zamarło. Zwój... Sadie dała mi go po śniadaniu. A ja powinienem był go gdzieś zamknąć, schować w jednej z bezpiecznych skrytek w bibliotece, a tymczasem jak głupi nosiłem go wciąż w torbie na ramieniu.

– *Kim jesteś?* – zapytałem węża.

– Carter? – Julian dobył miecza. – *Atakujemy?*

Uczniowie najwyraźniej nie słyszeli mojej rozmowy z wężem.

Alyssa uniosła rękę, jakby zamierzała złapać piłkę. Walt ustawił się między wężem a Feliksem, który wychylał się zza jego nóg.

– *Daj mi zwój.* – Wąż zwinął się jak do uderzenia, rozgniatając puste pancerzyki swoim ciałem. Rozłożył skrzydła tak szeroko, że mógłby nas wszystkich w nie zagarnąć. – *Porzuć swoją misję albo ja zniszczę dziewczynę, której szukasz, tak jak zniszczyłem jej wioskę.*

Usiłowałem dobyć miecza, ale ręce miałem bezwolne. Byłem jak sparaliżowany, jakby te trzy pary oczu wprawiły mnie w jakiś trans.

Jej wioskę – pomyślałem. – *Wioskę Ziyi.*

Wężę nie umięją się śmiać, ale w syku tego stwora słychać było rozbawienie.

– *Musisz dokonać wyboru, Carterze Kane – dziewczyna czy bóg. Porzuć tę głupią misję albo wkrótce i ty będziesz kolejną suchą skorupką jak skarabeusze Ra.*

Gniew mnie uratował. Otrząsnąłem się z paraliżu i wrzasnąłem: – *Do ataku!* – w chwili gdy kobra otwierała paszczę, zionąc trzema słupami ognia.

Uniosłem zieloną tarczę magii, żeby odbić płomień. Julian cisnął mieczem jak toporkiem. Alyssa zrobiła gest ręką i trzy kamienne posągi zeskoczyły z cokołów, lecąc ku wężowi. Walt wystrzelił błyskawicę szarego światła z różdżki. A Feliks zdjął lewy but i rzucił nim w potwora.

Nie chciałem być w skórze tej kobry. Miecz Juliana uciął jeden z łbów. But Feliksa odbił się od drugiego. Wystrzał z różdżki Walta zamienił trzecią w pył. Następnie runęły na nią posągi Alyssy, grzebiąc węża pod masą kamienia.

To, co zostało z cielska kobry, rozsypało się w piasek.

W sali zapanowała nagła cisza. Czwórka moich uczniów wpatrywała się we mnie. Schyliłem się i podniosłem jeden z pancerzyków.

– *To była część lekcji, prawda, Carter?* – zapytał Felix. – *Powiedz, że tak.*

Myślałem o głosie węża – tym samym, którym mówiło *bau* w Muzeum Brooklyńskim. Uświadomiłem sobie, skąd znam ten głos. Słyszałem go podczas

bitwy pod czerwoną piramidą.

– Carter? – Felix wyglądał tak, jakby miał się lada moment rozpłakać. Tyle z nim zawsze było kłopotów, że zdarzało mi się zapominać, że ma tylko dziewięć lat.

– Tak, to tylko test – skłamałem. Spojrzałem na Walta i zawarliśmy milczące porozumienie: *Porozmawiamy o tym później*. Najpierw jednak musiałem odpytać kogoś innego. – Lekcja skończona.

I pobiegłem szukać Amosa.

6. Wanienka dla ptaków

Amos obracał panczerzyk skarabeusza w palcach.
– Trzygłowy wąż, mówisz.

Miałem poczucie winy, że zrzucam to na niego. Dużo przeszedł od świąt. Potem w końcu się wyleczył i wrócił do domu, a tu bum – naszą salę treningową nawiedza potwór. Nie wiedziałem jednak, z kim innym mógłbym porozmawiać. Żałowałem nawet, że Sadie nie było w pobliżu.

[Dobra, dobra, Sadie, nie pusz się. Aż tak bardzo nie żałowałem].

– Aha – odparłem – skrzydlaty i z pyskami jak miotacze ognia. Widziałeś już kiedyś coś takiego?

Amos położył panczerzyk na stole. Pstryknął go palcem, jakby miał nadzieję, że przywróci go do życia. Byliśmy w bibliotece sami, co było niezwykle. Przeważnie to wielkie okrągłe pomieszczenie pełne było uczniów szukających w niszach zwojów albo też rozsyłających uszebti po całym świecie, żeby przynosiły zabytkowe przedmioty, książki albo pizzę. Na podłodze wymalowany był obraz boga ziemi Geba, z ciałem upstrzonym drzewami i rzekami. Nad nami na suficie rozpościerała się bogini nieba Nut o gwieździstej skórze. Zwykle czułem się bezpiecznie w tej sali, ukryty pomiędzy dwójką bóstw, które kiedyś okazały nam życzliwość. Ale teraz rozglądałem się po uszebti rozstawionych po bibliotece, zastanawiając się, czy zamienią się w skorupki chrząszczy albo postanowią nas zaatakować.

W końcu Amos odezwał się rozkazującym tonem: – *Mach*.

„Płon”.

Niewielki czerwony hieroglif rozbłysł nad skarabeuszem:



Panczerzyk wybuchnął płomieniem i rozsypał się w małą stertę popiołu.

– Wydaje mi się, że pamiętam malowidło – powiedział Amos – w grobowcu Totmesa III. Był tam trzygłowy skrzydlaty wąż, taki, jakiego opisałeś. Ale co to

oznacza... – Pokręcił głową. – W legendach egipskich węże bywają dobre albo złe. Mogą być wrogami Ra albo jego opiekunami.

– To nie był opiekun – odparłem. – Chciał zwoju.

– Ale miał trzy głowy, co może symbolizować potrójny aspekt Ra. No i powstał z roztraskanego posągu Ra.

– On nie pochodził od Ra – upierałem się. – Dlaczego Ra miałby nas powstrzymywać przed znalezieniem go? A poza tym poznałem głos tego węża. To był głos twojego... – ugryzłem się w język. – No wiesz, to był głos sługi Seta z czerwonej piramidy... tego, którego opętał Apopis.

Wzrok Amosa zamglił się.

– Straszliwe Oblicze – przypomniał sobie. – Myślisz, że to Apopis przemawiał przez tego węża?

Kiwnąłem głową.

– Myślę, że to on założył te pułapki w Muzeum Brooklyńskim. Mówił do mnie ustami tamtego *bau*. Skoro jest tak potężny, że może przeniknąć do tej rezydencji...

– Nie, Carterze. Nawet jeśli masz rację, to nie był Apopis we własnej osobie. Gdyby wyrwał się z więzienia, wstrząsnęłoby to Duat tak potężnie, że każdy mag by to wyczuł. Ale opętanie umysłów sług, a nawet wysyłanie ich do strzeżonych miejsc, żeby doręczyć wiadomość – to znacznie łatwiejsze. Nie sądzę, żeby ten wąż mógł poważnie cię zranić. Był raczej słaby po przełamaniu naszych zabezpieczeń. Został wysłany jako ostrzeżenie, no i żeby cię wystraszyć.

– To mu się udało – zauważyłem.

Nie pytałem Amosa, skąd tyle wiedział o opętaniach i metodach działania chaosu. To, że jego ciało przejął kiedyś zły bóg Set, dało mu pewną wiedzę o takich sprawach. Teraz sprawiał wrażenie zdrowego, ale jedno wiedziałem z mojego doświadczenia dzielenia umysłu z Horusem: jeśli uczynisz gościny bogu – dobrowolnie czy nie – nigdy nie będziesz taki jak dawniej. Pozostaje pamięć, a nawet pewne ślady mocy boskiej. Nie dało się nie zauważyć, że barwa magii Amosa się zmieniła. Dawniej była niebieska. Teraz, kiedy przywoływał hieroglify, świeciły czerwienią – kolorem Seta.

– Wzmocnię zaklęcia nałożone na dom – obiecał. – Najwyższy czas ulepszyć zabezpieczenia. Postaram się, żeby Apopis nie mógł już przysyłać tu swoich sług.

Skinąłem głową, ale ta obietnica niespecjalnie mnie pocieszyła. Jutro, *jeśli* Sadie wróci bezpiecznie, mieliśmy ruszyć na poszukiwanie pozostałych dwóch zwojów Księgi Ra.

Jasne, przeżyliśmy poprzednią walkę z Setem, ale Apopis to całkiem inna sprawa. No i nie dzieliliśmy już ciał z bogami. Byliśmy po prostu parą dzieciaków walczących ze złymi magami, demonami, potworami, duchami i odwiecznym Panem Chaosu. Na liście plusów miałem dziwną siostrę, miecz, pawiana i gryfa z zaburzeniami osobowości. Bilans nie wypadł pomyślnie.

– Amosie – odezwałem się – a co jeśli nie mamy racji? Jeśli przebudzenie Ra nie zadziała?

Dawno już nie widziałem uśmiechu na twarzy mojego stryja. Amos nie bardzo przypominał tatę, ale kiedy się uśmiechał, robiły mu się podobne zmarszczki wokół oczu.

– Spójrz, chłopcze, co już osiągnęliście. Razem z Sadie odkryliście na nowo rodzaj magii, którego nie uprawiano od tysięcy lat. W dwa miesiące wasi rekruci zrobili większe postępy niż adepci pierwszego nomu przez dwa lata. Walczyliście z bogami. Dokonaliście więcej niż jakikolwiek żyjący obecnie mag – nawet ja, nawet Michel Desjardins. Zaufaj swojemu instynktowi. Gdybym lubił hazard, zawsze stawiałbym pieniądze na ciebie i twoją siostrę.

Poczułem, że coś ściska mnie za gardło. Nikt mnie tak nie motywował do działania po odejściu taty i chyba nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebuję.

Niestety nazwisko Desjardinsa przypomniało mi, że mamy też inne problemy oprócz Apopisa. Kiedy tylko zaczęliśmy tę misję, rosyjski mag o wyglądzie lodziarza i przywisku Wład Parownik postanowił nas zamordować. A skoro Wład był trzecim pod względem potęgi magiem na świecie...

– Kto jest drugi? – zapytałem.

Amos zmarszczył brwi.

– O czym mówisz?

– Powiedziałaś, że ten Rosjanin, Wład Mienszykow, jest trzecim najpotężniejszym z żyjących magów. Desjardins jest najpotężniejszy. Kto więc jest drugi? Chciałbym wiedzieć, czy musimy uważać na jeszcze jednego nieprzyjaciela.

To, co powiedziałem, najwyraźniej rozbawiło Amosa.

– Nie przejmuj się tym. A poza tym niezależnie od zaszłości z Desjardinsem nie nazwałbym go prawdziwym wrogiem.

– Jemu to powiedz – wymamrotałem.

– Już to zrobiłem, Carterze. Rozmawialiśmy kilkakrotnie podczas mojego pobytu w pierwszym nomie. Myślę, że to, czego dokonaliście z Sadie pod

czerwoną piramidą, wstrząsnęło nim do głębi. On zdaje sobie sprawę, że nie zdołałby pokonać Seta bez waszej pomocy. Jest wam wciąż przeciwny, ale gdybyśmy mieli trochę czasu, może zdołałbym go przekonać...

Brzmiało to równie prawdopodobnie jak to, że Apopis i Ra zostają znajomymi na Facebooku, ale postanowiłem się nie odzywać.

Amos przesunął ręką nad blatem stołu, wymawiając zaklęcie. Pojawił się czerwony hologram Ra – miniaturowa replika posągu z sali treningowej. Bóg słońca wyglądał jak Horus: człowiek z głową sokoła. Ale w przeciwieństwie do Horusa Ra nosił słoneczny dysk jak koronę i trzymał w rękach laskę pasterską i bicz – dwa symbole władzy faraona. Ubrany był w szaty zamiast zbroi i siedział na tronie spokojnie, po królewsku, jakby z zadowoleniem przyglądał się, jak walczą inni. Obraz boga wyglądał dziwnie w czerwieni, połyskując kolorem chaosu.

– Musisz zastanowić się nad czymś innym – ostrzegł mnie Amos. – Nie mówię tego, żeby cię zniechęcać, ale zapytałeś, dlaczego Ra mógłby chcieć powstrzymać cię przed obudzeniem go. Księga Ra została podzielona nie bez powodu. Jej odnalezienie jest specjalnie utrudnione, żeby mogło się powieść jedynie temu, kto na to zasłużył. Musisz się spodziewać wyzwań i przeszkód na swojej drodze. Dwa pozostałe zwoje będą przynajmniej równie dobrze strzeżone jak pierwszy. No i powinienes zadać sobie pytanie: Co się stanie, kiedy obudzisz boga, który nie chce zostać obudzony?

Drzwi biblioteki otwały się z hukiem, a ja omal nie spadłem z krzesła. Do pomieszczenia weszła Cleo z trzema innymi dziewczynami, niosąc naręcza zwojów, śmiejąc się i trajkocząc.

– Moje uczennice. – Amos pstryknął palcami i hologram Ra zniknął. – Porozmawiamy jeszcze, Carterze, może po obiedzie.

Kiwnąłem głową, choć miałem przeczucie, że nie uda nam się dokończyć tej rozmowy. Kiedy spojrzałem za siebie w progu biblioteki, Amos witał się z uczennicami, od niechcenia strzepując ze stołu popioły pozostałe po pancerzyku skarabeusza.

Poszedłem do mojego pokoju, gdzie Chufu, rozwalony na łóżku, przewijał kanały sportowe. Miał na sobie ulubioną koszulkę Lakersów i miskę z fistaszkami ustawioną na brzuchu. Od czasu gdy do rezydencji wprowadzili się uczniowie, Wielka Sala stała się zbyt głośna, żeby Chufu mógł w spokoju oglądać telewizję, postanowił więc zostać moim współlokatorem.

Domyślałam się, że w założeniu był to komplement, ale dzielenie przestrzeni z pawianem nie jest łatwe. Myślicie, że tylko psy i koty linieją? Spróbujcie pozbyć się małpiej sierści z ubrania.

– Co słychać?

– *Agh!*

W zasadzie poza tym niewiele mówi.

– Super – odpowiedziałem. – Będę na balkonie.

Na zewnątrz było nadal zimno i deszczowo. Wiatr znad East River przyprawiłby pingwiny Feliksa o dreszcze, ale mnie nie przeszkadzał. Po raz pierwszy tego dnia nareszcie byłem sam.

Od kiedy do Domu Brooklyńskiego przybyli uczniowie, cały czas czułem się jak na cenzurowanym. Musiałem okazywać pewność siebie, nawet kiedy dręczyły mnie wątpliwości. Nie mogłem się na nikogo zezłościć (no, czasem robiłem wyjątek dla Sadie), a kiedy coś szło nie tak, nie wolno mi było uskarżać się zbyt głośno. Ci uczniowie przyjechali z daleka, żeby się tu szkolić. Wielu z nich walczyło po drodze z potworami i magami. Nie mogłem się przyznać, że nie mam pojęcia, co robić, albo zastanawiać na głos, czy ten pomysł ze ścieżką bogów nie pozabija nas wszystkich. Nie mogłem też powiedzieć: „Jak już tu przyjechaliście, uznałem, że może nie był to dobry pomysł”.

Czułem się tak natomiast bardzo często. A odkąd Chufu zagarnął mój pokój, balkon stał się jedynym miejscem, gdzie mogłem w samotności oddać się czarnym myślom.

Spojrzałem na Manhattan na drugim brzegu rzeki. Widok był wspaniały. Kiedy Sadie i ja po raz pierwszy przybyliśmy do Domu Brooklyńskiego, Amos powiedział nam, że magowie starają się trzymać z dala od Manhattanu. Że Manhattan ma inne problemy – cokolwiek to miało znaczyć. I czasami, kiedy patrzyłem ponad wodą, przysiągłbym, że coś tam widziałem. Sadie śmiała się z tego, ale kiedyś wydawało mi się, że widzę latającego konia. Może to tylko magiczne zabezpieczenia rezydencji wywoływały złudzenia optyczne, ale i tak było to dziwne.

Spojrzałem na jedyny sprzęt znajdujący się na balkonie: moją czarę do *patrzenia*. Wyglądała jak wanienska dla ptaków – spizowa miseczka na kamiennym cokole – ale był to mój ulubiony magiczny przedmiot. Walt wykonał ją dla mnie zaraz po swoim przyjeździe.

Pewnego dnia wspomniałem, że fajnie byłoby wiedzieć, co się dzieje w innych nomach, no i on zrobił dla mnie tę czarę.

Widziałem w pierwszym nomie adeptów posługujących się czymś takim, ale zawsze wydawało mi się to bardzo trudne. Na szczęście Walt był naprawdę świetny w zaklęciach. Gdyby moja czara była samochodem, byłby to cadillac ze wspomaganiami kierownicy, automatyczną skrzynią biegów i podgrzewanymi siedzeniami. Wystarczyło nalać do miski czystej oliwy i wypowiedzieć rozkaz. Czara pokazywała wszystko, co potrafiłem sobie zwizualizować, o ile nie było chronione magią. Trudno było zobaczyć miejsca, których nigdy nie widziałem. Znajomi ludzie i miejsca, które znałem lub które dużo dla mnie znaczyły – to zazwyczaj było łatwe.

Szukałem Ziyi wiele razy, ale bez powodzenia. Wiedziałem tylko, że jej stary nauczyciel, Iskandar, uspił ją za pomocą magii i ukrył gdzieś, zastępując ją uszebti, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo – ale nie miałem pojęcia, gdzie śpi prawdziwa Ziya.

Spróbowałem czegoś nowego. Przesunąłem ręką nad misą i wyobraziłem sobie Miejsce Czerwonych Piasków. Nic się nie wydarzyło. Nigdy tam nie byłem i nie miałem pojęcia, jak coś takiego może wyglądać, poza tym, że zapewne jest czerwone i piaszczyste. W oliwie widziałem jedynie własne odbicie.

Okej, czyli nie mogę zobaczyć Ziyi. Spróbowałem więc rzeczy drugiej na liście. Skoncentrowałem się na jej ukrytym pokoiku w pierwszym nomie. Byłem tam tylko raz, ale pamiętałem każdy szczegół. W tym miejscu po raz pierwszy poczułem z nią więź. Powierzchnia oliwy zafalowała i zmieniła się w magiczny obraz wideo.

W pokoju nic się nie zmieniło. Magiczne świece nadal płonęły na niewielkim stoliczku. Na ścianach wisały fotografie – zdjęcia jej rodzinnej wioski nad Nilem, jej rodziców, samej Ziyi w dzieciństwie.

Ziya opowiedziała mi o tym, jak jej ojciec wykopał egipski zabytek i przypadkowo uwolnił potwora, który zaczął pustoszyć okolicę. Magowie przybyli i go pokonali, ale nie zdążyli uratować wioski. Przeżyła tylko Ziya, ukryta przez rodziców. Iskandar, dawny najwyższy lektor, zabrał ją do pierwszego nomu i uczył. Był dla niej jak ojciec.

A potem, w ostatnie święta, bogowie zostali uwolnieni w Muzeum Brytyjskim. Jedna z bogiń, Neftyda, wybrała Ziyę. Bycie „bożkiem” karano w pierwszym nomie śmiercią, niezależnie od tego, czy się przyjmowało ducha bóstwa dobrowolnie czy nie, dlatego Iskandar ukrył Ziyę. Zapewne zamierzał przyprowadzić ją z powrotem, po uporządkowaniu spraw, ale nie zdążył – zmarł.

Tak więc Ziya, którą znałem, była repliką, ale wierzyłem mocno, że uszebti

i prawdziwa Ziya dzieliły myśli. Gdziekolwiek przebywa prawdziwa Ziya, będzie mnie pamiętać, kiedy się obudzi. Będzie wiedziała, że było coś między nami – może nawet początek fantastycznego związku. Nie byłem w stanie pogodzić się z tym, że mogłem zakochać się w kawałku ceramiki. No i absolutnie nie przyjmowałem do wiadomości, że uratowanie prawdziwej Ziyi mogłoby być poza moim zasięgiem.

Skupiłem się na obrazie w oliwie. Przybliżyłem zdjęcie Ziyi siedzącej na barana na ramionach ojca. Była mała na tym zdjęciu, ale można się było domyślić, że kiedy dorośnie, stanie się piękną dziewczyną. Jej lśniąca czarna włosy były krótko ścięte, jak wtedy, kiedy się poznaliśmy. Oczy miała w kolorze lśniącego bursztynu. Fotograf uchwycił moment, kiedy się śmiała, usiłując zakryć dłońmi oczy taty. Jej uśmiech promieniował rozbawionym łobuzerstwem.

„Zniszczę dziewczynę, której szukasz” – powiedział trzygłowy wąż – „tak jak zniszczyłem jej wioskę”.

Byłem przekonany, że miał na myśli wioskę Ziyi. Ale co miał wspólnego tamten atak sprzed sześciu lat z powstającym obecnie Apopisem? Jeśli to nie był przypadek, jeśli Apopis nie planował zniszczenia domu Ziyi – to dlaczego?

Musiałem odnaleźć Ziyę. To właśnie przestała być sprawa osobista. Ona była jakoś powiązana z nadchodzącą bitwą z Apopisem. A co jeśli ostrzeżenie węża było prawdą – jeśli muszę wybierać między odnalezieniem Księgi Ra a ocaleniem Ziyi? Cóż, straciłem już mamę, tatę i dawne życie, żeby powstrzymać Apopisa. Nie zamierzałem tracić również Ziyi.

Zastanawiałem się właśnie, jak mocno kopnęłyby mnie Sadie, słysząc te rozważania, kiedy rozległo się pukanie do szklanych drzwi balkonowych.

– Hej. – Na progu stał Walt, trzymając Chufu za rękę. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Chufu mnie wpuścił.

– *Agh!* – potwierdził pawian. Wyprowadził Walta na balkon, po czym skoczył na barierkę, nie przejmując się trzydziestoma metrami dzielącymi go od płynącej w dole rzeki.

– Nie ma problemu – odparłem. Nie miałem wyboru. Chufu kochał Walta, zapewne dlatego, że Walt grał znacznie lepiej ode mnie w koszykówkę.

Walt zerknął na misę.

– Dobrze działa?

Obraz pokoiku Ziyi wciąż był widoczny na powierzchni oliwy. Przesunąłem dłońią nad czarą i zamieniłem go na coś innego. Ponieważ myślałem właśnie o Sadie, wybrałem salon w domu dziadków.

– Świetnie. – Odwróciłem się do Walta. – Jak się czujesz?

Nie wiem, dlaczego cały się spał. Spojrzał na mnie, jakbym usiłował go przyszpilić.

– Co masz na myśli?

– Wypadek w sali treningowej. Trzygłowego węża. A co ci się wydawało? Ściągną w jego karku rozluźniły się.

– Jasne... przepraszam, dziwny dzień. Amos znalazł jakieś wyjaśnienie?

Zastanawiałem się, czym go tak zdenerwowałem, ale postanowiłem odpuścić. Opowiedziałem mu o rozmowie z Amosem. Walt zazwyczaj podchodził do wszystkiego ze spokojem. Umiał dobrze słuchać. Ale wciąż sprawiał wrażenie czujnego i podenerwowanego.

Kiedy skończyłem mówić, podszedł do barierki, na której siedział Chufu.

– Apopis wpuścił to do rezydencji? Gdybyśmy go nie powstrzymali...

– Amos uważa, że wąż nie miał dużo mocy. Miał tylko przekazać wiadomość i nastraszyć nas.

Walt pokręcił głową z konsternacją.

– No... ale teraz chyba poznał nasze umiejętności. Wie, że Felix celnie rzuca butami.

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu.

– Aha. Tyle że nie o takich umiejętnościach myślałem. To szare światło, którym cisnąłeś w węża... i to, jak potraktowałeś ćwiczebnego uszebti, obracając go w proch...

– Jak ja to zrobiłem? – Walt wzruszył bezradnie ramionami. – Szczerze, Carter, nie mam pojęcia. Myślałem o tym cały czas i... to był instykt. Z początku myślałem, że może uszebti miał wbudowane jakieś zaklęcie samoniszące, a ja je przypadkowo uruchomiłem. Czasem zdarza mi się to z magicznymi przedmiotami – sprawia, że się uruchamiają lub przestają działać.

– Ale to nie tłumaczyłoby, jak w ten sam sposób poradziłeś sobie z wężem.

– Nie – zgodził się ze mną. Wydawał się jeszcze bardziej poruszony tym wypadkiem niż ja. Chufu zaczął iskać włosy Walta, szukając insektów, a on nawet nie próbował go powstrzymać.

– Walt... – zacząłem, nie chcąc go ponaglać. – Ta nowa zdolność, to przemienianie rzeczy w proch... to nie ma nic wspólnego z... no wiesz, czymś, o czym rozmawiałeś z Jaz?

Znów ten wzrok: zwierzęcia zapędzonego do klatki.

– Wiem – dodałem szybko – to nie moja sprawa. Ale ostatnio byłeś nieswój.

Jeśli mogę jakoś pomóc...

Walt wpatrywał się w rzekę. Wyglądał na tak bardzo przygnębionego, że Chufu chrząknął i poklepał go po ramieniu.

– Czasem zastanawiam się, po co tu przyjechałem – odezwał się Walt.

– Żartujesz? – zapytałem. – Jesteś świetny w magii. Jeden z najlepszych! Czeka cię tu wielka przyszłość.

Wyciągnął coś z kieszeni – jednego z zasuszonych skarabeuszy z sali treningowej.

– Dzięki. Ale ta chwila... to jak kiepski żart. Moje życie jest skomplikowane, Carter. A przyszłość... sam nie wiem.

Miałem wrażenie, że ma na myśli coś więcej niż czterodniowy termin na uratowanie świata.

– Słuchaj, jeśli masz jakiś kłopot... – zacząłem. – Jeśli chodzi o to, jak Sadie i ja was uczymy...

– Oczywiście, że nie. Jesteś świetny. A Sadie...

– Bardzo jej się podobasz – odparłem. – Wiem, że bywa nachalna. Jeśli chcesz, żeby ci dała spokój...

[Dobra, Sadie. Może nie powinienem był tego mówić. Ale ty nie zachowujesz się szczególnie delikatnie, kiedy do kogoś startujesz. Uznałem, że facet mógł się z tym czuć dziwnie].

Walt roześmiał się.

– Nie, to nie chodzi o Sadie. Ona też mi się podoba. Ja tylko...

– *Agh!* – Chufu szczeknął tak głośno, że aż podskoczyłem. Obnażył kły. Obróciłem się i zobaczyłem, że warczy na czarę do *patrzenia*.

Misa wciąż pokazywała salon dziadków. Kiedy jednak przyjrzałem się bliżej, dostrzegłem, że coś jest nie w porządku. Światła i telewizor były wyłączone. Sofa przewrócona.

Poczułem metaliczny smak w ustach.

Skupiłem się na przesuwaniu obrazu, dopóki nie zobaczyłem drzwi frontowych. Były roztrzaskane.

– Co się stało? – Walt podszedł bliżej. – Co to jest?

– Sadie... – Skupiłem całą siłę woli na odnalezieniu jej. Znam ją tak dobrze, że zazwyczaj znajduję ją natychmiast, ale tym razem oliwa pokryła się czernią. Poczułem ostry ból za oczami i powierzchnia oliwy wybuchnęła ogniem.

Walt odciągnął mnie, zanim płomień poparzył mi twarz. Chufu szczeknął na alarm i wyrzucił misę za barierkę, prosto do East River.

– Co się stało? – zapytał Walt. – Nigdy nie widziałem, żeby czara...

– Portal do Londynu. – Zakaszlałem; w nosie wciąż piekło mnie od spalonej oliwy. – Najbliższy! Już!

Walt chyba zrozumiał. W jego oczach pojawiło się zdecydowanie.

– Nasz portal wciąż się chłodzi. Musimy wrócić do Muzeum Brooklyńskiego.

– Gryf – powiedziałem.

– Aha. Ja też jadę.

Odwróciłem się do Chufu.

– Idź, powiedz Amosowi, że wyjeżdżamy. Sadie ma kłopoty. Nie mam czasu na wyjaśnienia.

Chufu szczerknął i zeskoczył z balkonu – wybrał windę ekspresową na dolne piętra.

Walt i ja wypadliśmy z pokoju, pędząc po schodach na dach.

7. Prezent od chłopaka z psią głową

No, *nagadałeś* się już, braciszku.

Kiedy ty paplałeś, wszyscy wyobrażali sobie, jak stoję bez ruchu w drzwiach domu dziadków i krzyczę: „AAAAAAA!”.

No i to, że ty i Walt popędziliście do Londynu, zakładając, że potrzebuję pomocy – mężczyźni!

Dobra. W sumie potrzebowałam pomocy. Ale nie o to chodzi.

Wracając do opowieści, właśnie usłyszałam dobiegający z góry syk: – Witaj w domu, Sadie Kane.

Oczywiście wiedziałam, że to złe wieści. Czułam łaskotanie na dłoniach, jakbym wsadziła palec do kontaktu. Usiłowałam przywołać laskę i różdżkę, ale jak już wspomniałam, szybkie wydobywanie przedmiotów z Duat mi nie idzie. Przeklinałam samą siebie za brak przygotowania – ale przecież nie można się było spodziewać, że ubiorę się w lnianą piżamę i będę wlec za sobą magiczny wór, kiedy planowałam wieczór w mieście z koleżankami.

Przyszła mi na myśl uciezka, ale dziadkowie mogli być w niebezpieczeństwie. Nie mogłam wyjść z domu, nie upewniwszy się, czy są bezpieczni.

Schody zatrzeszczały. Na ich szczycie pojawił się rąbek czarnej sukni oraz obuta w sandał stopa, która nie wyglądała na ludzką. Skórzaste palce były wykrzywione, a przerośnięte paznokcie przypominały szpony ptaka. Kiedy kobieta zeszła niżej, wydałam bardzo nieelegancki jęk.

Wyglądała na jakieś sto lat, była zgarbiona i pomarszczona. Jej twarz, uszy i szyję pokrywały fałdy różowej skóry pełnej zmarszczek, jakby stopiła się w solarium. Nos przypominał wygięty dziób. Oczy płonęły w głębokich oczodołach, a głowa była prawie całkiem łysa – jeśli nie liczyć kilku tłustych kosmyków zwisających niczym chwasty z pooranej bruzdami czaszki.

Za to jej okrycie było bezwzględnie luksusowe. W kolorze głębokiej czerni, pełne falbanek i ogromne jak za duże o sześć rozmiarów futro. Kiedy kobieta podeszła, materiał poruszył się i dostrzegłam, że to nie futro. Była to peleryna z czarnych piór.

Z rękawów wysunęły się ręce – szponiaste palce wzywały mnie ku niej. Jej uśmiech ukazał zęby przypominające potłuczone szkło. Wspomniałam już o zapachu? To nie był zapach starego człowieka – ale starego nieżyjącego człowieka.

– Czekałam na ciebie – oznajmiła wiedźma. – Na szczęście jestem bardzo cierpliwa.

Usiłowałam dobyć różdżkę z powietrza. Oczywiście mi się nie udało. Nie mając w głowie Izydy, nie mogłam już po prostu wypowiedzieć słów mocy. Potrzebowałam narzędzi. Mogłam tylko próbować zyskać na czasie i być może skoncentrować się na tyle, żeby sięgnąć do Duat.

– Kim jesteś? – zapytałam. – Gdzie są moi dziadkowie?

Wiedźma zeszła po schodach na sam dół. Z odległości dwóch metrów jej pierzaste okrycie sprawiało wrażenie pokrytego kawałkami... ożeż, czy to było mięso?

– Nie poznajesz mnie, kochana? – Jej obraz zamigotał. Suknia zmieniła się w kwiecisty szlafrok. Sandały w puchate zielone kapcie. Miała teraz kręcone siwe włosy, jasnoniebieskie oczy i minę zaskoczonego królika. To była twarz mojej babci.

– Sadie? – Jej głos brzmiał słabo i niepewnie.

– Babciu!

Obraz zmienił się z powrotem w czarnopiórą wiedźmę, a okropna stopiona twarz uśmiechnęła się złowrogo.

– Tak, moja droga. W żyłach twojej rodziny płynie przecież krew faraonów – stanowią doskonale mieszkania dla bogów. Ale nie każ mi się wyteżać. Serce twojej babci nie jest już takie jak kiedyś.

Poczułam, że cała się trzęsę. Widziałam już opętanie i ono zawsze jest obrzydliwe. Ale to – sama myśl o tym, że jakaś egipska wiedźma opanowała moją biedną starą babcię – to było przerażające. Jeśli we mnie płynęła jakakolwiek krew faraonów, to właśnie zmieniała się w lód.

– Zostaw ją! – Zamierzałam krzyknąć, ale obawiam się, że mój głos przypominał raczej przerażony pisk. – Wyłaż z niej!

Wiedźma zagdakała.

– Och, nie mogę tego zrobić. Widzisz, Sadie Kane, niektórzy z nas wątpią w twoją moc.

– Jacy niektórzy... bogowie?

Jej twarz zafalowała, na moment zmieniając się w okropny ptasi łeb, łysy,

łuskowaty i różowy, z długim ostrym dziobem. Następnie przemieniła się znów w szczerzącą zęby wiedźmę. Naprawdę lepiej by było, gdyby się zdecydowała, jak wygląda.

– Nie przeszkadzam potężnym, Sadie Kane. W dawnych czasach nawet chroniałam faraona, jeśli okazał się godny. Ale słabi... Ach, kiedy tylko wpadną w cień moich skrzydeł, nigdy ich nie wypuszczam. Czekam, aż umrą. Czekam, aż będę mogła się pożywić. I myślę, moja droga, że ty będziesz moim następnym posiłkiem.

Oparłam się plecami o drzwi.

– Wiem, kim jesteś – skłamałam. Rozpaczliwie przebiegałam myślami listę egipskich bogów, usiłując zidentyfikować taką starą wiedźmę. Wciąż nie byłam nawet w połowie tak dobra jak Carter w zapamiętywaniu tych wszystkich dziwacznych imion. [Nie, Carter. To nie jest komplement. To po prostu oznacza, że jesteś kujonkiem]. Ale po kilku tygodniach uczenia naszych rekrutów nieco się podszkoliłam.

Imiona zawierają moc. Gdybym była w stanie wymyślić imię mojego wroga, byłby to dobry krok w kierunku zwycięstwa. Potworny czarny ptak... Ptak żywiący się trupami...

O dziwo, coś mi się przypomniało.

– Jesteś boginią sępem – powiedziałam triumfalnie. – Mechacośćam, zgadza się?

Stara wiedźma parsknęła.

– Nechbet!

No dobra, byłam blisko.

– Ale przecież ty powinnaś być dobrą boginią! – zaprotestowałam.

Bogini rozłożyła ręce. Zamieniły się w skrzydła – czarne matowe pióra, wśród których brzęczały muchy i które czuć było śmiercią.

– Sępy są bardzo dobre, Sadie Kane. Pozbywamy się chorych i słabych. Krążymy wokół nich, aż umrą, a następnie żywimy się ich trupami, oczyszczając świat z ich smrodu. Ty zaś chcesz przywołać Ra, to zasuszone stare truchło boga słońca. Chcesz posadzić słabego faraona na tronie bogów. To sprzeczne z naturą! Tylko mocni mają przetrwać. Umarli zostaną pożarci.

Jej oddech cuchnął padliną.

Paskudne stworzenia, te sępy: niewątpliwie najbrzydliwsze z ptaków. Oczywiście przyznaję, że mają swoją rolę do odegrania, ale czy muszą być takie tłuste i brzydkie? Czy padliny nie mogłyby uprzętać puchate króliczki?

– Dobra – powiedziałam. – Po pierwsze wynoś się z mojej babci. A następnie, jeśli będziesz dobrym sępem, kupię ci miętówki na oddech.

To musiał być drażliwy temat dla Nechbet. Skoczyła na mnie. Uskoczyłam w bok, chowając się za sofą i przewracając ją przy okazji. Bogini zmiotła kolekcję porcelany babci z kredensu.

– Zginiesz, Sadie Kane! – krzyknęła. – A ja oskubię twoje kości. Wtedy pozostali bogowie zobaczą, że nie byłaś godna!

Czekałam na kolejny atak, ale ona tylko gapiła się na mnie z drugiej strony kanapy. Przypomniało mi się, że sępy rzadko zabijają. Czekają, aż ich ofiara umrze.

Skrzydła Nechbet wypełniły pokój. Jej cień padł na mnie, otaczając mnie mrokiem. Poczułam się schwytana w pułapkę, bezbronna, jak małe chore zwierzątko.

Gdybym wcześniej nie wypróbowała swojej siły woli wobec bogów, może nie rozpoznałabym w tym magii – w tym nieustępliwym kołataniu w tle mojego umysłu, podpowiadającym, żebym poddała się rozpaczy. Ale ja stawiałam czoła całym hordom okropnych bóstw podziemia. Dam sobie radę z tłustym starym ptakiem.

– Nieźle – powiedziałam. – Ale nie zamierzam położyć się na ziemi i umrzeć. Oczy Nechbet rozblęły.

– Może to trochę potrwa, moja droga, ale jak już ci mówiłam, jestem cierpliwa. Jeśli się nie poddasz, wkrótce zjawią się tu twoje śmiertelne przyjaciółki. Jak one mają na imię... Liz i Emma?

– Zostaw je w spokoju!

– Och, będą z nich doskonałe przekąski. A ty nawet jeszcze nie przywitałaś się z kochanym dziadkiem.

Krew zaszumiała mi w uszach.

– Gdzie on jest? – zapytałam.

Nechbet spojrzała na sufit.

– Przyjdzie tu niedługo. My, sępy, lubimy kręcić się wokół dużego drapieżnika, wiesz, czekając, aż on zabije zwierzynę.

Na górze rozległ się stłumiony trzask – jakby ktoś wyrzucił duży mebel przez okno.

Dziadek krzyknął: – Nie! Nieeeee! – Po czym jego głos zmienił się w ryk szalonego zwierzęcia. – Niiiiiaaach!

Reszta mojej odwagi spłynęła mi do glanów.

– C-co...

– Tak – odparła Nechbet. – Babi się budzi.

– B-bobby? Istnieje bóg o imieniu Bobby?

– B-A-B-I – prychnęła sępia bogini. – Ty chyba jesteś nieco tępa, moja droga, nieprawdaż?

Tynk na suficie popękał pod ciężarem wielkich kroków. Coś, dudniąc, posuwało się ku schodom.

– Babi zajmie się tobą należycie – obiecała Nechbet. – A potem zostanie mnóstwo jedzenia dla mnie.

– Żegnaj – odparłam i skoczyłam ku drzwiom.

Nechbet nie usiłowała mnie zatrzymać. Wrzasnęła tylko za mną: – Polowanie! Znakomicie!

Udało mi się przebiec na drugą stronę ulicy, kiedy nasze drzwi frontowe eksplodowały. Zerknęłam za siebie i zobaczyłam, że z ruin i pyłu wynurza się jakiś kształt – ciemny, włochaty i zdecydowanie za duży jak na mojego dziadka.

Nie czekałam, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Dobiegłam do końca South Colonnade i wpadłam prosto na Liz i Emmę.

– Sadie! – pisnęła Liz, upuszczając prezent. – Co się stało?

– Nie ma czasu! – odpowiedziałam. – Chodźcie!

– Też miło cię widzieć – mruknęła Emma. – Dokąd ty tak gnasz...

Stwór za nami ryknął, w sumie całkiem blisko.

– Później wam wyjaśnię – powiedziałam. – Jeśli nie chcecie, żeby rozerwał was na strzępy bóg o imieniu Bobby, zwiewajmy!

Dopiero patrząc na to z perspektywy, w pełni widzę, jak beznadziejne miałam urodziny, ale w tamtej chwili byłam zbyt spanikowana, żeby się nad sobą użalać.

Biegłyśmy wzdłuż South Colonnade, a ryk za naszymi plecami prawie całkowicie zagłuszał narzekania Liz i Emmy.

– Sadie! – krzyknęła Emma. – Czy to jakiś twój dowcip?

Urosła, ale wciąż wyglądała tak samo w za dużych połyskujących okularach i z krótkimi najeżonymi włosami. Miała na sobie krótką skórzaną spódniczkę, włochaty różowy sweter i komiczne buty na koturnach, w których ledwie dało się chodzić, a co dopiero biegać. Jak się nazywał ten ekstrawagancki gwiazdor z lat siedemdziesiątych? Elton John? Gdyby miał hinduską córkę, mogłaby wyglądać jak Emma.

– To nie dowcip – zapewniłam. – I na litość boską zrzuć te buty!

Emma zrobiła oburzoną minę.

– Wiesz, ile one kosztują?

– Słuchaj, Sadie – wtrąciła się Liz. – Dokąd ty nas właściwie ciagniesz?

Ta była nieco rozsądniej ubrana, w dżinsy, tenisówki, białe podkoszulek i dżinsową kurtkę, ale wyglądała na równie zmachaną jak Emma. Mój prezent urodzinowy, który ścisnęła pod pachą, nieco się odkształcił. Liz była ruda i piegowata i kiedy się wstydziła albo była bardzo zmęczona, jej blada cera czerwieniała, a piegi znikwały. W normalnych okolicznościach naśmiewałobyśmy się z tego z Emmą, ale nie dziś.

Potwór za nami ryknął znowu. Obejrzałam się i to był błąd. Na moment się zatrzymałam i koleżanki wpadły na mnie.

Przez krótką chwilę pomyślałam: bogowie, to przecież Chufu.

Ale Chufu nie jest rozmiarów niedźwiedzia grizzly. Nie ma lśniącego srebrem futra, kłów jak szable ani krwiożerczego spojrzenia. Pawian szalejący po Canary Wharf wyglądał, jakby był w stanie pożreć absolutnie wszystko, a nie tylko to, co się nazywa na „F”, no i bez problemu rozszarpałby mnie na strzępy.

Dobra wiadomość (jedyna): ruch na ulicy rozproszył go na moment. Samochody zjeżdżały na bok, żeby go wyminąć. Piesi uciekali z wrzaskiem. Pawian zaczął przewracać taksówki, rozbijać witryny sklepowe i powodował ogólne zamieszanie. Kiedy się do nas zbliżył, dostrzegłam kawałek czerwonego materiału zwisający z jego prawej ręki – strzępy ulubionego swetra dziadka. Na jego czole tkwiły okulary.

Dopiero w tej chwili wszystko do mnie docierało. To coś było moim dziadkiem, który nigdy nie posługiwał się magią i nigdy nie zrobił niczego, co mogłoby wkurzyć egipskich bogów.

Zdarzały się chwile, kiedy nie przepadałam za dziadkami, zwłaszcza kiedy mówili źle o tacie albo ignorowali Cartera, albo też kiedy pozwolili Amosowi zabrać mnie w ostatnie święta, nawet nie protestując. Ale jednak wychowywali mnie przez sześć lat. Kiedy byłam mała, dziadek brał mnie na kolana i czytał stare zakurzone książki Enid Blyton. Pilnował mnie w parku i zabierał do zoo niezliczoną ilość razy. Kupował słodczyce, choć babcia tego nie pochwałała. Miał wybuchowy charakter, ale ogólnie był rozsądnym, nieszkodliwym emerytem. Na pewno nie zasłużył na takie traktowanie.

Pawian wyrwał drzwi pubu i zajrzał do środka. Przerażeni klienci wyskoczyli przez okno i pognali ulicą, wciąż dzierżąc kufle. Policjant rzucił się w kierunku zamieszania, ale kiedy zobaczył pawiana, pognął w drugą stronę, wykrzykując

do krótkofalówki prosby o przysłanie wsparcia.

Kiedy śmiertelnicy widzą magiczne zdarzenia, ich wzrok ulega czemuś w rodzaju zwarcia, wysyłając do mózgu tylko takie obrazy, które jest zdolny zrozumieć. Nie miałam pojęcia, co ci ludzie widzieli – może zwierzę, które uciekło z zoo, albo szalonego faceta z karabinem – wiedzieli tyle, że muszą uciekać. Ciekawe, co się nagra na kamerach przemysłowych.

– Sadie – pisnęła Liz – co to jest?

– Babi – odparłam. – Cholerny bóg pawian. Opętał mojego dziadka. I chce nas zabić.

– Przepraszam? – powiedziała Emma. – Czy ty właśnie powiedziałaś, że bóg pawian chce nas zabić?

Pawian ryknął, mrugając oczami i mrużąc je, jakby zapomniał, co robi. Może odziedziczył roztargnienie i wadę wzroku po dziadku. Może nie zdawał sobie sprawy, że okulary ma na głowie. Obwąchał ziemię, po czym zawył z frustracją i roztrzaskał okno piekarni.

Omiał uwierzyłam, że wreszcie nam się trochę poszczęściło. Może uda nam się wymknąć niepostrzeżenie. Nagle nad naszymi głowami pojawił się ciemny kształt, rozpościerając czarne skrzydła i skrzecząc: – Tutaj! Tutaj!

Super. Pawian miał wsparcie z powietrza.

– Prawdę mówiąc, dwoje bogów – oznajmiłam przyjaciółkom. – A teraz, jeśli nie macie więcej pytań – pędem!

Tym razem Liz i Emma nie potrzebowały zachęty. Emma zrzuciła buty, Liz upuściła mój prezent – to akurat szkoda – i pognałyśmy na wyścigi przed siebie.

Kręciliśmy zaułkami, kuląc się pod murem, kiedy tylko przelatywała nad nami sępia bogini. Słyszałam za nami ryk Babiego, który psuł ludziom wieczór i rozwałął dzielnicę; wydawało się jednak, że na chwilę stracił nasz trop.

Zatrzymałyśmy się na skrzyżowaniu w kształcie litery „T”, żebyśmy się zastanowiła, w którą stronę uciekać. Przed nami stał niewielki kościółek, stary budynek, jakich mnóstwo w Londynie – ponury kawałek średniowiecznego kamienia wciśnięty między kawiarnię i aptekę z neonowym znakiem reklamującym wybrane kosmetyki do włosów w cenie jednego funta za trzy sztuki. Przy kościele znajdował się maleńki cmentarzyk otoczony zardzewiałym płotem. Nie zwróciłabym na niego większej uwagi, gdyby nie głos, który szepnął zza ogrodzenia: – Sadie.

Można uznać za cud, że serce nie podskoczyło mi do gardła. Obróciłam się

i stanęłam twarzą w twarz z Anubisem. Był w swojej śmiertelnej postaci – jako nastoletni chłopak o ciemnych potarganych włosach i ciepłych brązowych oczach. Miał na sobie czarny podkoszulek Dead Weather i czarne obcisłe dżinsy, w których wyglądał znakomicie.

Liz i Emma nie słyną z opanowania, kiedy zjawia się przystojny chłopak. Ich mózgi właściwie natychmiast przestają funkcjonować.

Liz wydukała głosem brzmiącym jak ćwiczenia oddechowe: – Och... ach... hej... kto... co...?

Emma straciła władzę w nogach i zatoczyła się na mnie.

Rzuciłam im obu ostre spojrzenie, po czym zwróciłam się do Anubisa.

– Czas najwyższy, żeby zjawił się ktoś przyjaźnie nastawiony – oznajmiłam.

– Pawian i sęp usiłują nas zabić. Czy mógłbyś, proszę, uporać się z nimi?

Anubis wyduł usta, a ja zaczęłam podejrzewać, że nie ma dla mnie dobrych wiadomości.

– Chodź na mój teren – powiedział, otwierając bramę cmentarza. – Musimy pogadać, a nie ma dużo czasu.

Emma znów się na mnie zatoczyła.

– Twój, yyy, teren?

Liz jęknęła.

– Kto to... ach...?

– Ciii – powiedziałam do nich, usiłując zachować spokój, jakbym codziennie umawiała się z seksownymi chłopakami na cmentarzach.

Zerknęłam na ulicę i nie dostrzegłam żadnych śladów Babiego ani Nechbet, ale nadal ich słyszałam: bóg pawian ryczał, a bogini sęp skrzeczała głosem mojej babci (gdyby ta jadła piasek i brała sterydy): – Tędy! Tędy!

– Zaczekajcie tu – powiedziałam przyjaciółkom i weszłam za bramę.

Temperatura natychmiast spadła. Z wilgotnej ziemi uniosła się mgiełka. Nagrobki zamigotały, a wszystko poza płotem jakby się zatarło. Anubis oczywiście sprawiał, że czułam się niepewnie na wiele różnych sposobów, ale to wrażenie akurat rozpoznawałam. Prześlizgiwaliśmy się do Duat, będąc na cmentarzu na dwóch poziomach jednocześnie: w świecie Anubisa i moim.

Poprowadził mnie ku rozsypującemu się kamiennemu sarkofagowi i skłonił się przed nim z szacunkiem.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, żebyśmy usiedli, Beatrice?

Nic się nie wydarzyło. Napis na sarkofagu zatarł się wiele wieków temu, ale podejrzewam, że było to miejsce wiecznego spoczynku jakiejś Beatrice.

– Dziękuję. – Anubis skinął na mnie, żebym usiadła. – Beatrice nie ma nic przeciwko.

– A co by było, gdyby miała? – Usiadłam nieco niepewnie.

– Osiemnasty nom – odparł Anubis.

– Że co?

– Musisz się tam udać. Wład Mienszykow trzyma drugą część Księgi Ra w górnej szufladzie biurka, w swojej kwaterze w Petersburgu. Oczywiście to pułapka. Ma nadzieję, że was zwabi. Ale jeśli chcecie zdobyć ten zwój, nie macie wyboru. Musicie się tam udać dziś wieczorem, zanim on dodatkowo wzmocni zabezpieczenia. I, Sadie, jeśli inni bogowie dowiedzą się, że ci o tym powiedziałem, będę miał poważne kłopoty.

Gapiałam się na niego. Czasem zachowywał się tak bardzo jak nastolatek, że trudno było uwierzyć, że ma kilka tysięcy lat. Sądzę, że ma to jakiś związek z bezpiecznym, niezakłóconym upływem czasu życiem w Krainie Umarłych. Ten chłopak naprawdę powinien więcej wychodzić z domu.

– Boisz się, że będziesz miał kłopoty? – zapytałam. – Nie żebym nie była ci wdzięczna, Anubisie, ale mam w tej chwili poważniejsze problemy. Dwójka bogów opętała moich dziadków. Gdybyś zechciał pomóc...

– Nie mogę się wtrącać, Sadie. – Rozłożył ręce z przygnębioną miną. – Mówiłem ci, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy, że to nie jest prawdziwe fizyczne ciało.

– Szkoda – mruknęłam.

– Co?

– Nic. Mów dalej.

– Mogę się pojawiać w miejscach związanych ze śmiercią, takich jak ten cmentarz, ale niewiele jestem w stanie zrobić poza moim terenem. Gdybyś była już martwa i marzyłby ci się ładny pogrzeb, mógłbym pomóc, ale...

– Wielkie dzięki!

Gdzieś w pobliżu rozległ się ryk pawianiego boga, brzęk szkła i huk rozpadających się cegieł. Moje przyjaciółki wołały mnie, ale ich głosy były zniekształcone i stłumione, jakbym słyszała je spod powierzchni wody.

– Czy jeśli będę dalej uciekać bez przyjaciółek – zapytałam Anubisa – to bogowie dadzą im spokój?

Anubis pokręcił przecząco głową.

– Nechbet żeruje na słabych. Wie, że krzywda twoich koleżanek cię osłabi. Dlatego wybrała twoich dziadków. Żeby ją powstrzymać, musisz stawić jej czoła.

Jeśli chodzi o Babiego, reprezentuje on najmroczniejsze cechy was, naczelnych: żądze mordy, niekontrolowaną siłę...

– Nas, naczelnych? – powtórzyłam. – Wybacz, ale czy właśnie nazwałś mnie pawianem?

Anubis przyglądał mi się z jakimś takim zmieszonym zadziwieniem.

– Zapomniałem, jaka jesteś drażliwa. Chodziło mi o to, że on cię zabije dla samego zabijania.

– A ty nie możesz mi pomóc.

Spojrzał na mnie ponuro tymi cudownymi brązowymi oczami.

– Powiedziałem ci o Petersburgu.

Rany, taki przystojny, a taki irytujący.

– No dobra, boże od niczego przydatnego – powiedziałam. – Coś jeszcze, zanim dam się zabić?

Uniół rękę. W jego palcach zmaterializował się dziwaczny nóż. Miał kształt trochę jak brzytwa Sweeneya Todda: długi, zakrzywiony, złowrogo ostry po jednej stronie, wykonany z czarnego metalu.

– Weź to – powiedział Anubis. – Pomoże ci.

– Widziałeś, jaki wielki jest ten pawian? Mam go ogolić?

– To nie jest do walki z Babim ani Nechbet – odparł – ale wkrótce przyda ci się do czegoś znacznie ważniejszego. To ostrze neczeri wykonane z żelaza pochodzącego z meteorytu. Używa się go w Rytuale Otwarcia Ust, o którym ci kiedyś opowiadałem.

– Dooobra, jeśli przeżyję tę noc, z pewnością posłużę się tą brzytwą, żeby otworzyć komuś usta. Dzięki wielkie.

– Sadie! – wrzasnęła Liz. Przez mgłę zalegającą na cmentarzu dostrzegłam Babiego raptem kilka ulic dalej, brnącego w kierunku kościoła. Zauważył nas.

– Wsiądźcie do kolejki podziemnej – podsunął Anubis, pomagając mi wstać. – Pół ulicy dalej na południe jest stacja. Nie namierzą was, kiedy będziecie pod ziemią. Dobra jest też płynąca woda. Stwory należące do Duat słabną, przekraczając rzeki. Jeśli będziesz musiała z nimi walczyć, zrób to na moście na Tamizie. Och, i poprosiłem twojego kierowcę, żeby po ciebie przyjechał.

– Mojego kierowcę?

– Tak. Nie planował spotkania przed jutrem, ale...

Czerwona skrzynka pocztowa poszybowała w powietrzu i uderzyła w budynek tuż obok. Przyjaciółki wrzeszczały, żebym się pospieszyła.

– Idź – powiedział Anubis. – Przykro mi, że nic więcej nie jestem w stanie

zrobić. Ale wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Sadie.

Nachylił się i pocałował mnie w usta. A następnie rozpułynał się w mgłę i zniknął. Cmentarz wrócił do normy – stał się znów częścią zwykłego, nierozmigotanego świata.

Powinnam być zła na Anubisa. Całować mnie bez pozwolenia – co za bezczelność! Ale stałam w miejscu jak skamieniała, wpatrując się w rozpadający się sarkofag Beatrice, dopóki nie usłyszałam krzyku Emmy: – Chodź, Sadie!

Przyjaciółki chwyciły mnie za ręce, a ja przypomniałam sobie, jak się biega.

Popędziłyśmy ku stacji metra Canary Wharf. Pawian ryczał, przedzierając się przez ruch uliczny za nami. W górze darła się Nechbet: – Tam są! Zabij je!

– Kim był ten chłopak? – zapytała Emma, kiedy wpadłyśmy na stację. – Rany, ale ciacho.

– Bogiem – wymamrotałam. – Owszem.

Wsunęłam czarną brzytwę do kieszeni i pobiegłam w dół schodów ruchomych, czując wciąż na ustach pierwszy pocałunek.

A że nuciłam pod nosem Sto lat i uśmiechałam się głupkowato, uciekając przed śmiercią – no, nikogo nie powinno to obchodzić, nieprawdaż?

8. Spore opóźnienia na stacji Waterloo (przepraszamy za ogromnego pawiana)

Londyńskie metro ma wspaniałą akustykę. Dźwięki niosły się po tunelach, toteż kiedy zjeżdżałyśmy na dół, słyszałam turkot pociągów, muzyków zbierających drobne, no i oczywiście żadnego krwi pawiana zabójcę, gdy już roztrzaskał za nami bramki.

Przy zagrożeniach atakami terrorystycznymi i wzmożonych wymogach bezpieczeństwa można by się spodziewać, że w okolicy będzie kilku policjantów, ale niestety nie o tej porze dnia i nie na takiej stosunkowo małej stacji. Syreny wyły gdzieś na górze, ale my prędzej byśmy zginęły lub uciekły, zanim zwykli śmiertelnicy zdążyliby z pomocą. A gdyby policja usiłowała zastrzelić Babiego, kiedy był w ciele dziadka... nie. Wołałam o tym nie myśleć.

Anubis podpowiedział podziemną podróż. A gdybym miała walczyć, powinnam znaleźć most. Muszę się trzymać tego planu.

Na Canary Wharf nie ma wielkiego wyboru pociągów. Na szczęście linia Jubilee właśnie nadjeżdżała. Wpadłyśmy na peron, wskoczyłyśmy do ostatniego wagonu, kiedy drzwi już się zamykały, i opadłyśmy na ławkę.

Pociąg popędził ciemnym tunelem. Za nami nie widziałam żadnych oznak goniących nas Babiego albo Nechbet.

– Sadie Kane – jęknęła Emma. – Czy możesz łaskawie nam wyjaśnić, co się dzieje?

Biedne koleżanki. Nigdy nie wpakowałam ich w takie kłopoty, nawet kiedy zostałyśmy zamknięte w szatni chłopaków w szkole. (To długa opowieść o zakładzie o pięć funtów, spodenkach Dylana Quinna i wiewiórce. Może kiedyś opowiem).

Emma miała pokaleczone i otarte nogi od biegu na bosaka. Jej różowy sweter wyglądał jak wymaglowana sierść pudła, a z oprawek jej okularów odpadło kilka cyrkonii.

Twarz Liz była czerwona jak walentynkowa kartka. Zdjęła dzinsową kurtkę, czego nigdy nie robi, ponieważ zawsze marznie. Białą koszulkę miała mokrą

od potu. Na rękach miała tyle piegów, że przypomniała mi się skóra bogini nieba Nut, upstrzona gwiazdozbiorami.

Z nich dwóch Emma wyglądała na bardziej wkurzoną i oczekującą wyjaśnień. Liz była raczej przerażona, ruszała ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale struny głosowe odmówiły jej posłuszeństwa. Myślałam, że skomentuje jakoś prześladowających nas krwiożerczych bogów, ale kiedy w końcu odzyskała głos, powiedziała: – Ten chłopak cię pocałował!

Liz zawsze ma dobrze określone priorytety.

– Wyjaśnię wszystko – obiecałam. – Wiem, że okropna ze mnie przyjaciółka, ponieważ was w to wplątałam. Ale proszę, dajcie mi chwilę. Muszę się skoncentrować.

– Niby na czym? – zapytała gniewnie Emma.

– Cicho, Emma! – upomniała ją Liz. – Powiedziała, że mamy dać się jej skoncentrować.

Zamknęłam oczy, próbując uspokoić nerwy.

Nie było to łatwe, zwłaszcza w sytuacji, kiedy miałam widzów. Ale bez moich magicznych przedmiotów byłam bezbronna, a nie zanosilo się na kolejną szansę ich odzyskania. Pomyślałam sobie: *Dasz radę, Sadie. To tylko sięgnięcie do innego wymiaru. Trzeba tylko rozerwać tkaninę rzeczywistości.*

Sięgnęłam. Nic się nie stało. Spróbowałam jeszcze raz i moja ręka znikła w Duat. Liz krzyknęła piskliwie. Na szczęście nie straciłam koncentracji (ani ręki). Palce zacisnęły się na rzemieniu mojej magicznej torby i pociągnęłam ją ku sobie.

Emma patrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Ale super. Jak to zrobiłaś?

Właściwie też się nad tym zastanawiałam. Zważywszy na okoliczności, nie mogłam uwierzyć, że udało mi się za drugim podejściem.

– To, hm... magia – odparłam.

Koleżanki wpatrywały się we mnie, zdumione i przerażone, a ja uświadomiłam sobie nagle z całą mocą ogrom moich problemów.

Rok temu Liz, Emma i ja jechałybyśmy tym pociągiem do parku rozrywki albo kina. Śmiałybyśmy się z zabawnych dzwonek telefonu Liz albo złośliwych przeróbek zdjęć dziewczyn, których nie znosiłyśmy w szkole. Najniebezpieczniejszymi zdarzeniami, jakie mogły mnie spotkać, były obiady babci i humor dziadka, kiedy oglądał moje szkolne świadectwa.

A teraz dziadek był ogromnym pawianem, a babcia złym sępem. Koleżanki patrzyły na mnie, jakbym była z innej planety, co zresztą nie odbiegało całkowicie od prawdy.

Nawet z magicznymi przyborami w ręku nie miałam pojęcia, co mam dalej robić. Nie miałam już na wezwanie całej potęgi Izydy. Gdybym próbowała walczyć z Babim i Nechet, mogłabym zrobić krzywdę dziadkom, a przy okazji zabić samą siebie. Ale jeśli ich nie powstrzymam, kto to zrobi? Boskie opętanie może w końcu spalić człowieka. To się prawie stało z wujkiem Amosem, który był magiem pełną gębą i wiedział, jak się bronić. Babcia i dziadek byli starzy, słabi i całkiem niemagiczni. Nie mieli dużo czasu.

Ogarnęła mnie rozpacz – znacznie gorsza od sępich skrzydeł bogini.

Nie zorientowałam się, że płaczę, dopóki Liz nie położyła mi dłoni na ramieniu.

– Sadie, kochana, przepraszamy. To tylko trochę... dziwne, wiesz? Powiedz nam, w czym problem. Możemy pomóc.

Odetchnęłam głęboko, trzęsąc się cała. Bardzo tęskniłam za moimi koleżankami. Zawsze wydawały mi się nieco dziwaczne, ale teraz sprawiały wrażenie cudownie zwyczajnych – należały do świata, który przestał być moim. Obie usiłowały być dzielne, ale wiedziałam, że są przerażone. Żałowałam, że nie mogę ich gdzieś zostawić, ukryć, schować przed niebezpieczeństwem, ale pamiętałam, co powiedziała Nechet: „Będą z nich doskonałe przekąski”. Anubis ostrzegł mnie, że bogini sęp nie zaprzestanie polowania na moje przyjaciółki i dopadnie je, żeby mnie skrzywdzić. Dopóki będą ze mną, mogę przynajmniej próbować je chronić. Nie chciałam, żeby ich życie wywróciło się do góry nogami jak moje, ale należała im się prawda.

– To zabrzmiało jak szaleństwo – ostrzegłam.

Podalam im najkrótszą możliwą wersję – dlaczego wyjechałam z Londynu, jak egipscy bogowie wydostali się na świat, jak odkryłam swoje magiczne dziedzictwo. Opowiedziałam o naszej walce z Setem, powstaniu Apopisa i chorym pomysle obudzenia boga Ra.

Minęłyśmy dwie stacje, ale tak mi się spodobało opowiadanie tego wszystkiego koleżankom, że straciłam poczucie czasu.

Kiedy skończyłam, Liz i Emma popatrzyły po sobie, niewątpliwie zastanawiając się, jak mi oznajmić, że mi odbiło.

– Wiem, że to się wydaje niemożliwe – powiedziałam – ale...

– Sadie, my ci wierzymy – odparła Emma.

Zamrugałam powiekami.

– Naprawdę?

– Jasne. – Twarz Liz była zaróżowiona jak po kilku przejazdach kolejką górską. – Nigdy nie mówiłaś o niczym z taką powagą. Ty... ty się zmieniłaś.

– To dlatego, że teraz jestem magiem i... i sama nie wierzę, jak *głupio* to brzmi.

– Chodzi o coś więcej. – Emma przyglądała mi się tak, jakbym zmieniała się w coś przerażającego. – Wydajesz się starsza. Dojrzała.

W jej głosie pobrzmiwał smutek, a ja uświadomiłam sobie, że między mną a moimi kumpelami powiększa się dystans. Było to tak, jakbyśmy stały po dwóch stronach rozszerzającej się przepaści. I wiedziałam z ponurą pewnością, że ta szczelina była już za szeroka, by ją przeskoczyć z powrotem.

– Twój chłopak jest niesamowity – dodała Liz, zapewne po to, żeby mnie pocieszyć.

– To nie jest mój... – Urwałam. Nie miałam szans wygrać tego sporu z Liz. A poza tym tak się pogubiłam z tym pieskim szakalem Anubisem, że nie wiedziałam nawet, od czego zacząć.

Pociąg zwolnił. Zobaczyłam napis Waterloo Station.

– Och, bogowie – powiedziałam. – Zamierzałam wysiąść na London Bridge. Potrzebuję mostu.

– Nie możemy się wrócić? – zapytała Liz.

Ryk w głębi tunelu wystarczył za odpowiedź. Spojrzałam za siebie i dostrzegłam ogromną bestię ze srebrzystym futrem skaczącą po torach. Zahaczył o trzecią szynę i poleciały iskry, ale pawiani bóg parł do przodu niezrażony. Kiedy pociąg zaczął hamować, Babi nadrobił dystans.

– Nie możemy – odparłam. – Musimy dobiec do mostu Waterloo.

– To prawie kilometr od stacji! – zaprotestowała Liz. – Co jeśli nas dogoni?

Pogrzebałam w torbie i wyciągnęłam moją nową laskę, która natychmiast rozwinęła się do pełnej długości, a lew wyrzeźbiony na jej czubku rozbliżył złotem.

– Wtedy raczej będziemy musiały walczyć.

Mam opisać dworzec Waterloo takim, jaki był, zanim go zdemolowałyśmy, czy po tym? Główna sala była potężna. Miała marmurową posadzkę, mnóstwo sklepików i kiosków i szklany sufit tak wysoko, że helikopter mógłby tu latać bez przeszkód.

Przez halę przelewały się strumienie ludzi, mieszając się, rozdzielając i od czasu do czasu wpadając na siebie w drodze na ruchome schody i perony.

Kiedy byłam mała, budynek stacji dość mnie przerażał. Bałam się, że wielki wiktoriański zegar zwisający z sufitu spadnie i zmiażdży mnie. Megafony były zdecydowanie za głośne. (Sama lubię być najgłośniejsza w okolicy, dziękuję za konkurencję). Tłumy pasażerów stojących jak urzeczoni pod tablicami odjazdów i wypatrujących swoich pociągów przypominały mi filmy o zombie – których, to prawda, nie powinnam była oglądać w dzieciństwie, ale przecież byłam przedwcześnie rozwinięta.

Teraz wraz z koleżankami gnałam przez główną halę, przepychając się ku najbliższemu wyjściu, kiedy klatka schodowa za nami eksplodowała.

Tłumy rozpiechły się, kiedy z gruzów wydobył się Babi. Biznesmeni z wraskiem upuszczali teczki i uciekali gdzie pieprz rośnie. Liz, Emma i ja przycisnęłyśmy się do kiosku z gazetami, żeby uniknąć stratowania przez grupę krzyczących po włosku turystów.

Babi zawył. Jego futro było pokryte smarem i sadzą z tuneli. Sweter dziadka zwisał mu w strzępach z ramienia, ale okulary cudem utrzymały się na łbie.

Powęszył, zapewne usiłując złapać mój zapach. W tej samej chwili nad moją głową przemknął mroczny cień.

– Dokąd się wybierasz, Sadie Kane? – zaskrzeczała Nechbet. Leciąca przez halę, nurkując ku już i tak całkiem spanikowanym tłumom. – Twoją bronią jest ucieczka? To ciebie niegodne!

W hali rozległ się spokojny głos zapowiadającego: – Pociąg do Basingstoke wjeżdża na peron trzeci. Planowy odjazd pociągu: godzina ósma zero dwie.

– RRRRAAAA! – Babi zamachnął się na spizowy posąg jakiegoś sławnego nieszczęśnika i strącił mu głowę z karku. Podbiegł do niego policjant z bronią w rękę. Zanim zdążyłam krzyknąć, żeby tego nie robił, wystrzelił jedną kulę w Babiego. Liz i Emma wrzasnęły jednocześnie. Kula odbiła się od futra pawiana, jakby było z tytanu, i rozbiła najbliższy szyld. Policjant osunął się na ziemię nieprzytomny.

Nigdy nie widziałam takiej masy ludzi tak szybko opuszczającej dworzec. Rozważałam dołączenie do nich, ale uznałam, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Nie mogłam pozwolić, żeby ci rąbnięci bogowie pozabijali tłum niewinnych ludzi tylko dlatego, że ja się między nimi znalazłam. Poza tym gdybyśmy chciały dołączyć do tego exodusu, to albo byśmy ugrzęzły w tłumie, albo by nas stratowano.

– Sadie, patrz! – Liz wskazała w górę, a Emma głośno pisnęła.

Nechbet poszybowała pod sufit i usiadła wśród gołębi na metalowej belce stropowej. Wpatrywała się w nas, krzycząc do Babiego: – Ona tu jest, kochany! Tutaj!

– Czy ona mogłaby się zamknąć? – wymamrotałam.

– Głupia Izyda, że cię wybrała! – wrzasnęła Nechbet. – Pożywię się twoimi wnętrznościami!

– RRRRAAAA! – odparł pawian, zgadzając się z nią całkowicie.

– Pociąg do Brighton z godziny ósmej czternaście odjedzie z opóźnieniem – oznajmił zapowiadający. – Przepraszamy za utrudnienia.

Babi właśnie nas zobaczył. Jego oczy zapłonęły prymitywnym gniewem, ale dostrzegłam też jakiś cień dziadka w jego twarzy. To, jak marszczył brwi i wysuwał do przodu brodę – zupełnie jak dziadek, kiedy złościł się na telewizor i wrzeszczał na graczy w rugby. Na widok tej miny na pysku pawiana omal całkiem nie spanikowałam.

Nie zamierzałam tam umierać. Nie mogłam pozwolić tej dwójce ohydnych bogów skrzywdzić moich przyjaciółek albo spalić moich dziadków.

Babi skierował się ku nam wolnym krokiem. Teraz, kiedy nas znalazł, nie spieszył się z zabijaniem. Uniósł łeb i zaszczekał gardłowo na lewo i prawo, jakby wzywał towarzyszy na ucztę. Emma wbiła mi palce w ramię. Liz jęknęła: – Sadie...?

Ludzie w większości opuścili już halę. Nie widziałam innych policjantów. Pewnie uciekli albo też wszyscy zmierzali właśnie na Canary Wharf, nie zdając sobie sprawy, że problem się przemieścił.

– Nie zginiemy – obiecałam przyjaciółkom. – Emma, przytrzymaj mi laskę.

– La... Ach, tak. – Chwyciła laskę tak ostrożnie, jakby była to wyrzutnia raketowa, w którą, jak sędzę, mogłaby się zmienić przy odpowiednim zaklęciu.

– Liz – rozkazałam – obserwuj pawiana.

– Obserwuję pawiana – powtórzyła. – Dość ciężko go nie zauważyć.

Grzebałam w magicznej torbie, desperacko poszukując odpowiednich przedmiotów. Różdżka... dobra do obrony, ale przeciwko dwójce bogów potrzebowałam czegoś więcej. Synowie Horusa, magiczna kreda... to nie miejsce na rysowanie ochronnych kręgów. Muszę się dostać na most. Muszę zyskać na czasie, żeby wydostać się z tego dworca.

– Sadie... – ostrzegła Liz.

Babi właśnie wskoczył na dach drogerii. Ryknął i ze wszystkich stron zaczęły

się pojawiać mniejsze pawiany: wspinały się na głowy uciekających pasażerów, zwieszały się z belkowania, wyskakiwały ze schodów ruchomych i sklepów. Były ich dziesiątki, wszystkie ubrane w czarno-srebrne koszulki koszykarskie. Czyżby koszykówka była jakimś międzynarodowym pawianim sportem?

Aż do tego dnia zdecydowanie lubiłam pawiany. Te, które spotkałam wcześniej, jak Chufu czy jego towarzyszy kumple, były świętymi zwierzętami Thota, boga wiedzy. Zwykle były mądre i pomocne. Podejrzywałam jednak, że zastępy Babiego należą do zupełnie innego rodzaju. Miały krwistoczerwone futra, dzikie oczy i kły, przy których tygrys szablozębny dostałby kompleksów.

Zaczęły zaciskać krąg, warcząc i gotując się do ataku.

Wyciągnęłam z torby kawałek wosku – nie miałam czasu na robienie uszebti. Dwa amulety tit, święte znaki Izydy – o, te mogą się przydać. Nagle znalazłam zakorkowaną buteleczkę, o której całkiem zapomniałam. W jej wnętrzu była jakaś ciemna maź – moje pierwsze podejście do robienia eliksirów. Leżała sobie na dnie torby od wieków, ponieważ nigdy nie byłam w tak rozpaczliwej sytuacji, żeby ją wypróbować.

Potrząsnęłam fiolką. Płyn zamigotał mdłymi zielonymi iskierkami. Pływały w nim jakieś gluty. Odkorkowałam buteleczkę. Jej zawartość cuchnęła gorzej niż Nechbet.

– Co to jest? – zapytała Liz.

– Obrzydliwość – odparłam. – Zwój animujący zmieszany z olejem, wodą i kilkoma tajnymi składnikami. Obawiam się, że wyszło niezbyt gładkie.

– Animacja? – spytała Emma. – Zamierzasz wzywać postacie z kreskówek?

– Świetny pomysł – przyznałam. – Ale to jest bardziej niebezpieczne. Jeśli mi się uda, mogę wchłonąć dużo magii, nie spalając się przy tym.

– A jak się nie uda? – zapytała Liz.

Podaliśmy im amulety Izydy.

– Trzymajcie to. Kiedy powiem „już”, biegnijcie do postojów taksówek. Nie zatrzymujcie się.

– Sadie – zaprotestowała Emma – o co...

Zanim zdążył sparalizować mnie strach, połknęłam zawartość fiolki.

Nad nami Nechbet zagadała: – Poddaj się! Nie dasz nam rady!

Cień jej skrzydeł rozpościerał się nad całą halą, przyspieszając ucieczkę ostatnich pasażerów i przygniatając mnie lękiem. Wiedziałam, że to tylko zaklęcie, ale mimo to pokusa przyjęcia szybkiej śmierci była przytłaczająca.

Kilka pawianów poczuło zapach jedzenia i pognało do McDonalda. Kilka

innych goniło konduktora, bijąc go zwiniętymi gazetami. Niestety większość małą spoglądała na nas. Utworzyły luźny krąg wokół kiosku. Ze swego stanowiska dowódcy na dachu drogerii Babi zawył – wyraźny rozkaz ataku.

W tej samej chwili eliksir zadziałał. Magia popłynęła przez moje ciało. W ustach miałam taki smak, jakbym połknęła martwą ropuchę, ale teraz zrozumiałam, dlaczego eliksiry były tak popularne wśród starożytnych magów.

Zaklęcie animujące, którego napisanie zajęło mi kilka dni i normalnie potrzebowałabym godziny, żeby je rzucić, płynęło teraz w mojej krwi. Moc zbierała się w czubkach palców. Jedynym problemem pozostawało ukierunkowanie tej magii, żeby nie spaliła mnie na skwarek.

Wezwałam Izydę najlepiej, jak potrafiłam, dotykając jej potęgi, żeby pomogła mi ukształtować czar. Wyobraziłam sobie, czego potrzebuję, i w głowie pojawiło się właściwe słowo mocy: „Chronić”. *Nedz*.

Wyzwoliliam magię. Przede mną zapłonął złoty hieroglif:



Przez halę popłynęła fala złotego światła. Zastępy pawianów zawahały się. Babi tupnął w dach drogerii. Nawet Nechbet z piskiem zachwiała się na belce.

Na całym dworcu zaczęły się poruszać przedmioty nieożywione. Plecaki i walizki nagle nauczyły się latać. Półki z gazetami, gumą do żucia, słodyczami i napojami wyskoczyły ze sklepów i zaatakowały stado pawianów. Strącona głowa posągu pojawiła się nie wiadomo skąd i uderzyła w pierś Babiego, rzucając go w tył na dachu. Tornado różowych kartek „Financial Timesa” wzbilo się pod sufit, otaczając Nechbet, która potknęła się i ze skrzykiem spadła ze swojej grzędy w wirze różu i czerni.

– Już! – krzyknęłam do przyjaciółek. Popędziłyśmy do wyjścia, przeciskając się między pawianami, które były zbyt zajęte, żeby nas zatrzymywać. Na jednego nacierał sześciopak wody gazowanej. Inny bronił się przed tęczką i kilkoma samobójczymi smartfonami.

Babi próbował wstać, ale uniosła się wokół niego fala produktów kosmetycznych: toniki, gąbki i szampony uderzały w niego, przyskajac mu w oczy i usiłując wykonać na jego łbie ekstremalny makijaż. Zirytowany pawiani bóg ryknął, poślizgnął się i wpadł do zniszczonego sklepu. Wątpiłam, żeby moje

zaklęcie było w stanie zrobić trwałą krzywdę bogom, ale przy odrobinie szczęścia powstrzymam ich na kilka minut.

Liz, Emma i ja wydostałyśmy się z dworca. Ponieważ wszyscy się stąd ewakuowali, nie spodziewałam się żadnych taksówek na postoju i rzeczywiście krawężnik był pusty. Pogodziłam się z koniecznością biegu do mostu Waterloo, mimo że Emma nie miała butów, a ja czułam mdłości od eliksiru.

– Patrz! – zawołała Liz.

– Niezła robota, Sadie – dodała Emma.

– Co? – zapytałam. – Co ja takiego zrobiłam?

W tej samej chwili zauważyłam szofera – niezwykle niskiego, niechlujnego człowieczka stojącego na końcu podjazdu. Ubrany był w czarny garnitur, a w ręce trzymał tabliczkę z napisem KANE.

Przypuszczalnie moje przyjaciółki uznały, że wezwałam go za pomocą magii. Zanim zdążyłam wyprowadzić je z błędu, Emma krzyknęła: – Chodźcie! – i obie pognały ku człowieczkowi. Mogłam jedynie pobiec za nimi. Przypomniało mi się, że Anubis wspomniał coś o przysłaniu mi „kierowcy”. Uznałam, że to pewnie on, ale im bardziej się zbliżyłyśmy, tym mniej chętna byłam do tego spotkania.

Był ode mnie niższy o połowę, bardziej przysadzisty niż wujek Amos, no i wygrywał światowy konkurs brzydoty. Rysy twarzy miał zdecydowanie neandertalskie. Pod grubym, owłosionym pojedynczym łukiem brwiowym jedno oko zdawało się większe od drugiego. Broda wyglądała, jakby używał jej do skrobania zatłuszczonych garnków. Skóra była upstrzona czerwonymi szramami, a włosy przypominały ptasie gniazdo, które zajęło się ogniem, a następnie zostało ugaszone przez zadeptywanie.

Na mój widok skrzywił się, co nie poprawiło mu urody.

– Najwyższy czas! – Miał amerykański akcent. Beknął w pięść, a odór curryomal mnie nie przewrócił. – Przyjaciółka Bastet? Sadie Kane?

– E... możliwe. – Postanowiłam porozmawiać poważnie z Bastet w kwestii doboru przyjaciół. – Tak nawiasem mówiąc, dwoje bogów usiłuje nas zabić.

Krostowaty człowieczek oblizał wargi, najwyraźniej nieporuszony.

– To pewnie potrzebujesz mostu.

Odwrócił się do krawężnika i ryknął: – BUUU!

Wielki czarny mercedes pojawił się znikąd, jakby zaistniał ze strachu.

Szofer zerknął na mnie i zmarszczył brew.

– No? Wsiadać!

Nigdy wcześniej nie jechałam limuzyną. Podejrzewam, że zazwyczaj są one porządniejsze od naszej. Tylnie siedzenie było zaśmiecone pojemnikami po indyjskim żarciu na wynos, papierem po rybie z frytkami, torebkami po chipsach i całą gamą brudnych skarpetek. Mimo to wszystkie trzy włączyłyśmy się tam, ponieważ żadna z nas nie odważyłaby się usiąść z przodu.

Może wam się wydawać, że byłam szalona, wsiadając do samochodu z obcym facetem. Oczywiście macie rację. Ale Bastet obiecała nam pomoc, a Anubis zapowiedział, że mam się spodziewać szofera. Fakt, że naszym pomocnikiem miał zostać mały człowieczek o fatalnych nawykach higienicznych i magicznej limuzynie, nie zaskoczył mnie jakoś szczególnie. Widziałam już w życiu dziwniejsze rzeczy.

No a poza tym nie miałam wielkiego wyboru. Elixir przestał działać, a wysiłek związany z użyciem takiej ilości magii przyprawił mnie o zawroty głowy i miękkie kolana. Nie byłam pewna, czy doszłabym do mostu Waterloo, nie mdlejąc po drodze.

Szofer docisnął pedał gazu i wypadł z dworca. Choć policja odcięła jego teren, nasza limuzyna prześlizgnęła się między barykadami, minęła kilka wozów transmisyjnych oraz tłum gapiów, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi.

Szofer zaczął pogwizdywać pod nosem melodyjkę, która brzmiała jak *Short People*. Głową ledwie sięgał zagłówka. Widziałam tylko niechlujne gniazdo włosów i włochate dłonie na kierownicy.

Za osłonę przeciwsłoneczną wetknięty był identyfikator ze zdjęciem – czymś w rodzaju zdjęcia. Zostało wykonane z milimetrowej odległości, ukazując jedynie niewyraźny nos i paskudną paszczę, jakby jej właściciel usiłował zjeść aparat. Na kartce napisane było „Twoim kierowcą jest BES”.

– Nazywasz się Bes, tak jest? – zapytałam.

– Tak – odparł.

– Samochód cuchnie jak pies – mruknęła Liz.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę coś do rymu – wymamrotała Emma – to zwymiotuję.

– To znaczy pan Bes? – zapytałam, usiłując umiejscowić jego imię w obrębie egipskiej mitologii. Byłam prawie pewna, że nie mieli boga szoferów. – A może Pan Bes? Bes Najniższy?

– Po prostu Bes – warknął. – Przez jedno „s”. I nie, to NIE jest dziewczęce imię. Jeśli zwrócisz się do mnie per Bessie, będę zmuszony cię zabić. A jeśli chodzi o wzrost, to jestem bogiem karłem, więc czego się spodziewasz? Aha,

z tyłu jest woda mineralna, jak byście były spragnione.

Spojrzałam pod nogi. Po podłodze przetaczały się dwie na pół puste butelki. Na zakrętce jednej była szminka. Druga wyglądała tak, jakby ktoś ją obgryzał.

– Nie chce nam się pić – uznałam.

Liz i Emma potaknęły pomrukami. Dziwiłam się, że nie wpadły w całkowitą katatonię po wydarzeniach tego wieczoru, ale w końcu to były moje przyjaciółki. Nie zadaję się z dziewczynami o słabej woli, prawda? Nawet zanim odkryłam magię, potrzeba było dobrego zdrowia i sporej elastyczności, żeby być moją kumpelą. [Nawet nie próbuj komentować, Carter].

Policyjne radiowozy blokowały most Waterloo, ale Bes wyminął je, wskoczył na krawężnik i jechał dalej. Policjanci nawet nie mrugnęli.

– Jesteśmy niewidzialni? – zapytałam.

– Dla większości śmiertelników. – Bes beknął. – Są dość tępi, co nie? Nie licząc obecnego towarzystwa itede.

– Naprawdę jesteś bogiem? – spytała Liz.

– I to wielkim – odparł Bes. – W świecie bogów jestem wielki.

– Wielki bóg krasnali – zdumiała się Emma. – Chodzi ci o takie jak w Królewnej Śnieżce czy...

– Wszystkich karłów. – Bes zatoczył wielki krąg rękami, co lekko mnie zaniepokoiło, ponieważ puścił kierownicę. – Egipcjanie byli mądrzy. Szanowali ludzi, którzy urodzili się jako odmienicy. Karły były uważane za szczególnie magiczne. No więc tak, jestem bogiem karłów.

Liz odchrząknęła.

– Czy w naszych czasach nie powinno się używać jakiegoś bardziej uprzejmego określenia? No wiesz... wysokich inaczej albo odmiennego wzrostu, albo...

– Nie zamierzam nazywać się bogiem ludzi wysokich inaczej – odburknął Bes. – Jestem karłem! No, dojechaliśmy, na czas.

Zatrzymał samochód ostrym skrzętem na samym środku mostu. Spojrzałam do tyłu i omal nie straciłam całej zawartości żołądka. Nad nabrzeżem krążył czarny skrzydlaty kształt. Na końcu mostu Babi zajmował się barykadą na swój niepowtarzalny sposób. Wrzucał policyjne samochody do Tamizy, podczas gdy policjanci rozbiegali się, strzelając do niego, mimo że kule najwyraźniej w ogóle nie szkodziły stalowej sierści boga pawiana.

– Czemu się zatrzymaliśmy? – zapytała Emma.

Bes stanął na siedzeniu i przeciągnął się, co przyszło mu bez trudu.

– Tu jest rzeka – odparł. – Dobre miejsce do walki z bogami, jeśli mnie pytać o zdanie. Cała moc natury przepływająca pod naszymi stopami utrudnia nam zakotwiczenie w świecie śmiertelników.

Przyjrzałam mu się bliżej i zrozumiałam, o czym mówił. Jego twarz migotała niczym fatamorgana.

Poczułam, że coś ściska mnie w gardle. Nadeszła chwila prawdy. Czułam mdłości po wypiciu eliksiru i ze strachu. Wcale nie byłam pewna, czy starczy mi magii na walkę z tą dwójką bogów. Ale nie miałam wyboru.

– Liz, Emma – powiedziałam. – Wysiadamy.

– Wy... siadamy? – jęknęła Liz.

Emma przełknęła ślinę.

– Jesteś pewna...

– Wiem, że jesteście przerażone – odparłam – ale musicie robić dokładnie to, co wam powiem.

Potaknęły niepewnie, otwierając drzwiczki samochodu. Biedactwa. Znów pożałowałam, że nie zostawiłam ich wcześniej, ale prawdę mówiąc, po tym jak zobaczyłam opętanie moich dziadków, nie potrafiłabym spuścić przyjaciółek z oczu.

Bes słumił ziewnięcie.

– Potrzebujesz mojej pomocy?

– Yyy...

Babi zbliżał się ku nam kołyszącym krokiem. Nechbet krążyła nad nim, wykrzykując rozkazy. Jeśli rzeka miała na nich jakikolwiek wpływ, nie dawali tego po sobie poznać.

Nie wyobrażałam sobie, jak karłowaty bóg miałby się im przeciwstawić, ale odpowiedziałam: – Tak. Potrzebuję pomocy.

– Doskonale. – Bes strzelił palcami. – W takim razie wysiadaj.

– Co?

– Nie mogę się przebrać, jak jesteś w samochodzie, prawda? Muszę założyć moje brzydkie ubranie.

– Brzydkie ubranie?

– Idźcie! – rozkazał karzeł. – Dołączę za minutę.

Nie trzeba nas było dodatkowo zachęcać. Żadna z nas nie miała ochoty oglądać więcej Besa, niż było konieczne. Wysiadłyśmy, a on zarygłował za nami drzwiczki. Szyby były mocno przyciemnione, więc nie widziałyśmy wnętrza. Bes równie dobrze mógł się wylegiwać na kanapie albo słuchać muzyki, kiedy

my szłyśmy na rzeź. Z pewnością nie pokładałam zbyt wiele nadziei w tym, że zmiana garderoby pomoże pokonać Nechbet i Babiego.

Spojrzałam na moje przerażone przyjaciółki, a następnie na dwójkę szarżujących na nas bogów.

– Tu będzie nasz ostatni bastion.

– Och, nie, nie – zaprotestowała Liz. – Nie podoba mi się to określenie: „ostatni bastion”.

Przeszukałam torbę i wyciągnęłam kawałek kredy oraz czterech synów Horusa.

– Liz, postaw te figurki w punktach kardynalnych – na północy, południu i tak dalej. Emma, bierz kredę. Narysuj krąg, który połączy figurki. Mamy raptem kilka sekund.

Podalam jej kredę, biorąc od niej laskę, po czym doznałam koszmarnego uczucia *déjà vu*. Właśnie wydałam rozkazy moim koleżankom, dokładnie tak jak Ziya Rashid rozkazywała mi, kiedy po raz pierwszy razem walczyłyśmy z wrogo nastawionym bogiem.

Nie chciałam zachowywać się jak Ziya. Z drugiej jednak strony dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak wiele odwagi musiała mieć ta dziewczyna, żeby przeciwstawić się bogini, ochraniając dwójkę kompletnych nowicjuszy. Przyznaję się bez bicia – poczułam dla niej szacunek. Żałowałam, że nie jestem aż tak odważna.

Uniosłam laskę i usiłowałam się skupić. Czas jakby zwolnił. Uwolniłam zmysły, sięgając nimi poza siebie, aż uzyskałam świadomość wszystkiego, co mnie otaczało: szurania kredą przez Emmę, która zamykała krąg, zbyt głośnego bicia serca Liz, potężnych stóp Babiego dudniących na moście, kiedy biegł ku nam, Tamizy płynącej pod mostem i prądów Duat unoszących się z równą mocą wokół mnie.

Bastet powiedziała mi kiedyś, że Duat jest niczym ocean magii pod powierzchnią świata śmiertelników. Jeśli to była prawda, to miejsce – most nad płynącą wodą – było niczym bicz wodny. Magia płynęła tu mocniej. Zdolna zatopić nieostrożnych. Nawet bogowie mogli zostać uniesieni z prądem.

Spróbowałam się zakotwiczyć, skupiając się na otaczającym mnie krajobrazie. Londyn to moje miasto. Z miejsca, w którym stałam, widać było wszystko: Parlament, wielkie koło London Eye, nawet Iglę Kleopatry na Victoria Embankment, pod którą zginęła moja mama. Jeśli zawiodę tutaj, tak blisko miejsca, w którym mama dokonała swojego ostatniego magicznego wyczynu...

Nie. Nie mogę do tego dopuścić.

Babi znajdował się raptem metr od nas, kiedy Emma ukończyła krąg. Dotknęłam kredy laską i znad ziemi uniosło się złote światło.

Pawiani bóg uderzył w moje ochronne pole mocy, jakby było ścianą z metalu. Zatoczył się w tył, a Nechbet w ostatniej chwili poderwała się i krążyła teraz wokół nas, gdacząc sfrustrowana.

Niestety krąg światła zaczął migać. Mama nauczyła mnie tego jeszcze w dzieciństwie: każda akcja wywołuje równą jej, przeciwstawną reakcję. Dotyczy to magii tak samo jak nauki. Moc ataku Babiego ogłuszyła mnie. Jeśli on zaatakuje znowu, nie wiem, czy zdołam utrzymać krąg. Zastanawiałam się, czy z niego nie wyjść, ściągając na siebie atak. Gdyby udało mi się najpierw skierować energię na koło, może ono utrzyma się dłużej, nawet jeśli zginę. Wtedy przynajmniej moje przyjaciółki ocaleją.

Ziya Rashid zapewne myślała podobnie w zeszłe święta, kiedy wystąpiła poza krąg, żeby ratować Cartera i mnie. Naprawdę była irytująco odważna.

– Cokolwiek się ze mną stanie – powiedziałam koleżankom – nie ruszajcie się z kręgu.

– Sadie – odparła Emma – znam ten ton głosu. Cokolwiek wymyśliłaś, nie rób tego.

– Nie możesz nas zostawić – dodała błagalnie Liz, po czym krzyknęła na Babiego piskliwie: – I-idź sobie, ty paskudna pieniąca się małpo! Moja przyjaciółka nie chce cię zniszczyć, ale... ale cię zniszczy!

Babi warknął. Rzeczywiście wyglądał, jakby się pienił, z powodu wizyty w drogerii, no i cudownie pachniał. Wielokolorowa piana z szamponu i kulki kąpielowe przyczepiły się do jego futra.

Nechbet miała się gorzej. Przysiadła na czubku najbliższej lampy, wyglądając, jakby napadła na nią cała zawartość sklepu z pasztecikami. Kawałki szynki, sera i ziemniaków upstrzyły jej pierzastą pelerynę, dając świadectwo odwadze zaczarowanych pasztecików, które poświęciły swoje krótkie żywoty, żeby ją powstrzymać. Włosy miała ozdobione plastikowymi widelcami, serwetkami i kulkami z różowego papieru gazetowego. Wyglądała tak, jakby jej jedynym pragnieniem było rozerwać mnie na strzępy.

Dobra wiadomość: sługom Babiego najwyraźniej nie udało się wydostać z dworca. Wyobraziłam sobie stado upapranych tartami pawianów rzucanych na maski radiowozów i zakuwanych w kajdanki. Nieco podniosło mnie to na duchu.

Nechbet prychnęła pogardliwie.

– Zaskoczyłaś nas na dworcu, Sadie Kane. Niezła robota, przyznaję. No i zwabiłaś nas na most – sprytne. Ale my nie jesteśmy aż tak słabi. Nie masz już siły, żeby z nami walczyć. Jeśli nie jesteś w stanie nas pokonać, nie masz co zabierać się za budzenie Ra.

– Powinnaś mi pomagać – powiedziałam – a nie powstrzymywać mnie.

– UCH! – warknął Babi.

– Istotnie – potaknęła sępia bogini. – Mocni przeżywają bez pomocy. Słabi muszą zostać zabici i pożarci. Którym z dwojga jesteś, dziecko? Odpowiedz uczciwie.

Chciecie znać prawdę? Omal nie zemdlałam. Most zdawał się chwiać podę mną. Syreny wyły na obu brzegach rzeki. Ku barykadom podjeżdżały kolejne radiowozy, ale na razie policja nie ruszała się z miejsca.

Babi obnażył kły. Był tak blisko, że czułam odór jego wymytego szamponem futra i okropnego oddechu. Nagle zobaczyłam okulary dziadka wciąż tkwiące na jego czole i cały gniew powrócił.

– Chcesz się przekonać? – odezwałam się. – Podążam ścieżką Izydy. Zadrzyj ze mną, a zniszczę cię.

Udało mi się zapalić czubek laski. Babi cofnął się. Usadowiona na latarni Nechbet zatrzepotała skrzydłami. Ich kształty zamazały się na chwilę. Rzeka osłabiła ich, rwąc ich połączenie ze światem śmiertelników jak zakłócenia sygnału komórkowego. Ale to nie wystarczało.

Nechbet chyba dostrzegła rozpacz na mojej twarzy. Była sępem. Jej specjalnością była ocena, kiedy ofiara jest już wykończona.

– Niezły ostatni wysiłek, dziecko – oznajmiła, niemalże z podziwem – ale nic ci już nie zostało. Babi, do ataku!

Pawiani bóg uniósł się na tylnych łapach. Przygotowałam się do ataku i wystrzelenia ostatniego pocisku energii – miałam przełączyć się na moją własną siłę życiową i być może odparować bogów. Musiałam zapewnić bezpieczeństwo Liz i Emmie.

Nagle za mną otworzyły się drzwiczki limuzyny i usłyszałam głos Besa: – Nikt nikogo nie będzie atakował! Poza mną oczywiście.

Nechbet skrzeknęła z niepokojem. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Natychmiast pożałowałam, że nie mogę sobie wypalić oczu.

Liz omal się nie zakrztusiła. – Boże, nie! Tylko nie to!

– *Agh!* – krzyknęła Emma bezbłędnie po pawianiemu. – Niech on przestanie!

Bes istotnie przebrał się na brzydko. Wspiął się na dach limuzyny i stał tam na rozstawionych nogach, ująwszy się pod boki zupełnie jak Superman – jeśli nie liczyć bielizny.

Nie będę się wdawać w szczegóły ze względu na osoby o słabych nerwach, ale Bes ze swoim metrowym wzrostem popisywał się swoją paskudną aparycją – pękatym brzuchem, włochatymi rękami, okropnymi stopami i obrzydliwymi sflaczałymi mięśniami – a miał na sobie wyłącznie niebieskie kąpielówki. Wyobraźcie sobie najbrzydszą osobę, jaką kiedykolwiek widzieliście na plaży – kogoś, kto powinien mieć zakaz noszenia stroju kąpielowego. Bes wyglądał gorzej. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, oprócz: – Ubierz się!

Bes roześmiał się – było to coś w rodzaju rechotu, mówiącego: „Ha-ha! Jestem boski!”.

– Nie przestanę, dopóki oni się nie wyniosą – odparł. – Albo będę zmuszony wygnać ich z powrotem do Duat.

– To nie twoja sprawa, karli bogu! – parsknęła Nechbet, odwracając wzrok od tej okropności. – Wynoś się!

– Te dzieci są pod moją opieką – oznajmił Bes.

– Ja cię nie znam – wtrąciłam. – Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

– Bzdura. Poprosiłaś wyraźnie o moją opiekę.

– Nie prosiłam o Slipkowy Patrol!

Bes zeskoczył z limuzyny i wylądował tuż poza moim kręgiem, ustawiając się między Babim a mną. Od tyłu karzeł wyglądał jeszcze gorzej. Plecy miał tak włochate, że wyglądały jak futro z norek. A z tyłu kąpielówek miał napis „Karły górą”.

Bes i Babi okrążali się niczym zapaśnicy. Pawian zamachnął się na Besa, ale karzeł był zwinny. Wspiął się na tors Babiego i uderzył go głową w nos. Babi zachwiał się, a karzeł nie przestawał walić go głową, używając własnej twarzy jako śmiertelnej broni.

– Nie rób mu krzywdy! – wrzasnęłam. – W środku jest mój dziadek!

Babi oparł się o barierkę. Zamrugał powiekami, usiłując odzyskać równowagę, ale Bes kaszlnął na niego i odór curry musiał przeważać szalę. Pod pawianem ugięły się kolana. Jego ciało zamigotało i zaczęło się kurczyć. Upadł na chodnik, zmieniając się w krępego siwego emeryta w podartym swetrze.

– Dziadku! – Nie mogłam na to patrzeć. Wyszłam poza ochronny krąg i podbiegłam do niego.

– Nic mu nie będzie – zapewnił mnie Bes, po czym zwrócił się do sępiej

bogini. – Teraz twoja kolej, Nechbet. *Odejdź.*

– Ukradłam to ciało zgodnie z prawem! – jęknęła. – Podoba mi się tu!

– Sama się o to prosisz. – Bes zatarł ręce, wziął głęboki wdech i zrobił coś, czego nigdy nie zdołam wymazać z pamięci.

Jeśli powiem po prostu, że zrobił straszną minę i wrzasnął BUUU, będzie to teoretycznie prawdą, ale nie odda nawet promila okropności.

Jego głowa napuchła. Żuchwa wyciągała się, aż jego paszcza powiększyła się czterokrotnie. Oczy zrobiły się wielkie jak grejpfruty. Włosy sterczały mu jak u Bastet. Potrząsnął głową, wystawił śliski, zielony język i ryknął BUUU! tak głośno, że dźwięk poniósł się przez Tamizę niczym wystrzał armatni. Ten wybuch czystej brzydoty strącił pióra z peleryny Nechbet i pozbawił jej twarz kolorów. Oderwał ducha bogini, jak burza rozrywa bibułkę. Pozostała jedynie oszołomiona stara kobieta w kwiecistym szlafroku, przykucnięta na latarni.

– Ojej... – Babcia zemdląła.

Bes skoczył i złapał ją, zanim spadła do rzeki. Twarz karła wróciła do normy – to znaczy w każdym razie do zwyczajnej *brzydoty* – kiedy sadowił babcię na chodniku obok dziadka.

– Dziękuję – powiedziałam do niego. – A teraz proszę, możesz się ubrać?

Uśmiechnął się do mnie, szczerząc zęby, co nie było mi koniecznie potrzebne do szczęścia.

– Fajna jesteś, Sadie Kane. Rozumiem, za co Bastet cię lubi.

– Sadie? – jęknął dziadek, mrugając powiekami.

– Jestem tutaj, dziadku. – Pogłaskałam go po czole. – Jak się czujesz?

– Mam dziwną ochotę na mango. – Zrobił zęza. – I chyba na owady. Ty... ty nas ocaliłaś?

– Niezupełnie – przyznałam. – Mój obecny tu przyjaciel...

– Pewnie, że to ona was ocaliła – wtrącił się Bes. – To bardzo dzielna dziewczynka. I niezły mag.

Dziadek skupił wzrok na Besie i skrzywił się.

– Cholerni egipscy bogowie w ich cholernych skąpych kostiumach kąpielowych. Dlatego właśnie nie *uprawiamy* magii.

Odetchnęłam z ulgą. Kiedy dziadek zaczął marudzić, wiedziałam, że nic mu nie będzie. Babcia jeszcze nie odzyskała przytomności, ale oddychała równo. Na jej policzki wracał rumieniec.

– Musimy spadać – powiedział Bes. – Śmiertelnicy gotują się do ataku na most.

Zerknęłam w kierunku barykady i zrozumiałam, co miał na myśli. Zbierała się tam właśnie grupa uderzeniowa – uzbrojeni po zęby faceci z karabinami, granatnikami i pewnie mnóstwem innych zabawek, które mogły nas pozabijać.

– Liz, Emma! – zawołałam. – Pomóżcie mi z dziadkami.

Moje przyjaciółki podbiegły i pomogły babci usiąść, ale Bes powiedział: – Oni nie jadą.

– Że co? – zapytałam ostro. – Właśnie powiedziałaś...

– Są śmiertelnikami – odparł Bes. – Nie należą do twojej misji. Jeśli zamierzasz odebrać drugi zwój Władowi Mienszykowowi, musimy jechać teraz.

– Wiesz o tym? – Nagle przypomniałam sobie rozmowę z Anubisem.

– Twoim dziadkom i koleżankom nic takiego nie grozi – wyjaśnił Bes. – Policja ich przesłucha, ale nie uzna staruszków ani dzieci za zagrożenie.

– Nie jesteśmy dziećmi – mruknęła Emma.

– Sępy... – wymamrotała babcia przez sen. – Paszteciki...

Dziadek zakaszłał.

– Karzeł ma rację, Sadie. *Idź*. Ja już odzyskuję siły, choć szkoda, że ten małopod nie mógł mi zostawić trochę swojej mocy. Od lat nie byłem tak silny.

Spojrzałam na moich ubrudzonych czym się da dziadków i przyjaciółki. Serce rozdzierało mi się bardziej niż wcześniej gęba Besa. Wiedziałam, że karzeł ma rację: będą tu bezpieczniejsi w razie ataku policji niż z nami. Zdawałam sobie też sprawę, że oni wszyscy nie należą do świata magicznych misji. Moi dziadkowie dawno temu postanowili nie posługiwać się zdolnościami odziedziczonymi po przodkach. A moje koleżanki były tylko śmiertelniczkami – dzielnymi, szalonymi, zabawnymi i wspaniałymi śmiertelniczkami. Ale nie mogły iść za mną wszędzie.

– Spoko, Sadie. – Emma poprawiła złamane okulary i usiłowała się uśmiechnąć. – Damy sobie radę z policją. To nie pierwszy raz, kiedy musimy kogoś przegadać, co?

– I zajmiemy się twoim dziadkiem i babcią – obiecała Liz.

– Nikim nie trzeba się zajmować – zaprotestował dziadek, po czym rozkaszał się. – Idź już, kochana. Ten małpi bóg był w mojej głowie. Mówię ci – on chce cię zniszczyć. Zakończ misję, zanim dorwie cię znowu. Ja nie byłem w stanie nawet go zatrzymać. Nie mogłem... – Spojrzał ze złością na swoje trzęsące się stare ręce. – Nigdy sobie tego nie wybaczę. No, uciekaj już!

– Przepraszam – powiedziałam im wszystkim. – Nie chciałam...

– Że co? – przerwała mi Emma. – Sadie Kane, to była *najwspanialsza*

impreza urodzinowa, na której byłam w życiu! Idź już!

Obie z Liz uściśniły mnie i zanim zdążyłam się rozplakać, Bes wepchnął mnie do mercedesa.

Skierowaliśmy się ku Victoria Embankment. Mijaliśmy właśnie barykadę, kiedy Bes zwolnił.

– Co się stało? – zapytałam. – Nie damy rady wyminąć ich niezauważeni?

– Nie przejmuję się śmiertelnikami. – Wskazał palcem.

Policjanci, dziennikarze i gapie – wszyscy ludzie zgromadzeni wokół barykady spali. Kilku facetów wyglądających na wojskowych w kamizelkach kuloodpornych zwinęło się na chodniku, tuląc się do karabinów jak do pluszowych misiów.

Przed barykadą, blokując przejazd naszego samochodu, stali Carter i Walt. Mieli ubrania w nieładzie i dyszeli ciężko, jakby właśnie przybiegli tu z Brooklynu. Obaj trzymali różdżki w pogotowiu. Carter zrobił krok do przodu, wskazując mieczem na naszą przednią szybę.

– Wypuść ją! – ryknął na Besa. – Albo cię zniszczę!

Bes zerknął na mnie.

– Mam go wystraszyć?

– Nie! – krzyknęłam. To było coś, czego *nie* miałam ochoty więcej oglądać.

– Dam sobie z nim radę.

Wysiadłam z limuzyny.

– Cześć, chłopaki. Świetnie zgraliście to w czasie.

Walt i Carter zmarszczyli brwi.

– Nie jesteś w niebezpieczeństwie? – zapytał Walt.

– Już nie.

Carter niechętnie opuścił miecz.

– Twierdzisz, że ten brzydal...

– Jest przyjacielem – odparłam. – Kumplem Bastet. I naszym szoferem.

Carter wyglądał jednocześnie na zmieszanego, zirytowanego i zaniepokojonego, co stanowiło satysfakcjonujące zakończenie imprezy urodzinowej.

– A dokąd nas zabiera? – zapytał.

– Oczywiście do Rosji – odpowiedziałam. – Wskakujcie.

9. Karłowata wycieczka do Rosji

Sadie jak zwykle pominęła nieco istotnych szczegółów, na przykład jak Walt i ja omal nie zginęliśmy, usiłując ją znaleźć.

Lot do Muzeum Brooklyńskiego nie był przyjemny. Musieliśmy zwisać na linie spod brzucha gryfa niczym para Tarzanów, robiąc uniki przed policjantami, ekipą ratowniczą, urzędnikami miejskimi i kilkoma starszymi paniami, które goniły nas z parasolkami, wykrzykując: – To jest ten koliber! Zabić go!

Jak już otwarliśmy portal, chciałem zabrać Świrusa ze sobą, ale na widok bramy pełnej wirującego piasku on jakby... no, ześwirował, więc musieliśmy go zostawić.

Kiedy wylądowaliśmy w Londynie, ekrany telewizyjne w sklepach pokazywały urywki z dworca Waterloo – coś o dziwacznych zamieszkach w hali z udziałem zwierząt, które uciekły z zoo, oraz trąby powietrznej. Rany, ciekawe, kto to wywołał? Użyliśmy amuletu Walta związanego z bogiem powietrza Szu, żeby przywołać podmuch wiatru i skoczyć na most Waterloo. Oczywiście znaleźliśmy się w samym środku ciężkozbrojnego oddziału antyterrorystycznego. Na szczęście udało mi się przypomnieć sobie zaklęcie usypiające.

A potem, wreszcie, byliśmy gotowi do ataku i ratowania Sadie – i oto ona, jadąca w limuzynie prowadzonej przez paskudnego karła w samych slipach, oskarża *nas* o spóźnienie.

Kiedy więc powiedziała nam, że karzeł zamierza zawieźć nas do Rosji, odparłem coś w stylu: „jak sobie chcesz”. I wsiałem do samochodu.

Limuzyna toczyła się przez dzielnicę Westminster, a Sadie, Walt i ja opowiadaliśmy sobie, co się w międzyczasie działo.

Mój dzień przestał mi się wydawać taki okropny, kiedy usłyszałem, przez co przeszła Sadie. Sen o Apopisie i trzygłowy wąż w sali treningowej nie były aż tak straszne jak bogowie opętujący naszych dziadków. Nigdy za nimi specjalnie nie przepadałem, ale jednak... błeeee.

Nie mogłem też uwierzyć, że naszym kierowcą był Bes. Tato i ja zazwyczaj wyśmiewaliśmy się z jego wizerunków w muzeach – wyłupiastych oczu,

wywalonego języka i ogólnego braku ubrania. Ponoć był on w stanie odstraszyć prawie wszystko – duchy, demony, a nawet innych bogów – dlatego właśnie lud egipski go kochał. Bes opiekował się niższymi warstwami... nie, to nie miał być niepoprawny politycznie żart. W naturze wyglądał *dokładnie* tak samo jak na przedstawieniach, tyle że był kolorowy i cuchnął.

– Jesteśmy twoimi dłużnikami – powiedziałem do niego. – To ty jesteś kumplem Bastet?

Jego uszy zrobiły się czerwone.

– Ta... jasne. Od czasu do czasu prosi mnie o przysługę. Staram się pomagać.

Miałem wrażenie, że kryje się za tym jakaś historia, w którą on woli nie wnikać.

– Kiedy Horus do mnie przemówił – powiedziałem – ostrzegł mnie, że niektórzy bogowie będą chcieli nas powstrzymać przed obudzeniem Ra. Chyba już wiemy, którzy.

Sadie odetchnęła głęboko.

– Gdyby nie podobał im się nasz plan, wystarczyłyby wściekły SMS. Nechbet i Babi omal nie rozerwali mnie na strzępy!

Moja siostra była zielonkawa na twarzy. Jej glany były umazane szamponem i błotem, a ulubiona skórzana kurtka miała na ramieniu plamę wyglądającą podejrzenie jak sępie guano. Mimo to byłem pod wrażeniem, że nie zemdlą. Elixiry bardzo trudno się robi, ale jeszcze trudniej się ich używa. Za zgromadzenie takiej ilości magii zawsze trzeba zapłacić.

– Świetnie sobie poradziłaś – zwróciłem się do niej.

Sadie z irytacją spoglądała na czarny nóż leżący na jej kolanach – ceremonialne ostrze, które dostała od Anubisa.

– Zginęłabym, gdyby nie Bes.

– Oj tam, oj tam – odparł Bes. – No dobra, pewnie byś zginęła. Ale zrobiłabyś to z wdziękiem.

Sadie obracała dziwaczny czarny nóż w rękach, jakby spodziewała się wypisanej na nim instrukcji obsługi.

– To jest *neczeri* – powiedziałem. – Wężowe ostrze. Kapłani używali go w czasie...

– Rytułu Otwarcia Ust – przerwała mi. – Ale jak to ma nam pomóc?

– Nie wiem – przyznałem. – Bes?

– Rytuły śmierci. Staram się ich unikać.

Spojrzałem na Walta. Jego specjalnością były magiczne przedmioty, ale

on jakby w ogóle nie zwracał uwagi na naszą rozmowę. Odkąd Sadie opowiedziała o swoim spotkaniu z Anubisem, Walt był okropnie cichy. Siedział obok niej, obracając w palcach swoje pierścienie.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Aha... tylko myślę. – Zerknął na Sadie. – O nożach *neczeri*, znaczy się.

Sadie przeczesła włosy, jakby usiłowała wytworzyć zasłonę między sobą a Waltem. Napięcie między nimi było tak wielkie, że pewnie nie przedarłoby się przez nie nawet magiczne ostrze.

– Cholerny Anubis – wymamrotała. – Mogłam równie dobrze umrzeć, a jego nic by to nie obeszło.

Po tych słowach jechaliśmy przez chwilę w milczeniu. W końcu Bes skręcił na most Westminsterski, wracając na drugą stronę Tamizy.

Sadie zmarszczyła brwi.

– Dokąd jedziemy? Potrzebujemy portalu. Najlepsze zabytki są w Muzeum Brytyjskim.

– Owszem – potaknął Bes. – Inni magowie też o tym wiedzą.

– Inni magowie? – zapytałem.

– Dziecko, Dom Życia ma oddziały na całym świecie. Londyn to dziewiąty nom. Tym, co się wydarzyło na Waterloo, panna Sadie wysłała flarę do wszystkich zwolenników Desjardinsa: „Tu jestem!”. Założę się, że teraz wszyscy będą was ścigać. Muzeum będzie obstawione, na wypadek gdybyście chcieli się tam udać. Na szczęście znam inne miejsce, gdzie da się otworzyć portal.

Zbesztany przez karła. Powinienem był się domyślić, że w Londynie są inni magowie. Dom Życia jest wszędzie. Nie mogliśmy się czuć bezpiecznie nigdzie poza Domem Brooklyńskim.

Jechaliśmy przez południowy Londyn. Okolice Camberwell Road były niemal równie dołujące jak moje myśli. Ulice zabudowane były szeregowymi odrapanymi domkami z cegły i tanimi sklepikami. Jakaś stara kobieta zerknęła na nas podejrzliwie z przystanku autobusowego. Stojące w drzwiach sklepu spożywczego karki przyglądały się mercedesowi, jakby chciały go ukraść. Zastanawiałem się, czy byli to przebrani bogowie lub magowie, ponieważ większość ludzi nie zauważała samochodu.

Nie miałem pojęcia, dokąd wiezie nas Bes. Nie wyglądało to na dzielnicę pełną egipskich zabytków.

W końcu pojawił się przed nami spory park: zielone łąki ze snującą się mgłą,

ścieżki otoczone drzewami, kilka zdewastowanych murków przypominających akwedukty i porośniętych pnączem. Grunt unosił się lekko ku wzgórzu, na którym stała wieża radiowa.

Bes wjechał na krawężnik i pojechał po trawie, przewracając tabliczkę informującą, że należy trzymać się ścieżek. Wieczór był ponury i deszczowy, więc w okolicy nie było wielu ludzi. Kilku biegaczy na sąsiedniej ścieżce nawet na nas nie spojrzęło, jakby widok limuzyn tratujących trawniki był tu codziennością.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem.

– Patrz i ucz się, dziecko – odparł Bes.

Bycie nazywanym „dzieckiem” przez faceta niższego ode mnie było nieco irytujące, ale trzymałem głowę na kłódkę. Bes wjechał prosto na wzgórze. W pobliżu wierzchołka znajdowały się kamienne schody szerokie na jakieś dziesięć metrów, wbudowane w zbocze. Wyglądały, jakby prowadziły donikąd. Bes wcisnął hamulec i zatrzymaliśmy się. Wzgórze było wyższe, niż się wydawało. Przed nami rozciągał się cały Londyn.

Przyjrzałem się schodom. Po obu ich stronach leżały sfinksy ze zwiertzęgo kamienia, pilnując miasta. Oba miały jakieś trzy metry długości i typowe ciała lwa z głową faraona, ale w londyńskim parku były całkiem nie na miejscu.

– One nie są prawdziwe – powiedziałem.

Bes parsknął.

– Oczywiście, że są prawdziwe.

– Chodzi mi o to, że nie są ze starożytnego Egiptu. Nie są aż tak stare.

– Oj tam, oj tam – odparł Bes. – To schody prowadzące do Kryształowego Pałacu. Kiedyś na tym wzgórzu stała ogromna hala wystawowa ze szkła i stali. Wielka jak katedra.

Sadie zmarszczyła brwi.

– Uczyłam się o tym w szkole. Królowa Wiktorja urządziła tu imprezy czy coś takiego.

– Imprezy czy coś takiego? – burknął Bes. – To była Wielka Wystawa w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym. Pokaz brytyjskiej potęgi imperialnej i tak dalej. Mieli świetne kandyzowane jabłka.

– Ty tu byłeś? – zapytałem.

Bes wzruszył ramionami.

– Pałac spłonął w latach trzydziestych dwudziestego wieku, możemy za to podziękować pewnym głupim magom – ale to osobna historia. Pozostały jedynie

okruchy, jak te schody i sfinksy.

– Schody donikąd – powiedziałem.

– Wcale nie donikąd – poprawił mnie Bes. – Dziś zaprowadzą nas do Petersburga.

Walt nachylił się. Zainteresowanie posągami najwyraźniej rozwiało jego ponury nastrój.

– Skoro te sfinksy nie są naprawdę egipskie – odezwał się – jak można przy ich pomocy otworzyć portal?

Bes wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zależy, jak definiujesz „naprawdę egipskie”, dziecko. Każde wielkie imperium aspiruje do bycia Egiptem. Mnóstwo egipskich przedmiotów sprawia, że czują się ważniejsi. Dlatego jest tyle „nowych” egipskich zabytków w Rzymie, Paryżu, Londynie – gdzie zechcecie. Ten obelisk w Waszyngtonie...

– Nie wspominaj o nim, proszę – przerwała mu Sadie.

– W każdym razie – ciągnął Bes – to są nadal egipskie sfinksy. Zbudowano je, żeby tworzyły połączenie między imperium brytyjskim i imperium egipskim. No więc tak, są w stanie przewodzić magię. Zwłaszcza kiedy ja prowadzę. A teraz... – Zerknął na Walta. – Chyba czas, żebyś wysiadł.

Byłem zbyt zaskoczony, żeby zareagować, ale Walt gapił się na swoje kolana, jakby się tego spodziewał.

– Ej, zaczekaj – powiedziała Sadie. – Czemu Walt nie może z nami jechać? Jest magiem. Może pomóc.

Bes spowaźniał.

– Nie powiedziałaś im, Walt?

– Czego nie powiedział? – spytała ostro Sadie.

Walt zacisnął palce na amuletach, jakby któryś z nich mógł mu pomóc uniknąć tej rozmowy.

– Nic ważnego. Naprawdę. Chodzi o to... powinienem pomagać w Domu Brooklyńskim. A Jaz uważała...

Urwał, uznając zapewne, że nie powinien przywoływać jej imienia.

– Tak? – Ton Sadie był niebezpiecznie spokojny. – Jak się miewa Jaz?

– Jest... jest ciągle w śpiączce – odparł Walt. – Amos mówi, że raczej przeżyje, ale nie o tym...

– Dobrze – wciąła się Sadie. – Cieszę się, że ona wydobrzeje. A zatem ty musisz wracać. Znakomicie. Spadaj. Anubis powiedział, że musimy się pospieszyć.

Sposób, w jaki przywołała jego imię, nie należał do subtelnych. Walt wyglądał, jakby kopnęła go w pierś.

Wiedziałem, że Sadie nie jest wobec niego uczciwa. Z naszej rozmowy w Domu Brooklyńskim wiedziałem, że mu się podobała. Cokolwiek go dręczyło, nie była to romantyczna historia z Jaz. Gdybym jednak spróbował się za nim wstawić, Sadie kazałaby mi spadać. Mogłoby to nawet pogorszyć ich relacje.

– Ja wcale nie chcę wracać – wydukał Walt.

– Ale nie możesz z nami jechać – powiedział twardo Bes. Wydawało mi się, że usłyszałem w jego głosie niepokój, a nawet litość. – Idź, dziecko. Wszystko w porządku.

Walt wyciągnął coś z kieszeni.

– A twoje urodziny, Sadie... pewnie, no, nie chcesz już prezentów. To nie jest magiczny nóż, ale zrobiłem to dla ciebie.

Wsunął jej w dłoń złoty łańcuszek z małą zawieszka w kształcie egipskiego symbolu:



– To jest ta obręcz do koszykówki z głowy Ra – powiedziałem.

Walt i Sadie oboje spojrzeli na mnie karcąco, a ja uznałem, że chyba nie dodaję tej chwili magii.

– Chodzi mi o to, że ten symbol otacza słoneczną koronę Ra – dodałem. – Koło, symbol wieczności, zgadza się?

Sadie przełknęła ślinę, jakby magiczny napój wciąż bulgotał w jej żołądku.

– Wieczności?

Walt rzucił mi spojrzenie mówiące: „Przestań pomagać, proszę”.

– Aha – odparł. – Nazywa się *shen*. Pomyślałem sobie, wiesz, że szukacie Ra. A dobre rzeczy, ważne rzeczy, powinny być wieczne. Może więc przyniesie ci szczęście. Miałem ci go dać rano, ale... tak jakby spanikowałem.

Sadie wpatrywała się w talizman połyskujący w jej dłoni.

– Walt, ja nie... to znaczy, dziękuję, ale...

– Pamiętaj tylko, że nie chciałem odchodzić – powiedział. – Jeśli będziesz

potrzebowała pomocy, możesz na mnie liczyć. – Zerknął na mnie i poprawił się:
– Oboje możecie, oczywiście.

– Teraz jednak – odezwał się Bes – musisz iść.

– Wszystkiego najlepszego, Sadie – dodał Walt. – I powodzenia.

Wysiadł z samochodu i ruszył w dół wzgórza. Patrzyliśmy za nim, aż stał się małą figurką w mroku. Chwilę później znikł w lesie.

– Dwa prezenty na pożegnanie – wymamrotała Sadie – od dwóch boskich chłopaków. Ech, życie.

Zawiesiła łańcuszek na szyi i dotknęła symbolu *szen*.

Bes wpatrywał się w drzewa, między którymi znikł Walt.

– Biedne dziecko. Urodzony odmieniec jak nic. To niesprawiedliwe.

– O czym ty mówisz? – spytałem. – Dlaczego tak nalegałeś, żeby on sobie poszedł?

Karzeł potarł swoją niechlujną brodę.

– Nie mnie to wyjaśniać. Teraz mamy coś do zrobienia. Im więcej damy czasu Mienszykowowi na przygotowanie zabezpieczeń, tym trudniej będzie nam wykonać zadanie.

Nie zamierzałem odpuszczać, ale Bes wpatrywał się we mnie niewzruszenie, a ja wiedziałem, że nie wyciągnę z niego więcej odpowiedzi. Nikt nie jest równie uparty jak karzeł.

– A zatem Rosja – powiedziałem – dojazd pustymi schodami.

– Zgadza się. – Bes wcisnął pedał gazu. Mercedes przeskoczył trawę i błoto i zaczął się wspinać na schody. Byłem przekonany, że dotrzemy do szczytu i jedynym efektem będzie złamana oś, ale w ostatniej chwili otwarł się przed nami portal z wirującym piaskiem. Koła oderwały się od ziemi i czarna limuzyna popędziła prosto w wir.

Grupka zaskoczonych nastolatków rozpięzchła się, kiedy uderzyliśmy o krawężnik po drugiej stronie. Sadie jęknęła i odkleiła głowę od zagłówka.

– Czy nie da się nigdzie dojechać *delikatnie*? – spytała.

Bes uruchomił wycieraczki i oczyścił szybę z piasku. Na zewnątrz było ciemno i padał śnieg. Osiemnastowieczne kamienne budowle otaczały zamarzną rzekę oświetloną ulicznymi latarniami. Za rzeką połyskiwały kolejne budynki jak z bajki: złote kopuły cerkwi, białe pałace, ozdobne rezydencje pomalowane na zielono i niebiesko jak pisanki. Mógłbym uwierzyć, że cofnęliśmy się trzysta lat w czasie – gdyby nie samochody, światło elektryczne

i oczywiście ubrani w czarne skórzane ciuchy młodzi ludzie z mnóstwem kolczyków i farbowanymi włosami, wrzeszczący na nas po rosyjsku i walący pięściami w maskę mercedesa, ponieważ omal ich nie rozjechaliśmy.

– Oni nas widzą? – spytała Sadie.

– Rosjanie – odparł Bes z niechętnym podziwem. – Bardzo przesądny naród. Często naprawdę dostrzegają magię. Musimy być tu ostrożni.

– Byłeś tu już kiedyś? – zapytałem.

Jego spojrzenie powiedziało: „no chyba”, po czym Bes wskazał na drugą stronę samochodu. Wylądowaliśmy między dwoma kamiennymi sfinksami ustawionymi na cokółach. Wyglądały jak wiele innych sfinksów, które widywałem – miały ludzkie głowy na lwich ciałach – ale nigdy nie widziałem ich pokrytych śniegiem.

– Te są autentyczne? – spytałem.

– To najdalej na północ wysunięte egipskie zabytki na świecie – odparł Bes. – Zrabowane z Teb i przywiezione tu, żeby ozdabiały nowe miasto rosyjskiego imperium, Sankt Petersburg. Jak już mówiłem, każde kolejne imperium pożąda kawałka Egiptu.

Młodzież na ulicy nie przestawała krzyczeć i walić w nasz samochód. Jeden z chłopaków rozbił butelkę na szybie.

– Yyy – odezwała się Sadie – nie powinniśmy się stąd ruszyć?

– To nic takiego – odpowiedział Bes. – Rosyjska młodzież zawsze spotyka się przy sfinksach. Od setek lat.

– Przecież jest prawie północ – zauważyłem. – I pada śnieg.

– Wspominałem już, że to Rosjanie? – spytał Bes. – Nie przejmuj się. Zajmę się tym.

Otworzył drzwiczki. Do mercedesa wtargnął lodowaty podmuch, ale Bes wysiadł w samych kąpielówkach.

Młodzieńcy szybko się wycofali. Nie żebym im się dziwił. Bes powiedział coś po rosyjsku, po czym zaryczał jak lew. Tamci uciekli z krzykiem.

Kształt Besa zafalował. Kiedy bóg wrócił do samochodu, miał na sobie ciepły zimowy płaszcz, lamowany futrem kapelusz i puchate rękawiczki.

– Widzicie? – oznajmił. – Przesądni. Wiedzą dobrze, że przed bogiem się ucieka.

– Przed małym włochatym bogiem w kąpielówkach, niewątpliwie – potaknęła Sadie. – To co teraz robimy?

Bes wskazał na lśniący bielą i złotem pałac po drugiej stronie rzeki.

- Ermitaż.
- Mieszkają tam termyty?
- Nie – odparłem. – Słyszałem o tym miejscu. To był pałac cara, a teraz jest muzeum. Najlepsza kolekcja egipska w Rosji.
- Byłeś tu pewnie z tatą? – spytała Sadie. Myślałem, że już wyszliśmy poza fazę zazdrości o podróże po świecie z tatą, ale raz na jakiś czas sprawa wpływała na nowo.
- Nie, nie byłem. – Starłem się, żeby mój ton nie brzmiał tak, jakbym się bronił. – Był tu kiedyś zaproszony z wykładem, ale odmówił.
- Bes zachichotał.
- Wasz tato był mądry. Rosyjscy magowie nie przepadają za gośćmi. Zaciekle bronią swojego terenu.
- Sadie spoglądała przez rzekę.
- Mam rozumieć, że kwatera główna osiemnastego nomu mieści się w *środku* muzeum?
- Gdzieś tam – potaknął Bes – ale jest ukryta za pomocą magii, ponieważ nigdy nie udało mi się znaleźć wejścia. Ta część, na którą teraz patrzycie, to Pałac Zimowy, dawna siedziba cara. Za nią znajduje się cały kompleks budowli. Słyszałem, że na zwiedzenie całego Ermitażu potrzeba jedenastu dni.
- Ale jeśli nie obudzimy Ra, świat skończy się za cztery dni – zauważyłem.
- Już trzy – poprawiła mnie Sadie. – Minęła północ.
- Skrzywiłem się.
- Dzięki za przypomnienie.
- W takim razie proponuję skróconą wycieczkę – powiedział Bes. – Zaczynajcie od działu egipskiego. Główne muzeum, parter.
- Ty z nami nie idziesz? – zapytałem.
- Nie możesz, zgadza się? – domyśliła się Sadie. – Tak jak Bastet nie mogła wejść do domu Desjardinsa w Paryżu. Magowie zabezpieczają swoje kwatery przed bogami. Mam rację?
- Bes zrobił wyjątkowo paskudną minę.
- Odprowadzę was do mostu, ale dalej nie pójdę. Jeśli przekroczę Nową, znajdę się zbyt blisko Ermitażu i uruchomię wszelkie możliwe alarmy. Musicie się jakoś wślizgnąć do środka...
- Włamywanie się do muzeum w środku nocy – mruknęła Sadie. – Nie mamy do tego szczęścia.
- Musimy też znaleźć wejście do osiemnastego nomu. I nie dać się złapać

żywcem.

– Co masz na myśli? – spytałem. – Lepiej zostać złapanym martwym?

Spojrzał na mnie ponurym wzrokiem.

– Zaufaj mi. Nie chcesz być jeńcem Mienszykowa.

Bes pstryknął palcami i nagle mieliśmy na sobie wełniane kurtki, spodnie narciarskie i zimowe buty.

– Chodźcie, *rebiata* – powiedział. – Odprowadzę was do mostu Dworcowego.

Most znajdował się zaledwie kilkaset metrów od nas, ale wydawało się to bardzo daleko. W marcu w Petersburgu najwidoczniej nie panowała wiosna. Ciemność, wiatr i śnieg przypominały raczej styczeń na Alasce. Osobiście wolałbym już umierać z upału na egipskiej pustyni. Nawet w ciepłych ciuchach, które sprokurował nam Bes, szczękałem zębami.

Bes się nie spieszył. Wciąż zwalniał kroku i opowiadał o otaczających nas budynkach, aż miałem wrażenie, że nos odpadnie mi z powodu odmrożenia. Dowiedzieliśmy się, że znajdujemy się na Wyspie Wasiljewskiej, po drugiej stronie Newy od centrum Petersburga. Wskazywał na kolejne cerkwie i zabytki, a kiedy się zbyt rozentuzjasmował, zaczynał gadać po rosyjsku.

– Długo tu siedziałeś – powiedziałem.

Przez chwilę szedł w milczeniu.

– Głównie dawno temu. Nie było...

Zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadłem na niego. Gapił się na przeciwległą stronę ulicy, na wielki pałac o kanarkowożółtych ścianach i zielonym dachu z ozdobnymi szczytami. Jego światła oglądane przez wirujący śnieg wyglądały nierzeczywiście, jak jedne z tych widmowych obrazów w Sali Wieków w pierwszym nomie.

– Pałac księcia Mienszykowa – wymamrotał Bes.

W jego głosie wyczułem nienawiść. Niemal spodziewałem się, że wrzaśnie BUUU na budynek, ale on tylko zazgrzytał zębami.

Sadie spojrzała na mnie, czekając na wyjaśnienie, ale przecież ja nie jestem chodzącą Wikipedią, jak jej się czasem wydaje. Wiem co nieco o Egipcie, ale o Rosji? Nie za bardzo.

– Mienszykowa jak Wład Parownik Mienszykow? – zapytałem.

– Jest jego potomkiem. – Bes wywinął wargę z obrzydzeniem. Powiedział po rosyjsku coś, co musiało być wyjątkowo paskudnym przekleństwem. –

W osiemnastym wieku książę Mienszykow wydał bal dla Piotra Wielkiego – cara, który zbudował to miasto. Piotr kochał karłów. Pod tym względem bardzo przypominał Egipcjan. Uważał, że przynoszą szczęście, toteż zawsze trzymał paru z nas na dworze. No więc Mienszykow chciał zabawić cara i uznał, że będzie śmiesznie, jeśli zaaranżuje wesele karłów. Zmusił ich... zmusił nas do przebrania się, udawania małżeństwa i tańców. Wszyscy duzi ludzie śmiali się, szydzili...

Jego głos odpłynął.

Bes opisywał to przyjęcie, jakby zdarzyło się wczoraj. Nagle przypomniałem sobie, że ten dziwaczny facecik jest bogiem. Jest na świecie od tysiącleci.

Sadie położyła mu rękę na ramieniu.

– Tak mi przykro, Besie. To musiało być okropne.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Rosyjscy magowie... uwielbiają chwycić bogów, wykorzystywać nas. Wciąż słyszę weselną muzykę i śmiech cara...

– Jak ci się udało uciec? – spytałem.

Bes rzucił mi wściekłe spojrzenie. Najwidoczniej zadałem niewłaściwe pytanie.

– Dość o tym. – Poprawił kołnierz. – Marnujemy czas.

Ruszył przed siebie, ale ja uznałem, że wcale nie zostawia pałacu Mienszykowa za sobą. Nagle jego wesołe żółte ściany i jasno oświetlone okna nabrały złowrogiego wyglądu.

Po następnych stu metrach w przejmującym wietrze dotarliśmy do mostu. Po drugiej stronie rzeki lśnił Pałac Zimowy.

– Przetawię mercedesa na drugą stronę – oznajmił Bes. – Do następnego mostu. I okrążę Ermitaż od południa. W ten sposób mam mniejsze szanse zaalarmować magów o mojej obecności.

Nagle uświadomiłem sobie, dlaczego tak bardzo przejmuję się uruchomieniem alarmów. Magowie uwięzili go kiedyś w Petersburgu. Przypomniało mi się, co nam powiedział w samochodzie: „Nie dajcie się złapać żywcem”.

– Skąd będziesz wiedział, czy nam się udało? – spytała Sadie.

– Że się wam udało – poprawił ją. – Myśl pozytywnie, dziewczyno, bo inaczej skończy się świat.

– Jasne. – Sadie zadygotała w swojej nowej kurtce. – Pozytywnie.

– Spotkamy się na Newskim Prospekcie, głównej ulicy z mnóstwem sklepów, nieco na południe od Ermitażu. Będę w Muzeum Czekolady.

– *Gdzie* tym razem? – zapytałem.

– No dobra, to nie jest dosłownie muzeum. Raczej coś w rodzaju sklepu... o tej porze będzie zamknięty, ale właściciel zawsze robi dla mnie wyjątek. Mają tam *wszystko* z czekolady: szachy, lwy, popiersia Włodzimierza Lenina...

– Tego komunisty? – przerwałem.

– Tak, profesorze Przemądry – odparł Bes. – Tego komunisty, z czekolady.

– Podsumujmy to – odezwała się Sadie. – My włamiemy się do pilnie strzeżonego rosyjskiego muzeum, znajdziemy tajną siedzibę magów, a w niej niebezpieczny zwój, po czym uciekniemy. A ty tymczasem będziesz się objadał czekoladą.

Bes z powagą skinął głową.

– To świetny plan. Ma szanse zadziałać. Jeśli coś się wydarzy i nie będę w stanie spotkać się z wami w Muzeum Czekolady, to punkt zbiorczy jest na moście Egipskim, na południe, na Fontance. Trzeba tylko skrócić...

– Dostyc – przerwała mu Sadie. – *Będziesz* w tym sklepie z czekoladą. I *załatwisz* mi całą torbę. To moje ostatnie słowo. A teraz spadaj!

Bes zaszczycił ją krzywym uśmiechem.

– Fajna z ciebie dziewczyna.

I podreptał z powrotem w kierunku mercedesa.

Spojrzałem ponad na pół zamarzniętą rzeką na Pałac Zimowy. Jakoś dziwnie Londyn przestał mi się wydawać straszny i niebezpieczny.

– Jesteśmy w takich tarapatach, jak mi się wydaje? – zapytałem Sadie.

– Większych – odpowiedziała. – Chodź, włamiemy się do pałacu cara, co ty na to?

10. Wizyta starego przyjaciela

Wejście do Ermitażu nie okazało się problemem. Nawet najnowsze systemy przeciwwłamaniowe nie chronią przed magią. Musieliśmy zjednoczyć siły, żeby przedostać się przez zabezpieczenia, ale odrobina koncentracji, papirus, atrament i nieco energii pobranej od naszych boskich przyjaciół, Izydy i Horusa, załatwiło sprawę: poszliśmy na skróty przez Duat.

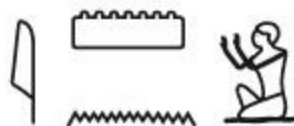
Staliśmy na opustoszałym placu Pałacowym, a chwilę później wszystko zamgliło się i poszarzało. Przewróciło mi się w żołądku, jakbym nagle znalazł się w stanie nieważkości. Opuściliśmy świat śmiertelników i przemknęliśmy przez drzwi z żelaza i kamienne mury do wnętrza muzeum.

Dział egipski znajdował się na parterze, tak jak mówił Bes. Weszliśmy z powrotem do śmiertelnego świata i znaleźliśmy się w samym środku kolekcji: między sarkofagami w szklanych gablotach, zwojami zapisanymi hieroglifami, posągami bogów i faraonów. Nie różniło się to od dziesiątków innych kolekcji egipskich, które widziałem, ale ekspozycja robiła wrażenie. Sklepienie wznosiło się wysoko nad naszymi głowami. Posadzka z gładkiego marmuru ułożona była w geometryczny szaro-biały wzór, miałem więc wrażenie, jakbym chodził po iluzji optycznej. Zastanawiałem się, ile podobnych pomieszczeń znajdowało się w pałacu cara i czy rzeczywiście na ich zwiedzenie potrzeba było jedenastu dni. Miałem nadzieję, iż Bes nie mylił się co do tego, że tajne wejście do nomu ukryte jest gdzieś w tej sali. Nie mieliśmy jedenastu dni na poszukiwania. Za niecałe siedemdziesiąt dwie godziny Apopis miał się uwolnić. Przypomniało mi się płonące czerwone oko pod stertą pancrzyków skarabeuszy – tak potężna moc chaosu, że byłaby w stanie stopić ludzkie zmysły. Trzy dni i to coś wydobędzie się na świat.

Sadie wezwała swoją laskę i wskazała najbliższą kamerę przemysłową. Obiektyw pękł, wydając odgłos jak elektryczna pułapka na owady. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach technologia i magia nie zgadzają się ze sobą. Jednym z najprostszych zaklęć świata jest psucie elektroniki. Wystarczy, żebym niewłaściwie spojrział na telefon komórkowy, i wybuchnie. A komputery?

Lepiej nie mówić. Wyobraziłem sobie, że Sadie właśnie wysłała do systemu zabezpieczeń magiczny impuls, który spali wszystkie kamery i czujniki w sieci.

Były jednak również inne rodzaje zabezpieczeń – te *magiczne*. Wyciągnąłem z torby kawałek czarnego lnu i dwa niezdarnie wykonane woskowe uszebti. Owinąłem figurki w len i wypowiedziałem rozkaz: – *Imen*.



Na kawałku materiału rozbłysł na chwilę hieroglif oznaczający „chować”. Z pakieczki wypłynęła chmura mroku niczym atrament mątwy. Rozciągała się, aż ukryła Sadie i mnie w przezroczystym bąblu cienia. Dało się przez niego patrzeć, ale miałem nadzieję, że nikt nie widział nas z zewnątrz. Chmura powinna być niewidoczna dla postronnych.

– Tym razem ci się udało! – zawołała Sadie. – Kiedy opanowałeś to zaklęcie?

Zapewne się zarumieniłem. Od miesiący miałem obsesję na punkcie zaklęcia niewidzialności – odkąd Ziya posłużyła się nim w pierwszym nomie.

– Prawdę mówiąc, nadal... – Z chmury wyskoczyła złota iskierka niczym miniaturowa flara. – Nadal nad nim pracuję.

Sadie westchnęła.

– No... w każdym razie lepiej niż poprzednio. Tamta chmura wyglądała jak lampa lawowa. A jeszcze wcześniej, kiedy śmierdziała zgniłymi jajkami...

– Możemy się ruszyć? – spytałem. – Od czego zaczynamy?

Utkwiła wzrok w jednej z gablot i ruszyła ku niej jak w transie.

– Sadie? – Podszedłem za nią do wapiennej steli grobowej mającej jakieś pół metra na metr. Opis na tabliczce obok był po rosyjsku i angielsku.

– „Z grobowca pisarza Ipiego – przeczytałem na głos – który pracował na dworze króla Tutanchamona”. Czemu zainteresowało cię... och.

Ale jestem głupi. Obrazek na steli pokazywał niezującego pisarza wielbiącego Anubisa. Po osobistej rozmowie z Anubisem Sadie musiała czuć się dziwnie, oglądając go na liczącym sobie trzy tysiące lat malowidle nagrobnym, zwłaszcza że przedstawiony był z głową szakala i w spódniczce.

– Podobasz się Waltowi.

Nie mam pojęcia, dlaczego mi się to wyrwało. To nie był odpowiedni czas ani miejsce. Wiedziałem, że nie oddaję Waltowi przysługi, ujmując się za nim.

Ale zrobiło mi się go żal, kiedy Bes wykopał go z limuzyny. Chłopak przyjechał ze mną do Londynu, żeby pomóc Sadie, a my zostawiliśmy go w parku Crystal Palace jak jakiegoś niewygodnego autostopowicza.

Byłem też zły na Sadie za to, że spuściła go po brzytwie i podkochiwała się w Anubisie, który był o pięć tysięcy lat starszy od niej i nawet nie był człowiekiem. Na dodatek to, jak ignorowała Walta, przypominało mi za bardzo to, jak Ziya mnie z początku traktowała. No i jeśli mam być ze sobą szczery, byłem też nieco zły na Sadie, ponieważ poradziła sobie w Londynie bez naszej pomocy.

Rany. To zabrzmiało naprawdę samolubnie. Ale chyba było prawdą. Niesamowite, na ile najróżniejszych sposobów może człowieka wkurzyć młodsza siostra.

Sadie nie spuszczała wzroku ze steli.

– Nie masz pojęcia, o czym gadasz, Carter.

– Nie dajesz mu żadnej szansy – upierałem się. – Cokolwiek się z nim dzieje, nie ma to z tobą nic wspólnego.

– Bardzo pocieszające, ale to nie jest...

– A poza tym Anubis jest *bogiem*. Nie sądzisz chyba na serio...

– Carter! – krzyknęła. Moje zaklęcie maskujące musiało być wrażliwe na emocje, ponieważ kolejna złota iskra świsnęła i wyskoczyła z naszej nie aż tak bardzo niewidzialnej chmury. – Wcale nie wpatruję się w ten kamień z powodu Anubisa.

– Nie?

– Nie. I na pewno nie zamierzam się z tobą kłócić o *Walta*. W przeciwieństwie do tego, co sobie wyobrażasz, nie rozmyślałam o chłopakach przez cały czas.

– Tylko większość czasu?

Przewróciła oczami.

– Spójrz na tę stelę, ptasi mózdzku. Ona ma obramowanie jak rama okienna albo...

– Drzwi – dokończyłem. – To ślepe wrota. Mnóstwo grobów takie miało. To jakby symboliczne przejście dla ba zmarłego, żeby mogło wędrować tam i z powrotem do Duat.

Sadie wyciągnęła różdżkę i przesunęła nią po krawędziach steli.

– Ten cały Ipi był pisarzem, co również oznacza maga. Mógł więc być jednym z nas.

– No i?

– No i może dlatego właśnie ten kamień *świeci*, Carter. Co jeśli te ślepe wrota nie są ślepe?

Przyjrzałem się lepiej steli, ale nie widziałem żadnego światła. Uznałem, że może Sadie ma zwidy ze zmęczenia i przedawkowania eliksiru. Ona jednak dotknęła różdżką środka steli i wypowiedziała pierwsze słowo-rozkaz, jakiego się nauczyliśmy:

– *Upi*.

„Otwórz się”. Na kamieniu zapłonął złoty hieroglif:



Stela wystrzeliła promieniem światła niczym projektor filmowy. Nagle przed nami zamigotały spore drzwi – prostokątna framuga, za którą widać było zamglony obraz następnego pomieszczenia.

Spojrzałem na Sadie z podziwem.

– Jak to zrobiłaś? – spytałem. – Nigdy dotychczas ci się nie udawało.

Wzruszyła ramionami, jakby nie dokonała niczego szczególnego.

– Wtedy nie miałam jeszcze trzynastu lat. Może w tym rzecz.

– Ale ja mam czternaście lat! – zaprotestowałem. – I *nadal* nie jestem w stanie tego zrobić.

– Dziewczyny wcześniej dojrzewają.

Zazgrzytałem zębami. Nienawidziłem wiosennych miesięcy – marca, kwietnia, maja – ponieważ aż do moich urodzin w czerwcu Sadie mogła uważać, że jest ode mnie tylko o rok młodsza. Zawsze marudziła w kwestii swoich urodzin, jakby zamierzała jakoś mnie dogonić i stać się moją *starszą* siostrą. Co za koszmar.

Wskazała na jaśniejsze drzwi.

– Ty pierwszy, kochany braciszku. To ty masz iskrzącą chmurę niewidzialności.

Zanim zdążyłem się zdenerwować, przeszedłem przez bramę.

Omam nie spadłem i nie rozbiłem głowy. Po drugiej stronie bramy było lustro wiszące półtora metra nad podłogą. Włazłem na półkę nad kominkiem. Złapałem Sadie, kiedy przechodziła, żeby powstrzymać ją od upadku na podłogę.

– Aha – szepnęła. – Ktoś się naczytał *Alicji po drugiej stronie lustra*.

Uważałem, że sala egipska była imponująca, ale okazała się niczym w porównaniu z tą salą balową. Na sklepieniu połyskiwały miedziane geometryczne wzory. Ściany ozdabiały ciemnozielone kolumny i złożone drzwi. Białe i złote marmury tworzyły wielki ośmiokątny wzór na posadzce. Pod sufitem płonął wielki żyrandol, oświetlając złoty filigran oraz zielony i biały gładki kamień tak jasno, że bolały mnie oczy.

Nagle uświadomiłem sobie, że większość światła nie pochodzi z żyrandola. Biło ono od maga rzucającego zaklęcie po drugiej stronie pokoju. Był do nas odwrócony plecami, ale widziałem, że to Wład Mienszykow. Zgodnie z opisem Sadie był małym tłustym człowieczkiem z kędzierzawymi siwymi włosami, ubranym w biały garnitur. Stał w ochronnym kręgu pulsującym szmaragdowym światłem. Uniósł laskę, której czubek zapłonął jak spawarka. Po jego prawej, tuż poza kręgiem, stał zielony dzban wielkości dorosłego człowieka. Po jego lewej, wijąc się w lśniących łańcuchach, był stwór, w którym rozpoznałem demona. Miał włochate humanoidalne ciało o fioletowej skórze, ale zamiast głowy spomiędzy ramion wyrastał mu ogromny korkociąg.

– Litości! – wrzasnął metalicznym głosem. Nie pytajcie, jak demon o głowie w kształcie korkociągu jest w stanie krzyczeć... ale dźwięk rezonował w całej śrubie, jakby była ogromnym metronomem.

Wład Mienszykow nie przerywał śpiewu. Zielony dzban zapłonął światłem.

Sadie dźgnęła mnie łokciem i szepnęła: – Patrz.

– Aha – odszepnąłem. – To jakiś rytuał przyzywający.

– Nie – syknęła. – Patrz *tam*.

Wskazała w prawo. W kącie pokoju, siedem metrów od kominka, stało staroświeckie mahoniowe biurko.

Siostra opowiedziała mi o otrzymanych od Anubisa instrukcjach: mieliśmy znaleźć biurko Mienszykowa. Drugi zwój Księgi Ra powinien znajdować się w górnej szufladzie. Czy to mogło być to biurko? Wydawało się to zbyt proste. Jak najciszej zsunęliśmy się z Sadie z kominka i zaczęliśmy się przesuwając wzdłuż ściany. Modliłem się, żeby chmura nie postanowiła wyprodukować kolejnych iskier.

Byliśmy w połowie drogi do biurka, kiedy Wład Mienszykow zakończył śpiew. Uderzył w podłogę laską, która stanęła pionowo z płonącym czubkiem, wciąż rozgrzanym do temperatury miliona stopni. Odwrócił nieznacznie głowę, a ja dostrzegłem błysk jego białych okularów słonecznych. Zaczął grzebać

w kieszeniach płaszcz, podczas gdy wielki zielony dzban rozjarzał się, a zakuty w łańcuchy demon wrzeszczał.

– Nie rób zamieszania, Zgubo Korków – powiedział kpiąco Mienszykow. Jego głos był jeszcze bardziej szorstki, niż opisała go Sadie – jakby wieloletni palacz mówił przy wtórze wentylatora. – Wiesz, że potrzebuję ofiary, żeby wezwać tak potężnego boga. Nie żywię do ciebie osobistej urazy.

Sadie spojrzała na mnie i powtórzyła bezgłośnie: *Potężnego boga?*

Pokręciłem głową, zdezorientowany. Dom Życia nie pozwalał śmiertelnikom wzywać bogów. To był główny powód, dlaczego Desjardins nas nienawidził. Mienszykow był ponoć jego najlepszym kumplem. Dlaczego zatem łamał zasady?

– Boli! – jęknął nieszczęsny demon. – Służę ci od pięćdziesięciu lat, panie. Proszę!

– Dobrze, dobrze – odparł Mienszykow bez cienia współczucia. – Muszę użyć wyklęcia. Tylko najboleśniej forma wygnania wygeneruje dostatecznie dużo energii.

Mienszykow wyciągnął z kieszeni garnituru zwyczajny korkociąg i kawałek ceramiki pokryty czerwonymi hieroglifami.

Uniół oba przedmioty w górę i znów zaczął śpiew: – Nazywam cię Zgubą Korków, Sługą Władimira, Tym, Który Przemienia się w Nocy.

Kiedy wymówił imiona demona, magiczne więzy wybuchnęły parą i zacisnęły się wokół jego ciała. Mienszykow uniół korkociąg nad płomień swojej laski. Demon ciskał się, zawodząc. Mniejszy korkociąg poczerwieniał z gorąca, a ciało demona zaczęło dymić.

Patrzyłem na to z przerażeniem. Znałem oczywiście magię sympatyczną. Zakłada ona, że coś małego wpływa na coś większego poprzez związanie tych dwóch rzeczy. Im bardziej są do siebie podobne – jak korkociąg i demon – tym łatwiej jest je związać. Laleczki voodoo działają na tej samej zasadzie.

Ale wyklęcie to poważna sprawa. Oznacza całkowite zniszczenie – wymazanie fizycznej formy i nawet imienia. Żeby wykonać takie zaklęcie, potrzeba poważnej magii. Jeśli coś pójdzie nie tak, czar może zniszczyć rzucającego. Ale jeśli wszystko idzie zgodnie z planem, ofiary zazwyczaj nie mają szans. Zwykli śmiertelnicy, magowie, duchy, a nawet demony mogą zostać starci z powierzchni ziemi. Wyklęcie nie dałoby pewnie rady zniszczyć większych potęg, takich jak bogowie, ale i tak to byłoby jak zdetonowanie obok nich bomby nuklearnej. Cisnęłaby ich tak głęboko w Duat, że mogliby nigdy nie

wrócić.

Wład Mienszykow rzucał to zaklęcie, jakby było dla niego codziennością. Kiedy śpiewał, korkociąg zaczął się topić – a demon razem z nim. Mienszykow rzucił kawałek ceramiki na ziemię – czerwonymi hieroglifami wypisano na nim wszystkie imiona demona. Wymawiając ostatnie słowo mocy, Mienszykow postawił stopę na skorupie i rozdeptał ją na kawałki. Zguba Korków rozpułynał się wraz z łańcuchami.

Zazwyczaj nie lituję się nad stworami podziemia, ale tym razem poczułem dławienie w gardle. Nie mogłem uwierzyć, że Mienszykow tak nonszalancko wykończył swojego sługę tylko po to, żeby napędzić większe zaklęcie.

Kiedy demon znikł, ogień na lasce Mienszykova zgasł. Hieroglify płonęły wokół ochronnego kręgu. Wielki zielony dzban zadrżał, a z jego wnętrza rozległ się dudniący głos: – Witaj, Władzie. Dawno się nie widzieliśmy.

Sadie wciągnęła szybko powietrze. Musiałem zakryć jej usta, żeby nie zaczęła krzyczeć. Oboje znaleźliśmy ten głos. Pamiętałem go zbyt dobrze spod czerwonej piramidy.

– Secie. – Mienszykow nawet nie wyglądał na zmęczonego przyzwaniem. Jego głos brzmiał straszliwie spokojnie jak na kogoś, kto zwraca się do złego boga. – Musimy porozmawiać.

Sadie odepchnęła moją dłoń, szepcząc: – Czy on zwariował?

– Biurko – powiedziałem. – Zwój. Zmykamy. *Już*.

Pierwszy raz w życiu nie sprzeczała się ze mną. Zaczęła wyciągać przedmioty ze swojej torby.

Wielki dzban tymczasem zachwiał się, jakby Set usiłował go przewrócić.

– Malachitowe naczynie? – Bóg sprawiał wrażenie zirytowanego. – Doprawdy, Władzie. Myślałem, że nasze relacje są cieplejsze.

Śmiech Mienszykova zabrzmiał, jakby ktoś dusił kota.

– Doskonale powstrzymuje złe duchy, nieprawdaż? W tym pokoju jest więcej malachitu niż gdziekolwiek indziej na całym świecie. Caryca Aleksandra bardzo rozsądnie urządziła swój gabinet.

Dzban brzęknął.

– Ale tutaj śmierdzi jak w szalecie i jest zdecydowanie za zimno. Siedziałeś kiedyś w malachitowym dzbanie, Wład? Nie jestem dzinem. Byłbym znacznie bardziej rozmowny, gdybyśmy mogli usiąść twarzą w twarz przy herbacie.

– Obawiam się, że nic z tego – odparł Mienszykow. – A teraz będziesz odpowiadał na moje pytania.

– Och, doskonale – oznajmił Set. – Życzę Brazylijczykom wygranej na mundialu. Doradzałbym inwestycję w platynę i małe fundusze. A twoje szczęśliwe liczby to dwa, trzynaście...

– Nie takie pytania! – warknął Mienszykow.

Sadie wyciągnęła z torby kawałek wosku i wściekle pracowała, usiłując ukształtować go w jakieś zwierzę. Wiedziałem, że zamierza wypróbować magiczne zabezpieczenia biurka. Była lepsza w tego rodzaju zaklęciach ode mnie, ale nie byłem pewny, co planuje. Egipska magia jest dość elastyczna. Zawsze istnieją setki sposobów, żeby coś osiągnąć. Sztuka polega na kreatywnym wykorzystaniu tego, co się ma, i wybraniu metody, która cię nie zabije.

– Powiesz mi to, co potrzebuję wiedzieć – zażądał Mienszykow – albo ten dzban zrobi się jeszcze bardziej niewygodny.

– Mój drogi Władzie. – Głos Seta był pełen złowrogiego rozbawienia. – To, co *potrzebujesz* wiedzieć, może się zasadniczo różnić od tego, co *chcesz* wiedzieć. Czyżby twój niefortunny wypadek tego cię nie nauczył?

Mienszykow dotknął okularów, jakby upewniając się, że nie spadły.

– Powiesz mi o więzach Apopisa – oznajmił stalowym tonem. – A następnie powiesz mi, jak zdjąć zaklęcia z Domu Brooklyńskiego. Znasz zabezpieczenia Kane’a lepiej niż ktokolwiek inny. A kiedy go już zniszczę, nie będę miał przeciwników.

Kiedy zrozumiałem w pełni, co miał na myśli, poczułem, jak fala wściekłości omal nie zbiła mnie z nóg. Tym razem to Sadie musiała zamknąć *mi* usta.

– Spokój! – szepnęła. – Bo tarcza niewidzialności znów dostanie czkawki!

Odsunąłem jej dłoń i syknąłem: – Ale on chce uwolnić Apopisa!

– Wiem.

– I zaatakować Amosa...

– Wiem! Dlatego właśnie pomóż mi wydostać ten piekielny zwój i zwijajmy się stąd! – Postawiła woskową figurkę (chyba był to pies) na biurku i zaczęła rysikiem wypisywać na jej grzbiecie hieroglify.

Oddychałem płytko. Sadie miała rację, ale jednak... Mienszykow mówił o uwolnieniu Apopisa i zabiciu naszego stryja. Jaki mag układa się z Setem? Nie licząc Sadie i mnie. Ale to było co innego.

Śmiech Seta odbił się echem od ścian zielonego dzbana.

– A więc więzy Apopisa i sekrety Domu Brooklyńskiego. To wszystko, Wład? Zastanawiam się, co by powiedział twój mistrz Desjardins, gdyby znał twój prawdziwy plan i dowiedział się o twoich znajomościach.

Mienszykow chwycił laskę. Jej czubek w kształcie węża rozbłysł na nowo.

– Uważaj z groźbami, *Zły Dniu*.

Dzban zadrżał. W całym pomieszczeniu zatrzęsło się szkło. Żyrandol zabrzączał niczym wąż trzy tony dzwonki wietrzne.

Spojrzałem z paniką na Sadie.

– Czy on właśnie...

– Tajemne imię Seta – potaknęła, wciąż pisząc coś na woskowym psie.

– Skąd...

– Nie wiem, Carter. Bądź cicho!

Tajemne imiona bogów kryją rozmaite moce. Uważa się za niemal niemożliwe je poznać. Nie wystarczy do tego usłyszeć, jak je powtarza jakaś przypadkowa osoba. Trzeba się o nich dowiedzieć od samego boga albo od osoby mu najbliższej. Jak już się je zna, daje to niezłą magiczną przewagę nad takim bogiem. Sadie poznała tajemne imię Seta podczas naszej misji w ostatnie święta, ale skąd znał je Mienszykow?

Zamknięty w dzbanie Set warknął: – Naprawdę *nie znoszę* tego imienia. Czemu ono nie może brzmieć Chwalebny Dzień? Albo Czaderski Czerwony Czart? To byłoby niezłe. Źle się stało, że ty jako jedyny je poznałeś, Wład. Teraz muszę się przejmować jeszcze tą panną Kane...

– Służ nam – odparł Mienszykow – a ród Kane’ów upadnie. Zostaniesz szanowanym porucznikiem Apopisa. Będziesz mógł wznieść nową świątynię, potężniejszą niż czerwona piramida.

– A-ha – odparł Set. – Może nie zauważyłeś, ale nieszczególnie odpowiada mi idea bycia drugim w kolejności. A jeśli chodzi o Apopisa, on też nie lubi czci oddawanej innym bogom.

– Uwolnimy Apopisa z twoją pomocą lub bez niej – ostrzegł go Mienszykow. – On *powstanie* w równonoc. Ale jeśli pomożesz nam doprowadzić do tego wcześniej, zostaniesz nagrodzony. Do wyboru masz wyklęcie. Och, wiem, nie zniszczy cię ono całkowicie, ale znając twoje tajemne imię, mogę cię zesłać do otchłani na tysiąclecia i będzie to bardzo, bardzo bolesne. Daję ci pół minuty na zastanowienie...

Trąciłem Sadie łokciem.

– Pospiesz się.

Dotknęła woskowego psa i figurka ożyła. Zaczęła obwąchiwać biurko, szukając magicznych pułapek.

We wnętrzu dzbana Set westchnął.

– Cóż, Władzie, wiesz, jak składać przekonujące oferty. Więzy Apopisa, mówisz? Tak, byłem przy tym, kiedy Ra wrzucił Węża do tego więzienia pełnego skarabeuszy. Myślę, że byłbym w stanie przypomnieć sobie, jakich składników użył do wykonania więzów. Cóż to był za dzień! Byłem chyba ubrany na czerwono. A na ucztach z okazji zwycięstwa podawano najsmaczniejsze na świecie szarańcze pieczone w miodzie...

– Dziesięć sekund – wtrącił Mienszykow.

– Och, będę współpracował! Mam nadzieję, że masz pod ręką pióro i papier. To dość długa lista składników. Pomyślmy... czego Ra użył jako podstawy? Nietoperzego guana? Potem były oczywiście suszone ropuchy. A potem...

Set bredził o składnikach, a tymczasem woskowy pies Sadie obwąchiwał biurko. W końcu ułożył się na bibularzu i zasnął.

Sadie spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– Zero pułapek.

– To zbyt proste – odszepnąłem.

Otworzyła najwyższą szufladę. Znajdował się w niej zwój papirusu, podobny do tego, który znaleźliśmy na Brooklynie. Wsunęła go do torby.

Byliśmy w połowie drogi do kominka, kiedy Set nas zaskoczył.

Recytował dalej listę bezsensownych składników: – I skóry węży. Tak, trzy duże skóry, skropione ostrym sosem... – Nagle przerwał, jakby doznał objawienia. Podniósł głos, wrzeszcząc na cały pokój: – Przyda się też ofiara! Może nią być młody mag-idiota, który nie potrafi rzucić porządnego zaklęcia niewidzialności, jak na przykład CARTER KANE, o tam!

Zamarłem. Wład Mienszykow odwrócił się, a moja panika pokonała zasłonę niewidzialności.

Pół tuzina złotych iskier wyskoczyło z głośnym i radosnym ŁAAAAA! Chmura rozplynęła się.

Mienszykow wbił we mnie wzrok.

– No, no... jak to miło, że sami oddaliście się w moje ręce. Dobra robota, Secie.

– Hmm? – zapytał niewinnie Set. – Czyżbyśmy mieli gości?

– Set! – warknęła Sadie. – Skopię ci za to ba, przysięgam!

Głos w dzbanie jęknął.

– Sadie Kane? Ale heca! Szkoda, że utknąłem w *tym dzbanie* i nie ma kto mnie *wypuścić*.

Aluzja nie była zbyt subtelna, ale chyba nie liczył na to, że uwolnimy go po

tym, jak nas wydał.

Sadie stanęła przed Mienszykowem z różdżką i laską w pogotowiu.

– Pracujesz dla Apopisa. Opowiedziałeś się po niewłaściwej stronie.

Mienszykow zdjął okulary. Jego oczy były dziurami wypełnionymi zbliznowaceniem, spaloną skórą i błyszczącą rogówką. Wiercie mi, to *najmniej* obrzydliwy opis z możliwych.

– Po niewłaściwej stronie? – spytał Mienszykow. – Dziewczyno, nie masz pojęcia, jakie siły są w grze. Pięć tysięcy lat temu egipscy kapłani przepowiedzieli koniec świata. Ra będzie stary i znużony, więc Apopis połknie go i pograży świat w ciemności. Chaos będzie rządził na wieki. Czas właśnie nadszedł! Nie zdołacie tego powstrzymać. Możecie jedynie wybierać, czy zostanieie zniszczeni, czy też oddacie pokłon potędze chaosu i przeżyjecie.

– Właśnie – zawtórował mu Set. – Co za szkoda, że siedzę w *tym dzbanie*. Inaczej mógłbym *opowiedzieć się po którejś ze stron i komuś pomóc*.

– Zamknij się, Secie – warknął Mienszykow. – Nikt nie zwariował na tyle, żeby ci ufać. A jeśli chodzi o was, dzieci, najwyraźniej nie stanowicie takiego zagrożenia, jakie sobie wyobrażałem.

– Super – odparłem. – To możemy iść?

Mienszykow roześmiał się.

– Chcecie pobiec do Desjardinsa i opowiedzieć mu, co tu słyszeliście? Nie uwierzy wam. Urządzi proces, po czym wykona wyrok. Ale ja oszczędzę wam upokorzenia, zabijając was na miejscu.

– Ale heca! – odezwał się znów Set. – Chętnie bym to zobaczył, ale jestem zamknięty w *tym dzbanie*.

Usiłowałem myśleć. Mienszykow znajdował się wciąż wewnątrz ochronnego kręgu, co oznaczało, że miał sporą defensywną przewagę. Nie byłem pewny, czy zdołam się do niego przebić, nawet gdybym wezwał bitewnego awatara. W czasie kiedy usiłowałbym to zrobić, Mienszykow mógłby wymyślić mnóstwo sposobów zniszczenia nas. Zmieść nas za pomocą magii żywiołów? Zamienić w robale?

Mienszykow cisnął laskę na ziemię, a ja zakląłem.

Rzucanie laski na ziemię może wyglądać na oznakę poddania się, ale w magii egipskiej to zły znak. Zazwyczaj znaczy tyle: „Hej, zamierzam wezwać wielkiego paskudnego potwora, żeby cię zabił, podczas gdy ja będę sobie stał bezpiecznie w moim kręgu, śmiejąc się!”.

Oczywiście laska Mienszykowa zaczęła rosnąć i wić się.

Super – pomyślałem. – *Kolejny wąż.*

Ale z tym było coś nie w porządku. Zamiast ogona miał głowy z obu stron. Z początku myślałem, że mamy szczęście, bo Mienszykow wezwał potwora z rzadką wrodzoną wadą genetyczną. Wtedy jednak ten stwór wypuścił cztery smocze łapy. Jego ciało rosło do rozmiarów konia pociągowego, wygiętego jak litera U, z nakrapianymi czerwono i zielono łuskami oraz łbami grzechotników na obu końcach. Przypomni mi się ten dwugłowy zwierzak z Doktora Dolittle. Wiecie... ten Dwugłowiec? Tyle że Doktor Dolittle nie miałby ochoty rozmawiać z tą bestią, a gdyby nawet, to ona odpowiedziałaby pewnie: „Cześć, zaraz cię zjem”.

Obie głowy zwróciły się ku nam z sykiem.

– Naprawdę wystarczy mi węży na ten tydzień – mruknąłem.

Mienszykow uśmiechnął się.

– Ach, węże to moja specjalność, Carterze Kane! – Dotknął srebrnej zawieszki zwisającej nad jego krawatem – był to amulet w kształcie węża. – A ten to akurat mój ulubieniec: *czesu-heru*. Dwa głodne pyski do wykarmienia. Dwójka kłopotliwych dzieciaków. Idealnie!

Spojrzelśmy po sobie z Sadie. Była to jedna z tych chwil, kiedy czytaliśmy sobie w myślach.

Oboje wiedzieliśmy, że nie mamy szans pokonać Mienszykowa. On pozwoli temu wężowi Dwugłowcowi nas zmęczyć, a jeśli to przeżyjemy, uderzy w nas czymś innym. Ten facet był zawodowcem. Możemy albo zginąć, albo dać się złapać, a Bes ostrzegł nas przed schwytaniem żywcem. Widok tego, co stało się z tym demonem, Zgubą Korków, sprawił, że zacząłem traktować ostrzeżenie Besa poważnie.

Żeby przeżyć, musimy zrobić coś szalonego... coś tak samobójczego, że Mienszykow nie będzie się tego za nic spodziewał. Potrzebowaliśmy pomocy *natychmiast*.

– Mogę? – spytała Sadie.

– Zrób to – kiwnąłem głową.

Czesu-heru obnażył ociekające śliną kły. Trudno sobie wyobrazić, żeby stworzenie pozbawione tyłu poruszało się tak szybko, ale ono skierowało ku nam oba łby, wyginając się w ogromną podkowę, i zaatakowało.

Dobyłem miecza. Sadie okazała się szybsza.

Wycelowała laskę w malachitowy dzban i wykrzyczała swoje ulubione słowo mocy: – *Hedzi!*

Obawiałem się, że to nie zadziała. Sadie nie używała zaklęcia burzącego, odkąd oddzieliła się od Izydy. Ale zanim potwór do mnie doskoczył, zielony dzban rozpadł się na kawałki.

– *Niet!* – krzyknął w odpowiedzi Mienszykow.

W pokoju eksplodowała burza piaskowa. Gorący wiatr popchnął Sadie i mnie na kominek. Ściana czerwonego piachu runęła na *czesu-heru*, odrzucając go w bok, na malachitową kolumnę. Wład Mienszykow wypadł ze swojego ochronnego kręgu i uderzył głową w stół. Upadł na ziemię, a wirujący nad nim czerwony piach zagrzebał go całkowicie.

Kiedy burza ucichła, przed nami stał mężczyzna w czerwonym jedwabnym garniturze. Miał skórę w kolorze soku wiśniowego, gładko ogoloną głowę, ciemną bródkę i lśniące czarne oczy obramowane kohlem. Wyglądał jak egipski diabeł wybierający się na przejażdżkę po mieście.

Uśmiechnął się i rozpostarł ręce: *ta-dam*.

– Od razu lepiej! Dziękuję, Sadie Kane.

Po naszej lewej *czesu-heru* syczał i rzucał się, usiłując wstać. Sarta czerwonego piachu przykrywająca Włada Mienszykowa zaczęła się poruszać.

– Zrób coś, Zły Dniu! – rozkazała Sadie. – Pozbądź się ich!

Set skrzywił się.

– Nie musisz aż tak się spoufalać.

– Może wolisz Czaderskiego Czerwonego Czarta? – zapytałem.

Set złożył palce w ramkę, jakby wyobrażał sobie to imię na prawie jazdy.

– Tak... to by było fajne, nie?

Czesu-heru z trudem podniósł się na nogi. Potrząsnął obiema głowami, rzucając nam pełne wściekłości spojrzenia, ale najwyraźniej ignorował obecność Seta, mimo że to on cisnął nim o ścianę.

– Ma piękne ubarwienie, nieprawdaż? – zauważył Set. – Wspaniały okaz.

– Zabij go! – wrzasnąłem.

Set wyglądał na zaszokowanego.

– Och, nie mogę tego zrobić. Za bardzo lubię węże. A poza tym Bos-komisja zdarłaby ze mnie skórę.

– Boska misja? – spytałem.

– Boska Komisja do Spraw Humanitarnego Traktowania Potworów.

– Zmyślasz! – krzyknąłem.

Set uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A jednak... obawiam się, że musicie sami poradzić sobie z *czesu-heru*.

Potwór syknął na nas, co zapewne oznaczało: „słodko!”. Uniosłem miecz, żeby go powstrzymać.

Sterta czerwonego piasku poruszyła się. Z jej wierzchołka wynurzyła się twarz oszołomionego Mienszykowa. Set pstryknął palcami i w powietrzu pojawił się wielki gliniany garnek, który rozbił się na głowie maga. Mienszykow wpadł z powrotem w piach.

– Zostanę tu i będę zabawiał Włada – oznajmił Set.

– Nie możesz go wykląć albo coś w tym rodzaju? – zażądała Sadie.

– Z wielką chęcią! Niestety moje moce są dość ograniczone w stosunku do kogoś, kto zna moje tajemne imię, i zwłaszcza kiedy taka osoba dała mi wyraźny rozkaz, żeby jej nie zabijać. – Spojrzał oskarżycielsko na Sadie. – Tak czy siak, powinienem zyskać dla was parę minut, ale Wład będzie wściekły, kiedy odzyska przytomność, a zatem radzę się pospieszyć. Powodzenia w przeżyciu! I smacznego, *czesu-heru*!

Miałem ochotę udusić Seta, ale mamy poważniejsze problemy. Jakby zmotywowany przemową Seta, *czesu-heru* skoczył na nas. Sadie i ja dopadliśmy najbliższych drzwi.

Biegliśmy przez Pałac Zimowy, a za nami niosło się echo śmiechu Seta.

11. Carter robi coś niewyobrażalnie głupiego (i nikogo to nie dziwi)

Rozumiem, Carter. Naprawdę.

Chcesz, żebym to ja opowiedziała o tym, co najgorsze. Oczywiście, nie mogę mieć do ciebie pretensji. To, co się stało, było dostatecznie bolesne dla mnie, ale na twoim miejscu... no cóż, też wolałabym o tym nie mówić.

Pędziliśmy po gładkich marmurowych posadzkach Pałacu Zimowego, które zdecydowanie *nie* są zaprojektowane do biegu. Za nami dwugłowy *czesu-heru* ślizgał się i obijał o ściany na każdym zakręcie, zupełnie jak Muffinka, kiedy babcia zamiatała podłogę. Tylko dlatego nie złapał nas od razu.

Od kiedy teleportowaliśmy się do Malachitowej Komnaty, nie miałam pojęcia, gdzie jest najbliższe wyjście. Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle dalej przebywamy w Pałacu Zimowym, czy też gabinet Mienszykowa to jakaś sprytna kopia istniejąca jedynie w Duat. Zaczynałam myśleć, że nigdy się stąd nie wydostaniemy, kiedy wypadliśmy za róg, zbiegliśmy po schodach i zobaczyliśmy drzwi ze szkła i metalu prowadzące na plac Pałacowy.

Czesu-heru był tuż za nami. Poślizgnął się i stoczył po schodach, roztrzaskując gipsowy posąg jakiegoś nieszczęsnego cara.

Zostało nam jakieś dziesięć metrów do wyjścia, kiedy dostrzegłam łańcuchy na drzwiach.

– Carter – krzyknęłam, bezradnie machając w kierunku kłódki.

Niechętnie przyznaję, jak bardzo słabo się czułam. Nie miałam siły na kolejne zaklęcie. Rozbicie dzbana z Setem w Malachitowej Komnacie było moim ostatnim fajerwerkiem, co stanowi dobry przykład, dlaczego nie powinno się rozwiązywać wszystkich problemów za pomocą magii. Przywołanie Boskiego Słowa, żeby rozbić dzban, pochłonęło tyle energii, że czułam się, jakbym co najmniej kopała rowy w pełnym słońcu. Znacznie łatwiej byłoby po prostu rzucić kamieniem. Postanowiłam, że jeśli przeżyję tę noc, dodam kamienie do mojej torby na narzędzia.

Kiedy od drzwi dzieliły nas już tylko trzy metry, Carter zamachnął się pięścią

w ich kierunku. Na kłódce zapłonęło Oko Horusa i drzwi otwały się jakby uderzone przez olbrzyma. Nie widziałam, żeby Carter robił coś podobnego od naszej walki pod czerwoną piramidą, ale nie miałam czasu tego podziwiać. Wypadliśmy na zewnątrz w zimową noc, a *czesu-heru* z rykiem pędził za nami.

Pomyślcie, że zwariowałam, ale moją pierwszą myślą było: *To poszło zbyt łatwo.*

Pomimo goniącego nas potwora i sprawy z Setem (którego uduszę przy pierwszej nadarzającej się okazji – co za zdradziecki drań!) nie mogłam wyzbyć się poczucia, że włamanie do osobistego gabinetu Mienszykowa i porwanie zwoju nie przysporzyło nam dość kłopotów. Gdzie się podziały pułapki? Alarmy? Zaklęcia z wybuchającymi osłami? A byłam przekonana, że ukradliśmy prawdziwy zwój. Czułam to samo łaskotanie w palcach jak wtedy, kiedy zabierałam tamten fragment z Muzeum Brooklyńskiego (tyle że tu na szczęście nie było ognia). Dlaczego więc ten zwój nie był lepiej strzeżony?

Byłam tak zmęczona, że zostałam kilka kroków w tyle za Carterem, co zapewne uratowało mi życie. Miałam wrażenie, jakby coś pełzło mi po głowie. Wyczułam nad sobą ciemność – co przypomniało mi aż nazbyt dobitnie o cieniu skrzydeł Nechbet. Spojrzałam w górę i zobaczyłam *czesu-heru*, który z rykiem unosił się nad nami niczym potężna ropucha, usiłując wybrać odpowiedni moment do wylądowania...

– Carter, stój! – krzyknęłam.

Łatwo się mówi, ale na oblodzonym chodniku trudno nagle stanąć. Zatrzymałam się ze ślizgiem, ale Carter biegł zbyt szybko. Upadł na tyłek i pojechał, a jego miecz poleciał w bok.

Czesu-heru wylądował dokładnie przy nim. Gdyby nie miał kształtu litery „U”, Carter zostałby zmiażdżony, ale potwór owinał się wokół niego niczym ogromne słuchawki, wpatrując się w niego z obu stron.

Jak coś tak ogromnego mogło wykonać tak daleki skok? Za późno uświadomiłam sobie, że powinniśmy byli zostać w środku, gdzie potworowi trudniej było się poruszać. Tutaj nie mieliśmy szans go przegonić.

– Carter – powiedziałam. – Nie ruszaj się.

Zamarł, półożąc wsparty na rękach. Z dwóch łbów potwora sączył się jad, parując z sykiem, kiedy spadał na oblodzony kamień.

– Hej! – krzyknęłam. Nie mając pod ręką kamieni, podniosłam odłamany kawałek lodu i rzuciłam nim w *czesu-heru*. Oczywiście nie trafiłam i uderzyłam Cartera w plecy. Przynajmniej udało mi się ściągnąć na siebie uwagę potwora.

Obie głowy zwróciły się ku mnie, wysuwając języki. Pierwszy krok zrobiony: rozproszyć jego uwagę.

Drugi krok: znaleźć sprytny sposób na odciążenie potwora od Cartera. To była ta trudniejsza część. Zużyłam jedyny eliksir. Podobnie jak większość moich magicznych zapasów. Laska i różdżka nie zdadzą się na wiele przy wyczerpanych rezerwach magii. Nóż od Anubisa? Jakoś nie wydawało mi się, żeby to była ta właściwa okazja do otwierania komuś ust. Amulet od Walta? Nie miałam pojęcia, jak mogłabym go użyć.

Po raz tysięczny żałowałam rozstania z duchem Izydy. Z chęcią użyłabym pełnego arsenału magii bogini. Ale oczywiście właśnie dlatego *musiałam* się od niej oddzielić. Taka moc jest oszalamiająca i niebezpiecznie uzależnia. Potrafi szybko zniszczyć życie.

Ale może udałoby mi się stworzyć ograniczone łącze? W Malachitowej Komnacie udało mi się rzucić zaklęcie *hedzi* po raz pierwszy od kilku miesięcy. I mimo że nie było to łatwe, nie okazało się niemożliwe.

– *Dobra, Izydo* - pomyślałam. – *Oto czego mi potrzeba...*

– *Nie myśl, Sadie* - odezwał się jej głos niemal natychmiast, co było niezłym szokiem. – *Boska magia musi być instynktowna jak oddychanie.*

– *Masz na myśli...* - Powstrzymałam się. „Nie myśl”. Cóż, to nie powinno być trudne. Uniosłam laskę i w powietrzu zapłonął złoty hieroglif. Metrowej wysokości *tit* oświetlił dziedziniec jak gwiazda na choinkę.

Czesu-heru warknął, wbijając żółte oczy w hieroglif.

– Nie podoba ci się to, co? – zawołałam. – Symbol Izydy, ty wielki paskudny kundlu. A teraz zostaw mojego brata!

Był to kompletny bluff, oczywiście. Wątpiłam, czy ten lśniący znak może się do czegokolwiek nadać. Miałam jednak nadzieję, że potwór nie jest dość inteligentny, żeby to dostrzec.

Carter powoli się odczołgał. Rozejrzał się za mieczem, który leżał dziesięć metrów dalej – za daleko, żeby po niego sięgnąć.

Nie spuszczałam oczu z potwora. Końcem laski narysowałam magiczny krąg w śniegu wokół mnie. Nie da mi wiele ochrony, ale lepsze to niż nic.

– Carter – zawołałam – kiedy powiem „już”, biegnij tu.

– Ten stwór jest zbyt szybki! – odkrzyknął.

– Spróbuję zdetonować hieroglif i go oślepić.

Wciąż uważam, że ten plan mógł się powieść, ale nie było mi dane go wypróbować. Gdzieś po mojej lewej rozległ się chrzęst butów na śniegu.

W krąg światła rzucony przez hieroglif wbiegł młody człowiek. Miał na sobie gruby wełniany płaszcz i policyjną czapkę, a w ręce dzierżył karabin, ale nie mógł być dużo starszy ode mnie. Wyglądał, jakby tonął w tym mundurze. Na widok potwora zrobił wielkie oczy. Cofnął się, omal nie upuszczając broni.

Krzyknął do mnie coś po rosyjsku, zapewne: „Skąd wziął się tu dwugłowy potwór bez tyłka?”.

Potwór syknął na nas oboje – co przyszło mu z łatwością, ponieważ miał dwie głowy.

– To jest potwór – poinformowałam strażnika. Byłam przekonana, że mnie nie rozumie, ale starałam się nie tracić rezonu. – Zachowaj spokój i nie strzelaj. Usiłuję ocalić brata.

Strażnik przełknął ślinę. Jego czapka trzymała się na głowie wyłącznie dzięki odstającym uszom. Spojrzał na potwora, po czym przeniósł wzrok na Cartera i płonący nad moją głową *tit*. Wtedy zrobił coś, czego się nie spodziewałam.

Wypowiedział słowo po staroegipsku: – Hekat – rozkaz, którym zawsze przywołuję moją laskę. Jego karabin zmienił się w dwumetrowy dębowy kij z wyrzeźbioną na końcu głową sokoła.

Super – pomyślałam. – *Strażnicy są magami*.

Zwrócił się do mnie po rosyjsku – brzmiało to jak ostrzeżenie. Rozpoznałam jedynie słowo „Mienszykow”.

– Niech no zgadnę – powiedziałam. – Chcesz mnie zaprowadzić do swojego przywódcy.

Czesu-heru kłapnął paszczą. Szybko oswajał się z płonącym *tit*. A Carter nie był dość daleko, żeby uciec.

– Słuchaj – zwróciłam się do strażnika – twój szef Mienszykow jest zdrajcą. Wezwał to coś, żeby nas zabiło, żebyśmy nie mogli opowiedzieć o jego planach uwolnienia Apopisa. Znasz to imię: *Apopis*? Zły wąż. Bardzo zły wąż! A teraz albo pomóż mi zabić tego potwora, albo złaż mi z drogi!

Mag-strażnik zawahał się. Wskazał na mnie nerwowo.

– Kane. – To nie było pytanie.

– Owszem – potwierdziłam. – Kane.

Na jego twarzy malowała się mieszanina emocji: strach, niedowierzanie, może nawet podziw. Nie miałam pojęcia, co o nas słyszał, ale zanim zdołał podjąć decyzję, czy ma nam pomagać, czy z nami walczyć, sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Czesu-heru zaatakował. Mój rozkoszny braciszek – zamiast odtoczyć mu się

z drogi – podjął wyzwanie.

Zacisnął ramiona wokół prawego karku potwora i usiłował wspiąć się na jego grzbiet, ale *czesu-heru* tylko odwrócił drugą głowę do ciosu.

Co mój brat sobie wyobrażał? Wydawało mu się, że może dosięść bestii? Zapewne chciał zyskać na czasie, żebym zdążyła rzucić zaklęcie. Jeśli go teraz zapytać, zarzeka się, że nie pamięta nic z tego zdarzenia. Ale jeśli zapytacie mnie, to powiem, że ten twardogłowy idiota usiłował mnie ocalić, poświęcając samego siebie. Co za bezczelność!

[Tak, tak, teraz się tłumacz, Carter. Myślałam, że nic nie pamiętasz! Siedź cicho i daj mi opowiadać].

Jak już mówiłam, *czesu-heru* zaatakował Cartera i wszystko jakby zwolniło. Pamiętam, że krzyczałam, celując laską w potwora. Mag-żołnierz krzyknął coś po rosyjsku. Potwór zatopił kły w lewej ręce Cartera i mój brat upadł na ziemię.

Zapomniałam o prowizorycznym kręgu. Pobiegłam ku niemu z płonąca laską. Nie mam pojęcia, skąd wzięłam moc. Jak powiedziała Izyda, nie myślałam. Po prostu skierowałam całą złość i przerażenie w laskę.

Widok rannego Cartera był ostateczną obrazą. Dziadkowie zostali opętani. Przyjaciółki zaatakowane, a urodziny zepsute. Ale mój brat to było przekroczenie granic. Nikomu nie wolno krzywdzić mojego brata.

Wyzwoliliam promień złotego światła, które uderzyło w potwora z mocą kuli do burzenia domów. *Czesu-heru* rozpadł się, aż nie zostało po nim nic poza strumyczkiem piasku parującego w śniegu oraz kilku drzazg z roztrzaskanej laski Mienszykowa.

Podbiegłam do Cartera. Miał dreszcze i wywrócone oczy. Dwie niewielkie dziurki w jego płaszczu dymiły.

– Kane – powiedział młody Rosjanin z podziwem.

Wzięłam do ręki drewnianą drzazgę i podetknęłam mu pod nos.

– To zrobił twój szef Mienszykow. Pracuje dla Apopisa. Mienszykow – Apopis. A teraz SPADAJ!

Mag nie rozumiał może moich słów, ale rozumiał ton głosu. Odwrócił się i uciekł.

Trzymałam głowę Cartera na kolanach. Nie byłam w stanie sama go udźwignąć, a musiałam go stąd zabrać. Znajdowaliśmy się na terytorium wroga. Musiałam znaleźć Besa.

Z trudem go posadziłam. Nagle ktoś podtrzymał drugie ramię Cartera i pomógł nam wstać. Zobaczyłam szczerzącego się do mnie Seta, oprószonego

malachitem i wciąż w tym śmiesznym czerwonym dyskotekowym garniturku. Nad czołem założył sobie stłuczone białe okulary Mienszykowa.

– Ty – powiedziałam, zbyt przepęhiona nienawiścią, żeby wymyślić odpowiednią groźbę.

– Ja – potaknął radośnie Set. – Zabierzmy stąd twojego brata, co? Wład nie jest w najlepszym humorze.

Prospekt Newski byłby wspaniałym miejscem na zakupy, gdybyśmy nie wylądowali tam we wczesnych godzinach porannych podczas burzy śnieżnej i gdybym nie dźwigała nieprzytomnego brata. Aleja miała szerokie chodniki, doskonale do przechadzek, otoczone oszałamiającą kolekcją drogich butików, kawiarni, cerkwi i wspaniałych kamienic. Ponieważ wszystkie szyldy były po rosyjsku, nie miałam pojęcia, jak znajdę sklep z czekoladą. No i nigdzie nie widziałam czarnej limuzyny Besa.

Set zaoferował się, że poniesie Cartera, ale nie zamierzałam pozwolić bogu chaosu samodzielnie zająć się moim bratem, toteż ciągnęliśmy go między sobą. Set trajkotał radośnie o jadzie *czesu-heru*: – Całkowicie nieuleczalny! Śmierć w ciągu dwunastu godzin. Niesamowita sprawa! – O swojej szamotaninie z Mienszykowem: – Sześć dzbanów stłukłem na jego głowie, a on ciągle żyje! Zazdroszczę mu twardej czaszki. – A także o moich szansach przeżycia dostatecznie długo, żeby znaleźć Besa: – Och, jesteś gwiazdą, moja droga! Dwunastu starszych magów biegło na pomoc Mienszykowowi, kiedy ja wykonałem mój... eee... strategiczny odwrót. Lada moment będą cię ścigać. Mogłem oczywiście unicestwić ich wszystkich, ale nie mogłem ryzykować, że Wład posłuży się znów moim tajemnym imieniem. Może dozna amnezji i zapomni je. Wtedy, jeśli ty zginiesz – oba problemy będą rozwiązane. Och, przepraszam, to chyba zabrzmiało brutalnie. Chodź!

Głowa Cartera się kołysała. Oddech miał niemal tak chrapliwy jak Wład Parownik.

Dobra, nie myślcie, proszę, że jestem tępą. Oczywiście, że pamiętałam o woskowej figurce Cartera, którą dostałam od Jaz. Domyśliłam się, że to jest sytuacja, w której może się przydać. Nie mam pojęcia, skąd Jaz wiedziała, że Carter będzie potrzebował uzdrowienia. Ale niewykluczone, że ta figurynka oczyści jego organizm z trucizny pomimo zapowiedzi Seta, że jest ona nieuleczalna. Co bóg zła wie o leczeniu, hę?

Były jednak również problemy. Po pierwsze, bardzo mało wiem o magii leczniczej. Potrzebowałam czasu, żeby wymyślić odpowiednie zaklęcie,

a ponieważ miałam tylko jedną figurkę, nie mogłam sobie pozwolić na pomyłkę. Po drugie, nie mogłam działać, póki gonił mnie Mienszykow z oddziałem magicznych rosyjskich terrorystów, ani też nie zamierzałam się rozpraszać, kiedy w pobliżu był Set. Nie wiedziałam, dlaczego nagle postanowił nam pomagać, ale chciałam się go jak najszybciej pozbyć. Musiałam znaleźć Besa i schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu – jeśli takie w ogóle istniało.

Set nadal rozprawiał o wspaniałych sposobach, w jakie magowie mogą mnie zabić, jak już mnie złapią. W końcu dostrzegłam przed sobą most nad zamrzniętym kanałem. Na jego środku zaparkowany był czarny mercedes. Bes stał oparty o maskę, zjadając figury z czekoladowej szachownicy. Obok niego stała wielka plastikowa torba – miałam nadzieję, że pełna czekolady dla mnie.

Zawołałam do niego, ale był tak pochłonięty pożeraniem czekolady (co w sumie rozumiałam), że nie zauważył nas, dopóki nie znaleźliśmy się kilka metrów od niego. Następnie podniósł wzrok i zobaczył Seta.

Zdążyłam powiedzieć: – Bes, nie...

Za późno. Bóg karzeł uruchomił środki obronne niczym skunks. Wybałuszył oczy. Otworzył niemożliwie szeroko usta. Wrzasnął BUUU! tak głośno, że włosy stanęły mi na głowie, a z latarni na moście pospadały sople.

Na Secie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Cześć, Bes – odezwał się. – Wybacz, ale z twarzą usmarowaną czekoladą nie wyglądasz przerażająco.

Bes rzucił mi wściekłe spojrzenie.

– Co *on* tu robi?

– To nie był mój pomysł! – zapewniłam. I opowiedziałam mu w skrócie o naszym spotkaniu z Mienszykowem.

– I tak Carter został ranny – zakończyłam dość oczywistym stwierdzeniem. – Musimy go stąd zabrać.

– Ale najpierw... – wtrącił się Set, wskazując na torbę z Muzeum Czekolady stojącą obok Besa – ...bo nie znoszę niespodzianek. Co jest w środku? Prezent dla mnie?

Bes zmarszczył brwi.

– Sadie chciała pamiątkę. Przyniosłem jej głowę Lenina.

Set klepnął się po udach ze śmiechem.

– Ale to mroczne, Bes! Jest dla ciebie jeszcze nadzieja.

– To nie *prawdziwa* głowa – odparł Bes. – Czekoladowa.

– Och... szkoda. Poczęstujesz mnie w takim razie szachami? Uwielbiam

pożerać pionki.

– Wynoś się, Set! – odparował Bes.

– Jasne, mogę to zrobić, ale zważywszy, że nasi przyjaciele już się zbliżają, pomyślałem, że może zawrzemy układ.

Set pstryknął palcami i pojawiła się przed nim kula czerwonego światła. W jej wnętrzu zobaczyliśmy holograficzne obrazy sześciu mężczyzn w mundurach strażników, wsiadających do dwóch białych sportowych samochodów. Reflektory zaświeciły się. Samochody z piskiem opon ruszyły po parkingu, po czym przejechały przez kamienny mur, jakby był z dymu.

– Rzekłbym, że macie jakieś dwie minuty – oznajmił Set z uśmiechem, a kula świetlna przygasła. – Pamiętasz sługusów Mienszykowa, Bes. Jesteś pewny, że chcesz się z nimi znów spotkać?

Bóg karzeł sposepniał. Zgniół w palcach białą figurę szachową.

– Ty kłamliwy, intrygancki, krwiożerczy...

– Przestań! – krzyknęłam.

Carter jęknął w oszołomieniu wywołanym trucizną. Albo on stawał się cięższy, albo mnie męczyło podtrzymywanie go.

– Nie mamy czasu na sprzeczki – powiedziałam. – Powstrzymasz magów, Secie?

Roześmiał się.

– Ależ nie. Wiesz, wciąż nie tracę nadziei, że cię zabiją. Zamierzałem wyjawić wam miejsce ukrycia trzeciego zwoju Księgi Ra. To *tego* szukacie, nieprawdaz?

Zakładałam, że kłamał. Zazwyczaj tak było... ale jeśli mówił poważnie...

Spojrzałam na Besa.

– Czy on może znać to miejsce?

– Jak najbardziej – odburknął Bes. – Kapłani Ra *dali* mu zwój na przechowanie.

– Czemu, na litość bogów, to zrobili?

Set udawał skromność.

– Przecież wiesz, Sadie. Byłem lojalnym porucznikiem Ra. Gdybyś była Ra i nie miałabyś ochoty, żeby jacyś starzy magowie zawracali ci głowę budzeniem cię, nie powierzyłabyś klucza do miejsca twojego odpoczynku najstraszliwyszemu ze swych sług?

Coś w tym było.

– Gdzie jest ten zwój?

– Nie tak szybko. Powiem ci, gdzie to jest, jeśli ty oddasz mi moje tajemne

imię.

– Nie ma mowy!

– Ależ to całkiem proste. Mówisz tylko: „Oddaję ci twoje imię”. Zapomnisz właściwego sposobu, jak je wymawiać...

– I stracę władzę nad tobą! A ty mnie zabijesz!

– Masz moje słowo, że tego nie zrobię.

– Jasne. Wiele to warte. A co gdybym użyła twojego tajemnego imienia, żeby *zmusić* cię do wyjawienia mi miejsca?

Set wzruszył ramionami.

– Gdybyś miała parę dni na zastanowienie się nad właściwym zaklęciem, może by ci się udało. Niestety... – Zwinął dłoń i przyłożył ją do ucha. W oddali słychać było pisk opon... dwa samochody zbliżały się do nas z dużą prędkością.

– Nie masz paru dni.

Bes zaklął po egipsku.

– Nie rób tego, dziewczyno. Jemu nie wolno ufać.

– Damy radę znaleźć zwój bez jego pomocy?

– No... może. Ale raczej nie. Nie.

W Newski Prospekt skręciły światła dwóch samochodów; były o niecały kilometr od nas. Czas uciekał. Musiałam wydostać stąd Cartera, a jeśli Set naprawdę był naszą jedyną szansą na odnalezienie zwoju, nie mogłam pozwolić mu odejść.

– Dobra, Secie. Ale dam ci jeden ostatni rozkaz.

Bes westchnął.

– Nie mogę na to patrzeć. Daj mi brata. Wsadzę go do samochodu.

Karzeł chwycił Cartera pod ramię i wcisnął go na tylne siedzenie mercedesa.

Nie spuszczałam oczu z Seta, usiłując wymyślić *najmniej* okropne wyjście z tego układu. Nie mogłam po prostu rozkazać mu *nigdy* nie krzywdzić mojej rodziny. Magiczne pakti muszą być starannie sformułowane, muszą mieć jasno określone ramy i ustaloną datę wygaśnięcia, inaczej całe zaklęcie będzie na nic.

– *Zły Dniu*, nie wolno ci krzywdzić rodu Kane. Zawrzemy rozejm co najmniej do czasu... do czasu przebudzenia Ra.

– Raczej do czasu, kiedy spróbujecie go obudzić i *wam się nie uda*? – spytał niewinnie Set.

– Jeśli tak się stanie – odparłam – świat się skończy. Więc czemu nie? Zrobię, cokolwiek chcesz w kwestii twojego imienia. W zamian za to ty wyjawisz mi miejsce przechowywania ostatniego kawałka Księgi Ra, powstrzymując się

od wybiegów i oszustw. A następnie odejdiesz do Duat.

Set rozważał propozycję. Dwa białe sportowe samochody znajdowały się teraz zaledwie o kilka przecznic od nas. Bes zatrzasnął drzwiczki za Carterem i podbiegł do nas.

– Umowa stoi – zgodził się Set. – Znajdziecie zwój w Bahariji. Bes wie, o jakim miejscu mówię.

Bes nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– To miejsce jest pilnie strzeżone. Będziemy musieli użyć portalu aleksandryjskiego.

– Aha. – Set uśmiechnął się promiennie. – Powinno być ciekawie! Jak długo potrafisz wstrzymać oddech, Sadie Kane?

– Co masz na myśli?

– Nic takiego, nic takiego. A teraz, mam wrażenie, że jesteś mi winna tajemne imię.

– Oddaję ci twoje imię – powiedziałam. Tyle. I poczułam, jak magia mnie opuszcza. Wiedziałam nadal, jak brzmi imię Seta: Zły Dzień. Ale jakoś zapomniałam, jak dokładnie je wcześniej wymawiałam i jak działało jako zaklęcie. Pamięć została wymazana.

Ku mojemu zaskoczeniu, Set nie zabił mnie natychmiast. Uśmiechnął się tylko i rzucił mi okulary Włada Mienszykowa.

– Mam nadzieję, że jednak przeżyjesz, Sadie Kane. Jesteś całkiem zabawna. Ale jeśli cię zabiją, to potraktuj to jako przygodę!

– Rany, dzięki.

– A ponieważ tak bardzo cię lubię, podzielę się z tobą dodatkową informacją dla twojego brata. Powiedz mu, że wioska Ziyi Rashid nazywała się al-Hamrah Makan.

– Dlaczego to...

– Szczęśliwej podróży! – Set zniknął w chmurze krwistoczerwonej mgły. Przecznice dalej dwa białe sportowe samochody gnały w naszym kierunku. Jeden z magów wystawił głowę przez szyberdach pierwszego z nich i wycelował w nas laską.

– Czas uciekać – oznajmił Bes. – Wsiadaj!

Muszę to Besowi przyznać: jechał jak nawiedzony. I mówię to jako komplement. Obludzone ulice nie sprawiały mu najmniejszego kłopotu. Podobnie jak światła na skrzyżowaniach, chodniki dla pieszych ani kanały, nad którymi dwa razy

przeskoczył, nie zwracając sobie głowy szukaniem mostu. Na szczęście miasto było o tej porze w dużej mierze opustoszałe, inaczej obawiam się, że skosilibyśmy paru Rosjan.

Kręciliśmy się po centrum Petersburga, a dwa białe sportowe samochody zbliżały się do nas. Usiłowałam utrzymać Cartera w miarę stabilnie obok mnie na tylnym siedzeniu. Oczywiście miał półotwarte, ale rogowki nabrały paskudnie zielonkawej barwy. Pomimo zimna trawiła go gorączka. Udało mi się zdjąć mu zimową kurtkę – pod spodem koszula była przesiąknięta potem. Z rano na ramieniu sączyła się... Może lepiej nie będę tego opisywać.

Spojrzałam do tyłu. Mag wychylający się przez szyberdach wycelował łaskę – co nie było łatwe w rozpedzonym samochodzie – i z jej czubka wyskoczył lśniący biały oszczep, pędząc w naszą stronę jak samonaprowadzający się pocisk.

– Schył się! – krzyknęłam i wcisnęłam Cartera w siedzenie.

Oszczep rozbił tylną szybę i wyleciał przez przednią. Gdyby Bes był normalnego wzrostu, otrzymałby darmowy piercing czaszki. Przy jego wzroście pocisk go minął.

– Jestem karłem – burknął. – Nie muszę się schylać!

Skręcił gwałtownie w prawo. Za nami eksplodowała witryna sklepowa. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, że cały mur rozpełza się w stertę żywych węży. Nasi prześladowcy byli coraz bliżej.

– Zabierz nas stąd, Bes! – krzyknęłam.

– Usiłuję, dziecko. Most Egipski jest tuż przed nami. Zbudowano go w dziewiętnastym wieku, ale...

– Nieważne! Jedź!

To naprawdę zdumiewające, ile egipskich drobiazgów można znaleźć w Petersburgu, i jak *mało* mnie one obchodziły. Pościg złych magów ciskających oszczepami i węzowymi bombami potrafi wpłynąć na priorytety.

Dość powiedzieć, że na Fontance naprawdę jest most Egipski, prowadzący na południe od centrum Petersburga. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Nie obchodzi mnie to. Kiedy ku niemu pędziliśmy, dostrzegłam po obu jego stronach sfinksy z czarnego kamienia – kobiece sfinksy ze złożonymi koronami faraonów na głowach – ale dla mnie liczyło się tylko to, czy są one w stanie wezwać portal.

Bes warknął coś po egipsku. Na szczycie mostu rozbłysło niebieskie światło. Pojawił się wir piasku.

– Co Set miał na myśli – zapytałam – mówiąc o wstrzymywaniu oddechu?

– Mam nadzieję, że nie potrwa to długo – odparł Bes. – Zejdziemy na raptem

dziesięć metrów.

– Dziesięć metrów pod wodę?

BANG! Mercedes zjechał na bok. Dopiero później uświadomiłam sobie, że kolejny oszczep musiał nas trafić w tylne koło. Zawirowaliśmy na lodzie i przewróciliśmy się, zsuwając się na dachu w głąb wiru.

Uderzyłam o coś głową. Otwierałam oczy, usiłując odzyskać przytomność, ale albo oślepałam, albo znaleźliśmy się w kompletnej ciemności. Słyszałam wodę sączącą się przez rozbitą oszczepem szybę oraz zgrzyt dachu mercedesa zgniatanego jak aluminiowa puszka.

Zdążyłam tylko pomyśleć: *Utonę jako jednodniowa trzynastolatka.*

Potem zemdlałam.

12. Opanuję piękną sztukę obrzucania wyzwiskami

Przebudzenie w postaci kurczaka może człowieka zdenerwować.

Moje ba unosiło się w ciemnej wodzie. Machałam lśniącoymi skrzydłami, usiłując wymyślić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Zakładałam, że moje ciało musi być gdzieś blisko, być może już utopione na tylnym siedzeniu mercedesa, ale nie bardzo wiedziałam, jak do niego wrócić.

Po co Bes wpakował nas w podwodny portal? Miałam nadzieję, że biedny Carter zdołał jakoś przeżyć: może Bes go wyciągnął. Ale śmierć od trucizny zamiast utonięcia nie wydawała się dużą poprawą losu.

Chwycił mnie prąd, ciągnąc w głąb Duat. Woda zmieniła się w zimną mgłę. Mrok wypełniały zawodzenia i wycie. Prąd zwolnił, a kiedy mgła się rozproszyła, znalazłam się z powrotem w Domu Brooklyńskim, krążąc pod drzwiami izby chorych. Na ławce pod ścianą siedzieli obok siebie, niczym starzy kumple, Anubis i Walt Stone. Wyglądali, jakby oczekiwali na złe wieści. Walt siedział z rękami skrzyżowanymi na kolanach. Ramiona miał opuszczone. Przebrał się – w nowy podkoszulek bez rękawów i nowe spodenki – ale chyba nie zmrużył oka od powrotu z Londynu.

Anubis mówił do niego uspokajającym tonem, jakby chciał ukoić jego żal. Nigdy wcześniej nie widziałam Anubisa w tradycyjnym egipskim stroju: z gołym torsem, w złoto-rubinowym pektorale na szyi oraz w prostej czarnej spódniczce upiętej na biodrach. Nie jest to styl, który pasuje każdemu facetowi, ale Anubis wyglądał nieźle. Zawsze wyobrażałam sobie, że będzie chudy bez podkoszulka (nie żebym sobie dużo wyobrażała, proszę pamiętać), on tymczasem był w świetnej formie. Muszą mieć dobrą siłownię w tym podziemiu, nagrobki do wyciskania i co tam jeszcze.

W każdym razie kiedy minął pierwszy szok na widok tej dwójki razem, natychmiast pomyślałam, że coś strasznego stało się z Jaz.

– Co jest? – zapytałam, niepewna, czy mnie usłyszą. – Co się stało?

Walt nie zareagował, ale Anubis podniósł wzrok. Jak zwykle moje serce podskoczyło radośnie bez mojej zgody. Jego oczy były tak porywające, że całkowicie zapomniałam, jak używać mózgu.

– Yyy – powiedziałam.

Wiem, że Liz byłaby ze mnie dumna.

– Sadie – odezwał się Anubis. – Nie powinno cię tu być. Carter jest umierający.

To mnie otrzeźwiło.

– Wiem, szakalu! Wcale się tu nie *prosiłam*... Ej, czemu ja tu jestem?

Anubis wskazał na drzwi do izby chorych.

– Myślę, że wezwał cię duch Jaz.

– Ona nie żyje? *Ja* nie żyję?

– Obie żyjecie – odparł Anubis. – Ale obie stoicie na progu śmierci, co oznacza, że wasze dusze są w stanie bez trudu się z sobą porozumieć. Tylko nie zostawaj tu długo.

Walt wciąż się ze mną nie przywitał. Mamrotał pod nosem: – Nie mogłem jej powiedzieć. Dlaczego nie mogłem jej powiedzieć? – Rozłożył ręce. W dłoniach trzymał złoty amulet *szen*, zupełnie taki jak ten, który od niego dostałam.

– Co mu jest, Anubisie? – spytałam. – On mnie nie słyszy?

Anubis położył Waltowi dłoń na ramieniu.

– Nie widzi żadnego z nas, choć sądzę, że wyczuwa moją obecność. Poprosił mnie o radę. Dlatego tu jestem.

– Chce się uczyć od ciebie? Dlaczego?

Podejrzewam, że zabrzmiało to ostrzej, niż planowałam, ale ze wszystkich bogów, jakich Walt mógł wezwać, Anubis wydawał się najmniej prawdopodobnym wyborem.

Anubis podniósł na mnie wzrok, a w jego oczach było jeszcze więcej melancholii niż zwykle.

– Powinnaś teraz odejść, Sadie – powiedział. – Masz bardzo mało czasu. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby ulżyć Waltowi w cierpieniu.

– Cierpieniu? – powtórzyłam. – Czekał...

Ale drzwi izby chorych otwały się i prądy Duat wciągnęły mnie do środka.

Izba chorych była najprzyjemniejszą instytucją medyczną, w jakiej kiedykolwiek byłam. Wyjątkowo nienawidzę szpitali. Tato żartował, że urodziłam się, krzycząc, i nie przestałam, dopóki nie wypuścili mnie z oddziału położniczego. Śmiertelnie boję się igieł, pigułek, a przede wszystkim zapachu *choroby*. Śmierć i cmentarze? Nie ma problemu. Ale choroba... no, bardzo przepraszam, ale czy ten zapach musi przyprawiać o *mdłości*?

Pierwsza wizyta u Jaz w izbie chorych odebrała mi całą odwagę. Za drugim razem nie było łatwiej, nawet w formie ba.

Sala była wielkości mojej sypialni, ściany miała wykute w wapiennej skale. Przez wielkie okna wpadała upiorna nocna poświata Nowego Jorku. Cedrowe szafki były starannie opisane: lekarstwa, pierwsza pomoc, magiczne zaklęcia, eliksiry. W jednym z kątów znajdowała się sadzawka, w której stał naturalnej wysokości posąg bogini Sachmet, patronki uzdrowicieli. Słyszałam, że woda przepływająca przez ręce Sachmet leczyła przeziębienie czy grypę natychmiast, a także zapewniała dzienną dawkę witamin i żelaza, ale jakoś nigdy nie miałam odwagi się napić.

Szum wody w fontannie był wystarczająco kojący. Zamiast środkami antyseptycznymi powietrze pachniało zaczarowanymi świecami o zapachu wanilii, które unosiły się po całym pokoju. A mimo to czułam się tu nieswojo.

Wiedziałam, że świece monitorują stan chorych. Ich płomień zmieniał barwę, wskazując na problemy. W tej chwili zebrały się wszystkie nad jedyną pacjentką – Jaz. Ich płomień miał barwę ciemnopomarańczową.

Jaz leżała z rękami skrzyżowanymi na piersi, jej jasne włosy rozsypały się po poduszce. Uśmiechała się słabo, jakby śniło jej się coś przyjemnego.

A w nogach jej łóżka siedziała... Jaz, a przynajmniej migotliwy zielony obraz mojej przyjaciółki. To nie było ba. Kształt był całkowicie ludzki. Zastanawiałam się, czy Jaz jednak nie umarła i to nie był jej duch.

– Jaz... – Poczulałam przypływ wyrzutów sumienia. Wszystko, co poszło nie tak w ciągu ostatnich dwóch dni, zaczęło się od jej ofiary, a to była moja wina. – Czy ty...

– Czy umarłam? Nie, Sadie. To moje *ren*.

Jej przezroczyście ciało zamigotało. Kiedy przyjrzałam mu się dokładniej, zauważyłam, że składało się z obrazów, jakby stanowiło trójwymiarowe nagranie życia Jaz. Mała Jaz siedziała na wysokim krześle, rozsmarowując sobie kaszkę po twarzy. Dwunastoletnia Jaz skacząca po podłodze sali gimnastycznej, ćwicząc z pierwszą w życiu drużyną cheerleaderek. Współczesna Jaz otwierała swoją szafkę szkolną, żeby znaleźć w niej świecący amulet *dzed* – naszą magiczną kartę telefoniczną, która miała ją doprowadzić do Brooklynu.

– Twoje *ren* – powtórzyłam. – Kolejny kawałek duszy?

Świecący na zielono obraz potaknął.

– Egipcjanie wierzyli, że istnieje pięć części duszy. Ba to osobowość. *Ren* to...

– Imię – przypomniałam sobie. – Ale jak to może być twoim imieniem?

– Imię to tożsamość – odparła. – Suma mojego doświadczenia. Dopóki pamięta się moje imię, ja istnieję, choćbym nawet umarła. Rozumiesz to?

Nie rozumiałam ani trochę. Ale zrozumiałam, że ona może umrzeć, i to była moja wina.

– Tak mi przykro. – Usiłowałam nie wybuchnąć płaczem. – Gdybym nie chwyciła tego głupiego zwoju...

– Nie przepraszaaj, Sadie. Cieszę się, że przyszłaś.

– Ale...

– Nic nie dzieje się bez przyczyny, Sadie, nawet złe rzeczy.

– Nieprawda! – zaprotestowałam. – To jakaś cholerna niesprawiedliwość!

Jak Jaz mogła być tak spokojna i miła, nawet kiedy była pogrążona w śpiączce? Nie miałam ochoty słuchać, że złe rzeczy stanowią część jakiegoś wielkiego planu. *Nienawidziłam*, kiedy ludzie tak mówili. Straciłam matkę. Straciłam ojca. Moje życie wywróciło się do góry nogami, a ja omal nie umarłam nie wiem ile razy. A teraz, o ile się dobrze orientowałam, *byłam* martwa lub umierająca. Mój brat był otruty i tonął, a ja nie mogłam mu pomóc.

– Nic nie jest tego warte – stwierdziłam. – Życie to ciąg przypadków. Jest ciężkie. Jest... jest...

Jaz nadal się uśmiechała, jakby coś ją rozbawiło.

– Och – powiedziałam. – Chciałaś mnie wkurzyć, tak?

– Taką Sadie wszyscy kochamy. Smutek nic nie daje. Już lepiej, jak się złościsz.

– Umf. – Pewnie miała rację, ale nie musiało mi się to podobać. – W takim razie po co mnie tu przyprowadziłaś?

– Z dwóch powodów – odrzekła. – Po pierwsze, nie jesteś martwa. A jak się obudzisz, będziesz miała raptem kilka minut, żeby uleczyć Cartera. Będziesz musiała działać szybko.

– Mam użyć woskowej figurki – powiedziałam. – Domyśliłam się tego. Ale nie wiem *jak*. Jestem beznadziejna w leczeniu.

– Liczy się tylko jeden składnik. I wiesz, co to jest.

– Nie mam pojęcia!

Jaz uniosła brew, jakbym to ja była uparta.

– Jesteś bardzo blisko, Sadie. Pomyśl o Izydzie. Pomyśl o tym, jak ukierunkowałaś jej moc w Petersburgu. Odpowiedź przyjdzie sama.

– Ale...

– Musimy się pospieszyć. Druga sprawa: będziesz potrzebowała pomocy Walta. Wiem, że to ryzykowne. Wiem, że Bes cię przed tym ostrzegął. Ale użyj amuletu, żeby wezwać Walta z powrotem. On tego chce. Warto podejmować pewne ryzyko, nawet jeśli to oznacza utratę życia.

– Utratę *czego* życia? Jego?

Obraz izby chorych zaczął się rozmazywać, przypominając niewyraźną akwarelę.

– Myśl o Izydzie – powtórzyła Jaz. – I, Sadie... *istnieje* cel. Sama nas tego nauczyłaś. Wybraliśmy wiarę w Maat. Tworzymy porządek z chaosu, piękno i znaczenie z brzydkiej przypadkowości. O to chodzi z Egiptem. Dlatego jego imię, jego *ren* przetrwało przez tysiąclecia. Nie trać nadziei. Inaczej wygra chaos.

Przypomniało mi się, że sama mówiłam coś takiego na jednej z lekcji, ale nawet wtedy niezupełnie w to wierzyłam.

– Wyjawię ci sekret – powiedziałam. – Jestem beznadziejną nauczycielką.

Kształt Jaz, jej zebrane wspomnienia, powoli rozplływały się w mgłę.

– To ja wyjawię sekret *tobie* – odparła słabnącym głosem. – Byłaś znakomitą nauczycielką. A teraz odwiedź Izydę i zobacz, jak to wszystko się zaczęło.

Izba chorych wyparowała. Nagle znalazłam się na królewskiej barce, płynąc po Nilu. Nad moją głową płonęło słońce. Bogata zieleń mokradeł i palm otaczała brzegi rzeki. Dalej po horyzont ciągnęła się pustynia – nagie czerwone wzgórza tak suche i nieprzyjazne, że równie dobrze mogłyby znajdować się na Marsie.

Łódź wyglądała tak jak ta, którą opisał Carter w swojej wizji o Horusie, ale była w lepszym stanie. Jej śnieżnobiały żagiel ozdabiał słoneczny dysk, lśniący złotem i czerwienią. Na pokładzie śmigwały kule wielokolorowego światła, wiosłując i ciągnąc liny. Nie mam pojęcia, jak to robiły, nie posiadając rąk, ale nie pierwszy raz widziałam taką magiczną załogę.

Kadłub był wykładany szlachetnymi metalami: obrazami z miedzi, srebra i złota ukazującymi podróż łodzi przez Duat oraz hieroglifami wzywającymi potęgę słońca. W samym środku łodzi niebiesko-złoty baldachim osłaniał tron boga słońca, który niewątpliwie był najbardziej imponującym i najbardziej niewygodnym krzesłem, jakie kiedykolwiek widziałam. W pierwszej chwili myślałam, że jest zrobiony z płynnego złota, ale zaraz uświadomiłam sobie, że był wykonany z żywego ognia – żółtych płomieni, które zostały jakimś cudem ukształtowane w formę tronu. W nogach i podłokietnikach wyryte były rozpalone do białości hieroglify, płonące tak jasno, że paliły mi oczy.

Osobnik siedzący na tronie nie był równie imponujący. Ra był starym,

zgrzybiałym człowiekiem zgarbionym w kształt pytajnika, z plamami wątrobowymi na łysej czaszce i skórą twarzy tak pomarszczoną i obwisłą, że wyglądała jak maska. Tylko obrysowane kohlem oczy wskazywały, że żył, ponieważ były pełne bólu i zmęczenia. Miał na sobie spódniczkę i pektorał, co nie pasowało mu ani w *połowie* tak dobrze jak Anubisowi. Dotychczas najstarszą osobą, którą widziałam, był Iskandar, poprzedni najwyższy lektor – miał dwa tysiące lat. Iskandar jednak nigdy nie wyglądał tak źle, nawet kiedy był już bliski śmierci. Na domiar złego, lewa noga Ra owinięta bandażami była spuchnięta i dwa razy większa niż prawa.

Bóg jęknął i oparł nogę o stertę poduszek. Przez bandażę na goleni przeciekały dwie rany – zupełnie jak ślady po kłach na ramieniu Cartera. Kiedy Ra poruszył nogą, zielony jad rozprzestrzenił się po żyłach jego uda. Na ten widok pióra mojego ba zadrżały z obrzydzenia.

Ra spojrział w niebo. Jego oczy przybrały barwę żółtą jak jego tron.

– Izydo! – zawołał. – Niech będzie! Zgadzam się!

Pod baldachimem poruszył się jakiś cień. Pojawiła się kobieta i uknęła przed tronem. Oczywiście poznałam ją. Miała długie ciemne włosy obcięte „na Kleopatrze” i białą suknię z cieniutkiego materiału, która podkreślała jej smukłą sylwetkę. Jej wspaniałe tęczkowe skrzydła migotały jak zorza północna.

Z pochyloną głową i dłońmi uniesionymi w błagalnym geście wyglądała jak wcielenie pokory, ale ja zbyt dobrze znałam Izydę. Widziałam uśmiezek, który usiłowała ukryć. Wyczuwałam jej uniesienie.

– Panie Ra – powiedziała – żyję, by ci służyć.

– Ha! – odparł Ra. – Żyjesz dla mocy, Izydo. Nie próbuj mnie oszukiwać. Wiem, że stworzyłaś węża, który mnie ukąsił! Dlatego nikt inny nie jest w stanie znaleźć lekarstwa. Pragniesz mojego tronu dla swojego męża, tego przybłądy Ozyrysa.

– Mój panie... – usiłowała protestować Izyda.

– Dosyć! Gdybym był młodszym bogiem... – Ra poruszył nogą i to był błąd. Jęknął z bólu. Zielona trucizna popłynęła dalej jego żyłami.

– Nieważne. – Westchnął żałościwie. – Jestem znużony tym światem. Mam dość intryg. Usuń truciznę.

– Chętnie, mój królu. Ale będzie do tego potrzebne...

– Moje tajemne imię – dokończył Ra. – Tak, wiem. Obiecuj, że mnie wyleczysz, a dostaniesz wszystko, czego pragniesz... i więcej.

Słyszałam ostrzeżenie w głosie Ra, ale Izyda albo tego nie zauważyła, albo się

tym nie przejmowała.

– Przynajmniej, że cię ulecę – odparła.

– W takim razie zbliż się, bogini.

Izyda nachyliła się. Myślałam, że Ra wyszepta jej swoje imię do ucha, ale on wziął ją za rękę i położył jej dłoń na swoim pomarszczonym czole. Czubki jej palców zadymiały. Usiłowała się wyrwać, ale Ra trzymał ją mocno za nadgarstek. Cała postać boga słońca świeciła ognistymi obrazami jego długiego życia: pierwszego poranka, słonecznej łodzi świecącej nad wyłaniającą się ziemią Egiptu, stworzeniem innych bogów i śmiertelnych ludzi, niekończącymi się walkami Ra z Apopisem, kiedy przemierzał co noc Duat, powstrzymując chaos. To było zbyt wiele do zniesienia – stulecia mijające za każdym uderzeniem serca. Jego tajemne imię było sumą tych doświadczeń, a już wtedy, w tych odległych czasach Ra był niewyobrażalnie stary. Ognista aura rozpostarła się na rękę Izydy, wędrując w górę jej ramienia, aż w końcu całe jej ciało otoczyły płomienie. Krzyknęła raz. Chwilę później ogień zgasł. Izyda upadła, a z jej sukni unosił się dym.

– Ach – powiedział Ra. – Przeżyłaś.

Nie potrafiłam ocenić, czy było w tych słowach rozczarowanie, czy niechętny szacunek.

Izyda niepewnie wstała. Wyglądała na ogłuszoną, jak po spacerze przez pole bitwy, ale uniosła rękę. Na jej dłoni rozbłysł ognisty hieroglif – tajemne imię Ra zamknięte w jednym niewiarygodnie potężnym słowie.

Położyła dłoń na chorej nodze Ra i wypowiedziała zaklęcie. Zielona trucizna znikła z jego żył. Opuchlizna ustąpiła. Bandaże odpadły, a rany po kłach się zamknęły.

Ra oparł się na tronie i odetchnął z ulgą.

– Nareszcie. Koniec bólu.

– Potrzebujesz odpoczynku, panie – odpowiedziała Izyda. – Długiego, długiego odpoczynku.

Bóg słońca otworzył oczy. Teraz nie było już w nich ognia. Wyglądały jak zamglone oczy starego śmiertelnika.

– Bastet! – zawołał.

Bogini kotka pojawiła się u jego boku. Była ubrana w egipską zbroję ze skóry i żelaza i wydawała się młodsza, ale to zapewne dlatego, że jeszcze nie spędziła setek lat w więziennej otchłani, walcząc z Apopisem. Miałam ochotę zawołać do niej i ostrzec przed tym, co ją czeka, ale nie mogłam wydobyć

z siebie głosu.

Bastet krzywo spojrzała na Izydę.

– Mój panie, czy ta... *kobieta* cię dręczy?

Ra pokręcił głową.

– Nic już nie będzie mnie długo dręczyć, moja wierna kotko. Chodź teraz ze mną. Musimy omówić ważne sprawy, zanim odejdę.

– Mój panie! Dokąd się udajesz?

– Na przymusową emeryturę. – Ra rzucił gniewne spojrzenie na Izydę. – *Tego* pragniesz, bogini magii?

Izyda skłoniła się.

– Nigdy, panie! – Bastet wyjęła sztylety i zrobiła krok w kierunku Izydy, ale Ra wyciągnął rękę.

– Dostyc, Bastet – powiedział. – Przewiduję dla ciebie inną walkę... ostatnią, kluczową walkę. A ty, Izydo, myślisz zapewne, że zwyciężyłaś, ponieważ poznałaś moje tajemne imię. Zdajesz sobie sprawę, co rozpętałaś? Ozyrys zostanie faraonem, ale jego rządy będą krótkie i pełne goryczy. Jego królewski tron będzie bladym cieniem mojego tronu ognia. Ta łódź nie będzie już płynąć przez Duat. Równowaga między Maat a chaosem powoli będzie słabnąć. Egipt upadnie. Imiona bogów przygasną, stając się odległym wspomnieniem. A pewnego dnia cały świat znajdzie się na progu zagłady. Będziesz wołać do Ra, ale mnie nie będzie. Kiedy nadejdzie ten dzień, pamiętaj, że to twoja chciwość i ambicja do tego doprowadziły.

– Mój panie. – Izyda skłoniła się z szacunkiem, ale wiedziała, że wcale nie myśli o odległej przyszłości. Była pijana odniesionym zwycięstwem. Wyobrażała sobie, że Ozyrys będzie władał Egiptem na wieki, a Ra jest tylko starym głupcem. Nie miała pojęcia, że niedługo jej zwycięstwo zamieni się w tragedię. Ozyrys zostanie zamordowany przez swojego brata, Seta. A pewnego dnia wypełni się też druga z przepowiedni Ra.

– Chodźmy, Bastet – powiedział Ra. – Nie jesteśmy już potrzebni.

Tron wybuchł słupem płomienia, od którego zajął się niebiesko-złoty baldachim. Kula ognia uniosła się do nieba i znikła w blasku słońca.

Kiedy dym się rozwiął, Izyda stała sama na pokładzie, śmiejąc się radośnie.

– Udało się! – krzyknęła. – Będziesz królem, Ozyrysie! Poznałam tajemne imię Ra!

Miała ochotę powiedzieć jej, że niczego nie rozumie, ale mogłam jedynie przyglądać się tańcowi Izydy na łodzi. Była tak zadowolona z odniesionego

sukcesu, że nie zwracała uwagi na znikające światełka służebne. Liny opadły. Żagiel zwisał. Wiosła ciągnęły się za łodzią, która dryfowała po rzece, pozbawiona załogi.

Moja wizja przybladła, a ja zapadłam się w ciemność.

Obudziłam się w miękkim łóżku. Przez jeden szczęśliwy moment myślałam, że jestem w mojej sypialni w Domu Brooklyńskim. Zaraz wstanę i zjem pyszne śniadanie z moimi przyjaciółmi: Amosem, Filipem Macedońskim i Chufu, a następnie spędzę dzień, ucząc naszych rekrutów, jak zamieniać się wzajemnie w gady. Dzień zapowiadał się wspaniale.

Ale oczywiście nie byłam w domu. Usiadłam i poczułam, że kręci mi się w głowie. Siedziałam na wielkim łożu z miękką bawełnianą pościelą i stertą puchowych poduszek. Sypialnia była bardzo elegancka, urządzone na oślepiająco biało, co nie pomagało mi na nudności. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się znów w domu bogini nieba, Nut. Ten pokój mógł w każdej chwili rozpląnąć się w mgłę.

Nogi miałam sztywne, ale udało mi się wstać z łóżka. Miałam na sobie ogromny i miękki hotelowy szlafrok, w którym wyglądałam jak Muppet albinos. Pokuściłam do drzwi i znalazłam się w pięknym salonie, również całym białym. Rozsuwane szklane drzwi prowadziły na werandę, z której rozciągał się widok na morze ze sporej wysokości – jakichś piętnastu czy dwudziestu pięter. Niebo i woda były olśniewająco niebieskie.

Oczy potrzebowały chwili, żeby się przyzwyczaić do światła. Na pobliskim stoliku leżały należące do mnie i Cartera przedmioty: stare pomięte ubrania, nasze magiczne torby oraz dwa zwoje Księgi Ra wraz z torbą Besa z Muzeum Czekolady.

Carter był ubrany w biały szlafrok podobny do mojego. Leżał na kanapie z zamkniętymi oczami. Cały dygotał. Bes siedział koło niego, ocierając mu czoło chłodną szmatką.

– Jak... jak on się czuje? – wydukałam.

Bes zerknął na mnie. Wyglądał jak miniaturowy turysta w hawajskiej koszuli, szortach khaki i klapkach. Brzydki Amerykanin – rozmiar XS.

– Nareszcie – powiedział. – Już myślałem, że nigdy się nie obudzisz.

Zrobiłam krok do przodu i pokój się zakołysał.

– Ostrożnie. – Bes podbiegł i chwycił mnie pod rękę. – Masz paskudnego guza na głowie.

- Nieważne – mruknęłam. – Muszę pomóc Carterowi.
- Niedobrze z nim, Sadie. Nie wiem, czy...
- Wiem, jak pomóc. Moja różdżka, figurka woskowa...
- Tak. Tak, okej. Przyniosę to.

Z pomocą Besa przykuśtykałam do Cartera. Bes przyniósł moje rzeczy, a ja dotknęłam czoła mojego brata. Miał jeszcze większą gorączkę niż wcześniej. Żył na jego szyi zrobiły się zielone od trucizny, zupełnie jak u Ra w mojej wizji.

Spojrzałam na Besa z niepokojem.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

– Jest wtorek, prawie południe. – Rozłożył moje magiczne sprzęty u stóp Cartera. – Czyli prawie dwanaście godzin.

– *Dwanaście godzin?* Bes, Set powiedział, że Carter może przetrzymać najwyżej tyle, zanim jad go zabije! Dlaczego mnie nie zbudziłeś wcześniej?

Jego twarz zrobiła się czerwona jak hawajska koszula.

– Próbowałem! Wyciągnąłem was oboje z Morza Śródziemnego i zawlokłem do hotelu, nieprawdaż? Używałem wszystkich zaklęć budzących, jakie znam! Ale ty tylko bełkotałaś przez sen o Walcie, Anubisie, tajemnych imionach...

– Dobra! – powiedziałam. – Pomóż mi tylko...

Odezwał się dzwonek do drzwi.

Bes gestem nakazał mi być cicho. Odpowiedział w obcym języku – pewnie po arabsku – i w drzwiach pojawił się kelner hotelowy. Skłonił się nisko Besowi, jakby karzeł był sułtanem, po czym wniósł kartę dań dostępnych w obsłudze pokojowej, pełną tropikalnych owoców, świeżego chleba i napojów orzeźwiających.

– Doskonale – powiedział do mnie Bes. – Zaraz wracam.

– Marnujesz czas! – warknęłam.

Bes oczywiście mnie zignorował. Wziął swoją torbę ze stołu i wyciągnął z niej czekoladową głowę Włodzimierza Lenina. Kelner zrobił wielkie oczy. Bes postawił głowę na środku wózka i potaknął, jakby uznał, że stanowi świetną dekorację.

Następnie wydał kelnerowi jeszcze kilka rozkazów po arabsku, po czym wręczył mu parę złotych monet. Kelner płaszczył się przed nim i ogólnie wyglądał na całkiem wystraszonego. Wyszedł tyłem, cały czas się kłaniając.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytałam. – I dlaczego traktują cię tu jak króla?

– W Aleksandrii, w Egipcie – odparł Bes. – Wybaczcie niewygodną podróż.

To dziwaczne miejsce, jeśli chodzi o teleport. Dawna stolica Kleopatry, wiesz, tu zaczął się upadek Egiptu, więc magia trochę wariuje. Jedyne czynne portale znajdują się w starym mieście, a ono leży u wybrzeża, dziesięć metrów pod wodą.

– A to miejsce? Widzę, że to luksusowy hotel, ale jak ty...

– Hotel Four Seasons, apartament prezydencki. – Bes był chyba lekko zawstydzony. – Ludzie w Egipcie wciąż pamiętają dawnych bogów, choć się do tego nie przyznają. W dawnych czasach cieszyłem się popularnością, więc zazwyczaj mogłem domagać się przysług, kiedy ich potrzebuję. Przykro mi, że nie miałem więcej czasu. Załatwiłbym nam prywatną willę.

– Jak mogłeś – powiedziałam. – Musimy zadowolić się pięciogwiazdkowym hotelem. Dobra, może teraz zatroszczysz się o to, żeby nikt nam nie przeszkadzał, kiedy będę uzdrawiać Cartera?

Wzięłam do ręki woskową figurkę, którą dostałam od Jaz, i uklęknęłam obok mojego brata. Figurka nieco się zdeformowała od podróżowania w mojej torbie. Ale w sumie Carter też wyglądał teraz gorzej. Miałam nadzieję, że magiczne łącze mimo wszystko zadziała.

– Carter – powiedziałam. – Ulecę cię. Ale potrzebuję twojej pomocy.

Położyłam dłoń na jego rozgorączkowanym czole. Teraz już wiedziałam, dlaczego Jaz pojawiła mi się jako *ren*, część duszy, która reprezentowała jej imię. Wiedziałam też, czemu pokazała mi wizję Izydy i Ra.

„Jesteś bardzo blisko, Sadie” – powiedziała. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że *ren* jest tym samym, czym tajemne imię. To coś więcej niż po prostu specjalne słowo. Tajemne imię to twoje najmroczniejsze myśli, najwstydlivsze wspomnienia, najważniejsze marzenia, najgorsze lęki, wszystko to razem. To suma twoich doświadczeń, łącznie z tymi, którymi nie masz ochoty z nikim się dzielić. Tajemne imię sprawia, że jesteśmy tym, kim jesteśmy.

Dlatego tajemne imię jest tak potężne. Dlatego też, żeby się dowiedzieć, jak używać tajemnego imienia, nie wystarczy usłyszeć, jak ktoś je wymawia. Musi się znać tę osobę i rozumieć jej życie. Im lepiej się ją rozumie, tym więcej mocy może zawrzeć jej imię. I można się go nauczyć wyłącznie od tej osoby – albo od osoby najbliższej jej sercu.

A, niebiosa dopomóżcie, dla mnie Carter był tą osobą.

Carter – pomyślałam. – *Jakie jest twoje tajemne imię?*

Nawet w chorobie jego umysł bronił się przede mną. Nie podaje się swojego tajemnego imienia ot tak. Każdy człowiek je ma, podobnie jak każdy bóg, ale

większość ludzi idzie przez życie, nawet o tym nie wiedząc, nie wyrażając w słowach swojej najskrytszej tożsamości. To oczywiście zrozumiałe. Spróbujcie zebrać całą swoją egzystencję w jakichś pięciu słowach. Niezbyt łatwe, co?

– Możesz to zrobić – mruknięłam. – Jesteś moim bratem. Kocham cię. Wszystkie te wstydlive i wkurzające kawałki, które w moim mniemaniu stanowią większą część ciebie... Ziya i setki jej podobnych mogą uciec byle dalej, kiedy poznają prawdę. Ale nie ja. Ja zawsze będę przy tobie. A teraz, idioto, podaj mi swoje prawdziwe imię, żebym mogła uratować ci życie.

Czułam łaskotanie w leżącej na jego czole dłoni. Jego życie przepływało przez moje palce: widma wspomnień naszego dzieciństwa, życia z rodzicami w Los Angeles. Zobaczyłam moje szóste urodziny i wybuchający tort. Zobaczyłam mamę czytającą nam na dobranoc podręczniki akademickie, tatę grającego jazz i tańczącego ze mną po pokoju, podczas gdy Carter zasłaniał sobie uszy, wrzeszcząc „tato!”. Widziałam również te chwile, których nie dzieliłam z bratem: Carter i tato podczas zamieszek w Paryżu, Carter i Ziya rozmawiający przy świetle świec w pierwszym nomie, Carter samotny w bibliotece w Domu Brooklyńskim, wpatrujący się w amulet z Okiem Horusa i zmagający się z pokusą odzyskania mocy boga. Nigdy o tym nie wspominał, ale poczułam na ten widok ulgę. Myślałam, że tylko ja mam takie pokusy.

Powoli Carter się rozluźniał. Przepłynęły przeze mnie jego najgorsze lęki i najbardziej wstydlive sekrety. Jego siły opadały, kiedy trucizna dotarła do serca. Ostatnim wysiłkiem woli przekazał mi swoje imię.

[Oczywiście nie powiem wam, jak ono brzmi. I tak nie bylibyście w stanie go użyć, słysząc je w nagraniu, ale nie zamierzam ryzykować].

Uniosłam woskową figurkę i wypowiedziałam tajemne imię Cartera. Trucizna natychmiast ustąpiła z jego żył. Woskowa figurka pozieleniała i stopiła się w moich palcach. Gorączka Cartera ustępowała. Zadygotał, odetchnął głęboko i otworzył oczy.

– Dobra – powiedziałam ostro. – Nigdy więcej nie próbuj dosiadać potwornych węży!

– Przepraszam... – wycharczał. – Czy ty właśnie...

– Aha.

– Za pomocą mojego tajemnego imienia...

– Aha.

– I wszystkich moich tajemnic...

– Aha.

Jęknął i ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał zapaść z powrotem w śpiączkę, ale tak naprawdę nie miałam zamiaru się nad nim znęcać. Istnieje różnica między pokazywaniem bratu jego miejsca a okrucieństwem. Ja *nie jestem* okrutna. A poza tym od chwili gdy sięgnęłam w najmroczniejsze zakamarki umysłu Cartera, czułam się nieco zażenowana, może nawet zaskoczona. Nie było tam wiele. W porównaniu z moimi lękami i wstydliwymi sekretami... och, nie. On był *nudny*. Miałam nadzieję, że ta sytuacja nigdy się nie odwróci i on nie będzie musiał leczyć *mnie*.

Bes podszedł z głową Lenina pod pachą. Najwyraźniej nieco ją nadgryzł, ponieważ brakowało jej czoła – przywódca komunistów ofiarą lobotomii czekoladowo-czołowej.

– Świetna robota, Sadie! – Odłamał Leninowi nos i podał go Carterowi. – Masz, chłopcze. Zasłużyłeś na to.

Carter zmarszczył brwi.

– Czyżby czekolada posiadała magiczne właściwości lecznicze?

Bes parsknął.

– Gdyby tak było, byłbym najzdrowszym karłem na świecie. Nie. Po prostu jest smaczna.

– A ty będziesz potrzebował sił – dodałam. – Mamy mnóstwo spraw do omówienia.

Pomimo wiszącego nad nami terminu – od jutra tylko dwa dni do równonocy i końca świata – Bes uparł się, żebyśmy wypoczęli do rana. Ostrzegł nas, że jeśli po tym zatruciu Carter natychmiast podejmie wysiłek fizyczny albo magiczny, może go to zabić.

Marnowanie czasu doprowadzało mnie do szaleństwa, ale po tym, ile mnie kosztowało przywrócenie brata do życia, wolałam go przy tym życiu utrzymać. No i muszę przyznać, że sama nie byłam w dużo lepszej formie. Byłam tak wyczerpana magicznie, że nie zdołałabym ruszyć się dalej niż na balkon.

Bes zadzwonił do recepcji i kazał asystentce zakupowej kupić nam w mieście nowe ubrania i zapasy. Nie jestem pewna, jak są po arabsku *glany*, ale pani asystentka zdołała je znaleźć. Kiedy przyniosła nasze rzeczy, chciała dać buty Carterowi, po czym zrobiła przerażoną minę, bo Bes wskazał na mnie. Dostałam również zapas farby do włosów, parę wygodnych dżinsów, podkoszulek bawełniany w barwach pustynnego kamuflażu oraz chustę na głowę, która pewnie była ostatnim krzykiem mody wśród egipskich kobiet, ale której postanowiłam nie nosić, ponieważ kłóciłaby się z nowymi fioletowymi

pasemkami, które sobie zaplanowałam.

Carter dostał dzinsy, wysokie buty i podkoszulek z napisem „Własność Uniwersytetu Aleksandryjskiego” po angielsku i arabsku. Najwyraźniej nawet asystenci zakupowi widzieli w nim kujona.

Asystentka zdołała również znaleźć część zapasów do uzupełnienia naszych magicznych toreb – kawałki wosku, sznurek, a nawet trochę papirusu i atramentu – aczkolwiek wątpię, żeby Bes wyjaśnił jej, do czego było nam to potrzebne.

Kiedy wyszła, wszyscy zamówiliśmy jeszcze jedzenie do pokoju. Siedzieliśmy na tarasie i obserwowaliśmy mijające popołudnie. Bryza nad Morza Śródziemnego była chłodna i przyjemna. Po naszej lewej rozciągała się nowoczesna Aleksandria – dziwaczna mieszanina błyszczących wieżowców, nędznych rozpadających się budynków i starożytnych ruin. Nadmorska autostrada upstrzona była palmami i pełna wszelkiego rodzaju pojazdów od BMW po osły. Z naszego apartamentu wszystko wydawało się nieco nierzeczywiste – czysta energia miasta, krzątania i ruch uliczny poniżej, podczas gdy my siedzieliśmy na podniebnym tarasie, jedząc świeże owoce i ostatnie topiące się kawałki głowy Lenina.

Zastanawiałam się, czy tak czują się bogowie, patrząc na świat śmiertelników ze swojej sali tronowej w Duat.

Kiedy tak rozmawialiśmy, ułożyłam dwa zwoje Księgi Ra na stoliku balkonowym. Wyglądały tak zwyczajnie i nieszkodliwie, a jednak o mało co nie umarliśmy, szukając ich. Pozostał nam jeszcze jeden do zdobycia, a potem zacznie się prawdziwa zabawa – trzeba będzie wymyślić, jak się nimi posłużyć, żeby obudzić Ra. Wydawało się niemożliwe, że dokonaliśmy tylu rzeczy przez czterdzieści osiem godzin, a teraz siedzieliśmy sobie na uboczu, wyczerpani, zmuszeni do odpoczynku aż do rana. Carter i jego piekielny heroizm, i jego ugryzienie przez węża Doktora Dolittle... i to niby *ja* jestem impulsywna. A tymczasem Amos i nasi niedoświadczeni uczniowie byli pozostawieni samym sobie w Domu Brooklyńskim, przygotowując go do obrony przed Władem Mienszykowem, magiem tak bezwzględny, że znał się po tajemnym imieniu z bogiem zła.

Opowiedziałam Carterowi o wydarzeniach w Petersburgu po tym, jak został ukąszony – jak oddałam Setowi jego imię w zamian za informację o miejscu przechowywania ostatniego zwoju: jakimś miejscu o nazwie Baharija. Opisałam wizję z Anubisem i Waltem, rozmowę z duchem Jaz i podróż w czasie na słoneczną barkę Ra. Zatrzymałam dla siebie tylko jedną informację – to,

co Set powiedział o wiosce Ziyi: że nazywa się al-Hamrah Makan. Tak, wiem, że to było niewłaściwe – ale właśnie przed chwilą gościłam w umyśle Cartera. Zrozumiałam wreszcie, jak bardzo ważna jest dla niego Ziya. Wiedziałam, że *wszelkie* wiadomości o niej go rozstroją.

Carter siedział na swoim leżaku, słuchając. Jego twarz przybrała już normalną barwę. Oczy były jasne i czujne. Trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka godzin temu stał na progu śmierci. Chciałam pochwalić za to moje uzdrowicielskie moce, ale czułam, że ta poprawa miała równie dużo wspólnego z odpoczynkiem, kilkoma piwami korzennymi oraz przyniesionym przez obsługę hotelową cheeseburgerem z frytkami.

– Baharija... – Spojrzał na Besa. – Słyszałem tę nazwę. Skąd mogę ją znać?

Bes podrapał się po brodzie. Po tym jak opowiedziałam o naszej rozmowie z Setem, siedział ponury i milczący. A nazwa Baharija najwyraźniej szczególnie go niepokoiła.

– To oaza – powiedział – daleko na pustyni. Zakopane tam mumie pozostawały w ukryciu do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego. Wtedy jakiś głupi osioł wsadził nogę w dziurę w ziemi i rozbił pokrywę grobu.

– Zgadza się! – Carter spojrzał na mnie z promiennym uśmiechem, z tym błyskiem w oczach mówiącym „rany, historia jest super”, co oznaczało, że musiał czuć się lepiej. – To miejsce nazywa się Doliną Złotych Mumii.

– Lubię złoto – powiedziałam. – Mumie... niekoniecznie.

– Och, po prostu nie poznałaś jeszcze wielu mumii – odparł Bes.

Nie wiedziałam, czy to żart, ale wolałam nie dopytywać.

– A więc tam właśnie jest ukryty zwój?

Bes wzruszył ramionami.

– To by miało sens. Oaza leży na uboczu. Do niedawna pozostawała nieodkryta. Ma również nałożone potężne zaklęcia uniemożliwiające podróż portalową. Śmiertelni archeologowie zbadali kilka grobów, ale tam jest ogromny labirynt tuneli i komór, których nikt nie otwierał od tysiący lat. *Mnóstwo mumii*.

Wyobraziłam sobie mumie z horrorów, z wyciągniętymi przed siebie rękami i opadającymi bandażami, z jękiem goniące wrzeszczące gwiazdeczki i duszące archeologów.

– Kiedy mówisz *mnóstwo mumii* – zaryzykowałam – to ile to jest mnóstwo?

– Odkryto kilkaset – odparł Bes – z jakichś pewnie dziesięciu tysięcy.

– Dziesięciu tysięcy? – Spojrzałam na Cartera, który najwyraźniej się tym nie przejął.

- Sadie – powiedział – one nie ożyją, żeby cię zabić.
- Nie – poparł go Bes. – Zapewne nie. Prawie na pewno nie.
- Dzięki – mruknęłam. – Od razu się lepiej czuję.

(Tak, pamiętam, co wcześniej mówiłam o tym, że umarli i cmentarze to żaden problem. Ale dziesięć tysięcy mumii? To już lekka przesada).

– W każdym razie – dodał Bes – większość tych mumii pochodzi z czasów rzymskich. Nie są nawet porządnie egipskie. Banda łacińskich pozerów usiłujących dostać się do *naszego* życia pozagrobowego, ponieważ jest fajniejsze. Ale niektóre ze starszych grobów... cóż, musimy się przekonać. Mając dwie części Księgi Ra, powinniście odnaleźć trzecią, jak już znajdziecie się blisko.

– Ale jak? – spytałam.

Bes wzruszył ramionami.

– Kiedy magiczny przedmiot zostanie rozbity, jego części zachowują się jak magnesy. Im bardziej się do siebie zbliżą, tym bardziej się przyciągają.

Nie powiem, żebym poczuła się od tego lepiej. Wyobraziłam sobie, jak biegam po tunelach z płonącymi zwojami przyczepionymi do obu rąk.

– Dobra – powiedziałam. – Musimy więc tylko przeczołgać się przez labirynt grobów, mijając dziesięć tysięcy złotych mumii, które być może, prawie na pewno nie ożyją, żeby nas zabić.

– Aha – potaknął Bes. – Wiesz, one nie są naprawdę ze złota. Większość jest tylko pomalowana na złoto. Ale ogólnie właśnie tak.

– To istotnie wielka różnica.

– A zatem postanowione. – Carter był autentycznie podekscytowany. – Ruszamy rano. Jak to jest daleko?

– Nieco ponad trzysta kilometrów – odparł Bes – ale drogi są niepewne. A portale... cóż, jak już mówiłem, oaza jest przeciw nim zakłeta. A nawet gdyby nie była, jesteśmy znów w pierwszym nomie. Lepiej używać jak najmniej magii. Jeśli was przyłapią na terytorium Desjardinsa...

Nie musiał kończyć tego zdania.

Przyglądałam się wieżowcom Aleksandrii ciągnącym się wzdłuż wybrzeża połyskującego Morza Śródziemnego. Usiłowałam sobie wyobrazić, jak tu było w dawnych czasach, zanim Kleopatra, ostatni faraon Egiptu, stanęła po niewłaściwej stronie w rzymskiej wojnie domowej i straciła życie i królestwo. To było miasto, w którym umarł starożytny Egipt. Niezbyt szczęśliwe miejsce na rozpoczęcie misji.

Niestety, nie miałam wyboru. Będę musiała przejechać trzysta kilometrów

przez pustynię do jakiejś odciętej od cywilizacji oazy, żeby znaleźć igłę zwoju w stogu mumii. Nie miałam pojęcia, jak uda nam się tego dokonać w czasie, który nam pozostał.

Co gorsza, wciąż nie przekazałam Carterowi informacji o wiosce Ziyi. Może trzeba było trzymać buzię na kłódkę. To byłoby samolubne. Mogłoby też być właściwe, ponieważ potrzebowałam jego pomocy, nie wolno mi było więc sobie pozwolić na to, żeby go rozpraszać. Nie dałam rady jednak tego przed nim ukrywać. Wtargnęłam do jego umysłu i poznałam jego tajemne imię. Teraz mogłam jedynie być wobec niego uczciwa.

– Carter... jest coś jeszcze. Set chciał, żebyś się dowiedział. Wioska Ziyi nazywała się al-Hamrah Makan.

Carter znowu lekko pozieleniał.

– A ty po prostu zapomniałaś o tym wspomnieć?

– Pamiętaj, że Set jest kłamcą – powiedziałam. – On nie chciał nam pomóc. Wyjawiał to, żeby wywołać między nami chaos.

Wiedziałam, że mi się wymyka. Potężny prąd, który ciągnął go od stycznia – przekonanie, że może ocalić Ziyę – porwał jego myśli. Teraz, kiedy byłam w jego umyśle, wiedziałam, że nie spocznie – nie będzie w *stanie* spocząć – dopóki jej nie znajdzie. To wyszło daleko poza sympatię do tej dziewczyny. Carter był przekonany, że stanowi ona część jego przeznaczenia.

Chcicie poznać coś z jego mrocznych sekretów? W głębi serca Carter wciąż czuł gniew na naszego ojca, że nie zdołał ocalić mamy, mimo że zginęła za wielką sprawę i mimo że to ona sama podjęła decyzję o swoim poświęceniu. Carter po prostu *nie* mógł zawieść Ziyi w ten sam sposób, cokolwiek byłoby na szali. Potrzebował, żeby ktoś w niego wierzył, potrzebował kogoś, kogo mógłby uratować – i był przekonany, że tą osobą jest Ziya. Niestety, młodsza siostra żadną miarą się nie nadaje.

Zabolało mnie to, zwłaszcza że się z nim nie zgadzałam, ale wolałam się nie kłócić. To tylko odepchnęłoby go jeszcze dalej.

– Al-Hamrah Makan... – powtórzył. – Mój arabski nie jest zbyt dobry. Ale Makan oznacza czerwony.

– Owszem – potaknął Bes. – Al-Hamrah znaczy „piaski”.

Carter zrobił wielkie oczy.

– Miejsce Czerwonych Piasków! Głos w Muzeum Brooklyńskim powiedział, że Ziya śpi w Miejscu Czerwonych Piasków. – Spojrzał na mnie błagalnie. – Sadie, to są ruiny jej rodzinnej wioski. To *tam* ukrył ją Iskandar. Musimy ją

znaleźć.

I tak to właśnie jest: losy świata mogą iść się bujać. Musimy znaleźć Ziyę.

Mogłam powiedzieć o kilku sprawach: Carter polegał na słowie złego ducha, który zapewne przemawiał bezpośrednio w imieniu Apopisa. Jeśli Apopis wiedział, gdzie przebywa Ziya, dlaczego miałby nam to mówić, jeśli nie po to, żeby nas opóźnić i rozdzielić? A jeśli chciał, żeby Ziya umarła, dlaczego jej jeszcze nie zabił? Poza tym Set podał nam nazwę al-Hamrah Makan. Set *nigdy* nie ma nic dobrego na myśli. Na pewno chciał nas poróżnić. Do tego nawet znając nazwę wioski, wcale niekoniecznie ją znajdziemy. To miejsce zostało starte z powierzchni ziemi prawie dziesięć lat temu.

Ale patrząc na Cartera, uświadomiłam sobie, że nie ma co próbować racjonalnych argumentów. To nie jest racjonalny wybór. On dostrzegł szansę uratowania Ziyi i zamierzał ją wykorzystać.

Powiedziałam więc tylko: – To zły pomysł. – Tak, czułam się *całkiem* dziwnie, zmuszona do odegrania roli odpowiedzialnej siostry.

Carter zwrócił się do Besa.

– Potrafisz znaleźć tę wioskę?

Bóg karzeł poprawił swoją hawajską koszulę.

– Może, ale to nieco potrwa. Zostało wam niewiele więcej niż dwa dni. Równonoc zaczyna się pojutrze o zachodzie słońca. Dotarcie do oazy Baharija zajmie wam cały dzień. Odnalezienie tej zniszczonej wioski – na pewno kolejny dzień – a jeśli leży ona nad Nilem, to jest to w przeciwnym kierunku. Jak już będziecie mieli Księgę Ra, będziecie potrzebowali co najmniej kolejnego dnia, żeby wymyślić, jak się nią posłużyć. Mogę was zapewnić, że przebudzenie Ra oznacza podróż w głąb Duat, gdzie czas zachowuje się nieprzewidywalnie. Musicie wrócić wraz z Ra o świcie w równonoc...

– Nie mamy dość czasu – podsumowałam. – Albo Księga Ra, albo Ziya.

Czemu naciskałam na Cartera, skoro wiedziałam, co powie?

– Nie mogę jej zostawić. – Spojrzał na słońce opadające już ku widnokręgowi. – Ona ma rolę do odegrania, Sadie. Nie wiem jaką, ale ona jest ważna. Nie możemy jej stracić.

Czekałam. Było oczywiste, co się musi stać, ale Carter nie zamierzał tego powiedzieć.

Odetchnęłam głęboko.

– Musimy się rozdzielić. Ty i Bes pójdziecie szukać Ziyi. Ja zajmę się szukaniem zwoju.

Bes odchrząknął.

– Co do złych pomysłów...

Carter nie był w stanie spojrzeć mi w oczy. Wiedziała, że niepokoje się o mnie. Nie chciał się ze mną rozstawać, ale widziałam, że poczuł ulgę. Chciał być wolny od odpowiedzialności, żeby móc szukać Ziyi.

– Uratowałaś mi życie – powiedział. – Nie mogę pozwolić ci iść samej w głąb pustyni.

Zdjęłam z szyi zawieszki *šen*.

– Nie będę sama. Walt obiecał mi pomoc.

– On nie może – odparł Bes.

– A ty nie powiesz mi dlaczego.

– Bo... – Bes urwał. – Słuchaj, obiecałem Bastet, że będę was pilnował, troszczył się o wasze bezpieczeństwo.

– A więc mam nadzieję, że będziesz dobrze pilnował Cartera. On będzie cię potrzebował, żeby znaleźć tę wioskę. Jeśli chodzi o mnie, poradzimy sobie z Waltem.

– Ale...

– Czymkolwiek jest ten piekielny sekret Walta, przed czymkolwiek chciałbyś go ochronić, on jest z tego powodu nieszczęśliwy. Chce pomóc. A ja mu na to pozwolę.

Karzeł spojrzał na mnie, zapewne zastanawiając się, czy może wrzasnąć BUUU! i w ten sposób wygrać spór. Chyba jednak uznał, że jestem zbyt uparta.

Westchnął z rezygnacją.

– Dwójka młodych ludzi podróżujących samotnie po Egipcie... chłopak i dziewczyna. Będzie to dziwnie wyglądać.

– Powiem, że Walt jest moim bratem.

Carter się skrzywił. Nie chciałam być niemila, ale obawiam się, że ta uwaga trochę go zabolala. Jak na to patrzę z perspektywy, jest mi przykro, ale wtedy byłam przerażona i zła. Carter stawiał mnie w niemożliwej sytuacji.

– Idź – powiedziałam stanowczo. – Ratuj Ziyę.

Carter usiłował odczytać mój wyraz twarzy, ale ja unikałam jego spojrzenia. To nie była dobra chwila na jedną z naszych niemych rozmów. Wolaliby nie wiedzieć, co myślę.

– Jak się odnajdziemy? – spytał.

– Może tutaj – zaproponowałam. – Wyjedziemy o świcie. Damy sobie dwadzieścia cztery godziny, nie więcej, dla mnie na znalezienie zwoju, dla ciebie

na znalezienie wioski Ziyi, a następnie na powrót do Aleksandrii.

Bes chrząknął.

– To nie wystarczy. Nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie wam około dwunastu godzin, żeby złożyć Księgę Ra i użyć jej przed wigilią równonocy.

Miał rację. To było niemożliwe.

A jednak Carter skinął głową.

– To nasza jedyna szansa. Musimy spróbować.

Spojrzał na mnie z nadzieją, ale ja chyba już wtedy wiedziałam, że nie spotkamy się w Aleksandrii. Jesteśmy rodziną Kane'ów, co oznacza, że *wszystko* pójdzie źle.

– Dobra – mruknęłam. – A teraz, jeśli pozwolicie, pójdę się spakować.

Zdążyłam wejść do środka, zanim się rozpłakałam.

13. Mam demonów powyżej uszu

Na tym etapie życia powinienem zmienić tajemne imię na *Zawstydzony na Śmierć przez Siostrę*, ponieważ zasadniczo streszcza to moją egzystencję.

Pominę nasze przygotowania do podróży, jak Sadie wezwała Walta i wyjaśniła mu sytuację, jak Bes i ja pożegnaliśmy się o świcie i wynajęliśmy samochód od jednego z „zaufanych kumpli” Besa oraz jak tenże samochód zepsuł się w połowie drogi do Kairu.

Zamierzam pominąć również ten kawałek, kiedy Bes i ja tłuczemy się po zakurzonej drodze na naczepie półciężarówki prowadzonej przez grupę Beduinów w poszukiwaniu nieistniejącej wioski.

Zrobiło się już późne popołudnie i zaczynałem myśleć, że Bes był wielkim optymistą, oceniając czas potrzebny na znalezienie al-Hamrah Makan na jeden dzień. Z każdą zmarnowaną godziną serce ciążyło mi coraz bardziej. Położyłem wszystko na jednej szali, żeby pomóc Ziyi. Zostawiłem Amosa i uczniów samych w Domu Brooklyńskim, żeby bronili naszej siedziby przed najokrutniejszym magiem świata. Porzuciłem moją siostrę, która kontynuowała teraz poszukiwanie ostatniego zwoju beze mnie. Jeśli nie uda mi się znaleźć Ziyi... cóż, *musiało* mi się udać.

Podróż z zawodowymi nomadami miała pewne zalety. Po pierwsze, Beduini znali każdą wioskę, farmę i zakurzone skrzyżowanie w Egipcie. Chętnie zatrzymywali się i dopytywali u miejscowych o zniszczoną wioskę, której szukaliśmy.

Po drugie, oni po prostu uwielbiali Besa. Traktowali go jak żywy amulet na szczęście. Kiedy zatrzymaliśmy się na posiłek (którego przygotowanie zajęło im dwie godziny), Beduini dali nam najlepszą część kozy. Myślę, że najlepsza część kozy nie różniła się zanadto od najgorszej części kozy, ale zakładam, że był to wielki zaszczyt.

A złe strony podróży z Beduinami? Nie spieszyło im się. Droga na południe doliną Nilu zajęła nam cały dzień. Było gorąco i nudno. W naczepie ciężarówki nie mogłem nawet rozmawiać z Besem, nie łykając piasku, miałem więc

mnóstwo czasu na rozmyślania.

Sadie całkiem niezłe opisała moją obsesję. Od chwili kiedy podała mi nazwę wioski Ziyi, nie byłem w stanie skupić się na niczym innym. Oczywiście podejrzewałem, że to jakieś oszustwo. Apopis usiłował nas rozdzielić i uniemożliwić nam dokończenie misji. Wierzyłem jednak również, że mówił prawdę, choćby dlatego, że prawda poruszyłaby mnie najmocniej. Zniszczył wioskę Ziyi, kiedy była dzieckiem – choć nie wiedziałem po co. A teraz ona przebywała tam ukryta w magicznym śnie. Jeśli jej nie ocalę, Apopis ją zabije.

Dlaczego jeszcze jej nie zabił, skoro wiedział, gdzie ona jest? Nie wiedziałem tego – i nie dawało mi to spokoju. Może na razie nie miał dość mocy. Może nie chciał. Zresztą jeśli zamierzał zwabić mnie w zasadzkę, ona była najlepszą przynętą. Jakkolwiek wyglądała prawda, Sadie miała rację: to nie był mój racjonalny wybór. Ja *musiałem* ocalić Ziyę.

A mimo to czułem się jak łajdak, ponieważ znów zostawiłem Sadie samą. Najpierw pozwoliłem jej na podróż do Londynu, mimo że wiedziałem, że to zły pomysł. Teraz posłałem ją na poszukiwania zwoju w podziemnych grobowcach pełnych mumii. Jasne, Walt jej pomoże, a ona zazwyczaj potrafi zadbać o siebie. Ale dobry brat zostałby z nią. Sadie dopiero co uratowała mi życie, a ja zareagowałem tak, jakbym mówił: „Super. Do zobaczenia. Dobrej zabawy z mumiami”.

„Powiem, że Walt jest moim bratem”.

Auć.

Jeśli mam być szczerzy, Ziya nie była jedynym powodem, dla którego tak bardzo chciałem jechać sam. Byłem w szoku, bo Sadie poznała moje tajemne imię. Nagle знаła mnie lepiej niż ktokolwiek na świecie. Czułem się tak, jakby mnie rozkroiła na stole operacyjnym, zbadła i zaszyła z powrotem. Moją instynktowną reakcją była ucieczka, byle być jak najdalej od niej.

Zastanawiałem się, czy Ra czuł się podobnie, kiedy Izyda poznała jego imię – czy to było prawdziwym powodem jego dobrowolnego wygnania: totalne upokorzenie.

Potrzebowałem też czasu, żeby przetrwać to, co Sadie osiągnęła. Przez kilka miesięcy usiłowaliśmy nauczyć się na nowo ścieżki bogów. Zastanawialiśmy się, jak starożytni magowie podłączali się do boskiej mocy, nie dając się opętać ani zniewolić. Podejrzewałem, że Sadie właśnie znalazła odpowiedź. To miało coś wspólnego z *ren* bogów.

Tajemne imię nie jest po prostu imieniem czy magicznym słowem. Jest sumą

doświadczeń boga. Im lepiej zrozumiesz tego boga, tym bardziej zbliżysz się do jego tajemnego imienia i tym łatwiej będzie ci kierować jego mocą.

Jeśli to prawda, to ścieżka bogów jest po prostu magią sympatyczną – znajdowaniem podobieństw między dwiema rzeczami, jak między zwykłym korkociągiem a demonem o głowie przypominającej korkociąg, a następnie wykorzystywaniem tego podobieństwa do stworzenia magicznego łącza. Tyle że w tym przypadku to łącze musiało dotyczyć maga i bóstwa. Jeśli uda się znaleźć podobną cechę albo doświadczenie, można się podłączyć do mocy tego boga.

To mogłoby tłumaczyć, w jaki sposób udało mi się rozwalić drzwi w Ermitażu za pomocą Pięści Horusa – zakłęcia, którego nigdy nie potrafiłem rzucić sam. Nie myśląc o tym, nie łącząc duszy z Horusem, podłączyłem się do jego emocji. Obaj nienawidziliśmy poczucia zamknięcia. Posłużyłem się tym prostym łączem, żeby przywołać zakłęcie i zerwać łańcuchy. A gdybym tylko był w stanie wymyślić, jak posługiwać się tym w bardziej przewidywalny sposób, mogłoby to nam pomóc w nadchodzących bitwach...

Podróżowaliśmy ciężarówką Beduinów przez wiele godzin. Nil wił się jak wąż przez zielone i brązowe pola po naszej lewej. Nie mieliśmy nic do picia oprócz wody ze starego plastikowego pojemnika, smakującej jak wazelina. Kozie mięso nie zrobiło mi dobrze na żołądek. Co jakiś czas przypominało mi się, jak w moich żyłach płynęła trucizna, i ramię zaczynało mnie boleć w miejscu, gdzie ukąsił mnie *czesu-heru*.

Około szóstej po południu znaleźliśmy pierwszy trop. Stary fellach, wieśniak sprzedający daktyle przy drodze, powiedział, że znał wioskę, której szukamy. Kiedy usłyszał nazwę al-Hamrah Makan, wykonał ochronny gest przeciwko Złemu Oku, ale ponieważ pytającym był Bes, staruszek powiedział nam wszystko, co wiedział.

Że Czerwone Piaski to złe miejsce, bardzo przeklęte. Że nikt go teraz nie odwiedza. Ale on pamiętał wioskę sprzed zniszczenia. Znajdziemy ją dziesięć kilometrów na południe, na zakręcie rzeki, gdzie piasek zmienia kolor na jaskrawoczerwony.

No, jakby inaczej – pomyślałem, ale nie byłem w stanie stłumić ekscytacji.

Beduini postanowili zatrzymać się na noc. Nie zamierzali jechać z nami dalej, ale oznajmili, że będą zaszczyceni, jeśli Bes i ja pożyczymy ich ciężarówkę.

Kilka minut później jechaliśmy dalej. Bes miał na głowie miękki kapelusz niemal równie szpetny jak jego hawajska koszula. Był naciągnięty tak nisko na czoło, że nie miałem pojęcia, czy on cokolwiek widzi, zwłaszcza że oczy miał

ledwie na wysokości deski rozdzielczej.

Ilekoć podskakiwaliśmy na wybojach, pod wstecznym lusterkiem kołysały się beduińskie skarby – metalowy dysk zapisany rytą arabską kaligrafią, drzewko zapachowe, zęby jakiegoś zwierzęcia na rzemyku oraz – nie wiadomo czemu – mały obrazek z Elvisem Presleyem. Ciężarówka nie miała resorów ani tapicerki. Czuję się, jakbym jechał na mechanicznym byku. Nawet bez tych podskoków mój żołądek nie czułby się dobrze. Po miesiącach poszukiwań i nadziei po prostu nie mogłem uwierzyć, że jestem tak blisko odnalezienia Ziyi.

– Wyglądasz okropnie – zauważył Bes.

– Dzięki.

– To znaczy: w magicznym sensie. Nie sprawiasz wrażenia gotowego do walki. Zdajesz sobie sprawę, że cokolwiek nas tam czeka, nie będzie przyjaźnie nastawione?

Jego żuchwa wysuwała się spod kapelusza, jakby szukał zwady.

– Uważasz, że ta wyprawa jest błędem – powiedziałem. – Że trzeba było zostać z Sadie.

Wzruszył ramionami.

– Myślę, że gdybyś myślał racjonalnie, zobaczyłbyś na tym wszystkim wielki napis PUŁAPKA. Stary najwyższy lektor – Iskandar – nie ukryłby twojej dziewczyny...

– To nie jest moja dziewczyna.

– ...nie otaczając jej ochronnymi zaklęciami. Najwyraźniej *obaj*, Set i Apopis, chcą, żebyś odnalazł to miejsce, co oznacza, że to *nie może* być dla ciebie dobre. Zostawiłeś siostrę i Walta samych. A na dodatek szwendacie się po podwórku Desjardinsa, a po tych wyczynach w Petersburgu Mienszykow nie spocznie, dopóki was nie znajdzie. A więc tak, uważam, że stać cię na lepsze pomysły.

Wyglądałem przez przednią szybę. Chciałem się pogniewać na Besa za nazwanie mnie głupim, ale bałem się, że mógł mieć rację. Miałem nadzieję na spotkanie z Ziyą. A było niewykluczone, że nie przeżyję nocy.

– Może Mienszykow wciąż leczy głowę – powiedziałem z nadzieją.

Bes roześmiał się.

– Daj spokój, dziecko. Mienszykow już cię ściga. On nigdy nie zapomina uraz.

W jego głosie płonął gniew jak w Petersburgu, kiedy opowiadał nam o weselu karłów. Zastanawiałem się, co naprawdę przydarzyło się Besowi w tym

pałacu i dlaczego wciąż go to dręczyło po trzystu latach.

– To był Wład? – spytałem. – To on cię uwięził?

Nie wydawało mi się to mało prawdopodobne. Znałem w końcu paru magów, którzy mieli po kilkaset lat. Ale Bes pokręcił głową.

– Jego pradziadek, książę Aleksander Mienszykow. – Bes wymówił to nazwisko, jakby było obraźliwe. – Był potajemnie głową osiemnastego nomu. Potężny. Okrutny. Zupełnie jak wnuk. Nigdy nie miałem do czynienia z podobnym magiem. Po raz pierwszy zostałem schwytany.

– A czy po upadku Egiptu magowie nie zamknęli wszystkich bogów w Duat?

– Większość z nas – potaknął Bes. – Niektórzy przespali dwa tysiące lat, dopóki twój tato ich nie wypuścił. Inni uciekali od czasu do czasu, a Dom Życia ich tropił i wsadzał z powrotem. Sachmet uwolniła się w tysiąc dziewięćset osiemnastym – wielka epidemia grypy. Ale kilku bogów pozostało w świecie śmiertelników przez cały czas, jak ja. W dawnych czasach byłem tylko, wiesz, przyjaznym gościem. Odstraszałem duchy. Zwykli ludzie mnie lubili. Kiedy więc Egipt upadł, Rzymianie uznali mnie za jednego ze swoich bogów. A potem, w średniowieczu, chrześcijanie tworzyli na mój wzór gargulce, żeby pilnowały ich katedr i czego tam jeszcze. Wymyślali opowieści o gnomach, krasnoludach, pomocnych skrzatach – wszystko oparte na mnie.

– Pomocnych skrzatach?

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Uważasz, że nie jestem pomocny? Wyglądam nieźle w zielonych rajtuzach.

– Nie chciałbym sobie tego wyobrażać.

Bes pufnął.

– W każdym razie Dom Życia nigdy na serio mnie nie ścigał. A ja siedziałem cicho i trzymałem się z dala od kłopotów. Nigdy nie zostałem schwytany, dopiero w Rosji. Pewnie nadal byłbym tam więźniem, gdyby nie... – Urwał, jakby uznał, że z czymś się wygadał.

Zjechał z drogi. Ciężarówka podskakiwała na ubitym piasku i kamieniach, kierując się ku rzece.

– Ktoś pomógł ci w ucieczce? – domysliłem się. – Bastet?

Kark karła poczerwieniał.

– Nie... nie Bastet. Ona tkwiła w otchłani, walcząc z Apopisem.

– W takim razie...

– Ważne jest to, że się uwolniłem i zemściłem. Udało mi się doprowadzić

do oskarżenia Aleksandra Mienszykowa o defraudację. Wypadł z łaski, odebrano mu majątek i tytuł. Całą rodzinę wywieziono na Syberię. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Niestety pojawił się jego wnuk, Wład. Zdołał wrócić do Petersburga, odbudować fortunę dziadka i przejąć osiemnasty nom. Gdyby Wład mnie dorwał...

Bes wiercił się na fotelu kierowcy, jakby zaczęły uwierać go sprężyny.

– Chyba wiem, dlaczego ci to opowiadam... Jesteś w porządku, dziecko. To, jak ująłeś się za swoją siostrą na moście Waterloo, gotów do walki ze mną... to wymagało odwagi. A próba przejazdki na *czesu-heru*? To była brawura. Głupia, ale odważna.

– Hm, dzięki.

– Przypominasz mi mnie samego – ciągnął Bes – kiedy jeszcze byłem młodym karłem. Jest w tobie upór. Ale kiedy chodzi o dziewczyny, jesteś bezmyślny.

– Dziewczyny? – Myślałem, że nikt nie zdoła zawstydzić mnie w równym stopniu co Sadie, kiedy poznała moje tajemne imię, ale Bes robił postępy. – Tu nie chodzi po prostu o dziewczynę.

Karzeł spojrział na mnie jak na biednego zagubionego szczeniaka.

– Chcesz uratować Ziyę. Rozumiem to. Chcesz, żeby cię polubiła. Ale kiedy kogoś uwalniasz... to komplikuje sprawy. Nie rób maślanych oczu do kogoś, kogo nie możesz zdobyć, zwłaszcza jeśli zaślania ci to widok na kogoś naprawdę ważnego. Nie... nie popełniaj tych samych błędów co ja.

W jego głosie czułem ból. Wiedziałem, że usiłował pomóc, ale czułem się dziwnie, słuchając męskich rad od metrowego boga w paskudnym kapeluszu.

– Ta osoba, która cię uwolniła – powiedziałem. – To była bogini, prawda? Ktoś inny niż Bastet... ktoś, z kim byłeś związany?

Jego palce zacisnęły się na kierownicy, aż pobieleły mu kostki.

– Dziecko...

– Tak?

– Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę. Ale jeśli cenisz sobie swoje zęby...

– Mam się zamknąć.

– Właśnie. – Bes zahamował. – Zwłaszcza że chyba dojechaliśmy na miejsce.

Słońce zachodziło za naszymi plecami. Wszystko przed nami było skąpane w czerwonym świetle – piasek, woda Nilu, wzgórza na horyzoncie. Nawet pióropusze palm wyglądały jak oblane krwią.

Setowi by się tu spodobało – pomyślałem.

Nie widziałem żadnych śladów cywilizacji – tylko kilka szarych czapli przeleciało nam nad głowami, a od rzeki dochodziło co jakiś czas pluskanie: pewnie ryba albo krokodyl. Wyobraziłem sobie, że ta część Nilu nie zmieniła się bardzo od czasów faraonów.

– Chodź – powiedział Bes. – Bierz rzeczy.

Nie czekał. Kiedy go dogoniłem, stał na brzegu, przesypując piasek między palcami.

– To nie tylko światło – uzmysłowiłem sobie. – Ten piasek *naprawdę* jest czerwony.

Bes potaknął.

– A wiesz dlaczego?

Mama powiedziała, że to tlenek żelaza czy coś w tym rodzaju. Ona miała naukowe wytłumaczenie na wszystko. Ale coś podpowiadało mi, że Besowi nie chodzi o taką odpowiedź.

– Czerwień jest kolorem zła – powiedziałem. – Pustyni. Chaosu. Zniszczenia.

Bes otrząpał ręce.

– To było złe miejsce na budowę wioski.

Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów osady. Czerwony piasek rozciągał się we wszystkich kierunkach na jakieś sto metrów. Gęsta trawa i wierzby okalały ten teren, ale sam piasek był całkowicie nagi. To, jak połyskiwał i przesypywał się pod moimi stopami, przypomniało mi sterty wyschniętych skarabeuszy utrzymujących Apopisa w Duat. Pożałowałem tej myśli.

– Tu nic nie ma – stwierdziłem. – Żadnych ruin. Nic.

– Przyjrzyj się dobrze. – Bes wskazał na rzekę. Na obszarze wielkości mniej więcej boiska do piłki nożnej sterczały tu i ówdzie stare wyschnięte trzciny. Nagle uświadomiłem sobie, że te trzciny nie są trzcunami – to były spróchniałe deski i drewniane pale, pozostałości prostej zabudowy. Podeszedłem do brzegu wody. Na kilka metrów przede mną była spokojna i płytka na tyle, żebym mógł dostrzec linię zatopionych cegieł mułowych: fundamenty ściany rozpadające się powoli w dnie rzeki.

– Cała wioska zatoneła?

– Została pochłonięta – odparł Bes. – Nil usiłuje zmyć zło, które się tu wydarzyło.

Wzdrygnąłem się. Rany po kłach na moim ramieniu zaczęły znów pulsować.

– Skoro to takie złe miejsce, dlaczego Iskandar ukrył tu Ziyę?

– Dobre pytanie – pochwalił mnie Bes. – Jeśli chcesz znaleźć odpowiedź, musisz tam wejść.

Cząstka mojego umysłu chciała pobiec z powrotem do ciężarówki. Kiedy ostatnim razem brodziłem w rzece – była to Rio Grande w El Paso – nie skończyło się to zbyt dobrze. Walczyliśmy z bogiem krokodylem, Sobkiem, i ledwie uszliśmy z życiem. A to był Nil. Bogowie i potwory będą tu znacznie potężniejsi.

– Ty też wejdiesz, prawda? – spytałem Besa.

Kącik jego oka zadrżał.

– Płynąca woda nie jest dobra dla bogów. Osłabia nasze połączenie z Duat...

Musiał dostrzec wyraz rozpaczony na mojej twarzy.

– Dobra, okej – westchnął. – Będę zaraz za tobą.

Zanim zdążyłem stchórzyć, postawiłem jedną nogę w rzece – i wpadłem po kostkę.

– Błeee. – Wyciągnąłem nogę z odgłosem, jaki wydałaby krowa żująca gumę.

Nieco za późno uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem nieprzygotowany. Nie miałem miecza, ponieważ zgubiłem go w Petersburgu. Nie udało mi się wezwać go z powrotem. Domyślałem się, że rosyjscy magowie go stopili. Miałem różdżkę, ale ona nadawała się głównie do zaklęć obronnych. Gdyby przyszło mi atakować, będę poważnie osłabiony.

Wyciągnąłem z mułu stary kijek i obmacałem nim grunt dookoła. Razem z Besem brnęliśmy przez mieliznę, usiłując znaleźć cokolwiek użytecznego. Przewróciliśmy kilka cegieł, odkryliśmy nietknięte fragmenty ścian i podnieśliśmy kilka glinianych skorup. Myślałem o tym, co opowiedziała mi Ziya – jak jej tato spowodował zagładę wioski, odkopując demona zamkniętego w dzbanie. Miałem wrażenie, że to były kawałki tego właśnie dzbanu.

Nie atakowało nas nic oprócz komarów. Nie natknęliśmy się na żadne pułapki. Ale każde plaśnięcie przypominało mi o istnieniu krokodyli (i nie chodzi mi o miłe albinosy jak Filip w Brooklynie) oraz wielkich zębatych ryb tygryskich, które Ziya pokazała mi kiedyś w pierwszym nomie. Wyobraziłem sobie, jak śmigają wokół moich stóp, usiłując zdecydować, która noga będzie smaczniejsza.

Kątem oka dostrzegałem pofalowania i maleńkie wiry, jakby coś za mną postępowało. Kiedy wbijałem kijek w wodę, nic tam nie było.

Po godzinie poszukiwań słońce prawie zaszło. Rano powinniśmy być już w Aleksandrii, żeby spotkać się z Sadie, co właściwie nie pozostawiało nam już czasu na znalezienie Ziyi. A za dwadzieścia cztery godziny od teraz, po zachodzie słońca, zacznie się równonoc.

Nie przestawaliśmy szukać, ale nie znalazłem nic ciekawszego od zabłoconej, sflaczałej piłki nożnej i sztucznej szczęki.

[Tak, Sadie, znacznie bardziej obrzydliwej od tej, którą miał dziadek].

Przystanąłem, żeby pacnąć komara na karku. Bes wyciągnął coś z rzeki – wijącą się rybę albo żabę – i wsunął to do ust.

– *Musiałeś?* – spytałem.

– Co? – odpowiedział, przeżuając. – Jest pora kolacji.

Odwróciłem się z obrzydzeniem i wsadziłem kij w wodę.

Tonk.

Uderzyłem w coś twardszego niż cegła czy drewno. To był kamień.

Przesunąłem patykiem po dnie. To nie była skała. To były równo ułożone obrobione bloki. Ich krawędź opadała o następne trzydzieści centymetrów niżej: jak schody wiodące w dół.

– Bes! – zawołałem.

Podszedł do mnie. Woda sięgała mu prawie do ramion. Jego kształt migotał w nurcie rzeki, jakby w każdej chwili miał zniknąć.

Pokazałem mu moje znalezisko.

– Ha. – Wsadził głowę pod wodę. Kiedy ją z powrotem wyciągnął, brodę miał pokrytą mułem i glonami. – Schody, zgadza się. Przypominają mi wejście do grobu.

– Grób – powiedziałem – w środku wioski?

Po mojej lewej rozległ się kolejny chlupot.

Bes zmarszczył brwi.

– Widziałeś to?

– Taa. Odkąd weszliśmy do rzeki. Nie zauważyłeś?

Bes wsadził palec do wody, jakby sprawdzał temperaturę.

– Musimy się pospieszyć.

– Co to jest?

– Zapewne nic. – Był jeszcze marniejszym kłamcą niż mój tato. – Zajrzyjmy do tego grobu. Rozdziel wodę.

Powiedział to tonem takim, jakby była to najzwyklejsza pod słońcem prośba, jak „podziel ciasto”.

– Jestem magiem bitewnym – odparłem. – Nie wiem, jak rozdzielać wody.
Bes zrobił urażoną minę.

– Daj spokój. To rutynowy czar. W czasach Cheopsa znałem maga, który rozdzielił wody Nilu po to, żeby zejść na dno i odzyskać naszyjnik dziewczyny. A potem jeszcze ten Izraelita, Morris.

– Mojżesz?

– Aha, właśnie – potaknął Bes. – W każdym razie powinienes bez trudu rozdzielić wodę. Musimy się pospieszyć.

– Skoro to takie proste, czemu ty tego nie zrobisz?

– Teraz mamy pretensje? Mówiłem ci, dziecko, że płynąca woda interferuje z mocą bogów. Pewnie jest to jeden z powodów, dla których Iskandar ukrył tu swoją przyjaciółkę, jeśli rzeczywiście tak jest. Dasz radę. Musisz tylko...

Nagle znieruchomiał.

Wracamy na brzeg.

– Ale powiedziałaś...

– Już!

Zanim jednak zdążyliśmy się ruszyć, rzeka wokół nas wybuchnęła. Trzy osobne kolumny wody wystrzeliły w górę, a Bes został wciągnięty pod wodę.

Chciałem biec, ale stopy grzęzły mi w mule. Kolumny wody mnie otoczyły. Wirując, przybrały ludzkie kształty z głowami, ramionami i rękami z wstęg kotłującej się wody, jakby były to mumie stworzone z wód Nilu.

Siedem metrów dalej Bes uniósł się nad powierzchnię.

– Wodne demony! – krzyknął, plując wodą. – Odgoń je!

– Jak? – odkrzyknąłem.

Dwa wodne demony rzuciły się ku Besowi. Bóg karzeł usiłował utrzymać się na nogach, ale rzeka zmieniła się w szalony górski nurt i sięgała mu już ramion.

– Dalej, dziecko! – wrzasnął. – Każdy pasterz znał czary przeciwko wodnym demonom!

– No to znajdź mi pasterza!

Bes ryknął BUUU! i jeden z demonów się rozwiął. Odwrócił się do drugiego, ale zanim zdążył go wystraszyć, demon plunął mu w twarz.

Bes zakrztusił się i potknął, woda poleciała mu z nozdrzy. Demon runął na niego i Bes znów wpadł pod wodę.

– Bes! – wrzasnąłem.

Trzeci demon zbliżał się do mnie. Uniosłem różdżkę i przywołałem słabą tarczę niebieskiego światła. Demon uderzył w nią, przewracając mnie do tyłu.

Jego usta i oczy kręciły się niczym małe wiry. Patrząc mu w twarz, czułem się tak, jakbym zaglądał do czary do *patrzenia*. Wyczuwałem niekończący się głód tego stworzenia i jego nienawiść do ludzi. Pragnęło zburzyć wszystkie tamy, pożreć wszystkie miasta i zatopić świat w morzu chaosu. A zaczęłoby od zabicia mnie.

Moja koncentracja słabła. Demon potrząsnął mną, rozbijając moją tarczę i wciągając mnie pod wodę.

Dostała się wam kiedyś woda do nosa? Wyobraźcie sobie całą falę wdzierającą się do nozdrzy – *rozumną* falę, która dokładnie wie, jak utopić człowieka. Zgubiłem różdżkę. W płucach miałem wodę. Racjonalne myślenie ustąpiło panice.

Rzucałem się i kopałem, wiedząc, że nade mną jest co najwyżej metr albo półtora wody, ale nie byłem w stanie się podnieść. Nie widziałem nic w mroku. Moja głowa uniosła się nad powierzchnię i zobaczyłem nad sobą zamazany obraz Besa podskakującego na szczycie fontanny wody, wrzeszczącego: – No mówię, buu! Przestrasz się!

Wpadłem znów pod wodę, chwytając palcami muł. Serce waliło mi jak młotem. Wzrok mi się mącił. Gdybym nawet dał radę wymyślić zaklęcie, nie zdołałbym go wymówić. Żałowałem, że nie mam mocy boga morza, ale to nie jest specjalność Horusa.

Traciłem przytomność, kiedy coś chwyciło mnie za rękę. Uderzyłem to coś i moja pięść napotkała brodatą twarz.

Wypląnąłem znów na powierzchnię, łapiąc oddech. Bes tonął obok mnie, krzycząc: – Głupku... *plum, plum...* usiłuję cię wyłowić, *plum, plum*.

Demon wciągnął mnie znów pod wodę, ale nagle moje myśli stały się jasne. Może ten ostatni łyk tlenu zadziałał. A może uderzenie w Besa wyrwało mnie ze stanu paniki.

Przypomniało mi się, że Horus był w podobnej sytuacji. Set raz próbował go utopić, wciągając do Nilu. Uczepiłem się tego wspomnienia, próbując uczynić je własnym.

Sięgnąłem do Duat i skierowałem moc boga wojny w moje własne ciało. Wypełnił mnie gniew. Nie będę przyparty do muru. Podążam ścieżką Horusa. *Nie pozwolę głupiej płynnej mumii utopić mnie w metrze wody.*

Zrobiło mi się czerwono przed oczami. Wrzasnąłem, wyrzucając wodę z płuc jednym wielkim strumieniem.

ŁUUUP! Nil eksplodował, a ja upadłem w muł.

Z początku byłem zbyt zmęczony, żeby podjąć jakikolwiek wysiłek poza kaszlem. Kiedy zdołałem podnieść się na nogi i zetrzeć błoto z oczu, zobaczyłem, że rzeka zmieniła bieg: opływała teraz ruiny wioski. Z czerwonego mułu wystawały cegły i deski, śmieci, stare ubrania, zderzak samochodu i kości, które mogły być zwierzęce lub ludzkie. Kilka ryb rzucało się dookoła, zastanawiając się, gdzie podziła się rzeka.

Po wodnych demonach nie zostało śladu. Jakies trzy metry ode mnie Bes rzucał mi poirytowane spojrzenia. Miał krwawoczerwony nos i był zakopany po pas w szlamie.

– Zazwyczaj rozdzielanie wód – burknął – nie wymaga boksowania karła. Wyciągnij mnie stąd!

Udało mi się go uwolnić, przy akompaniamencie tak głośnego zasysania, że żałowałem, że go nie nagrałem. [Nie, Sadie, nie będę próbował odtworzyć go do mikrofonu].

– Przepraszam – wyjąkałem. – Nie chciałem...

Machnął ręką na przeprosiny.

– Poradziłeś sobie z wodnymi demonami. To się liczy. Ciekawe, czy poradzisz sobie z tym.

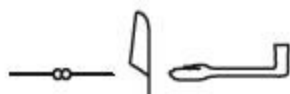
Odwrociłem się i zobaczyłem grób.

Był to prostokątny dół wielkości szafy, wyłożony kamiennymi blokami. Stopnie wiodły do zamkniętych kamiennych drzwi z wyrytymi hieroglifami. Największy z nich był symbolem Domu Życia:



– Te demony strzegły wejścia – powiedział Bes. – W środku mogą być gorsze.

Poniżej rozpoznałem szereg znaków fonetycznych:



– Z... I... A – odcyfrowałem. – Ziya jest w środku.

– A to – wymamrotał Bes – w magicznym biznesie nazywa się pułapką.

Ostatnia szansa, żeby się wycofać, dziecko.

Ale ja go nie słuchałem. Tam była Ziya. Nawet gdybym wiedział, co miało się stać, chyba by mnie to nie powstrzymało. Zszedłem po schodach i pchnąłem drzwi.

14. Przy grobie Ziyi Rashid

Sarkofag był zrobiony z wody.

Miał powiększony kształt człowieka z zaokrąglonymi stopami, szerokimi ramionami i zbyt dużą uśmiechniętą twarzą, zupełnie jak inne egipskie trumny, które widywałem – ale wszystko to było wyrzeźbione z czystego, lśniącego płynu. Stał na kamiennym podwyższeniu pośrodku kwadratowej komory. Egipskie malunki ozdabiały ściany, ale nie poświęciłem im zbytnej uwagi.

We wnętrzu sarkofagu unosiła się Ziya Rashid w białych szatach. Ręce miała skrzyżowane na piersi. W dłoniach trzymała laskę pasterską i bicz wojenny, symbole władzy faraona. Jej laska i różdżka pływały obok niej. Krótkie ciemne włosy unosiły się wokół twarzy. Wyglądała równie ładnie, jak ją zapamiętałem. Jeśli widzieliście tę słynną rzeźbę królowej Nefertiti, to Ziya przypominała mi ją uniesionymi brwiami, wystającymi kośćmi policzkowymi, wdzięcznym nosem i idealnymi czerwonymi ustami.

[Sadie mówi, że przesadzam z tym opisem, ale to prawda. Nie bez powodu Nefertiti nazywana jest najpiękniejszą kobietą na świecie].

Kiedy zbliżyłem się do sarkofagu, woda zaczęła lśnić. Pojawił się prąd, tworząc na boku wciąż ten sam znak:



Bes zagulgotał.

– Nie powiedziałeś mi, że ona jest bożkiem.

Nie przyszło mi do głowy, żeby o tym wspominać, ale oczywiście dlatego Iskandar ukrył Ziyę. Kiedy tato uwolnił bogów w Muzeum Brytyjskim, jedna z nich – rzeczna bogini Neftyda – wybrała Ziyę.

– To jest symbol Neftydy? – domyśliłem się.

Bes potaknął.

– Czy nie wspominałeś, że ta dziewczyna jest specjalistką od magii ognia?

– Owszem.

– Hmm. Niedobra kombinacja. Nic dziwnego, że najwyższy lektor zostawił ją w stanie zawieszenia. Mag ognia i wodna bogini – to mogłoby ją zabić, chyba że... ha, to sprytne.

– Co?

– Nałożenie wody na ogień może również ukryć moc Ziyi. Jeśli Iskandar chciał ukryć ją przed Apopisem... – Bes zrobił wielkie oczy. – Najświętsza Matko Nut. Czy to jest laska i bicz?

– Tak sądzę. – Nie bardzo wiedziałem, co go tak zszokowało. – Czy nie jest tak, że wszystkich ważnych ludzi chowano z tymi symbolami?

Bes spojrział na mnie z niedowierzaniem.

– Nic nie rozumiesz, dziecko. To są *prawdziwe* laska i bicz, królewskie insygnia Ra.

Nagle poczułem się, jakbym połknął kamień. Nie sądzę, żebym był bardziej zaskoczony, gdyby Bes powiedział: „A tak nawiasem mówiąc, opierasz się o bombę wodorową”. Laska i bicz Ra były najpotężniejszymi symbolami najpotężniejszego z egipskich bogów, ale w rękach Ziyi wcale nie wyglądały nadzwyczajnie. Laska przypominała przerośniętą złoto-niebieską rurkę do picia. Bicz był drewnianym kijkiem z przyczepionymi na jednym końcu trzema nabijanymi ćwiekami łańcuchami. Nie świeciły ani nie było na nich napisane **WŁASNOŚĆ RA**.

– Skąd one się tu wzięły? – spytałem.

– Nie wiem – odparł Bes – ale to one. Kiedy ostatnio o nich słyszałem, były zamknięte w lochach pierwszego nomu. Tylko najwyższy lektor miał do nich dostęp. Myślę, że Iskandar zakopał je tu razem z twoją przyjaciółką.

– Żeby ją chronić?

Bes wzruszył ramionami, najwidoczniej zdezorientowany.

– To by było tak, jakbyś podłączył domowy system bezpieczeństwa do głowicy jądrowej. Totalne przeładowanie. Nic dziwnego, że Apopis nie był w stanie jej zaatakować. To naprawdę *poważna* ochrona przed chaosem.

– Co się stanie, jeśli ją obudzę?

– Chroniące ją zaklęcia zostaną przerwane. Może dlatego Apopis cię tu przyprowadził. Kiedy Ziya uwolni się z tego sarkofagu, stanie się łatwiejszym celem. A o tym, dlaczego Apopis pragnie jej śmierci albo dlaczego Iskandar tak się namęczył, żeby ją ukryć... wiem mniej więcej tyle co ty.

Przyglądałem się twarzy Ziyi. Od trzech miesięcy marzyłem o odnalezieniu jej. A teraz niemalże lękałem się ją obudzić. Przerywając zakłęcie snu, mógłbym przypadkowo zrobić jej krzywdę albo narazić na atak Apopisa. Nawet gdyby mi się udało, co jeśli ona się obudzi i uzna, że mnie nienawidzi? Chciałem wierzyć, że dzieliła myśli ze swoim uszebti i będzie pamiętać nasze wspólne chwile. Ale jeśli nie, nie byłem pewny, czy przeżyłbym odrzucenie.

Dotknąłem wodnego sarkofagu.

– Ostrożnie, dziecko – ostrzegł mnie Bes.

Przepłynęła przeze mnie magiczna energia. Była delikatna – jak spojrzenie w twarz wodnego demona – ale wyczułem myśli Ziyi. Była schwytna w sen o tonięciu. Usiłowała uczeplić się ostatniego dobrego wspomnienia: dobrotliwa twarz Iskandara, dającego jej do rąk laskę i bicz. „Zachowaj je, moja droga. Będą ci potrzebne. I nie lękaj się. Sny nie będą cię dręczyć”.

Iskandar mylił się. W jej sen wdarły się koszmary senne. Głos Apopisa syczał z ciemności: „Zniszczyłem twoją rodzinę. I przyjdę po ciebie”. Ziya oglądała w kółko zagładę swojej wioski, podczas gdy Apopis się śmiał, a duch Neftydy kotłował się niespokojnie w jej ciele. Magia Iskandara zamknęła w zaklętym śnie także boginię, która chcąc ochronić Ziyę, wezwała Nil, by ukrył tę komorę i osłonił je obie przed Wężem. Nie mogła jednak powstrzymać snów. Ziya od trzech miesięcy śniła ten sam chaotyczny koszmar i jej zdrowie psychiczne zaczynało się łamać.

– Muszę ją uwolnić – powiedziałem. – Jest częściowo świadoma.

Bes wciągnął powietrze przez zęby.

– To nie powinno być możliwe, ale jeśli to prawda...

– Ona ma poważne problemy. – Wsunąłem dłoń głębiej do środka sarkofagu. Skierowałem tam ten sam rodzaj magii, którym rozdzieliłem wody, tyle że w mniejszej ilości. Powoli woda traciła kształt, topiąc się jak kostka lodu. Chwyciłem Ziyę w ramiona, żeby nie spadła na ziemię. Upuściła królewską laskę i bicz. Jej laska i różdżka uderzyły o podłogę.

Kiedy woda sarkofagu odpłynęła, Ziya otwarła oczy. Próbowwała chwycić oddech, ale nie była w stanie wciągnąć powietrza.

– Bes, co z nią nie tak? – spytałem. – Co mam zrobić?

– Bogini – odparł. – Jej ciało odrzuca ducha Neftydy. Zanieś ją do rzeki!

Twarz Ziyi posiniała. Ująłem ją w ramiona i pobiegłem po śliskich schodach, co nie było proste, ponieważ Ziya kopała mnie i biła przez całą drogę. Udało mi się przebrnąć przez muł bez upadku i złożyłem ją na ziemię na brzegu rzeki.

Chwyciła się dłońmi za gardło. W jej oczach malowało się przerażenie, ale gdy tylko jej ciało dotknęło Nilu, zamigotała wokół niej błękitna aura. Jej twarz przybrała na powrót zdrową barwę. Woda wypłynęła z jej gardła, jakby przemieniła się w ludzką fontannę. Jak teraz to wspominam, wydaje się dość obrzydliwe, ale wtedy czułem zbyt wielką ulgę, żeby się tym przejmować.

Znad powierzchni rzeki uniosła się wodnista postać kobiety w błękitnej sukni. Większość egipskich bogów słabnie w płynącej wodzie, ale Neftyda najwyraźniej stanowiła wyjątek. Bogini emanowała mocą. Na długich czarnych włosach miała srebrny diadem. Jej twarz przypominała mi Izydę, ale ta kobieta miała łagodniejszy uśmiech i spojrzenie.

– Cześć, Bes. – Jej głos był miękki i szeleszczący, jak bryza wiejąca w nadrzecznych trzcinach.

– Neftydo – odparł karzeł. – Długo cię nie widziałem.

Wodna bogini spojrzała na Ziyę, która dygotała w moich ramionach, wciąż z trudem łapiąc oddech.

– Przepraszam, że użyłam jej ciała – powiedziała Neftyda. – To był niedobry wybór, który omal nie zniszczył nas obu. Strzeż jej pilnie, Carterze Kane. Ona ma dobre serce i ważne przeznaczenie.

– Jakie przeznaczenie? – spytałem. – I jak mam jej strzec?

Zamiast udzielić mi odpowiedzi, duch Neftydy rozplynął się w Nilu.

Bes mruknął coś z zadowoleniem.

– Ona powinna być w Nilu. To jej właściwe ciało.

Ziya zadławiła się i zgięła w pół.

– Ona wciąż nie może oddychać! – Zrobiłem jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy. Spróbowałem reanimacji usta-usta.

No dobra, wiem jak to brzmi, ale naprawdę nie myślałem logicznie.

[Przestań się śmiać, Sadie].

Naprawdę nie chciałem jej wykorzystać. Tylko próbowałem pomóc.

Ziya miała na ten temat inne zdanie. Uderzyła mnie w pierś tak mocno, że pisnąłem jak gumowa zabawka. Następnie odwróciła się na bok i zwymiotowała.

Nie sądziłem, że mam aż *tak* paskudny oddech.

Kiedy znów skupiła na mnie wzrok, w jej oczach rozbłysł gniew – jak w dawnych czasach.

– Nie *waż się* mnie całować! – wydusiła.

– Ja nie... nie chciałem...

– Gdzie jest Iskandar? – zapytała. – Myślałam... – Jej oczy zamgliły się. –

Śniło mi się... – Zaczęła się trząść. – Wieczny Egipcie, on chyba nie... On nie może...

– Ziya... – Spróbowałem położyć jej dłoń na ramieniu, ale mnie odepchnęła. Odwróciła się w kierunku rzeki i rozsłochała się, wbijając palce w muł.

Chciałem jej pomóc. Nie mogłem patrzeć na to, jak cierpi. Spojrzałem na Besa, ale on dotknął palcem swojego zaczerwienionego nosa, jakby mnie ostrzegał: „*Powoli* albo sam tak oberwiesz”.

– Mamy mnóstwo spraw do obgadania, Ziya – powiedziałem, starając się ukryć złamane serce. – Ale najpierw zabierzmy cię z dala od rzeki.

Usiadła skulona na schodach własnego grobowca. Jej ubranie i włosy zaczęły schnąć, ale ona drżała, mimo że noc była ciepła, a od pustyni wiał suchy wiatr.

Na moją prośbę Bes przyniósł jej laskę i różdżkę z grobu, wraz z biczem i laską królewską, ale nie wydawał się tym zachwycony. Trzymał te przedmioty tak, jakby parzyły.

Usiłowałem opowiedzieć wszystko Ziyi: o uszebti, o śmierci Iskandara, o tym, że Desjardins został najwyższym lektorem, i o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich trzech miesięcy od bitwy z Setem, ale nie jestem pewny, ile z tego do niej dotarło. Nie przestawała potrząsać głową i zatykać uszu rękami.

– Iskandar nie mógł umrzeć. – Jej głos zadrżał. – Nie zrobiliby... nie zrobiliby mi tego.

– Starał się ciebie ochronić – powiedziałem. – Nie wiedział, że miałaś koszmary. Szukałem cię...

– Dlaczego? – zapytała. – Czego ode mnie chcesz? Pamiętam cię z Londynu, ale potem...

– Poznałem twojego uszebti w Nowym Jorku. On... ty... zabrałaś Sadie i mnie do pierwszego nomu. Zaczęłaś nas uczyć. Współpracowaliśmy w Nowym Meksyku, a potem przy czerwonej piramidzie...

– Nie. – Zacisnęła mocno powieki. – Nie, to nie byłam ja.

– Możesz sobie przypomnieć, co robił uszebti. Wystarczy spróbować...

– Ty jesteś Kane! – krzyknęła. – Jesteście wygnańcami. No i jesteś tu z... z tym. – Wskazała na Besa.

– *To* ma imię – burknął Bes. – Zaczynam się zastanawiać, dlaczego przemierzyłem pół Egiptu, żeby cię obudzić.

– Jesteś bogiem! – krzyknęła Ziya, po czym zwróciła się do mnie. – A jeśli

to ty go wezwałeś, zostaniesz skazany na śmierć!

– Słuchaj, dziewczyno – powiedział Bes. – Nosiłaś w sobie ducha Neftydy. A zatem jeśli ktokolwiek zostanie skazany na śmierć...

Ziya chwyciła swoją laskę.

– Wynoś się!

Na szczęście nie odzyskała jeszcze sił. Wystrzeliła Besowi w twarz słabym płomykiem, który bóg karzeł bez trudu odepchnął.

Chwyciłem koniec jej laski.

– Przestań, Ziya! On nie jest wrogiem.

– Mogę ją zbić? – spytał Bes. – Ty mnie uderzyłaś, dziecko. Tak będzie sprawiedliwie.

– Żadnego bicia – odparłem. – I żadnych miotaczy ognia, Ziya, stoimy po tej samej stronie. Jutro o zachodzie słońca zaczyna się równonoc i Apopis uwolni się z więzienia. On chce cię zniszczyć. Przyjechaliśmy tu, żeby cię ocalić.

Imię Apopisa zrobiło na niej wrażenie. Zatchnęła się, jakby jej płuca znów napełniały się wodą.

– Nie. To niemożliwe. Dlaczego miałabym ci wierzyć?

– Ponieważ... – Zawahałem się. Co miałem powiedzieć? Ponieważ zakochaliśmy się w sobie trzy miesiące temu? Ponieważ tyle razem przeszliśmy, ratując sobie wzajemnie życie? To nie były jej wspomnienia. Pamiętała mnie – w pewnym sensie. Ale wspólnie spędzony czas był dla niej jak film z aktorką grającą jej rolę, robiącą rzeczy, których ona nigdy by nie zrobiła.

– Nie znasz mnie – powiedziała z goryczą. – A teraz idź, zanim będę zmuszona z tobą walczyć. Sama wrócę do pierwszego nomu.

– Może ona ma rację, dziecko – powiedział Bes. – Powinniśmy jechać. Narobiliśmy tu dość magii, żeby uruchomić wszelkie dzwony alarmowe.

Zacisnąłem pięści. Spełnił się mój najgorszy koszmar. Ziya mnie nie lubiła. Wszystko, co między nami było, rozpadło się wraz z jej glinianą kopią. Ale jak już być może wspomniałem, robię się uparty, kiedy ktoś mi mówi, że czegoś nie mogę.

– Nie zostawię cię. – Wskazałem na ruiny jej wioski. – Ziya, to miejsce zniszczył Apopis. To nie był przypadek. To nie była wina twojego taty. Wąż chciał zniszczyć *ciebie*. Iskandar wychował cię, bo wyczuł, że masz ważne przeznaczenie. Ukrył cię z laską i biczem faraona z tego samego powodu – nie dlatego, że przebywała w tobie bogini, ale dlatego, że był umierający i obawiał się, że dłużej nie będzie w stanie cię chronić. Nie wiem, czym dokładnie ma być

twoje przeznaczenie, ale...

– Przestań! – Zapaliła ponownie czubek laski. Tym razem rozbłysł jaśniej. – Wypaczasz mi myśli. Jesteś taki sam jak koszmary.

– Wiesz dobrze, że tak nie jest. – Zapewne powinienem się zamknąć, ale nie wierzyłem, że Ziya byłaby naprawdę skłonna mnie podpalić. – Przed śmiercią Iskandar zdał sobie sprawę, że trzeba powrócić do dawnych dróg. Dlatego pozwolił przeżyć Sadie i mnie. Ty... twój uszebti też to zrozumiał, kiedy walczyliśmy razem pod czerwoną piramidą.

– Dziecko – ponaglił Bes. – Naprawdę musimy zmykać.

– Chodź z nami – zwróciłem się do Ziyi. – Wiem, że zawsze czułaś się samotna. Nigdy nie miałaś nikogo poza Iskandarem. Rozumiem to, ale jestem twoim przyjacielem. Możemy cię ochronić.

– Nikt nie będzie mnie *chronić*! – Wystrzeliła sobie ogniem pod nogi. – Jestem pisarzem w Domu Życia!

Z jej laski wystrzeliły płomienie. Sięgnąłem po różdżkę, ale oczywiście zgubiłem ją w rzece. Instynktownie zacisnąłem palce na insygniach faraona – lasce pasterskiej i biczu wojennym. Skrzyżowałem je w ochronny znak „X” i laska Ziyi roztrzaskała się natychmiast. Ogień zgasł.

Ziya cofnęła się, z jej palców unosił się dym.

Wpatrywała się we mnie w totalnym szoku.

– Jak śmiałeś użyć insygniów Ra?

Sam musiałem mieć zdumioną minę.

– N-nie zamierzałem! Chciałem tylko porozmawiać. Na pewno jesteś głodna. W ciężarówce mamy jedzenie i wodę...

– Carter! – W głosie Besa brzmiało napięcie. – Coś jest nie w porządku...

Odwrócił się zbyt późno. Wokół niego rozbłysło oślepiające białe światło. Kiedy odzyskałem wzrok, Bes siedział jak skamieniały w klatce z prętami przypominającymi fluorescencyjne rurki. Obok niego stali dwaj ludzie, których miałem najmniejszą ochotę oglądać: Michel Desjardins i Wład Parownik.

Desjardins wyglądał chyba jeszcze starzej niż w wizji Sadie. Jego siwe włosy i rozdwojona bródka były długie i zaniedbane. Kremowe szaty zwisały na jego ciele, a lamparci płaszcz najwyższego lektora zsuwał mu się z lewego ramienia.

Wład Mienszykow natomiast wyglądał na wypoczętego i gotowego na nowo podjąć zabawę w znęcanie się nad Kane’ami. Miał na sobie świeży lniany garnitur, a w ręku dzierżył nową laskę. Na krawacie połyskiwała srebrna węzowa spinka. Na kędzierzawe szpakowate włosy nałożył fedorę, zapewne po to, żeby

zakryć rany na głowie zadane mu przez Seta. Uśmiechnął się, jakby cieszyło go spotkanie ze mną, co mogłoby wyglądać przekonująco – gdyby nie to, że nie miał okularów. Spośród bezkształtnej masy blizn i czerwonych szram straszliwe oczy płonęły nienawiścią.

– Jak przewidziałem, najwyższy lektorze – wychrypiał Mienszykow – Kane szukał tej nieszczęsnej dziewczyny, a teraz próbuje ją przekabacić.

– Słuchaj, Desjardins – odezwałem się. – Mienszykow jest zdrajcą. Wezwał Seta. Usiłuje uwolnić Apopisa...

– Widzisz? – krzyknął Mienszykow. – Tak jak mówiłem, chłopak usiłuje rzucić na mnie winę za swoją niedozwoloną magię.

– Że co? – zapytałem. – Nie!

Rosjanin odwrócił się do wciąż nieruchomego Besa w błyszczącej klatce, przyglądając mu się uważnie.

– Carterze Kane, twierdzisz, że jesteś niewinny, a jednak znajdujemy cię w towarzystwie bogów. Kogo my tu mamy? Karła Besa! Na szczęście dziadek nauczył mnie świetnego zaklęcia związującego na tego konkretnego stwora. Dziadek nauczył mnie również wielu zaklęć torturujących, które... całkiem nieźle działały na karłowatego boga. Zawsze marzyłem o tym, żeby je wypróbować.

Desjardins zmarszczył nos z niesmakiem, ale nie wiedziałem, kto był tego powodem: ja czy Mienszykow.

– Carterze Kane – odezwał się najwyższy lektor – wiem, że pożądasz tronu faraona. Wiem, że knujesz z Horusem. Ale oto znalazłem cię trzymającego laskę i bicz Ra, których nieobecność w naszych lochach została ostatnio wykryta. Nawet jak na ciebie jest to nie lada bezczelność.

Spojrzałem na przedmioty trzymane w rękach.

– To nie tak. Właśnie je znalazłem...

Urwałem. Nie mogłem im powiedzieć, że te insygnia zostały ukryte razem z Ziyą. Nawet gdyby mi uwierzyli, mogło to narazić Ziyę na kłopoty.

Desjardins potaknął, jakbym się właśnie przyznał do winy. Ku memu zdumieniu najwyraźniej go to zasmuciło.

– Tak jak myślałem. Amos zapewniał mnie, że jesteś szlachetnym sługą Maat. A jednak okazujesz się nie tylko bożkiem, ale i złodziejem.

– Ziya. – Odwróciłem się do niej. – Musisz mnie wysłuchać. Jesteś w niebezpieczeństwie. Mienszykow pracuje dla Apopisa. Zabije cię.

Mienszykow doskonale udał urazę.

– Dlaczego miałbym chcieć ją skrzywdzić? Nie wyczuwam już w niej

Neftydy. To nie jej wina, że bogini opętała jej ciało. – Wyciągnął rękę do Ziyi. – Cieszę się, że jesteś bezpieczna, dziecko. Nie możesz ponosić winy za dziwaczne zachowania Iskandara w jego ostatnich dniach – ukrycie cię tutaj, złagodzenie polityki wobec tych zbrodniczych Kane’ów. Zostaw tego zdrajcę. Wróć z nami do domu.

Ziya zawahała się.

– Ja... miałam dziwne sny.

– Jesteś w szoku – powiedział do niej łagodnie Desjardins. – To naturalne. Twój uszebti przekazywał ci swoje przeżycia. *Widziałaś*, jak Carter Kane i jego siostra zawierają umowę z Setem pod czerwoną piramidą. Zamiast zniszczyć Czerwonego Pana, pozwolili mu odejść. Pamiętasz?

Ziya przyglądała mi się niepewnie.

– Przypomnij sobie, dlaczego to zrobiliśmy – błagałem. – Chaos powstaje. Apopis uwolni się za niecałą dobę. Ziya, ja...

Słowa ugrzęzły mi w gardle. Miałem ochotę powiedzieć, co do niej czuję, ale jej oczy zrobiły się twarde jak bursztyn.

– Nie znam cię – wymamrotała. – Przepraszam.

Mienszykow uśmiechnął się.

– Oczywiście, że go nie znasz, dziecko. Nie masz nic wspólnego ze zdrajcami. A teraz, za pozwoleniem pana Desjardinsa, zabierzemy tego młodego heretyka z powrotem do pierwszego nomu, gdzie czeka go uczciwy proces... – Mienszykow odwrócił się do mnie, a w jego zniszczonych oczach płonął tryumf – ...a następnie egzekucja.

15. Wielbłądy to ZŁO...

Tak, Carter, cała ta historia z wodnymi demonami musiała być okropna. Ale nie współczuję ci, ponieważ: 1) sam się pchałeś na tę wycieczkę, 2) kiedy ty ratowałeś Ziyę, ja musiałam sobie radzić z wielbłędami.

Wielbłądy są obrzydliwe.

Pewnie myślicie: „Ależ, Sadie, to były magiczne wielbłądy, przywołane przez jeden z amuletów Walta. Bystrzak Walt! Magiczne wielbłądy na pewno nie są tak złe jak zwyczajne wielbłądy”.

No więc mogę zaświadczyć, że magiczne wielbłądy plują, sikają, ślinią się, gryzą, żrą i przede wszystkim paskudnie śmierdzą jak zwyczajne wielbłądy. Co najwyżej ich obrzydliwość jest magicznie zwielokrotniona.

Oczywiście nie zaczęliśmy od wielbłądów. Doszliśmy do nich poprzez całą serię coraz to koszarniejszych środków lokomocji. Najpierw pojechaliśmy autobusem do małego miasteczka na zachód od Aleksandrii – autobus bez klimatyzacji, wypchany facetami, którzy nie odkryli jeszcze dobrodziejstw dezodorantu. Potem wynajęliśmy kierowcę, żeby zawiózł nas do Bahariji – najpierw bezczelnie puszczał w samochodzie największe przeboje zespołu ABBA i jadł cebulę, a następnie wywiózł nas na pustkowiu i – niespodzianka! – przedstawił nas swoim kumplom rabusiom, którzy nie mieli nic przeciwko obrabowaniu bezbronnych amerykańskich nastolatków. Z przyjemnością pokazałam im, jak moja laska zmienia się w wielkiego wygłodniałego lwa. O ile wiem, bandyci i kierowca nadal uciekają. Samochód jednak nie chciał dalej ruszyć i żadna magia nie była w stanie ożywić silnika.

Uznaliśmy też, że lepiej trzymać się z dala od ludzi. Nie przeszkadzały mi podejrzliwe spojrzenia miejscowych. Nie przeszkadzało mi, że zwracam uwagę jako dziwactwo – amerykańsko-brytyjska dziewczyna z fioletowymi kosmykami we włosach, podróżująca samotnie z chłopakiem, który nie wygląda na jej brata. Prawdę mówiąc, to nieźle streszcza moje życie. Ale po próbie rabunku Walt i ja uświadomiliśmy sobie, że miejscowi zbyt często, przyglądając nam się, widzą w nas ofiary. Nie miałam ochoty na spotkanie z innymi bandytami ani też egipską policją, nie mówiąc już o magach, którzy mogli gdzieś

się kryć w przebraniu. Wezwaliśmy więc magiczne wielbłądy, zaczarowaliśmy garść piasku, żeby wskazywała nam drogę do Bahariji, i ruszyliśmy przez pustynię.

„Jak ci się podobała pustynia, Sadie?” – ktoś zapyta.

Dzięki za pytanie. Była gorąca.

I jeszcze jedno: dlaczego pustynie muszą być tak diabelnie wielkie? Dlaczego nie mogą mieć kilkuset metrów szerokości, wystarczająco, żeby dać poczucie piaszczystości, suszy i nieszczęścia, ale dalej niechby był normalny krajobraz, jakaś łąka z rzeką albo ulica ze sklepami?

Nie ma tak dobrze. Pustynia ciągnęła się w nieskończoność. Wyobrażałam sobie Seta, boga pustkowi, śmiejącego się z nas, jak brnęliśmy przez niekończące się wydmy. Jeśli to był jego dom, nie podobał mi się wystrój.

Przezwałam moją wielbłądzicę Katrina. Była podobną katastrofą jak huragan. Śliniła się nieustannie i najwyraźniej uważała, że fioletowe pasemka w moich włosach to jakieś egzotyczne owoce. Dostała obsesji na punkcie zjedzenia mi głowy. Wielbłądowi Walta nadałam imię Hindenburg. Był niemal tak ogromny jak sterowiec i najwyraźniej wypełniony gazem.

Gdy tak jechaliśmy ramię w ramię, Walt pograżył się w myślach, wpatrując się w horyzont. Bez wahania popędził mi na pomoc w Aleksandrii. Tak jak przypuszczałam, nasze amulety szen były połączone. Wystarczyła odrobina koncentracji i byłam w stanie wysłać mu w myślach wiadomość o naszych kłopotach. Niewiele więcej wysiłku kosztowało mnie dosłowne przeciągnięcie go przez Duat do mojego boku. Fajny przedmiot magiczny: ciacho na zawołanie.

Kiedy jednak już się zjawiał, robił się coraz bardziej milczący i niespokojny. Ubrany był jak zwykły amerykański nastolatek na wycieczce – czarny podkoszulek, w którym świetnie wyglądał, sportowe spodnie, górskie buty. Ale patrząc uważniej, można było dostrzec, że wziął z sobą wszystkie magiczne przedmioty, jakie kiedykolwiek wykonał. Na jego szyi wisiało prawdziwe amuletowe zoo. Na każdej z dłoni miał po trzy pierścienie. Wokół pasa plecionka, której nigdy wcześniej nie widziałam, uznałam więc, że ma jakieś magiczne właściwości. Miał też plecak, niewątpliwie wypchany kolejnymi przydatnymi gadżetami. Ale mimo tego całego osobistego arsenału Walt wydawał się okropnie nerwowy.

– Piękna pogoda – zaczęłam konwersację.

Zmarszczył brwi, wyrwany ze swej drzemki.

– Przepraszam... Zamyśliłem się.

– Wiesz, czasem rozmowa pomaga. Na przykład, no, nie wiem. Gdybym miała jakiś poważny problem, coś zagrażającego życiu, i zwierzyła się tylko Jaz... i gdyby Bes wiedział, o co chodzi, ale nic nie mówił... i gdybym się zgodziła wybrać na wyprawę z dobrą kumpelą i miała mnóstwo czasu na pogaduszki w trakcie jazdy przez pustynię, zapewne kusiłoby mnie opowiedzieć tej kumpeli, co mnie gryzie.

– Hipotetycznie – powiedział.

– Aha. A gdyby ta dziewczyna była jedyną osobą na świecie, która nie wie, co jest ze mną nie w porządku, ale naprawdę jej *zależy*... wiesz, wyobrażam sobie, że byłaby dość sfrustrowana tym brakiem informacji. No i hipotetycznie mogłaby cię udusić... to znaczy mnie. Hipotetycznie.

Na twarzy Walta pojawił się słaby uśmiech. Chociaż nie mogę powiedzieć, żeby jego wzrok działał na mnie aż tak jak Anubisa, muszę przyznać, że był bardzo przystojny. Wcale nie przypominał mojego ojca, ale miał podobny typ siły i surowej urody – coś w rodzaju łagodnej powagi, która sprawiała, że czułam się bezpieczna i nieco lepiej zakotwiczona na ziemi.

– Trudno mi o tym rozmawiać – odparł. – Ale nie zamierzałem niczego przed tobą ukrywać.

– Na szczęście nie jest jeszcze za późno.

Nasze wielbłądy parły do przodu. Katrina usiłowała pocałować, a może raczej opluć Hindenburga, a on puścił w odpowiedzi bąka. Uznałam to za dołączący komentarz do kwestii damsko-męskich.

W końcu Walt się odezwał.

– Chodzi o coś związanego z krwią faraonów. Wy – to znaczy rodzina Kane’ów – połączyliście dwie potężne królewskie linie, Narmera i Ramzesa Wielkiego, zgadza się?

– Tak mi mówiono. Sadie Wielka brzmi całkiem niezłe.

Walt nie skomentował tej odpowiedzi. Może wyobrażał sobie mnie jako faraona, co, muszę przyznać, było dość przerażającą myślą.

– Moje królewskie pochodzenie... – Urwał. – Co wiesz o Echnatonie?

– Podejrzewam, że był faraonem. Zapewne egipskim.

Walt roześmiał się, co było dobrym znakiem. Gdyby udało mi się utrzymać go w tym nastroju, może łatwiej by się otworzył.

– A nieco dokładniej – odparł – Echnaton był faraonem, który postanowił pozbyć się starych bogów i czcić jedynie Atona, słońce.

– Ach... no tak. – Ta historia oblała mi się o uszy, co mnie nieco przeraziło,

ponieważ poczułam się przez moment egipskim świrem jak Carter. – To ten koleś, co przeniósł stolicę, tak?

Walt potaknął.

– Zbudował całkiem nowe miasto, Amarnę. Był trochę dziwakiem, ale też jako pierwszy wymyślił, że starzy bogowie to nic dobrego. Usiłował zakazać ich czci, pozamykać ich świątynie. Chciał czcić tylko jednego boga, ale dość dziwnie go sobie wybrał. Uważał, że to słońce. Nie bóg słońca Ra – ale prawdziwa tarcza słoneczna, Aton. W każdym razie kapłani i magowie, a zwłaszcza kapłani Amona-Ra...

– To kolejne imię Ra? – domyśliłam się.

– Mniej więcej – odrzekł Walt. – No więc kapłanom ze świątyni Amona-Ra nie podobał się Echnaton. Kiedy umarł, pozbawiali jego posągi twarzy, usiłowali zetrzeć jego imię ze wszystkich pomników i tak dalej. Miasto Amarna zostało całkowicie opuszczone. Egipt powrócił do dawnych obyczajów.

Zamyśliłam się nad tym. Tysiące lat przed tym, jak Iskandar wydał zarządzenie o wygnaniu bogów, pewien faraon miał podobny pomysł.

– I to on był twoim prapra-ileściamrazy-pradziadkiem? – spytałam.

Walt owinął sobie wodze wokół nadgarstka.

– Jestem jednym z potomków Echnatona. Tak. Mamy takie same zdolności magiczne jak większość królewskich linii, ale... mamy też problemy. Bogowie nie byli zadowoleni z Echnatona, jak się nietrudno domyślić. Jego syn Tutanchamon...

– Król Tut? – powtórzyłam. – Jesteś z nim spokrewniony?

– Niestety – odparł Walt. – Tutanchamon był pierwszą ofiarą klątwy. Zmarł w wieku dziewiętnastu lat. A należał do tych, którzy mieli sporo szczęścia.

– Czekaj. Jakiej klątwy?

W tej właśnie chwili Katrina zatrzymała się z piskiem. Powiecie może, że wielbłądy nie piszcza, ale nie macie racji. W chwili kiedy Katrina dotarła na szczyt wielkiej wydmy piaskowej, wydała pisk brzmiący znacznie gorzej niż hamulce samochodu. Hindenburg zatrzymał się z mniej eleganckim dźwiękiem.

Spojrzałam na drugą stronę wydmy. Pod nami, na samym środku pustyni, rozciągała się zamglona dolina zielonych pól i palmowych drzew, o rozmiarach zbliżonych do centrum Londynu. Latały ptaki. Niewielkie jeziora połyskiwały w popołudniowym słońcu. Z palenisk przed nielicznymi domostwami unosił się dym. Po tak długim czasie spędzonym na pustyni kolory były bolesne dla oczu, jak przy wyjściu z ciemnego kina w jasne popołudnie.

Zrozumiałam, jak musieli się czuć dawni podróżnicy, odkrywający oazy po dniach na pustkowiu. Był to widok na miarę rajskiego ogrodu.

Wielbłądy nie zatrzymały się jednak, żeby podziwiać piękno krajobrazu. Po piasku ciągnął się ślad małych stópek – od samej oazy do naszej wydmy. A po wzgórzu wspinał się bardzo niezadowolony kot.

– Nareszcie – odezwał się.

Zsunęłam się z grzbietu Katriny i spojrzałam na kota ze zdumieniem. Nie dlatego, że się odezwał – widziałam już dziwniejsze rzeczy – ale ponieważ rozpoznałam ten głos.

– Bastet? – spytałam. – Co ty robisz w tym... co to właściwie *jest*?

Kot stanął na tylnych łapach i rozłożył przednie, jakby mówił: *Voilà!*

– Egipski mau, oczywiście. Piękne lamparcie cętki, niebieskawe futro...

– Wygląda, jakby właśnie wyszedł z blendera!

To nie było nieuprzejme z mojej strony. Kot był okropnie sponiewierany. Brakowało mu sporych kawałków futra. Może kiedyś był ładny, ale wydawało mi się bardziej prawdopodobne, że zawsze był dziki. Resztki sierści były brudne i matowe, a oczy miał napuchnięte i poranione niemal tak paskudnie jak Wład Mienszykow.

Bastet – albo kot – albo *cokolwiek* tam dowodziło – opadło na cztery łapy i prychnęło z urazą.

– Droga Sadie, myślę, że rozmawialiśmy już o bliznach wojennych u kotów. Ten stary kocur to wojownik!

Przegrywający wojownik – pomyślałam, ale postanowiłam zatrzymać to dla siebie.

Walt ześlizgnął się z grzbietu Hindenburga.

– Bastet, jak... gdzie ty jesteś?

– Ciągłe głęboko w Duat. – Westchnęła. – Potrzebuję jeszcze co najmniej jednego dnia, żeby znaleźć drogę wyjścia. Tu na dole jest nieco... chaotycznie.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

Kot potaknął.

– Muszę tylko być ostrożna. Otchłań roi się od nieprzyjaciół. Wszystkie zwyczajne drogi i rzeki są strzeżone. Muszę nieźle nadłożyć drogi, żeby bezpiecznie wrócić, a ponieważ równonoc zaczyna się jutro o zachodzie słońca, mam dość napięty grafik. Uznałam, że lepiej będzie wysłać wam wiadomość.

– A więc... – Walt zmarszczył brwi. – Ten kot nie jest prawdziwy?

– Oczywiście, że jest prawdziwy – odparła Bastet. – Ja tylko kontroluję

go ułamkiem mojego ba. Mogę bez trudu przemawiać poprzez koty, wiesz, przynajmniej po kilka minut, ale ty po raz pierwszy znalazłeś się blisko kota. Zdajesz sobie z tego sprawę? Niewiarygodne! Naprawdę musisz częściej zadawać się z kotami. Swoją drogą temu mau należy się nagroda, jak już sobie pójdę. Na przykład jakaś dobra ryba albo trochę mleka...

– Bastet – przerwałam jej. – Mówiłaś, że masz jakąś informację?

– Owszem. Apopis się budzi.

– To wiemy!

– Ale jest gorzej, niż myśleliśmy – dodała. – Cały legion demonów pracuje przy jego klatce, a on zamierza zgrać w czasie swoje powstanie z przebudzeniem przez was Ra. Prawdę mówiąc, on *liczy* na to, że wy obudzicie Ra. To jest częścią jego planu.

Poczułam się tak, jakby głowa zamieniła mi się w galaretkę, ale może to dlatego, że wielbłądzica Katrina podgryzała moje włosy.

– Apopis *chce*, żebyśmy uwolnili jego arcywroga? To nie ma sensu.

– Nie jestem w stanie tego wytłumaczyć – powiedziała Bastet – ale kiedy zbliżam się do jego klatki, mogę podsłuchać jego myśli. Sądzę, że dzięki naszej trwającej wiele stuleci walce wytworzyło się między nami jakieś połączenie. W każdym razie, jak już mówiłam, równonoc zaczyna się jutro o zachodzie słońca. Następnego ranka, o świcie dwudziestego pierwszego marca Apopis planuje powstać z Duat. Zamierza połknąć słońce i zniszczyć świat. I jest przekonany, że wasz plan przebudzenia Ra pomoże mu tego dokonać.

Walt zmarszczył czoło.

– Skoro Apopis chce, żeby nam się udało, to czemu tak bardzo stara się nas powstrzymać?

– A stara się? – spytałam.

Nagle kilkanaście drobiazgów, które nie dawały mi spokoju przez ostatnie kilka dni, złożyło się w jedną całość: dlaczego Apopis jedynie *wystraszył* Cartera w Muzeum Brooklyńskim, skoro Strzały Sachmet mogły go zniszczyć? Dlaczego tak łatwo poszła nam ucieczka z Petersburga? Dlaczego Set dobrowolnie wyjawiał nam miejsce przechowywania trzeciego zwoju?

– Apopis pragnie chaosu – powiedziałam. – Chce podzielić swoich wrogów. Jeśli Ra powróci, może nas to popchnąć do wojny domowej. Magowie już są podzieleni. Bogowie będą walczyć między sobą. Nie będzie jednego przywódcy. A jeśli Ra nie odrodzi się w silnej nowej postaci – jeśli będzie tak stary i słaby jak w mojej wizji...

– W takim razie *nie powinniśmy* budzić Ra? – spytał Walt.

– To też nie jest wyjście – odparłam.

Bastet przechyliła głowę.

– Nic już nie rozumiem.

Moje myśli biegły jak szalone. Wielbłądzica Katrina nadal przeżuwała moje włosy, zamieniając je w oślizgły kołtun, ale ja ledwie to zauważałam.

– *Musimy* trzymać się planu. Potrzebujemy Ra. Maat i chaos muszą być w równowadze, tak? Jeśli Apopis powstanie, Ra też musi powstać.

Walt obracał w palcach swoje pierścienie.

– Skoro jednak Apopis *chce*, żeby Ra się przebudził, skoro uważa, że to pomoże mu zniszczyć świat...

– Musimy wierzyć, że Apopis się myli. – Przypomniało mi się coś, co powiedziało mi *ren* Jaz: „Wybieramy wiarę w Maat”.

– Apopis nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby zjednoczyć bogów i magów – powiedziałam. – Uważa, że powrót Ra tylko nas dodatkowo osłabi. Musimy pokazać, że się myli. Musimy wyprowadzić porządek z chaosu. To zawsze robił Egipt. To ryzyko – *wielkie* ryzyko – ale jeśli będziemy jedynie obawiać się klęski, zatańczymy dokładnie tak, jak nam Apopis zagra.

Niełatwo jest wygłaszać podnoszące morale przemowy, kiedy wielbłąd liże cię po włosach, ale Walt potaknął. Kot nie zdradzał równego entuzjazmu. Z drugiej strony – koty rzadko przejawiają entuzjazm.

– Nie lekceważcie Apopisa – ostrzegła Bastet. – Nie walczyliście z nim. Ja owszem.

– Dlatego właśnie musisz szybko wrócić. – Opowiedziałam jej o rozmowie Włada Mienszykowa z Setem, o jego planach zniszczenia Domu Brooklyńskiego. – Bastet, nasi przyjaciele są w strasznym niebezpieczeństwie. Mienszykow jest najwyraźniej jeszcze bardziej szalony, niż Amosowi się wydaje. Jak tylko będziesz mogła, udaj się do Brooklynu. Mam przecucie, że tam będzie nasz ostatni bastion. Zdobędziemy trzeci zwój i znajdziemy Ra.

– Nie lubię ostatnich bastionów – powiedział kot. – Ale masz rację. To brzmi niedobrze. Tak swoją drogą, gdzie są Bes i Carter? – Bastet zerknęła podejrzliwie na wielbłądy. – Nie zamieniliście ich w te wierzchowce, prawda?

– Fajny pomysł – odparłam – ale nie.

Opowiedziałam jej pokrótce, co planował Carter.

Bastet syknęła z niezadowolenia.

– Głupia wyprawa! Pogadam ja z tym kałem, jak mógł cię zostawić samej

sobie.

– A ja to nic? – zaprotestował Walt.

– Wybacz, mój drogi, nie miałam... – Kot zamrugał oczami. Zakaszłał, jakby nałykał się paprochów. – Połączenie słabnie. Powodzenia, Sadie. Najlepsze wejście do grobów znajduje się na niewielkiej farmie daktyli na południowy wschód stąd. Wypatruj czarnego zbiornika na wodę. I uważaj na Rzymian. Są dość...

Kot nastroszył ogon, a następnie zamrugał i rozejrzył się po okolicy, skonfundowany.

– Jakich Rzymian? – spytałam. – Są dość co?

– Mrau. – Kot patrzył na mnie z wyrazem pyszczka mówiącym: „Kim jesteście i gdzie jest jedzenie?”.

Odsunęłam wielbłądzi pysk od moich oślinionych włosów.

– Chodźmy, Walt – burknęłam. – Poszukamy mumii.

Daliśmy kotu nieco mielonki i wody z naszych zapasów. Nie było to to samo co ryba i mleko, ale kot wyglądał na zadowolonego. Ponieważ widać było stamtąd oazę, a on zapewne znał okolicę znacznie lepiej niż my, zostawiliśmy go przy posiłku. Walt zmienił wielbłądy na powrót w amulety, całe szczęście, i poszliśmy dalej do Bahariji pieszo.

Bez trudu znaleźliśmy farmę daktyli. Czarny zbiornik na wodę stał na jej obrzeżu i był najwyższą konstrukcją w zasięgu wzroku. Skierowaliśmy się ku niemu poprzez las palmowych drzew, które choć trochę chroniły nas przed słońcem. W oddali majaczył budynek z suszonej cegły, ale nie było widać żadnych ludzi. Zapewne Egipcjanie nie byli na tyle głupi, żeby wychodzić na popołudniowy skwar.

Kiedy dotarliśmy do zbiornika, nie dostrzegłam nic, co by przypominało wejście do grobów. Zbiornik był dość stary – cztery zardzewiałe metalowe pale podtrzymywały okrągły walec wielkości garażu na wysokości około piętnastu metrów – i lekko przeciekał. Co kilka sekund z nieba spadała kropla wody i rozbijała się o ubity piasek. W okolicy właściwie nie było nic więcej, jeśli nie liczyć kolejnych palm, kilku zniszczonych narzędzi rolniczych oraz wypłowiałego szyldu ze sklejki leżącego na ziemi. Był on wymalowany sprayem po arabsku i angielsku, zapewne pozostałość po pomysle któregoś z rolników, żeby sprzedawać swoje produkty na rynku. Po angielsku było tam napisane: „Daktyle – najlepsza cena. Zimna Bebsi”.

– Bebsi? – spytałam.

– Pepsi – odparł Walt. – Czytałem o tym w internecie. W arabskim nie ma „p”, więc wszyscy mówią bebsi.

– I zamawia się bizzę z bebsi?

– Brawdopodobnie.

Prychnęłam.

– Skoro tu są słynne wykopaliska, to nie powinno się tu więcej dziać? Gdzie archeologowie? Kasy z biletami? Sprzedawcy pamiątek?

– Może Bastet wskazała nam tajne wejście – odparł Walt. – Lepsze to niż przemykanie się przez gromadę strażników i obsługi.

Tajne wejście brzmiało intrygująco, ale jeśli ten zbiornik nie jest magicznym teleportem albo któraś z palm daktylowych nie posiada ukrytych drzwi, nie miałam pojęcia, gdzie to – ach, jakże pomocne – wejście miałyby się znajdować. Kopnęłam tablicę z „bebsi”. Pod nią nie było nic poza większą ilością piasku, którą nieszczelny zbiornik powoli zmieniał w muł swoim kap, kap, kap.

Nagle przyjrzałam się dokładniej mokremu miejscu na ziemi.

– Zaczekaj. – Uklęłam. Woda zbierała się w niewielkim rowku, jakby piasek przesączał się w jakąś podziemną szczelinę. Była ona długa na około metr i niewiele szersza od ołówka, ale zdecydowanie zbyt prosta jak na naturalną. Zaczęłam kopać w piasku. Sześć centymetrów niżej moje palce napotkały skałę.

– Pomóż mi to oczyścić – zwróciłam się do Walta.

Chwilę później odczyściliśmy płaski blok kamienny mniej więcej metr na metr. Spróbowałam wcisnąć palce pod mokre krawędzie, ale kamień był zbyt gruby i dużo za ciężki, żeby go podnieść.

– Potrzebujemy dźwigni – podpowiedział Walt. – Podważymy to.

– Albo... – odparłam – cofnij się.

Walt miał już protestować, ale kiedy wyciągnęłam laskę, mądrze zrobił, usuwając się z drogi. Z nowo nabytym zrozumieniem boskiej magii, nie musiałam *myśleć* o tym, co było mi potrzebne, ale raczej *wyczułam* połączenie z Izydą. Przypomniłam mi się ten czas, kiedy bogini znalazła trumnę swojego męża wrośniętą w pień cyprysu, a jej gniew i rozpacz roztrzaskały drzewo. Skupiłam te emocje i wskazałam na kamień: – *Hedzi!*

Dobra wiadomość: zaklęcie zadziało jeszcze lepiej niż w Petersburgu. Hieroglif zapłonął na czubku mojej laski i kamień rozpadł się na kawałki, ukazując poniżej ciemną dziurę.

Zła wiadomość: zniszczyłam nie tylko kamień. Wokół otworu ziemia zaczęła

się sypać. Oboje z Waltem cofnęliśmy się, kiedy kolejne kamienie poleciały do dziury, a ja uświadomiłam sobie, że zdestabilizowałam cały dach podziemnego pomieszczenia. Dziura rozszerzała się, aż sięgnęła podpór zbiornika z wodą. Konstrukcja podtrzymująca zbiornik zaczęła się chwiać i trzeszczeć.

– Uciekaj! – krzyknął Walt.

Nie zatrzymaliśmy się, dopóki nie ukryliśmy się za palmą jakieś trzydzieści metrów dalej. Zbiornik miał teraz ze sto przeciekających miejsc i chwiał się w przód i w tył niczym pijak, a następnie runął ku nam i roztrzaskał się, zalewając nas od stóp do głów i podlewając kolejne rzędy palm.

Huk był tak ogłuszający, że musiał być słyszalny w całej oazie.

– Ups – powiedziałam.

Walt spojrzał na mnie, jakbym była szalona. Podejrzewam, że byłam winna wszystkiego, o co mogłabym zostać oskarżona. Ale rozwalanie rzeczy jest niewiarygodną pokusą, nie?

Podbiegliśmy do krateru imienia Sadie Kane. Miał teraz rozmiar basenu olimpijskiego. Pięć metrów niżej, pod stertą piasku i kamieni, widać było rzędy mumii owiniętych w stare szmaty i ułożonych na kamiennych blokach. Obawiam się, że teraz były spłaszczone, ale widać było, że kiedyś pomalowano je na jaskrawe kolory: czerwień, błękit i złoto.

– Złote mumie. – Walt miał przerażoną minę. – Część grobów, która nie została jeszcze przebadana. Właśnie zniszczyłaś...

– Przecież powiedziałam „ups”. Pomóż mi zejść, zanim właściciel tego zbiornika pojawi się ze strzelbą.

16. ...ale mniejsze niż Rzymianie

Prawdę mówiąc, mumie w tym konkretnym pomieszczeniu były już wcześniej zniszczone przez wilgoć pochodzącą z przeciekającego zbiornika. Wystarczy dodać odrobinę wody do mumii, żeby otrzymać naprawdę nieznośny smród.

Wspięliśmy się po gruzowisku i zobaczyliśmy korytarz wiodący głębiej pod ziemię. Trudno było powiedzieć, czy był on naturalny, czy też wyrzeźbiony ręką ludzką, ale wił się przez dobre czterdzieści metrów przez skałę, zanim otworzył się na kolejną komorę grobową. To pomieszczenie nie było zniszczone przez wodę. Wszystko zachowało się nadzwyczaj dobrze. Walt wziął z sobą latarki i w przyćmionym świetle rozblęśły pomalowane na złoto mumie leżące na kamiennych płytach i w niszach rzeźbionych w skale. Było ich co najmniej sto w tym pomieszczeniu, a na wszystkie strony odchodziły z niego kolejne korytarze.

Walt rzucił snop światła na trzy mumie leżące obok siebie na centralnym podwyższeniu. Ich ciała były całkowicie owinięte bandażami, przypominały więc kręgle. Podobizny zmarłych wymalowano na lnie z niezwykłą precyzją: ręce skrzyżowane na piersiach, biżuterię ozdabiającą szyję, egipskie spódniczki i sandały, a także mnóstwo ochronnych hieroglifów i obrazy bogów w obramowaniach po obu stronach. Wszystko to było typową sztuką egipską, ale twarze oddano w zupełnie innym stylu – były to realistyczne portrety, wyglądające tak, jakby ktoś je nakleił na głowy mumii. Po lewej leżał mężczyzna o pociągłej brodatej twarzy i smutnym wyrazie ciemnych oczu. Po prawej – piękna kobieta z kręconymi kasztanowymi włosami. Naprawdę chwyciła mnie jednak za serce mumia pośrodku. Ciało miała maleńkie – z pewnością dziecka. Portret ukazywał chłopca w wieku mniej więcej siedmiu lat. Miał oczy tego mężczyzny po lewej i włosy jak ta kobieta obok.

– Rodzina – domyślił się Walt. – Pochowana razem.

Pod prawy łokieć dziecka wetknięto jakiś przedmiot – drewnianego konika, zapewne jego ulubioną zabawkę. Mimo że ta rodzina została pochowana kilka tysięcy lat temu, nie byłam w stanie powstrzymać łez. To było tak okropnie

smutne.

– Jak oni umarli? – zastanawiałam się.

Z korytarza przed nami dobiegł głos: – Zaraza.

Laska znalazła się natychmiast w mojej ręce. Walt skierował światło latarki na wejście i do pomieszczenia wkroczył duch. A przynajmniej wyglądał na ducha, ponieważ był przezroczystry. Był to krępy starszy mężczyzna o krótko obciętych białych włosach, szczękach buldoga i niezadowolonej minie. Był ubrany po rzymsku, ale miał oczy podkreślone kohlem. Przypominał w sumie Winstona Churchilla – gdyby stary premier urządził szaloną imprezę w togach i zrobił sobie makijaż.

– Nowo umarli? – Przyjrzał się nam uważnie. – Od dawna nie widziałem nowych przybyszów. Gdzie wasze ciała?

Walt i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Prawdę mówiąc – odparłam – mamy je na sobie.

Duch uniósł ze zdumieniem brwi.

– *Di immortales!* Jesteście żywi?

– Przynajmniej na razie – odparł Walt.

– A zatem przynieśliście ofiary? – Mężczyzna zatarł dłonie. – Och, *mówili*, że przyjdziecie, ale czekamy tu od wieków! Gdzie się podziewaliście?

– Hm... – Nie chciałam rozczarować ducha, zwłaszcza że zaczął mocniej świecić, co w magii jest często wstępem do wybuchu. – Może powinniśmy się przedstawić. Nazywam się Sadie Kane, a to jest Walt...

– Oczywiście! Potrzebujecie mojego imienia, żeby wypowiedzieć zaklęcia. – Duch odchrząknął. – Jestem Appius Claudius Iratus.

Odniosłam wrażenie, że miało mi to zaimponować.

– Aha. To nie egipskie imię, jak mniemam?

Duch wyglądał na urażonego.

– Rzymskie, oczywiście. Zacznijmy od tego, że to przez naśladowanie tych przeklętych egipskich zwyczajów wszyscy tu skończyliśmy! Nie dość, że zesłano mnie do tej zapomnianej przez bogów oazy – jakby Rzym potrzebował całego legionu do pilnowania farm daktylowych! Potem miałem pecha, że zachorowałem. Powiedziałem żonie na łożu śmierci: „Lobelio, chcę staroświeckiego rzymskiego pochówku. Żadnych miejscowych bzdur”. Ale nie! Ona nigdy nie słucha. *Musiła* mnie zmumifikować, w związku z czym moje ba utknęło tu na wieki. Kobiety! Pewnie wróciła do Rzymu i zmarła jak należy.

– Lobelia? – zapytałam, ponieważ niewiele poza tym do mnie dotarło. Co za

rodzice dają dziecku na imię Lobelia?

Duch prychnął i założył ręce na piersi.

– Nie chcecie słuchać mojej gadaniny, co? Możecie nazywać mnie Klaudiuszem Wściekłym. To tłumaczenie na wasz język.

Zastanawiałam się, jakim cudem rzymski duch mówi po angielsku – czy może ja rozumiem go dzięki jakiejś prostej telepatii. W każdym razie nie pocieszyła mnie informacja, że nazywał się Klaudiusz Wściekły.

– Eee... – Walt uniósł rękę. – Wściekły jak rozwścieczony? Czy wściekły jak pies?

– Tak – odparł Klaudiusz. – A co do tych ofiar? Widzę laski, różdżki i amulety, więc zakładam, że jesteście kapłanami z tutejszego Domu Życia? Doskonale. W takim razie będziecie wiedzieli, co robić.

– Co robić! – potaknęłam gorliwie. – Jasne!

Klaudiusz zmrużył oczy.

– Och, na Jowisza. Jesteście nowicjuszami, tak? Czy świątynia choćby *wyjaśniła* wam, w czym problem?

– Yyy...

Pognał ku rodzinie mumii, której się przyglądaliśmy.

– To są Lucjusz, Flavia i mały Purpens. Umarli w czasie zarazy. Jestem tu od tak dawna, że mógłbym wam opowiedzieć o *wszystkich!*

– Oni z tobą rozmawiają? – Odsunęłam się od z mumifikowanej rodziny. Nagle mały Purpens przestał wydawać mi się słodki.

Klaudiusz Wściekły machnął niecierpliwie ręką.

– Czasami rozmawiają. Nie tyle co dawniej. Ostatnio ich duchy przez większość czasu śpią. Chodzi o to, że niezależnie od tego, jak okropną śmiercią umarli, ich los *po śmierci* jest jeszcze gorszy! My wszyscy – wszyscy Rzymianie mieszkający w Egipcie – mieliśmy egipskie pochówki. Miejscowe obyczaje, miejscowi kapłani, mumifikowanie ciał na życie przyszłe, et cetera. Myśleliśmy, że to w naszym interesie – dwie religie, dwa ubezpieczenia. Problem w tym, że wasi głupi egipscy kapłani nie wiedzą już, co robią! Kiedy Rzymianie tu przybyli, większość waszej wiedzy magicznej została zapomniana. Ale czy nam o tym powiedzieliście? Nie! Z radością wzięliście nasze pieniądze i spartaczyliście robotę.

– Ach. – Odsunęłam się nieco od Klaudiusza Wściekłego, który świecił teraz bardzo niebezpiecznie. – No dobrze, jestem pewna, że Dom Życia ma jakąś infolinię dla załatwiania takich spraw...

– Nie możecie przerywać tych egipskich rytuałów w połowie – burknął Klaudiusz. – Mamy zmumifikowane ciała i wieczne dusze przywiązane do nich i nikt nic z tym nie zrobił! Nikt nie zmówił modlitw, które pomogłyby nam przenieść się do dalszego życia. Nikt nie złożył ofiar, żeby pożywić nasze ba. Wiecie, jaki jestem głodny?

– Mamy trochę mielonki – zaproponował Walt.

– Nie możemy zejść do królestwa Plutona jak porządni Rzymianie – kontynuował Klaudiusz Wściekły – ponieważ nasze ciała zostały przygotowane do innych zaświatów. Nie możemy wejść do Duat, ponieważ nie odprawiono właściwych egipskich rytuałów. Nasze dusze utknęły tutaj, przywiązane do tych ciał. Macie pojęcie, jak tu jest *nudno*?

– Jeśli zatem jesteś ba – spytałam – to czemu nie masz postaci ptaka?

– Przecież mówię! Jesteśmy pomieszani: ani czysto rzymskie duchy, ani porządne ba. Gdybym miał skrzydła, to wierz mi, odleciałbym stąd! Tak przy okazji, który mamy rok? Kto jest cesarzem?

– Och, nazywa się... – Walt odkaslnął, po czym zmienił temat: – Wiesz, Klaudiuszu, z pewnością możemy wam pomóc.

– Możemy? – wtrąciłam. – Och, jasne! Możemy!

Walt pokiwał zachęcająco głową.

– Chodzi o to, że musimy najpierw coś znaleźć.

– Zwój – wyjaśniłam. – Fragment Księgi Ra.

Klaudiusz podrapał się po potężnej zuchwie.

– I to pomoże wam odesłać nasze dusze w zaświaty?

– No... – odparłam.

– Tak – powiedział Walt.

– Być może – poprawiłam. – Nie dowiemy się, dopóki tego nie znajdziemy. Jego zadaniem jest obudzić Ra, co pomoże egipskim bogom. Myślę, że zwiększy też wasze szanse dostania się w zaświaty. A poza tym ja jestem w dobrych stosunkach z egipskimi bogami. Od czasu do czasu wpadają na herbatę. Jeśli nam pomożesz, mogę szepnąć słówko.

Szczerze mówiąc, gadałam bez ładu i składu. Pewnie was to zaskoczy, ale czasem robię się wymowna, kiedy się zdenerwuję. [Och, przestań się śmiać, Carter].

W każdym razie Klaudiusz Wściekły zrobił chytrzejszą minę. Przyglądał się nam, jakby oceniał nasze konta bankowe. Zastanawiałam się, czy w Imperium Rzymskim istnieli akwizytorzy rydwanów i czy Klaudiusz Wściekły nie był

przypadkiem jednym z nich. Wyobraziłam go sobie w rzymskiej reklamie w todze z taniej wełny: „Chyba zwariowałem, żeby sprzedawać rydwany w takiej cenie!”.

– W dobrych stosunkach z egipskimi bogami – zamyślił się. – Szepnąć słówko, mówisz.

Następnie zwrócił się do Walta. Mina Klaudiusza była tak wyrachowana, tak *głodna*, że poczułam gęsią skórę.

– Jeśli zwój, którego szukacie, jest starożytny, znajdziecie go w najstarszej części podziemi. Pochowano tam paru miejscowych, wiecie, na długo przed przybyciem Rzymian. Ich ba już dawno sobie poszły. *Oni* nie mają problemów z przedostaniem się do Duat. Ale ich miejsca pochówku są wciąż nietknięte, mnóstwo przedmiotów i tak dalej.

– Zechcesz nam pokazać? – spytał Walt ze znacznie większą ekscytacją, niż ja byłabym w stanie z siebie wykrzesać.

– Och, oczywiście. – Klaudiusz Wściekły wyszczerzył się do nas w profesjonalnym uśmiechu „sprzedawcy używanych rydwanów”. – A potem porozmawiamy o odpowiedniej zapłacie, co? Chodźcie, przyjaciele. To niedaleko.

Zapamiętać: Kiedy duch proponuje, że zaprowadzi cię w głąb cmentarza, a w jego imieniu występuje słowo „Wściekły”, lepiej odmówić.

Kiedy wędrowaliśmy przez korytarze i komory, Klaudiusz Wściekły na bieżąco informował nas o mijanych mumiach.

Kaligula, sprzedawca daktyli: – Okropne imię! Ale jak je dostajesz po cesarzu, nawet psychopacie, nie możesz wiele z tym zrobić. Umarł, założywszy się z kimś, że pocałuje skorpiona.

Varens, handlarz niewolników: – Obrzydliwy typ. Próbował sił w biznesie gladiatorskim. Jak się daje niewolnikowi miecz, to cóż... można się domyślić, jak umarł!

Oktawia, żona dowódcy legionu: – Całkiem zwariowała na punkcie miejscowych obyczajów! Kazała zmumifikować swojego kota. Wierzyła nawet, że w jej żyłach płynie krew faraonów, i usiłowała przywołać ducha Izydy. Zmarła, jak się nietrudno domyślić, bolesną śmiercią.

Uśmiechnął się do mnie promiennie, jakby to było wyjątkowo zabawne. Usiłowałam nie okazywać przerażenia.

Najbardziej zdumiewała mnie sama liczba i różnorodność mumii. Niektóre

były owinięte w prawdziwe złoto. Ich portrety były tak realistyczne, że zdawały się wodzić za mną oczami. Leżały na bogato rzeźbionych marmurowych stołach, otoczone cennymi przedmiotami: biżuterią, naczyniami, a nawet uszebti. Inne mumie wyglądały, jakby zrobiły je przedszkolaki na zajęciach z plastyki. Były jak owinięte, pomalowane w nieporadne hieroglify i patykowate figurki bogów. Ich portrety prezentowały się niewiele lepiej, niż gdybym to ja je malowała – czyli okropnie. Ich ciała były wepchnięte po trzy w płytkie nisze albo po prostu zrzucone na sterty w kątach pomieszczeń.

Kiedy o nie pytałam, Klaudiusz stawał się małomówny.

– Lud. Pozerzy. Nie mieli pieniędzy na malarzy i rytuały pogrzebowe, więc usiłowali sami sobie poradzić.

Spojrzałam na portret najbliższej mumii, której twarz była nabazgrana palcem. Zastanawiałam się, czy wymalowały ją pogrążone w żałobie dzieci – ostatni dar dla matki. Pomimo słabej wartości artystycznej uznałam ten portret za słodki. Nie mieli pieniędzy ani zdolności plastycznych, ale zrobili co w ich mocy, żeby z miłością wysłać ją w zaświaty. Jak znów się spotkam z Anubisem, muszę go o to zapytać. Taka kobieta zasługuje na szczęście w życiu przyszłym, nawet jeśli nie mogła zapłacić. Na tym świecie jest dość snobizmu, nie musimy go eksportować na tamten.

Walt wlekł się za nami bez słowa. Oświetlał latarką to tę mumię, to tamtą, jakby rozważając ich losy. Zastanawiałam się, czy myślał o Tutanchamonie, swoim słynnym przodku, którego grób znajdował się w grocie niewiele się różniącej od tej.

Po kilku kolejnych długich tunelach i pomieszczeniach pełnych mumii dotarliśmy do komory grobowej, która była wyraźnie starsza. Malowidła na ścianach wyblakły, ale wyglądały bardziej egipsko z maszerującymi bokiem ludźmi i hieroglifami, które rzeczywiście układały się w słowa, a nie były tam tylko dla ozdoby. Zamiast realistycznych portretów te mumie miały schematyczne uśmiechnięte twarze o wielkich oczach, które widywałam na większości egipskich sarkofagów. Niektóre rozsypały się w proch. Inne spoczywały w kamiennych sarkofagach.

– Miejscowi – potwierdził Klaudiusz Wściekły. – Egipczy możni sprzed podboju przez Rzym. To, czego szukacie, powinno być gdzieś tutaj.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Jedyne inne wejście niż to, przez które przeszliśmy, było zablokowane głazami i gruzem. Walt zaczął szukać, a ja przypomniałam sobie, co powiedział Bes – że dwa pierwsze zwoje Księgi

Ra powinny pomóc mi znaleźć trzeci. Wyjęłam je z torby w nadziei, że pokażą drogę jak wystawiający pies myśliwski, ale nic się nie wydarzyło.

– Co to jest? – zawołał z drugiego końca pomieszczenia Walt.

Stał przed czymś w rodzaju kapliczki – niszą wykutą w skale, w której znajdowała się figurka mężczyzny zawiniętego jak mumia. Statuetka była wyrzeźbiona z drewna i ozdobiona klejnotami oraz metalami szlachetnymi. Bandaże połyskiwały w świetle latarki niczym masa perłowa. Człowieczek trzymał w ręce złotą laskę ze srebrnym symbolem *dzed* na czubku. Wokół jego stóp stały złote gryzonie – zapewne szczury. Skóra jego twarzy była turkusowoniebieska.

– To mój tato – domyśliłam się. – Eee... to znaczy Ozyrys, prawda?

Klaudiusz Wściekły uniósł brwi.

– Twój tato?

Na szczęście Walt wybawił mnie od udzielania wyjaśnień.

– Nie – powiedział. – Spójrz na jego brodę.

Broda posążka była dość niezwykła. Cienka jak ołówek od baczków okalających żuchwę i z idealnie prostym kawałkiem tworzącym opadającą w dół bródkę – jakby ktoś rysował zarost kredką woskową, a następnie przykleił samą kredkę do podbródka.

– I pectorał – ciągnął Walt. – Ma pompon zwisający z tyłu. Tego nie ma u Ozyrysa. No i te zwierzątka u jego stóp... czy to szczury? Pamiętam jakąś opowieść o szczurach...

– Myślałem, że jesteście kapłanami – burknął Klaudiusz wściekły. – Przecież to bóg Ptah.

– Ptah? – Słyszałam już sporo dziwnie brzmiących imion egipskich bogów, ale to była nowość. – Ptah syn Ptaka? To bóg pitu-pitu?

Klaudiusz rzucił mi gniewne spojrzenie.

– Zawsze okazujesz taki brak szacunku?

– Zazwyczaj większy.

– Nie dość, że nowicjuszka, to jeszcze heretyk – powiedział. – Ale mam szczęście. Słuchaj, dziewczyno, nie powinienem ci robić wykładów o twoich bogach, ale o ile dobrze rozumiem, Ptah jest bogiem rzemieślników. Porównywaliśmy go z rzymskim Wulkanem.

– To co on robi w grobie? – spytał Walt.

Klaudiusz podrapał się po nieistniejącej głowie.

– Nigdy nie byłem pewny, tak po prawdzie. Nie widuje się go zazwyczaj

podczas egipskich ceremonii pogrzebowych.

Walt wskazał na laskę figurki. Kiedy się jej lepiej przyjrzałam, dostrzegłam, że symbol *dzed* połączony był z czymś jeszcze, zagiętym zakończeniem, które wyglądało dziwnie znajomo.



– To symbol *uas* – wyjaśnił Walt. – Oznacza boską władzę. Mnóstwo bogów ma takie berła, ale nigdy nie uświadamiałem sobie, że to wygląda jak...

– Tak, tak – powiedział z niecierpliwością Klaudiusz. – Ceremonialny nóż kapłanów do otwierania ust zmarłych. Prawdę mówiąc, wy egipscy kapłani jesteście beznadziejni. Nic dziwnego, że tak łatwo was podbiliśmy.

Moja ręka zadziałała jakby wiedziona własną wolą: sięgnęła do torby i wyciągnęła czarny nóż *neczeri*, który dostałam od Anubisa.

Oczy Klaudiusza Wściekłego rozbłysły.

– Och, jednak nie jesteś aż *tak* beznadziejna. Cudownie! Z tym nożem i właściwym zaklęciem powinnaś być zdolna dotknąć mojej mumii i odesłać mnie do Duat.

– Nie – odrzekłam – chodzi o coś więcej. Ten nóż, Księga Ra, posążek boga pitu-pitu. To wszystko tworzy pewną całość.

Twarz Walta się rozjaśniła.

– Sadie, Ptah był czymś więcej niż bogiem rzemieślników, prawda? Nie był też Bogiem Otwarcia?

– E... być może.

– Myślałem, że to ty nas tego uczyłaś. A może to był Carter.

– Nudne fakty? Pewnie Carter.

– Ale to ważne – upierał się Walt. – Ptah jest bogiem stwarzania. W niektórych legendach stworzył dusze ludzi, wymawiając słowo. On może ożywić każdą duszę i otworzyć każde drzwi.

Mój wzrok powędrował ku zawałonemu gruzem przejściu, jedynym innym drzwiom tego pomieszczenia.

– Otworzyć dowolne drzwi?

Uniosłam w górę dwa zwoje Księgi Ra i podeszłam do zawałonego tunelu. Zwoje rozgrzały się niebezpiecznie.

– Ostatni zwój jest po drugiej stronie – powiedziałam. – Musimy przedostać się za to rumowisko.

Trzymając czarny nóż w jednej ręce, a zwoje w drugiej, wymówiłam rozkaz Otwarcia. Nic się nie wydarzyło. Podeszłam z powrotem do posążka Ptaha i spróbowałam tego samego. Bez powodzenia.

– Hej, Ptah? – zawołałam. – Przepraszam za to pitu-pitu. Słuchaj, usiłujemy znaleźć trzeci zwój Księgi Ra, który jest tam, po drugiej stronie. Podejrzewam, że zostałeś tu ustawiony, żeby otworzyć drogę. Czy mógłbyś więc zadziałać?

Nadal nic.

Klaudiusz Wściekły miał w palcach rąbek swojej togi, jakby chciał nas nią udusić.

– Słuchaj, nie wiem, po co wam ten zwój, żeby nas uwolnić, skoro macie nóż. Ale może spróbujecie ofiary? Wszyscy bogowie potrzebują ofiar.

Walt zaczął przeglądać zapasy. Postawił sok i kawałek mielonki przed statuetką. Posążek ani drgnął. Nawet złote szczury u jego stóp najwyraźniej nie miały ochoty na naszą mielonkę.

– Piekielny pitu-pitu. – Usiadłam na zakurzonej podłodze. Po obu moich stronach leżały mumie, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie mogłam uwierzyć, że znaleźliśmy się tak blisko ostatniego zwoju i zatrzymała nas sterta kamieni – po walce z demonami, bogami i rosyjskimi zabójcami.

– Nie podoba mi się ta sugestia – odezwał się Walt – ale możesz się przez to przebić zaklęciem *hedzi*.

– I zawalić nam sklepienie na głowę? – odparłam.

– Umarlibyście – potaknął Klaudiusz. – A tego doświadczenia bym nie polecał.

Walt przyklęknął koło mnie.

– Musi coś być... – Wyciągnął swój zbiór amuletów.

Klaudiusz Wściekły przechadzał się po pomieszczeniu.

– Nadal nic nie rozumiem. Jesteście kapłanami. Macie ceremonialny nóż. Dlaczego nas nie wypuścicie?

– Ten nóż nie jest dla was! – burknęłam. – Jest dla Ra!

Walt i Klaudiusz wlepili we mnie wzrok. Nie zdawałam sobie z tego wcześniej sprawy, ale w chwili gdy wypowiedziałam te słowa, wiedziałam, że to prawda.

– Przepraszam – powiedziałam. – Ale tego noża używa się w Rytuale Otwarcia Ust, żeby wyzwolić duszę. Będę go potrzebować, żeby obudzić Ra.

Dlatego Anubis mi go dał.

– Znasz Anubisa! – Klaudiusz zaklaskał z radością. – On może wyzwolić nas wszystkich! A ty... – Wskazał na Walta. – Ty jesteś jednym z wybranych Anubisa, nieprawdaż? Możesz nam dać więcej noży, jeśli byś potrzebował! Wyczułem wokół ciebie obecność boga, gdy tylko się spotkaliśmy. Czy wstąpiłeś na służbę u niego, kiedy on się zorientował, że umierasz?

– Czekaj... co? – zapytałam.

Walt nie patrzył mi w oczy.

– Nie jestem kapłanem Anubisa.

– Ale *umierasz*? – Zakrzusiłam się. – Jak to umierasz?

Klaudiusz patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? Na nim ciąży stara faraonańska klątwa. Nie widywało się tego wiele w moich czasach, ale rozpoznaję ją bez trudu. Czasami jakiś człowiek z jednego ze starych królewskich rodów egipskich...

– Zamknij się, Klaudiusz – przerwałam mu. – Walt, mów. Jak działa ta klątwa?

W przyciemnionym świetle wyglądał na chudsze i starsze. Na ścianie za nim jego cień unosił się niczym zdeformowany potwór.

– Klątwa Echnatona żyje w mojej rodzinie – powiedział. – To coś w rodzaju choroby genetycznej. Nie pojawia się w każdym pokoleniu, nie u każdego, ale kiedy uderza, jest źle. Tut zmarł, mając dziewiętnaście lat. Większość pozostałych... dwanaście, trzynaście. Ja mam teraz szesnaście. Mój tato... mój tato miał osiemnaście lat. Nigdy go nie poznałem.

– Osiemnaście? – To prowokowało kolejne pytania, ale wolałam skupić się na tym, co najważniejsze. – Nie da się tego wyleczyć...? – Ogarnęło mnie poczucie winy. Ależ byłam kretynką. – O bogowie. To o tym rozmawiałeś z Jaz. Ona jest uzdrowicielką.

Walt potaknął ponuro.

– Myślałem, że ona zna zaklęcia, których ja nie byłem w stanie wymyślić. Rodzina taty... poświęcili lata na poszukiwania. Mama szukała lekarstwa, odkąd się urodziłem. Lekarze w Seattle nie mogli pomóc.

– Lekarze – Klaudiusz Wściekły skrzywił się z niesmakiem. – Miałem jednego w legionie, uwielbiał przystawiać mi pijawki do nóg. Tylko mi się od tego pogarszało. A co do tego związku z Anubisem i użycia noża...

Walt pokręcił głową.

– Spróbujemy ci pomóc, Klaudiuszu, ale nie tym nożem. Znam się

na magicznych przedmiotach. Jestem absolutnie przekonany, że można go użyć tylko raz, a nie damy rady wykonać innego. Jeśli Sadie potrzebuje go dla Ra, nie zaryzykuję użycia go wcześniej.

– Wymówki! – wrzasnął Klaudiusz.

– Jeśli się nie zamkniesz – ostrzegłam – to znajdę twoją mumię i dorysuję ci wąsy.

Klaudiusz pobladł jak... no, jak duch.

– Nie odważysz się!

– Walt – powiedziałam, usiłując ignorować Rzymianina – czy Jaz mogła jakoś pomóc?

– Próbowала wszystkiego. Ale ta klątwa opiera się uzdrowicielom od trzech tysięcy lat. Współcześni lekarze twierdzą, że to coś podobnego do anemii sierpowatej, ale nie są pewni. Od dziesięcioleci usiłują wymyślić, na co zmarł Tutanchamon, ale nie są zgodni. Jedni mówią trucizna. Inni – choroba genetyczna. A to klątwa, tylko oczywiście oni nie mogą tego powiedzieć.

– I nie ma na to rady? Bo wiesz, my znamy *bogów*. Może byłabym w stanie cię uleczyć, tak jak Izyda uleczyła Ra. Gdybym znała twoje tajemne imię...

– Myślałem o tym, Sadie – powiedział. – Myślałem o wszystkim. Klątwy nie da się wyleczyć. Można ją tylko spowolnić, jeśli... jeśli unikam magii. Dlatego wziąłem się za talizmany i amulety. One magazynują magię, więc nie potrzebują brać jej wiele od użytkownika. Ale to tylko trochę pomaga. *Urodziłem się magiczny*, w związku z czym klątwa postępuje niezależnie od wszystkiego. Czasami nie jest bardzo źle. Ale czasami całe ciało mnie boli. A jak robię coś magicznego, tylko się pogarsza.

– A im więcej magii...

– Tym szybciej umrę.

Uderzyłam go w pierś. Nie mogłam się powstrzymać. Cały mój żal i poczucie winy przemieniły się w gniew.

– Ty idioto! Dlaczego w takim razie tu jesteś? Powinieneś kazać mi się wypchać! Bes ostrzegął, żebyś został w Brooklynie. Czemu go nie posłuchałeś?

Czy ja coś wcześniej mówiłam, że oczy Walta nie działają na mnie? Odwołuję. Kiedy spojrział na mnie w tym zakurzonym grobie, jego oczy były równie ciemne, łagodne i smutne jak Anubisa.

– Ja i tak umrę, Sadie. Chciałbym, żeby moje życie coś znaczyło. A poza tym... chcę spędzić jak najwięcej czasu z tobą.

To zabolalo bardziej niż uderzenie. Duzo bardziej. Chyba mogłabym

go pocałować. A może spoliczkować.

Klaudiusz Wściekły jednak nie był we współczującym nastroju.

– Bardzo to słodkie, ale obiecaliście zapłatę! Chodźmy z powrotem do rzymskich grobów. Uwolnijcie mojego ducha z mumii. A potem uwolnijcie pozostałych. Potem możecie robić, co chcecie.

– Pozostałych? – zapytałam. – Czyś ty się wściekł?

Wbił we mnie wzrok.

– Głupie pytanie – przyznałam. – Ale tam są tysiące mumii. A my mamy tylko jeden nóż.

– Obiecaliście!

– Nie – odparłam. – Powiedziałeś, że porozmawiamy o zapłacie *potem*, kiedy już znajdziemy zwój. Znaleźliśmy tu tylko ślepy zaułek.

Duch zawył bardziej jak wilk niż jak człowiek.

– Jeśli nie przyjdziecie do nas – oznajmił – my przyjdziemy do was.

Widmo zajaśniało, po czym znikło w jednym rozbłysku.

Spojrzałam nerwowo na Walta.

– Co on miał na myśli?

– Nie wiem – odparł. – Ale musimy wymyślić, jak przedostać się przez to gruzowisko i wynieść się stąd... i to szybko.

Pomimo wszelkich starań nic nie działo się szybko. Nie byliśmy w stanie ruszyć osypiska. Było tam zbyt wiele dużych głazów. Nie można było przekopać się dookoła, nad ani pod nim. Nie śmiałam zaryzykować zaklęcia *hedzi* ani użyć magii czarnego noża. Walt nie miał amuletów, które byłyby pomocne. Całkowicie zabrakło mi pomysłów. Posąg Ptaha uśmiechał się do nas, ale nie proponował żadnych rozwiązań ani też nie zainteresował się naszą mielonką i sokiem.

W końcu, pokryta kurzem, zлана potem, opadłam na kamienny sarkofag, oglądając pęcherze na palcach.

Walt usiadł koło mnie.

– Nie poddawaj się. Musi być jakiś sposób.

– Tak sądzisz? – spytałam, czując wyjątkową złość. – Tak samo jak lekarstwo dla ciebie? A jeśli *nie ma*? Jeśli... – Głos mi się załamał. Walt odwrócił głowę, tak że jego twarz skryła się w mroku.

– Przepraszam – powiedziałam. – To było okropne. Ale ja po prostu nie mogę wytrzymać...

Byłam tak oszołomiona, że nie wiedziałam ani co powiedzieć, ani co czuję. Wiedziałam tylko, że nie chcę stracić Walta.

– To była prawda? – spytałam. – Kiedy powiedziałeś, że chcesz spędzić czas... no wiesz.

Walt wzruszył ramionami.

– Czy to nie oczywiste?

Nie odpowiedziałam, ale proszę... z chłopakami *nic* nie jest oczywiste. Jak na tak proste istoty potrafią bardzo zaskakiwać.

Podejrzewam, że rumieniłam się jak wściekła, postanowiłam więc zmienić temat.

– Klaudiusz powiedział, że wyczuł wokół ciebie ducha Anubisa. Dużo z nim rozmawiałeś?

Walt obracał swoje pierścienie.

– Myślałem, że on potrafi mi pomóc. Może dać mi trochę dodatkowego czasu, zanim... zanim przyjdzie koniec. Chciałem być z wami na tyle długo, żeby pomóc wam pokonać Apopisa. Wtedy miałbym poczucie, że zrobiłem coś z moim życiem. No i... chciałem z nim też pogadać o innych sprawach. O pewnych... pewnych mocach, które rozwinąłem.

– Jakich mocach?

Tym razem Walt zmienił temat. Spojrzał na swoje ręce, jakby stały się groźną bronią.

– Chodzi o to, że mało brakowało, a nie przyjechałbym do Brooklynu. Kiedy dostałem amulet *dzed* – to wezwanie, które wysłaliście – mama nie chciała, żebym wyjeżdżał. Wiedziała, że nauka magii przyspieszy działanie klątwy. Częstka mnie bała się jechać. Częstka była zła. Wydawało mi się to okrutnym żartem. Proponowaliście naukę magii, a ja wiedziałem, że nie pożyję dłużej niż rok albo dwa.

– Rok albo dwa? – Ledwie mogłam oddychać. Rok wydawał mi się zawsze bardzo długim czasem. Czekałam całą *wieczność*, żeby skończyć trzynaście lat. A każdy semestr w szkole ciągnął się w nieskończoność. A tu nagle dwa lata wydały się zbyt krótkie. Będę miała zaledwie piętnaście lat, jeszcze nie zrobię prawa jazdy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak by to było wiedzieć, że umrę za dwa lata – może nawet szybciej, jeśli nie przestanę robić tego, do czego jestem stworzona, czyli uprawiać magii.

– Dlaczego w takim razie przyjechałeś?

– Musiałem – odparł Walt. – Przeżyłem całe życie w cieniu śmierci. Mama

wszystko traktowała tak poważnie, robiła *wielkie* problemy. A kiedy przyjechałem do Brooklynu, poczułem się, jakbym miał cel, przeznaczenie. Nawet to, że klątwa stała się bardziej bolesna, było tego warte.

– Ale to koszmarnie niesprawiedliwe.

Walt spojrział na mnie i uświadomiłam sobie, że się uśmiecha.

– To *moja śpiewka*. To ja tak mówiłem przez lata. Sadie, ja *chcę* zostać tutaj. Przez ostatnie dwa miesiące po raz pierwszy czułem, że żyję. A od kiedy cię znam... – Odchrząknął. Był całkiem atrakcyjny, kiedy się denerwował. – Zacząłem się przejmować drobiazgami. Włosami. Ubraniem. Myciem zębów. Wiesz, *umieram*, a przejmuję się myciem zębów.

– Masz super zęby.

Roześmiał się.

– To właśnie mam na myśli. Drobne komentarze w tym rodzaju i od razu czuję się lepiej. Wszystkie te drobiazgi nagle stają się ważne. Nie czuję, że umieram. Jestem szczęśliwy.

Ja tam czułam się bardzo nieszczęśliwie. Od miesiący marzyłam o tym, żeby Walt powiedział, że mu się podobam, ale nie tak – „Mogę być z tobą uczciwy, ponieważ i tak umieram”.

Poza tym coś, co powiedział, nie dawało mi spokoju. Przypomniało mi o jednej mojej lekcji w Domu Brooklyńskim i nagle w mojej głowie zaczął się formować pewien pomysł.

– „Drobiazgi nagle stają się ważne” – powtórzyłam. Spojrzałam na niewielką stertę gruzu, którą wydobyliśmy spod zablokowanego przejścia. – Och, to nie może być aż tak proste.

– Co? – spytał Walt.

– Kamienie.

– Ja obnażyłem przed tobą moją duszę, a ty myślisz o kamieniach?

– Drzwi – powiedziałam. – Magia sympatyczna. Czy sądzisz...

Zamrugął powiekami.

– Sadie Kane, jesteś geniuszem.

– *To wiem*. Ale damy radę to zrobić?

Zaczęliśmy zbierać kolejne kamyki. Odłupaliśmy kawałki z większych głazów i dodaliśmy je do naszej sterty. Staraliśmy się stworzyć jak najwierniejszą kopię gruzowiska blokującego przejście.

Miałam oczywiście nadzieję stworzyć połączenie tak jak między Carterem a woskową figurką w Aleksandrii. Kamienie na naszej stercie-kopii pochodziły

z zawałonego korytarza, a zatem nasza sterta i oryginał były już połączone, co powinno ułatwić sprawę. Ale poruszanie czegoś dużego czymś małym zawsze jest niebezpieczne. Musieliśmy to zrobić ostrożnie, żeby nie zawalić całego pomieszczenia. Nie wiedziałam, jak głęboko pod ziemią byliśmy, ale wyobrażałam sobie, że nad naszymi głowami jest dostatecznie dużo skały i gruzu, żeby pogrzebać nas na wieki.

– Gotowy? – spytałam.

Walt potaknął i wyciągnął różdżkę.

– O nie, przeklęty chłopcze – powiedziałam. – Ty tylko mnie ubezpieczaj. Jeśli sufit zacznie się walić i będzie nam potrzebna tarcza, to twoje zadanie. Ale żadnej magii, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Ja oczyszczę przejście.

– Sadie, ja nie jestem ze szkła – powiedział. – Nie potrzebuję opieki.

– Bzdury – odparłam. – To męska paplanina, a wszyscy chłopcy potrzebują, żeby im matkować.

– Że co? Bogowie, ale ty jesteś wkurzająca!

Uśmiechnęłam się słodko.

– Sam chciałeś spędzać ze mną czas.

Zanim zdążył zaprotestować, uniosłam różdżkę i zaczęłam recytować zaklęcie.

Wyobraziłam sobie połączenie między naszą niewielką stertą kamieni a gruzowiskiem w korytarzu. Wyobraziłam sobie, że w Duat są one jednym i tym samym. Wypowiedziałam rozkaz „połącz”: – *Chenem*.



Symbol zapłonął słabo na naszej małej stercie.

Powoli i ostrożnie zaczęłam wyjmować kolejne kamyki. Gruzowisko w korytarzu zagrzmiało.

– Działa – powiedział Walt.

Nie śmiałam tam spojrzeć. Skupiałam się na moim zadaniu – poruszaniu kamyków po trochu, rozkładając stertę na mniejsze kopczyki. Było to niemal równie trudne jak poruszanie prawdziwych głazów. Wpadłam w trans. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło do chwili, kiedy Walt położył mi dłoń na ramieniu. Z wyczerpania robiło mi się ciemno przed oczami.

– Gotowe – powiedział. – Świetnie się spisałaś.

Przejście było wolne. Kamienie przeniosły się w kąty naszego pomieszczenia, gdzie leżały w niewielkich stertach.

– Świetna robota, Sadie. – Walt nachylił się i pocałował mnie. Zapewne był to tylko wyraz uznania i radości, ale ten pocałunek nie rozjaśnił mojego umysłu.

– Yyy... – powiedziałam. Znow włączyły mi się szczególnie zdolności werbalne.

Walt pomógł mi wstać. Ruszyliśmy korytarzem ku następnej komorze. Zważywszy na to, z jakim wysiłkiem udało nam się do niego dostać, nie było to imponujące pomieszczenie: komnata wielkości pięciu metrów kwadratowych, w której znajdowało się jedynie czerwone lakierowane pudzderko ustawione na postumencie z piaskowca. Na wieczku była rzeźbiona rączka w kształcie demonicznego psa z wysokimi uszami – zwierzęcia Seta.

– Och, to nie wróży nic dobrego – powiedział Walt.

Ja jednak podeszłam prosto do pudełka, otwierałam wieczko i wyjęłam leżący w środku zwój.

– Sadie! – krzyknął Walt.

– Co? – Odwróciłam się. – To pudełko Seta. Gdyby chciał mnie zabić, zrobiłby to w Petersburgu. On *chce*, żebym wzięła ten zwój. Zapewne uważa, że będzie fajnie się przyglądać, kiedy zabiję się, budząc Ra. – Podniosłam wzrok ku sklepieniu i krzyknęłam: – Zgadza się, Secie?

Mój głos odbił się echem po katakumbach. Nie miałam już władzy wzywać tajemnego imienia Seta, ale wciąż czułam, że zwróciłam jego uwagę. Powietrze zrobiło się zimniejsze. Ziemia zadrżała, jakby pod nią śmiało się coś ogromnego.

Walt odetchnął głęboko.

– Lepiej nie rób takich rzeczy.

– To mówi chłopak, który gotów jest umrzeć, byle spędzać ze mną czas?

Walt skłonił się z przesadną elegancją.

– Odwołuję moje słowa, panno Kane. Proszę, śmiało, próbuj się dalej zabić.

– Dzięki.

Spojrzałam na trzy zwoje trzymane w rękach – cała Księga Ra, połączona po raz pierwszy zapewne od czasów, kiedy Klaudiusz Wściekły nosił małe rzymskie pieluszki. Zebrałam zwoje, dokonałam niemożliwego, odniosłam niespodziewany triumf. A jednak to wszystko nie wystarczy, dopóki nie odnajdziemy Ra i nie przebudzimy go, zanim Apopis powstanie.

– Nie mamy czasu do stracenia – powiedziałam. – Zbierajmy...

Po korytarzach przetoczył się głuchy jęk, jakby coś – albo całe *stado* cosiów – obudziło się w bardzo złym humorze.

– ...się stąd – powiedział Walt. – Dobry pomysł. Kiedy przebiegaliśmy przez sąsiednią komorę, zerknęłam na posążek Ptaha. Kusilo mnie, żeby zabrać mielonkę i sok, po prostu na złość, ale powstrzymałam się.

To pewnie nie twoja wina – pomyślałam. – *Niełatwo jest żyć z imieniem Ptah. Smacznego, choć fajnie by było, gdybyś nam pomógł.*

Biegliśmy dalej. Trudno było przypomnieć sobie drogę. Dwa razy wracaliśmy się, zanim znaleźliśmy pomieszczenie z rodziną mumii, w którym spotkaliśmy Klaudiusza Wściekłego.

Miałam już przebiec na oślep przez komorę ku ostatniemu tunelowi, ale Walt powstrzymał mnie, ratując mi w ten sposób życie. Poświecił latarką w przejście po drugiej stronie, a następnie w korytarze po prawej i lewej.

– Nie – powiedziałam. – Nie, nie, nie.

Wszystkie trzy przejścia blokowały ludzkie postacie owinięte w bandaż. Cisnęły się tłumnie na całej widocznej długości korytarzy. Niektóre były wciąż całkowicie zawinięte. Podskakiwały, szurały nogami i chwiejnie posuwały się do przodu jak ogromne kokony biorące udział w wyścigu w workach. Inne mumie częściowo się uwolniły. Podrygiwały na wynędzniałych nogach, a ręce przypominające wyschnięte gałęzie chwytaly bandaż. Większość wciąż miała na twarzach malowane portrety, więc efekt był dość makabryczny: realistyczne maski żywych, uśmiechniętych pogodnie ludzi na nieumarłych strachach na wróble z kości i barwionego lnu.

– Nienawidzę mumii – jęknęłam.

– Może jakieś zaklęcie ognia – podsunął Walt. – Powinni być dość łatwopalni.

– Sami się podpalimy! Za blisko.

– Masz lepszy pomysł?

Miałam ochotę się rozpłakać. Wolność była tak blisko – ale tak jak się obawiałam, zaskoczył nas tłum mumii. Te na dodatek były gorsze od filmowych. Były milczące i powolne, żalosne szczątki, które niegdyś były ludźmi.

Jedna z tych leżących na ziemi chwyciła mnie za nogę. Zanim zdążyłam krzyknąć, Walt wyciągnął rękę i uderzył mumię w nadgarstek. Mumia natychmiast rozsypała się w proch.

Wpatrywałam się w niego ze zdumieniem.

– *To jest ta nowa moc, która cię tak niepokoi? To jest wspaniałe! Zrób*

to jeszcze raz!

Natychmiast pożałowałam tej propozycji. Twarz Walta wykrzywił ból.

– Nie dam rady zrobić tego tysiąc razy – odparł ze smutkiem. – Może gdyby...

Nagle na centralnym podwyższeniu zaczęła się poruszać zmumifikowana rodzina. Nie będę kłamać. Kiedy mała mumia małego Purpensa usiadła, omal nie przydarzył mi się wypadek, który byłby zabójczy dla moich nowych dzinsów. Gdyby ba mogło wyskoczyć z mojej skóry i odlecieć, na pewno by to zrobiło.

Chwyciłam Walta za rękę.

Po drugiej stronie komory zamigotał duch Klaudiusza Wściekłego. Kiedy ruszył w naszą stronę, wśród mumii zapanowało podniecenie.

– Powinniście czuć się zaszczytzeni, przyjaciele. – Uśmiechnął się do nas wariacko. – Powrót ba do starego, zwietrzałego ciała wymaga niezłej zachęty. Ale nie możemy po prostu pozwolić wam odejść, dopóki nie wypuścicie nas w zaświaty. Użyjcie noża, odmówcie zaklęcia, a będziecie mogli odejść.

– Nie możemy was wszystkich uwolnić! – krzyknęłam.

– Co za szkoda – powiedział Klaudiusz. – W takim razie zabiorę wam nóż i sami się uwolnimy. Myślę, że dwa dodatkowe ciała w tych katakumbach nie zrobią wielkiej różnicy.

Powiedział coś po łacinie i wszystkie mumie ruszyły ku nam, szurając i potykając się, upadając i turlając się po kamieniach. Niektóre rozpadały się na kawałki, usiłując iść. Inne padały na ziemię, a towarzysze je rozdeptywali. Ale kolejne wciąż nadciągały.

Cofaliśmy się w korytarz. W jednej ręce trzymałam laskę. Drugą mocno ścisnęłam dłoń Walta. Nigdy nie szło mi dobrze z zaklęciami ognia, ale udało mi się zapalić czubek laski.

– Spróbujemy twojego sposobu – powiedziałam do Walta. – Podpalę ich i uciekamy.

Wiedziałam, że to zły pomysł. Z tak bliska płomień zrobi nam tyle samo krzywdy co mumiom. Umrzemy, wdychając dym, z braku tlenu lub z gorąca. Nawet jeśli uda nam się wycofać do katakumb, zgubimy się i wpadniemy na następne mumie.

Walt zapalił swoją laskę.

– Na trzy – powiedziałam. Wpatrywałam się z przerażeniem w zbliżającą się do nas mumię dziecka; portrecik siedmioletniego chłopca uśmiechał się do mnie zza grobu. – Raz, dwa...

Zawahałam się. Mumie były raptem metr od nas, ale za plecami usłyszałam nowy dźwięk – jakby płynącej wody. Nie – jak małych nówek. Biegła ku nam wielka masa żywych stworzeń, tysiące za tysiącami maleńkich pazurków na kamieniu, zapewne owady albo...

– Teraz powinno być trzy – powiedział nerwowo Walt. – Palimy ich czy nie?

– Pod ścianę! – wrzasnęłam. Nie wiedziałam, co konkretnie się zbliżało, ale byłam pewna, że nie mam ochoty stanąć temu na drodze. Popchnęłam Walta na ścianę i przycisnęłam się do kamienia tuż koło niego. Z twarzami przyciśniętymi do skały poczuliśmy, jak wpada na nas fala pazurów i futra – przetoczyła się po nas armia gryzoni, biegnących w pięciu warstwach na podłodze i po ścianach, całkowicie nie przejmując się grawitacją.

Szczury. Tysiące szczurów.

Przebiegły nad nami, nie robiąc nam krzywdy, jeśli nie liczyć drobnych zadrapań. Nie tak źle, możecie pomyśleć, ale czy tratowała was kiedykolwiek armia brudnych szczurów? Nie polecam.

Szczury załazy komory grobowe. Dopadły mumie, gryząc i szarpiąc, i popiskując swoje cienkie okrzyki bitewne. Mumie wiły się pod tym atakiem, ale nie miały szans. Sala zmieniła się w huragan futra, zębów i lnianych strzępków. Jak w tych starych kreskówkach, kiedy termyty dobierają się do drewna i po chwili nic nie zostaje.

– Nie! – krzyknął Klaudiusz Wściekły. – Nie!

Ale tylko on krzyczał. Mumie wiły się w milczeniu pod nawałą szczurów.

– Dopadnę was! – ryknął, kiedy jego duch zaczął migotać. – Zemszczę się!

Widmo rzuciło nam ostatnie złe spojrzenie, pobladło i znikło.

Szczury rozdzieliły się i pobiegły wszystkimi trzema korytarzami, wgryzając się po drodze w mumie, a chwilę później komora była pusta i cicha, podłoga zaślana kurzem, kawałkami lnu i kilkoma kośćmi.

Walt był wstrząśnięty. Oparłam się o niego i przytuliłam go. Chyba płakałam z ulgi. Tak bardzo się cieszyłam, że mogę się przytulić do ciepłego, żywego człowieka.

– Wszystko w porządku. – Pogłaskał mnie po włosach, co było wspaniałym uczuciem. – To... to była ta opowieść o szczurach.

– Co? – wydusiłam z siebie.

– One... uratowały Memfis. Wróg oblegał miasto, a ludzie modlili się o pomoc. Ich boski patron wysłał stado szczurów. Zjadły cięciwy nieprzyjacielskich łuków oraz sandały wrogów, wszystko, co były w stanie

pogryźć. Najeźdźcy musieli się wycofać.

– Ich boski patron... czyli...

– Ja. – W korytarzu po drugiej stronie pomieszczenia pojawił się egipski wieśniak. Miał na sobie proste ubranie, głowę owiniętą kawałkiem materiału, na stopach sandały. W ręce trzymał strzelbę. Uśmiechnął się do nas, a kiedy podszedł bliżej, zobaczyłam, że ma całkiem białe oczy. Jego skóra miała błękitnawy odcień, jakby się dusił, ale sprawiało mu to przyjemność.

– Przepraszam, że nie odpowiedziałem wcześniej – powiedział wieśniak. – Jestem Ptaħ. I nie, Sadie Kane, nie jestem bogiem pitu-pitu.

– Usiądźcie, proszę – powiedział bóg. – Wybaczcie bałagan, ale czego się spodziewać po Rzymianach? Nigdy po sobie nie sprzątaj.

Żadne z nas nie usiadło. Uśmiechnięty bóg ze strzelbą nieco nas onieśmielał.

– Ach, oczywiście. – Ptaħ zamrugnął białymi oczami. – Spieszycie się.

– Przepraszam – odezwałam się. – Czy jesteś hodowcą daktyli?

Ptaħ spojrział na swoje proste odzienie.

– Tylko pożyczyłem tego nieszczęśnika na chwilę, rozumiesz. Pomyślałem, że nie będziecie mieli nic przeciwko, skoro on i tak się tu wybierał, żeby was zastrzelić za zniszczenie jego zbiornika z wodą.

– Nie, jasne – odparłam. – Ale te mumie... co się stało z ich ba?

Ptaħ roześmiał się.

– Nie martw się o nie. Teraz, kiedy ich szczątki zostały zniszczone, ich ba zapewne odejdą w takie rzymskie zaświaty, jakie ich oczekują. Tak jak powinno być.

Zakrył usta dłonią i wydał zduszony dźwięk. Uniosła się chmurka białej pary, zbierając się w połyskujące ba, i odleciała korytarzem.

Walt wskazał na widmowego ptaka.

– Czy ty właśnie...

– Owszem. – Ptaħ westchnął. – Naprawdę staram się jak najmniej mówić. Tak stwarzam rzeczy, za pomocą słów, wiesz? Czasem przysparza mi to kłopotów. Kiedyś dla zabawy wymyśliłem słowo „dziobak” i... – Natychmiast pojawiło się przed nami na podłodze puchate stworzenie z kaczym dziobem, biegając w kółko w panice.

– Ojej – powiedział Ptaħ. – Tak, dokładnie to się stało. Potknięcie językowe. W sumie jedyny sposób na stworzenie czegoś takiego.

Machnął ręką i dziobak zniknął.

– W każdym razie muszę być ostrożny, więc nie będę długo gadał. Cieszę się, że znaleźliście Księgę Ra! Zawsze lubiłem starszka. Byłbym pomógł wcześniej, kiedy prosiłaś, ale zajęło mi chwilę dotarcie tu z Duat. A poza tym mogę otworzyć jedne drzwi dla jednego proszącego. Uznałem, że z tym zablokowanym korytarzem sobie poradzicie. Są natomiast znacznie ważniejsze drzwi, które się wam przydadzą.

– Że co? – spytałam.

– Twój brat – powiedział Ptah – ma spore kłopoty.

Jakkolwiek byłam wyczerpana, brudna i podrapana przez szczury, ta wiadomość mnie ożywiła. Carter potrzebował pomocy. Musiałam uratować głupią skórę mojego brata.

– Możesz nas tam wysłać? – spytałam.

Ptah uśmiechnął się.

– Myślałem, że już nie zapytasz.

Wskazał na najbliższą ścianę. Kamienie rozsypały się w portal z wirującego piasku.

– I, moja droga, trzy słowa rady. – Mleczne oczy Ptaha przyglądały mi się uważnie. – Odwaga. Nadzieja. Poświęcenie.

Nie byłam pewna, czy on czytał te cechy we mnie, czy też chciał mnie zmotywować, a może tworzył cechy, które będą mi potrzebne, tak jak stworzył dziobaka. Jakkolwiek było, poczułam nagle wypełniające mnie ciepło, przypływ nowej energii.

– Zaczynasz rozumieć – powiedział mi. – Słowa są źródłem mocy. A imiona to coś więcej niż zbiór liter. Dobra robota, Sadie. Może ci się jeszcze powiedzie.

Wpatrywałam się w piaskowy lej.

– Co mnie czeka po drugiej stronie?

– Wrogowie i przyjaciele – odparł Ptah. – Ale nie potrafię powiedzieć, kto jest kim. Jeśli przeżyjesz, wejdź na szczyt Wielkiej Piramidy. To powinno być dobre miejsce na wejście do Duat. Kiedy będziesz czytać Księgę Ra...

Zakaszła, zgiął się wpół i upuścił strzelbę.

– Muszę już iść – powiedział, prostując się z wielkim wysiłkiem. – To ciało nie wytrzyma dłużej. Ale, Walt... – Uśmiechnął się smutno. – Dziękuję za mielonkę i sok. Istnieje dla ciebie odpowiedź. Nie spodoba ci się, ale stanowi najlepsze wyjście.

– O czym mówisz? – spytał Walt. – Jaka odpowiedź?

Wieśniak zamrugnął oczami. Nagle znów wyglądały normalnie. Spojrzał

na nas zaskoczony, krzyknął coś po arabsku i podniósł strzelbę.
Chwyciłam Walta za rękę i razem wskoczyliśmy w portal.

17. Mienszykow wynajmuje radosny szwadron śmierci

Chyba jesteście kwita, Sadie. Najpierw Walt i ja ruszyliśmy ci na pomoc, kiedy byłeś w Londynie, a potem ty i Walt ratowaliście mnie. Jedynym, który miał dyżur za każdym razem, był Walt. Ciągaliśmy biedaka po całym świecie, żeby wykaraskać się z tarapatów. Ale przyznaję: potrzebowałem pomocy.

Bes był zamknięty w połyskującej fluorescencyjnej klatce. Ziya – przekonana, że jesteście wrogami. Zgubiłem miecz i różdżkę. Trzymałem w rękach insygnia Ra, które najwyraźniej były ukradzione, a dwaj najpotężniejsi magowie świata, Michel Desjardins i Wład Parownik, zamierzali mnie aresztować, postawić przed sądem i wykonać wyrok – i to niekoniecznie w takiej kolejności.

Cofnąłem się ku schodom grobu Ziyi, ale nie miałem dokąd iść dalej. Czerwony muł ciągnął się we wszystkich kierunkach, upstrzony resztkami domów i martwymi rybami. Nie mogłem uciekać ani się schować, co pozostawiało mi dwie opcje: poddać się lub walczyć.

Pokryte bliznami oczy Mienszykowa rozblęły.

– Ależ stawiaj opór, Kane. Jeśli posłużysz się zabójczą bronią, to *bardzo* ułatwi mi zadanie.

– Przestań, Władimirze – odezwał się zmęczonym głosem Desjardins, opierając się na lasce. – Nie bądź głupcem, Carter. Poddaj się.

Trzy miesiące temu najwyższy lektor z radością rozdarłby mnie na strzępy. Teraz był smutny i zmęczony, jakby moja egzekucja była przykrym obowiązkiem. Ziya stała koło niego. Zerknęła niepewnie na Mienszykowa, jakby wyczuwała w nim jakieś zło.

Gdybym był w stanie to wykorzystać, może zyskać nieco na czasie...

– Jaki jest twój plan, Wład? – zapytałem. – Zbyt łatwo udało nam się uciec z Petersburga. Prawie jakbyś chciał, żebyśmy obudzili Ra.

Rosjanin roześmiał się.

– I dlatego gonię was przez pół świata, żeby was powstrzymać?

Starł się przybrać pogardliwą minę, ale w kącikach jego ust drgał uśmiech, jakby ta wymiana zdań była żartem zrozumiałym tylko dla nas.

– Nie starasz się mnie powstrzymać – oznajmiłem. – Liczysz na to, że znajdziemy za ciebie zwoje i złożymy je. Czy Ra musi się przebudzić, żeby Apopis mógł się uwolnić?

– Dość, Carter. – Desjardins mówił monotonnym głosem, jak chory, który odlicza do tyłu, czekając, aż zacznie działać narkoza. Nie rozumiałem, dlaczego wydawał się tak apatyczny, ale Mienszykow wściekał się za nich obu. Sądząc po nienawiści, jaka zapłonęła w jego oczach, najwyraźniej trafiłem w czuły punkt.

– O to chodzi, co? – powiedziałem. – Maat i chaos są połączone. Aby uwolnić Apopisa, musisz obudzić Ra, ale chcesz mieć to przyzwanie pod kontrolą, mieć pewność, że Ra powróci stary i słaby.

Nowa dębowa laska Mienszykowa wybuchnęła zielonym płomieniem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, chłopcze.

– Set chciał ci dopiec, wypominając jakiś dawny błąd – przypomniało mi się. – Ty już kiedyś próbowałeś przebudzić Ra, zgadza się? Jak chciałeś to zrobić – tym jednym kawałkiem zwoju, który miałaś? To wtedy spaliłeś sobie twarz?

– Carter! – przerwał mi Desjardins. – Wład Mienszykow jest bohaterem Domu Życia. Usiłował zniszczyć ten zwój, żeby nikt nie mógł się nim posłużyć. W taki sposób został okaleczony.

Przez chwilę byłem zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć.

– To... nie może być prawda.

– Nie odrobiłeś lekcji, chłopcze. – Mienszykow wbił we mnie wzrok. – Mienszykowowie pochodzą od kapłanów Amona-Ra. Słyszałeś o tej świątyni?

Usiłowałem sobie przypomnieć opowieści taty. Wiedziałem, że Amon-Ra to inne imię Ra, słonecznego boga. A jego świątynia...

– Oni właściwie rządili Egiptem przez stulecia – przypomniało mi się. – Byli przeciw Echnatonowi, kiedy wygnał starych bogów, może nawet go zamordowali.

– Zgadza się – potaknął Mienszykow. – Moi przodkowie byli rycerzami bogów! To oni stworzyli Księgę Ra i ukryli jej trzy części, w nadziei, że pewnego dnia właściwy mag obudzi ich boga.

Usiłowałem poukładać to sobie w myślach. Nie miałem problemu z wyobrażeniem sobie Włada Mienszykowa jako starożytnego, żadnego krwi kapłana.

– Ale skoro pochodzisz od kapłanów Ra...

– To czemu przeciwstawiam się bogom? – Mienszykow zerknął na najwyższego lektora, jakbym właśnie palnął jakąś piramidalną bzdurę. – Ponieważ to bogowie zniszczyli naszą cywilizację! Kiedy Egipt upadł, a pan Iskandar zakazał ścieżek bogów, nawet moja rodzina sobie to uświadomiła. Stare zwyczaje muszą być zakazane. Owszem, chciałem zniszczyć zwój, żeby zadośćuczynić za błędy przodków. Tych, którzy przyzywają bogów, należy wyplenić.

Pokręciłem głową.

– Widziałem, jak przyzywałeś Seta. Słyszałem rozmowę o uwolnieniu Apopisa. Desjardins, Ziya... ten facet kłamie. Zabije was oboje.

Desjardins spoglądał na mnie jakby przez sen. Amos upierał się, że najwyższy lektor jest bystry, dlaczego więc nie rozumiał zagrożenia?

– Dość tego – powiedział Desjardins. – Nie stawiaj oporu, Carterze Kane, inaczej cię zniszczę.

Rzuciłem Ziyi jeszcze jedno błagalne spojrzenie. Dostrzegłem w jej oczach powątpiewanie, ale nie miała jak mi pomóc. Właśnie przebudziła się z trwającego trzy miesiące koszmaru. Pragnęła wierzyć, że Dom Życia jest nadal jej domem, a Desjardins i Mienszykow to pozytywni bohaterowie. Nie chciała słyszeć o Apopisie.

Uniosłem laskę i bicz.

– Nie poddam się bez walki.

Mienszykow skinął głową.

– A więc zniszczenie.

Wymierzył we mnie laskę, a ja zareagowałem instynktownie. Uderzyłem w niego berłem w kształcie laski pasterskiej.

Byłem zbyt daleko, żeby go dosięgnąć, ale jakaś niewidzialna siła wyrwała kij z ręki Mienszykova i rzuciła go do Nilu. Wyciągnął różdżkę, ale ja znów ciąłem powietrze i Mienszykow poleciał do tyłu. Wylądował na plecach z impetem, rozpryskując błoto na wszystkie strony.

– Carter! – Desjardins popchnął Ziyę za siebie. Jego laska zapłonęła fioletowym światłem. – Jak śmiałeś użyć broni Ra?

Spojrzałem z niedowierzaniem na swoje ręce. Nigdy nie czułem takiej mocy przychodzącej tak łatwo – jakbym to ja miał być królem. W tle moich myśli słyszałem ponagląący głos Horusa: *To twoja ścieżka. To twoje dziedzictwo.*

– I tak mnie zabijecie – powiedziałem Desjardinsowi.

Moje ciało zaczęło świecić. Uniosłem się nad ziemię. Po raz pierwszy od Nowego Roku znalazłem się we wnętrzu awatara sokolego boga – wojownika o głowie sokoła, trzy razy większego ode mnie. W rękach trzymał ogromne holograficzne kopie laski i bicz. Nie zwróciłem wcześniej uwagi na bicz, a była to paskudna broń – drewniany uchwyt z trzema kolczastymi łańcuchami, na których końcu znajdowały się nabijane ćwiekami metalowe gwiazdki. Wyglądało to jak skrzyżowanie bicz z tłuczkiem do kotletów. Zamachnąłem się ku ziemi, a sokoli wojownik odzwierciedlił moje ruchy. Jaśniejący bicz roztrzaskał w pył kamienne stopnie grobowca Ziyi, wyrzucając w powietrze bloki wapienia.

Desjardins uniósł tarczę, żeby odbić odłamki. Ziya zrobiła wielkie oczy. Wiedziałem, że ją przerażam i utwierdzam w przekonaniu, że jestem zły, ale musiałem ją chronić. Nie mogłem pozwolić, żeby Mienszykow zabrał ją z sobą.

– Magia bitewna – powiedział Desjardins pogardliwie. – Tym był Dom Życia, kiedy kroczył ścieżką bogów, Carterze Kane: magowie walczący z magami, potyczki i zdradzieckie ciosy pomiędzy świątyniami. Chcesz, żeby te czasy wróciły?

– Nie musi tak być – odparłem. – Nie chcę walczyć z tobą, Desjardins, ale Mienszykow jest zdrajcą. Uciekaj stąd. Daj mi się z nim policzyć.

Mienszykow podniósł się z błota uśmiechnięty, jakby lubił być rzucony na ziemię.

– Policzyć się ze mną? Cóż za buta! Ależ, najwyższy lektorze, pozwól chłopcu na to. Pozbieram resztki, kiedy już z nim skończę.

– Władimirze, nie. To nie twoje zadanie... – zaczął Desjardins.

Ale Mienszykow nie czekał. Tupnął nogą w ziemię i błoto wokół niego zaschło i pobieleało. Dwie linie twardniejącej ziemi popęły ku mnie, krzyżując się niczym helisa DNA. Nie byłem pewny, co zamierzają, ale wiedziałem, że nie mogę pozwolić, żeby mnie dotknęły. Uderzyłem w nie biczem, wyrrywając kawałek mułu, który wystarczyłby chyba na błotną łaźnię. Jasne linie zmierzały jednak nadal w moim kierunku, wybielając dno wyrwy, wspinając się po drugiej stronie i pędząc wprost na mnie. Usiłowałem umknąć im z drogi, ale awatar wojownika nie jest zbyt szybki.

Magiczne linie dotarły do moich stóp. Wspięły się niczym pnącze na nogi awatara, obejmując mnie w pasie. Ścisnęły moją zbroję, wysysając ze mnie magię, a ja usłyszałem wdzierający się w moje myśli głos Mienszykowa.

~ Wąż ~ szepnął ten głos. ~ Jesteś pełzającym gadem.

Walczyłem z przerażeniem. Już kiedyś zostałem wbrew woli zamieniony w zwierzę i było to jedno z najgorszych doświadczeń w moim życiu. Tym razem wszystko działo się w zwolnionym tempie. Awatar bitewny usiłował zachować kształt, ale magia Mienszykowa była mocna. Połyskujące białe wici wznosiły się coraz wyżej, chwytając mnie za klatkę piersiową.

Zamachnąłem się laską na Mienszykowa. Niewidzialna siła ujęła go za kark i uniosła nad ziemię.

– Zrób to! – wycharczał. – Pokaż mi... twoją moc... bożku!

Uniosłem bicz. Jeden dobry zamach i rozwałę Włada Mienszykowa na miazgę.

– To nie ma znaczenia! – wydyszał, chwytając się za szyję. – Zakłęcie... pokona cię. Pokaż nam, że jesteś... mordercą, Kane!

Spojrzałem na przerażoną twarz Ziyi i zawahałem się o moment za długo. Białe wici oplątały moje ramiona. Awatar upadł na kolana, a ja wypuściłem Mienszykowa z uścisku.

Ból skręcał moje ciało. Krew zmieniła się w lód. Ciało awatara skurczyło się, a głowa sokoła powoli zmieniała się w łeb węża. Czułem, że tętno mi słabnie, przed oczami ciemnieje. W ustach czułem smak jadu.

– Przestań! – krzyknęła Ziya. – Wystarczy!

– Wręcz przeciwnie – odparł Mienszykow, rozcierając obolały kark. – On zasłużył na więcej. Najwyższy lektorze, widziałeś, że ten chłopak ci grozi. Pragnie objąć tron faraona. Musi zginąć.

Ziya chciała podbiec do mnie, ale Desjardins ją powstrzymał.

– Przerwij zakłęcie, Władimirze – powiedział. – Chłopaka można powstrzymać w bardziej ludzki sposób.

– Ludzki, mój panie? On ledwie jest człowiekiem!

Dwaj magowie wbili w siebie wzrok. Nie wiem, co by się stało – ale dokładnie w tej chwili pod klatką Besa otworzył się portal. Widziałem mnóstwo portali, ale żaden tak nie wyglądał. Wir otworzył się na poziomie gruntu, wsysając spory kawał czerwonego piasku, martwych ryb, starego drewna, odłamków ceramiki oraz świecąca fluorescencyjną klatkę z karłowatym bogiem. Gdy tylko klatka wpadła do leja, jej pręty rozpadły się w świetlne drzazgi. Bes ożył, na pół zasypany piaskiem, i wyrzucił z siebie stek barwnych przekleństw. W tej samej chwili z portalu wyskoczyli moja siostra i Walt, zawieszeni poziomo nad ziemią, jakby biegli w kierunku nieba. Kiedy grawitacja zwyciężyła, zamachali rękami i runęli na piasek. Byliby się zapadli, gdyby Bes nie chwycił ich obojga i nie

wyciągnął z wiru.

Bes rzucił ich na ziemię. Następnie odwrócił się do Włada Mienszykowa, zaparł się nogami w ziemię i zdarł z siebie hawajską koszulę oraz szorty, jakby były z bibuły. W jego oczach płonął gniew. Na kąpielówkach miał naszywkę „Karły górą”, ale takich szczegółów wolałbym nie widzieć.

Mienszykow zdążył powiedzieć tylko: – Jak...

– BUUU! – ryknął Bes.

Odgłos przypominał wybuch bomby wodorowej – a może raczej odorowej. Ziemia się zatrzęsała. Rzeka zafalowała. Mój awatar się rozpadł, a zakłęcie Mienszykowa rozplynęło się razem z nim: posmak jadu w ustach ustąpił, ciśnienie zmalało i mogłem znów normalnie oddychać. Sadie i Walt leżeli na ziemi. Ziya cofnęła się szybko, ale Mienszykow i Desjardins oberwali sporą dawkę *ohydy*.

Na ich twarzach pojawiło się zdumienie, po czym rozplynęli się w powietrzu.

Po chwili oszołomienia Ziya krzyknęła: – Zabiłeś ich!

– Nieee. – Bes otrzepał ręce. – Tylko wystraszyłem ich z powrotem do domu. Może będą nieprzytomni przez kilka godzin, kiedy ich mózgi będą przetwarzać moją wspaniałą fizys, ale przeżyją. Ważniejsze jest to... – Zerknął z ukosa na Sadie i Walta. – Mielicie czelność zakotwiczyć portal na *mnie*? Czy ja wyglądam jak zabytek?

Sadie i Walt rozsądnie pominęli ostatnie pytanie milczeniem. Wstali i otrząsnęli się z piasku.

– To nie był nasz pomysł! – zaprotestowała Sadie. – Ptaħ wysłał nas na pomoc.

– Ptaħ? – powtórzyłem. – Bóg Ptaħ?

– Nie, Ptaħ z farmy daktyli. Później ci opowiem.

– Co się stało z twoimi włosami? – spytałem. – Wyglądają jak wylizane przez wielbłąda.

– Zamknij się. – Nagle zauważyła Ziyę. – Bogowie, to ona? Prawdziwa Ziya?

Ziya zrobiła niepewny krok do tyłu, usiłując uruchomić laskę.

– Odsuń się!

Ogień zamigotał słabo.

– Nie zrobimy ci krzywdy – zapewniła ją Sadie.

Nogi pod Ziyą drżały. Ręce jej się trzęsły. Następnie zachowała się zupełnie logicznie jak na kogoś, kto przeżył taki dzień po trzymiesięcznej śpiączce. Oczy

wywróciły jej się białkami do góry i Ziya zemdlała.

Bes odchrząknął.

– Silna dziewczyna. Wytrzymała pełne frontalne BUUU! Dobra... zabierzmy ją stąd i znikajmy. Desjardins jeszcze wróci.

– Sadie – powiedziałem. – Znalazłaś zwój?

Wyciągnęła z torby trzy kawałki zwoju. Częściowo poczułem ulgę. Po części – przerażenie.

– Musimy się dostać na Wielką Piramidę – oznajmiła. – Powiedz, proszę, że masz samochód.

Mieliśmy nie tylko samochód, ale do tego całą grupę Beduinów. Zwróciliśmy im auto sporo po zmroku, ale oni tylko ucieszyli się na nasz widok, mimo że przyprowadziliśmy trzy dodatkowe osoby, w tym jedną nieprzytomną. Besowi jakoś udało się ich namówić, żeby zawieźli nas do Kairu. Po kilku minutach rozmowy w ich namiocie wychynął stamtąd w nowym ubraniu. Beduini również wyszli, rozdzierając na kawałki resztki jego hawajskiej koszuli, a następnie starannie obwiązując nimi jako talizmanami ramiona, antenę radiową i wsteczne lustro.

Stłoczyliśmy się na naczepie. Było zbyt tłoczno i głośno, żeby rozmawiać po drodze do Kairu. Bes kazał nam się przespać, podczas gdy on będzie czuwał. Obiecał, że będzie miły dla Ziyi, jeśli ona się obudzi.

Sadie i Walt natychmiast zasnęli, ale ja wpatrywałem się przez chwilę w gwiazdy. Byłem boleśnie świadomy tego, że Ziya – prawdziwa Ziya – spała niespokojnym snem tuż koło mnie, a w mojej torbie spoczywała magiczna broń Ra: zakrzywiona laska pasterska i bicz. Cały wciąż buzowałem po bitwie. Zaklęcie Mienszykowa zostało złamane, ale ja nadal słyszałem w głowie jego głos, usiłujący zamienić mnie w zimnokrwistego gada – podobnego do siebie.

W końcu udało mi się zmrużyć oczy. Bez magicznych zabezpieczeń moje ba uleciało, kiedy tylko zasnąłem.

Znalazłem się w Sali Wieków, przed tronem faraona. Pomiedzy kolumnami połyskiwały holograficzne obrazy. Zgodnie z tym, co powiedziała Sadie, skraj magicznej zasłony zmieniał barwę z czerwonej na ciemnofioletową – wskazując początek nowej ery. Fioletowe obrazy były trudno rozpoznawalne, ale dostrzegłem dwie postacie mocujące się przed płonącym krzesłem.

– Tak – odezwał się głos Horusa. – Zbliży się bitwa.

Pojawił się w fali światła, stając na stopniach podwyższenia, gdzie zazwyczaj

siedział najwyższy lektor. Miał ludzką postać: muskularnego młodzieńca o brązowej skórze i ogolonej głowie. Na jego skórzanej zbroi połyskiwały klejnoty, a u boku miał swój *chepesz*. Jego oczy błyszczały – jedno złotem, drugie srebrem.

– Jak się tu dostałeś? – spytałem. – To miejsce jest chyba chronione przed bogami?

– Nie ma mnie tutaj, Carterze. To ty tu jesteś. Ale kiedyś byliśmy jednym. Jestem echem w twoim umyśle – częścią Horusa, która nigdy cię nie opuściła.

– Nie rozumiem.

– Posłuchaj. Sytuacja się zmieniła. Stoisz u progu wielkości.

Wskazał na moją pierś. Uzmysłowiłem sobie, że nie jestem w zwykłym kształcie ba. Nie byłem ptakiem, ale człowiekiem, ubranym jak Horus w egipską zbroję. W rękach trzymałem laskę pasterską i bicz.

– To nie moje – powiedziałem. – Były pochowane z Ziyą.

– Mogą być twoje – odparł Horus. – To symbole władzy faraona – jak laska i różdżka, tyle że sto razy potężniejsze. Nawet bez ćwiczeń byłeś w stanie ukierunkować ich moc. Wyobraź sobie, co moglibyśmy zrobić razem. – Wskazał na pusty tron. – Możesz zjednoczyć Dom Życia jako jego przywódca. Możemy zmiażdżyć nieprzyjaciół.

Nie zaprzeczę: jakaś częśćka mnie czuła przyjemny dreszcz. Kilka miesięcy temu taki pomysł wystraszyłby mnie na śmierć. Teraz wszystko się zmieniło. Moje rozumienie magii dojrzało. Przez trzy miesiące uczyłem rekrutów i tworzyłem z nich zespół. Lepiej rozumiałem grożące nam niebezpieczeństwo, zaczynałem też chwytac, jak kontrolować moc Horusa, nie dając się opętać. Co jeśli Horus miał rację – jeżeli mogę poprowadzić bogów i magów przeciwko Apopisowi? Podobał mi się pomysł miażdżenia wrogów, odegrania się na siłach chaosu, które wywróciły nasze życie do góry nogami.

Nagle przypomniało mi się, jak popatrzyła na mnie Ziya, kiedy omal nie zabiłem Włada Mienszykowa – jakbym był potworem. Przypomniały mi się słowa Desjardinsa o dawnych czasach, kiedy magowie walczyli między sobą. Jeśli Horus był echem w moich myślach, to może znajdowałem się pod wpływem jego żądy władzy. Znałem go już dość dobrze. Pod różnymi względami był dobrym gościem – dzielny, honorowy, prawy. Ale był też ambitny, chciwy, zazdrosny i dość ograniczony, kiedy chodziło o jego cele. A jego największym marzeniem było władać bogami.

– Te insygnia należą do Ra – powiedziałem. – Musimy go obudzić.

Horus przechylił głowę.

– Mimo że pragnie tego Apopis? Mimo że Ra jest stary i słaby? Ostrzegałem go przed rozłamem wśród bogów. Widziałeś, jak Nechbet i Babi usiłowali wziąć sprawy w swoje ręce. Walka wybuchnie z jeszcze większą siłą. Chaos karmi się słabymi przywódcami, podzieloną lojalnością. Tego pragnie Wład Mienszykow.

Sala Wieków zadrżała. Wzdłuż obu ścian rozciągnęły się zasłony fioletowego światła. Kiedy holograficzna scena się rozszerzyła, dostrzegłem, że krzesło jest płomiennym tronem, podobnym do tego z wizji Sadie. Dwa cienie walczyły, mocując się jak zapaśnicy, ale nie wiedziałem, czy każdy z nich usiłuje wepchnąć tego drugiego na tron, czy też nie dopuścić go do krzesła.

– Czy Mienszykow naprawdę usiłował zniszczyć Księgę Ra? – spytałem.

Srebrne oko Horusa rozblęskło. Zawsze wydawało mi się nieco jaśniejsze niż to złote, co trochę zbijało mnie z tropu, jakby cały świat nachylał się w jedną stronę.

– Jak wszystko, co mówi Mienszykow, jest to po części prawda. On kiedyś wierzył w to co ty. Myślał, że zdoła sprowadzić Ra i przywrócić Maat. Widział siebie jako najwyższego kapłana we wspaniałej nowej świątyni, jeszcze potężniejszego od swoich przodków. W swojej dumie uważał, że zdoła odtworzyć Księgę Ra z jedyne go posiadanego zwoju. Mylił się. Ra bardzo się postarał, żeby nie dało się go zbudzić. Zaklęcia na zwoju wypaliły oczy Mienszykowa. Płomień słońca spalił jego gardło, ponieważ śmiał czytać słowa zaklęcia. Po tym wypadku Mienszykow zgorzkniał. Z początku planował zniszczenie Księgi Ra, ale brakowało mu mocy. Wtedy uknuł nowy plan. Postanowił obudzić Ra, ale z zemsty. Na to czekał przez te wszystkie lata. Dlatego chce, żebyście zebrali zwoje i odtworzyli Księgę Ra. Mienszykow chce, żeby Apopis połknął starego boga. Chce, żeby świat pogrążył się w ciemności i chaosie. Jest naprawdę obłąkany.

– Aha.

[Trafna odpowiedź, wiem. Ale co można odpowiedzieć w tej sytuacji?]

Na podwyższeniu obok Horusa pusty tron jakby falował w fioletowym świetle. To krzesło zawsze mnie onieśmiało. Dawno temu faraon był najpotężniejszym władcą na świecie. Panował nad imperium, które przetrwało dwadzieścia razy dłużej, niż istnieją Stany Zjednoczone. Jak mogłem być godny zasiadania na tym tronie?

– Możesz tego dokonać, Carterze – ponaglił Horus. – Możesz przejąć władzę. Po co ryzykować wezwanie Ra? Twoja siostra będzie musiała odczytać Księgę.

Widziałeś, co się stało z Mienszykowem, kiedy wystrzelił jeden zwój. Wyobrażasz sobie, co będzie, kiedy moc trzykrotnie większa uderzy w twoją siostrę?

Poczułem suchość w ustach. Już teraz niedobrze się stało, że pozwoliłem Sadie szukać ostatniego zwoju na własną rękę. Jak mogłem narażać ją na ryzyko okaleczeń takich jak u Włada Parownika albo jeszcze gorszych?

– Teraz znasz prawdę – powiedział Horus. – Uznaj te berła za swoje. Obejmij tron. Razem pokonamy Apopisa. Wrócimy do Brooklynu i obronimy twoich przyjaciół i twój dom.

Dom. To brzmiało kusząco. A nasi przyjaciele znajdowali się w strasznym niebezpieczeństwie. Widziałem na własne oczy, do czego zdolny jest Wład Mienszykow. Wyobraziłem sobie małego Feliksa albo lękliwą Cleo usiłujących walczyć z taką magią. Wyobraziłem sobie, jak Mienszykow zmienia naszych młodych uczniów w bezbronne węże. Nie byłem nawet pewny, czy Amos byłby w stanie się mu przeciwstawić. Z bronią Ra w ręce byłem w stanie obronić Dom Brooklyński.

Wtedy spojrzałem na fioletowe obrazy migające na ścianie – dwie postacie walczące przed tronem ognia. To była nasza przyszłość. Kluczem do sukcesu nie byłem ja ani nawet Horus – był nim Ra, pierwotny król egipskich bogów. Obok ognistego tronu Ra krzesło faraona wydawało się równie ważne jak plażowy leżak.

– My sami to za mało – odpowiedziałem Horusowi. – Potrzebujemy Ra.

Bóg utkwiał we mnie swoje złote i srebrne oko, jakbym był jego potencjalną ofiarą – małą kropeczką znajdującą się wiele metrów pod nim – a on zastanawiał się, czy warto po mnie nurkować.

– Nie rozumiesz zagrożenia – oświadczył w końcu. – Zostań tu, Carterze. I słuchaj, jak twoi wrogowie planują twoją śmierć.

Horus zniknął.

W mroku za tronem usłyszałem kroki, a następnie znajomy chrapliwy oddech. Miałem nadzieję, że moje ba jest niewidzialne. Władimir Mienszykow wszedł w krąg światła, niemalże dźwigając swojego szefa, Desjardinsa.

– Już prawie jesteś na miejscu, panie – powiedział.

Rosjanin wyglądał na wypoczętego i miał na sobie nowy biały garnitur. Jedynym śladem po naszej niedawnej walce był opatrunek na karku, w miejscu gdzie go uderzyłem. Desjardins natomiast wyglądał tak, jakby się postarzał o dziesięć lat w ciągu kilku godzin. Powłóczył nogami, wspierając się

na Mienszykowie. Twarz miał wymizerowaną, a włosy całkiem białe. Nie podejrzewałem, żeby to wszystko sprawił widok Besa w kąpielówkach.

Mienszykow usiłował posadzić go na tronie faraona, ale Desjardins zaprotestował.

– Nigdy, Władimirze. Na stopniach. Na stopniach.

– Ależ, w twoim stanie, lektorze...

– Nigdy! – Desjardins usadowił się na schodach u stóp tronu. Wyglądał fatalnie, aż nie wierzyłem własnym oczom.

– Maat słabnie. – Desjardins wyciągnął przed siebie rękę. Z koniuszków jego palców spłynęła chmurka hieroglifów i poszybowała w powietrzu. – Potęga Maat kiedyś podtrzymywała moje życie, Władimirze. A teraz jakby wysysała ze mnie siły życiowe. Tylko tyle mogę... – Jego głos ucichł.

– Nie lękaj się, panie – odparł Mienszykow. – Kiedy uporamy się z Kane’ami, wszystko będzie w porządku.

– Doprawdy? – Desjardins uniósł wzrok i przez chwilę jego oczy rozbłyły gniewem jak niegdyś. – Czy ty nigdy nie masz wątpliwości, Władimirze?

– Nie, panie – odparł Rosjanin. – Poświęciłem życie walce z bogami. Będę ją kontynuował. Jeśli mogę powiedzieć to otwarcie, najwyższy lektorze, nie powinieneś był dopuszczać do siebie Amosa Kane’a. Jego słowa to trucizna.

Desjardins złapał jeden z hieroglifów unoszących się w powietrzu i przez chwilę obserwował, jak znak obraca się w jego dłoni. Nie rozpoznałem jego znaczenia, ale przypominał mi światła na skrzyżowaniu ze stojącym obok człowieczkiem z patyków.



– *Menhedż* – powiedział Desjardins. – Paleta pisarza.

Patrzyłem na migoczący słabo symbol i dostrzegłem podobieństwo do przyborów do pisania znajdujących się w mojej torbie. Prostokąt to była paleta z miejscami na czarny i czerwony atrament. Postać z patyków stojąca z boku to rylec do pisania, przyczepiony sznurkiem.

– Tak, panie – potaknął Mienszykow. – Bardzo... interesujące.

– To był ulubiony znak mojego dziadka – zamyślił się Desjardins. – Jeana-

François Champolliona. To on złamał kod hieroglifów, posługując się kamieniem z Rosetty... jako pierwszy człowiek spoza Domu Życia.

– Oczywiście, panie. Znam tę opowieść. – „Słyszałem ją tysiąc razy”, mówiło jego spojrzenie.

– Był nikim, a stał się wielkim naukowcem – ciągnął Desjardins – cenionym zarówno przez śmiertelników, jak i magów.

Mienszykow uśmiechnął się, jakby cierpliwie znosił zachowanie niezdolnego dziecka.

– A teraz ty jesteś najwyższym lektorem. Byłby z ciebie dumny.

– Byłby? – zastanowił się Desjardins. – Kiedy Iskandar przyjął moją rodzinę do Domu Życia, powiedział, że przyjmuje nową krew i nowe pomysły. Miał nadzieję, że ożywimy Dom. A co do niego wnieśliśmy? Nic nie zmieniliśmy. Niczego nie zakwestionowaliśmy. Dom osłabł. Z każdym rokiem mamy mniej adeptów.

– Ach, panie. – Mienszykow wyszczerzył zęby. – Pozwól mi pokazać, że nie jesteśmy słabi. Twoje siły są gotowe do ataku.

Klasnął w dłonie. Na końcu sali otworzyły się wielkie drzwi. Z początku nie wierzyłem własnym oczom, ale kiedy mała armia ruszyła w naszą stronę, poczułem rosnący niepokój.

Tuzin magów stanowił najmniej przerażającą część grupy. Byli to głównie starsi ludzie w tradycyjnych lnianych szatach. Wielu miało oczy podkreślone kohlem i hieroglificzne tatuaże na dłoniach i twarzach. Niektórzy nosili więcej amuletów niż Walt. Mężczyźni mieli ogolone głowy, a kobiety krótkie włosy lub długie upięte w koński ogon. Wszyscy mieli posępne miny niczym tłum wieśniaków rzucających się, żeby spalić monstrum Frankensteina, tyle że zamiast wideł dzierżyli w rękach laski i różdżki. Niektórzy także miecze.

U ich boku maszerowały demony – w sumie około dwudziestu. Zdarzało mi się już walczyć z demonami, ale te były jakieś inne. Poruszały się z większą pewnością siebie, jakby miały jakiś wspólny cel. Emanowało z nich tak mocne zło, że moje ba czuło bijący od niego żar jak w solarium. Skórę miały we wszelkich kolorach od zieleni przez czerń aż po fiolet. Niektóre nosiły zbroje, inne zwierzęce skóry, a jeszcze inne flanelowe piżamy. Jeden miał zamiast głowy piłę łańcuchową. Inny gilotynę. Trzeciemu spomiędzy ramion wyrastała stopa.

Jeszcze bardziej przerażające od demonów były skrzydlate węże. Wiem, pomyślicie sobie: „Dość tych węży!”. Wiercie mi, po ukąszeniu przez *czesuheru* w Petersburgu ja też nie ucieszyłem się na ich widok. Te nie były trzygłowe

i nie były też większe od zwyczajnych gadów, ale sam ich widok przyprawiał mnie o dreszcze. Wyobraźcie sobie kobrę z orlimi skrzydłami. A teraz wyobraźcie sobie, że sunie ona w powietrzu, wydychając pióropusze płomieni niczym miotacz ognia. Z pół tuzina tych potworów unosiło się nad szwadronem bojowym, pikując raz po raz i zionąc ogniem. Cud, że żaden z magów nie został spalony.

Kiedy grupka się przybliżyła, Desjardins z trudem podniósł się na nogi. Magowie i demony przyklekli przed nim. Jeden ze skrzydlatych węży przeleciał tuż przed najwyższym lektorem, a Desjardins złapał go w locie z zaskakującą prędkością. Wąż wił się w jego uścisku, ale nie atakował.

– Ureusz? – spytał Desjardins. – To niebezpieczne, Władimirze. One są stworzeniami Ra.

Mienszykow przechylił głowę.

– Te węże służyły niegdyś w świątyni Amona-Ra, najwyższy lektorze, ale nie przejmuj się tym. Dzięki mojemu pochodzeniu potrafię je kontrolować. Uznałem za stosowne posłużyć się stworzeniami słonecznego boga, żeby zniszczyć tych, którzy chcą go przebudzić.

Desjardins wypuścił węża, który zionął ogniem i odleciał.

– A demony? – spytał Desjardins. – Odkąd to posługujemy się stworami chaosu?

– Są pod kontrolą, panie. – W głosie Mienszykowa słychać było napięcie, jakby nużyło go zadowalanie kaprysów szefa. – Ci magowie znają zaklęcia wiążące. Wybrałem ich osobiście ze wszystkich nomów świata. Są bardzo utalentowani.

Najwyższy lektor wbił wzrok w ubranego na niebiesko Azjatę.

– Kwai, zgadza się?

Mężczyzna potaknął.

– O ile sobie przypominam – powiedział Desjardins – zostałeś wygnany do trzechsetnego nomu w Korei Północnej za zamordowanie innego maga. A ty, Saro Jacobi – wskazał na kobietę w białej szacie i z krótkimi czarnymi włosami postawionymi na jeża – zostałeś zesłana na Antarktydę za wywołanie tsunami na Oceanie Indyjskim.

Mienszykow odchrząknął.

– Panie, wielu z tych magów ma plamy na życiorysie, ale...

– To bezwzględni mordercy i złodzieje – oznajmił Desjardins. – Najgorsze szumowiny Domu.

– Gotowi udowodnić lojalność – zapewnił go Mienszykow. – Zrobią to z radością!

Wyszczerył się do swoich sług, jakby zachęcając ich do przybrania radosnych min. Żaden nawet się nie uśmiechnął.

– Ponadto, panie – odezwał się szybko Mienszykow – jeśli pragniesz zagłady Domu Brooklyńskiego, musimy być bezlitośni. To dla dobra Maat.

Desjardins zmarszczył brwi.

– A co z tobą, Władimirze? Ty ich poprowadzisz?

– Nie, panie. Mam pełne zaufanie, że ta... wspaniała drużyna poradzi sobie sama z Brooklynem. Zaatakują o zachodzie słońca. Ja natomiast udam się za Kane'ami do Duat i rozprawię się z nimi osobiście. Ty, panie, powinieneś zostać tu i odpocząć. Wyślę do twoich komnat *patrzącego*, żebyś mógł przyglądać się naszym działaniom.

– „Zostać tu” – zacytował Desjardins z goryczą – „i przyglądać się”.

Mienszykow skłonił się.

– Ocalimy Dom Życia. Przysięgam. Ród Kane'ów zostanie zniszczony, bogowie ponownie wygnani. Maat się odrodzi.

Miałem nadzieję, że Desjardins odzyska rozum i odwoła atak. On jednak tylko opuścił ramiona. Odwrócił się od Mienszykova, wpatrując się w pusty tron faraona.

– Idź – powiedział zmęczonym głosem. – Zabierz te stwory sprzed moich oczu.

Mienszykow uśmiechnął się.

– Panie.

Odwrócił się i pomaszerował przez Salę Wieków, a jego osobista armia szła za nim.

Kiedy się oddalili, Desjardins uniósł rękę. Spod sufitu spłynęła kula światła i spoczęła na jego dłoni.

– Przynieś mi Księgę o Pokonaniu Apopisa – zwrócił się Desjardins do światelka. – Muszę do niej zajrzeć.

Magiczna kula jakby się ukloniła, po czym szybko odfrunęła.

Desjardins zwrócił się ku zasłonie światła – ku obrazowi dwóch postaci walczących przy ognistym tronie.

– Będę się przyglądał – mruknął pod nosem. – Ale nie zamierzam „zostać i odpoczywać”.

Scena przybladła, a moje ba wróciło do ciała.

18. Hazard w wigilię Dnia Ostatecznego

Drugi raz w tym tygodniu obudziłem się na kanapie w pokoju hotelowym, nie mając pojęcia, jak się tam dostałem.

Pokój w niczym nie przypominał elegancji Four Seasons w Aleksandrii. Ze ścian odłaził tynk. Odkryte belkowanie ugięło się pod sufitem. Na stoliku szumiał niewielki wiatraczek, ale powietrze było gorące jak w piecu. Przez otwarte okno wpadało popołudniowe światło. Zza okna dochodziły odgłosy klaksonów i okrzyki kupców zachwalających swoje towary po arabsku. Wiatr zalał spalinami, zwierzęcymi odchodami i jabłkową sziszą – słodko-owocowym zapachem dymu z fajki wodnej. Innymi słowy musiał to być Kair.

Przy oknie siedzieli Sadie, Bes, Walt i Ziya, grając w jakąś planszówkę jak starzy kumple. Była to tak dziwaczna scena, iż uznałem, że nadal śnię.

Nagle Sadie zauważyła, że się obudziłem.

– No, no. Jak następnym razem twoje ba wybierze się na objazdową wycieczkę, Carter, daj nam wcześniej znać. Wnoszenie cię na trzecie piętro nie jest zabawne.

Podrapałem się po obolałej głowie.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Dłużej niż ja – odparła Ziya.

Wyglądała niesamowicie – spokojna i wypoczęta. Świeżo umyte włosy założyła za uszy i miała na sobie nową białą koszulkę bez rękawów, pod którą jej brązowa skóra lśniła.

Chyba musiałem się na nią strasznie gapić, bo spuściła wzrok. Szyja jej poczerwieniała.

– Jest trzecia po południu – powiedziała. – Ja wstałam koło dziesiątej.

– Wyglądasz...

– Lepiej? – Uniosła brwi, jakby rzucała mi wyzwanie. – Straciłeś całą zabawę. Usiłowałam walczyć. A potem uciec. To nasz trzeci pokój hotelowy.

– Pierwszy spłonął – oznajmił Bes.

– Drugi wybuchł – dodał Walt.

– Już przeprosiłam. – Ziya zmarszczyła brwi. – W każdym razie twoja siostra w końcu mnie uspokoiła.

– Co zajęło nam kilka godzin – powiedziała Sadie – i wymagało zaangażowania wszystkich moich talentów dyplomatycznych.

– To ty masz jakieś? – spytałem.

Sadie przewróciła oczami.

– I tak byś nie zauważył, Carter!

– Twoja siostra jest całkiem bystra – powiedziała Ziya. – Przekonała mnie, żebym powstrzymała się z osądem waszych planów, aż się obudzisz i porozmawiamy. Sadie ma gadane.

– Dzięki – odparła Sadie, zadzierając nos.

Wpatrywałem się w nie obie i poczułem, że ogarnia mnie przerażenie.

– Wy się dogadujecie? Wy nie możecie się dogadywać! Ty i Sadie nie znosicie się nawzajem.

– To był uszebti, Carterze – odparła Ziya, choć jej szyja nadal była jaskrawoczerwona. – Uważam, że Sadie jest... wspaniała.

– Widzisz? – triumfowała Sadie. – Jestem wspaniała!

– To mi się śni. – Usiadłem i odrzuciłem pościel. Spojrzałem po sobie: byłem ubrany w pizamę w pokemony.

– Sadie – oznajmiłem – zabiję cię.

Zamrugła niewinnie powiekami.

– Ten sprzedawca na ulicy dał nam specjalną cenę. A Walt mówił, że będzie na ciebie pasowała.

Walt uniósł ręce.

– Nie miej do mnie pretensji, chłopie. Wstawiałem się za tobą.

Bes parsknął, po czym zaczął przedrzeźniać Walta: – „Przynajmniej weźcie największy rozmiar z Pikachu”. Carter, twoje rzeczy są w łazience. No, gramy w senet czy nie?

Powlokłem się do łazienki i z ulgą znalazłem tam nowe ubranie: czystą bieliznę, dzinsy i podkoszulek bez Pikachu. Prysznic wydawał dźwięki jak umierający słoń, ilekroć próbowałem go uruchomić, ale udało mi się nalać nieco śmierdzącej rdzą wody do umywalki i umyć się najlepiej jak się dało.

Kiedy wróciłem, nie czułem się jak nowo narodzony, ale przynajmniej nie cuchnąłem zdechłymi rybami i kozim mięsem.

Czwórka moich towarzyszy nadal grała w senet. Słyszałem o tej grze – ponoć najstarszej na świecie – ale nigdy jej nie widziałem na żywo. Plansza była

prostokątem z niebieskimi i białymi kwadratami ułożonymi w trzech rzędach po dziesięć pól. Pionkami były białe i niebieskie krążki. Zamiast kostek rzucało się czterema kawałkami kości słoniowej przypominającymi lizaki, które były czyste po jednej stronie, po drugiej zaś miały wypisane hieroglify.

– Myślałem, że zasady tej gry zaginęły – powiedziałem.

Bes uniósł brew.

– Może dla was, śmiertelnych. Bogowie nigdy nie zapomnieli.

– Są dość proste – dodała Sadie. – Trzeba wykonać „S” wokół planszy.

Pierwsza drużyna, która przeprowadzi wszystkie swoje pionki, wygrywa.

– Ha! – zakrzyknął Bes. – Chodzi o wiele więcej. Żeby zdobyć mistrzostwo, trzeba trenować latami.

– Doprawdy, karli boże? – Ziya rzuciła czterema patyczkami i wszystkie upadły podpisana stroną do góry. – Spróbuj tego!

Sadie i Ziya przybiły piątkę. Najwyraźniej grały w jednej drużynie. Sadie przesunęła niebieski pionek i wykopała biały z powrotem na start.

– Walt – burknął Bes – mówiłem, żebyś nie ruszał tego pionka!

– To nie moja wina!

Sadie uśmiechnęła się do mnie.

– Dziewczyny przeciwko chłopakom. Gramy o okulary Włada Mienszykowa.

Wzięła do ręki rozbite białe okulary, które Set podarował jej w Petersburgu.

– Świat się lada moment skończy – powiedziałem – a wy gracie o okulary?

– Ej, stary – odparł Walt. – Mamy podzielną uwagę. Przez jakieś sześć godzin gadaliśmy, ale musieliśmy poczekać, aż się obudzisz, żeby podjąć jakieś decyzje.

– A poza tym – dodała Sadie – Bes upiera się, że nie da się grać w senet bez zakładów. Zachwiałyby to posadami Maat.

– To prawda – potaknął karzeł. – Walt, rzucaj.

Walt rzucił patyczkami i wszystkie upadły pustą stroną do góry.

Bes zaklął.

– Potrzebujemy dwójki, żeby wydostać się z Domu Re-Atuma, dziecko. Przecież ci tłumaczyłem!

– Przepraszam!

Nie byłem pewny, co mam robić, więc przystawiłem sobie krzesło. Widok za oknem był ładniejszy, niż się spodziewałem. Jakiś kilometr od nas w popołudniowym słońcu czerwieniły się piramidy w Gizie. Musieliśmy

znajdować się na południowo-zachodnich obrzeżach miasta. Bywałem w tej okolicy wiele razy z tatą, po drodze na różne stanowiska archeologiczne, ale tak bliski widok piramid zawsze mnie dezorientował.

Do głowy cisnęło mi się milion pytań. Musiałem opowiedzieć przyjaciółom o wizji mojego ba. Zanim jednak zdobyłem się na odwagę, Sadie zaczęła długo i zawile wyjaśniać, co się działo, kiedy ja byłem nieprzytomny. Skupiała się głównie na tym, jak zabawnie wyglądałem we śnie, i o różnych pojękiwaniach, jakie wydawałem, kiedy wyciągali mnie z dwóch kolejnych płonących pokoi hotelowych. Opisała też pyszne świeże podpłomyki, falafle i pikantną wołowinę, które jedli na lunch („Och, przepraszam, nic ci nie zostawiliśmy”), oraz opowiedziała o wspaniałych okazjach, które trafiły im się na suku, czyli lokalnym targu.

– Byliście na zakupach? – spytałem.

– No pewnie – odparła. – I tak nie mogliśmy nic zrobić do zachodu słońca. Bes tak powiedział.

– O co chodzi?

Bes rzucił patyczkami i przeniósł jeden ze swoich pionków do domu.

– Równonoc, chłopcze. Jest już bardzo blisko – wszystkie portale świata będą zamknięte z wyjątkiem dwóch chwil: zachodu i wschodu słońca, kiedy panuje doskonała równowaga między dniem i nocą.

– Chodzi o to – powiedziała Sadie – że jeśli chcemy odnaleźć Ra, musimy podążać trasą jego podróży, co oznacza zejście do Duat o zachodzie słońca i wyjście stamtąd o wschodzie.

– Skąd to wiesz? – zapytałem.

Wyciągnęła z torby papyrus – zwój znacznie grubszy niż te, które znaleźliśmy. Jego krawędzie migotały jak ogień.

– Księga Ra – oznajmiła. – Złożyłam ją. Możesz mi podziękować.

Serce waliło mi jak oszałałe. Przypomniały mi się słowa Horusa o tym, że zwój spalił twarz Mienszykowa.

– To znaczy przeczytałaś go bez... bez kłopotów?

Wzruszyła ramionami.

– Tylko wstęp: ostrzeżenia, instrukcje, takie tam. Nie zamierzam czytać właściwego zaklęcia, dopóki nie odnajdziemy Ra, ale wiem, dokąd mamy się udać.

– Jeśli się na to zdecydujemy – powiedziałem.

To zwróciło uwagę wszystkich.

– Jeśli? – spytała Ziya. Była boleśnie blisko, ale zarazem czułem dystans, jaki między nami wytwarzała: odchylając się ode mnie, napinając ramiona, dając mi do zrozumienia, że mam uszanować jej osobistą przestrzeń. – Sadie mówiła, że jesteś zdecydowany.

– Byłem – odparłem – dopóki nie dowiedziałem się, co planuje Mienszykow.

Opowiedziałem im o mojej wizji – o armii Mienszykowa wybierającej się o zachodzie słońca do Brooklynu, o tym, że zamierza śledzić nas osobiście w Duat. Wyjaśniłem, co Horus powiedział mi o niebezpieczeństwach związanych z przebudzeniem Ra i o tym, że mogę użyć laski i bicia do walki z Apopisem.

– Przecież to są święte znaki Ra – zaprotestowała Ziya.

– Należą do każdego faraona, który jest dość silny, żeby je dzierżyć – odparłem. – Jeśli nie pomożemy Amosowi w Brooklynie...

– Twój stryj i wasi przyjaciele zostaną unicestwieni – dokończył Bes. – Z tego, co mówiłeś, Mienszykow stworzył wyjątkowo paskudną armijkę. Ureuse – płomienne węże – to bardzo zła wiadomość. Nawet gdyby Bastet zdołała przybyć na czas z pomocą...

– Musimy zawiadomić Amosa – powiedział Walt. – Przynajmniej go ostrzeżemy.

– Masz czarę do *patrzenia*? – spytałem.

– Mam coś lepszego. – Wyciągnął telefon komórkowy. – Co mam mu powiedzieć? Wracamy?

Zawahałem się. Jak mogłem zostawić Amosa i kolegów na pastwę straszliwej armii? Czułem pokusę wzięcia do ręki broni faraona i zmiażdżenia nieprzyjaciół. Głos Horusa wciąż pobrzmiwał w moich myślach, ponagłając mnie do działania.

– Nie możesz jechać do Brooklynu, Carter. – Ziya spojrzała mi w oczy, a ja uświadomiłem sobie, że nie pozbyła się strachu i paniki. Tłumiła te uczucia, ale one wciąż gotowały się pod powierzchnią. – To, co zobaczyłam w Czerwonych Piaskach... to mnie całkowicie przeraziło.

Poczułem się, jakby nadepnęła mi na serce.

– Słuchaj, bardzo mi przykro z powodu tego awatara, laski i bicia. Nie chciałem cię przestraszyć, ale...

– To nie ty mnie przestraszyłeś, Carter. To Wład Mienszykow.

– Och... no tak.

Ciężko westchnęła.

– Nigdy mu nie ufałam. Kiedy ukończyłam naukę jako adeptka, Mienszykow chciał mnie do swojego nomu. Na szczęście Iskandar mu odmówił.

– No więc... dlaczego mam nie jechać do Brooklynu?

Ziya wpatrywała się w planszę do senet, jakby była to mapa wojenna.

– Wydaje mi się, że mówisz prawdę. Mienszykow jest zdrajcą. Twoja wizja, o której opowiadałeś... Desjardins jest chyba pod wpływem złej magii. To nie chwiejąca się Maat wysysa z niego siły życiowe.

– To Mienszykow – oznajmiła Sadie.

– Tak mi się wydaje... – ciągnęła Ziya ochryłym głosem. – Wierzę też, że mój stary mentor, Iskandar, usiłował mnie ochronić, kiedy ukrył mnie w tym grobowcu. I nie przez przypadek pozwolił mi słyszeć we śnie głos Apopisa. To było ostrzeżenie – ostatnia lekcja. Ukrył laskę i bicz razem ze mną też nie bez powodu. Może wiedział, że mnie znajdziecie. W każdym razie musimy powstrzymać Mienszykova.

– Przecież właśnie powiedziałaś, że nie mogę jechać do Brooklynu – zaprotestowałam.

– Chodziło mi o to, że nie możesz zostawić swojej misji. Myślę, że Iskandar wszystko przewidział. Wierzył, że bogowie muszą się zjednoczyć z Domem Życia, a ja ufam jego osądowi. Musisz obudzić Ra.

Słyszając, jak mówi to Ziya, po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że nasza misja jest rzeczywista. I kluczowa. I bardzo, bardzo szalona. Ale poczułem również iskierkę nadziei. Chciałem wierzyć, że ona nie nienawidziła mnie całkowicie.

Sadie podniosła patyczki do senet.

– No, to ustalone. O zachodzie słońca otworzymy portal na Wielkiej Piramidzie. Udamy się starą trasą słonecznej barki po Rzece Nocy, odnajdziemy Ra, obudzimy go i wyprowadzimy na świat o świcie. A po drodze może znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będzie się dało coś zjeść, bo znów jestem głodna.

– To będzie niebezpieczne – powiedział Bes. – Nierozważne. Może śmiertelnie groźne.

– Czyli dla nas nic nowego – podsumowałam.

Walt zmarszczył brwi, nie wypuszczając z ręki telefonu.

– To co mam powiedzieć Amosowi? Ma sobie radzić sam?

– Niezupełnie – odparła Ziya. – Ja pojedę do Brooklynu.

Omal się nie udławiłem.

– Ty?

Ziya rzuciła mi gniewne spojrzenie.

– Jestem dobra w magii, Carter.

– Nie o to mi chodzi. Tylko...

– Chcę osobiście porozmawiać z Amosem – oznajmiła. – Kiedy pojawi się Dom Życia, może dam radę interweniować, zyskać na czasie. Mam niezłą pozycję wśród magów... w każdym razie miałam, kiedy żył Iskandar. Niektórzy może wysłuchają racjonalnych argumentów, zwłaszcza jak zabraknie Mienszykowa, żeby ich podjudzać.

Pomyślałem o tym gniewnym tłumie z mojej wizji. „Racjonalny” nie był przymiotnikiem, który przyszedłby mi do głowy w pierwszej kolejności.

Walt był chyba tego samego zdania.

– Jeśli teleportujesz się o zachodzie słońca – powiedział – przybędziesz w tym samym czasie co najeźdźcy. Będzie panował chaos, nie będzie czasu na rozmowy. I co jeśli będziesz musiała walczyć?

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – odparła.

Nie była to bardzo pocieszająca odpowiedź, ale Walt skinął głową.

– Pojadę z tobą.

Sadie upuściła patyczki do senet na podłogę.

– Że co? Walt, nie! W twoim stanie...

Zamknęła szybko usta, ale było już za późno.

– Jakim stanie? – spytałem.

Gdyby Walt miał przy sobie zakłęcie Złego Oka, to chybaby je rzucił na moją siostrę.

– Chodzi o historię rodzinną – odparł. – Coś, o czym opowiedziałem Sadie... *prosząc o dyskrecję.*

Nie był zachwycony, ale wyjaśnił dzieje klątwy swojej rodziny, linii Echnatona, i co to dla niego oznaczało.

Siedziałem bez ruchu, zszokowany. Tajemnicze zachowanie Walta, jego rozmowy z Jaz, jego zmienne nastroje – wszystko nabrało sensu. Moje własne problemy nagle zmaląły.

– O rany – wymamrotałem. – Walt...

– Słuchaj, Carter, cokolwiek chciałeś powiedzieć. Doceniam twoje uczucia. Ale współczucia mam dość. Żyję z tą chorobą od lat. Nie chcę, żeby ludzie się nade mną litowali albo traktowali mnie jak kogoś nadzwyczajnego. Chcę wam pomóc. Zabiorę Ziyę do Brooklynu. W ten sposób Amos będzie wiedział, że ona

przybywa jako przyjaciel. Postaramy się opóźnić atak, powstrzymać ich do świtu, żebyście mogli wrócić z Ra. A poza tym... – Wzruszył ramionami. – Jeśli wam się nie uda i nie powstrzymamy Apopisa, to i tak wszyscy jutro umrzemy.

– To się nazywa optymistyczne nastawienie – powiedziałem. Nagle coś przyszło mi do głowy: myśl tak paląca, że miałem wrażenie, jakby w głowie tykała mi bomba zegarowa. – Zaczekaj. Mienszykow powiedział, że pochodzi od kapłanów Amona-Ra.

Bes parsknął pogardliwie.

– Nienawidziłem tych koleśków. Byli strasznie pewni siebie. Ale co to ma do rzeczy?

– Czy to nie ci sami walczyli z Echnatonem i przekleli przodków Walta? – spytałam. – A jeśli Mienszykow zna tajemnicę kłątwy? Może mógłby uleczyć...

– Przestań. – Gniew na twarzy Walta zaskoczył mnie. Ręce mu się trzęsły. – Carter, ja się pogodziłem z moim losem. Nie zamierzam robić sobie nadziei. Mienszykow jest wrogiem. Nawet gdyby potrafił pomóc, nie zrobi tego. Jeśli wasze drogi się skrzyżują, nie idź na ugodę. Nie próbuj go przekonywać. Rób, co trzeba. Pokonaj go.

Zerknąłem na Sadie. Oczy jej płonęły, jakbym wreszcie zrobił coś dobrze.

– Okej, Walt – powiedziałem. – Nie będę już o tym wspominał.

Ale Sadie i ja odbyliśmy zupełnie inną, milczącą rozmowę. Po raz pierwszy w życiu całkowicie się w czymś zgadzaliśmy. Wybieramy się do Duat. A jak już się tam znajdziemy, odwrócimy sytuację na naszą korzyść. Znajdziemy Mienszykova, pokonamy go i zmusimy, żeby wyjawiał nam, jak uleczyć Walta. Nagle cała ta misja zaczęła mi się znacznie bardziej podobać.

– Wyruszamy o zachodzie słońca – powiedziała Ziya. – Walt i ja do Brooklynu, a ty i Sadie do Duat. Postanowione.

– Jest coś jeszcze. – Bes rzucił wściekłe spojrzenie na patyczki do senet, które Sadie upuściła na podłogę. – Nie wierzę, że to wyrzuciłaś. To niemożliwe!

Sadie spojrzała w dół i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Przypadkiem wypadła trójka, dokładnie to, czego potrzebowała do wygranej.

Przesunęła swój ostatni pionek do domu, po czym wzięła do ręki białe okulary Mienszykova i założyła je. Wyglądały na niej upiornie. Nie mogłem nie myśleć o spalonym głosie Mienszykova i jego poblížnionych oczach, oraz o tym, co groziło mojej siostrze, jeśli spróbowałaby przeczytać Księgę Ra.

– Rzeczy niemożliwe to moja specjalność – oznajmiła. – Chodź, drogi braciszku. Przygotujmy się na wyprawę na Wielką Piramidę. Jeśli kiedyś

pojedziecie oglądać piramidy, oto rada: najlepiej prezentują się z daleka, na horyzoncie. Im bliżej podejście, tym bardziej będziecie rozczarowani.

To brutalna prawda, ale przede wszystkim z bliska piramidy wydają się mniejsze, niż się można spodziewać. Wszyscy, którzy je widzieli, zgadzają się z tym. Pewnie, były najwyższymi budowlami na ziemi przez tysiące lat, ale w porównaniu z nowoczesnymi wieżowcami nie są wcale aż tak imponujące. Poza tym zostały pozbawione białego licowania i złotych zwieńczeń, które dodawały im blasku w starożytności. Są nadal piękne, zwłaszcza w świetle zachodzącego słońca, ale lepiej prezentują się z daleka niż z perspektywy turystycznej.

To jest druga sprawa: krocie turystów i sprzedawców. Nieważne dokąd się pojedzie na wakacje: na nowojorski Times Square, londyński Piccadilly Circus czy pod rzymskie Koloseum. Wszędzie natkniesz się na to samo: tłumy sprzedawców tanich podkoszulków i pamiątek oraz hordy spoconych turystów, narzekających i przepychających się, żeby zrobić zdjęcia. Pod piramidami jest tak samo, tyle że tłumy są jeszcze większe, a sprzedawcy – bardziej nachalni. Znają mnóstwo angielskich słówek, ale „nie” do nich nie należy.

Kiedy przepychaliśmy się przez tłum, sprzedawcy usiłovali nam wcisnąć trzy przejażdżki na wielbłądach, tuzin podkoszulków, więcej amuletów, niż Walt miał na sobie („Specjalna cena! Dobra magia!”), i jedenaście autentycznych palców mumii, które – jak mi się wydawało – były produkcji chińskiej.

Spytałem Besa, czy nie mógłby wystraszyć stamtąd tłumy, ale on tylko się roześmiał.

– Nie warto, chłopcze. Turyści są tu prawie tak długo jak piramidy. Ale zrobię tak, żeby nas nie zauważali. Musimy się dostać na szczyt.

Strażnicy patrolowali podnóże Wielkiej Piramidy, ale nikt nie próbował nas zatrzymać. Może dzięki Besowi byliśmy niewidzialni, a może strażnicy woleli nas ignorować, ponieważ towarzyszył nam karłowaty bóg. W każdym razie wkrótce przekonałem się, dlaczego nie wolno wspinać się na piramidy: jest to trudne i niebezpieczne. Wielka Piramida ma około stu czterdziestu metrów wysokości. Jej kamienne boki nie są przeznaczone do wspinaczki. Kiedy wchodziliśmy na górę, dwa razy omal nie spadłem. Walt skręcił kostkę. Niektóre bloki były luźne i rozpadały się. Część „stopni” miała prawie dwa metry wysokości, więc musieliśmy się podsadzać. W końcu po dwudziestu minutach trudu i potu znaleźliśmy się na wierzchołku. Smog nad Kairem tworzył na wschodzie wielką nieregularną smugę, ale na zachodzie mieliśmy świetny

widok na słońce zniżające się ku widnokręgowi, zalewające pustynię karmazynowym światłem.

Usiłowałem sobie wyobrazić, jaki widok rozciągał się stąd te mniej więcej pięć tysięcy lat temu, kiedy dopiero co zbudowano piramidę. Czy faraon Cheops stanął na szczycie własnego grobowca, żeby podziwiać swoje włości? Pewnie nie. Raczej był zbyt rozsądny, żeby się tu wdrapywać.

– Dobra. – Sadie rzuciła torbę na najbliższy wapienny blok. – Bes, miej na wszystko oko. Walt, pomóż mi z portalem, dobra?

Ziya dotknęła mojego ramienia, aż podskoczyłem.

– Możemy porozmawiać? – spytała.

Zeszła nieco niżej. Tętno mi szalało, ale udało mi się zejść za nią, nie przewracając się i nie robiąc z siebie idioty.

Wpatrywała się w pustynię. Jej twarz rumieniła się w świetle zachodzącego słońca.

– Nie zrozum mnie źle, Carter. Doceniam to, że mnie obudziłeś. Wiem, że masz serce we właściwym miejscu.

Wcale nie czułem się tak, jakbym miał serce we właściwym miejscu. Miałem wrażenie, że właśnie zjechało mi do przelyku.

– Ale...? – odpowiedziałem.

Objęła się rękami.

– Potrzebuję czasu. To wszystko jest dla mnie bardzo dziwne. Może kiedyś... będziemy sobie bliżsi... ale teraz...

– Potrzebujesz czasu – powtórzyłem z zaschniętym gardłem. – Pod warunkiem, że dziś wszyscy nie zginiemy.

Jej oczy błyszczały złotem. Zastanawiałem się, czy jest to ostatni kolor, jaki widzi owad uwięziony w bursztynie... no i czy taki owad myśli: „Rany, ale to piękne”, zanim zostanie unieruchomiony na wieki.

– Zrobię wszystko, żeby chronić twój dom – powiedziała. – Obiecuj mi, że jak trzeba będzie dokonać wyboru, posłuchasz własnego serca, a nie woli bogów.

– Obiecuję – powiedziałem, choć byłem pełen wątpliwości. Wciąż słyszałem w głowie Horusa, wzywającego mnie, abym wziął broń faraona. Chciałem powiedzieć coś jeszcze, powiedzieć jej, jak się czuję, ale wydusiłem z siebie tylko: – Yyy... taa.

Ziya zdobyła się na cierpki uśmiech.

– Sadie ma rację. Jesteś... jak ona to ujęła? Czarującym niezdara.

– Bosko. Dziękuję.

Nad nami rozbłysło światło i nad wierzchołkiem piramidy otworzył się portal. W przeciwieństwie do większości portali nie był z wirującego piasku. Świecił fioletową poświatą – otwierał się prosto na Duat.

Sadie zwróciła się do mnie.

– Ten jest dla nas. Idziesz?

– Uważaj na siebie – powiedziała Ziya.

– Aha – odparłem. – To nie jest moja specjalność, ale... no.

Kiedy wspinałem się na czubek, Sadie przyciągnęła do siebie Walta i wyszeptała mu coś do ucha.

Potaknął ponuro.

– Oczywiście.

Zanim zdążyłem zapytać, o co chodziło, Sadie spojrzała na Besa.

– Gotowy?

– Idę za wami – obiecał. – Jak tylko przeprowadzę Walta i Ziyę przez ich portal. Spotkamy się nad Rzeką Nocy w Czwartym Domu.

– W czwartym czym? – spytałem.

– Zorientujecie się – zapewnił. – Idźcie już!

Zerknąłem jeszcze raz na Ziyę, zastanawiając się, czy widzę ją po raz ostatni. A potem razem z Sadie wskoczyłem w płonące fioletem przejście.

Duat to dziwaczne miejsce.

[Sadie nazwała mnie właśnie Kapitanem Oczywistym – ale przecież trzeba to powiedzieć!]

Prądy świata duchów wpływają na myśli, ciągnąc cię i kształtując to, co widzisz, zgodnie z tym, co wiesz. A zatem mimo że wstąpiliśmy w inny wymiar rzeczywistości, okolica wyglądała jak nabrzeże Tamizy niedaleko domu naszych dziadków.

– To nie w porządku – oznajmiła Sadie.

Zrozumiałem, co miała na myśli. Trudno jej było wracać do Londynu po katastrofalnej wyprawie urodzinowej. A poza tym to stąd wyruszyliśmy do Brooklynu w minione święta. Zeszliśmy po tych schodach prowadzących do doków z Amosem i wsiedliśmy do jego magicznej łodzi. Wtedy rozpacziałem po stracie taty, byłem w szoku, że dziadkowie oddali nas wujkowi, którego nawet nie pamiętałem, no i przerażała mnie podróż w nieznane. Teraz wszystkie te uczucia wezbrały we mnie, równie ostre i bolesne jak wtedy.

Rzekę spowijała mgła. Nie było widać świateł miasta, jedynie upiorną

poświatę na niebie. Wieżowce Londynu zdawały się falować – budynki przemieszczały się, wznosiły i rozpływały, jakby nie potrafiły sobie znaleźć wygodnego miejsca. Poniżej nas mgła rozproszyła się nad dokami.

– Sadie – powiedziałem. – Patrz.

U dołu schodów przycumowana była łódź, ale nie należała do Amosa. Była to barka boga słońca, taka, jaką widziałem w mojej wizji – niegdyś królewski statek z pokładem i miejscami dla dwudziestu wiosłarzy, teraz ledwie trzymający się na wodzie. Żagiel był podarty, wiosła połamane, olinowanie pokryte pajęczynami.

W połowie schodów, blokując nam drogę, stali babcia i dziadek.

– Znowu oni – warknęła Sadie. – Chodź.

Pomaszerowała prosto w dół, aż stanęła twarzą w twarz z promieniejącymi postaciami naszych dziadków.

– Wypad – odezwała się do nich.

– Kochana. – Oczy babci zabłyśły. – Czy tak się zwracamy do babci?

– Och, przepraszam – odparła Sadie. – To chyba ten moment, kiedy powinnam zapytać „Babciu, czemu masz takie duże zęby?”. Nie jesteś moją babcią, Nechbet! A teraz zejź mi z drogi!

Obraz babci zamigotał. Jej kwiecisty szlafrok zmienił się w pelerynę z tłustych czarnych piór. Jej twarz skurczyła się w pomarszczoną maskę, a większość włosów wypadła, co dawało jej dziewięć i pół punktu na ohydometrze, gdzieś w okolicy Besa.

– Więcej szacunku, moja droga – zaświergotała bogini. – Jesteśmy tu tylko po to, żeby was po przyjacielsku ostrzec. Stoicie przed Miejscem Bez Powrotu. Jeśli wsiądziecie na tę łódź, nie będzie już odwrotu, nie zatrzymacie się, dopóki nie przepłyniecie przez wszystkie Dwanaście Domów Nocy... albo dopóki nie zginiecie.

Dziadek warknął: – *Aghh!*

Podrapał się pod pachami, co mogło oznaczać, że jest opętany przez pawianiego boga Babiego – albo i nie, bo dla dziadka nie było to całkiem nietypowe zachowanie.

– Słuchajcie Babiego – ostrzegła Nechbet. – Nie wyobrażacie sobie, co was czeka na rzece. Ledwie uciekłaś przed naszą dwójką w Londynie, dziewczyno. Armie chaosu są dużo gorsze!

– Tym razem Sadie nie jest sama. – Podeszedłem, dzierżąc w rękach berła Ra.
– Spadajcie.

Dziadek warknął i wycofał się.

Nechbet zmrużyła oczy.

– Trzymasz broń faraona? – W jej głosie słyhać było niechętny podziw. – Śmiały ruch, chłopcze, ale to cię nie ocali.

– Nic nie rozumiesz – odparłem. – My ratujemy również ciebie. Ratujemy nas wszystkich przed Apopisem. Kiedy wrócimy z Ra, pomożesz nam. Będziesz wykonywać nasze rozkazy i przekonasz pozostałych bogów, żeby zrobili to samo.

– Śmieszne – syknęła Nechbet.

Uniosłem berło w kształcie laski i poczułem płynącą przeze mnie moc – moc króla. Laska należy do pasterza. Król prowadzi swoich ludzi jak pasterz stado. Wysiłem wolę i dwójka bogów upadła na kolana.

Obrazy Nechbet i dziadka wyparowały, ukazując prawdziwą postać bogów. Nechbet była potężnym sępem ze złotą koroną na głowie i wymyślnym pektorałem wysadzany klejnotami na szyi. Jej skrzydła nadal były czarne i błyszczące, ale połyskiwały tak, jakby wytarzała się w złotym pyłe. Babi był ogromnym szarym pawianem o ognistych czerwonych oczach, kłach jak szable i łapach grubości pni drzew.

Oboje wpatrywali się we mnie z czystą nienawiścią. Wiedziałem, że jeśli zawaham się choćby na moment, jeśli pozwolę osłabnąć mocy berła, rozedrą mnie na strzępy.

– Przysięgnijcie lojalność – rozkazałem. – Kiedy wrócimy z Ra, będziecie mu posłuszni.

– Nigdy wam się nie uda – oznajmiła Nechbet.

– W takim wypadku przysięga lojalności żadną miarą wam nie zaszkodzi – odparłem. – Przysięgnijcie!

Uniosłem wojenny bicz i bogowie skulili się.

– *Agh* – wydusił z siebie Babi.

– Przysięgamy – powiedziała Nechbet. – Ale to pusta obietnica. Płyniecie ku swojej śmierci.

Zamachnąłem się berłem w powietrzu i bogowie rozwiali się w mgłę.

Sadie odetchnęła głęboko.

– Dobra robota. Mówiłeś tak, jakbyś był pewny siebie.

– Udawałem.

– Wiem – odpowiedziała. – A teraz najtrudniejsze zadanie: musimy znaleźć Ra i go obudzić. A po drodze, jeśli się uda, zjeść dobry obiad. I nie dać się zabić.

Spojrzałem na łódź. Bóg wiedzy Thot powiedział nam kiedyś, że zawsze będziemy w stanie przyzwać łódź w razie potrzeby, ponieważ w naszych żyłach płynie krew faraonów. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że to będzie *ta* łódź, i to w tak opłakanym stanie. Dwójka dzieciaków w przeciekającej, zniszczonej barce, samotnych przeciwko siłom chaosu.

– Wszyscy na pokład – powiedziałem do Sadie.

19. Zemsta Superktosia, boga łośi

Powinnam chyba nadmienić, że Carter miał na sobie spódniczkę.
[Ha! Nie dam ci tego mikrofonu. Teraz moja kolej].

On pominął ten fakt, ale gdy tylko znaleźliśmy się w Duat, nasz wygląd się zmienił i nagle mieliśmy na sobie staroegipskie ciuchy.

Ja wyglądałam w nich całkiem nieźle. Suknia z białego jedwabiu połyskiwała. Na rękach miałam złote bransolety i pierścienie. No dobra, wysadzany klejnotami pektorał był nieco zbyt ciężki, jak te ołowiane fartuchy, które zakłada się do rentgena u dentysty, a zaplecione włosy miałam usztywnione taką ilością lakieru, że można by nim zmienić w kamień potężnego boga. Ale i tak uważam, że wyglądałam całkiem atrakcyjnie.

Carter natomiast był ubrany w męską spódniczkę – zwykły kawałek lnianej tkaniny z czymś w rodzaju pasa na narzędzia, z którego zwisał bicz i laska pasterska. Tors miał nagi, jeśli nie liczyć złotego pektorálu, podobnego do mojego. Oczy miał podkreślone kohlem i nie miał butów.

Dla starożytnych Egipcjan z pewnością wyglądał królewsko i wojowniczo, jak doskonały okaz męskości. [Widzisz? Udało mi się to powiedzieć i się nie roześmiać]. Uważam też, że Carter nie wygląda najgorzej bez koszuli, ale nie uśmiechały mi się przygody w podziemiu w towarzystwie brata mającego na sobie wyłącznie biżuterię i ręcznik plażowy.

Kiedy wsiedliśmy na pokład barki boga słońca, Carter natychmiast wbił sobie drzazgę w stopę.

– Czemu nie masz butów? – zapytałam ostro.

– Nie ja to wymyśliłem! – Skrzywił się, wyciągając spomiędzy palców kawałek drewna wielkości wykałaczki. – Pewnie starożytni wojownicy walczyli boso. Sandały robią się bardzo śliskie od potu, krwi i tak dalej.

– A spódniczka?

– Jedźmy już, co?

Łatwo powiedzieć.

Łódź oddryfowała od doków, po czym ugrzęzła w rozlewisku kilka metrów w dół rzeki. Zaczęliśmy się obracać w kółko.

- Małeńkie pytanko – odezwałam się. – Znasz się choć trochę na łodziach?
- W ogóle się nie znam – wyznał Carter.

Nasz potargany żagiel był równie przydatny jak podarta chusteczka. Wiosła były albo połamane, albo wlekły się bezużytecznie po wodzie, a wyglądały na całkiem ciężkie. Nie miałam pojęcia, jak mielibyśmy we dwójkę poruszyć łódź, której załoga powinna liczyć dwadzieścia osób, nawet na spokojnej wodzie. A podczas naszej poprzedniej wyprawy do Duat przejazdówka przypominała raczej kolejkę górską.

– A co z tymi świecącymi kulami? – spytałam. – Jak ta załoga, którą mieliśmy na „Egipskiej Królowej”?

– A potrafisz je przywołać?

– Jasne – burknęłam. – Zwalaj wszystko na mnie.

Rozejrzałam się po pokładzie w nadziei, że zobaczę guzik z opisem NACISNAĆ, ŻEBY WEZWAĆ ŚWIECĄCYCH MARYNARZY! Ale nie dostrzegłam nic przydatnego. Wiedziałam, że barka boga słońca miała kiedyś załogę świeateł. Widziałam je w mojej wizji. Ale jak je wezwać?

Pawilon był pusty. Nie było w nim ognistego tronu. Na łodzi panowała cisza, jeśli nie liczyć bulgotania w szparach kadłuba. Zaczynało mi się robić niedobrze od wirowania.

Nagle dopadło mnie okropne uczucie. Tuzin cieniutkich głosików szeptał u podstawy mojej czaszki: *Izyda. Intrygantka. Trucicielka. Zdrajczyni.*

Uświadomiłam sobie, że moje nudności nie biorą się tylko z tego, że łódź się kręci. Cały ten statek wysyłał do mnie nieprzyjemne myśli. Deski pod moimi stopami, reling, wiosła i olinowanie – cała barka boga słońca nienawidziła mojej obecności.

– Carter, ta łódź mnie nie lubi – oznajmiłam.

– Najwyraźniej ma dobry gust.

– Ha, ha, śmieszne. Chodzi mi o to, że wyczuwa Izydę. To przecież ona otruła Ra i zmusiła go do pójścia na wygnanie. Barka to pamięta.

– No więc... przeproś ją albo co?

– Hej, łódko – powiedziałam, czując się nieco głupkowato. – Przykro mi z powodu tej sprawy z trucizną. Ale widzisz... ja nie jestem Izydą. Nazywam się Sadie Kane.

~ *Zdrajczyni* ~ wyszeptały głosy.

– Wiem, dlaczego tak myślicie – przyznałam. – Czuć we mnie „magię Izydy”, co? Ale naprawdę, odesłałam Izydę do domu. Ona tu już nie mieszka.

Mój brat i ja chcemy sprowadzić z powrotem Ra.

Łódź zadrżała. Tuzin cieniutkich głosików ucichł, jakby po raz pierwszy w ich nieśmiertelnym życiu coś je zaskoczyło. (Cóż, nie spotkały mnie wcześniej, no nie?)

– Byłoby dobrze, prawda? – kontynuowałam. – Ra płynący tą rzeką, jak w dawnych czasach i tak dalej? Chcemy przywrócić porządek i dlatego musimy przepłynąć przez Domy Nocy. Jeśli zechcecie z nami współpracować...

Tuzin świecących kul eksplodował życiem. Otoczyły mnie niczym gniewny rój płonących piłeczek tenisowych, a ich żar był tak mocny, że omal nie spaliły mojej nowej sukienki.

– Sadie – ostrzegł mnie Carter. – One nie wyglądają na zadowolone.

I on się dziwi, że mówię na niego „Kapitan Oczywisty”.

Usiłowałam się nie denerwować.

– Zachowujcie się – powiedziałaam zdecydowanym głosem do świateł. – Tu nie chodzi o mnie. Chodzi o Ra. Jeśli chcecie powrotu waszego faraona, musicie zająć się swoją robotą.

Myślałam, że upieką mnie jak kurczaka, ale nie drgnęłam. Nie żebym miała wielki wybór, zważywszy, że byłam otoczona. Wysiliłam magię i spróbowałam nagiąć światła do mojej woli – tak jakbym chciała zamienić kogoś w szczura lub jaszczurkę.

~ *Pomóżecie nam* ~ rozkazałam. ~ *Będziecie wykonywać posłusznie wasze zadania.*

Usłyszałam w głowie zbiorowy syk, który mógł oznaczać albo to, że właśnie pękła uszczelka w moim mózgu, albo że światełka dają za wygraną.

Załoga rozpierzchnęła się. Światełka zajęły swoje miejsca, ciągnąc liny, naprawiając żagiel, chwytając ocalałe wiosła i ster.

Przeciekający kadłub jęknął, kiedy łódź zwróciła się dziobem ku biegowi rzeki.

Carter odetchnął.

– Dobra robota. Jak się czujesz?

Skinęłam głową, że dobrze, ale wciąż miałam wrażenie, że wszystko wiruje mi przed oczami. Nie byłam pewna, czy zdołałam przekonać świetlne kule, czy też one tylko zwlekały, czekając na okazję do zemsty. Tak czy siak niespecjalnie zachwycała mnie myśl, że nasz los zależy teraz od nich.

Płynęliśmy w ciemność. Londyński krajobraz znikł. W żołądku poczułam znane nudności związane z zagłębianiem się w Duat.

– Wpływamy do Drugiego Domu – domyśliłam się.

Carter chwycił się masztu dla utrzymania równowagi.

– Chodzi ci o te Domy Nocy, o których wspominał Bes? Co to w ogóle jest?

Wydawało mi się dziwne, że ja miałabym wyjaśniać egipskie mity Carterowi. Podejrzewałam, że kpi sobie ze mnie, ale on wyglądał na naprawdę zagubionego.

– Czytałam coś o tym w Księdze Ra – odparłam. – Każda godzina nocy jest Domem. Musimy przepłynąć przez dwanaście etapów rzeki, reprezentujących dwanaście godzin nocy.

Carter spojrzał w głąb rozciągającej się przed nami ciemności.

– Skoro zatem jesteśmy w Drugim Domu, to znaczy, że minęła już godzina? Nie zauważyłam.

Miał rację. Ja też nie miałam takiego wrażenia. Ale nie miałam przecież pojęcia, jak czas płynie w Duat. Jeden Dom Nocy nie musi wcale odpowiadać dokładnie jednej godzinie w świecie śmiertelników na powierzchni. Anubis mówił mi kiedyś, że spędził w Krainie Umarłych pięć tysięcy lat, a mimo to wciąż czuł się nastolatkiem, jakby czas w ogóle nie mijał.

Wzdrygnęłam się. Co jeśli wypłyniemy na drugim końcu Rzeki Nocy i okaże się, że minęło parę tysięcy lat? Dopiero co skończyłam trzynaście lat, nie byłam przygotowana na tysiąc trzysta.

Żałowałam też, że w ogóle pomyślałam o Anubisie. Dotknęłam amuletu szen na szyi. Po wszystkim, co wydarzyło się z Waltem, miałam poczucie winy na myśl o spotkaniu z Anubisem, choć zarazem wciąż wydawało się to ekscytujące. Może Anubis pomoże nam w tej podróży. Może porwie mnie na chwilę w jakieś intymne miejsce na pogaduszki, jak wtedy, kiedy poprzednio byłam w Duat – na romantyczny cmentarzyk z kolacją dla dwojga w Kafejce Pod Nagrobkiem...

Przestań, Sadie – pomyślałam. – Skup się.

Wyjęłam z torby Księgę Ra i jeszcze raz przejrzałam instrukcje. Czytałam je już kilka razy, ale były tajemnicze i zawile – zupełnie jak podręczniki do matmy. Zwój był wypełniony po brzegi sformułowaniami w rodzaju „pierwszy z chaosu”, „tchnienie w glinę”, „stada nocy”, „odrodzony z ognia”, „równina słońca”, „pocałunek noża”, „gracz światła” i „ostatni skarabeusz” – większość nie miała dla mnie sensu.

Wywnioskowałam z tego, że kiedy będziemy przejeżdżać przez dwanaście etapów rzeki, będę musiała odczytać trzy kawałki Księgi Ra w trzech miejscach, pewnie po to, żeby obudzić trzy różne aspekty boga słońca, a każdy z tych

aspektów będzie się dla nas łączył z jakimś wyzwaniem. Wiedziałam, że jeśli się pomylę – chociażby zająknę się na jednym słówku podczas czytania zaklęcia – skończę gorzej niż Wład Mienszykow. Ta perspektywa napawała mnie przerażeniem, ale niepowodzenie nie wchodziło w grę. Po prostu musiałam mieć nadzieję, że jak nadejdzie właściwa chwila, bełkot zwoju nabierze sensu.

Prąd rzeki stał się szybszy. Poszycie łodzi zaczęło też szybciej przeciekać. Carter zademonstrował swoje zdolności z zakresu magii bitewnej, wzywając wiadro i wylewając wodę za burtę, a ja tymczasem zajmowałam się utrzymywaniem załogi w ryzach. Im głębiej wpływaliśmy w Duat, tym bardziej buntownicze nastroje pojawiały się wśród świecących kul. Opierały się mojej woli, przypominając sobie chyba, że bardzo chciałyby mnie spalić.

To okropnie irytujące – płynąć po magicznej rzece z głosami szepczącymi ci w głowie: *Zgiń, zdrajczyni, zgiń*. Co jakiś czas miałam wrażenie, że ktoś nas śledzi. Odwracałam się i widziałam białawą smugę wśród czerni, niczym powidok, ale uznałam, że to chyba gra mojej wyobraźni. Jeszcze bardziej denerwujący był panujący przed nami mrok – żadnego wybrzeża, żadnych punktów orientacyjnych, żadnej widoczności. Załoga mogłaby nas powieźć prosto w jakąś skałę albo do paszczy potwora, a my nie dostalibyśmy żadnego ostrzeżenia. Płynęliśmy przez mroczną, całkowicie pustą próżnię.

– Dlaczego tu tak... nic nie ma? – mruknełam.

Carter opróżnił wiadro. Był to dziwny widok – chłopak ubrany jak faraon, z królewskimi insygniami, wylewający wodę z przeciekającej łodzi.

– Może Domy Nocy mają podobny układ jak wzorce ludzkiego snu – powiedział.

– Jak co?

– Wzorce snu. Mama opowiadała nam o tym na dobranoc. Pamiętasz?

Nie pamiętałam. Ale przecież miałam zaledwie sześć lat, kiedy mama zmarła. Była naukowcem w równym stopniu jak magiem, w związku z czym uważała, że czytanie nam praw Newtona albo układu okresowego pierwiastków do snu to świetny pomysł. Nie przyswoiłam wiele z tego wszystkiego, ale chciałam sobie przypomnieć. Zawsze mnie strasznie irytuje, kiedy Carter pamięta mamę znacznie lepiej niż ja.

– Sen ma różne fazy – powiedział Carter. – Na przykład przez pierwsze kilka godzin mózg jest niemal w śpiączce – to jest naprawdę głęboki sen bez marzeń sennych. A potem, później w nocy, mózg wchodzi w fazę REM, szybkich ruchów gałek ocznych. Wtedy mamy sny. Cykle stają się coraz szybsze i żywsze.

Może Domy Nocy odtwarzają ten układ.

Wydawało mi się to nieco naciągane. Ale z drugiej strony mama zawsze powtarzała, że nauka i magia nie wykluczają się wzajemnie. Nazywała je dwoma dialektami jednego języka. Bastet mówiła nam kiedyś, że istnieją miliony różnych kanałów i dopływów rzeki płynącej przez Duat. Geografia może się zmieniać z każdą podróżą, odpowiadając na myśli podróżnika. Jeśli tę rzekę kształtują wszystkie śpiące umysły na całym świecie, a jej prąd staje się żywszy i bardziej zwariowany w miarę upływu nocy, to czekał nas niezły rajd.

Rzeka zrobiła się w końcu węższa. Po obu stronach ukazały się brzegi – czarny wulkaniczny piasek połyskujący w świetle naszej magicznej załogi. Powietrze się ochłodziło. Dno łodzi szorowało po kamieniach i łachach piasku, przez co do łodzi dostawało się jeszcze więcej wody. Carter dał sobie spokój z wiadrem i wyjął z torby wosk. Wspólnymi siłami próbowaliśmy uszczelnić poszycie, recytując zaklęcia wiążące, żeby barka trzymała się kupy. Gdybym miała gumę do żucia, też bym się nią posłużyła.

Nie mijaliśmy żadnych drogowskazów – WITAJCIE W TRZECIM DOMU, MOP – NAJBLIŻSZY ZJAZD – ale najwyraźniej znaleźliśmy się na innym odcinku rzeki. Czas leciał z przerażającą szybkością, a my jak na razie nic nie zrobiliśmy.

– Może pierwszym wyzwaniem jest nuda – powiedziałam. – Kiedy coś się zacznie dziać?

Powinam była wiedzieć, że nie mówi się takich rzeczy na głos. Tuż przed nami z mroku wyłonił się jakiś kształt. Była to obuta w sandał stopa wielkości łóżka wodnego, która stanęła na dziobie naszej łodzi i zatrzymała nas w miejscu.

Nie była to szczególnie ładna stopa. Zdecydowanie męska. Paluchy miała ubłocone, a paznokcie poźółkłe, popękane i przerośnięte. Rzemienie sandałów pokrywały porosty i muszle skorupiaków. Krótko mówiąc, stopa wyglądała i śmierdziała tak, jakby od kilku tysięcy lat stała na tym samym głazie w rzece, obuta w ten sam sandał.

Nasz pech chciał, że była doczepiona do nogi, która z kolei łączyła się z resztą ciała. Olbrzym nachylił się, żeby się nam przyjrzeć.

– Nudzi wam się? – zadudnił, ale nie było w jego głosie wrogości. – Mógłbym was zabić, jeśli to stanowiłoby pożądaną odmianę.

Miał na sobie taką samą spódniczkę jak Carter, tyle że z odzienia olbrzyma dałoby się wykroić dziesięć żagli. Jego ciało było człekokształtne i umięśnione, i owłosione w ten obrzydliwy sposób, który sprawia, że mam ochotę założyć

fundację charytatywną oferującą darmową depilację dla nadmiernie owłosionych mężczyzn. Zamiast głowy miał barani łeb: biały pysk z mosiężnym kółkiem w nozdrzach i długie zakręcone rogi obwieszane tuzinami brązowych dzwoneczków. Miał też szeroko rozstawione oczy o lśniące czerwonych tęczęwkach i pionowych szparkach zamiast źrenic. Podejrzewam, że to wszystko brzmi dość przerażająco, ale ten barani człowiek nie zrobił na mnie demonicznego wrażenia. Prawdę mówiąc, z jakichś powodów wyglądał dość znajomo. Wydawał się melancholijny, a nie groźny, jakby stał na tej swojej małej skalnej wysepce na środku rzeki tak długo, że zapomniał, po co się tam znalazł.

[Carter pyta, odkąd zostałam zaklinaczem baranów. Zamknij się, Carter].

Naprawdę zrobiło mi się żal tego barana. W jego oczach była taka samotność. Nie wierzyłam, że mógłby nas skrzywdzić – dopóki nie wyciągnął zza pasa dwóch wielkich noży o ostrzach wygiętych jak jego rogi.

– Milczycie – zauważył. – Czy to oznacza przyzwolenie na zabicie?

– Nie, dziękuję! – zawołałam, usiłując włożyć w to wdzięczność za propozycję. – Jedno słówko i jedno pytanko, bardzo proszę. Słowo brzmi *pedicure*. A pytanie: kim ty właściwie jesteś?

– Ach-ha-ha-ha – odparł, becząc jak owca. – Gdybyś znała moje imię, nie potrzebowałibyśmy się wzajemnie przedstawiać, a ja pozwoliłbym wam przepłynąć. Niestety nikt nigdy nie zna mojego imienia. Co za szkoda. Widzę, że znaleźliście Księgę Ra. Ożywiście jego załogę i udało wam się dopłynąć jego łodzią do bram Czwartego Domu. Nikomu dotychczas nie udało się dotrzeć tak daleko. Jest mi niezmiernie przykro, że muszę was rozplątać na części.

Uniósł noże, po jednym w każdej ręce. Nasze świecące kule latały jak szalone, szepcząc: *Tak! Rozplątać ją! Tak!*

– Ej, chwilunia – zawołałam do olbrzyma. – Czy jeśli podam twoje imię, pozwolisz nam przepłynąć?

– Oczywiście. – Westchnął. – Ale nikomu się to nie udaje.

Zerknęłam na Cartera. Nie po raz pierwszy zostaliśmy zatrzymani na Rzece Nocy i wyzwani, żeby nazwać po imieniu strażnika pod groźbą śmierci. Najwyraźniej była to dość zwyczajna rzecz dla egipskich dusz i magów podróżujących przez Duat. Ale nie chciało mi się wierzyć, że próba będzie tak łatwa. Byłam przekonana, że rozpoznaję tę baranią głowę. Widzieliśmy jego posąg w Muzeum Brooklyńskim.

– To on, zgadza się? – spytałam Cartera. – Ten koleś, który wygląda jak Łoś

Superktoś?

– Nie nazywaj go Łosiem! – syknął Carter. Podniósł wzrok na olbrzyma i powiedział: – Ty jesteś Chnum, prawda?

Barani człowiek wydał dudniący odgłos z głębi gardła. Podrapał reling łodzi jednym ze swoich noży.

– Czy to pytanie? A może twoja ostateczna odpowiedź?

Carter zamrugnął powiekami.

– Eee...

– To nie jest nasza ostateczna odpowiedź! – wrzasnęłam, uświadamiając sobie, że właśnie wpadamy w pułapkę. – Nawet nie byliśmy blisko. Chnum to twoje zwyczajne imię, tak? Chcesz, żebyśmy podali twoje prawdziwe imię, twoje *ren*.

Chnum przechylił głowę, a dzwoneczki na jego rogach zadźwięczały.

– Byłoby miło. Ale niestety nikt go nie zna. Nawet ja je zapomniałem.

– Jak mogłeś zapomnieć własne imię? – spytał Carter. – I tak, to jest pytanie.

– Jestem częścią Ra – odparł barani bóg. – Jestem jego podziemnym aspektem, jedną trzecią jego osobowości. Ale odkąd Ra przestał odbywać swoje nocne podróże, nie byłem mu potrzebny. Pozostawił mnie tu, u bram Czwartego Domu, porzucił niczym stary płaszcz. Teraz pilnuję tych bram... Nie mam żadnego innego celu w życiu. Gdybym odzyskał moje imię, poddałbym swojego ducha temu, kto mnie uwolni. Mógłbym zjednoczyć się na powrót z Ra, ale dopóki to się nie stanie, nie mogę opuścić tego miejsca.

W jego głosie brzmiała okropna deprecha, jak u zagubionej owieczki, a raczej dziesięciometrowej owieczki z wielkimi nożami. Chciałam mu pomóc. A jeszcze bardziej pragnęłam znaleźć sposób, żeby nie dać się pociąć na kawałki.

– Skoro nie pamiętasz swojego imienia – powiedziałam – moglibyśmy ci podać dowolne stare imię. Skąd miałbyś wiedzieć, czy to dobra odpowiedź, czy nie?

Chnum opuścił noże do wody.

– Nie pomyślałem o tym.

Carter spojrzał na mnie z wściekłością, a jego oczy mówiły: „Musiałś mu o tym powiedzieć?”.

Barani bóg zabeczał.

– Zapewne rozpoznam moje *ren*, kiedy je usłyszę – oznajmił – choć nie mam pewności. Będąc zaledwie częścią Ra, niczego nie jestem pewny. Straciłem większość wspomnień, większość mocy i tożsamości. Jestem zaledwie skorupą

dawnego siebie.

– Twoje dawne ego musiało być ogromne – mruknełam.

Bóg być może uśmiechnął się, chociaż trudno to ocenić w przypadku baraniej twarzy.

– Co za szkoda, że nie znasz mojego *ren*. Bystra z ciebie dziewczynka. Jako pierwsza dotarłaś aż tutaj. Jesteś pierwsza i najlepsza. – Westchnął żałośnie. – No cóż. Obawiam się, że musimy przejść do zabijania.

„Pierwsza i najlepsza”. Moje myśli się kotłowały.

– Czekaj – powiedziałam. – Znam twoje imię.

– Znasz? – krzyknął Carter. – Powiedz mu!

Przypomniał mi się kawałek z Księgi Ra: „pierwszy z chaosu”.

Sięgnęłam do wspomnień Izydy, jedynej bogini, która poznała tajemne imię Ra, i zaczęłam rozumieć naturę słonecznego boga.

– Ra był pierwszym bogiem, który wynurzył się z chaosu – zaczęłam.

Chnum zmarszczył czoło.

– To jest moje imię?

– Nie, posłuchaj – odparłam. – Powiedziałeś, że bez Ra nie jesteś kompletny, jesteś tylko skorupą dawnego siebie. Ale to dotyczy wszystkich egipskich bogów. Ra jest starszy i potężniejszy. Jest *pierwotnym źródłem* Maat jak...

– Jak korzeń palowy wszystkich bogów – podpowiedział Carter.

– Właśnie – przytaknełam. – Nie mam pojęcia, czym jest korzeń palowy, ale... niech będzie. Przez wszystkie te tysiąclecia inni bogowie powoli nikli, tracili moc, ponieważ zabrakło Ra. Oni mogą nie chcieć tego przyznać, ale on jest ich *sercem*. Wszyscy są od niego zależni. Przez cały czas zastanawialiśmy się, czy warto budzić Ra. Nie wiedzieliśmy, dlaczego to jest takie ważne, ale teraz już rozumiem.

Carter potaknął, najwyraźniej powoli chwytając, o co chodzi.

– Ra jest sercem Maat. Musi powrócić, żeby bogowie mogli zwyciężyć.

– Dlatego Apopis pragnie powrotu Ra – domyśliłam się. – Maat i chaos są z sobą powiązane. Jeśli Apopis zdoła połknąć Ra, kiedy bóg słońca będzie stary i słaby...

– Wszyscy bogowie umrą – dokończył Carter. – A świat pograży się w chaosie.

Chnum obrócił głowę, przyglądając mi się jednym płonącym czerwono okiem.

– To wszystko bardzo ciekawe – powiedział – ale wciąż nie usłyszałem

mojego tajemnego imienia. Żeby obudzić Ra, musicie najpierw mnie nazwać.

Otworzyłam Księgę Ra i wzięłam głęboki oddech. Zaczęłam czytać pierwszą część zaklęcia. Pomyślcie pewnie teraz: „Rany, Sadie. Ta wielka próba polegała na odczytaniu słów jakiegoś zaklęcia? Co w tym trudnego?”.

Jeśli tak myślicie, to pewnie nigdy nie czytaliście żadnego zaklęcia. Wyobraźcie sobie, że czytacie coś na scenie przed tysiącem wrogo nastawionych nauczycieli, którzy tylko czekają, żeby wystawić wam złe oceny. Wyobraźcie sobie, że musicie czytać, patrząc na odwrócone litery odbite w lustrze. Wyobraźcie sobie, że słowa są poprzestawiane, a wy musicie na bieżąco układać je w odpowiednie zdania. I wyobraźcie sobie, że jeśli pomylicie się choć raz, choć raz się zająkniecie, raz coś źle wymówicie – umrzecie. Wyobraźcie sobie to wszystko naraz, a będziecie mieć przybliżenie tego, czym jest rzucanie zaklęć ze zwoju.

A mimo to czułam się całkiem pewnie. Zaklęcie nagle nabrało sensu.

– Nazywam cię Pierwszym z Chaosu – oznajmiłam. – Chnumem, który jest Ra, zachodzącym słońcem. Wzywam twoje ba, aby obudziło Wielkiego Boga, ponieważ jestem...

Tu omal nie popełniłam śmiertelnego błędu – zwój mówił coś w rodzaju: „wstaw swoje imię”. A ja omal tego nie przeczytałam tak: – Ponieważ jestem wstaw swoje imię!

No co? Każdemu mogło się zdarzyć. Udało mi się jednak powiedzieć: – Jestem Sadie Kane, ta, która przywraca tron ognia. Nazywam cię Tchnieniem w Glinę, Baranem Nocnego Stada, Boskim...

Omaliem znów nie zaważyłam. Byłam przekonana, że egipski tytuł brzmiał *Boski Jajcarz*. Ale to nie miało sensu, chyba że Chnum posiadał naprawdę szczególne moce magiczne. Na szczęście przypomniało mi się coś z Muzeum Brooklyńskiego. Chnum był tam przedstawiony jako garncarz tworzący człowieka z gliny.

– ...Boskim Garncarzem – poprawiłam się. – Nazywam cię Chnumem opiekunem czwartej bramy. Zwracam ci twoje imię. Zwracam twoją istotę Ra.

Wielkie oczy boga zrobiły się jeszcze większe. Jego nozdrza zafalowały.

– Tak. – Schował noże. – Dobra robota, moja pani. Możecie wpłynąć do Czwartego Domu. Ale uważajcie na ogień i przygotujcie się na drugą postać Ra. Nie będzie tak wdzięczny za waszą pomoc.

– O czym mówisz? – spytałam.

Ale ciało baraniego boga rozpułyło się w mgłę. Księga Ra wessała pasemka

dymu i zwinęła się. Chnum zniknął wraz ze swoją wyspą. Łódź podryfowała w węższy tunel.

– Sadie – powiedział Carter. – To było wspaniałe.

W normalnych okolicznościach cieszyłabym się, że zdołałam go zaskoczyć swoim geniuszem. Ale serce waliło mi jak młotem. Ręce miałam spocone i zbierało mi się na wymioty. Na dodatek czułam, że załoga świecących kul otrząsa się z zaskoczenia i zaczyna znów ze mną walczyć.

~ *Nie rozplątał* ~ skarżyły się. ~ *Nie rozplątał!*

~ *Zajmijcie się swoją robotą* ~ pomyślałam do nich. ~ *Ta łódź ma płynąć.*

– E, Sadie? – odezwał się Carter. – Czemu jesteś czerwona na twarzy?

Myślałam, że wypomina mi rumieniec. Wtedy zauważyłam, że on też jest czerwony. Cała łódź była skąpana w rubinowym świetle. Spojrzałam do przodu i z mojego gardła wydobył się dźwięk niewiele różniący się od beczenia Chnuma.

– O nie – powiedziałam. – Tylko nie to miejsce.

Jakieś sto metrów przed nami tunel otwierał się w wielką grootę. Rozpoznałam wielkie wrzące Jezioro Ognia, ale poprzednio widziałam je z innej perspektywy.

Nabieraliśmy prędkości, gnając w dół przez kolejne bystrza niczym na zjeżdżalni wodnej. Kiedy skończyły się bystrza, woda zmieniała się w ognisty wodospad i opadała prosto do jeziora jakieś półtora kilometra dalej. Pędziliśmy ku przepaści, nie mając szans się zatrzymać.

~ *Ta łódź ma płynąć* ~ szeptała pogodnie załoga. ~ *Ta łódź ma płynąć.*

Mieliśmy zapewne mniej niż minutę, ale czas wydawał się ciągnąć. Podejrzewam, że skoro czas leci szybko, kiedy się dobrze bawisz, to proporcjonalnie się wydłuża, kiedy pędzisz na pewną śmierć.

– Musimy zawrócić! – krzyknął Carter. – Nawet gdyby to *nie był* ogień, nie przeżyjemy upadku!

Zaczął wrzeszczeć na kule świetlne.

– Zawracać! Wiosłować! SOS!

Zignorowały go radośnie.

Wpatrywałam się w płonący skok w zapomnienie i znajdujące się poniżej Jezioro Ognia. Mimo że przetaczały się nad nami fale żaru niczym smoczy oddech, czułam zimno. Uświadomiłam sobie, co musi teraz nastąpić.

– Odrodzony w ogniu – powiedziałam.

– Co? – spytał Carter.

– To cytat z Księgi Ra. Nie możemy zawrócić. Musimy płynąć dalej... prosto do jeziora.

– Zwariowałaś? Spalimy się!

Otworzyłam gwałtownie magiczną torbę i zaczęłam przeszukiwać zapasy.

– Musimy przeprowadzić tę łódź przez ogień. To był element nocnego odrodzenia słońca, zgadza się? Ra by to zrobił.

– Ra był ognioodporny!

Wodospad był teraz zaledwie dwadzieścia metrów przed nami. Ręce mi drżały, kiedy nalewałam atrament na paletę pisarską. Jeśli nigdy wcześniej nie używało się przyborów do kaligrafii, stojąc na łodzi, nie jest to łatwe.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Carter. – Będiesz spisywać testament?

Wzięłam głęboki oddech i zanurzyłam rysik w czarnym atramencie. Wyobraziłam sobie hieroglify, których potrzebowałam. Żałowałam, że nie ma z nami Ziyi. Nie dlatego, że całkiem niezłe się dogadałyśmy w Kairze... [Och, przestań robić miny, Carter. To nie *moja* wina, że ona rozumiała, że to ja jestem tą inteligentną w rodzinie] ...ale dlatego, że była specjalistką od płomiennych glifów, a tego właśnie było nam potrzeba.

– Podnieś włosy – rozkazałam Carterowi. – Muszę ci pomalować czoło.

– Nie chcę umierać z obciachowym obrazkiem na czole!

– Usiłuję cię uratować. Pospiesz się!

Odsunął włosy z czoła. Namalowałam mu na czole glify oznaczające „ogień” i „tarczę” i natchemiasz mój brat wybuchnął płomieniem.

Wiem – to było jak spełnienie marzenia i najgorszy koszmar naraz. Carter tańczył w miejscu, rzucając wyszukanymi przekleństwami, zanim zorientował się, że ogień nie robi mu krzywdy. Po prostu został otoczony ochronnym kocem z płomieni.

– Co właściwie... – Zrobił wielkie oczy. – Chwyć się czegoś!

Łódź przechyliła się niebezpiecznie przez krawędź wodospadu. Pospiesznie nakreśliłam hieroglify na wierzchu mojej dłoni, ale nie wyszło mi ładnie. Wokół mnie migotały słabe ogniki. Niestety nie miałam czasu na nic lepszego. Chwycałam mocno reling i runęliśmy w dół.

Zadziwiająco, ile myśli zdąży przebiec przez umysł, kiedy spada się w dół na pewną zgubę. Z góry Jezioro Ognia wyglądało pięknie, jak powierzchnia słońca. Zastanawiałam się, czy pocujemy ból przy zderzeniu, czy też po prostu wyparujemy. Przez popiół i dym niewiele było widać, ale wydawało mi się, że

w odległości ponad kilometra od nas dostrzegłam znajomą wysepkę – czarną świątynkę, w której pierwszy raz spotkałam Anubisa. Zastanawiałam się, czy widział mnie stamtąd i czy rzuci mi się na pomoc. Myślałam też, czy będę miała większe szanse na przeżycie, jeśli wyskoczę z łodzi i polecę w dół jak skoczek, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Ścisnęłam reling z całej siły. Nie byłam pewna, czy magiczna tarcza ogniowa mnie chroni, ale pociałam się jak szalona, no i byłam przekonana, że zostawiłam gardło i większość narządów wewnętrznych na gorze wodospadu.

W końcu uderzyliśmy w dno z niewyraźnym *buuum*.

Jak mam opisać wrażenia z zanurzania się w jezioro płynnego ognia? No cóż... to paliło. A jednak było w jakiś sposób również mokre. Nie odważyłam się oddychać. Po chwili wahania otworzyłam oczy. Widziałam wokół siebie jedynie wirujące czerwone i żółte płomienie. Wciąż znajdowaliśmy się pod wodą... a może pod ogniem? Uświadomiłam sobie dwie rzeczy: nie spłonęłam na śmierć, a łódź płynęła dalej. Nie wierzyłam, że moje szalone ochronne glify zadziałały. Kiedy barka zanurzała się dalej w wirujące nurty żaru, głosy załogi szeptały w mojej głowie – ale tym razem raczej z radością niż gniewem.

~ *Odnowa* ~ mówiki. ~ *Nowe życie. Nowe światło.*

To brzmiało obiecująco, dopóki nie dotarły do mnie mniej przyjemne fakty. Wciąż nie byłam w stanie oddychać. A moje ciało lubi oddychanie. Poza tym robiło mi się coraz goręcej. Czułam, że moje ochronne glify słabną, atrament pali mi rękę. Sięgnęłam na oślep przed siebie i złapałam czyjeś ramię... Założyłam, że należało do Cartera. Trzymaliśmy się za ręce i mimo że go nie widziałam, dobrze było wiedzieć, że on tam jest. Może to była gra wyobraźni, ale żar zdawał się słabnąć.

Dawno temu Amos powiedział nam, że razem jesteśmy potężniejsi. Wzmacniamy wzajemnie swoją magię, po prostu będąc blisko siebie. Miałam nadzieję, że teraz też to tak działało. Usiłowałam wysłać myśli do Cartera, zmusić go do pomocy w utrzymaniu mojej tarczy ogniowej.

Barka płynęła przez płomienie. Wydawało mi się, że zaczynamy się wznosić, ale to było chyba tylko pobożne życzenie. Przed oczami robiło mi się ciemno. Płuca miałam rozdarte. Jeśli zacznę wdychać ogień, to pewnie skończę jak Wład Mienszykow.

A kiedy uznałam, że zaraz zemdleję, łódź wyskoczyła w górę i wydostaliśmy się na powierzchnię.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze – i to nie tylko dlatego, że

potrzebowałam oddechu. Zacumowaliśmy przy brzegu wrzącego jeziora, przed wielką bramą z wapienia, podobną do wejścia do starożytnej świątyni, które widziałam w Luksorze. Nadal trzymałam Cartera za rękę. I o ile byłam w stanie ocenić, oboje byliśmy cali i zdrowi.

Słoneczna barka była w jeszcze lepszym stanie. Odnowiła się. Jej żagiel lśnił bielą, a na jego środku połyskiwał złotem symbol słońca. Wiosła były naprawione i wypolerowane. Czarna, złota i zielona farba była świeżo nałożona. Kadłub już nie przeciekał, a namiot na pokładzie był znów pięknym pawilonem. Nie było w nim tronu ani Ra, ale załoga świeciła jasno i radośnie, wiążąc cumy w przystani.

Nie powstrzymałam się. Chwyciłam Cartera w ramiona i wybuchnęłam płaczem.

– Nic ci nie jest?

Odsunął się niepewnie i potaknął. Glif na jego czole zniknął.

– Dzięki tobie – powiedział. – Gdzie...

– Słoneczna Równina – odparł znajomy głos.

Po stopniach przystani schodził ku nam Bes. Miał na sobie nową, jeszcze bardziej jaskrawą hawajską koszulę, a zamiast spodni wyłącznie slipy, więc nie powiem, żeby stanowił pożądany widok dla obolałych oczu. Teraz, w Duat, autentycznie emanował mocą. Jego włosy były ciemniejsze i bardziej kręte, a twarz wyglądała młodziej o kilkadziesiąt lat.

– Bes! – zawołałam. – Gdzie się podziewałeś tak długo? Czy Walt i Ziya...

– Cali i zdrowi – odparł. – A poza tym mówiłem, że spotkamy się przy Czwartym Domu. – Wskazał palcem na znak wyrzeźbiony w wapiennym łuku. – Niegdyś nazywał się Domem Odpoczynku. Najwyraźniej zmienili nazwę.

Szyld był zapisany hieroglifami, ale odczytałam go bez trudności.

– „Słoneczna Równina. Dom Opieki Społecznej” – przeczytałam. – „Dawny Dom Odpoczynku. Pod Nowym Zarządem”. Co właściwie...

– Musimy ruszać – powiedział Bes. – Zanim przybędzie ten, kto was śledzi.

– Śledzi? – powtórzył Carter.

Bes wskazał na szczyt ognistego wodospadu, znajdujący się teraz o prawie kilometr od nas. Z początku niczego nie dostrzegłam. A następnie na czerwonych płomieniach pojawiła się biała smuga – jakby człowiek w stroju lodziarza skoczył do jeziora. Najwyraźniej jednak nie zwidziała mi się ta jasna smuga w ciemności. Ktoś nas *śledził*.

– Mienszykow? – spytałam. – To... to...

– Zła wiadomość – dokończył Bes. – Chodźcie już. Musimy odnaleźć słonecznego boga.

20. W Hospicjum Pomocnego Hipopotama

Szpitalu. Szkoły. Niniejszym dodaję do mojej listy najmniej lubianych miejsc domy spokojnej starości.

Może się to wydawać dziwne, zważywszy, że mieszkałam z dziadkami. Ich dom można by nazwać domem staruszków. Ale chodzi mi o *instytucje*. Domy opieki. Te są najgorsze. Śmierdzą okropną mieszanką stołówkowego jedzenia, środków czystości i emerytów. Więźniowie (przepraszam: pacjenci) zawsze wyglądają strasznie żałośnie. A takie domy mają absurdalnie radosne nazwy jak Słoneczna Równina. No ja przepraszam.

Weszliśmy przez wapienną bramę do wielkiej otwartej sali – egipskiej wersji domu opieki. Szeregi kolorowo pomalowanych kolumn ozdabiałały żelazne uchwyty utrzymujące płonące pochodnie. Tu i ówdzie stały w donicach palmy i kwitnące hibiskusy, bezskutecznie usiłując rozweselić pomieszczenie. Wielkie okna wychodziły na Jezioro Ognia, co mogło się podobać, jeśli ktoś lubi piekielne klimaty. Na ścianach wymalowano sceny z egipskich zaświatów, między którymi umieszczono radosne hieroglificzne sentencje w rodzaju BEZPIECZNA NIEŚMIERTELNOŚĆ i ŻYCIE ZACZYNA SIĘ PO TRZECIM TYSIĄCU!

Po sali krzątały się służebne światełka i gliniane uszebti w białych medycznych fartuchach, nosząc tace z lekami i popychając wózki inwalidzkie. Ich pacjenci z kolei nie byli zbyt ruchliwi. Z tuzin wyniszczonych postaci w lnianych szpitalnych piżamach siedziało w różnych miejscach pomieszczenia, wpatrując się pustym wzrokiem przed siebie. Kilku krążyło po pokoju, popychając stojaki z kroplówką. Wszyscy mieli na rękach bransoletki z imionami wypisanymi hieroglifami.

Niektórzy mieli ludzką postać, ale wielu miało zwierzęce głowy. Stary mężczyzna z głową żurawia kołysał się w przód i w tył na składanym metalowym krzeselku, popychając dziobem pionki do senet na stoliczku. Stara kobieta o posiwiącej lwiej grzywie jeździła po sali na wózku, mamrocząc „miau, miau”. Pokurczony mężczyzna o niebieskiej skórze, niewiele wyższy od Besa, tulił się do wapiennej kolumny, szlochając cicho, jakby się obawiał, że kolumna

może go porzucić.

Innymi słowy sceneria była kompletnie dołująca.

– Co to za miejsce? – spytałam. – Czy to wszystko bogowie?

Carter sprawiał wrażenie równie zaskoczonego jak ja. Bes wyglądał tak, jakby miał zamiar wypełznąć ze skóry.

– Nigdy wcześniej tu nie byłem – przyznał. – Słyszałem pogłoski, ale... – Przełknął ślinę, jakby właśnie zjadł łyżkę masła orzechowego. – Chodźcie. Zapytamy w dyżurce pielęgniarzek.

Podeszliśmy do granitowego kontuaru w kształcie półksiężyca, na którym stał rząd telefonów (choć trudno mi było sobie wyobrazić, do kogo można by telefonować z Duat), komputer i leżało mnóstwo teczek. Była tam także spora płyta kamienna z trójkątną płytą – zegar słoneczny, co wydawało się dziwne, skoro nie było tu słońca.

Za ladą stała tyłem do nas niska, krępa kobieta. Sprawdziała coś na białej tablicy z imionami i godzinami podawania lekarstw. Jej lśniące czarne włosy zaplecione na plecach przypominały ogromny ogon bobra, a czepek pielęgniarki ledwie mieścił się na wielkiej głowie.

Byliśmy w połowie drogi do jej biurka, kiedy Bes nagle się zatrzymał.

– To ona.

– Kto? – zapytał Carter.

– Niedobrze. – Bes pobladł. – Powinienem był wiedzieć... A niech to! Musicie iść sami.

Przyjrzałam się bliżej pielęgniarce, która wciąż stała tyłem do nas. Sprawiała imponujące wrażenie, z potężnymi umięśnionymi rękami, karkiem grubszym niż moja talia i dziwaczną fioletową barwą skóry. Nie rozumiałam jednak, co tak niepokoiło Besa.

Odwróciłam się, żeby zapytać, ale Bes zanurkował za najbliższą roślinę w doniczce. Nie była dość duża, żeby go ukryć, no i nie stanowiła kamuflażu dla jego hawajskiej koszuli.

– Przestań, Bes – powiedziałam.

– Ciii! Jestem niewidzialny!

Carter westchnął.

– Nie mamy na to czasu. Chodź, Sadie.

Pomaszerował do dyżurki.

– Przepraszam! – zawołał przez biurko.

Pielęgniarka odwróciła się, a ja krzyknęłam. Usiłowałam ukryć zdumienie,

ale nie było to łatwe, ponieważ kobieta okazała się hipopotamem.

Nie chodzi mi o obraźliwe porównanie. Ona *naprawdę* była hipkiem. Jej długi pysk miał kształt odwróconego walentynkowego serduszka, miał ostre wąsy, małe nozdrza i paszczę z dwoma wielkimi dolnymi zębami. Oczy miała małe i paciorkowate. Jej twarz wyglądała dość dziwnie obramowana wspaniałymi czarnymi włosami, ale nie była ani trochę tak dziwna jak reszta ciała. Pielęgniarski fartuch założyła jak kurtkę, niezapięty, a pod nim miała tylko stanik od kostiumu kąpielowego, który – jak by to delikatnie ująć – usiłował zakryć bardzo dużo bardzo małą ilością materiału. Jej fioletoworóżowy brzuch był niewiarygodnie rozdęty, jakby była w dziewiątym miesiącu ciąży.

– W czym mogę pomóc? – spytała. Głos miała przyjemny i łagodny – nie taki, jakiego można by się spodziewać po hipopotamicy.

– E, hipciu... to znaczy hip, hip, hura! – wyjąkałam. – Mój brat i ja szukamy... – Spojrzałam na Cartera, który nie gapił się na *twarz* pielęgniarki. – Carter!

– Co? – Ocknął się. – Dobra. Przepraszam. Och, czy ty nie jesteś boginią? Tauret czy jakoś tak?

Hipopotamica wyszczerzyła swoje dwa ogromne zęby – miałam nadzieję, że to był uśmiech.

– Jak to miło być rozpoznawaną! Tak, mój drogi. Jestem Tauret. Mówiłaś, że kogoś szukacie? Krewnego? Czyżbyście byli bogami?

Za nami hibiskus zaszeleścił w donicy, kiedy Bes podniósł ją, usiłując przemknąć się za kolumnę. Tauret zrobiła wielkie oczy.

– Czy to Bes? – zawołała. – Bes!

Karzeł wstał gwałtownie i otrzepał koszulę. Twarz miał bardziej czerwoną niż Set.

– Roślina wygląda na dobrze nawodnioną – wymamrotał. – Może sprawdzę też tamte.

Ruszył ku donicom, ale Tauret zawołała go ponownie.

– Bes! To ja, Tauret! Tu jestem!

Bes zastygł, jakby dostał kulą w plecy. Odwrócił się z wysiłonym uśmiechem.

– Och... hej, Tauret. Rany!

Wygrzebała się zza biurka na wysokich obcasach, które są wyjątkowo niewskazane dla ciężarnego ssaka wodnego. Rozłożyła pulchne ramiona do uścisku, ale Bes wyciągnął tylko rękę. Skończyło się na jakimś dziwnym

niby tańcu, niby uścisku, niby podaniu dłoni, co sprawiło, że jedno stało się dla mnie oczywiste.

– Wy z sobą chodziliście? – zapytałam.

Bes rzucił mi zabójcze spojrzenie. Tauret się zarumieniła. Po raz pierwszy w życiu udało mi się zawstydzić hipopotama.

– Dawno temu... – Tauret odwróciła się do karła.

– Jak leci, Bes? Po tych okropnych zdarzeniach w pałacu bałam się...

– Świetnie! – odkrzyknął. – Tak, dzięki. Świetnie. A u ciebie? Super! Jesteśmy tu w ważnej sprawie, jak właśnie miała ci powiedzieć Sadie.

Kopnął mnie w goleń, co moim zdaniem było całkiem niepotrzebne.

– Tak, właśnie – powiedziałam. – Szukamy Ra, żeby go obudzić.

Jeśli Bes miał nadzieję skierować myśli Tauret na inny tor, to jego plan się powiódł. Otworzyła paszczę w niemym jęku, jakbym zaproponowała coś potwornego, na przykład polowanie na hipopotamy.

– Obudzić Ra? – powtórzyła. – Och... och, co za pech. Ty im pomagasz, Bes?

– E-hem – wyjąkał. – No, bo wiesz...

– Bes wyświadcza nam przysługę – wtrąciłam się. – Nasza przyjaciółka Bastet poprosiła go, żeby się nami opiekował.

Od razu się zorientowałam, że tylko pogorszyłam sprawę. Temperatura w pomieszczeniu spadła o jakieś dziesięć stopni.

– Rozumiem – powiedziała Tauret. – Przysługa dla Bastet.

Nie byłam pewna, co konkretnie powiedziałam nie tak, ale usilnie próbowałam się wycofać.

– Słuchaj, tu chodzi o los całego świata. Proszę. Odnalezienie Ra jest bardzo ważne.

Tauret skrzyżowała ramiona, patrząc na mnie bez przekonania.

– Moja droga, jego nie było od tysiącleci. A próba przebudzenia go będzie potwornie niebezpieczna. Dlaczego akurat teraz?

– Powiedz jej, Sadie. – Bes cofnął się nieznacznie, jakby zamierzał dać nura w hibiskusa. – Nie mamy przed sobą tajemnic. Możemy zaufać Tauret całkowicie.

– Bes! – Hipopotamica natychmiast uniosła głowę i zatrzepotała rżęsami. – Naprawdę tak uważasz?

– Sadie, mów! – powiedział błagalnie Bes.

No więc zaczęłam mówić. Pokazałam Tauret Księgę Ra. Wyjaśniłam,

dłaczego musimy przebudzić boga słońca – opowiedziałam o groźbie powstania Apopisa, wszechświatowym chaosie i zagładzie, o tym, że świat może się skończyć o wschodzie słońca i tak dalej. Odgadywanie, co oznaczają hipopotamne miny, nie było łatwe [tak, Carter, jestem przekonana, że mówi się hipopotamne], ale przez całą moją przemowę Tauret nerwowo kręciła swoje długie czarne włosy na palcach.

– Niedobrze – powiedziała. – Całkiem niedobrze.

Zerknęła za siebie na zegar słoneczny. Pomimo braku słońca igła rzucała wyraźny cień na hieroglificzną piątkę.



– Kończy wam się czas – oznajmiła.

Carter zmarszczył brwi, patrząc na zegar.

– Czy to nie jest Czwarty Dom Nocy?

– Owszem – potaknęła Tauret. – Ma różne nazwy: Słoneczna Równina, Dom Odpoczynku – ale również jest to Czwarty Dom.

– Dlaczego w takim razie wskazówka jest na piątce? – zapytał. – Nie powinna być, że tak powiem, zamrożona na godzinie czwartej?

– To tak nie działa, chłopcze – odparł Bes. – Czas w świecie śmiertelników nie zatrzymuje się tylko dlatego, że wy znaleźliście się w Czwartym Domu. Jeśli chcecie kontynuować podróż boga słońca, musicie trzymać się jego rozkładu godzin.

Poczułam, że zbliża się wyjaśnienie powodujące rozdzierający ból głowy. Byłam gotowa pogodzić się z rozkoszną niewiedzą i poszukiwać dalej Ra, ale Carter oczywiście nie zamierzał dać spokoju.

– A co się stanie, jeśli zostaniemy za bardzo w tyle? – zapytał.

Tauret ponownie zerknęła na zegar, którego wskazówka powoli przesuwiała się za piątą.

– Domy są połączone ze swoją godziną nocy. Możecie w nich pozostawać jak długo chcecie, ale wchodzić do nich i wychodzić z nich da się tylko około godziny, którą reprezentują.

– Aha. – Potarłam skronie. – Masz w tej dyzurce jakieś tabletki na ból głowy?

– To nie jest aż tak skomplikowane – odparł Carter po to tylko, żeby mnie zirytować. – To tak jak drzwi obrotowe. Musisz poczekać, aż się otworzą, i wskoczyć.

– Mniej więcej tak – potwierdziła Tauret. – Z większością Domów da się nieco pokombinować. Na przykład z Czwartego Domu możecie wyjść w zasadzie w dowolnej chwili. Ale niektórych bram nie da się przejść, jeśli nie znajdzie się przy nich o dokładnej godzinie. Do Pierwszego Domu da się wejść jedynie o zachodzie słońca. Wyjść z Dwunastego o świcie. A bramy Domu Ósmego, Domu Wyzwań... tam da się wejść jedynie podczas ósmej godziny.

– Domu Wyzwań? – spytałam. – Już mi się to nie podoba.

– Och, macie z sobą Besa. – Tauret wpatrywała się w niego rozmarzonym wzrokiem. – Wyzwania nie będą problemem.

Bes rzucił mi przerażone spojrzenie, mówiące: „Ratunku!”.

– Ale jeśli będziecie zwlekać – ciągnęła Tauret – bramy zamkną się, zanim tam dotrzecie. Pozostaniecie uwięzieni w Duat do następnej nocy.

– A jeśli nie powstrzymamy Apopisa – powiedziałam – to nie będzie następnej nocy. *To akurat rozumiem.*

– A zatem możesz nam pomóc? – spytał Carter. – Gdzie jest Ra?

Bogini przeczesywała swoje włosy. Jej dłonie były skrzyżowaniem ludzkich i hipopotamich, z krótkimi grubymi palcami i grubymi paznokciami.

– To jest problem, mój drogi – odparła. – Nie wiem. Czwarty Dom jest ogromny. Ra jest pewnie gdzieś tutaj, ale korytarze i drzwi ciągną się w nieskończoność. Mamy *tylu* pacjentów.

– Nie prowadzicie kartotek? – zapytał Carter. – Nie ma jakiejś mapy albo co?

Tauret pokręciła głową ze smutkiem.

– Robię, co mogę, ale jestem sama, a poza tym tylko uszebti i światełka... Na tysiące starych bogów.

Poczułam, że nogi się pode mną uginają. Gubiłam się w dziesiątce czy tuzinie większych bogów, których napotkaliśmy, ale *tysiące*? W tym pomieszczeniu naliczyłam około tuzina pacjentów, sześć korytarzy rozchodzących się na wszystkie strony, dwie klatki schodowe i trzy windy. Może to wyobraźnia płatała mi figle, ale wydawało mi się, że korytarze przybyło, odkąd tu weszliśmy.

– Ci wszyscy starszuskowie tutaj to bogowie? – spytałam.

Tauret potaknęła.

– Większość była w dawnych czasach pomniejszych bóstwami. Magowie nie uznali ich za wartych uwiecznienia. Przez stulecia osłabli, samotni i zapomniani. W końcu dotarli tutaj. I po prostu czekają.

– Na śmierć? – spytałam.

Wzrok Tauret stał się nieobecny.

– Sama chciałabym wiedzieć. Czasami znikają, ale nie wiem, czy po prostu gubią się w korytarzach, czy znajdują nowe pomieszczenie, w którym się ukrywają, czy rzeczywiście rozplývają się w nicłość. Smutna prawda jest taka, że wychodzi na to samo. Świat na górze zapomniał ich imiona. Co jest warte życia, kiedy nikt już nie wymawia twojego imienia?

Spojrzała na Besa, jakby usiłowała mu coś przekazać.

Karłowaty bóg szybko odwrócił wzrok.

– To jest Mehit, prawda? – Wskazał na starą kobietę lwicę, która krążyła po pokoju na wózku inwalidzkim. – Miała świątynię niedaleko Abydos, jeśli się nie mylę. Pomniejsza lwia bogini. Zawsze mylono ją z Sachmet.

Lwica warknęła cicho, kiedy Bes wymówił imię Sachmet. Następnie powróciła do swojego krążenia, pomrukując „miau, miau”.

– To smutna historia – powiedziała Tauret. – Przybyła tu z małżonkiem, bogiem Onurisem. W dawnych czasach byli sławni, taka romantyczna historia. On kiedyś powędrował aż do Nubii, żeby ją ocalić. Pobrali się. Wszyscy uważaliśmy to za szczęśliwe zakończenie. Ale oboje zostali zapomniani. Przybyli tu razem. A następnie Onuris zniknął. Umysł Mehit szybko zaczął słabnąć. Teraz przez cały dzień krąży po sali na tym swoim wózku. Nie pamięta swojego imienia, choć wciąż jej je przypominamy.

Przypomniał mi się spotkany na rzece Chnum i jego smutek z powodu nieznajomości swojego prawdziwego imienia. Spojrzałam na starą boginię Mehit, pomiaukującą i powarkującą, przemierzającą pokój, nie pamiętając nawet swojej dawnej chwały. Wyobraziłam sobie, jak to musi być: dbać o tysiąc bogów podobnych do niej – emerytów, którym nigdy się nie poprawi, a nigdy nie umrą.

– Jak ty to wytrzymujesz, Tauret? – zapytałam z podziwem. – Czemu tu pracujesz?

Dotknęła z dumą czepka pielęgniarki.

– To długa historia, duszko. A my mamy bardzo mało czasu. Nie zawsze tu przebywałam, kiedyś byłam opiekuńczą boginią. Odstraszałam demony, choć nie aż tak dobrze jak Bes.

– Byłaś niezłe przerażająca – odparł Bes.

Bogini hipopotamica westchnęła z zachwytem.

– To *takie* słodkie. Opiekowałam się również rodzącymi matkami...

– Dlatego, że jesteś w ciąży? – spytał Carter, wskazując na jej olbrzymi brzuch.

Tauret wyglądała na zaskoczoną.

– Nie. Dlaczego tak sądzisz?

– Yyy...

– No! – wtrąciłam się. – Wyjaśniałaś mi, dlaczego zajmujesz się starzejącymi się bogami.

Tauret zerknęła na zegar, a ja przeraziłam się, widząc, jak szybko cień zmierzał ku szóstce.

– Zawsze lubiłam pomagać ludziom, ale w świecie na górze, cóż... stało się jasne, że nie jestem już potrzebna.

Starannie unikała patrzenia na Besa, ale bóg karzeł zarumienił się jeszcze bardziej.

– Ktoś *musiał* się zająć starzejącymi się bogami – ciągnęła. – A ja chyba rozumiem ich smutek. Rozumiem, jak to jest wiecznie czekać...

Bes zakaszłał w dłoń.

– Spójrzcie, która godzina! Tak, w kwestii Ra. Widziałaś go, odkąd tu pracujesz?

Tauret zamyśliła się.

– Niewykluczone. Widziałam boga o głowie sokoła w sali w południowo-wschodnim skrzydle, och, wieki temu. Myślałam, że to Nemty, ale równie dobrze mógł to być Ra. Czasami lubił pojawiać się w postaci sokoła.

– Którędy? – zapytałam błagalnie. – Jeśli się zbliżymy, Księga Ra może nas poprowadzi.

Tauret zwróciła się do Besa.

– Czy ty mnie o to prosisz, Bes? Naprawdę uważasz, że to ważne, czy tylko współpracujesz, bo Bastet ci kazała?

– Nie! Tak! – Wydał policzki w rozpacz. – To znaczy tak, to ważne. Tak, proszę. Potrzebuję twojej pomocy.

Tauret wyjęła pochodnię z najbliższego uchwytu.

– W takim razie tędy.

Błądziliśmy po salach nieskończonego magicznego domu opieki, prowadzeni przez będącą hipopotamem pielęgniarke z pochodnią. Doprawdy, zwyczajna noc dla rodziny Kane'ów.

Mineliśmy tyle pokoi, że straciłam rachubę. Większość drzwi była zamknięta, ale w tych kilku otwartych widziałam kruchych starych bogów w łóżkach, wpatrzonych w niebieską poświatę telewizorów albo po prostu leżących w ciemności i szlochających. Po dwudziestu albo trzydziestu takich pokojach przestałam zaglądać. Było to zbyt dołujące.

Trzymałam w ręce Księgę Ra, w nadziei, że zrobi się cieplejsza, kiedy zbliżymy się do boga słońca, ale to byłoby zbyt piękne. Tauret zastanawiała się na każdym skrzyżowaniu. Wiedziałam, że nie jest pewna drogi.

Po kilku kolejnych korytarzach, kiedy ze zwojem nadal nic się nie działo, zaczęłam panikować. Carter musiał to dostrzec.

– Będzie dobrze – obiecał. – Znajdziemy go.

Przypomniało mi się, jak szybko poruszała się wskazówka zegara słonecznego w dyżurce pielęgniarek. Pomyślałam też o Władzie Mienszykowie. Chciałam wierzyć, że został pieczonym Rosjaninem, kiedy wpadł do Jeziora Ognia, ale chyba były to zbyt wygórowane nadzieje. Jeśli nadal nas gonił, musiał być blisko.

Skręciliśmy w kolejny korytarz i Tauret zamarła.

– Och, nie.

Przed nami podskakiwała stara kobieta z głową żaby – przez podskakiwanie mam na myśli skok na trzy metry, trochę kumkania, po czym skok na ścianę i przyklejenie się do niej przed skokiem na przeciwną ścianę. Jej ciało i członki wyglądały jak ludzkie, ubrane w zieloną szpitalną piżamę, ale głowa była płazia – brązowa, wilgotna i pokryta brodawkami. Wyłupiaste oczy rozglądały się na wszystkie strony, a sądząc po niespokojnym kumkaniu, domyśliłam się, że się zagubiła.

– Heket znów się wydostała – oznajmiła Tauret. – Zaczekajcie chwilkę.

Podbiegła do żabiej kobiety.

Bes wyciągnął chusteczkę z kieszeni swojej hawajskiej koszuli i otarł nerwowo czoło.

– Zastanawiałem się, co się stało z Heket. To żabia bogini, wiecie.

– Nigdy bym się nie domyślił – odparł Carter.

Przyglądałam się, jak Tauret usiłowała uspokoić starą boginię. Przemawiała do niej łagodnie, obiecywała pomóc odnaleźć jej pokój, jeśli tylko Heket przestanie skakać po ścianach.

– Ona jest wspaniała – powiedziałam. – Tauret, znaczy się.

– Aha – odparł Bes. – Tak, jest niezła.

– *Niezła?* – powtórzyłam. – Przecież ty jej się podobasz! Dlaczego jesteś taki...

Nagle prawda uderzyła mnie z całą mocą. Poczułam się niemal równie tępa jak Carter.

– Och, rozumiem. Ona wspomniała o tych okropnych wydarzeniach w pałacu, prawda? To ona uwolniła cię w Rosji.

Bes otarł kark chusteczką. Naprawdę strasznie się pocił.

– Cze-czemu tak sądzisz?

– Bo w jej towarzystwie jesteś taki zawstydzony! Jakby... – Omal nie powiedziałam: „jakby widziała cię w samej bieliźnie”, ale nie byłam przekonana, że znaczyłoby to wiele dla Boga Slipów. – Jakby widziała cię poniżonego, a ty chcesz o tym zapomnieć.

Bes wpatrywał się w Tauret z bólem, tak samo jak przyglądał się pałacowi księcia Mienszykowa w Petersburgu.

– Ona zawsze mnie ratuje – powiedział z goryczą. – Zawsze jest wspaniała, miła, dobra. W dawnych czasach wszyscy zakładali, że się spotykamy. Zawsze mówili, że stanowimy słodką parę... dwójka odstraszających demony bogów, dwójka nieudaczników i tak dalej. Parę razy się umówiliśmy, ale Tauret jest po prostu zbyt... zbyt *miła*. A ja zawsze miałem obsesję na punkcie kogoś innego.

– Bastet – domyślił się Carter.

Bóg karzeł opuścił ramiona.

– To aż tak oczywiste, co? Tak, Bastet. Była najpopularniejszą boginią wśród zwykłych ludzi. A ja najpopularniejszym bogiem. No więc wiesz, spotykaliśmy się na różnych świątach i tym podobnych. Ona była... no, piękna.

Typowy facet – pomyślałam. – *Widzi tylko powierzchowność*. Ale trzymałam głowę na kłódkę.

– W każdym razie – westchnął Bes – Bastet traktowała mnie jak małego braciszka. I dalej tak mnie traktuje. Nie interesuje się mną, ale mnie zajęło dużo czasu uświadomienie sobie tego. Miałem na jej punkcie obsesję do tego stopnia, że nie byłem zbyt dobry dla Tauret przez wszystkie te lata.

– A ona przyjechała pomóc ci w Rosji – powiedziałam.

Potaknął.

– Wysłałem wołanie o pomoc. Myślałem, że Bastet mi pomoże. Albo Horus. Albo ktoś inny. Nie wiedziałem, gdzie oni wszyscy są, ale w dawnych czasach miałem mnóstwo przyjaciół. Zakładałem, że ktoś się pojawi. A przybyła tylko

Tauret. Zaryzykowała życie, żeby wcisnąć się do pałacu podczas karlego wesela. Widziała to wszystko: moje upokorzenie wśród dużych ludzi. W nocy włamała się do mojej klatki i uwolniła mnie. Zawdzięczam jej wszystko. Ale jak już byłem wolny... po prostu uciekłem. Było mi tak wstyd, że nie mogłem na nią patrzeć. Ilekroć myślałem o niej, przypominała mi się tamta noc i słyszałem śmiech.

Ból w jego głosie był świeży, jakby Bes opisywał coś, co wydarzyło się wczoraj, a nie trzy stulecia temu.

– To nie jej wina, Bes – powiedziałam łagodnie. – Jej na tobie zależy. To oczywiste.

– Za późno – odparł. – Zanadto ją zraniłem. Chciałbym móc odwrócić czas, ale...

Ucichł. Tauret wracała do nas, prowadząc za rękę boginię żabę.

– A teraz, duszko – powiedziała – chodź z nami, a my znajdziemy twój pokój. Nie musisz skakać.

– To skok wiary – Heket zamknęła oczy (to znaczy po prostu przymknęła powieki, nie *umarła*, na szczęście). – Moja świątynia jest gdzieś niedaleko. Była w Qus. Piękne miasto.

– Tak, kochana – przytaknęła Tauret. – Ale twojej świątyni już nie ma. Żadnej z naszych świątyń już nie ma. Masz za to miłą sypialnię...

– Nie – wymamrotała Heket. – Kapłani będą mi składać ofiary. Muszę...

Utkwiła we mnie wielkie żółte oczy, a ja zrozumiałam, jak musi czuć się mucha, zanim zostanie schwytana na żabi język.

– Oto moja kapłanka! – zawołała Heket. – Przyszła do mnie z wizytą.

– Nie, kochana – odparła Tauret. – To Sadie Kane.

– Moja kapłanka. – Heket poklepała mnie po ramieniu błoniastą dłonią, a ja zrobiłam wszystko, żeby się nie skrzywić. – Powiedz w świątyni, żeby zaczynali beze mnie, dobrze? Przyjdę później. Powiesz im?

– E, tak – odparłam. – Oczywiście, pani Heket.

– Dobrze, doskonale. – Jej wzrok się zamglił. – Jestem bardzo śpiąca. Pamiętanie to ciężka robota...

– Tak, kochana – powiedziała Tauret. – Czemu nie położysz się na razie w którymś z tych pokoi?

Zaprowadziła Heket do najbliższego pustego pokoju.

Bes spoglądał za nią smutnym wzrokiem.

– Jestem okropnym karłem.

Pewnie powinnam go była pocieszyć, ale moje myśli krążyły wokół innych spraw. „Zacznijcie beze mnie”, powiedziała Heket. „Skok wiary”.

Nagle poczułam, że nie mogę oddychać.

– Sadie? – zapytał Carter. – Co się stało?

– Wiem, dlaczego zwój nas nie prowadzi – odparłam. – Muszę zacząć drugą część zaklęcia.

– Przecież jeszcze nie dotarliśmy – zaprotestował Carter.

– I nie dotrzemy, jeśli nie zacznę zaklęcia. To część odnalezienia Ra.

– Co takiego? – Tauret pojawiła się obok Besa, omal nie wystrasząc karła z jego hawajskiej koszuli.

– Zakłęcie – odpowiedziałam. – To musi być mój skok wiary.

– Chyba zaraziła się od żabiej bogini – przestraszył się Carter.

– Nie, głupku! – krzyknęłam. – Tylko tak odnajdziemy Ra. Jestem tego pewna.

– Hej, dziewczyno – odezwał się Bes – jeśli zaczniesz zakłęcie, a nie odnajdziemy Ra, zanim skończysz czytać...

– Wiem. Zakłęcie się odwróci. – Kiedy mówiłam, że się „odwróci”, miałam na myśli dosłownie to. Jeśli zakłęcie nie odnajdzie swojego właściwego celu, moc Księgi Ra może wypalić mi w twarz.

– To jedyny sposób – upierałam się. – Nie mamy czasu na włóczenie się po tych korytarzach bez końca, a Ra pojawi się wyłącznie, jeśli go przywołam. Musimy się wykazać, podejmując ryzyko. Musisz mnie prowadzić. Nie mogę się zająknąć.

– Jesteś odważna, duszko. – Tauret uniosła pochodnię. – Nie martw się, będę cię prowadzić. Ty tylko czytaj.

Otworzyłam zwój na drugiej części. Rządki hieroglifów, które wcześniej wydawały mi się niepołączonymi bzdurami, nagle nabrały sensu.

– Przywołuję imię Ra – przeczytałam na głos – śpiącego króla, pana południowego słońca, który siedzi na tronie ognia...

Wiecie, o co chodzi. Opisałam, jak Ra uniósł się z morza chaosu. Przypomniałam jego światło oświetlające pierwotny ląd Egiptu, przynoszące życie Dolinie Nilu. Kiedy czytałam, poczułam narastające ciepło.

– Sadie – powiedział Carter – ty dymisz.

Trudno nie spanikować, kiedy ktoś mówi coś takiego, ale Carter miał rację. Z mojego ciała unosił się dym, tworząc kolumnę szarości szybującą w dół korytarza.

– Czy mi się tylko wydaje – zapytał Carter – czy ten dym wskazuje nam drogę? Au!

To ostatnie powiedział, ponieważ nastąpiłam mu na stopę, co mogłam zrobić bez przerywania koncentracji. Zrozumiał, co chciałam mu przekazać: „Zamknij się i idź”.

Tauret ujęła mnie pod ramię i poprowadziła. Bes i Carter eskortowali nas jak ochroniarze. Poszliśmy za śladem dymu dwoma kolejnymi korytarzami i w górę jednych ze schodów. Księga Ra robiła się niemile gorąca w moich rękach. Dym unoszący się z mojego ciała zaczął zasłaniać litery.

– Dobrze ci idzie, Sadie – powiedziała Tauret. – Ten korytarz wygląda znajomo.

Nie wiem, po czym go rozpoznawała, ale nie przestawałam się skupiać na zwoju. Opisałam słoneczną barkę Ra żeglującą po niebie. Mówiłam o jego królewskiej mądrości i wygranych bitwach z Apopisem.

Po mojej twarzy spłynęła kropelka potu. Oczy mnie piekły. Miałam nadzieję, że nie mam jeszcze płonącego wzroku w sensie dosłownym.

Kiedy doszłam do kawałka „Ra, słońce w zenicie...”, uświadomiłam sobie, że stanęliśmy przed drzwiami.

Nie wyglądały inaczej od wszystkich pozostałych, ale otwierałam je i weszłam do środka. Czytałam nadal, ale pospiesznie zbliżałam się do końca zaklęcia.

Pomieszczenie znajdujące się za drzwiami było ciemne. W migoczącym świetle pochodni trzymanej przez Tauret dostrzegłam najstarszego człowieka świata śpiącego na łóżku – twarz miał pomarszczoną, ręce jak patyki, a skórę tak przejrzystą, że widać było każdą żyłkę. Niektóre mumie w Bahariji wyglądały bardziej żywo od tej wyschniętej skorupy.

– Światło Ra powraca – przeczytałam. Skinęłam głową ku zasłoniętym grubymi kotarami oknom i na szczęście Bes i Carter zrozumieli, czego chciałam. Pociągnęli zasłony i czerwone światło znad Jeziora Ognia zalało pokój. Starzec nie poruszył się. Usta miał zaciśnięte, jakby zaszyte.

Podeszłam do jego łóżka i czytałam dalej. Opisałam przebudzenie Ra o świcie, boga siedzącego na tronie, podczas gdy łódź wspina się na niebo, i rośliny zwracające się ku słonecznemu ciepłu.

– To nie działa – mruknął Bes.

Ogarnęła mnie panika. Pozostały mi tylko dwa wersy. Czułam wzbierającą moc zaklęcia przegrzewającą moje ciało. Wciąż dymiłam, a zapach pieczonej Sadie mi się nie podobał. Musiałam obudzić Ra, żeby nie spłonąć żywcem.

Usta boga... No jasne.

Położyłam zwój na łóżku Ra, z trudem przytrzymując go jedną ręką.

– Śpiewam pochwałę boga słońca.

Wyciągnęłam wolną rękę do Cartera i pstryknęłam palcami.

Na szczęście zrozumiał.

Zaczął grzebać w mojej torbie i podał mi obsydianowy nóż neczeri, który dostałam od Anubisa. Jeśli kiedyś miała być odpowiednia chwila dla Otwarcia Ust, to nadeszła teraz.

Dotknęłam ostrzem ust starca i wypowiedziałam ostatni wers zaklęcia: – Przebudź się, mój królu, wraz z nowym dniem.

Starzec gwałtownie chwycił powietrze. Dym pofrunął do jego ust jakby wciągnięty przez odkurzacz, a magia zaklęcia przeniknęła w jego ciało. Moja temperatura spadła do normy. Omal nie zemdlałam z ulgi.

Ra zamrugął powiekami i otworzył oczy. Z fascynacją przemieszana z przerażeniem obserwowałam, jak w jego żyłach zaczyna znów płynąć krew, powoli nadymając go jak gorące powietrze balon.

Odwrócił się ku mnie, spoglądając oczami pokrytymi mleczną błoną zaćmy.

– Hę?

– On dalej wygląda staro – powiedział nerwowo Carter. – Nie miał aby wyglądać młodo?

Tauret dygnęła przed bogiem słońca (nie próbujcie tego robić w domu, jeśli jesteście ciężarnymi hipopotamicami na obcasach) i położyła mu dłoń na czole.

– Jeszcze nie jest cały – powiedziała. – Musicie dokończyć nocną wędrówkę.

– I trzecią część zaklęcia – domyślił się Carter. – On ma jeszcze jeden aspekt, tak? Skarabeusza?

Bes potaknął, choć bez przesadnego optymizmu.

– Chepri, żuk. Może jeśli znajdziemy ostatnią część jego duszy, on się odrodzi jak należy.

Ra roześmiał się bezzębnymi ustami.

– Lubię zebry!

Byłam tak zmęczona, że zastanawiałam się, czy dobrze słyszę.

– Przepraszam, czy powiedziałaś zebry?

Uśmiechnął się do nas jak dziecko, które właśnie odkryło coś wspaniałego.

– Wiewiórki są chore.

– Ooo-kej – powiedział Carter. – Może on potrzebuje tych...

Carter odczepił od pasa laskę pasterską i bicz i podał je Ra. Stary bóg wsadził

sobie do ust berło w kształcie laski i zaczął je żuć jak smoczek.

Zacząłam się niepokoić, i to nie tylko stanem Ra. Ile czasu minęło i gdzie był Wład Mienszykow?

– Zabierzmy go na łódź – powiedziałam. – Bes, czy mógłbyś...

– Jasne. Wybacz, panie Ra. Muszę cię zanieść. – Podniósł boga słońca z łóżka i wypadliśmy z pokoju. Ra nie mógł wiele ważyć, więc Bes nie miał wielkich problemów z dotrzymaniem nam kroku, nawet na swoich krótkich nóżkach. Biegliśmy korytarzem, tą samą drogą, którą tu przyszliśmy, a Ra szczebiotał: – *Łiii! Łiii! Łiii!*

Chyba nieźle się bawił, ale ja byłam śmiertelnie przerażona. Tyle się namęczyliśmy, żeby obudzić *takiego* boga? Carter wyglądał na równie przygnębionego.

Mijaliśmy biegiem kolejnych wysłużonych bogów, którym udzieliła się ekscytacja. Niektórzy pokazywali nas palcem, wydając jakieś gulgotania. Jeden stary bóg o głowie szakala zaczął potrząsać swoim stojakiem z kroplówką, wrzeszcząc: – Oto nadchodzi słońce i oto słońce odchodzi!

Wpadliśmy do głównej sali i Ra oznajmił: – *A-ha. A-ha*, podłoga.

Jego głowa opadła. Myślałam, że chce się położyć. Ale nagle uświadomiłam sobie, że czemuś się przypatruje. Na podłodze tuż koło mojej stopy połyskiwał srebrny naszyjnik: znajomy amulet w kształcie węża.

Jak na kogoś, kto jeszcze przed chwilą dymił z gorąca, poczułam nagle lodowate zimno.

– Mienszykow – powiedziałam. – Był tutaj.

Carter wyciągnął różdżkę i zbadał pokój.

– Ale gdzie on jest? Czemu miałby to upuścić i iść dalej?

– Zostawił to celowo – domyśliłam się. – Zakpił z nas.

Kiedy tylko wymówiłam te słowa, wiedziałam, że to prawda. Niemalże słyszałam śmiech Mienszykova, który kontynuował podróż w dół rzeki, pozostawiając nas w tyle.

– Musimy dostać się na łódź – zawołałam. – Pospieszmy się, zanim...

– Sadie. – Bes wskazał na kontuar w dyżurce pielęgniarek. Miał ponurą minę.

– O nie – powiedziała Tauret. – Nie, nie, nie...

Na zegarze słonecznym cień wskazywał ósemkę. To oznaczało, że nawet jeśli uda nam się wydostać z Czwartego Domu, nawet jeśli przedostaniemy się przez Piąty, Szósty i Siódmy, nie będzie to miało znaczenia. Według tego,

co powiedziała nam Tauret, brama Ósmego Domu będzie już zamknięta.

Nic dziwnego, że Mienszykow zostawił nas tutaj, nie zwracając sobie głowy walką.

Przegraliśmy walkowerem.

21. Gramy na zwłokę

Po pożegnaniu z Ziyą pod Wielką Piramidą nie sądziłem, że mogę wpaść w większego doła. Myliłem się.

Stojąc w przystani nad Jeziorem Ognia, mogłem równie dobrze rzucić się w lawę.

To nie było sprawiedliwe. Przeszliśmy taką drogę i ryzykowaliśmy tak wiele, żeby po prostu zabrakło nam czasu. Gra skończona. Jak *komukolwiek* mogło się udać przywrócenie Ra? To było niemożliwe.

~ To nie jest gra, Carterze ~ odezwał się w mojej głowie głos Horusa. *~ To nie ma być możliwe. Musicie iść dalej.*

Nie wiedziałem po co. Brama Ósmego Domu już się zamknęła. Mienszykow pożeglował dalej, zostawiając nas w tyle.

Może taki miał plan od samego początku. Zamierzał pozwolić nam częściowo obudzić Ra, żeby słoneczny bóg pozostał stary i słaby. Mienszykow zaś miał nas zostawić uwięzionych w Duat, podczas gdy on uwolni Apopisa za pomocą jakiejś swojej złej magii. Kiedy nadejdzie świt, nie będzie wschodu słońca, Ra nie powróci. Zamiast niego powstanie Apopis, żeby zniszczyć cywilizację. Nasi przyjaciele przez całą noc będą niepotrzebnie walczyć. Dwadzieścia cztery godziny od teraz, kiedy wreszcie uda nam się wydostać z Duat, świat będzie ciemnym, zamrzniętym pustkowiem, nad którym będzie panował chaos. Wszystko, co było nam drogie, zniknie. A Apopis będzie mógł połknąć Ra, żeby dopełnić swojego zwycięstwa.

Po co iść do przodu, skoro bitwa już jest przegrana?

– Generał nigdy nie okazuje rozpaczy – oznajmił Horus. – Dodaje pewności siebie swoim oddziałom. Prowadzi je naprzód, nawet w objęcia śmierci.

– Ej, panie Radosny – odpowiedziałem w myślach. *– Kto cię zapraszał z powrotem do moich myśli?*

Ale mimo że Horus zachowywał się irytująco, miał rację. Sadie mówiła o nadziei – o wierze w to, że możemy stworzyć Maat z chaosu, nawet jeśli wydaje się to niemożliwe. Może to było wszystko, co mogliśmy zrobić: iść dalej,

nie tracić wiary, że uda się uratować coś z katastrofy.

Amos, Ziya, Walt, Jaz, Bastet i nasi młodzi uczniowie... wszyscy oni liczyli na nas. Jeśli nasi przyjaciele jeszcze żyją, nie mogę się poddać. Jestem im coś winien.

Tauret poprowadziła nas do słonecznej łodzi, a kilka jej uszebti zaniósł Ra na pokład.

– Tak mi przykro, Bes – powiedziała. – Szkoda, że nic więcej nie mogę zrobić.

– To nie twoja wina. – Bes wyciągnął rękę, jakby chciał się pożegnać, a kiedy ich palce się zetknęły, chwycił mocno jej dłoń.

– Tauret, to nigdy nie była twoja wina.

Pociągnęła nosem.

– Och, Bes...

– *Łiii!* – wtrącił się Ra, kiedy uszebti układały go na łodzi. – Widzę zebry!

Łiii!

Bes odchrząknął.

Tauret puściła jego rękę.

– Po-powinniście już jechać. Może Jaru udzieli wam odpowiedzi.

– Jaru? – spytałem. – A kto to?

Tauret właściwie nie uśmiechnęła się, ale w jej oczach pojawił się łagodny wyraz.

– Nie kto, mój drogi. *Gdzie*. To Siódmy Dom. Pozdrów swojego ojca.

Trochę mnie to podniosło na duchu.

– Tato tam będzie?

– Powodzenia, Carterze i Sadie. – Tauret pocałowała nas w policzki, co przypominało nieco wytarcie przyjaznym, szorstkim i nieco wilgotnym balonem.

Bogini spojrzała na Besa, a ja nie byłem pewny, czy się nie rozpłaczę. Następnie odwróciła się i pobiegła po schodach, a za nią dreptały jej uszebti.

– Wiewiórki są chore – oznajmił w zamyśleniu Ra.

Z tą boską mądrością wsiedliśmy do łodzi. Świecąca załoga zasiadła do wioseł i słoneczna barka odbiła od brzegu.

– Jeść. – Ra zajął się przeżuwaniami kawałka liny.

– Nie, nie jedz tego, dziadku – powiedziała Sadie kpiąco.

– Ej, dziecko? – odezwał się Bes. – Może jednak nie powinnaś nazywać króla bogów dziadkiem?

– Ale on nim *jest* – odparła Sadie. – Chodź, Ra. Chodź do namiotu. Chcę coś zobaczyć.

– Nie namiot – wymamrotał. – Zebry.

Sadie usiłowała chwycić go za rękę, ale on odczołgał się od niej i wystawił język. W końcu wyjęła mi zza pasa laskę pasterską (oczywiście bez pytania) i zamachała nią jak kością do psa.

– Chcesz berło, Ra? Pyszne, wspaniałe berło?

Ra sięgnął powoli w jej kierunku. Sadie cofnęła się i w końcu zdołała wprowadzić Ra do pawilonu. Jak tylko znalazł się pod pustym baldachimem, wybuchło wokół niego jaskrawe światło, kompletnie mnie oślepiając.

– Patrz, Carter! – krzyknęła Sadie.

– Staram się. – Mrugałem, żeby pozbyć się żółtych plamek sprzed oczu.

Na podniesieniu stało krzesło ze stopionego złota, ognisty tron rzeźbiony w lśniące białe hieroglify. Wyglądał tak, jak opisała go Sadie w jej wizji, ale w rzeczywistości był najpiękniejszym i najbardziej przerażającym meblem, jaki kiedykolwiek widziałem. Światelka załogi zebrały się wokół niego, pobrzękując z podniecenia, jaśniejsze niż wcześniej.

Ra jakby nie zauważył krzesła albo go ono nie obeszło. Jego szpitalna piżama zamieniła się w królewskie szaty ze złotym pektorałem, ale nadal pozostał tym samym przywiędłym starcem.

– Usiądź – rozkazała mu Sadie.

– Nie chcę krzesła – wymamrotał.

– To już prawie kompletne zdanie – zauważyłem. – Może to dobry znak?

– Zebry! – Ra wyrwał Sadie berło i zaczął kuśtykać po pokładzie, wrzeszcząc: – *Łiii! Łiii!*

– Panie Ra! – zawołał Bes. – Ostrożnie!

Zastanawiałem się nad schwytnością boga słońca, zanim wypadnie za burzę, ale nie wiedziałem, jak zareagowałaby na to załoga. Nagle Ra rozwiązał ten problem za nas. Wpadł na maszt i upadł na pokład.

Wszyscy skoczyliśmy ku niemu, ale stary bóg wyglądał tylko na oszołomionego. Obsłinił się i pomrukiwał, kiedy ciągnęliśmy go z powrotem do namiotu i sadzaliśmy na tronie. Było to nie lada sztuką, ponieważ tron wydierał żar o temperaturze jakiegoś tysiąca stopni, a ja nie miałem ochoty zająć się (znów) ogniem. Ra najwyraźniej się tym nie przejmował.

Cofnęliśmy się i patrzyliśmy, jak król bogów opada na swoje krzesło, chrapiąc i przytulając berło niczym pluszowego misia. Położyłem mu bicz

na kolanach w nadziei, że to coś zmieni – może dopełni jego moc albo coś w tym rodzaju. Nic z tego.

– Chore wiewiórki – wymamrotał Ra.

– Spójrzcie – powiedziała z goryczą Sadie. – Oto wielki Ra.

Bes rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Doskonale, moja panno. Śmieję się. My bogowie kochamy, kiedy ludzie się z nas naśmiewają.

Wyraz twarzy Sadie złagodniał.

– Przepraszam, Bes. Nie chciałam...

– Nieważne. – Pomaszerował na dziób łodzi.

Sadie spojrzała na mnie błagalnie.

– Naprawdę, nie chciałam...

– Jest zestresowany – odparłem. – Jak my wszyscy. Będzie dobrze.

Sadie otarła łzę z policzka.

– Świat się zaraz skończy, my utknęliśmy w Duat, a ty uważasz, że będzie dobrze?

– Zobaczymy się z tatą. – Usiłowałem emanować spokojem, mimo że wcale tak się nie czułem. „Generał nigdy nie okazuje rozpacz”. – On nam pomoże.

Płynęliśmy przez Jezioro Ognia, dopóki jego brzegi nie przybliżyły się do siebie, a płomienisty nurt zmienił się znów w wodę. Poświata jeziora pobladała za nami. Prąd rzeki przybrał na sile, a ja wiedziałem, że wpłynęliśmy do Piątego Domu.

Pomyślałem o tacie i o tym, czy rzeczywiście będzie w stanie nam pomóc. Przez ostatnie kilka miesięcy był dziwnie milczący.

Sądzę, że nie powinno mnie to dziwić, zważywszy, że był obecnie Panem Podziemia. Zapewne u siebie na dole nie miał zasięgu. Ale perspektywa spotkania w chwili mojej największej porażki dość mnie deprymowała.

Mimo że rzeka była ciemna, tron ognia był niemal zbyt jasny, żeby na niego patrzeć. Nasza łódź rzucała ciepłą poświatę na brzegi.

Po obu stronach rzeki z mroku wyłaniały się widmowe wioski. Zagubione dusze podbiegały do brzegu, przyglądając się nam. Po tylu tysiącletniach w ciemności były zdumione na widok boga słońca. Wiele z nich usiłowało krzyczeć z radości, ale ich usta nie wydawały dźwięków. Inne wyciągały ręce ku Ra. Z uśmiechem kapały się w jego ciepłym świetle. Ich kształty jakby nabierały ciała. Ich twarze i ubrania odzyskiwały kolor. Kiedy znikły za nami w ciemności, pozostałem z obrazem ich przepełnionych wdzięcznością twarzy

i wyciągniętych rąk.

W jakiś sposób sprawiło to, że poczułem się lepiej. Przynajmniej udało nam się pokazać im słońce po raz ostatni, zanim chaos zniszczy świat. Zastanawiałem się, czy Amos i nasi przyjaciele jeszcze żyją, broniąc Domu Brooklyńskiego przed zastępami Mienszykowa i czekając, aż się zjawimy. Bardzo chciałem znów zobaczyć Ziyę, nawet gdybym miał tylko przeprosić, że ją zawiodłem.

Szybko minęliśmy Piąty i Szósty Dom, ale nie miałem pojęcia, ile naprawdę upłynęło czasu. Widzieliśmy kolejne widmowe wioski, usiane kośćmi plaże, całe jaskinie, w których uskrzydłone ba latały w pomieszeniu, odbijając się od ścian i otaczając barkę słońca niczym cmy lampę na werandzie. Przepłynęliśmy przez kilka straszliwych bystrzy, choć dzięki załodze światełek wydało się to łatwe. Kilka razy z rzeki unosiły się smokopodobne potwory, ale Bes krzyczał BUUU!, a one z jękiem zanurzały się z powrotem pod wodę. Ra przespał to wszystko, chrapiąc niespokojnie na swoim płonącym tronie.

W końcu rzeka zrobiła się powolna i szeroka. Woda była tak gładka jak stopiona czekolada. Barka słońca wpłynęła do kolejnej jaskini, a niebo nad nami wybuchło błękitnymi kryształami, odbijając światło Ra, tak że wyglądało to, jakby prawdziwe słońce wędrowało po jaskrawoniebieskim nieboskłonie. Brzegi porastała bagienna trawa i palmy. Nieco dalej łagodne wzgórza były usiane przytulnie wyglądającymi chatkami z białej suszonej cegły. Nad naszymi głowami przefrunęło stado gęsi. Powietrze pachniało jaśminem i świeżo upieczonym chlebem. Poczułem, że całe ciało mi się rozluźnia – jak po długiej wędrówce, kiedy wchodzisz do domu i możesz się zwalić na łóżko.

– Jaru – oznajmił Bes. Jego głos brzmiał już nieco mniej opryskliwe. Zmarszczki znamionujące zmartwienie znikły z jego twarzy. – Egipskie zaświaty. Siódmy Dom. Wy pewnie nazwalibyście go Rajem.

– Nie żebym narzekała – odparła Sadie. – Jest tu znacznie przyjemniej niż w Słonecznej Równinie, no i wreszcie pachnie porządnym jedzeniem. Ale czy to oznacza, że umarliśmy?

Bes pokręcił przecząco głową.

– To był stały etap nocnej trasy Ra – jego przerwa techniczna, pewnie byście powiedzieli. Gawędził przez chwilę z gospodarzem, jadł, pił i wypoczywał przed ostatnim odcinkiem podróży, który jest najniebezpieczniejszy.

– Gospodarzem? – spytałem, choć byłem niemal pewny, kogo Bes miał na myśli.

Nasza łódź zwróciła się ku przystani, gdzie stali, czekając na nas, mężczyzna

i kobieta. Tato miał na sobie swój ulubiony brązowy garnitur, a jego skóra połyskiwała błękitem. Mama lśniła widmową bielą, a jej stopy niezupełnie dotykały desek pomostu.

– Oczywiście – odpowiedział Bes. – To przecież Dom Ozyrysa.

– Sadie, Carterze. – Tato uściskał nas, jakbyśmy byli wciąż małymi dziećmi, ale żadne z nas nie protestowało.

Wydawał się cielesny, ludzki, zupełnie jak dawniej, więc musiałem wysilić całą wolę, żeby się nie rozplakać. Jego bródka była elegancko przystrzyżona. Jego ogolona głowa połyskiwała. Nawet woda kolońska pozostała ta sama: delikatny zapach ambry.

Trzymał nas przez chwilę na odległość wyciągniętego ramienia, żeby się nam dobrze przyjrzeć, a oczy mu błyszczały. Niemal byłem skłonny uwierzyć, że jest nadal zwykłym śmiertelnikiem, ale kiedy przyglądałem się bliżej, widziałem inną warstwę jego wyglądu, jakby nałożony nieostry obraz: mężczyznę o niebieskiej skórze w białych szatach i w koronie faraona na głowie. Na szyi nosił amulet *dzed*, symbol Ozyrysa.

– Tato – powiedziałem. – Ponieśliśmy porażkę.

– Ciii – odparł. – Ani słowa o tym. Teraz jest czas na odpoczynek i odnowę. Mama uśmiechnęła się.

– Obserwowaliśmy was. Byliście oboje tacy dzielni.

Jej widok był jeszcze trudniejszy do zniesienia niż taty. Nie mogłem jej objąć, ponieważ nie miała fizycznego ciała, a kiedy dotknęła mojego policzka, czułem tylko powiew ciepłej bryzy. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem – rozpuszczone jasne włosy opadające na ramiona, niebieskie oczy pełne życia – ale teraz była jedynie duchem. Jej biała suknia wyglądała jak utkana z mgły. Kiedy patrzyłem prosto na nią, jakby rozpływała się w świetle słonecznej barki.

– Jestem bardzo dumna z waszej dwójki – powiedziała. – Chodźcie, ucza przygotowana.

Byłem oszołomiony, kiedy prowadzili nas na brzeg. Bes wziął na ręce boga słońca, który najwyraźniej wpadł w dobry humor po zderzeniu z masztem i drzemce. Ra uśmiechał się do nas bezzębnie, powtarzając: – Jak cudnie. Ucza? Zebry?

Widmowi służący w staroegipskich ciuchach poprowadzili nas ku pawilonowi pod gołym niebem, przed którym stały posągi bogów naturalnej wielkości. Przeszliśmy przez kładkę nad fosą pełną krokodyli albinosów,

co przypomniało mi Filipa Macedońskiego i nastroiło do rozmyślań, co mogło się teraz dziać w Domu Brooklyńskim.

Następnie wszedłem do pawilonu i szczęka mi opadła.

Zastawiono tam ucztę na długim mahoniowym stole – *naszym* starym stole z jadalni w domu w Los Angeles. Dostrzegłem nawet rysę, którą zrobiłem moim pierwszym scyzorykiem Swiss Army – była to jedyna okazja, kiedy tato naprawdę się na mnie rozgniewał. Krzesła były ze stali nierdzewnej i ze skórzanymi poduszkami, takie jak zapamiętałem. A kiedy wyjrzałem na zewnątrz, dwa krajobrazy nakładały się na siebie: raz były to porośnięte trawą wzgórza i jasne niebieskie niebo zaświatów, a raz białe ściany i wielkie okna naszego starego domu.

– Oj... – pisnęła Sadie. Spojrzenie utkwiała w samym środku stołu. Pomiędzy talerzami z pizzą, misami posypanych cukrem truskawek i wszelkim innym jedzeniem, jakie sobie można wyobrazić, stał biało-niebieski tort lodowy, ten sam, który eksplodował w szóste urodziny Sadie.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza – powiedziała mama. – Uznałam, że to wielka szkoda, że nie zdążyłaś go wtedy skosztować. Wszystkiego najlepszego, Sadie.

– Siadajcie, proszę. – Tato rozłożył ręce. – Beś, stary druhu, możesz posadzić pana Ra u szczytu stołu?

Zacząłem się sadowić na krześle stojącym najdalej od Ra, ponieważ nie miałem ochoty, żeby na mnie pluł, gdy będzie przeżuwał jedzenie, ale przeszkodziła mi mama.

– Och, nie tu, kochanie. Usiądź koło mnie. Tamto krzesło jest dla... innego gościa.

Wymówiła ostatnie dwa słowa, jakby pozostawiały jej gorzki posmak w ustach.

Rozejrzałem się wokół stołu. Krzesel było siedem, a nas tylko sześcioro.

– Kto jeszcze przyjdzie?

– Anubis? – spytała Sadie z nadzieją.

Tato zaśmiał się.

– Nie Anubis, choć jestem przekonany, że chętnie by się zjawił, gdyby tylko mógł.

Sadie przygasała, jakby ją ktoś wyłączył. [Tak, Sadie, to aż tak było widać].

– Gdzie on w takim razie jest? – spytała.

Tato milczał tak długo, że wyczułem jego niepewność.

– Wyjechał. Może się posilimy, co?

Usiadłem i wziąłem od widmowego kelnera kawałek tortu urodzinowego. Można by pomyśleć, że nie powinienem być głodny, skoro kończył się świat, nasza misja brała w łeb, a ja siedziałem w Krainie Umarłych przy stole z mojej przeszłości, z duchem mamy i tatą w kolorze jagodowym. Mojego żołądka to wszystko jednak nie obchodziło. Dawał mi do zrozumienia, że nadal żyję i potrzebuję jedzenia. Tort był czekoladowy z lodami waniliowymi. Smakował bosko. Zanim się zorientowałem, wylizałem po nim talerz i zacząłem nakładać sobie pizzę pepperoni. Stojące za nami posągi bogów – Horusa, Izydy, Thota, Sobka – przyglądały się w milczeniu, podczas gdy my jedliśmy. Na zewnątrz pawilonu rozciągało się Pole Jaru, jakby ta grotka była nieskończona – zielone wzgórza i łąki, stada tłustego bydła, pola zbóż, sady pełne palm daktylowych. Strumienie przecinały bagna, tworząc mozaikę wysepek, zupełnie jak w Delcie Nilu. Wioski błogosławionych umarłych jak z pocztówek. Po rzece pływały żaglówki.

– Tak to wygląda dla starożytnych Egipcjan – wyjaśnił tato, jakby czytał mi w myślach. – Ale każda dusza widzi Jaru nieco inaczej.

– Na przykład jako nasz dom w Los Angeles? – spytałem. – Nasza rodzina znów razem wokół stołu w jadalni? Czy to w ogóle jest prawdziwe?

Oczy taty posmutniały tak samo jak dawniej, gdy pytałem o śmierć mamy.

– Tort jest dobry, co? – zapytał. – Moja mała dziewczynka skończyła trzynaście lat. Nie mogę uwierzyć...

Sadie zepchnęła swój talerz ze stołu. Roztrzaskał się o kamienną posadzkę.

– No i co z tego? – krzyknęła. – Cholerny zegar... głupie bramy... ponieśliśmy klęskę!

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

– Sadie. – Mama podfrunęła ku niej niczym przyjazna mgiełka. – Wszystko dobrze.

– Rogalik – podpowiedział ochoczo Ra z rozsmarowanym wokół ust lukrem, który wyglądał jak broda. Zaczął się zsuwać ze swojego krzesła, ale Bes wepchnął go na miejsce.

– Sadie ma rację – powiedziałem. – Ra jest w gorszej formie, niż przypuszczaliśmy. Nawet gdyby udało nam się wydostać go z powrotem do świata śmiertelników, w żaden sposób nie zdoła pokonać Apopisa... chyba że Apopis umrze ze śmiechu.

Tato zmarszczył brwi.

– On nadal jest Ra, faraonem wśród bogów, Carterze. Okaż nieco szacunku.

– Nie znoszę bąbelków! – Ra zamachnął się na usługującą do stołu świetlistą kulę, która usiłowała obetrzeć mu usta.

– Panie Ra – zwrócił się do niego tato – przypominasz mnie sobie? Jestem Ozyrysem. Jadałeś ze mną przy jednym stole każdej nocy, odpoczywając przed podróżą do świtu. Pamiętasz to?

– Chcę wiewiórkę – oznajmił Ra.

Sadie walnęła pięścią w stół.

– Co to w ogóle *znaczy*?

Bes nabrał pełną garść czegoś w czekoladzie – obawiałem się, że mogła to być szarańcza – i wrzucił sobie do ust.

– Nie skończyliśmy z Księżą Ra. Musimy znaleźć Chepriego.

Tato pogładził swoją bródkę.

– Tak, boga skarabeusza, postać Ra jako wschodzącego słońca. Może jeśli go odnajdziecie, Ra odrodzi się całkowicie. Ale najpierw musicie przejść przez bramę Ósmego Domu.

– Która jest zamknięta – odparłem. – Musielibyśmy, że tak powiem, odwrócić czas.

Bes przestał przeżuwać szarańczę. Jego oczy zrobiły się tak wielkie, jakby właśnie doznał objawienia. Spojrzał z niedowierzaniem na mojego tatę.

– On? Zaprosiliście jego?

– Kogo? – zapytałem. – O kim wy mówicie?

Gapilem się na tatę, ale on nie odwzajemniał spojrzenia.

– O co chodzi, tato? – dopytywałem. – Da się przejść przez tę bramę? Możesz nas teleportować na drugą stronę albo coś w tym rodzaju?

– Bardzo bym chciał móc to zrobić, Carterze. Ale wy musicie zmierzać ustaloną trasą. To część odrodzenia Ra. Nie mogę tego zaburzyć. Masz jednak rację, że potrzebujecie nieco dodatkowego czasu. To może być do załatwienia, aczkolwiek nigdy bym tego nie proponował, gdyby gra nie szła o tak wysoką stawkę...

– To niebezpieczne – ostrzegła mama. – Myślę, że *zbyt* niebezpieczne.

– Co jest *zbyt* niebezpieczne? – spytała Sadie.

– Ja, jak przypuszczam – odezwał się jakiś głos za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę opierającego się o moje krzesło. Albo podszedł bardzo cicho, albo pojawił się tam znikąd.

Musiał mieć około dwudziestu lat, był chudy, wysoki i dość oszłamiający.

Jego twarz była całkowicie ludzka, ale miał srebrne źrenice. Głowę miał ogoloną, jeśli nie liczyć lśniącego końskiego ogona z boku głowy – tak jak nosili egipscy młodzieńcy. Jego srebrzysty garnitur wyglądał na włoski (wiem to tylko dlatego, że zarówno tato, jak i Amos przykładają wielką wagę do garniturów). Materiał połyskiwał niczym dziwaczna mieszanka jedwabiu i folii aluminiowej. Koszulę miał czarną i bez kołnierzyka, a na jego szyi wisiało parę kilo platynowych łańcuchów. Ale najbardziej rzucał się w oczy srebrny amulet w kształcie półksiężyca. Kiedy zabębnił palcami o oparcie mojego krzesła, rozbłysły pierścienie i platynowy rolex. Gdybym zobaczył go w świecie śmiertelników, uznałbym go za młodego indiańskiego miliardera, właściciela sieci kasyn. Ale tu, w Duat, z tym amuletem w kształcie półksiężyca na szyi...

– Rogalik! – zagdakał radośnie Ra.

– Jesteś Chonsu – domyśliłem się. – Bóg księżyca.

Posłał mi uśmiech, który skojarzył mi się z wilkiem oceniającym przekąskę.

– Do usług – odpowiedział. – Jacyś chętni na partyjkę?

– Tylko nie ty – warknął Bes.

Chonsu rozłożył ramiona, ściskając powietrze.

– Bes, stary druhu! Jak leci?

– Nie „starodruhuj” mi, draniu.

– Ranisz mnie! – Chonsu usiadł po mojej prawej i nachylił się ku mnie konspiracyjnie. – Wiele lat temu nieszczęsny Bes grał ze mną, wiesz? Chciał dostać więcej czasu z Bastet. Postawił kilka łokci swojego wzrostu. Niestety przegrał.

– Wcale tak nie było! – ryknął Bes.

– Panowie – odezwał się tato swoim najbardziej ojcowskim tonem. – Jesteście obaj gośćmi przy moim stole. Nie życzę sobie żadnych sprzeczek.

– Ależ oczywiście, Ozyrysie. – Chonsu promiennie uśmiechnął się do taty. – Czuję się zaszczycony tym zaproszeniem. A to muszą być twoje sławetne dzieci? Wspaniale! Gotowi do gry, młodzi ludzie?

– Juliusie, oni nie rozumieją ryzyka – zaprotestowała mama. – Nie możemy im na to pozwolić.

– Zaczekajcie – wtrąciła się Sadie. – Na co właściwie?

Chonsu pstryknął palcami i całe jedzenie znikło ze stołu, a zastąpiła je połyskująca srebrem plansza do senet.

– Nigdy o mnie nie słyszałaś, Sadie? Izyda nic ci nie opowiedziała? Albo Nut? Z tej to jest hazardzistka! Bogini nieba nie przestała grać, dopóki nie

wygrała ode mnie całych pięciu dni. Wiesz, jakie jest prawdopodobieństwo przegranej, gdy stawką jest taka ilość czasu? Astronomiczne! Oczywiście ona ma ciało pokryte gwiazdami, więc pewnie *jest* astronomiczna.

Chonsu roześmiał się z własnego dowcipu. I najwyraźniej nie przejął się, że nikt nie śmieje się razem z nim.

– Pamiętam – powiedziałem. – Grałeś z Nut, a ona wygrała dość światła księżycowego, żeby stworzyć pięć dodatkowych dni, Dni Demonów. Tak udało jej się obejść rozkaz Ra, żeby jej dzieci nie urodziły się w żadnym dniu roku.

– Nuty – wymamrotał Ra. – Niedobre nuty.

Bóg księżycy uniósł brwi.

– Ojoj, Ra jest w złej formie, nieprawdaż? A poza tym istotnie, Carterze Kane. Masz całkowitą rację. Jestem bogiem księżycy, ale posiadam też pewien wpływ na czas. Mogę wydłużyć lub skrócić życie śmiertelników. Nawet bogowie są pod wpływem mojej mocy. Bo wiesz, księżyc jest zmienny. Jego światło wzrasta i kurczy się. W moich rękach czas również może rosnać lub maleć. Powiedzmy, że potrzebujesz... ile? Dodatkowych trzech godzin? Mogę je dla ciebie utkać ze światła księżycowego, jeśli ty i twoja siostra jesteście gotowi zagrać ze mną o to. Mogę sprawić, że brama Ósmego Domu nie będzie jeszcze zamknięta.

Absolutnie nie rozumiałem, jak on to może zrobić – cofnąć czas, dołożyć trzy dodatkowe godziny do nocy – ale po raz pierwszy od wizyty w Słonecznej Równinie dostrzegłem iskierkę nadziei.

– Jeśli jesteś w stanie pomóc, to czemu po prostu nie *dasz* nam tego dodatkowego czasu? Tu chodzi o losy świata.

Chonsu roześmiał się.

– A to dobre! *Dać* wam czas! Nie no, bądźmy poważni. Jeśli zacznę rozdawać coś tak cennego, Maat się rozsypie. A poza tym nie da się grać w senet o nic. Bes może wam to powiedzieć.

Bes wypluł czekoladowe odnoże szarańczy.

– Nie rób tego, Carter. Wiesz, co mówiono o Chonsu w dawnych czasach? W kamieniach niektórych piramid wykuto poemat o nim. Ma tytuł *Hymn kanibala*. Za odpowiednią cenę Chonsu pomagał faraonowi zabijać wszystkich bogów, którzy mu przeszkadzali. Pożerał ich dusze i wchłaniał ich moc.

Bóg księżycy przewrócił oczami.

– To dawne czasy, Bes! Nie pożarłem ani jednej duszy w... który mamy miesiąc? Marzec? W każdym razie całkowicie się przystosowałem do tego

nowoczesnego świata. Jestem teraz zupełnie cywilizowany. Powinieneś zobaczyć mój apartament na ostatnim piętrze hotelu Luxor w Las Vegas. No, wybacz! Ameryka jest cywilizowana!

Uśmiechnął się do mnie, a jego srebrne oczy błyskały jak u rekina.

– No więc, co powiesz, Carterze? Sadie? Zagrajcie ze mną w senet. Trzy pionki dla mnie, trzy dla was. Musicie wygrać trzy godziny światła księżycowego, więc dobieście jeszcze jedną osobę, żeby móc obstawiać. Za każdy pionek, który wasza drużyna zdoła wyprowadzić z planszy, dostajecie jedną godzinę. Jeśli wygracie, oznacza to trzy dodatkowe godziny – dokładnie tyle, ile potrzebujecie, żeby przejść przez bramę Ósmego Domu.

– A co jeśli przegramy? – spytałem.

– Och... wiesz. – Chonsu machnął ręką, jakby była to tylko nieprzyjemna formalność. – Za każdy razem, kiedy to ja zdejmę pionek, zabiorę *ren* jednego z was.

Sadie wyprostowała się.

– Zabierzesz nasze tajemne imiona... to znaczy, będziemy musieli ci je wyjawić?

– Wyjawić... – Chonsu pogładził swój kucyk, jakby usiłował przypomnieć sobie, co znaczy to słowo. – Nie, nie wyjawić. Widzisz, ja *pożrę* wasze *ren*.

– Wymażesz część naszych dusz – powiedziała Sadie. – Zabierzesz nasze wspomnienia, naszą tożsamość.

Bóg księżycy wzruszył ramionami.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie umrzesz. Po prostu...

– Zamienię się w warzywo – dokończyła Sadie. – Jak ten tu Ra.

– Nie chcę warzyw – wymamrotał z irytacją Ra. Usiłował ugryźć koszulę Besa, ale karzeł zdążył się odsunąć.

– Trzy godziny – powiedziałem – za cenę trzech dusz.

– Carterze, Sadie – odezwała się nasza mama – nie musicie tego robić. Nie oczekujemy od was podjęcia tego ryzyka.

Widziałem ją tyle razy na zdjęciach i w moich wspomnieniach, ale po raz pierwszy uderzyło mnie, jak bardzo Sadie jest do niej podobna... a może zaczyna ją przypominać. Obie miały tę samą płomienną determinację w oczach. Obie unosiły podbródek, kiedy spodziewały się walki. I obie nie umiały dobrze ukrywać swoich uczuć. Drżący głos mamy wyraźnie mówił mi, że wie, co musi się stać. Mówiła nam, że mamy wybór, ale wiedziała, że to nieprawda.

Spojrzałem na Sadie i w milczeniu podjęliśmy decyzję.

– Nie ma problemu, mam – powiedziałem. – Ty poświęciłaś życie, żeby zamknąć więzienie Apopisa. Jak moglibyśmy się wycofać?

Chonsu zatarł ręce.

– Ach, tak, więzienie Apopisa! Wasz przyjaciel Mienszykow jest tam teraz, rozluźnia więzy Węża. O tyle rzeczy można by zagrać! Czy dostaniecie się tam na czas, żeby go powstrzymać? Czy wyprowadzicie Ra na świat? Czy pokonacie Mienszykowa? Stawiam sto do jednego na to ostatnie!

Mama zwróciła się do taty z rozpaczą.

– Powiedz im, Juliusie! To zbyt niebezpieczne.

Tato wciąż trzymał w ręce talerzyk z niedojedzonym tortem urodzinowym. Wpatrywał się w topniejące lody tak, jakby to był najsmutniejszy widok na świecie.

– Carterze i Sadie – odezwał się w końcu. – Zaprosiłem tu Chonsu, żebyście mogli dokonać wyboru. Ale cokolwiek postanowicie, i tak będę z was dumny. To się nie zmieni, nawet jeśli świat skończy się dziś wieczorem.

Spojrzał mi prosto w oczy, a ja widziałem, że perspektywa utraty któregoś z nas bardzo go boli. W zeszłe święta w Muzeum Brytyjskim poświęcił swoje życie, żeby wyzwolić Ozyrysa i przywrócić równowagę Duat. Zostawił Sadie i mnie samych, a ja długo miałem o to do niego pretensje. Teraz zdałem sobie sprawę z tego, jak to jest być w jego sytuacji. Był gotowy poświęcić wszystko, nawet życie, dla wielkiej sprawy.

– Rozumiem, tato – odpowiedziałem. – Należymy do rodziny Kane'ów. Nie uciekamy przed trudnymi decyzjami.

Nie odpowiedział, tylko powoli kiwnął głową. Jego oczy zapłonęły dumą.

– Tym razem – dodała Sadie – Carter ma rację. Zagramy w twoją głupią grę, Chonsu.

– Doskonale! – zawołał. – To już dwie dusze. Dwie godziny do wygrania. Ach, ale przecież potrzebujecie trzech godzin, żeby dotrzeć do bramy na czas, nieprawdaż? Hmm. Obawiam się, że nie możecie wybrać Ra. Nie jest do końca sobą. Wasza matka już nie żyje. Wasz ojciec jest sędzią w podziemiu, co wyklucza go ze stawiania duszy...

– Ja to zrobię – odezwał się Bes. Był posepny, ale i zdeterminowany.

– Stary druhu! – krzyknął Chonsu. – Jakże się cieszę!

– Wypchaj się, księżycowy – odparł Bes. – Nie podoba mi się to, ale to zrobię.

– Bes – powiedziałem – już dość dla nas zrobiłeś. Bastet nie oczekiwałaby

od ciebie...

– Nie robię tego dla Bastet! – burknął. Po czym wziął głęboki oddech. – Słuchaj, to wy jesteście prawdziwą stawką. Przez ostatnie kilka dni – po raz pierwszy od wieków poczułem się znowu potrzebny. Ważny. Nie jakaś tam prowincjonalna atrakcja. Jeśli wszystko się posypie, powiedzcie tylko Tauret... – Odchrząknął i rzucił Sadie porozumiewawcze spojrzenie. – Powiedz jej, że usiłowałem zawrócić zegar.

– Och, Bes. – Sadie wstała i obiegła stół. Przytuliła boga karła i pocałowała go w policzek.

– Dobrze już, dobrze – wymamrotał. – Nie rozczulaj się nade mną. Grajmy już.

– Czas to pieniądz – przytaknął Chonsu.

Nasi rodzice wstali od stołu.

– Nie możemy przy tym być – powiedział tato. – Ale, dzieci... – Chyba nie bardzo wiedział, jak dokończyć tę myśl. „Powodzenia” raczej nie załatwiłoby sprawy. Widziałem w jego oczach poczucie winy i zmartwienie, ale usilnie starał się nie dać tego po sobie poznać.

– Kochamy was – dokończyła za niego mama. – Wygracie.

Z tymi słowy nasi rodzice rozplłynęli się w mgłę i znikli. Na zewnątrz pawilonu pociemniało jak na scenie. Plansza do senet rozblęśla jaśniej.

– Błyszczysz – oznajmił Ra.

– Trzy niebieskie pionki dla was – oznajmił Chonsu – trzy srebrne dla mnie. No, kto czuje przypływ szczęścia?

Gra zaczęła się nie najgorzej. Sadie bardzo sprawnie rzucała patyczkami. Bes miał za sobą tysiąclecia doświadczeń. Moim zadaniem było przesuwanie pionków i pilnowanie, żeby Ra ich nie zjadł.

Z początku nie było widać, kto wygrywa. Po prostu rzucaliśmy i poruszaliśmy się i trudno byłoby uwierzyć, że graliśmy o nasze dusze albo tajemne imiona, albo jakkolwiek by to nazwać.

Wrzuciliśmy jeden z pionków Chonsu z powrotem na start, ale on nie przejął się tym zbyt. Cieszył się absolutnie z wszystkiego.

– Nie dręczy cię to? – zapytałem w pewnym momencie. – Pożeranie niewinnych dusz?

– Nieszczęśliwie. – Potarł swój księżycowy amulet. – A powinno?

– Przecież my usiłujemy ocalić świat – odparła Sadie. – Maat, bogów...

wszystko. Nie obchodzi cię, że świat popadnie w chaos?

– Och, to nie będzie aż tak okropne – oznajmił Chonsu. – Zmiany przychodzą fazami: Maat i chaos, chaos i Maat. Jako bóg księżyca doceniam odmiany. Taki Ra, biedaczek... on zawsze trzymał się rozkładu jazdy. Ta sama droga co noc. Przewidywalne i nudne. Pójście na emeryturę było najciekawszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił. Jeśli Apopis zwycięży i połknie słońce, to cóż... księżyc zapewne pozostanie na swoim miejscu.

– Jesteś szalony – powiedziała Sadie.

– Ha! Założę się o pięć dodatkowych minut światła księżycowego, że jestem całkowicie zdrowy na umyśle.

– Wypchaj się – odparła Sadie. – Rzucaj.

Chonsu rzucił patyczkami. Zła wiadomość: zrobił niepokojące postępy. Wyrzucił piątkę i dotarł jednym z pionków prawie do końca planszy. Dobra wiadomość: pionek utknął w Domu Trzech Prawd, co oznaczało, że do wyjścia potrzebował wyrzucić trójkę.

Bes wpatrywał się w napięciu w planszę. Najwyraźniej układ pionków nie podobał mu się. Mieliśmy jeden pionek bardzo blisko startu i dwa w ostatnim rzędzie planszy.

– Ostrożnie – ostrzegł nas Chonsu. – Teraz zacznie się robić ciekawie.

Sadie wyrzuciła czwórkę, co dawało nam dwie możliwości. Nasz główny pionek mógł wyjść z planszy. Drugi pionek mógł wybić pionek Chonsu z Domu Trzech Prawd z powrotem na start.

– Zbij go – powiedziałem. – Tak będzie bezpieczniej.

Bes potrząsnął głową.

– Wtedy to my ugrzęźniemy w Domu Trzech Prawd. Szansa, że on wyrzuci trójkę, jest niewielka. Wyjdźcie pierwszym pionkiem. W ten sposób zapewnicie sobie przynajmniej jedną dodatkową godzinę.

– Jedna nie wystarczy – odparła Sadie.

Chonsu najwyraźniej bawił się naszym niezdecydowaniem. Z uśmiechem popijał wino ze srebrnego pucharu. Ra tymczasem zabawiał się, usiłując poodczepiać kolce ze swojego wojennego bicia.

– Au, au, au.

Z czoła spływał mi pot. Jak można się pocić przy grze *planszowej*?

– Jesteś przekonany, Bes?

– To najlepsze rozwiązanie – odparł.

– The best of Bes? – zachichotał Chonsu. – Cudne!

Miałem ochotę uderzyć boga księżycy, ale siedziałem cicho. Zdjąłem pierwszy z naszych pionków z planszy.

– Gratulacje! – oznajmił Chonsu. – Jestem wam winien jedną godzinę księżycowego światła. A teraz mój ruch.

Rzucił patyczkami, które zagrzechotały na stole, a ja poczułem się tak, jakby ktoś przeciągnął mi przez zębra linę od windy i zrzucił moje serce na sam dół szybu. Chonsu wyrzucił trójkę.

– Hopsa! – Ra rzucił bicz.

Chonsu zdjął pionek z planszy.

– Co za pech. Dobra, czyje *ren* mam zabrać jako pierwsze?

– Proszę, nie! – zaprotestowała Sadie. – Zmieńmy umowę. Zabierz nam raczej tę godzinę, którą jesteś nam winny.

– To niezgodne z regułą – zadrwił Chonsu.

Spojrzałem na rysę w blacie, którą zrobiłem, kiedy miałem osiem lat. Wiedziałem, że to wspomnienie zniknie, podobnie jak wszystkie inne. Jeśli oddam moje *ren* Chonsu, Sadie przynajmniej zdoła rzucić ostatnią część zaklęcia. Bes będzie jej potrzebny, żeby ją chronić i jej doradzać. Tylko ja byłem tu zbytyczny.

– Ja... – zacząłem.

– Weź moje – wtrącił się Bes. – To ja doradziłem ten ruch.

– Bes, nie! – krzyknęła Sadie.

Karzeł wstał. Zaparł się nogami w ziemię i zwinął dłonie w pięści, jakby był gotów odejść z wielkim BUUU. Miałem nadzieję, że właśnie tak zrobi, żeby wystraszyć Chonsu, ale on spojrzał na nas z rezygnacją.

– To część strategii, dzieci.

– Co? – spytałem. – Ty to *zaplanowałeś*?

Zdjął swoją hawajską koszulę, poskładał ją elegancko i położył na stole.

– Najważniejsze, żebyście zdjęli wszystkie swoje pionki z planszy, nie tracąc więcej niż jednego. Tylko tak da się to zrobić. Teraz bez trudu go pokonacie. Czasem trzeba poświęcić pionek, żeby wygrać grę.

– Święta prawda – przytaknął Chonsu. – Co za radość! *Ren* boga. Jesteś gotowy, Bes?

– Bes, nie rób tego – błagałem. – To nie w porządku.

Spojrzał na mnie krzywo.

– Ej, chłopcze, ty też chciałeś się poświęcić. Uważasz, że nie jestem równie odważny jak jakiś smarkaty mag? A poza tym jestem bogiem. Kto wie?

My czasem wracamy. A teraz wygrajcie grę i zmykajcie stąd. Kopnijcie ode mnie Mienszykowa w kolano.

Usiłowałem wymyślić, co by tu powiedzieć, coś, co by powstrzymało to wszystko, ale Bes zwrócił się do Chonsu: – Jestem gotowy.

Bóg księżycy zamknął oczy i wziął głęboki wdech, jakby rozkoszował się górskim powietrzem. Kształt Besa zamigotał. Rozpłynął się w kalejdoskop zmieniających się w tempie błyskawicy obrazów: grupa karłów tańczących w świątyni przy świetle ognia; tłum Egipcjan bawiących się podczas święta, niosących Besa i Bastet na ramionach; Bes i Tauret w togach w jakiejś rzymskiej willi, jedzący winogrona i śmiejący się razem na sofie; Bes ubrany jak Jerzy Waszyngton w pudrowanej peruczce i jedwabnym tużurku, robiący młynki przed brytyjskimi oddziałami w czerwonych mundurach; Bes w oliwkowym mundurze amerykańskiego komandosa, odstrasżający demona w hitlerowskim mundurze.

Jego kształt się rozplątał, a przed nami pojawiły się najnowsze obrazy: Bes w mundurze szofera z tabliczką z napisem KANE; Bes wyciągający nas z tonącej w Morzu Śródziemnym limuzyny; Bes rzucający na mnie zaklęcia w Aleksandrii, żeby wyleczyć mnie z trucizny; Bes i ja na pace ciężarówki Beduinów, zjadający kozie mięso i popijający śmierdzącą benzyną wodę, kiedy podróżowaliśmy wzdłuż Nilu. I jego ostatnie wspomnienie: dwójka dzieci, Sadie i ja, wpatrzonych w niego z miłością i troską. Następnie obraz zbladł i Bes zniknął. Znikła nawet jego hawajska koszula.

– Zabrałeś go całego! – wrzasnąłem. – Jego ciało... wszystko. Nie tak się umawialiśmy!

Chonsu otworzył oczy i westchnął głęboko.

– To było boskie. – Uśmiechnął się do nas, jak gdyby nigdy nic. – Teraz chyba wasza kolej.

Jego srebrne oczy były zimne i jasne, a ja miałem wrażenie, że przez resztę życia będę nienawidził widoku księżycy. Może to był gniew albo strategia Besa, a może właśnie uśmiechnęło się do nas szczęście, ale teraz pokonaliśmy Chonsu bez trudu. Zbijaliśmy jego pionki przy każdej okazji. Pięć minut później nasz ostatni pionek zszedł z planszy.

Chonsu rozłożył ręce.

– Doskonała robota! Trzy godziny są wasze. Jeśli się pośpieszycie, zdążycie dotrzeć do bram Ósmego Domu.

– Nienawidzę cię – oznajmiła Sadie. Były to jej pierwsze słowa, odkąd Bes

zniknął. – Jesteś zimnym, wyrachowanym, okropnym...

– Jestem dokładnie tym, czego potrzebowaliście. – Chonsu zdjął swój platynowy zegarek i cofnął wskazówki: jedna, dwie, trzy godziny.

Stojące wokół nas posągi bogów zamigotały i podskoczyły, jakby cały świat stanął na głowie.

– A teraz – powiedział Chonsu – zamierzacie spędzić ten ciężko zapracowany czas na narzekaniu? A może postaracie się ocalić tego starego głupiego króla?

– Zebry – wymamrotał Ra z nadzieją w głosie.

– Gdzie są nasi rodzice? – zapytałem. – Może przynajmniej się pożegnamy?

Chonsu pokręcił głową.

– Czas jest cenny, Carterze Kane. Powinieneś się tego nauczyć. Najlepiej wyśle was teraz w drogę, ale jeśli kiedykolwiek chcielibyście znów ze mną zagrać... o sekundy, godziny, a nawet dni – dajcie mi znać. Jesteście wypłacalni.

Nie byłem w stanie tego znieść. Rzuciłem się na Chonsu, ale bóg księżyca zniknął. Cały pawilon rozpułynał się w powietrzu, a Sadie i ja staliśmy znów na pokładzie słonecznej barki, płynąc z nurtem mrocznej rzeki. Światelka załogi uwijały się wokół nas, siadając do wiosł i poprawiając żagiel. Ra siedział na swoim ognistym tronie, bawiąc się laską i biczem, jakby były to kukiełki pogrążone w wymyślonej rozmowie.

Przed nami z ciemności wynurzyła się ogromna kamienna brama. W kamieniu wyrzeźbione było osiem ogromnych węży, cztery po każdej stronie. Skrzydła bramy powoli się zamykały, ale słoneczna łódź wemknęła się w ostatniej chwili. Wpłynęliśmy do Domu Wyzwań.

Muszę powiedzieć, że Ósmy Dom nie wydawał się szczególnym „wyzwaniem”. Owszem, walczyliśmy z potworami. Z rzeki podniosły się węże. Powstały demony. Statki pełne upiorów usiłowały staranować barkę słońca. Pokonaliśmy wszystko. Byłem tak zły, tak zrozpaczony po utracie Besa, że w każdym zagrożeniu widziałem księżycowego boga Chonsu. Nasi wrogowie nie mieli żadnych szans.

Sadie rzucała zaklęcia, jakich nigdy nie widziałem. Przywoływała tafle lodu, które prawdopodobnie stanowiły odbicie jej nastroju, pozostawiając za nami demoniczne góry lodowe. Zamieniła całą zgrają widmowych piratów w kiwające głowami figurki Chonsu, a następnie unicestwiła je miniaturowym wybuchem jądrowym. Przez cały ten czas Ra bawił się swoimi zabawkami, a światelka fruwały podekscytowane nad pokładem, najwyraźniej czując, że nasza podróż zbliża się do krytycznych etapów. Dziewiąty, Dziesiąty i Jedenasty Dom

przemknęły w mgnieniu oka. Od czasu do czasu słyszałem za sobą chlupot w wodzie, jakby wiosła innej łodzi. Spoglądałem za siebie, zastanawiając się, czy Mienszykow znów zdołał jakoś złapać nasz ślad, ale nic nie widziałem. Jeśli coś *podążało* za nami, wiedziało doskonale, jak się ukrywać.

W końcu usłyszałem przed nami grzmot kolejnego wodospadu lub bystrza. Świetlne kule pracowały jak szalone, zwijając żagiel i napierając na wiosła, ale wciąż przyspieszaliśmy.

Przepełniliśmy pod niskim łukiem wyrzeźbionym w kształt bogini Nut, której gwiazdziste ciało obejmowało nas opiekuńczo, a twarz witała nas uśmiechem. Uznałem, że wpływamy do Dwunastego Domu, ostatniego etapu Duat, zanim wynurzymy się z powrotem na nowy dzień.

Miałem nadzieję dostrzec światło na końcu tunelu, dosłownie, ale nasza podróż została utrudniona. Widziałem, dokąd rzeka *powinna* płynąć. Tunel ciągnął się prosto przed nami, powoli opuszczając Duat. Czuję już nawet świeże powietrze – zapach świata śmiertelników. Ale koniec tunelu wysechł, zmieniając się w pole błota. Rzeka przed nami wpadała do ogromnego szybu, jakby asteroida wyryła dziurę w ziemi i skierowała do niej wodę. A my pędziliśmy ku tej otchłani.

– Moglibyśmy wyskoczyć – powiedziała Sadie. – Zostawić łódź...

Ale chyba oboje doszliśmy do tego samego wniosku. Słoneczna barka była nam potrzebna. Potrzebowaliśmy Ra. Musieliśmy płynąć z rzeką, dokądkolwiek miała nas zaprowadzić.

– To pułapka – dodała Sadie. – Robota Apopisa.

– Wiem – odparłem. – Chodź, powiemy mu, że nam się to nie podoba.

Oboje chwyciliśmy się masztu i łódź runęła w wir.

Miałem wrażenie, że spadamy bez końca. Znacie to uczucie, kiedy nurkuje się na dno głębokiego basenu: jakby nos i uszy zamierzały eksplodować, a oczy wyskoczyć z głowy? Wyobraźcie sobie to wszystko podniesione do entej potęgi. Zanurzaliśmy się w Duat znacznie głębiej niż kiedykolwiek wcześniej – głębiej niż jakikolwiek śmiertelnik do tej pory. Czuję się tak, jakby atomy mojego ciała ktoś podgrzewał – wirowały tak szybko, że omal nie rozbiegły się na wszystkie strony.

Nie rozbiliśmy się. Nie uderzyliśmy w dno. Łódź po prostu zmieniła kierunek, jakby dół zmienił się w bok, a my wpłynęliśmy do groty oświetlonej ostrym czerwonym światłem. Magiczne ciśnienie było tak wielkie, że dzwoniło mi w uszach. Czuję nudności i nie bardzo byłem w stanie myśleć jasno, ale

rozpoznałem wybrzeże, które pojawiło się przed nami: plaża zasypana milionami pancrzyków martwych skarabeuszy, poruszających się i unoszących, kiedy jakaś potęga – o ogromnym, wijącym się kształcie – usiłowała wydostać się na wolność. Dziesiątki demonów przekopywały się łopatami przez sterty pancrzyków. A na brzegu stał, czekając na nas cierpliwie, Wład Mienszykow w nadpalonym i dymiącym ubraniu. Jego laska płonęła zielonym światłem.

– Witajcie, dzieci – zawołał przez dzielącą nas wodę. – Chodźcie. Obejrzyjmy razem koniec świata.

22. Przyjaciele w najdziwniejszych miejscach

Mienszykow wyglądał tak, jakby przepłynął przez Jezioro Ognia bez magicznej osłony. Jego kędzierzawe szpakowate włosy były teraz czarne i jak ostrzyżone na jeża. Biały garnitur był w strzępach i dziurach. Całą jego twarz pokrywały pęcherze, więc pobliźnione oczy wreszcie pasowały do reszty. Jak powiedziałyby Bes, Mienszykow miał na sobie swój brzydki strój.

Na wspomnienie Besa poczułem gniew. Wszystko, przez co przeszliśmy, wszystko, co utraciliśmy, było winą Włada Mienszykowa.

Słoneczna barka zatrzymała się na zarzuconej pancerkami skarabeuszy plaży.

– Hello! – zaświergotał Ra, z trudem podnosząc się na nogi. Następnie zaczął gonić niebieskie światełko z załogi, jakby było pięknym motylem.

Demony porzuciły łopaty i zebrały się na brzegu. Spoglądały po sobie niepewnie, niewątpliwie zastanawiając się, czy to jakaś sprytna sztuczka. Ten bełkoczący starzec na trzęsących się nogach nie mógł być przecież bogiem słońca.

– Wspaniale – odezwał się Mienszykow. – W końcu dostarczyliście Ra.

Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, co było nie w porządku z jego głosem. Znikł szorstki charkot. Mienszykow mówił głębokim, gładkim barytonem.

– Martwiłem się już – ciągnął. – Bardzo długo wam zeszło w Czwartym Domu, aż myślałem, że utkniecie na noc. Moglibyśmy wyzwolić Pana Apopisa bez was, oczywiście, ale byłoby bardzo niedogodnie musieć was później gonić. Tak jest znacznie lepiej. Pan Apopis będzie głodny, kiedy się przebudzi. Bardzo się ucieszy na widok przekąski, którą mu przynieśliście.

– *Łiii*, przekąska – zachichotał Ra. Krążył po łodzi, usiłując uderzyć światełko biczem.

Demony wybuchnęły śmiechem. Mienszykow uśmiechnął się do nich pobłaźliwie.

– Owszem, to dość zabawne – powiedział. – Mój pradziadek zabawiał Piotra Wielkiego karlim weselem. Ja dokonam czegoś większego. Zabawię samego Pana Chaosu dzieciannym bogiem słońca!

W mojej głowie odezwał się nagłaco głos Horusa: *Zabierz mu broń faraona. To twoja ostatnia szansa!*

W głębi duszy wiedziałem, że to zły pomysł. Jeśli teraz wezmę do ręki broń faraona, nigdy jej nie oddam. A moc, którą zyskam, nie wystarczy do pokonania Apopisa. A mimo to czułem pokusę. Poczuję się świetnie, gdybym wyrwał insygnia z rąk ogłupiałego starego boga Ra i powalił Mienszykowa na ziemię.

Oczy Rosjanina zapłonęły złośliwie.

– Rewanż, Carterze Kane? O ile widzę, nie masz tym razem przy sobie karłowatej niańki. Zobaczymy, do czego jesteś zdolny o własnych siłach.

Zrobiło mi się czerwono przed oczami i nie miało to nic wspólnego z oświetleniem grotu. Zsiadłem z łodzi i przywołałem sokolego awatara. Nigdy wcześniej nie rzucałem zaklęcia tak głęboko w Duat. Dostałem więcej, niż zakładałem. Zamiast zamknięcia w świecącym hologramie, poczułem, że sam staję się wyższy i silniejszy. Mój wzrok był teraz wyostrojony.

– Carter? – wydusiła z siebie Sadie.

– Ptaszysko! – oznajmił Ra.

Spojrzałem po sobie i stwierdziłem, że jestem olbrzymem z krwi i kości, mam jakieś pięć metrów wzrostu i bitewną zbroję Horusa na sobie. Uniosłem ogromne dłonie do głowy i wyczułem pióra zamiast włosów. Zamiast ust miałem ostry jak brzytwa dziób. Krzyknąłem z radości i usłyszałem skrzek, niosący się echem po jaskini. Demony cofnęły się nerwowo. Spojrzałem na Mienszykowa, który wydawał mi się teraz nieważny jak mysz. Byłem gotów obrócić go w proch, ale on szyderczo wykrzywił usta i wycelował laskę.

Cokolwiek zamierzał zrobić, Sadie okazała się szybsza. Rzuciła na ziemię własną laskę, która zamieniła się w kanię (to taki ptak drapieżny) wielkości pterodaktyla.

Typowe. Ja robię coś naprawdę fajnego, to znaczy przemieniam się w sokolego wojownika, ale Sadie musi być lepsza. Jej kania wzniosła się w powietrze na ogromnych skrzydłach. Mienszykow i jego demony polecili na drugą stronę plaży.

– Dwa ptaszyska! – Ra zaczął klaskać w dłonie.

– Oślaniaj mnie, Carter! – Sadie wyciągnęła Księgę Ra. – Muszę rozpocząć

zaklęcie.

Wydawało mi się, że olbrzymia kania świetnie sobie radzi z osłanianiem, ale zrobiłem krok do przodu, gotując się do walki.

Mienszykow podniósł się na nogi.

– Ależ proszę bardzo, Sadie Kane, zaczynaj swoje nędzne zaklęcie. Nic nie rozumiesz? To duch Chepri stworzył to więzienie. Ra oddał część swojej duszy, swoją zdolność do odrodzenia, żeby uwięzić Apopisa.

Sadie wyglądała tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– Ostatni skarabeusz...

– Właśnie – potaknął Mienszykow. – Wszystkie te skarabeusze powstały z jednego – z Chepriego, trzeciej duszy Ra. Moje demony w końcu go znajdują, gdy tylko się przekopią przez pancerzyki. To jeden z ostatnich żywych skarabeuszy, a jak go rozdepczemy, Apopis będzie wolny. Nawet jeśli przywołasz go z powrotem do Ra, Apopis i tak się uwolni! A w obu przypadkach Ra będzie zbyt słaby, żeby walczyć. Apopis go pożre, jak mówią starożytne przepowiednie, a chaos zniszczy Maat raz na zawsze. Nie zdołacie wygrać.

– Jesteś szalony – powiedziałem, a mój głos zabrzmiał znacznie głębiej niż zwykle. – Ty też zostaniesz zniszczony.

Widziałem w jego oczach załamane światło i uświadomiłem sobie coś, co mnie zdumiało do głębi. Mienszykow nie chciał tego ani trochę bardziej niż my. Żył w żałobie i rozpaczył tak długo, że Apopis zdołał wypaczyć jego duszę, uczynić go zakładnikiem własnej nienawiści. Władimir Mienszykow udawał przechwałki, ale nie było w nim poczucia triumfu. W głębi duszy był przerażony, pokonany, żaloszny. Był w niewoli Apopisa. Niemalże zrobiło mi się go żal.

– My już jesteśmy martwi, Carterze Kane – powiedział. – To miejsce nigdy nie było przeznaczone dla ludzi. Nie czujesz tego? Potęga chaosu przenika nasze ciała, nasze dusze więdną. Ale ja mam większy plan. *Wcielenie* boga może żyć w nieskończoność, niezależnie od wszelkich chorób, niezależnie od ran. Apopis już wyleczył mój głos. Wkrótce będę całkowicie zdrowy. I będę żył na wieki!

– *Wcielenie*... – Kiedy zrozumiałem, o czym mówił, omal nie utraciłem kontroli nad moją nową olbrzymią postacią. – Ty nie mówisz poważnie, Mienszykow. Porzuć to, dopóki nie jest za późno.

– I umrzyj? – zapytał.

Obok mnie odezwał się nowy głos.

– Są rzeczy gorsze od śmierci, Władimirze.

Odwróciłem się i zobaczyłem drugą łódź dobijającą do brzegu – niewielki szary skif z jednym magicznym wiosłem, które pracowało samo. Na dziobie łodzi wymalowane było Oko Horusa, a jedynym pasażerem był Michel Desjardins. Włosy i broda najwyższego lektora były teraz białe jak śnieg. Z jego kremowych szat unosiły się świecące hieroglify, tworząc za nim ślad boskich słów.

Desjardins wysiadł na brzeg.

– Igrasz z czymś znacznie gorszym od śmierci, stary przyjacielu. Módl się, żebym cię zabił, zanim ci się powiedzie.

Ze wszystkich dziwacznych rzeczy, których doświadczyłem tej nocy, widok Desjardinsa stojącego po *naszej* stronie był zdecydowanie najdziwniejszy.

Wszedł pomiędzy mojego olbrzymiego sokolego wojownika i megakanię Sadie, jakby były zabawkami, i postawił laskę na martwych skarabeuszach.

– Poddaj się, Władimirze.

Mienszykow wybuchnął śmiechem.

– Patrzyłeś ostatnio do lustra, mój panie? Moje klątwy wysysały twoją moc od wielu miesięcy, a ty nawet się nie zorientowałeś. Teraz jesteś prawie martwy. To *ja* jestem najpotężniejszym magiem na świecie.

To prawda, że Desjardins nie wyglądał dobrze. Jego twarz była niemal równie wymizerowana i pomarszczona jak oblicze boga słońca. Ale otaczająca go chmura hieroglifów wydawała się mocniejsza niż zwykle. W jego oczach błyszczała taka sama gorliwość jak kilka miesięcy temu w Nowym Meksyku, kiedy walczył z nami na ulicach Las Cruces i przysiągł, że nas zniszczy. Zrobił kolejny krok do przodu i tłum demonów się cofnął. Podejrzewam, że rozpoznały symbol władzy w lamparcim płaszczu na jego ramionach.

– Poniosłem klęskę w wielu aspektach – przyznał Desjardins. – Ale w jednym się nie poddam. *Nie pozwolę ci zniszczyć Domu Życia.*

– Domu? – Spytał Mienszykow ostro. – On umarł wiele stuleci temu! Powinien zostać rozwiązany, kiedy Egipt upadł. – Kopnął wysuszone pancerzyki skarabeuszy. – Dom ma w sobie tyle życia, ile te puste owadzie skorupy. Obudź się, Michel! Egiptu nie ma, stracił znaczenie, należy do historii. Nadszedł czas, żeby rozwalić ten świat i zacząć od nowa. Chaos zawsze zwycięża.

– Nie zawsze. – Desjardins odwrócił się do Sadie. – Zaczynaj zaklęcie. Ja zajmę się tym nieszczęśnikiem.

Ziemia uniosła się pod nami, drżąc, kiedy Apopis usiłował się podnieść.

– Pomyślcie teraz, dzieci – ostrzegł nas Mienszykow. – Świat się skończy niezależnie od waszych wysiłków. Śmiertelnicy nie mogą żywi opuścić tej groty, ale wy dwoje byliście bożkami. Połączcie się znów z Horusem i Izydą, przysięgnijcie służyć Apopisowi, a może przeżyjecie tę noc. Desjardins zawsze był waszym wrogiem. Zabijcie go teraz dla mnie i podarujcie jego ciało Apopisowi! Zapewnię wam honorowe stanowiska w nowym świecie rządzonym przez chaos, bez żadnych ograniczeń. Mogę wam nawet zdradzić sekret lekarstwa dla Walta Stone’a.

Uśmiechnął się na widok zaskoczenia Sadie.

– Tak, moja panno. Ja *wiem*, jak to zrobić. Wiedza o lekarstwie była przekazywana z pokolenia na pokolenie w rodzie kapłanów Amona-Ra. Zabij Desjardinsa, dołącz do Apopisa, a chłopak, którego kochasz, zostanie ocalony.

Będę szczery. Jego słowa miały siłę przekonywania. Byłem sobie w stanie wyobrazić nowy świat, w którym wszystko jest możliwe, gdzie nie obowiązują żadne prawa, włącznie z prawami fizyki, a my moglibyśmy być, kim tylko chcemy.

Chaos jest niecierpliwy. Przypadkowy. A nade wszystko samolubny. Rozwala wszystko tylko po to, żeby coś zmienić, nieustannie głodny żywi się sobą samym. Ale chaos może też być atrakcyjny. Kusi przekonaniem, że nie liczy się nic poza tym, na co ty masz ochotę. A ja chciałem tylu rzeczy. Wyleczony głos Mienszykova był gładki i pewien siebie jak ton Amosa, kiedy posługuje się magią, żeby przekonać do czegoś śmiertelników.

Na tym polegał problem. Obietnica Mienszykova była pułapką. Jego słowa nie były nawet jego własne. Został zmuszony do ich wypowiedzenia. Jego oczy poruszały się tak, jakby czytał z telepromptera. Wypowiadał wolę Apopisa, ale kiedy skończył, spojrzał mi prosto w oczy, a ja przez moment dostrzegłem jego prawdziwe myśli – umęczone błaganie, które wykrzyczałby, gdyby mógł odzyskać kontrolę nad własnymi ustami: *Zabij mnie teraz. Proszę.*

– Przykro mi, Mienszykow – powiedziałem i naprawdę tak było. – Magowie i bogowie muszą stanąć ramię w ramię. Świat może potrzebować naprawy, ale jest wart ocalenia. Nie pozwolimy, żeby chaos zwyciężył.

W tej chwili wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Sadie otwarła zwoj i zaczęła czytać. Mienszykow krzyknął: – Do ataku! – i demony ruszyły. Ogromna kania rozpostarła skrzydła, odbijając pocisk zielonego ognia, który wystrzelił z laski Mienszykova i zapewne spaliłby Sadie w jednej chwili. Ja rzuciłem się jej na pomoc, a Desjardins wytworzył wokół swojego ciała wir powietrzny

i pofrunął w kierunku Włada Mienszykowa.

Przeciskałem się przez tłum demonów. Przewróciłem jednego z głową w kształcie brzytwy, chwyciłem go za kostki i zamachnąłem się nim jak bronią, rozbijając jego sojuszników w drobny mak. Ogromna kania Sadie uniosła dwóch kolejnych w pazurach i rzuciła ich do rzeki. Tymczasem Desjardins i Mienszykow wznieśli się w powietrze, uwięzieni w trąbie powietrznej. Wirowali wokół siebie, ciskając ogniem, jadem i kwasem. Demony, które się do nich zbliżyły, rozsypywały się natychmiast w piasek.

Pośrodku tego wszystkiego Sadie czytała Księgę Ra. Nie miałem pojęcia, jakim cudem się na tym koncentruje, ale jej słowa brzmiały jasno i donośnie. Wzywała świt i początek nowego dnia. Wokół jej stóp zaczęła się tworzyć złocista mgiełka, snując się wśród wyschniętych pancerzyków, jakby szukała życia. Całe wybrzeże zadrżało, a gdzieś głęboko pod ziemią Apopis ryknął z wściekłością.

– Och, nie, nie! – wrzasnął Ra za mną. – Jarzyny!

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak jeden z największych demonów wsiada na słoneczną barcę, wymachując straszliwymi nożami trzymanymi w każdej z czterech rąk. Ra rzucił mu malinę i umknął, kryjąc się za ognistym tronem.

Rzuciłem Brzytwogłowego w tłum jego kumpli, wyrwałem włócznię innemu demonowi i cisnąłem nią w kierunku łodzi.

Gdybym to *ja* rzucał, moje braki w dziedzinie miotania na odległość groziłyby przedziurawieniem boga słońca, a to dopiero byłby obciach. Na szczęście moja nowa ogromna postać posiadała umiejętności warte Horusa. Włócznia trafiła czterorękiego demona w plecy. Upuścił noże, zatoczył się na burtę i wypadł do Rzeki Nocy.

Ra wychylił się przez reling i rzucił mu jeszcze jedną malinę.

Tornado Desjardinsa wciąż wirowało, obracając nim i walczącym z nim Mienszykowem. Nie byłem w stanie ocenić, który z magów ma przewagę. Kania Sadie robiła wszystko, żeby ją ochraniać, nadziejąc demony na dziób lub miażdżąc je ogromnymi łapami. Sadie jakoś utrzymywała koncentrację. Złota mgła gęstniała, rozprzestrzeniając się po plaży.

Pozostałe demony zaczęły się wycofywać, kiedy Sadie wymówiła ostatnie słowa zaklęcia: – Chepri, skarabeusz powstający z martwych, odrodzenie Ra!

Księga Ra zniknęła w jednym rozbłysku. Ziemia zadrżała i spośród masy martwych pancerzyków w powietrze podniósł się pojedynczy skarabeusz, żywy złoty żuk, który poszybował w kierunku Sadie i spoczął w jej rękach.

Sadie uśmiechnęła się triumfalnie, a ja niemal odważyłem się mieć nadzieję, że wygraliśmy. Nagle grootę wypełnił syczący śmiech. Desjardins stracił kontrolę nad wirem powietrza i poleciał ku słonecznej barce, w którą uderzył z taką mocą, że złamał reling i upadł całkowicie bezwładnie.

Władimir Mienszykow wylądował na ziemi w przykłęku. Wokół jego stóp martwe pancerzyki skarabeuszy rozpadały się w krwistoczerwony piach.

– Wspaniale – powiedział. – Wspaniale, Sadie Kane!

Wstał i cała magiczna energia wypełniająca jaskinię zaczęła zbierać się wokół jego ciała – złota mgła, czerwone światło, jaśniejące hieroglify – wszystko to zlatywało się ku Mienszykowowi, jakby wziął na siebie grawitację czarnej dziury.

Jego poranione oczy wyzdrowiały. Pokryta pęcherzami twarz wygładziła się, odmłodziła, wyprzystojniała. Biały garnitur naprawił się sam, a następnie materiał zmienił barwę na ciemnoczerwoną. Skóra Rosjanina zafalowała, a ja zobaczyłem, że pokrywa się łuskami, co przyprawiło mnie o dreszcze.

Na barce słońca Ra wymamrotał: – Och, nie, nie. Potrzebuję zebr.

Cała plaża była teraz czerwonym piaskiem.

Mienszykow wyciągnął rękę do mojej siostry.

– Daj mi skarabeusza, Sadie. Zmiłuję się nad tobą. Ty i twój brat przeżyjecie. Walt przeżyje.

Sadie zacisnęła dłoń na żuku. Byłem gotowy do ataku. Nawet w ciele olbrzymiego sokolego wojownika czułem, że energia chaosu robi się coraz silniejsza, wysysając ze mnie siłę. Mienszykow ostrzegł nas, że żaden śmiertelnik nie wyjdzie żywy z tej groty, a ja mu wierzyłem. Nie mieliśmy dużo czasu, ale musieliśmy powstrzymać Apopisa. W głębi duszy pogodziłem się z tym, że umrę. Działąłem teraz dla naszych przyjaciół, dla rodu Kane'ów, dla całego śmiertelnego świata.

– Chcesz skarabeusza, Apopisie? – W głosie Sadie brzmiała nienawiść. – W takim razie chodź i weź go, ty obleśny... – Nazwała Apopisa takimi słowami, że babcia myłaby sobie po nich usta mydłem przez rok. [Nie, Sadie, nie powtórzę tego do mikrofonu].

Mienszykow zrobił krok ku niej. Podniosłem łopatę, którą upuścił jeden z demonów. Wielka kania Sadie rzuciła się na Mienszykova z wyciągniętymi pazurami, ale on tylko machnął ręką, jakby odganiał muchę. Potwór rozprysnął się w chmurę piór.

– Uważasz mnie za boga? – ryknął Mienszykow.

Kiedy on skupiał się na Sadie, ja przemknąłem za jego plecy, starając się podejść jak najbliżej – co nie jest łatwe, kiedy ma się postać pięciometrowego człowieka z ptasim łbem.

– Jam jest chaos! – ryczał dalej Mienszykow. – Rozrzucę twoje kości, rozpuszczę twoją duszę i odeślę cię na powrót do pierwotnego szlamu, z którego pochodzisz. A teraz dawaj skarabeusza!

– Kuszące – powiedziała Sadie. – Co o tym myślisz, Carter?

Mienszykow zauważył pułapkę za późno. Skoczyłem i uderzyłem go łopata w głowę. Upadł na ziemię, a ja wepchnąłem go w piasek, po czym podniosłem się i poprawiłem. Zakopałem go najgłębiej jak się dało, a Sadie wskazała na miejsce pochówku i wypowiedziała słowo oznaczające ogień. Piasek stopił się, twardniejąc w blok grubego szkła wielkości trumny.

Byłbym na to splunął, ale nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić, mając ptasi dziób.

Demony, które przeżyły, zrobiły jedyną sensowną rzecz. Uciekły w panice. Kilka skoczyło do rzeki, dokonując samorozpuszczenia, co dodatkowo oszczędziło nam nieco czasu.

– To wcale nie było takie trudne – powiedziała Sadie, choć ja widziałem, że energia chaosu zaczyna i ją osłabiać. Nawet kiedy miała zapalenie płuc w wieku pięciu lat, nie wyglądała tak źle.

– Szybko – powiedziałem. Poziom adrenalinę gwałtownie mi spadał. Mój awatar zaczynał mi ciążyć jak dodatkowe dwieście kilo. – Zanieśmy skarabeusza do Ra.

Potaknęła i pobiegła w kierunku słonecznej barki, ale dotarła zaledwie do połowy drogi, kiedy szklany grób Mienszykowa eksplodował.

Najpotężniejszym zakłębem wybuchowym, jakie dotychczas widziałem, było *hedzi* w wykonaniu Sadie. Ten wybuch był jakies pięćdziesiąt razy silniejszy.

Potężna fala piasku i szklanych odłamków zbiła mnie z nóg i rozwalila mój awatar. Zmniejszony do normalnych rozmiarów, oślepiiony i obolały czołgałem się byle dalej od śmiechu Apopisa.

– Dokąd uciekłaś, Sadie Kane? – zawołał Apopis głosem brzmiącym jak wystrzał armatni. – Gdzie ta niedobra dziewczynka z moim skarabeuszem?

Mrugąłem oczami, żeby pozbyć się piasku. Wład Mienszykow – nie, może i wyglądał jak Wład, ale był już Apopisem – czyhał jakies dwadzieścia metrów od nas, przechadzając się po krawędzi krateru, który wyrył w plaży. Albo mnie

nie widział, albo założył, że zginąłem. Szukał Sadie, ale jej nie było nigdzie widać. Wybuch musiał przysypać ją piaskiem albo zrobić coś jeszcze gorszego.

Gardło mi się zaciskało. Chciałem wstać i walczyć z Apopisem, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Moja magia była osłabiona. Potęga chaosu wysysała moją siłę życiową. W pobliżu Apopisa czułem się, jakbym się już rozpadał – moje synapsy, moje DNA, wszystko, co składało się na Cartera Kane'a, powoli się rozpuszczało.

W końcu Apopis rozłożył ręce.

– Nieważne. Wykopię twoje ciało później. Najpierw uporamy się ze staruszkiem.

Przez moment myślałem, że miał na myśli Desjardinsa, który wciąż leżał bez ruchu na połamanym relingu, ale Apopis wspiął się na łódź, minął najwyższego lektora i zbliżył się do ognistego tronu.

– Witaj, Ra – powiedział przyjaznym tonem. – Dawno się nie widzieliśmy.

Słaby głosik zza tronu odezwał się: – Nie będę się bawił. Idź sobie.

– Może chcesz przysmak? – spytał Apopis. – Zawsze się tak dobrze bawiliśmy. Co noc usiłowaliśmy się pozabijać. Nie pamiętasz?

Ra wystawił łysą głowę nad oparcie tronu.

– Przysmak?

– Co powiesz na daktyla z nadzieniem? – Apopis chwycił owoc w powietrzu. – Zawsze kochałeś nadziewane daktyle, prawda? Musisz tylko wyjść i pozwolić mi pożreć... to znaczy pobawić się z tobą.

– Chcę ciasteczko – odparł Ra.

– Jakie?

– Wiewiórkowe.

Mówię wam, ta uwaga o wiewiórkowych ciasteczkach chyba uratowała znany nam wszechświat.

Apopis cofnął się, najwyraźniej skonfundowany uwagą, która okazała się jeszcze bardziej chaotyczna niż on sam. I w tej właśnie chwili Michel Desjardins zaatakował.

Najwyższy lektor musiał udawać martwego, a może po prostu właśnie w tej chwili odzyskał przytomność. Podniósł się i skoczył na Apopisa, przewracając go na płonący tron.

Miensitykow wrzasnął swoim dawnym chrapliwym głosem. Para zasyczała niczym woda na grillu. Szata Desjardinsa zajęła się ogniem. Ra poczołgał się na rufę łodzi i wymachiwał berłem w powietrzu, jakby chciał odgonić złych

ludzi.

Podniosłem się na nogi, ale czułem się, jakbym dźwigał pięćdziesiąt kilo. Mienszykow i Desjardins walczyli przed tronem. To była ta scena, której świadkiem byłem w Sali Wieków: pierwsza chwila nowej ery. Wiedziałem, że powinienem pomóc, ale czołgałem się po plaży, usiłując znaleźć miejsce, w którym po raz ostatni widziałem Sadie. Upadłem na kolana i zacząłem kopać.

Desjardins i Mienszykow mocowali się, wykrzykując słowa mocy. Zerknąłem za siebie i zobaczyłem chmurę hieroglifów i czerwone światło wirujące wokół nich, kiedy najwyższy lektor wzywał Maat, a Apopis równie szybko rozbijał jego zaklęcia chaosem. Jeśli chodzi o Ra, potężnego boga słońca, to wspiał się na rufę statku i schował się pod rumplem.

Kopałem dalej.

– Sadie – wymamrotałem. – Hej. Gdzie jesteś?

Myśl – pomyślałem.

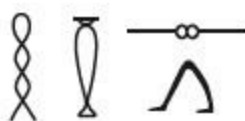
Zamknąłem oczy. Pomyślałem o Sadie – o wszystkich wspólnych wspomnieniach od ostatnich świąt. Przez lata żyliśmy z dala od siebie, ale przez ostatnie trzy miesiące staliśmy się sobie bliżsi niż ktokolwiek na świecie. Skoro ona była w stanie poznać moje tajemne imię, kiedy byłem nieprzytomny, to ja z pewnością zdołam znaleźć ją w stercie piasku.

Przesunąłem się o jakiś metr w lewo i zacząłem kopać od nowa. Natychmiast trafiłem Sadie w nos. Jęknęła, co przynajmniej oznaczało, że żyje. Odgarnąłem piach z jej twarzy, a ona zakaszła. Następnie uniosła ręce, a ja wyciągnąłem ją z wydmy. Czułem taką ulgę, że omal się nie rozplakałem, ale ponieważ jestem macho i tak dalej, nie zrobiłem tego.

[Zamknij się, Sadie, teraz ja opowiadam].

Apopis i Desjardins wciąż mocowali się na barce słońca.

Desjardins krzyknął: – *Hezi!* i między nimi rozbłysł hieroglif:



Apopis poszybował poza łódź, jakby został doczepiony do jadącego pociągu. Przeleciał nad nami i wylądował na piasku jakieś piętnaście metrów dalej.

– Niezły rzut – mruknęła oszołomiona Sadie. – Glif oznaczający „zawrócić”.

Desjardins, kuśtykając, zszedł z łodzi. Jego szaty wciąż się żarzyły, ale

on wyciągnął z rękawa glinianą statuetkę – czerwonego węża pokrytego hieroglifami.

Sadie stłumiła okrzyk.

– Uszebti Apopisa? Karą za jego wykonanie jest śmierć!

Rozumiałem dlaczego. Obrazy mają moc. W nieodpowiednich rękach mogą wzmocnić, a nawet przyzwać istotę, którą przedstawiają, a posążek Apopisa był zdecydowanie zbyt niebezpieczny, żeby się nim bawić. Stanowił jednak również niezbędny składnik niektórych zaklęć.

– Wyklęcie – powiedziałem. – On usiłuje wymazać Apopisa.

– To jest niemożliwe! – odparła Sadie. – To go zniszczy!

Desjardins rozpoczął zaklinanie. W powietrzu wokół niego zapłonęły hieroglify, tworząc wirujący stożek magii ochronnej. Sadie usiłowała wstać, ale była w niewiele lepszej formie niż ja.

Apopis usiadł. Jego twarz wyglądała koszmarnie od poparzeń wywołanych przez ognisty tron. Wyglądał jak na pół surowy kotlet mielony, który ktoś wrzucił do piasku. [Sadie mówi, że to obrzydliwe. Wybaczcie. Oddaje ten widok].

Kiedy zobaczył statuetkę w rękach najwyższego lektora, ryknął z wściekłością.

– Oszalałeś, Michel? Nie możesz mnie wykląć!

– Apopisie – zaśpiewał Desjardins – nazywam cię Panem Chaosu, Wężem w Ciemności, Postrachem Dwunastu Domów, Znienawidzonym...

– Przestań! – zawył Apopis. – *Nie zdołasz mnie uwięzić!*

Wystrzelił płomiennym pociskiem w Desjardinsa, ale energia została po prostu wchłonięta przez wirującą wokół najwyższego lektora chmurę i zmieniła się w hieroglif oznaczający „żar”. Desjardins zrobił niepewny krok do przodu – starzał się na naszych oczach, był teraz jeszcze bardziej przygarbiony i kruchy, ale jego głos nie stracił mocy: – Mówię w imieniu bogów. Mówię w imieniu Domu Życia. Jestem sługą Maat. Odsyłam cię do otchłani.

Desjardins rzucił czerwonego węża na ziemię i Apopis upadł na bok.

Pan Chaosu ciskał w Desjardinsa wszystkim, co miał na podorędziu – lodem, jadem, piorunami, głazami – ale nic nie było w stanie go dosięgnąć. Wszystkie zaklęcia zmieniały się w hieroglify tworzące tarczę najwyższego lektora, przemieniając chaos w porządek słów – boski język stworzenia.

Desjardins zmiażdżył glinianą figurkę stopą. Apopis wił się w bólu. Istota, która niegdyś była Władem Mienszykowem, rozpadła się jak woskowa skorupka

i wypełzło z niej nowe stworzenie – czerwony wąż, pokryty śluzem jak nowo wykluty. Zaczął rosnać, jego czerwone łuski połyskiwały, a oczy płonęły.

Jego głos syczał w moich myślach: Nie zdołasz mnie uwięzić!

Nie mógł się jednak podnieść. Wokół niego wirował piasek. Otwierał się portal, zakotwiczony na samym Apopisie.

– Wymazuję twoje imię – powiedział Desjardins. – Wymazuję cię z pamięci Egiptu.

Apopis wrzasnął. Plaża zapadła się wokół niego, pochłonęła węża i wessała czerwony piasek w wir.

Chwyliłem Sadie i popędziliśmy do łodzi. Wyczerpany Desjardins upadł na kolana, ale zdołałem chwycić go za rękę i pociągnąć do brzegu. Razem z Sadie wnieśliśmy go na pokład barki słońca. Ra w końcu wypełził ze swojej kryjówki pod sterem. Świecąca załoga usiadła do wiosł i odpłynęliśmy, kiedy cała plaża zatoneła w ciemnej wodzie, a rozbłyśki czerwonych błyskawic falowały pod powierzchnią.

Desjardins był umierający.

Hieroglify wokół niego przybladły. Jego czoło było rozpalone. Skórę miał tak suchą i cienką jak bibułka, a jego głos brzmiał jak chrapliwy szept.

– Wykłęcie nie wytrzyma długo – ostrzegł nas. – Kupiłem wam tylko nieco czasu.

Chwyliłem go za rękę jak starego przyjaciela, a nie dawnego wroga. Po partii senet z bogiem księżycy kupowanie czasu nie było czymś, co traktowałbym lekko.

– Czemu to zrobiłeś? – spytałem. – Zużyłeś całą swoją moc, żeby go wygonić.

Desjardins uśmiechnął się słabo.

– Nie przepadam za wami. Ale mieliście rację. Stare ścieżki... to nasza jedyna nadzieja. Powiedźcie Amosowi... opowiedzcie mu, co się wydarzyło. – Zacisnął słabe palce na swoim lamparcim płaszczu, a ja uświadomiłem sobie, że chce go zdjąć. Pomogłem mu, a on wcisnął mi płaszcz do ręki. – Pokaż to... pozostałym... Powiedz Amosowi...

Oczy wywróciły mu się białkami do góry i najwyższy lektor zakończył życie.

Jego ciało rozpadło się na hieroglify – zbyt wiele, żeby je przeczytać, dzieje jego całego życia. Następnie słowa poszybowały dalej nad Rzeką Nocy.

– Pa, pa – wymamrotał Ra. – Wiewiórki są chore.

Prawie zapomniałem o starym bogu. Opadł z powrotem na swój tron, oparł głowę na wygięciu laski i bez przekonania machał biczem na światełka załogi.

Sadie odetchnęła, dygocząc.

– Desjardins nas uratował. Ja... ja też za nim nie przepadałam, ale...

– Wiem – odpowiedziałem. – Ale musimy iść dalej. Masz dalej tego skarabeusza?

Sadie wyjęła wiercącego się złotego żuka z kieszeni. Razem podeszliśmy do Ra.

– Weź go – powiedziałem do niego.

Ra zmarszczył swój i tak pomarszczony nos.

– Nie chcę chrząszcza.

– To twoja dusza! – warknęła Sadie. – Weź ją, spodoba ci się!

Ra wyglądał na wystraszonego. Wziął żuka i ku mojemu przerażeniu wsadził go sobie do ust.

– Nie! – krzyknęła Sadie.

Za późno. Ra przełknął.

– O bogowie – jęknęła Sadie. – Czy on miał to zrobić? Może miał to zrobić.

– Nie lubię chrząszczy – wymamrotał Ra.

Czekaliśmy na przemianę w potężnego młodego króla. Ale on tylko beknął. Był nadal stary, dziwaczny i odrażający.

W oszołomieniu przeszedłem z Sadie na dziób łodzi. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, a mimo to czuliśmy się pokonani. Kiedy płynęliśmy dalej, magiczne ciśnienie słabło. Rzeka sprawiała wrażenie płaskiej, ale czułem, że się wznosimy szybko przez Duat. Pomimo to wciąż zdawało mi się, że wnętrzności mi się roztapiają. Sadie nie wyglądała lepiej.

W głowie dźwięczały mi słowa Mienszykowa: „Śmiertelnicy nie mogą opuścić tej groty żywi”.

– To choroba chaosu – powiedziała Sadie. – Nie wyjdziemy z tego, prawda?

– Musimy się trzymać – odparłem. – Przynajmniej do świtu.

– Wszystko to – ciągnęła – i co się wydarzyło? Odzyskaliśmy zgrzybiałego boga. Straciliśmy Besa i najwyższego lektora. I umieramy.

Wziąłem ją za rękę.

– Może nie. Patrz.

Tunel przed nami robił się jaśniejszy. Ściany groty się rozplęwały, a rzeka robiła się szersza. Z wody wynurzyły się dwa filary – dwa ogromne posągi skarabeuszy. Za nimi jaśniała poranna panorama Manhattanu. Wypłynęliśmy

Rzeką Nocy do nowojorskiego portu.

– Każdy nowy świt jest nowym światem – przypomniało mi się powiedzonko taty. – Może zostaniemy uleczeni.

– Ra też? – spytała Sadie.

Na to nie miałem odpowiedzi, ale sam zaczynałem czuć się lepiej. Byłem silniejszy, jakbym przespał całą noc. Kiedy przepływaliśmy między posągami złotych skarabeuszy, spojrzałem na prawo. Za wodą nad Brooklynem unosił się dym – rozbłyśki wielokolorowego światła i smugi ognia, kiedy latające stworzenia walczyły w powietrzu.

– Oni żyją – powiedziała Sadie. – I potrzebują pomocy!

Skierowaliśmy słoneczną łódź ku domowi – i wpłynęliśmy w sam środek bitwy.

23. Urządzamy dziką domówkę

[Śniertelny błąd, Carter. Oddawać mi mikrofon na najważniejszy kawałek? Teraz go już nie dostaniesz z powrotem. Koniec opowieści należy do mnie. Ha, ha, ha!]

Och, jak mi dobrze. Byłabym świetna w rządzeniu światem. Ale odchodzę od tematu.

Widzieliście pewnie doniesienia w mediach o dziwnym podwójnym wschodzie słońca nad Brooklynem w poranek dwudziestego pierwszego marca. Pojawiło się wiele teorii na ten temat: zamglone zanieczyszczeniami powietrze, kosmici, a może kolejny wyciek gazu powodujący masową histerię. My w Brooklynie kochamy gaz!

Mogę jednak potwierdzić, że przez chwilę na niebie były dwa słońca. Wiem, ponieważ znajdowałam się na jednym z nich. Zwyczajne słońce wstało jak zawsze. Ale była również barka Ra, jaśniejąca, kiedy wypłynęła z Duat do nowojorskiego portu, a następnie na niebo świata śmiertelników.

Dla obserwatorów z dołu drugie słońce jakby połączyło się ze światłem pierwszego. A co naprawdę się stało? Słoneczna barka przygasła, opadając ku Domowi Brooklyńskiemu, gdzie zakryła ją bariera maskująca rezydencję przed śmiertelnikami, toteż ludziom wydawało się, że zniknęła.

Tarcza pracowała na pełnych obrotach, ponieważ w rezydencji toczyła się poważna bitwa. Gryf Świrus nurkował w powietrzu, walcząc ze skrzydlatymi ognistymi węzami, ureuszami.

– ŚWIIIR! – wrzasnął i pochłoniął ureusza, ale węże miały znaczącą przewagę. Jego futro było przypalone, a brzęczące skrzydła musiały być popsute, ponieważ obracał się jak zepsuty helikopter.

Jego gniazdo na dachu stało w ogniu. Nasz portalowy sfinks był rozbity, a na kominie widniała wielka czarna plama w kształcie gwiazdy – ślad po wybuchu kogoś lub czegoś. Oddział nieprzyjacielskich magów i demonów ukrył się za klimatyzatorem, gdzie przyszpilili ich Ziya i Walt, broniący schodów. Obie strony ciskały w siebie ogniem, uszebti i płonącymi bombami hieroglificznymi ponad ziemią niczyją na środku dachu.

Kiedy zniżyliśmy się nad pozycją wroga, stary Ra (tak, nadal był tak dziecinny i pomarszczony jak wcześniej) wychylił się za burtę i pomachał do wszystkich berłem: – Helloo! Zebry!

Obie strony spojrzały w górę ze zdziwieniem.

– Ra! – wrzasnął jeden z demonów.

A następnie wszyscy podjęli krzyk: – Ra? Ra! Ra!

Brzmiało to jak najbardziej przerażona orkiestra strażacka na świecie. Ureusze przestały pluć ogniem, ku sporemu zaskoczeniu Świrusa, i natychmiast pofrunęły ku słonecznej barce. Krążyły teraz wokół nas niczym gwardia honorowa, a ja przypomniałam sobie słowa Mienszykowa, że początkowo były to stworzenia Ra. Najwyraźniej rozpoznały swojego starego pana (z naciskiem na *starego*).

Większość nieprzyjaciół rozpierchła się, kiedy łódź spłynęła na dach, tylko najpowolniejszy z demonów powiedział: – Ra? – i spojrział w górę w chwili, kiedy barka wylądowała na nim z zadowolonym *chrup*.

Oboje z Carterem rzuciliśmy się do bitwy. Pomimo wszystkiego, przez co przeszliśmy, czułam się świetnie. Choroba chaosowa znikła, kiedy tylko wydostaliśmy się z Duat. Moja magia była mocna. Humor miałam doskonały. Gdybym tylko mogła wziąć prysznic, założyć świeże ciuchy i wypić filizankę herbaty, byłabym w raju. (Wykreślić to: odkąd zobaczyłam Raj, wcale mi się tam nie podoba. Wystarczy mi własny pokój).

Zmieniłam jednego z demonów w tygrysa i poszczułam nim pozostałe. Carter rozdał się w postać awatara – tego błyszczącego na złoto, na szczęście, trzymetrowy człowiek-ptak napawał mnie lękiem. Zaczął sobie torować drogę między przerażonymi nieprzyjacielskimi magami i za jednym zamachem posłał wszystkich do East River. Ziya i Walt wychynęli z klatki schodowej i pomogli nam pozbyć się maruderów. Następnie podbiegli do nas z promiennymi uśmiechami na twarzach. Byli posiniaczeni i potłuczeni, ale zdecydowanie żywi.

– ŚWIIR! – oznajmił gryf. Zanurkował i wylądował obok Cartera, bodąc go głową w awatara, co jak miałam nadzieję, było oznaką miłości.

– Hej, stary. – Carter podrapał go po łbie, unikając zetknięcia z ostrymi jak piła łańcuchowa skrzydłami. – Co tu się dzieje?

– Rozmowa nie pomogła – odparła sucho Ziya.

– Wróg usiłował się przedrzeć przez całą noc – dodał Walt. – Amos i Bastet odpierali ich, ale... – Zerknął na słoneczną barkę i głos mu się załamał. – Czy to... to nie jest...

– Zebra! – krzyknął Ra, człapiąc ku nam z szerokim bezzębnym uśmiechem.

Podszedł prosto do Ziyi i wyjął coś z ust – błyszczącego złotego skarabeusza, dość mokrego, ale niestrawionego. Podał żuka Ziyi.

– Lubię zebry.

Ziya cofnęła się.

– To jest... to jest Ra, Pan Słońca? Czemu daje mi chrząszcza?

– I o co chodzi z tymi zebami? – spytał Walt.

Ra spojrzął na Walta i cmoknął z niezadowoleniem.

– Wiewiórki są chore.

Nagle poczułam lodowate zimno. W głowie mi się zakręciło, jakby powracała choroba chaosowa. Gdzieś w tle moich myśli zaczęła się formować pewna idea... coś *bardzo* ważnego.

Zebry... Ziya. Wiewiórki... Walt.

Zanim zdążyłam pomyśleć nad tym dokładniej, budynkiem wstrząsnęło wielkie BUUUM! Od ściany rezydencji oderwały się kawałki kamienia, spadając na podwórze magazynu.

– Znów przedarli się przez mur! – zawołał Walt. – Szybko!

Uważam, że jestem całkiem bystra i mam podzielną uwagę, ale reszta bitwy rozegrała się tak szybko, że nawet ja się pogubiłam. Ra bezwzględnie odmówił rozstania z Zebłą i Wiewiórką (Ziya i Walt, wybaczcie), więc zostawiliśmy go pod ich opieką przy słonecznej barce, a Świrus opuścił się ze mną i Carterem na znajdujący się niżej taras. Z jego pazurów zeszliliśmy na stół śniadaniowy i zobaczyliśmy Bastet, która wirowała ze sztyletami w rękach, rozbijając demony na piach i wrzucając magów kopniakami do basenu, gdzie nasz krokodyl albinos o imieniu Filip Macedoński z radością się nimi zajmował.

– Sadie! – zawołała z ulgą. [Tak, Carter, zawołała *mnie*, a nie ciebie, ale w końcu znała mnie dłużej]. Chyba nieźle się bawiła, ale w jej głosie brzmiało ponaglenie. – Przedarli się przez wschodnią ścianę. Wejdźcie do środka!

Przebiegliśmy przez drzwi, uchylając się przed wombatem, który niespodziewanie przeleciał nam nad głowami – zapewne efekt czyjegoś nieudanego zaklęcia – i wpadliśmy w kompletne pandemonium.

– Na Horusa – powiedział Carter.

Właściwie Horus był jednym z nielicznych, którzy *nie* walczyli w Wielkiej Sali. Chufu, nasz nieustraszony pawian, ujeżdżał wiekowego maga po całym pomieszczeniu, dusząc go jego własną różdżką i uderzając jego głową w ściany, aż mag zrobił się cały niebieski. Felix wypuścił całe stado pingwinów na innego

maga, który kulił się w magicznym kręgu, nękany stresem pourazowym, i wrzeszczał: „Tylko nie Antarktyda! Wszystko tylko nie to!”. Alyssa wezwała moc Geba, żeby załatać ogromną dziurę, którą wróg wybił w ścianie. Julian po raz pierwszy w życiu zdołał przywołać bitewnego awatara i siekał demony błyszczącym mieczem. Nawet intelektualistka Cleo biegała po pokoju, wyciągając z sakiewki kolejne zwoje i krzycząc losowo słowa mocy, takie jak „oślepienie!” „poziom!” i „bomba!” (to ostatnie, swoją drogą, czyniło cuda, jeśli chodzi o unieszkodliwianie wrogów). Wszędzie, gdzie tylko spojrzałam, nasi uczniowie byli górą. Walczyli tak, jakby czekali całą noc na szansę zadania ciosu, i faktycznie musiało tak być. Zobaczyłam też Jaz – Jaz! Na nogach i wyglądającą całkiem zdrowo! – posyłając kopniakiem nieprzyjacielskiego uszebti prosto do kominka, gdzie figurka rozpadła się na setki kawałków.

Czułam, że wypełnia mnie absolutna duma, a nie tylko niewielkie zaskoczenie. Tak bardzo się martwiłam, czy nasi młodzi uczniowie przeżyją, a oni najzwyczajniej w świecie *pokonywali* znacznie bardziej doświadczonych magów.

Największe wrażenie robił jednak Amos. Widziałam go już w akcji, ale nigdy w *takiej*. Stał na bazie posągu Thota, przywołując za pomocą laski pioruny i błyskawice, uderzając w nieprzyjaciół i zamieniając ich w miniaturowe chmury burzowe. Jedna z kobiet rzuciła się na niego z laską płonąca czerwonym ogniem, ale Amos po prostu uderzył w podłogę. Marmurowe kafle zamieniły się w piasek pod jej stopami i kobieta zapadła się po szyję.

Spojrzeliliśmy po sobie z Carterem, uśmiechając się szeroko, i dołączyliśmy do walki.

To był pogrom. Wkrótce z demonów pozostały jedynie sterty piasku, a nieprzyjacielscy magowie rozpierchli się w panice. Niewątpliwie spodziewali się walki z bandą niewytrenowanych dzieci. Nie spodziewali się frontalnego uderzenia Kane’ów.

Jedna z kobiet zdołała otworzyć portal w ścianie po przeciwnej stronie sali.

– *Zatrzymaj ich* – odezwał się w mojej głowie głos Izydy, co było nieco szokujące po tak długim milczeniu. – *Muszą poznać prawdę.*

Nie wiem, skąd przyszło mi to do głowy, ale uniosłam ramiona, a po moich bokach pojawiły się migotliwe tęczowe skrzydła – skrzydła Izydy.

Poruszyłam rękami. Powiew wiatru i wielobarwnego światła zbił naszych nieprzyjaciół z nóg, pozostawiając sojuszników nietkniętych.

– Słuchajcie! – krzyknęłam.

Zapadła cisza. Mój głos zazwyczaj brzmi władczo, ale teraz efekt był dziesięć razy lepszy. Skrzydła pewnie też przyciągały uwagę.

– Nie jesteśmy waszymi wrogami! – powiedziałam. – Nie obchodzi mnie, czy nas lubicie, ale świat się zmienił. Musicie wysłuchać, co się stało.

Moje magiczne skrzydła bladły, w miarę jak opowiadałam o naszej podróży przez Duat, o odrodzeniu Ra, zdradzie Mienszykowa, powstaniu Apopisa i poświęceniu Desjardinsa, żeby wygnać Węża.

– Kłamstwa! – Naprzód wystąpił Azjata w nadpalonych niebieskich szatach. Sądząc po opisie z wizji Cartera, uznałam, że był to Kwai.

– To prawda – odparł Carter. Nie otaczał go już awatar. Jego ubranie stało się z powrotem ciuchami współczesnego śmiertelnika, które kupiłam mu w Kairze, ale nadal wyglądał całkiem imponująco i śmiało. Uniósł do góry lamparci płaszcz najwyższego lektora, a ja poczułam falę szoku, jaka przetoczyła się przez salę.

– Desjardins walczył po naszej stronie – powiedział Carter. – Pokonał Mienszykowa i wyklął Apopisa. Poświęcił życie, żebyśmy mogli zyskać na czasie. Ale Apopis powróci. Desjardins chciał, żebyście to wiedzieli. W ostatnich słowach kazał mi pokazać wam ten płaszcz i wyjaśnić wszystko. Zwłaszcza tobie, Amosie. Chciał, żebyś wiedział... ścieżka bogów musi się odrodzić.

Nieprzyjacielski portal ucieczki wciąż wirował. Nikt jednak przez niego jeszcze nie przeszedł.

Kobieta, która go otworzyła, splunęła na podłogę. Była ubrana w białą szatę i miała krótkie, nastroszone czarne włosy.

– Na co czekacie? – krzyknęła do swoich towarzyszy. – Przynoszą nam płaszcz najwyższego lektora i opowiadają jakąś szaloną historyjkę. Przecież to Kane’owie! Zdrajcy! Pewnie sami zabili Desjardinsa i Mienszykowa.

– Saro Jacobi! – rozległ się dudniący głos Amosa. – Akurat ty powinnaś wiedzieć, że to nieprawda. Poświęciłaś życie na studiowanie ścieżek chaosu. Wyczuwasz wyzwolenie Apopisa, czyż nie? I powrót Ra.

Amos wskazał przez szklane drzwi prowadzące na taras. Nie wiem, skąd wiedział, nie patrząc, ale słoneczna barka właśnie spływała w dół, by spocząć w basenie Filipa. Było to imponujące lądowanie. Ziya i Walt stali po obu stronach tronu. Udało im się posadzić Ra prosto, tak że wyglądał choć trochę bardziej królewsko z laską i biczem w rękach, choć wciąż na jego twarzy gościł głupkowaty uśmiech.

Bastet, która stała na tarasie jak zamurowana, upadła na kolana.

– Mój król!

– Hello! – zaświergotał Ra. – Do widzenia!

Nie bardzo wiedziałam, co miał na myśli, ale Bastet podniosła się, nagle zaniepokojona.

– On zamierza wznieść się do nieba! – krzyknęła. – Walt, Ziya, skaczcie!

Udało im się w ostatniej chwili. Słoneczna łódź zaczęła świecić. Bastet zwróciła się do mnie i zawołała: – Odprowadzę go do pozostałych bogów! Nie martwcie się. Wróć szybko! – Skoczyła na pokład i barka poszybowała na niebo, zmieniając się w kulę ognia. Chwilę później zlała się w jedno ze słońcem i znikła.

– Oto dowód – oznajmił Amos. – Bogowie i Dom Życia muszą współpracować. Sadie i Carter mają rację. Apopis nie pozostanie uwięziony na długo, skoro już zdołał zerwać łańcuchy. Kto do nas dołączy?

Kilku nieprzyjacielskich magów rzuciło laski i różdżki.

Kobieta w bieli, Sara Jacobi, prychnęła.

– Pozostałe nomy nigdy nie uznają twoich żądań, Kane. Jesteś skalany mocą Seta! Będziemy o tym opowiadać. Powiemy im, że zamordowałeś Desjardinsa. Nigdy za tobą nie pójda!

Skoczyła w portal. Mężczyzna w niebieskiej szacie, Kwai, przyglądał nam się pogardliwie przez chwilę, po czym skoczył za nią. Podobnie jak trzech inni magowie, ale nie ścigaliśmy ich.

Amos z szacunkiem wziął lamparci płaszcz z rąk Cartera.

– Biedny Michel.

Wszyscy zgromadzili się wokół posągu Thota. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo zniszczona była Wielka Sala. Ściany popękały, okna i rzeźby były rozbite, a muzyczne instrumenty Amosa na pół stopione. Po raz drugi w ciągu trzech miesięcy omal nie zniszczyliśmy Domu Brooklyńskiego. To pewnie był rekord. A mimo to miałam ochotę uściskać wszystkich z radości.

– Świetnie się wszyscy spisaliście – powiedziałam. – Zniszczyliście nieprzyjaciela w kilka sekund! Skoro potraficie tak znakomicie walczyć, jak oni zdołali trzymać was w potrzasku przez całą noc?

– Ależ my ledwie daliśmy sobie z nimi radę! – zaprotestował Felix. Wyglądał na zaskoczonego własnym sukcesem. – O świcie byłem całkowicie pozbawiony energii.

Pozostali potakiwali ponuro.

– A ja byłam w śpiączce – odezwał się znajomy głos. Jaz precisięła się przez

tłum i uściskała Cartera i mnie. Tak dobrze było ją widzieć, że aż poczułam się głupio z powodu zazdrości o Walta.

– Już dobrze się czujesz? – Ujęłam ją za ramiona i szukałam w jej twarzy oznak choroby, ale wyglądała zupełnie normalnie i energicznie.

– Czuję się świetnie! – odparła. – O świcie obudziłam się całkiem zdrowa. Chyba w chwili kiedy przybyliście... sama nie wiem. Coś się wydarzyło.

– Moc Ra – powiedział Amos. – Kiedy on powstał, przyniósł nowe życie, nową energię dla nas wszystkich. Przywrócił życie naszym duchom. Bez tego ponieśliśmy klęskę.

Zwróciłam się do Walta, bojąc się pytać. Czy on też mógł zostać uleczony? Spojrzenie jego oczu powiedziało mi, że ta modlitwa nie została wysłuchana. Podejrzewam, że wszystko go bolało po takiej dozie magii.

„Wiewiórki są chore”, powtarzał w kółko Ra. Nie byłam pewna, dlaczego tak się przejmował zdrowiem Walta, ale najwyraźniej nawet on nie mógł go wyleczyć.

– Amosie – odezwał się Carter, przerywając mój tok myśli – co miała na myśli Jacobi, mówiąc, że pozostałe nomy nie uznają twoich żądań?

Nie mogłam się powstrzymać. Westchnęłam i przewróciłam oczami. Mój brat bywa czasem okropnie tępy.

– Co? – zapytał ostro.

– Carter – powiedziałam – pamiętasz, jak rozmawialiśmy o najpotężniejszych magach na świecie? Desjardins był pierwszy. Mienszykow trzeci. A ty zastanawiałeś się, kto może być drugi.

– Aha – potaknął. – Ale...

– Teraz Desjardins nie żyje, więc *drugi* z najpotężniejszych magów został *najpotężniejszym* magiem. Jak myślisz, kto to jest?

Jego szare komórki chyba w końcu powoli zajarzyły, co jest dowodem na to, że cuda się zdarzają. Odwrócił się i wbił wzrok w Amosa.

Nasz stryj potaknął z powagą.

– Obawiam się, że tak jest, dzieci. – Amos założył na ramiona lamparci płaszcz. – Czy mi się to podoba, czy nie, odpowiedzialność przywódcy spada na mnie. Jestem nowym najwyższym lektorem.

24. Składam obietnicę

Nie lubię pożegnań, ale jest jeszcze dużo do opowiedzenia.

[Nie, Carter, to nie znaczy, że zamierzam oddać ci głos. Spadaj].

Zanim zapadł wieczór, w Domu Brooklyńskim z powrotem panował porządek. Alyssa prawie samodzielnie – jedynie z pomocą boga ziemi – rozprawiła się z odbudową. Nasi uczniowie znali zaklęcie *chenem* na tyle dobrze, że bez większych problemów naprawili porozbijane sprzęty. Chufu radził sobie ze ścierkami i płynem do mycia równie sprawnie jak z koszykówką; no i to niesamowite, o ile łatwiej uporać się z czyszczeniem, polerowaniem i odkurzaniem, jeżeli się przyczepi wielkie ścierki do kurzu do skrzydeł gryfa.

Mieliśmy kilka spotkań w ciągu dnia. Filip Macedoński trzymał straż w basenie, a nasza armia uszebti patrolowała cały teren, ale nikt nie spróbował nas zaatakować: ani siły Apopisa, ani magowie. Niemal czułam, jak wszystkie trzysta sześćdziesiąt nomów ogarnia zbiorowy szok na wieść o tym, co się stało: Desjardins nie żył, Apopis powstał, Ra powrócił, a Amos Kane był nowym najwyższym lektorem. Nie wiem, co ich przestraszyło najbardziej, ale miałam nadzieję, że będziemy mieć przynajmniej chwilę spokoju, kiedy pozostałe nomy będą się zastanawiać nad tymi wydarzeniami i decydować, co robić.

Tuż przed zachodem słońca wróciliśmy z Carterem na dach, a Ziya otworzyła portal do Kairu dla siebie i Amosa. Ze świeżo przyciętymi czarnymi włosami i w nowych brązowych szatach wyglądała zupełnie tak samo, jak kiedy rozmawialiśmy z nią w Metropolitan Museum, choć tak wiele się od tamtej chwili wydarzyło. A poza tym, ściśle rzecz ujmując, w ogóle jej w tym muzeum nie było: był tam jej uszebti.

[Wiem, strasznie to wszystko skomplikowane. Radzę nauczyć się zaklęcia przywołującego lek na migrenę, działa cuda].

Wirująca brama pojawiła się w powietrzu i Ziya się odwróciła, żeby się pożegnać.

– Udam się z Amosem – to jest z najwyższym lektorem – do pierwszego nomu i dopilnuję, by uznano w nim przywódcę Domu.

– Nie będzie łatwo – powiedziałam – bądź ostrożna.

Amos uśmiechnął się.

– Nie martw się – powiedział – wszystko będzie dobrze.

Wyglądał trochę szpanersko, jak zwykle: złoty garnitur z jedwabiu, dopasowany do nowego płaszcza ze skóry lamparta, słomkowy kapelusz i złote paciorki w zaplecionych w warkoczyki włosach. Poza tym miał z sobą skórzaną torbę i pokrowiec na saksofon. Wyobraziłam go sobie siedzącego u stóp tronu faraona, grającego na saksofonie tenorowym – pewnie jakieś kawałki Johna Coltrane’a – u początków nowej ery, rozwijającej się wokół niego w fioletowym świetle wśród wyskakujących z jego saksofonu błyszczących hieroglifów.

– Będę się do was odzywał – obiecał. – Poza tym świetnie sobie radzicie w Domu Brooklyńskim, nie potrzebujecie już mentora.

Próbowałam być dzielna, choć bardzo mi się nie podobało, że odchodzi. Skończyłam trzynaście lat, ale to nie znaczy, że chciałam zostać obciążona wszystkimi obowiązkami dorosłej osoby! Na pewno nie miałam ochoty dowodzić dwudziestym pierwszym nomem ani prowadzić wojsk do bitwy. Chyba jednak każdy, postawiony w tej sytuacji, czułby się niegotowy.

Ziya położyła dłoń na ramieniu Cartera. Podskoczył, jakby dotknęła go elektrodą defibrylatora.

– Porozmawiamy niedługo – powiedziała – kiedy sprawy się ułożą. Niemniej jednak, dziękuję ci.

Carter skinął głową, choć był niepokieszony. Wszyscy wiedzieliśmy, że sprawy nieprędko się ułożą: nie było nawet żadnej gwarancji, że przeżyjemy dość długo, by jeszcze spotkać Ziyę.

– Uważaj na siebie – powiedział Carter. – Masz ważną rolę do odegrania.

Ziya zerknęła na mnie i przez moment połączyło nas dziwne porozumienie. Myślę, że zaczęła powoli podejrzewać – z głęboko ukrytym lękiem – jaką to rolę może mieć do odegrania. Nie mogę powiedzieć, żebym sama to jakoś szczególnie dobrze rozumiała, ale podzielałam jej niepokój. „Zebry”, powiedział Ra. Obudził się, mówiąc o zebrach.

– Jeżeli będziecie nas potrzebować – powiedziałam – nawet się nie zastanawiaj. Wpadnę tam i spuszczę łanie tym magom z pierwszego nomu.

Amos pocałował mnie w czoło. Cartera poklepał po ramieniu.

– Jestem z was dumny – powiedział. – Po raz pierwszy od lat czuję nadzieję, a to dzięki wam.

Chciałam, żeby zostali dłużej, chciałam jeszcze z nimi porozmawiać, ale moje doświadczenie z Chonsu nauczyło mnie nie być chciwą, jeśli chodzi o czas.

Najlepiej cieszyć się tym, co się ma, a nie chcieć więcej.

Amos i Ziya wkroczyli w portal i zniknęli.

O zachodzie słońca w Wielkiej Sali pojawiła się wyglądająca na wyczerpaną Bastet. Zamiast swojego zwykłego kombinezonu miała na sobie elegancką egipską suknię i ciężką biżuterię, sprawiającą wrażenie wyjątkowo niewygodnej.

– Zapomniałam, jak trudno się podróżuje słoneczną barką po niebie – powiedziała, ocierając twarz z potu. – I jak tam jest gorąco. Następnym razem zabieram spodeczek i dzbanek mleka.

– Jak tam Ra? – zapytałam.

Bogini kotka zacisnęła usta.

– Cóż... niewiele się zmienił. Skierowałam łódź do sali tronowej bogów – na dzisiejszą podróż szykują już nową załogę, ale powinniście pójść się z nim zobaczyć, zanim wyruszy.

– Dzisiejszą podróż? – zapytał Carter. – Przez Duat? Przecież ledwie przywieźliśmy go z powrotem?

Bastet rozłożyła ręce.

– A czego się spodziewałeś? Uruchomiliście pradawny cykl na nowo: Ra będzie spędzał dni w niebie, a noce na rzece. Bogowie będą musieli go strzec, jak kiedyś. Chodźcie, mamy tylko chwilę.

Miałam spytać, jak zamierza przetransportować nas do sali tronowej bogów, bo wielokrotnie powtarzała, że kiepsko jej idzie przywoływanie portali. Nagle w powietrzu otworzyły się drzwi z samego cienia i wyszedł przez nie Anubis. Wyglądał jak zwykle wkurzająco bosko w swoich czarnych dżinsach i skórzanej kurtce, pod którą miał białą obcisłą koszulę. Tak wspaniale obcisła, że zastanawiałam się, czy celowo się tak wystroił. Pewnie nie, prawdopodobnie po prostu rano wstaje z łóżka i już tak wygląda.

Okej... ten obraz wcale nie pomagał mi się skupić.

– Witaj, Sadie – powiedział. [Tak, Carter, do mnie zwrócił się najpierw. Co tu dużo mówić, ważna ze mnie osoba].

Próbowałam wyglądać na obrażoną.

– A, to ty – powiedziałam. – Szkoda, że nie wpadłeś do podziemia, kiedy graliśmy o nasze dusze.

– Istotnie, cieszę się, że żyjecie – odparł. – Trudno byłoby napisać mowy pochwalne na waszą cześć.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – odparowałam. – Gdzie się podziewałeś?

W jego brązowych oczach pojawiło się jeszcze więcej smutku.

– Miałem inne sprawy do załatwienia. A teraz musimy się pospieszyć.

Wskazał na drzwi z mroku. Poszłam pierwsza, tylko po to, żeby pokazać mu, że się nie boję.

Po drugiej stronie znaleźliśmy się od razu w sali tronowej bogów, a cały tłum zebranych tam bóstw odwrócił się, by na nas spojrzeć. Pałac wydał mi się jeszcze wspanialszy niż poprzednim razem: kolumny były wyższe, pomalowane w bardziej wyszukane wzory, na błyszczącej marmurowej posadzce wirowały gwiazdy, jakbyśmy szli przez galaktykę. Sufit lśnił jak jedno wielkie źródło światła. Tron Horusa przesunięto na bok, tak że wyglądał teraz jak miejsce dla obserwatora, a nie – najważniejszy punkt na sali.

W samym środku pomieszczenia lśniła otoczona rusztowaniami słoneczna barka. Załoga światełek fruwała dookoła, czyszcząc kadłub i sprawdzając olinowanie. Ureusze krążyły wokół tronu ognia, na którym siedział Ra, ubrany w szaty egipskiego króla, trzymając insygnia na kolanach. Głowa opadała mu na pierś i głośno chrapał.

Podszedł do nas muskularny młodzieniec w skórzanej zbroi; miał ogoloną głowę i oczy o dwóch różnych barwach: jedno srebrne, jedno złote.

– Witajcie, Carterze i Sadie – powiedział Horus. – To dla nas zaszczyt.

Jego słowa nie pasowały do sztywnego i formalnego tonu głosu. Inni bogowie ukłonili nam się z szacunkiem, ale wyczuwałam ich ledwie zamaskowaną wrogość. Wszyscy ubrani byli w najznakomitsze zbroje i wyglądali imponująco. Sobek, bóg krokodyl (zdecydowanie nie jeden z moich ulubieńców), nosił błyszczącą zieloną zbroję, a w dłoni miał potężną laskę, spływającą wodą. Nechbet była tak czysta, jak tylko jest to możliwe w przypadku sępa; jej czarny, pierzasty płaszcz wydawał się jedwabisty i miękki. Skinęła do mnie, ale jej oczy powiedziały mi, że nadal chętnie rozszarpałaby mnie na strzępy. Babi, bóg pawian, miał wyczyszczone zęby i wyszczotkowane futro, a w ręku trzymał piłkę do rugby – być może zaraził się tą obsesją od naszego dziadka. Chonsu stał obok w swoim błyszczącym srebrnym garniturze i z uśmiechem podrzucał w dłoni monetę. Miałam ochotę mu przyłożyć, ale skinął do mnie, jakbyśmy byli starymi kumplami. Był nawet Set, w swoim piekielnie czerwonym stroju disco, oparty o kolumnę gdzieś z tyłu, z czarną żelazną laską w dłoni. Pamiętałam jego obietnicę, że mnie nie zabije do czasu, kiedy uwolnimy Ra, teraz jednak wyglądał na zrelaksowanego: uchylił przede mną kapelusza i uśmiechnął się złośliwie, jakby bawiło go moje zmieszanie.

Thot, bóg wiedzy, był jedynym, który się nie wystroił na tę okazję: jak zwykle miał na sobie dzinsy i zabazgrany fartuch laboratoryjny. Przyglądał mi się swymi kalejdoskopowymi oczyma i miałam wrażenie, że współczuje mi jako jedyny z zebranych.

Izyda zrobiła krok do przodu; długie czarne włosy miała zaplecione w warkocze i odrzucone do tyłu na cienką jak pajęczyna suknię, a jej tęczowe skrzydła lśniły. Ukłoniła mi się, ale czułam bijący od niej chłód.

Horus odwrócił się do zgromadzonych bogów i wtedy zauważyłam, że nie nosi już farańskiej korony.

– Oto Carter i Sadie Kane – powiedział – którzy obudzili naszego władcę. Niech nikt nie wątpi: nasz wróg, Apopis, powstał. Musimy zjednoczyć się w obronie Ra.

Ra wymamrotał przez sen: – Foka, ciastko, wiewiórka – po czym znowu zaczął chrapać.

Horus odchrząknął.

– Przysięgam wierność Ra – powiedział. – I oczekuję, że wszyscy zrobicie to samo i będziecie strzec jego barki, kiedy będzie dziś przekraczała Duat. Wszyscy będziemy obejmować wartę na zmianę, dopóki bóg słońca nie... wydobrzeje całkowicie.

Ton głosu zdradzał, że nie wierzy, by to kiedykolwiek miało nastąpić.

– Znajdziemy sposób, by pokonać Apopisa! – rzekł. – A teraz świętujcie powrót Ra! Uznaję Cartera Kane'a za brata.

Zabrzmiała muzyka, odbijając się echem od ścian. Siedzący nadal na tronie w swej łodzi Ra obudził się i zaczął bić brawo. Uśmiechał się, kiedy bogowie przemykali obok niego, niektórzy w swych ludzkich postaciach, inni rozplywający się w kształty z mgły, płomieni lub światła.

Izyda ujęła moje dłonie.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Sadie – powiedziała lodowatym tonem. – Nasz największy wróg powstaje, a ty zdetronizowałaś mojego syna i uczyniłaś przywódcą zgrzybiałego boga.

– Daj nam szansę – odparłam, choć kolana się pode mną uginały.

Horus ujął Cartera za ramiona. Słowa, które wypowiedział, nie były bardziej przyjazne.

– *Jestem* twoim sojusznikiem, Carterze – obiecał. – Będę ci użyczał mojej mocy, kiedy tylko poprosisz. Ożywisz ścieżkę mojej magii w Domu Życia i będziemy walczyć razem, by pokonać Węża. Ale nie popełnij błędu: twoje

czynny kosztowały mnie tron. Jeśli za twoje wybory zapłacimy przegraną wojną, przysięgam, że zanim Apopis mnie połknie, zdążę zmiażdżyć cię niczym komara. A jeśli stanie się tak, że wygramy tę wojnę bez pomocy Ra, jeśli zhańbiłeś mnie na daremno, przysięgam, że śmierć Kleopatry i klątwa Echnatona będą niczym w porównaniu z gniewem, który padnie na ciebie i twoją rodzinę na wieki. Rozumiesz?

Na plus Carterowi trzeba zaliczyć, że wytrzymał spojrzenie boga wojny.

– Rób, co do ciebie należy – odparł Carter.

Horus roześmiał się do zgromadzonych, jakby wymienili z Carterem zabawny żart.

– Idź teraz, Carterze. Zobacz, ile kosztowało twoje zwycięstwo. Miejmy nadzieję, że nie wszyscy twoi sojusznicy podzielą ten los.

Horus odwrócił się do nas plecami i dołączył do świętowania.

Izyda uśmiechnęła się do mnie po raz ostatni i rozplynęła się w migotliwą tęczę.

Bastet stała u mojego boku, ewidentnie zmuszając się do milczenia, ale wyglądała tak, jakby chciała ostrzyć pazury na Horusie jak na kocim drapak.

Anubis wyglądał na zażenowanego.

– Wybacz, Sadie. Bogowie potrafią być...

– Niewdzięczni? – spytałam. – Wkurzający?

Zarumienił się. Podejrzewam, że wziął te uwagi do siebie.

– Czasami zabiera nam sporo czasu zrozumienie, co jest ważne – powiedział w końcu. – Często potrzebujemy długiej chwili, żeby docenić coś nowego, coś, co może nas zmienić na lepsze.

Utkwił we mnie wzrok tych ciepłych oczu, a ja omal nie roztopiłam się na miejscu.

– Musimy iść – przerwała nam Bastet. – Jeszcze jeden przystanek, jeśli jesteście gotowi.

– Cena zwycięstwa – przypomniał sobie Carter. – Bes? Czy on żyje?

Bastet westchnęła.

– To trudne pytanie. Tędy.

Słoneczna Równina była ostatnim miejscem, jakie miałam ochotę oglądać.

W domu opieki niewiele się zmieniło. Odrodzone światło słoneczne nie pomogło zgrzybiałym bogom. Wciąż popychali swoje stojaki z kroplówkami, wpadali na ściany, śpiewali starożytne hymny, jakby na próżno szukali

nieistniejących od wieków świątyń.

Dołączył do nich nowy pacjent. Bes siedział w szpitalnej koszuli na wiklinowym fotelu, gapiąc się przez okno na Jezioro Ognia.

Przy jego boku klęczała Tauret z czerwonymi od płaczu maleńkimi hipopotamimi oczkami. Usiłowała przekonać go, żeby napił się ze szklanki.

Woda spływała mu po podbródku. Wpatrywał się beznamiętnie w płomienny wodospad w oddali, jego poorana bruzdami twarz była skąpana w czerwonym świetle. Kędzierzawe włosy miał świeżo uczesane, ubrany był w świeżą niebieską hawajską koszulę i szorty, więc wyglądał całkiem niezłe. Czoło jednak miał zmarszczone. Palcami ścisnął podłokietniki, jakby wiedział, że musi sobie coś przypomnieć, ale nie był w stanie tego zrobić.

– Wszystko w porządku, Bes. – Głos Tauret drżał, kiedy ocierała mu podbródek chusteczką. – Coś wymyślimy. Zajmę się tobą.

Nagle nas dostrzegła. Wyraz jej twarzy spoważniał. Jak na łagodną boginię narodzin Tauret potrafiła wyglądać całkiem przerażająco, jeśli tylko chciała.

Poklepała boga karła po kolanie.

– Zaraz wrócę, kochany.

Wstała, co było niezłym dokonaniem, zważywszy na jej wydęty brzuch, i pociągnęła nas dalej od jego krzesła.

– Jak śmiesz tu przychodzić! Jakby tego było mało!

Omam się nie rozplakałam i już miałam ją przeprosić, ale zorientowałam się, że jej gniew nie był skierowany przeciwko Carterowi albo mnie. Tauret patrzyła z wściekłością na Bastet.

– Tauret... – Bastet uniosła dłonie. – Nie chciałam tego. Był moim przyjacielem.

– Był jedną z twoich kocich zabawek! – Tauret krzyknęła tak głośno, że niektórzy z jej pacjentów rozsłochali się. – Jesteś równie samolubna jak cały twój gatunek, Bastet. Posłużyłaś się nim i porzuciłaś go. *Wiedziałaś*, że cię kocha, i wykorzystałaś to. Bawiłaś się nim jak kot myszą.

– To niesprawiedliwe – mruknęła Bastet, a jej włosy zaczęły się podnosić jak zawsze, kiedy jest przestraszona. Nie dziwiłam się jej. Mało jest rzeczy równie przerażających jak rozwścieczony hipopotam.

Tauret tupnęła nogą tak mocno, że złamała obcas.

– Bes zasłużył na coś więcej niż to. Zasłużył na coś więcej niż *ciebie*. Miał dobre serce. Ja... ja go nigdy nie zapomniałam!

Czułam, że zapowiada się na bardzo gwałtowną, jednostronną walkę między

kotem a hipopotamem. Nie wiem, czy odezwałam się, żeby ratować Bastet, czy też pomóc przerażonym pacjentom, a może złagodzić własne poczucie winy, ale stałam między boginiami.

– Naprawimy to – wypaliłam. – Tauret, przysięgam na moje życie. Znajdziemy sposób, żeby uleczyć Besa.

Spojrzała na mnie i z jej oczu znikł gniew, pozostawiając jedynie współczucie.

– Och, moje dziecko... Wiem, że chcesz dobrze. Ale nie dawaj mi fałszywej nadziei. Zbyt długo nią żyłam. Idź... zobacz się z nim, jeśli musisz. Zobacz, co się stało z najlepszym karłem na świecie. A potem zostaw nas samych. Nie obiecuj mi czegoś, co się nie może stać.

Odwróciła się i pokuśtykała na złamanym obcasie do dyżurki pielęgniarek. Bastet spuściła głowę. Jej mina była bardzo niekocia: pełna wstydu.

– Zaczekam tutaj – oznajmiła.

Wiedziałam, że to jej ostatnie słowo, więc podeszliśmy do Besa tylko z Carterem.

Bóg karzeł nie poruszył się. Siedział w swoim wiklinowym fotelu z półotwartymi ustami, ze wzrokiem utkwionym w Jeziorze Ognia.

– Bes. – Położyłam mu dłoń na ramieniu. – Słyszysz mnie?

Oczywiście nie odpowiedział. Na nadgarstku miał bransoletkę z imieniem wypisanym hieroglifami, pięknie ozdobionymi zapewne przez samą Tauret.

– Tak mi przykro – powiedziałam. – Odzyskamy twoje *ren*. Znajdziemy sposób, żeby cię uleczyć. Prawda, Carter?

– Aha. – Odchrząknął i zapewniam was, że *nie* zachowywał się w tej chwili wcale jak macho. – Tak, obiecuję, Bes. Nawet jeśli...

Pewnie chciał powiedzieć: „nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jakiej dokonamy”, ale szczęśliwie zrezygnował z kończenia zdania. Zważywszy na grożącą nam wojnę z Apopisem, lepiej było nie myśleć o tym, kiedy może się skończyć nasze życie.

Pochyliłam się i pocałowałam Besa w czoło. Przypomniało mi się nasze spotkanie na dworcu Waterloo, kiedy wywiózł Liz, Emmę i mnie w bezpieczniejsze miejsce. Przypomniało mi się, jak wystraszył Nechbet i Babiego swoim komicznym kostiumem kąpielowym. Pomyślałam o tej głupiej czekoladowej głowie Lenina, którą kupił w Petersburgu, i o tym, jak uratował Walta i mnie z portalu w Czerwonych Piaskach. Nie byłam w stanie myśleć o nim jako o *małym*. Miał ogromną, barwną, zabawną, wspaniałą osobowość –

i wydawało się niemożliwe, żeby to wszystko znikło na zawsze. Oddał swoje nieśmiertelne życie, żeby kupić nam dodatkową godzinę.

Nie potrafiłam powstrzymać się od płaczu. W końcu Carter musiał mnie od niego odciągnąć. Nie pamiętam, jak wróciliśmy do domu, ale pamiętam wrażenie, że raczej opadamy, zamiast się wznosić – jakby świat śmiertelników stał się głębszym i smutniejszym miejscem niż całe Duat.

Tego wieczoru siedziałam sama na moim łóżku przy otwartym oknie. Pierwsza noc wiosny okazała się zaskakująco ciepła i przyjemna. Na nabrzeżu migotały światła. Z pobliskiej piekarni unosił się zapach świeżo upieczonego chleba. Słuchałam mojej smutnej playlisty, zastanawiając się, jak to możliwe, że moje urodziny były zaledwie kilka dni temu.

Świat się zmienił. Bóg słońca powrócił. Apopis wydostał się z klatki i chociaż został wygnany w jakiś ciemny zakamarek otchłani, natychmiast zaczął się stamtąd wyrwać. Zbliżała się wojna. Mieliśmy tyle roboty. A jednak ja siedziałam sobie, słuchając tych samych piosenek co kiedyś, wpatrując się w plakat z Anubisem i czując się bezsilna z powodu niepewności co do kogoś tak banalnego i irytującego jak... tak, zgadliście. *Chłopaki*.

Usłyszałam pukanie do drzwi.

– Wejdz – powiedziałam bez nadmiernego entuzjazmu. Myślałam, że to Carter. Często rozmawiamy pod koniec dnia, przekazujemy sobie informacje. To jednak był Walt i nagle uświadomiłam sobie z przykrością, że mam na sobie stary podarty podkoszulek i spodnie od piżamy. Musiałam mieć równie okropną fryzurę jak Nechbet. Gdyby Carter zobaczył mnie w tym stanie, nie byłby to problem. Ale Walt? Niedobrze.

– Co ty tu robisz? – krzyknęłam nieco zbyt głośno.

Zamrugnął powiekami, najwyraźniej zaskoczony moim brakiem gościnności.

– Przepraszam, zaraz idę.

– Nie! To znaczy... okej. Zaskoczyłeś mnie. No i... wiesz... mamy tu zasady dotyczące chłopaków w pokojach dziewczyn bez, no, opieki.

Uświadomiłam sobie, że zabrzmiało to okropnie poważnie, prawie jakby to mówił Carter. Ale byłam zdenerwowana.

Walt skrzyżował ramiona. Bardzo ładne ramiona. Miał na sobie koszulkę do koszykówki i szorty do joggingu, a na szyi zwyczajny komplet amuletów. Wyglądał tak zdrowo, tak atletycznie, że trudno było uwierzyć, iż umiera na starożytną klątwę.

– Cóż, ty jesteś instruktorką – powiedział. – Możesz mnie nadzorować. Musiałam się bardzo zarumienić.

– Dobra. Jeśli zostawisz uchylone drzwi, to chyba... Ej, co cię właściwie tu sprowadza?

Oparł się o drzwi szafy. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że są wciąż otwarte, ukazując plakat z Anubisem.

– Tyle się dzieje – powiedział Walt. – Masz dość zmartwień. Nie chcę, żebyś przejmowała się na dodatek mną.

– Za późno – oświadczyłam.

Potaknął, jakby podzielał moją frustrację.

– Tamtego dnia na pustyni, w Bahariji... pewnie uznasz, że zwariowałem, jeśli powiem ci, że to był najlepszy dzień w moim życiu?

Serce podskoczyło mi w piersi, ale starałam się zachować spokój.

– Wiesz, egipski transport publiczny, przydrożni bandyci, śmierdzące wielbłądy, psychotyczne rzymskie mumie i opętani hodowcy daktyli... Rany, rzeczywiście niezły dzień.

– I ty – powiedział.

– No tak... też jestem na liście katastrof tego dnia.

– Nie to miałem na myśli.

Czułam się jak fatalny opiekun – zdenerwowana, zmieszana, mająca zupełnie nienauczycielskie myśli. Moje oczy powędrowały ku drzwiom szafy. Walt zauważył to.

– Och. – Wskazał na Anubisa. – Chcesz, żebym to zamknął?

– Tak – odparłam. – Nie. Może. To znaczy, *nie* ma znaczenia. No, nie chodzi o to, że nie ma znaczenia, ale...

Walt roześmiał się, jakby zupełnie nie przejmował się moim zakłopotaniem.

– Słuchaj, Sadie. Chciałem tylko powiedzieć, że cokolwiek się stanie, cieszę się, że cię poznałem. Cieszę się, że przyjechałem do Brooklynu. Jaz szuka dla mnie lekarstwa. Może coś znajdzie, ale tak czy siak... jest okej.

– *Nie* jest okej! – Myślę, że mój gniew zaskoczył mnie jeszcze bardziej niż jego. – Walt, ty umierasz z powodu cholery kłątwy. A tam... *tam* był Mienszykow, gotów zdradzić mi sekret lekarstwa, a ja... ja cię zawiodłam. Tak jak zawiodłam Besa. Nawet nie udało mi się sprowadzić z powrotem Ra we właściwy sposób.

Byłam wściekła na samą siebie za to, że się rozplakałam, ale nic nie byłam w stanie na to poradzić. Walt podszedł i usiadł koło mnie. Nie próbował objąć

mnie ramieniem, i dobrze. Byłam już wystarczająco zmieszana.

– Nie zawiodłaś mnie – powiedział. – Nikogo nie zawiodłaś. Zrobiłaś to, co należało, a to wymaga poświęceń.

– Ale nie od ciebie – odparłam. – Nie chcę, żebyś umierał.

Jego uśmiech sprawił, że świat jakby się skurczył do dwóch osób.

– Powrót Ra mnie nie uleczył – powiedział – ale dał mi nową nadzieję. Jesteś niesamowita, Sadie. Jakoś sobie z tym poradzimy. Nie opuszczę cię.

To brzmiało tak dobrze, tak wspaniale i tak niemożliwie.

– Jak możesz coś takiego obiecać?

Jego wzrok powędrował ku zdjęciu Anubisa, a potem ku mnie.

– Postaraj się mną nie martwić. Musimy skupić się na pokonaniu Apopisa.

– Masz na to jakiś pomysł?

Wskazał na moją szafkę nocną, gdzie stał stary magnetofon – prezent od dziadków sprzed wielu lat.

– Opowiedz ludziom, co się naprawdę wydarzyło – powiedział. – Nie pozwól, żeby Jacobi i jej podobni rozpowszechniali kłamstwa na temat waszej rodziny. Przybyłem do Brooklynu, ponieważ dostałem waszą pierwszą wiadomość – nagranie o czerwonej piramidzie, amulet *dzed*. Prosiłście o pomoc, a my odpowiedzieliśmy. Przyszedł czas, żeby znowu pomóc.

– A do ilu magów dotarliśmy naprawdę za pierwszym razem... dwudziestu?

– Ej, świetnie sobie poradziliśmy ostatniej nocy. – Walt patrzył mi prosto w oczy. Myślałam, że może mnie pocałuje, ale coś sprawiło, że oboje się zawahaliśmy – jakieś przeczucie, że to uczyniłoby nas jeszcze bardziej niepewnymi, słabymi. – Wyślij kolejne nagranie, Sadie. Po prostu opowiedz prawdę. Kiedy ty mówisz... – Wzruszył ramionami i podniósł się. – Cóż, dość ciężko cię zlekceważyć.

Chwilę po jego wyjściu w moim pokoju pojawił się Carter z książką pod pachą. Zastał mnie zasłuchaną w smutną muzykę, wpatrującą się w magnetofon stojący na szafce.

– Czy to Walt wychodził z twojego pokoju? – zapytał. W jego głosie brzmiała braterska troska. – O co chodzi?

– Och, po prostu... – Wbiłam wzrok w książkę, którą miał w ręce. Była wymięta jak stary zeszyt, więc zastanawiałam się, czy zamierza zadać mi jakąś pracę domową. Ale okładka wyglądała znajomo: obrazek z diamentem, kolorowe tłoczone litery. – Co to jest?

Carter usiadł koło mnie. Nerwowym ruchem podał mi książkę.

– To nie jest, hm... złoty naszyjnik. Ani nawet magiczny nóż. Ale mówiłem ci, że mam dla ciebie prezent urodzinowy. To... to ten prezent.

Przebiegłam palcami po tytule – *Zarys nauk przyrodniczych dla kandydatów na studia wyższe. Wydanie dwunaste* – po czym otworzyłam książkę. Na wewnętrznej stronie okładki ładnym charakterem pisma wpisane było: *Ruby Kane*.

To był podręcznik mamy z czasów studiów – ten sam, z którego czytała nam na dobranoc. Dokładnie ten sam egzemplarz.

Zamrugałam powiekami, żeby powstrzymać łzy.

– Skąd to...

– Uszebti biblioteczne – odparł Carter. – Potrafią znaleźć dowolną książkę. Wiem, że to... to trochę obciachowy prezent. Nic za niego nie zapłaciłem, nie zrobiłem go sam, ale...

– Zamknij się, głupku! – Zarzuciłam mu ręce na szyję. – To wspaniały prezent. A ty jesteś wspaniałym bratem!

[No dobra, Carter. Jest, nagrane na wieki. Tylko sobie zbyt wiele nie wyobrażaj. To była moja chwila słabości].

Przewracaliśmy kartki, śmiejąc się z wąsów, które Carter dorysował kredką Izaakowi Newtonowi, i z przestarzałych map układu słonecznego. Znaleźliśmy starą plamę, która wyglądała na mój mus jabłkowy. Uwielbiałam go. Przebiegaliśmy palcami po notatkach na marginesach, wykonanych pięknym pismem mamy.

Czułam jej bliskość dzięki dotykaniu tej książki i zdumiewała mnie troska Cartera. Mimo że poznałam jego prawdziwe imię i teoretycznie wiedziałam o nim wszystko, ten chłopak zdołał mnie czymś zaskoczyć.

– No więc co z tym Waltem? – zapytał Carter. – Co się dzieje?

Niechętnie zamknęłam podręcznik. Tak, chyba jedyny raz w moim życiu niechętnie zamknęłam podręcznik. Wstałam i położyłam książkę na szafce nocnej, po czym zdjęłam z niej magnetofon.

– Czeka nas robota – powiedziałam do Cartera, rzucając mu mikrofon.

Tak więc wiecie już, co się naprawdę wydarzyło w wiosenne zrównanie dnia z nocą, jak zmarł najwyższy lektor, a Amos zajął jego miejsce. Desjardins poświęcił swoje życie, żeby dać nam nieco czasu, ale Apopis szybko powstaje z otchłani. Może zostało kilka tygodni, przy dużym szczęściu. Kilka dni, jeśli mamy pecha.

Amos usiłuje umocnić swoją pozycję jako przywódca Domu Życia, ale nie jest to łatwe. Część nomów się zbuntowała. Wielu magów uważa, że ród Kane'ów siłą przejął przywództwo.

Wysyłamy to nagranie, żeby pokazać, jak było naprawdę.

Nie znamy jeszcze wszystkich odpowiedzi. Nie wiemy, kiedy i gdzie Apopis uderzy. Nie wiemy, jak uleczyć Ra, Besa, a nawet Walta. Nie mamy pojęcia, jaką rolę do odegrania ma Ziya ani też czy możemy ufać, że bogowie nam pomogą. A co najważniejsze, jestem całkowicie rozdarta między dwoma cudownymi chłopakami, z których jeden jest umierający, a drugi jest bogiem śmierci. No pytam: co to jest za wybór?

[Dobra, przepraszam... znów zbaczam z tematu].

Chodzi o to, że gdziekolwiek jesteście, jakimkolwiek rodzajem magii dysponujecie, potrzebujemy waszej pomocy. Jeśli się nie zjednoczymy i szybko nie nauczymy się ścieżek bogów, nie mamy żadnych szans.

Mam nadzieję, że Walt ma rację i nie zlekceważycie mojego wezwania, ponieważ zegar tyka. W Domu Brooklyńskim czekają na was pokoje.

Posłowie autora

Przed opublikowaniem tak niepokojącej opowieści czułem się zobowiązany do sprawdzenia wiarygodności opisywanych przez Sadie i Cartera wydarzeń. Bardzo chciałbym móc wam powiedzieć, że zmyślili to wszystko. Niestety wygląda na to, że wiele z tego, co opowiedzieli, oparte jest na faktach.

Opisywane tu egipskie zabytki oraz miejsca w Ameryce, Anglii, Rosji i Egipcie istnieją. Pałac księcia Mienszykowa w Petersburgu jest autentyczny, opowieść o weselu karłów jest również prawdziwa, aczkolwiek nie udało mi się znaleźć wzmianki, jakoby któryś z karłów miał być bogiem albo też żeby książę miał wnuka o imieniu Władimir.

Wszyscy egipscy bogowie i potwory, które napotkali Carter i Sadie, występują w starożytnych źródłach. Zachowało się wiele opowieści o nocnej podróży Ra przez Duat i choć poszczególne wersje różnią się od siebie zasadniczo, opis Cartera i Sadie zgadza się z tym, co znamy z mitologii egipskiej.

Krótko mówiąc, obawiam się, że ich opowieść jest prawdziwa. Ich wołanie o pomoc brzmi autentycznie. Jeśli w moje ręce wpadną kolejne nagrania, zamierzam przekazać zawarte w nich informacje, ale jeśli Apopis naprawdę powstaje, może nie być takiej możliwości. Ze względu na los całego świata mam nadzieję, że się mylę.

Słowniczek

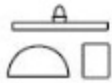
Słowa mocy używane przez Cartera i Sadie



Mach „Palić”



He-dzi „Niszczyć”



Hetep „Pozostać w pokoju”, „uspokoić się”

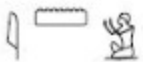


Hezi „Zawrócić”

Hekat Przyzwanie laski czarownika



Chenem „Łączyć”



Imen „Ukrywać”



Nedż „Chronić”



Seper „Chybić”



Upi „Otwierać”

Inne terminy egipskie

Aton – Słońce (obiekt fizyczny, nie bóg), tarcza słoneczna

Ba – dusza

Barka – łódź faraona

Bau – zły duch

Chepesz – miecz o zakrzywionym ostrzu

Czesu-heru – dwugłowy wąż, z drugą głową na końcu ogona i smoczymi łapami

Duat – kraina magii, zaświaty, Kraina Podziemna

Hieroglify – system pisma w starożytnym Egipcie, który posługiwał się symbolami lub obrazkami na oznaczenie przedmiotów, idei i dźwięków

Faraon – władca starożytnego Egiptu

Jaru – egipskie zaświaty, raj

Maat – porządek wszechświata

Menhedż – paleta pisarza

Neczeri – nóż wykonany z żelaza meteorytowego, używany w Rytuale Otwarcia Ust

Ren – imię, tożsamość

Sarkofag – kamienna trumna, często dekorowana płaskorzeźbami i inskrypcjami

Sau – osoba rzucająca czary

Skarabeusz – rodzaj chrząszcza

Stela – kamienny pomnik, najczęściej grobowy, w formie pionowo ustawionej kamiennej płyty, która może być dekorowana przedstawieniami i/lub inskrypcjami

Suk (arab.)- targ na wolnym powietrzu

Szen – wieczny

Tit – symbol Izydy

Uas – moc, (boska) władza

Uszebti – magiczna figurka gliniana, kamienna, fajansowa lub drewniana

Egipscy bogowie i boginie występujący w Ognistym tronie

Anubis – bóg pogrzebów i śmierci

Apopis – bóg chaosu

Babi – bóg pawian

Bastet – bogini kotka

Bes – bóg karzeł

Chepri – bóg skarabeusz, poranny aspekt Ra

Chnum – boski garncarz, tworzący na kole garncarskim człowieka i jego ka;
przedstawiany z głową barana

Chonsu – bóg księżyca

Geb – bóg ziemi

Heket – bogini żaba

Horus – bóg wojny, syn Izydy i Ozyrysa

Izyda – bogini magii, siostra i żona Ozyrysa, matka Horusa

Mechit – pomniejsza lwia bogini, małżonka Onurisa

Nechbet – bogini sęp

Neftyda – bogini śmierci, siostra Izydy, żona Seta; autor przypisuje jej
związki z wodami Nilu

Nut – bogini nieba

Ozyrys – bóg podziemi, brat i mąż Izydy, ojciec Horusa

Ptah – bóg rzemieślników

Ra – bóg słońca, bóg ładu; znany również jako Amon-Ra

Sechmet – bogini lwica

Set – bóg zła

Szu – bóg powietrza

Sobek – bóg krokodyl

Tauret – bogini hipopotamica

Thot – bóg wiedzy